BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

KSIĘGARNIA
H. HURTIG
W KALISZU

353183
1871/4
II

Inw 4149
XIV 3

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1872.

Tom czwarty.

Biblioteka Nauczycieli Gimnazjum „Macierz Szkolna" w Cieszynie

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

—

1872.

Дозволено Цензурою.

Варшава. 14 Сентября 1872 года.

W drukarni Józefa Bergera przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1872.

—

Starożytności krajowe.

stron.

Opowiadania o Warszawie, jéj przeszłości i pamiątkach miasta. Przez F. M. Sobieszczańskiego 1

Powinności wojskowe mieszczan w dawnych miastach na Rusi. Przez K. Pułaskiego 254

Liber beneficiorum Długosza. Przez Feliksa Zielińskiego. 333

Historya.

Serbia, zarysy historyczno-etnograficzne. Przez A. P.:

III. Pod tureckiém panowaniem. 52

IV. Wyzwolona Serbia 61

V. Kraj i ludność. 223

VI. Stan polityczny i społeczny 377

Prawo.

Pogląd na nowsze prace około wyjaśnienia historyi praw Słowian południowych. Przez Romualda Hubego. 169

Życiorysy.

Tomasz Padurra. Przez Walerego Przyborowskiego. 410

Literatura powszechna.

Historya literatury angielskiéj (z H. Taina). Streścił Edward Lubowski. 66

Dzieje współczesne.

Położenie obecne Francyi, według najnowszych źródeł urzędowych. Przez Witolda Załęskiego 423

Powieść.

stron.

Amalia, ustęp z wojny domowéj w Rzeczypospolitéj Argientyńskiéj, przez D. José Marmol; przekład z oryginału hiszpańskiego . . 24—193

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Pomnik wzniesiony w mieście Vendome, na cześć Ronsarda naczelnika plejady poetów XVI wieku.—Porównanie Ronsarda z Kochanowskim. — Dwaj zapaśnicy odrodzenia. — Mowa Augusta Barbier delegowanego od Akademii Francuzkiéj. — Poemata popularne Eugeniusza Manuela, uwieńczone przez akademią. — Nowy zwrot poezyi. — Obrazki rodzajowe z życia miejskiego ludu: Narzeczona robotnika, Matka i dziecię, Kwiat pomarańczy, Śpiewaczka uliczna, Przechadzka. — Mąż-niewiasta, broszura Aleksandra Dumasa.—Aspazya z Miletu, studyum historyczne p. Becq de Fouquières: Mężczyzna i niewiasta, list Emila Girardin do Dumasa w odpowiedzi na jego broszurę. 91

Czterystoletni jubileusz Kopernika, dzieło p. Flamaryon'a. Rodowitość polskiego astronoma. Młode lata. Nauki w Wszechnicy Jagiellońskiéj. Wojciech Brudzewski. Podróż po Włoszech. Padwa. Korony akademickie. Bononia. Rzym. Powrót. Stan duchowny. Walka z krzyżackim zakonem. Wszechstronność geniuszu: Kopernik ekonomista, lekarz, inżynier, filozof, poeta, malarz. Jego wizerunek. Wiersz Tiho Brahego. Dzieło de Revolutionibus orbium coelestium. Śmierć. Napis grobowy. Stoletnia cisza. Tryumfy. Napoleon w. Frauenburgu. Ocenienie Herdera.—Z Maryenburskiéj wieży zadzwoniono.—Poezya i proza.—Bibliografia i archeologia. — Holandya i Holendrzy: rozprawa p. Quesnel. — Andrzéj Lemoyne uwieńczony poeta.— Strumień i dziewczyna.— Po balu. 269

Kobieta grecka, dzieło w dwóch tomach panny Klarysy Bader, uwieńczone przez Akademią Francuzką. Mythy pierwotnych Pelazgów. Helenowie. Życie rodzinne w czasach Homeryczuych. Bohaterki Illiady: Helena, Hekuba, Andromaka.—Przekład Franciszka Dmochowskiego.— Ocenienie Mickiewicza. Bohatérka Odyssei: Kamilla, Euriklea, Penelopa. Przekład Cypryana Norwida.— Niewiasta grecka w rodzinie za czasów historycznych. Sparta: Wychowanie Lacedemonki. Ateny: Wychowanie dziewczęcek Jońskich. Małżeństwo. Posag. Opieka nad sierotami. Weselne obrzędy.—Niepodległość spartańskich niewiast. Idylla Teokryta: Dyalog Syrakuzanek.—Życie niewiasty ateńskiéj w gynecaum. Obyczaje. Matka spartanka. Matka atenka. Ostatnie rozłączenie małżonków. Płaskorzeźby na grobach.— Typ bohatérek dramatycznych. Eschiles. Trilogia Orestiadas: Klytemnestra, Orest, Eumenidy.— Sofokles. Trilogia: Król Edyp, Edyp w Kolonie, Antygona. Przekład Kazimierza Kaszow-

skiego. Eurypides: Tragedya Alcesta. Kobieta grecka w dziedzinie literatury i sztuki. Dziewięć muz ziemskich: Safo. Erinna. Telezilla: Tyrteusz niewieści. - Mirtis mistrzyni Pindara.—Korynna: współzawodnictwo z Pindarem.—Nossis. Praxilla. Anytho. Moero. Kora: odkrycie sztuki plastycznéj. Malarki. Timoreta. Irena. Lalla z Cyzyku.—Kobiety szkoły filozoficznéj Pythagoresa. Teano. Damo. Listy Teano. Fragmenta filozoficzno moralne Perictione i Phinthys. 226

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Kurs historyi wieków średnich napisany przez Tadeusza Korzona, z dołączeniem 4ch mapp historycznych i 25 tablic genealogicznych. Nakładem J. Brzozowskiego, Warszawa. 1872. Przez A. P. 125

O Mazurach. Napisał Dr. Wojciech Kętrzyński. Poznań, nakładem Tygodnika Wielkopolskiego, czcionkami L. Merzbacha. 1872. (w 16-ce, str. 94). Przez K. Wł. Wójcickiego. 138

Vincentius Kadłubek und seine Chronik Polens. Zur Litteraturgeschichte des dreizehnten Jahrhunderst, von Heinrich Zeissberg. Przez A. T. 145

Radziwiłł w gościnie. Anegdota dramatyczna w 3ch aktach przez J. I. Kraszewskiego. We Lwowie, nakładem Karola Wilda. 1872. (w 8-ce, str. 55.). Przez K. Wł. W. 146

Obrazki z mojego sąsiedztwa. Z notat pana Antoniego, spisał Leon Kunicki. Warszawa, nakładem G. Sennewalda 1872 r. (Drukiem Józefa Ungra w 8ce str. 149). Przez K. Wł. W. 149

Dziwy świata pierwotnego, czyli kolebka wszechświata, przez W. F. A. Zimmermana, przekład T. Dzieckońskiego, 1872. Wydanie drugie z 268 drzeworytami. Przez A. J. S. 150

Historya literatury rossyjskiéj w zarysach i życiorysach. Przez P. Polewoja (syna). 151

Dzieje Polski w głównych zarysach krótko streszczone dla użytku młodocianego wieku, przez E. Leja, 1872. Przez A. J. S. . . 153

Pamiętnik Wydziału prawa i administracyi w c. k. Uniw. Jagiel. w Krakowie. Kraków, 1872 XVI i 425. Przez X. 153

Opis historyczny Rzymsko-Katolickiego kościoła świętéj Katarzyny w Petersburgu. Przez E. hr. Tyszkiewicza. 154

Ekonomista, pismo poświęcone ekonomice, statystyce i administracyi. Rok VII. Półrocze piérwsze. 1872 r. Przez Fel. Zielińskiego. 291

Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Wydanie zupełne, poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopismów staraniem J. I. Kraszewskiego. (Z wizerunkiem i życiorysem poety). Tom I poezye oryginalne i naśladowania. Poznań. Drukiem J. I. Kraszewskiego. (Dr. W. Łebiński), 1872 r. (w 8ce, str. VII, 400). Przez K. Wł. Wójcickiego 300

Pamiętniki Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych,

stron.

z roku szkolnego 1871|2. Rok trzeci. (Warszawa 1872, 8ka większa, str. 199). Przez W. 307

Gustaw i Werter prel. publ. przez Adama Bełcikowskiego, doc. Uniw. Jagiell. Kraków, nakładem Tomaszewicza. 1872. Przez E. L. . 310

Zawiązki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier. Opracował Dr. Fr. Czerny. Kraków, 1872. str. 178. Przez P. 315

Lehrbuch der Geographie für die mittleren u. oberen Classen i t. d. von H. Guthe. 2 Aufl. 1872. Hannower, 658 str. 8ka. Przez P. 318

Napis na staréj Chrzcielnicy w kościele Ś-go Jana w Toruniu, dokładnie przerysowany. Warszawa 1872. W drukarni J. Sikorskiego (w 8ce str. IV z dwiema tablicami litografowanemi, przedstawiającemi chrzcielnicę i napis). Przez R. 319

Synodus archidioecesana Gnesnensis praesidente Stanislao Karnkowski Archiepiscopo Gnesnensi et Primate Regni Poloniae, Lovicii an. Domini 1583 celebrata, nec non Articuli alterius synodi ejusdem dioecesis sub Jacobo Uchański Archiepiscopo habite, nunc primum ex archivo venerab. Capituli Cathed. Vladislaw. Zeno Chodyński Direct. Semin. Vlad. edidit. Varsavie, 1872; str. 68. Przez A. P. 493

Bibliografia Polska. 120,000 druków. Część I. Stulecie XIX. Katalog 50,000 druków polskich lub Polski dotyczących od r. 1800, ułożony abecadłowo według autorów i przedmiotów, z wyrażeniem dzieł księgarskich, przez K. Estreichera. Kraków. W drukarni Uniw. Jagiell. 1870, (w wielkiéj 8-ce). Przez K. Wł. W. 495

Obrazy wszechświata. Astronomia i geologia popularna z drzeworytami w tekscie. Napisał Dr. medycyny i chirurgii Jan Stella-Sawicki. Przez D-ra S. 500

O małoletnich przestępcach oraz Towarzystwie Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych. Szkic ogólny przez W. Miklaszewskiego. Warszawa. 1872. str. 88 w 8ce. Druk S. Orgelbranda synów. Przez T. K. 506

Konfederacya Barska. Korrespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim Łowczym Koronnym w r. 1768, wydał Dr. L. Gumplowicz. Nakładem czasopisma „Kraju“ 1872 rok, (w 8-ce, str. XV, 204 z mapką). Przez K. Wł. W. 510

Benedyktyński klasztor w Sieciechowie, według pism i podań miejscowych, przez ks. Józefa Gackiego. Radom, w drukarni J. K. Trzebińskiego, 1872 roku, (w 8-ce str. 299). Przez K. Wł. W. . 514

WIADOMOŚCI LITERACKIE 158, 320, 516

Od Redakcyi. 382, 524

Bibliografia krajowa i zagraniczna na okładkach każdego zeszytu.

Opowiadania o Warszawie, jéj przeszłości i pamiątkach miasta.

Przez

F. Mak. Sobieszczańskiego.

II.

Przeszłość miejsca historycznemi dowodami objaśniona. — Wykopaliska z tejże epoki. — Podania i wywody o założeniu Warszawy. — Zkąd pochodzi jéj nazwisko? — Czy była kiedy wsią? — Ślady osady przy zaprowadzeniu chrześciaństwa. — Piérwsze piśmienne wzmianki do urządzenia na samoistne miasto.

W przeszłym rozdziale mówiliśmy o znajdujących się tutaj śladach osiadłości ludzkich, w epokach zwanych przedhistorycznemi. Śladach opartych nie na przypuszczeniu i domysłach, lecz na niezaprzeczonych dowodach, bo na pozostałych dotąd zabytkach.

W dalszym ciągu samo z siebie nasuwa się pytanie nie małéj trudności, aby należycie odpowiedzieć: do kogo należały i czyją były własnością, zważając na powtarzające się wszędzie podobieństwa.

Z tém wszystkiém chcielibyśmy objaśnić je o tyle, o ile wystarczą wiadomości przez nas zebrane.

Najnowsze poszukiwania antropologów starały się przekonać jakoby cała Europa przed przybyciem Aryów czyli rolników, była zaludniona przez nieliczne pokolenia turańskie, to jest ludów koczujących. Bliżsi zaś historycy rozpowiadają o wędrówkach rozmaitych ludów, różnych plemion i różnorodnych pokoleń, które kolejno tę ziemię nachodziły i osiedlały. Łatwy więc wypadł ztąd wniosek, że każde z nich, nim nowo nachodzące z posady wyparło, i do dalszéj wędrówki zniewoliło, mieszkając czas jakiś, musiało zostawić po sobie ślady swoich obyczajów, swych obrzędów

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

i sprzętów, różniących się między sobą tak drobnemi odcieniami w kształtach i pojęciach, że ich dzisiaj z łatwością odróżnić i odcechować niepodobna.

Trzymając się téj zasady, nie możnaby stanowczo wyrzec, ani o zabytkach do kogo właściwie należały, ani które z tych pokoleń są tutaj pierwobytnemi. Zwłaszcza gdy na polu obszernych i uczonych badań, dotąd w tym celu dokonanych, rozmaite panowały wyobrażenia i różny był sposób widzenia rzeczy.

To co dawniéj zdawało się niewątpliwe, późniéj zostało zwalone, i z nowego stanowiska rozpatrywane.

Dziś naprzykład nie popłacają już wnioski utworzone ze starożytnych dzieł pisanych lub drukowanych. Upadły zręcznie osnute i wiekami uświęcone teorye, uznane niegdyś za dostateczne, bo mówiły kroniki i poszukiwania archiwalne potwierdzały.

Natomiast powstała metoda porównawcza, zaprowadzona nietylko w językoznawstwie ale i w różnorodnych objawach cywilizacyi, tudzież tradycyi ludzkich i znaleziono nader silną pomoc w naukach przyrodniczych.

Długo bujając na skrzydłach wyobraźni, zstąpiono w końcu praktycznie na ziemię. Przekonano się albowiem że aby zrozumiéć przeszłość, potrzeba koniecznie znać teraźniejszość, gdyż tylko za jéj pośrednictwem piérwszą należycie się pojmuje.

Tą bezwątpienia drogą może dójdziemy kiedy do wyjaśnienia piérwotnéj historyi kraju, a zatém i najdawniejsze zabytki będą wtedy dokładniéj wytłumaczone. Lecz dotąd jesteśmy zaledwie w dobie zbierania materyałów, wymagających krytycznego opracowania.

Do tego nowego zwrotu przyczyniła się metoda porównawcza w językach europejskich, w któréj wielkie zrobiono postępy, gdy odkryto wspólne wszystkim źródło i udowodniono, że są najwydatniejszém dotychczas światłem prowadzącém badaczy do rozwidnienia najodleglejszéj przeszłości.

Idąc za tą wskazówką, nic tak gruntownie nie przekonywa o piérwobytności mieszkańców, nad utrzymujące się nazwiska rzek, gór, lasów, uroczysk i osad. Gdy jedne dla każdego dotąd są zrozumiałe, inne mają piérwiastek miejscowy. Wszystkie zaś albo powiększéj części tłumaczą wyraźnie powód dlaczego takie a nie inne im nadawano i świadczą zarazem, że od początku swego żadnym przemianom uledz nie mogły. Nazwiska miejsc są także najsilniejszą krytyką przeciwko przeszłym badaczom, którzy wyrazy niepojęte lub właściwie przystosowane, brali za spuściznę po owéj dziejowéj wichurze napływów i odpływów rozmaitych ludów.

Już znakomity W. Humboldt utrzymywał, że są to najstarsze i najtrwalsze pomniki historyczne, któremi narody nawet oddawna wygasłe, same opowiadają swoje własne losy. Idzie tylko aby te głosy były jeszcze dla następców zrozumiałe.

Z metodą porównawczą i na dzieje wędrówek narodów inaczéj teraz zaczęto zapatrywać się, twierdząc jakoby różnice prze-

szłości od teraźniejszości i pod tym względem nie były tak znaczne, jak przedtém mniemano. W prawdzie wypadki dosłownie nie powtarzają się, mają różne formy i sposoby, ale przyczyny i skutki są zawsze te same.

Całe narody, mówią nowsi uczeni, na jakimkolwiek byliby stopniu ukształcenia, nigdy się z miejsca na miejsce nie przenosiły i innych też z małemi wyjątkami nie wytępiały; lecz były tak jak są dotąd, częściowe z rozmaitych przyczyn wychodztwa, wyprawy drużyn ciągnące za łupem i wielorakie podboje.

Jedne zwracały się w stosowne po temu strony, przechodziły bez dalszego wpływu, lub w ogół wsiąkały; drugie przemieniały tylko zwierzchni zarząd kraju i niekiedy, z czasem, wsparte jednoplemienną kolonizacyą, tudzież przewagą umysłową, zacierały przeszłość, zmieniały język, ale nie naturę zwyczajów i obyczajów, które zawsze ocalały.

Według téj teoryi, upadają poprzednie wywody i wzmacnia się wiara w piérwobytność niektórych narodów.

Mogły istniéć od drugich nie znane, nosić rozmaite nazwiska, ulegać kolejom losu; w każdym przecież razie, nigdy wszyscy bezwarunkowo siedlisk swoich nie opuszczali.

I za tém właśnie przemawiają badania nad językiem krajowym, aczkolwiek w szczupłym jeszcze zakresie dokonane.

Jeżeli bowiem dotąd zrozumiałe nazwiska osad gęsto rozsianych, jak np. w blizkości Warszawy, wyraźnie wskazują poprzedni stan miejscowości, na pamiątkę którego otrzymały, t. j., od gór, rzek, lasów, zwierząt i t. p. nie ulegających łatwéj zmianie; już tém samém dowodzą niepodobieństwa aby kiedykolwiek były tutaj siedziby innego pochodzenia. To tém bardziéj zabytki wewnątrz ziemi około nich odkrywane, nie mogą być śladami obcego plemienia. Owszem są one nietylko objawem piérwobytności ludzi w epokach do których historya nie sięga, ale i odpowiedniego ukształcenia w społeczeństwie; czy to należało do pokolenia turańskiego, lub aryjskiego, które jakeśmy wyżéj wspomnieli, mogły po sobie nastąpić niekoniecznie sposobem wyparcia lub zupełnego zgładzenia.

Jakoż widocznymi są w rozmaitych zabytkach z téj epoki, obejmującéj przestrzeń kilkunastu wieków, postęp i stopniowe udoskonalenie, bez wyraźnego śladu obczyzny.

W chwili nawet gdy już piérwsze historyczne dowody stosunków z postronnemi plemionami pojawiać się zaczynają, wyroby przemysłu miejscowego tenże sam starodawny zasadniczy charakter przechowują, jaki miały w owych prastarych czasach, o których mówiliśmy w poprzedzającym rozdziale.

Przekonywają o tém wykopaliska, między innemi w Grochowie pod Warszawą 1870 i 1871 r., tudzież w najbliższych okoli-

cach: w Lisowie pod Czerskiem 1856 r., w Książenicach i pod Grodziskiem 1856 r., w Skierniewicach 1860 i t. p. (1).

W wielu wszakże miejscowościach, szczególnie na lewym brzegu Wisły, nie rzadko dobywane bywają z łona ziemi wyroby widocznie obcego pochodzenia: to bronzy jakby greckiego lub rzymskiego utworu, to monety cezarów rzymskich, to znowu srebrne filgrany, wraz z monetami kufickiéj roboty z imionami Kalifów panujących od VII do X wieku, że nie wspomnimy monet anglosaskich, skandynawskich i staroniemieckich.

Zabytki tego rodzaju znalezione zostały w ostatnich czasach nieopodal Warszawy, między innemi w dobrach Dziekanów 1871 r., w Grójcu, w Kaskach, w Paprotni, ze śladami pochodzenia z X wieku. W Ciechanowie wykopano w r. 1868 liczne monety rzymskie, kufickie i byzantyjskie XI stulecia. Toż w Sobaniach 1857 r., w Węgrowie i Grotkowie 1868 i t. d. (2).

Czyż to nie są aczkolwiek niemo dotąd, świadectwa międzynarodowych stosunków istniejących w tych stronach?

Nie inaczéj też tłumaczą nowsze odkrycia archeologiczne i numizmatyczne, chociaż w części przywracające im mowę. Mianowicie ważne pod tym względem okazały się źródła geograficzne wschodnie, które zbadane teraz krytycznie wiele ciemnych szczegółów objaśniły i sprostowały.

Ztamtąd dowiedziano się o istniejącym od niepamiętnych czasów przemyśle i handlu zamiennym między narodami wschodniemi, północnemi i zachodniemi; drogi zaś i przeprawy tychże oznaczają właśnie owe wykopaliska dokładnie we właściwych dziełach teraz opisane. Potwierdzają one zatém dotykalnie, to co tamci opowiadają obszernie szczegółowo o kupcach wschodnich i sąsiadujących słowiańskich. Jak od wieków czynili dalekie wyprawy w celu wymiany przedmiotów potrzeby lub zbytku, zasilając jedni drugich płodami swych krajów. Prowadziły je karawany lądem lub dostarczano drogami wodnemi ułatwiającemi stosunki z krajami najwięcéj oddalonemi i nieznanemi.

Poszukiwane płody przemysłu północy; były przedewszystkiém oddawna cenione rozmaite futra zwierząt, skóry, łój, miód, wosk, drzewo, bursztyn i t. p.; otrzymywano zaś w zamian wyroby wschodnie z kamieni, złota, srebra, bronzu, kości słoniowéj; różne tkaniny, korzenie, owoce. Najczęściéj wszakże zamiana odbywała się na monety złote i srebrne, pożądane od płci pięknéj, do ozdoby strojów, lub służące za narzędzia wymiany. Ztąd tyle ich dotąd odkrywają w ziemi gdzie były chowane w wypadkach wojennych lub innem niebezpieczeństwie.

(1) Bibl. Warsz. 1871 T. IV s. 47, Kur. Warsz. 1856 r. nr. 100, 132 r., 1846 nr. 90, 94, 116.

(2) Gazeta Polska 1869 r. nr. 48, Kur. Cod. 1871.

O tém wszystkiém piszą geografowie i podróżnicy arabscy z IX, X i XI stuleci, podając rozmaite szczegóły nietylko o sąsiednich ale i o tutejszych stronach, mianowicie świeżo wydany i odkryty w Muzeum Brytańskiém Abu Ali Achmed ben Omar Jbn Dasta piszący na początku X stulecia (1).

Tym sposobem mamy wytłumaczone znajdowane w kraju zabytki i monety wschodnie, zamieniane bez wątpienia za przedmioty pochodzące z wielkich niegdyś puszcz mazowieckich.

W każdym razie są już historycznym śladem siedzib ludzkich w tych wiekach z których pochodzą.

Czy jednak teraźniejsze osady są owoczesne, lub równie starożytne, tego stanowczo ani potwierdzić ani zaprzeczyć niepodobna.

Wprawdzie powiedziano było kiedyś o niektórych że są dawniejsze od swéj historyi; tém śmieléj zdaje się powtórzyćby można podobne zdanie i o Warszawie.

Zobaczmy teraz dowody tej starożytności w historyczném porównaniu z innemi.

Według przyznanego rozwoju w dziejach powszechnych, natura urządzeń ludzkich wszędzie i zawsze okazuje się w ogóle nie zmienną. Nie znaczy to bynajmniéj konieczności przejmowania jednych od drugich. Badając pilnie teraźniejszość i pozostałe dotąd zabytki, przekonano się: przeszłość nie zaciera się zupełnie i nie znika bez śladu z ziemi, jak mniemali ci którzy szukali w dali tego, co mieli jeszcze przed oczyma, kreśląc niebywałe mrzonki.

Też same dzieje nauczają, jak na całéj kuli ziemskiéj powstawały osady ludzkie. Zakładali zawsze z podwójnych przyczyn, albo obcy przybysze, albo nadmiar ludności wyłoniał z jednéj, podobnie pszczołom wydającym z ula nowy rój, aby sobie szukał innego gniazda. W obu tych wypadkach, szczególnie w ostatnim, przechowywały się stosunki rodzinne, zwyczaje i obyczaje; a nowa osada na pamiątkę swéj zależności mianowała i nazywała poprzednią swoją matką.

Jak tylko pewna liczba rodziu połączyła się z postanowieniem założenia nowéj osady, piérwszém ich staraniem był wybór miejsca. Najdawniejsze sadowiły się zwykle w bliskości wody, nad brzegami rzeki, jezior, źródeł i t. p. Późniejsze powstawały tam gdzie były lasy, które umyślnie w tym celu wypalano; jak to dotąd ma jeszcze miejsce w niektórych krajach: najnowsze budowały się na równinach. Założonym osadom nadawano rozmaite nazwiska, zależne od wielu okoliczności; od imienia jednego lub więcéj założycieli, położenia miejsca lub jego przeszłości, natury gruntu i sąsiedztwa; od stanu zajęć i pochodzenia zamieszku-

(1) Tłumaczony na rossyjski język i piérwszy raz wydrukowany z objaśnieniami przez prof. Chwolsona w Petersburgu 1869 r.

jących, wreszcie na pamiątkę czczonych lub przybywających zwierząt.

Osady połączone razem, składały wszędzie pod rozmaitemi tylko nazwiskami, gminę; te znowu miały swoje działy i poddziały, z początku bez żadnego miana, zanim je otrzymały, najczęściéj dopiéro od obcych.

Ukształcone już w społeczeństwa stanowiły ziemie a te razem zjednoczone narody i państwa.

Najdawniejszą najprzód ustanowioną osadą w każdym kraju jest wieś, i téj forma, tudzież urządzenia są podstawą, obrazem charakteru i właściwości narodowych.

Odpowiednio temu utworzył się i w Słowiańszczyznie wyraz w wielu narzeczach znaczący wszystko, raczéj wspólnie; gdyż *wies, weś, wsia*, piérwotnie miała wspólną używalność gruntów, pól, łąk i t. p. Ztąd gdziekolwiek od samego początku ją założono, tam ślad rozkładu gruntów, pól, łąk, pozostał niezmienionym i przetrwał prawie do naszych czasów.

Powstałe wsie i gminy wybierały sobie wszędzie pewne oznaczone miejsca, gdzie zgromadzano się albo dla spełniania obrządków religijnych, albo dla narady w sprawach powszechnego dobra, lub odbywania sądów, handlu i t. p.

Taki był początek miast na całym świecie, wyraz i w języku polskim pochodzący od miejsca.

Miały one tylko inne od nowożytnych znaczenie, nie odznaczały się ani ludnością, ani zamożnością i w niczém nie różniły od wsi. Na miasta wybierano niekiedy piérwotne osady, zkąd pochodziły następne i te przewodniczyły z początku w małym zakresie, następnie gdy się rozszerzył, stawały jego stolicami.

O początku miast w Słowiańszczyznie niezgodne są mniemania uczonych. Niektórzy utrzymują jakoby pierwotni Słowianie przestając na urządzeniu gminowém, czyli na stowarzyszeniach, które odpowiadało naturze społecznego ich życia, nie znali ani potrzebowali stanów i osad, różniących się od ustroju ogólnéj wspólności.

Tak było rzeczywiście w rzeczypospolitéj Polickiéj u Chorwatów, któréj odwieczny statut, drogocenny pomnik najdawniejszego prawodawstwa, wyraźnie zabraniał zakładania miast; téj nowości, są jego słowa, szkodliwéj i przeciwnéj zwyczajom i obyczajom narodowym (1).

Co jeżeli zachowywano w jednóm plemieniu, w któróm najdłużéj dotrwały prastare urządzenia rodzime, to mogło być niegdyś wspólne wszystkim pokrewnym.

(1) Starożytne prawodawstwo Chorwacko-dalmackie, przez Leontowicza. Odessa 1868 (po rossyjsku).

Jakoż grody i tyńce z których powstały u innych Słowian nowożytne miasta, znaczyły (sam wyraz tłumaczy) miejsca ogrodzone czyli umocnione. Służyły też w onych odległych wiekach dla ochrony w niebezpieczeństwie i były warowniami przeciwko zewnętrznym nieprzyjaciołom. Przytém przeznaczano je na miejsca ogólnych zgromadzeń we wszelakiéj potrzebie. Wśród gór i lasów sama przyroda nadawała się potemu i wybór ułatwiała. Natomiast plemiona osiadłe na równinach, musiały budować sobie oddzielne warownie, gdy tamtym mogły być nieznane przynajmniéj z nazwiska.

Zważając na wskazany wyżéj porządek, prawdopodobny początek Warszawy może być następny:

Położona na wzgórzu, nad brzegami rzeki, tém samém należy do najdawniejszych osad w okolicy; bo inne sąsiednie już nazwiskami swemi wskazują późniejsze czasy. Otoczona niegdyś lasami, dotąd jeszcze opodal będącemi, ma też najbliższe siedziby których nazwiska są przypomnieniem przeszłego stanu takiejże miejscowości.

Przy ich zakładaniu lasy wytrzebiano ogniem, i pamiątka tego sposobu została w nazwisku Pragi, które podobnie czeskiéj stolicy, otrzymała od starosłowiańskiego słowa *prażiť*, wypalać (1). Chociaż może także oznaczać *prah*, próg rzeki, albo przeprawę. Śladami wypalonych lasów zdają się być nazwiska najbliższych wsi. Takiemi są: Opaleń, Ożarow dawniéj Pożarow, Chłownia przedtém Głownia i t. d.

Pewném także znamieniem stopniowego zaludnienia okolicy, są liczne wsie z nazwiskami Woli lub Wólki. Znaczą one jak wiadomo nowe roje z dawniejszych uli, gdy nadmiar ludności obierał sobie oddzielną siedzibę. Wychodziły na wolę czyli oznaczoną do umówionego czasu swobodę. Idlatego niektóre dotąd noszą przydatek ich pochodzenie wskazujący. Są naprzykład najbliższe: Zaborów i Wólka Zaborowska, Grodzisk i Wólka Grodziska, Mroków i Wola Mrokowska, Żyżyn i Wólka Żyżyńska i t. p.

Niepodobna zapewne przypuszczać aby wszystkie pochodziły od jednéj. Jest jednak stare przysłowie drukowane w XVII i XVIII wieku, odnoszące się do główniejszych miast krajowych, téj osnowy, Kraków pan, Lwów ojcięc, Warszawa matka, Lublin siostra (2). Mianowanie przeto Warszawy matką, może nie będzie bez znaczenia, jeżeli przypomnimy sobie wykład podobnego wyrażenia o obcych miastach starożytnych, które zwano *Metropolis, Mutterstadt* i t. p.

Wytworny wybór miejsca na wzgórzu, nad samym brzegiem wspaniałéj rzeki, pięknością swoją stolicę Wschodu przypominającego, znamionują wykształcony gust założycieli. Położenie geo-

(1) Tomek Geschichte d. St. Prag I p 4.

(2) Daniel Bratkowski w dziele *Świat po części przejrzany*, Kraków 1697, Duńczewski w Kalendarzu na r. 1730 powtarzając wyrażenie usiłuje go wytłumaczyć.

graficzne przy zbiegu lub pobliżu wielkich rzek: Wisły, Narwi, Bugu, wybornie do utworzenia handlowéj osady posługiwały.

Słowem wszystko składa się należycie aby udowodnić jéj przedniejsze nad sąsiedniemi stanowisko.

Tymczasem posłuchajmy co dotąd mówiono i pisano o początkach Warszawy.

Podanie dotąd między ludem utrzymujące się prawi: jakoby w tém miejscu były przedtém rozległe puszcze w zwierzynę obfite, w których król często polował. Pewnego razu miał zabłąkać się i przymuszony szukać schronienia w lepiance, zastał matkę z nowonarodzonemi bliźniętami. Dobry monarcha trzymał dzieci do chrztu i jedno nazwał *War*, drugie *Sawa*. Nie szczędził potém łask dla ubogiéj rodziny, która ze szczodrobliwości jego wkrótce wygodniejsze dla siebie miejsce wybrała. Względy doznawane i spływające dostatki sprawiły, że wnet inni koło nich osiadać poczęli i ztąd powstało miasto na pamiątkę owych bliźniąt *War-Sawa* przezwane (1).

W podaniu tém jak w każdém innem jest część prawdy: wskazana miejscowość leśna, pochodzenie nazwiska z tematu osobowego i powstanie odrazu miasta.

Druga gadka ludu głosiła jakoby flisy płynąc z galarami na dół Wisły, tu miewali swoją przystań i do ubogiéj kobiéty nad brzegiem rzeki mieszkającéj, która świéży pokarm dla nich gotować zwykła odzywali się *Warz Ewa*. Ztąd miało powstać nazwisko późniejszéj osady *Warszawa* (2).

Ostatni wywód chociaż tkwi w nim temat nieosobowy, jest raczéj igraszką słów i na uwagę nie zasługuje.

Podobnie są różne mniemania uczonych. Już w XVI stuleciu piszący Stanisław Sarnicki, założenie Warszawy przyznawał Awarom, dowodów na to szukając w samém brzmieniu wyrazu, i w tém że posady tego plemienia miały według niego znajdować się w tych stronach (3). Hordy Awarów rzeczywiście przebywały w bliskości krajów dawnéj Panonii, Morawii i Pieczyngów; lecz czy były kiedy tutaj i w ogóle nad Wisłą niema dotąd żadnego dowodu.

Równie niefortunne jest zdanie znakomitego historyka Lelewela, który w nazwisku Warszawy odgadywał siedzibę Dako Getów (4).

Albertrandy upatrując podobieństwa do miasta Wrocławia, zrobił domysł, że przez sprowadzonych ztamtąd ludzi zbudowana otrzymała nazwisko, jak Wrocław od Wracisława, ta tak od Warsza, który był w r. 1279 kasztelanem krakowskim (5).

(1) Gołębiowskiego opisanie Warszawy 1827 str. 4.
(2) Chmielowski Nowe Ateny 1754, T. II, p. 38.
(3) Descriptio veteris et novae Poloniae 1585 p. 275—335.
(4) Narody na ziemiach słowiańskich p. 484 i 574.
(5) Pamiętnik Warszawski 1809 r. N. 2, p. 249 i N. 10.

Rzeczywiście w najstarszych archiwalnych aktach aż do końca XVI wieku, bardzo często są wymieniane rozmaite osoby, możne i ubogie imienia Warsz. Imie to było starosławiańskie, odpowiadające podobno chrześciańskiemu Wawrzyńcowi. Miały go także i niewiasty, nosząc pochodzące od niego imiona Warszki i Warszny, tak jak były Zbigniew i Zbichna, Zdzisław i Zdzichna i t. p.

Nakoniec ks. Fr. Kurowski w notatach przygotowywanych do pamiątek Warszawy, które nam przed zgonem szlachetnie darował i użyć do niniejszéj pracy piśmiennie upoważnił, skrytykowawszy bardzo poważnie i słusznie poprzednie wywody, podał nowy w sposób przekonywający, bo oparty na następnych prawdopodobnych danych.

Historya czeska i polska w XI i XII stuleciu zawiéra obszerne szczegóły o głośnéj rodzinie czeskiéj Werszowców, właściwie Wrszowiców. Byli oni wtedy dla wielu przyczyn stronnikami Polski i prześladowani w kraju, zmuszeni zostali przenieść się ostatecznie do Polski za panowania Władysława Hermana. Piszą o tém Kosmas Pragski i Naruszewicz, zaś Dubrawski (Dubravius) historyk czeski XVI wieku dodaje że z nimi przybyło kilka tysięcy Czechów i osiadłszy nad Wisłą założyli osadę, która im dawną przypominała ojczyznę (1).

Znalazłszy powyższe wiadomości, przytém nazwiska niektórych miejscowości, tudzież imiona osób w dawniejszych wiekach w Warszawie, lub w jéj bliskości, jedno brzmiące z czeskiemi, zdało mu się niewątpliwém aby miasto swój początek i miano winne było rzeczonéj rodzinie.

Wywód szanownego i zasłużonego męża, mieliśmy i my, przyznajemy się otwarcie, ze wszystkich najprawdopodobniejszy. Tém bardziéj gdy robiąc dalsze poszukiwania znajdowałem w dawnych aktach częste wzmianki o rodzinach Warszów, późniéj Warszewickich i Warszyckich, którzy posiadali w samém mieście lub w okolicy grunta i włości. I nadto jeszcze, skoro w najnowszéj historyi miasta Pragi czeskiéj professora Tomka, trafiłem na osady mające też same nazwiska. Są naprzykład wspólne: Wrszowice (Warszawa), Praha (Praga), Solnic (Solec), Ujezdec (Ujazdów), Skryszow (Skaryszew), Raszyn (Raszyn), Sedlec (Sielce), Rakowic (Rakowiec), Wawrzik (Wawrzyszew), Kamienic Kamienica, (Kamień i Kamionna), Kalenic (Kałęczyn) i t. p. (1) Najdawniejsze kościoły w Pradze Ś-go Jerzego i Ś go Jana są albo założone albo uposażone przez Werszowców. Pod tymże samym tytułem były i są także najstarsze kościoły warszawskie, któremi niegdyś opiekowali się Warszyccy.

(1) Kosmas p. 68, 89, Dubravii Histor Boiemica p. 50, 63, 88, Narusz. Hist. t. II ks. I i 2. t. III. ks. I.

(2) Geschichte d. Stadt Prag. v. Wenzel Wladiwoj Tomek 1 Bd. ob. Register der Orts und Personennamen str. 663.

Tyle łudzących podobieństw, nic dziwnego, czyniły domysł niezmiernie trafnym.

Cóż kiedy potém wzięte pod ścisły probierz krytyki historycznéj, wszystkie jéj nie wytrzymały, bo nazwisk rodowych w Czechach i Polsce do XVI wieku nieznano, i Werszowce czyli Wrszowice według badań Palackiego nie byli oddzielną rodziną, tylko stronnictwem przodującém w swym kraju (1). Wreszcie co do tożsamości imion własnych, nazwisk miejscowości z tematu osobowego lub rzeczowego, nie mogą one być tutaj żadną podstawą, gdyż nowsze poszukiwania odkryły powszechne ich powtarzanie się jakby echa jakie po całéj Słowiańszczyznie. Służą one co najwięcéj, chyba do przekonania, im dawniejsze będą ślady, tém bliższe są swego pokrewieństwa.

Zaczém, ponieważ Praga i Warszawa pojawiają się wielokrotnie w różnych oddalonych krajach, uchyla to raz na zawsze myśl, aby początek swój były winne pewnéj jakiéj osobistości.

Pozostaje tedy jeszcze możliwe dociekanie téj sprawy na śliskiéj drodze etymologicznéj: czy osada otrzymała nazwisko z tematu osobowego czy rzeczowego?

Biorąc pod rozwagę pierwsze, widzimy wszystkie nazwy miejsc w dawnéj Polsce, które pochodzą od imion osób, lub od istot żywotnych, mają zawsze zakończenie na *ów*, np. Adamów, Bolesławów, Janów, Kraków, Lwów, Mikołajów, Piotrków, Romanów, Stanisławów, Trojanów, Władysławów, Zdzichów i t. p.

Mające przyrostek *owa* wyrażają miejsca do kogoś należące, czyjąś własność stanowiące, np. Częstochowa, Beszowa, Rachowa- znaczyło osadę założoną i należącą do jakiegoś Częstocha, Besza, Racha. Zakończone na *ice*, np. Balice, Czaplice, Sędzimirowice, zamiast Balicowie, Czaplicowie, Sędzimirowie; wskazują tam jednego założyciela, tu miejsce osiedlin licznych potomków rodziny jednego imienia, to jest: Balice były osadą Baliców, Czaplice, Czapliców, Sędzimirowice, Sędzimirów i t. p.

Gdyby więc nazwisko było pamiątką imienia założycieli Warszów, miałoby miano Warszowa nie Warszawa. Ale dajmy nato, mogła mieć podobne brzmienie, i istotnie tak ją niekiedy pisano. To znowu czy można przypuszczać aby liczne osady miano Warszawy noszące, wszędzie od jednych i tychże samych imion własnych pochodziły? Jeszcze siedziby ludzkie, ale uroczyska, góry, rzeki i jeziora, które nigdy albo bardzo rzadko mają nazwiska wzięte z tematu osobowego. Znajdujemy bowiem na obszernéj przestrzeni, gdzie tylko kiedykolwiek sięgały słowiańskie osady, kilkadziesiąt miast, wsi, przysiołków, uroczysk, gór, rzek, jezior, noszących nazwę Warszew, Warszawy, Warszawki, Warszewic, Warszowic, Warszechy, Warsowic, Wrszawy, Wrszowic, Warszowek, Warszuli, Warszycy, Warszewy, Warsiny, Warsny, Warsowy i wiele innych tym podobnych nomenklatur.

(1) Geschichte von Boehmen T. I, p. 380, 363 i Monatschrift d. d. vaterland. Museums in Bochmen 1829 p. 25—51.

Są one nietylko w granicach dawnéj Polski i Rusi, jest kilka na Szląsku, w Prusach zachodnich w Czechach i Morawie, na Pomorzu i nad Baltykiem. Są w Turyngii, Meklenburgii, nad brzegami Dunaju, a nawet trzy Warszawy w tych stronach Grecyi, które przed wiekami były przez Słowian osiadłe. Teraźniejsze jezioro Tuchomsee pod Oliwą, wedle świadectwa miejscowych kronikarzy zwało się przed tém Warszną i Botsmanlaken pod Gdańskiem, nosiło miano Warsiwody (1). Rzekę Warszną płynącą w państwie Chazarów wymienia Jbn Foszlan geograf arabski X wieku (2) i t. d.

Co do osad, czy wszędzie są wspomnieniami założycieli siedzib ludzkich, lub oznaczają sposób ich zatrudnienia, wskazują położenie miejscowości, albo wreszcie są przypomnieniem poprze dniegopochodzenia osiadłych wychodźców, jak to dotąd ma miejsce w Ameryce?

Szukając objaśnienia téj wątpliwości, wypada udać się po wytłumaczenie do filologów wywodzących znaczenie nazwiska od starosłowiańskiego pierwiastku *wrch*, zkąd pochodzą czeskie *Wrszice*, polskie *Warszyce*, ruskie *Werchowce*. polskie *Warszew* i imie *Warsz*; ztąd cz. *Wrszowice*, pol. *Warszowice*, cz. *Wrchotice*, pol. *Wierzchocin*, cz. i morawskie *Wrszawa*, pol. *Warszawa i Warszawice*, cz. *vrchosław* i *Wrchosławice* morawskie, *Wierzchosławice* polskie (3).

Z tego samego pierwiastku powstały i ukształciły się wyrazy we wszystkich prawie narzeczach słowiańskich i z niemi spokrewnionych, oznaczające rozmaito moralne i fizyczne przodowanie i wzniesienie. Tu mają źródło serbskie *Vrch*, książe, przodujący, *vrchny*, i ruskie *werchowni* zwierzchnik. Także szczyt, góra, wzgórze; ruskie *werch*, serbskie *verchovit*, góra z wielu szczytami *versanie*, wzniesienie, *werszyna* wierzchołek, *Varh* władza, *versin* naczelny. Ztąd bołgarskie i ruskie *werszit* wyrokować, *werszitel* wykonawca, *versznik* dachówka. Łowić ryby *warszą* albo *warsą* znaczyło w dawnym języku rybaków warszawskich, więcierzem, którego do dziś dnia Dalmaci, Słoweńcy i Rusiny zowią *warszą warsą i werszą*. W ogóle wszelkie wzniesienia, wierzchołki gór, oraz miejsca obwarowane, u Serbów, Bośniaków i Słowian południowych zwano *Varsi*, *Wershy*, *Warosze;* u ostatnich *Varosz* znaczy otwarte miasto. W Bośni *Warosz-haza* ratusz, *Var* po węgiersku zamek, *Varoch* miasto, *Werschung* wojować i t. p.

Moglibyśmy jeszcze przytoczyć wiele wyrazów tego samego brzmienia i formy, lecz nie chcemy nudzić czytelnika suchém wyliczaniem. Przepraszamy i za tę etymologiczną wycieczkę, którą zrobiliśmy dlatego, gdyż zestawione z sobą zdały się naprowadzać na pewniejszą wskazówkę do wywodu nazwiska Warszawy, aniżeli imiona własne.

Nakoniec wypada nam jeszcze wymienić udowodnione już spostrzeżenie, że wszystkie starożytne miasta nie nazywają się

(1) Scriptores rer. Prussic. I 671. 693, IV 731.

(2) Ibn Foszlan's und anderer Araber Berichte v. Frähn 1823.

(3) Miklosich Die Bildung d. Ortsnamen aus Personennamen im Slavischen. 1864.

imieniem założyciela czy władcy, lecz czerpią swoje nazwiska w ogólniejszych sferach.

Wnioskowaćby zatém można posadę wznoszącą się na wzgórzu *wrchu, werchu, warszu*; przodującą sąsiednim, może od pierwotnego swego przeznaczenia obwarowaną stosownie do czasu *waroszą*, która ztąd nazwisko otrzymała w onéj odległéj epoce, kiedy język plemienia więcéj się zbliżał do wspólnego źródła.

Taki bowiem początek ośmielamy się przyznawać Warszawie, wbrew podaniu i niektórych stronników wiejskiego jéj pochodzenia.

Czy była kiedy wsią? Twierdzenie nieraz już wnoszono bez pewnych dowodów.

Piérwszy Albertrandy wywodząc jéj początek, utrzymywał jakoby była zrazu wioską Warsewa zwaną, która uiszczała dziesięciny kościołowi w Górze. I na poparcie swego mniemania przeistoczył wyrażenia dyplomatu Bogufała mówiąc: wyraźnie w nim jest nakazano ażeby dziesięcina zbożowa z wioski Warsewy do kościoła Gorskiego oddawaną była. Tymczasem pokazało się że nadanie biskupa brzmi zupełnie inaczéj i tyczy się nie Warszawy lecz wsi Warszawice leżącéj dotąd o ½ mili od Góry (1).

Co wyrzekł Albertrandy powtórzyli w dobréj wierze Łukasz Gołębiowski opisując Warszawę 1827 r. i za nim wszyscy. W ostatnich nawet czasach zasłużony wydawca Starożytności Warszawy i szacownych materyałów do historyi miasta, znalazłszy nadto dowody archiwalne w oryginalnym dokumencie układów Kazimierza W-go z Krzyżakami, sporządzonego w r. 1339 w Warszawie, w którym delegowani papiescy do téj sprawy, wszędzie ją wsią pisali, i w całym obszernym akcie przytaczając często, w żadném miejscu nie nazwali miastem (*civitas*) ale tylko zaludnioną osadą (*locum*) albo wsią (*villam*).

Tak poważne świadectwo zdało mu się nieomylném i skłoniło do śmiałego zawyrokowania jakoby jeszcze wsią do roku 1339 zostawała (2).

I nie byłoby nic do powiedzenia przeciwko wiarogodności rzeczonego dowodu, gdyby dokument archiwalny nie był w całości z tego samego źródła dokładniéj aniżeli w Dogielu wydrukowany w dziele wydaném w r. 1856 przez Tytusa hr. Działyńskiego wraz z innemi tyczącemi się téjże sprawy. Tam przy aktach spisanych przez delegatów papieskich, znajdują się takie same wygotowane ze strony przeciwnéj, to jest przez Krzyżaków. I wszędzie znowu równie często wymieniana Warszawa, zawsze jako miasto (*civitas*) (3).

(1) Starożytna Polska I 397.

(2) Wyjaśnienie p. Aleks. Weinerta w Gazecie Polskiéj 1871 N 12.

(3) Lites ac res gestae inter Polonos Ordinemque Cruciferorum. Poznań 1855—1856. 3 tomy. T II p. 16, 24, 27.

Sprzeczność jednak wyjaśnia się odrazu, skoro tylko dowiemy się o przyjętym zwyczaju w dyplomatyce papieskiéj, która tylko stolice dyecezyi biskupich uznawała miastami. Wszystkie zaś inne chociażby najznaczniejsze, mianowała osadami, należącemi do tychże *(in loco dioecesis)*, albo prosto znajdującemi się w dyecezyi *(in dioecesis)*, wreszcie wsiami *(villae)*; o czém przekonać się można z licznych bullariuszów względem podobnych miast obcych i z Monumentów Theinera o polskich. W ostatnich Warszawę jeszcze w XVIII wieku nie inaczéj tytułowano i równie Wiślicę, Zawichost, Wyszogród, Wschowę, pisano wsiami (1).

Gdyby przecież powyższe źródła nie wystarczały do ostatecznego rozsądzenia, ażali Warszawa w roku 1339 była wsią czyli téż miastem znaczném, ludném i murami już wtedy opasaném, to usuwa wszelką wątpliwość dalszy ciąg tejże saméj sprawy z Krzyżakami we wspomnianém dziele wydrukowany. W lat 73 albowiem, po piérwszéj delegacyi, dwór rzymski wysłał w roku 1422 na żądanie stron inną. Ta przedewszystkiém poczytała sobie za obowiązek wejść we wszystkie szczegóły tyczące się poprzedniéj. W tym celu wezwała najpoważniejszych wiekiem i stanowiskiem świadków obeznanych z tokiem pomienionéj sprawy, których w ogóle było 126. I między innemi zadała im następne pytania.

Dlaczego w r. 1339 Warszawę a nie inne miasto obrano na miejsce processu? Czy rzeczywiście była wtedy i przedtém miastem znaczném, ludném, i ku temu stosownem? *(Item ponit, quod tempore prefate sentencie et processus et ante, Warszchovia fuit et est opidum notabile et populosum et locus insignis etc)*.

Do kogo należała i od jak dawna obwarowana murami, dawała rękojmie bezpieczeństwa zgromadzonym osobom?

Item ponit, quod predicto tempore sentenciae et processus iudicum predictorum et ante dictus locus fuit et est muro circumdatus tutus et securus etc (2).

Na tak podane pytania odpowiadało kilkunastu znakomitych dostojników, między innymi biskupi krakowski, poznański, kujawski i płocki, wojewodowie krakowski, sandomierski i t. p. Zeznali oni jednozgodnie jako Warszawa dobrze im znana była i jest miastem starożytném, zdawna murami obwiedzioném i najzupełniéj do rzeczonego processu stosownem *Quod Varsovia* (mówi biskup płocki) *fuit et hodie est locus insignis notabilis muro circumdatus et populosus, habens copiam victualium et securus veniendi cuilibet libere et sine aliquo impedimento in eundem locum predictum etc.* (p. 203).

Lecz najwiarogodniejsze świadectwo pochodzi od biskupa poznańskiego miejscowego pasterza, do którego dyecezyi Warszawa należała. Był nim wtedy sławny Andrzéj Laskary Gosła-

(1) Monumenta votora Poloniae. Rzym 1860—1865. 4 t. T I p. 14, 587, 676. T. II p. 42 etc.

(2) Lites T. II p. 39, art. 63, 64 i 66.

wicki, znany dyplomata, często tutaj przebywający. Powtórzył on to samo jeszcze dokładniéj. „Warszawa, pisze, będąca w mojéj dyecezyi dobrze mi znana jest miastem przedniejszém i znaczniejszém od innych w swych stronach. Sądzę także była takiém oddawna, tém bardziéj gdy to okazuje się ze starożytnych jéj budynków i murów. Jest téż głos powszechny i wieść słynie nietylko między tamecznymi mieszkańcami, ale i w całém Królestwie Polskiem, jakoby była miastem znacznem, znakomitém i w tych oddalonych czasach, o których pamięć zaginęła (1).

Jeżeli więc podobne zdanie dawali ludzie spółcześni i blizcy 1339 roku, czy można teraz utrzymywać inaczéj?

Wsią przeto nie była wtedy a nawet nigdy i na to znowu są dotąd jeszcze dowody na miejscu, przystępne do sprawdzenia.

Wspomnieliśmy już jak wieś w samym rozkładzie swoich gruntów pozostawia po sobie niezatarte ślady. Otóż pracowite i mozolne poszukiwania mapograficzne p. Wilhelma Kolberga nad naturą powierzchni Warszawy i okolic, któremu wiadomość tę winniśmy, wykryły ślady wiejskiego podziału gruntów wszędzie gdzie tylko one istniały. Grunta na Powązkach, Woli, w Ujazdowie, Mokotowie, rozłożone podług dawniejszych inwentarzy i mapp, noszą dotąd na sobie formy pochodzenia gromadzkiego, wspólnego czyli gminowego i trzechpolowego gospodarstwa. Przeciwnie wszystkie znajdujące się na terrytoryum Warszawy, są wyraźnie od początku wydzielone w rozmiarach gospodarstw oddzielnych na podobieństwo kolonialnych, wspólności gospodarczéj niemających. Odkrycie to najzupełniéj odpowiada wiadomości znajdującéj się we wszystkich lustracyach i rewizyach od 1564 r. i umieszczonéj w projekcie do nowego urządzenia miasta przez komisyą dobrego porządku w r. 1782, gdzie podano że Warszawa od swego założenia miała nadane grunta zawierające rozległości 24¾ łanów. Te potém lubo na różne części różnemi sposobami porozrywane, zamykały ją zawsze we wspomnianéj granicy (2). Rzeczone łany czyli włóki aczkolwiek teraz na ulice zajęte i zabudowane, dotąd odznaczyć się dadzą. Ciągnęły się one wszystkie równolegle ku Woli i tam kończyły, położeniem swém, ilością, i urządzeniem i stanem przekonywając, że nigdy w skład wsi nie wchodziły.

(1) Quod locus ille nominatus in articulo est in dioecesi sua. Et scit ipse quod locus ille notabilis est et insignis et notabilius opidum quo libet alio in illis partibus, habens collegium canonicorum et credit sic fuisse ab antiquo locum insignem. Et hoc maxime quia sic apparet ex edificiis et muris antiquis. Et quia publica vox et fama est et communis reputacio inter Incolas illarum parcium et eciam in Regno Polonie, quod dictus locus fuit insignis et notabilis per tantum tempus cuius memoria non existit (*Lites* p. 125).

(2) Rewizye Województwa Mazow. z r. 1564 N. 118. Arch. b. Kom. Skarbu. Lustracye drukowane w Starożytn. Warszawy, Wajnerta T. VI p. 121. Ustanowienie ordynacyi miasta Staréj i Nowéj Warsz. Akta Kom. Bon. ord. drukowane w Zabytkach sądowych Wojnerta T. III p 24.

Zresztą sądzimy przytoczone powody dostatecznemi, aby raz na zawsze rozstać się z myślą wiejskiego początku Warszawy.

Co innego jeżeli zechcemy się dowiedzieć o piérwotném jéj znaczeniu. Bezwątpienia długo musiała zajmować podrzędne stanowisko, gdyż istniała od niepamiętnych wieków ziemia Czerska, właściwie Czynska, (od piérwiastku *czrn*), będąca niegdyś udzielném i potężném państwem, pod którém i Warszawa zostawała. Ztąd zwierzchnictwo i władza aż do XIV stulecia były przy Czersku.

Gdzie zaś starszeństwo, tam stolica, lubo koleje bywają niekiedy zmienne.

Według miejscowego podania, miasto Czersk było już wspaniałe, ludne i zamożne, kiedy Warszawa miała być jeszcze małém miasteczkiem. Jeszcze dotąd piérwsza zamieniona teraz na wiejską osadę przechowuje pamięć téj świetnéj przeszłości i podupadli mieszkańcy z dumą opowiadają jak niegdyś pogorzali mieszczanie warszawscy przysłali prosić zamożnych obywateli Czerska o wspomożenie w nieszczęściu obiecując kiedyś się odwzajemnić (1).

Ponieważ w organizacyi przedhistorycznego Mazowsza ziemie dzieliły się na większe i mniejsze, trwały nie stale i nosiły nazwiska czasem ziemi, to znowu obwodów lub powiatów; Warszawa snadź z początku przodowała małéj przestrzeni stanowiącéj powiat, starożytny Ujazd, tak zwany zwykle w okolicach leśnych, którego ślad mamy dotąd w nazwisku Ujazdowa (2). Granice jego rozciągały się i obejmowały odwieczne wsie Jazdowo, Wawrzyszewo, Mostki, późniéj Powązki i Młociny. Są one bowiem zawsze razem wyliczane w przywilejach z XIV i XV wieku, kiedy panujący wypuszczał je w dzierżawę mieszczanom 1379 r. lub w tymże obrębie ustanawiał granice Wójtostwa Warszawskiego, 1408 r. Weszły te wsie późniéj w skład tutejszego starostwa i ztąd zapewne pochodziła oznaczona rozciągłość władzy starościńskiéj i marszałkowskiéj na około miasta.

W tém położeniu rzeczy nadeszła nowa cywilizacya, religia chrześciańska jak wiadomo dla gruntowniejszego ustalenia zastosowała się wszędzie do poprzednich urządzeń krajowych. Narody dzielono na biskupstwa, ziemie na archidyakonaty, resztę na dekanaty i parafie. Historycy téż utrzymują jakoby piérwotna Polska stanowiła najprzód jedno tylko biskupstwo, jego zaś archidyakonatami były główniejsze podziały kraju które następnie rozdzielano. Tém piérwszém biskupstwem miało być od roku 958 poznańskie, obejmujące wszystkie uorganizowane wtedy ziemie. Gdy

(1) Gawarecki w Kalend. polit. na r. 1835. Opis Czerska.

(2) In silva ultra provinciam Sedlec ambitum quod slavonicae Ujezd dicitur, mówi. dyplomat z r. 1165 w kodex. dypl. Morawskim Boczka N 301 i 329.

potém wykrojono z niego inne dyecezye, samoistna ziemia czyli księstwo Czerskie po obu stronach Wisły szeroko niegdyś rozciągające się, z własnéj woli lub z innéj przyczyny przy niém pozostała. Stanowiła osobny archidyakonat czerski, który po roku 1406 został Warszawskim.

Powód ten objaśnia geograficzną nierówność pomienionego biskupstwa, mającego aż do końca zeszłego wieku jeden oderwany archidyakonat na Mazowszu, kiedy po drodze z Poznania nad Wisłą leżały biskupstwa kujawskie i płockie a nawet drogę tę przegradzało arcybiskupstwo gnieznieńskie.

Jest on téż zarazem jednym z dowodów znajdowania się wtedy Warszawy, która na samym lewym brzegu Wisły położona, wchodziła właśnie w skład dyecezyi poznańskiéj, aż do utworzenia oddzielnego biskupstwa w 1798 roku. Tym czasem tuż naprzeciwko, na prawym brzegu, wyraźnie późniejsza Praga, aczkolwiek należąca także do ziemi czerskiéj, zaczynała dyecezyę płocką.

Czyżby obejmowano pustą nie zaludnioną stronę i wcielano do piérwszéj dyecezyi w kraju?

A że taką nie była, przywiedliśmy dowody bezspornych śladów siedzib ludzkich przed chrześciaństwem.

Nadto są także podania i niektóre dane odnoszące się i do téj właśnie epoki.

Wiadomo z historyi jak wszędzie prawie tak i w dawnéj Polsce piérwsze kościoły przy zaprowadzeniu chrześciaństwa nosiły tytuł Ś. Jerzego patrona rycerzy. I piérwszy kościół parafialny w Warszawie był pod wezwaniem tego świętego. Stał w tém miejscu gdzie teraz jest posiadłość pod nr. 1766, przy ulicy ztąd Świętojurską zwanéj. Parafią zarządzali księża kanonicy regularni, podobnież piérwsi w kraju zakonnicy przez Mieczysława I sprowadzeni. Byli oni aż do naszych czasów pod zwierzchnictwem opactwa czerwińskiego założonego w r. 1060 i usadowieni tutaj od niepamiętnych wieków. Urzędowa albowiem wizyta odbyta w roku 1548 przez ks. Pawła Lipskiego opata, opisuje że według istniejących wtedy dowodów, kościół stał już w tém miejscu i należał do zakonu w r. 1133 a zatém był jeszcze dawniejszym (1).

Położenie jego za murami Warszawy (*extra muros Varschoviae*) bo tak go zawsze w najdawniejszych aktach czerwińskiego klasztoru tytułowano, a nie wewnątrz tychże, objaśnićby można jedynie podaniem o innéj piérwotnéj posadzie miasta, kiedy był budowany. Inaczéj trudno zrozumieć dla czego najstarsza świątynia chrześciańska i piérwsza parafia znajdowała się opodal od środka głównéj osady i była nieobjęta w jéj obwód obronny (2).

W innych znowu aktach klasztornych zapisana jest wiadomość o ks. Augustyanach, pełniących obowiązki w r. 1212 kape-

(1) Akta b. Kom. Spr. W. i Duch.

(2) Dyplomataryusz Opactwa w Bibl. Ord. Zamoyskich.

lanów Książąt Mazowieckich przy tutejszéj kaplicy zamkowéj (1). Z téj znowu powstał łączący się z nim zawsze kościół Ś-go Jana, zamieniony następnie na główną parafię, zapewne przy rozszerzeniu miasta lub po przeniesieniu na dogodniejsze miejsce. Że zaś kanoników regularnych mających ustawę Ś-go Augustyna zwano dawniéj Augustyanami, ostatnie zatém podanie zgadza się z istniejącym już poprzednio klasztorem Ś-go Jerzego. Potwierdzałoby także zamieszkanie tutaj księcia Konrada I-go panującego udzielnie na Mazowszu, któremu przyznawano wzniesienie zamku i zabudowanie miasta. Nie byłoby przeciwne i historyi opisującéj wyprawy jego wojenne prowadzone z pogańską Litwą i Prusakami, kiedy ci w srogich napadach w latach 1217 i 1222, przebiegłszy z ogniem i mieczem całe Mazowsze, w popiół i perzynę wszystko obrócili; samych kościołów i kaplic 250 złupili i spalili (2). Było więc państwo Konrada dobrze osiadłe i zabudowane i Warszawa mogła wtedy uledz zniszczeniu.

Jakoż są podania o kilkakrotnych napadach Litwinów i spaleniu jéj w témże stuleciu. Zdarzyło się to jeszcze w r. 1250, kiedy kościół parafialny Ś-go Jana odbudowany, w jedenaście lat potém pogorzał, co przypada za rządów Ziemowita I w r. 1261 (3).

Zresztą milczą podania i dyplomata, tém bardziéj kronikarze i historycy.

Snadź ani ludnością swoją, ani znaczeniem w narodzie, ani téż nareszcie ważném w niéj saméj lub jéj okolicach zaszłém zdarzeniem, nie zwracała na siebie uwagi.

Wprawdzie Bartosz Paprocki heraldyk XVI wieku, przywodzi przywileje Konrada I podpisane w Warszawie w latach 1224 i 1241. Cóż kiedy się pokazało że piérwszy wydany został w Czersku, jak przekonywa oryginał w prywatnym ręku i cztery odpisy tegoż znajdujące się w archiwum głównem w Warszawie. Drugi dotąd nieodkryty, zapewne będzie tegoż samego pochodzenia.

Natomiast głośne są w kronikach polskich i ruskich wypadki w Ujazdowie, historycznie udowodnione, kiedy w roku 1262 mieszkającego tam księcia Ziemowita syna tegoż Konrada, w przeddzień Ś-go Jana Chrzciciela napadli Litwini i Rusini i mszcząc się za przychylne jego stosunki z Krzyżakami, głowę ścięli, syna zaś jego Konrada do niewoli zabrali (4).

Podobne napady na Mazowszu niemal co rok się zdarzały. Niszczyli oni w najsroższy sposób najbliższe okolice, mianowicie w latach 1263, 1264, 1268, 1269 i 1277; według opisu kronikarzy.

(1) Kronika klasztoru OO. Augustyanów ks. Alipiego Niedzielskiego w rękopiśmie.

(2) Duisburg kronika C. II p. 193. Scriptor r. Prussic I p. 34.

(3) Kurowski o kościele Ś-go Jana, 1841 p. 8.

(4) Latopis Ipatiewski str. 200, Długosz I p. 766 i w i.

Powtórnie w czasie nieporozumień między Konradem i Bolesławem, synami tegoż Ziemowita, występuje znowu sam tylko Ujazdów w r. 1283. Który to wypadek najobszerniéj opowiada latopisiec Hypacowski. Tą razą jednak zdaje się przez omyłkę wziął Warszawę za Ujazdów, pisze bowiem w następnych słowach:

„Bolesław wsparty posiłkami Leszka i Władysława zgromadziwszy wojowników, poszedł przeciwko swemu bratu Konradowi do miasta Jazdowa. Lecz Konrad tam się nie znajdował, przystąpili więc i zdobyli je. Prawo zaś było takie u Lachów, aby czeladzi i sług nie imać, ani nie zabijać, lecz złupić. Zająwszy tedy miasto zabrali ztamtąd wiele towaru i mieszkańców złupili. Nie darował tego Konrad, i ze swéj strony szukał pomocy u kniazia Włodzimierza ruskiego swego krewnego. Otrzymawszy ją zemścił się nad Bolesławem i obległszy ulubione jego miasto Gostynin, zdobył go, złupił, spalił i ludzi wyciął. Poczém zadowolony wrócił z czcią wielką do swego miasta Jazdowa, włożył na skronie wieniec zwycięzki zrzuciwszy z siebie hańbę za przyczyną brata swego Włodzimierza (1)."

Widocznie mowa o Warszawie, nie o wsi Ujazdowie, która wtedy i przedtém nie była miastem, chociaż miała dwór książęcy.

W ślad za tém idą znane dyplomata tegoż księcia Konrada z których jeden z r. 1288 czyli we trzy lata po opisanym wypadku, datowany jest we dworze w Jazdowie *(in curia nostra Jasdowo)* (2). W drugim zaraz następnego 1289 roku wydanym w Błoniu, oznaczone jego położenie w obwodzie warszawskim *(in districtu Varszaviensi)* (3). Daléj w sześć lat późniejszym dyplomacie roku 1295 jego brata księcia Bolesława wymieniona już ziemia Warszawska (*terra Varsoviensi.*) (4).

Skoro tedy jest obwód, potém ziemia, to musiało być jednéj i drugiéj naczelne miasto. Gdzie bowiem ziemia, tam koniecznie znajdował się zamek, *castrum*, albo gród, *castellum*, które zawsze dopiero od nich nazwisko swoje przyjmowały (5). Są to pewniki udowodnione już przez historyą.

Suche te napozór daty pokazują także wyraźnie organizowanie się podziałów miejscowéj przestrzeni z mniejszéj na większe, kiedy z Ujazdu Warszawskiego zwanego po łacinie obwodem *(districtus)* wzrasta ziemia (*terra*) objawiająca już wyższy wyrób społeczny. Nadto ostatni dyplomat posuwa wyżéj o lat kilkanaście zjawienie się ziemi Warszawskiéj, która miała być oddzieloną od ziemi Czerskiéj dopiéro w r. 1313, czyli po śmierci tegoż księcia Bolesława, jak dotąd utrzymywano. Tymczasem

(1) Polnoje sobranie Lietop I p. 200, 209 i 210.
(2) Kodeks Rzyszcz. I 129 i kodeks Czerwiński 79 i 80.
(3) Kodeks Mazowiecki Lubomirskiego p. 30 i Czerwiński p. 81, 88.
(4) Kod. Mazow. p. 31.
(5) Lelewel. Polska wieków średnich T. II 458—462.

znajdujemy ją za jego życia i być może przy dalszych poszukiwaniach odkryją się jeszcze wcześniejsze ślady,

O tym księciu i jego następcach historya ma już wiele do powiedzenia. Gdy umarł Bolesław, jeden z najznakomitszych Piastów swego czasu, trzej synowie jego podzielili się spadkiem ojcowskim. Średni Trojden syn Zofii córki Trojdena W. Ks. Litewskiego, otrzymał na swoją część ziemię Czerską i Rawską, po lewéj stronie Wisły, zaś Liwską z prawéj. Według nowszych badaczy wtedy dopiéro miał polubić Warszawę mały gród kasztelański i podnieść na znaczniejsze miasto zabudowaniami, tudzież troskliwą opieką. Książe sam rad zamieszkiwał w Warszawie na ustroniu, gdy się uwolnił od spraw publicznych. Przywileje swoje w niéj datował, chociaż stolicę miał po dawnemu w Czersku, o którym téż pamiętał, bo i państwo jego zawsze nazywało się Czerskiem.

Warszawa przez to wygrała w łasce książęcia że leżała obok Ujazdowa, starego historycznego zamku jego przodków. Książe Bolesław wymurował w niéj mały kościół parafialny Ś-go Jana. Trojden dwór swój murem opasał dla większego bezpieczeństwa od Litwy. Zresztą całą swoją świetną przyszłość winna Warszawa Trojdenowi. Stroił ją całe swoje życie, podnosił tak dalece, że w lat kilkanaście tego ciągłego wzrostu, miała wiele domów i wszystkie wygody życia, dwór książęcy oraz wszelkie bezpieczeństwo. Długosz mówi już o Trojdenowém mieście *Warschovia luto loco posita* (1).

Jest w tym obrazie część prawdy, ale niezupełna, gdyż ziemia i miasto pokazały się dawniejszemi. Gród także wskazują nierównie wcześniéj wymienieni w dyplomatach grododzierżcy czyli kasztelanowie pod rokiem 1307 i najpewniéj w r. 1321 (2). Przytém miasto ma już pewną organizacyę europejską zachodnią, gdyż obok tych dostojników znajdujemy podpisanego Bartłomieja Wojta Warszawskiego. Z którym to urzędem wychylają się najstarsze urządzenia na prawie niemieckiém, sięgające piérwszéj połowy XIII stulecia; o czém w następnym rozdziale mówić zamierzamy.

Wójt Bartłomiéj jest postacią dotąd mało znaną. Był to mąż powagi i nauki niepospolitéj, sławny nie tylko w kraju ale i w obczyznie. Władza jego rozciągała się w mieście i okręgu, gdzie bezpośrednio zastępował panującego. Był téż dostojnikiem nie tylko we wspomnionym obrębie, ale i w całém państwie, uważanym na równi z innemi. Ztąd widzimy jego imię podpisywane na dyplomatach różnéj treści, w liczbie świadków, doradców i dygnitarzy księcia Trojdena. Wreszcie później obok piérwszego

(1) Jul. Bartoszewicz o Trojdenie w Encykl. Powsz. Orgelbr. T. XXV str. 563.

(2) Kodeks Mazowiecki str. 48, 49, 191.

tytułu dodano godność kasztelana Czerskiego (1). Tak wysokie osobiste jego stanowisko nie może więc być z piérwszym lepszym wójtem wiejskim porównywane.

O nauce i poważaniu Bartłomieja możemy ztąd brać miarę: kiedy w roku 1339 przed papieżem Benedyktem XII wytoczona została wspomniana wyżéj sprawa między królem Kazimierzem W. i Krzyżakami o ziemię chełmińską i dobrzyńską, Warszawę zaś wybrano na miejsce do odbywania sądu, czy to z powodu wpływu księcia Trojdena, czy jako będącą najbliżéj posiadłości krzyżackich i spornych. Proces trwający jedenaście miesięcy, prowadzony przez rzymskich, polskich i krzyżackich kommisarzy, rozpoczął się i po większéj części odbywał w domu wójta Bartłomieja.

Krzyżacy podobnież może w skutek poprzednich dobrych stosunków, mieli w nim zaufanie, gdyż jemu obronę sprawy ze swéj strony i całkowite pełnomocnictwo powierzyli. Wynikało to zapewne z miejscowego zwierzchnictwa; lecz skoro wszystkie prawie obu stron akta były w jego domu sporządzane, już tém samém okazuje się jaką miał wziętość i udział w téj sprawie.

W owych aktach, mianowicie w zeznaniach i wyroku delegowanych mamy także najdawniejszy opis Warszawy. Legaci apostolscy Gothard de Carceribus i Piotr Gerwazy kanonik d'Annecy zeznają: jako miasto było piękne i dla nich dogodne, z tego zwłaszcza, bo książe Mazowiecki z licznym dworem ciągle tam przemieszkiwał. Tu sądy duchowne i świeckie odbywały się i mieszkańcy byli bezpieczni jako w miejscu murami dokoła opasaném, i sprawiedliwością słynném. Posiadało wiele domów do umieszczenia wygodnego przybywających, któremu nie zbywało na dostatkach wszelakich. Daléj są wzmianki o kościele parafialnym Ś-go Jana i o Stefanie jego plebanie, oraz o Janie kaznodzieju wikarym Warszawskim *Johanne predicatore vicario.* Drugiéj plebanii Ś-go Jerzego i jéj plebanie którym był Jan z Kalisza (*Johanne de Kaliz Plebano S-o Georgii in Warschovia*). Są przytoczeni Hanko magister szkoły (*Hancone magistro scole*), Franko dawniejszy rektor tejże (*Francone antiquo rectore scole*), Mirko podwójci (*Miroone vice advocato*), Hanko kapelan wójta (*Hancone capellano advocati*), i Jan pisarz tegoż (*Johanne scriptore advocati*), Kunad i Mikołaj złotnik mieszczanie (*Cunado, Nicolao aurifabro civibus*) i t d.

Sam akt sprawiedliwości zaczął się dnia 4 lutego 1339 roku i gdy wezwani Krzyżacy nie stanęli, zaocznie z nimi postępowano.

Wielkie życie odznaczyło wtedy Warszawę, zjechali się tutaj dostojni świadkowie, między innymi, dwaj książęta panujący Kazimierz Kujawski i Leszek Inowrocławski. Byli miejscowy biskup poznański Jan z Kępy Łodzia, sławny poeta, biskup krakowski Jan Grot, i arcybiskup gnieźnieński Janisław. Daléj znajdowało się pięciu wojewodów i pięciu kasztelanów, wielu zna-

(1) Kodeks Mazow. 49, 53.

cznych urzędników ziemskich, prałatów i opatów, szlachty bogatéj i celniejszych świadków liczono 45. Dnia 6 września ogłoszony był wyrok, ku czemu umyślnie zjechali się i zeszli wszyscy obecni i powołani do kościoła Ś-go Jana (1).

Więc stolica Trojdena to już nie byle jaka mała osada, ani wioska.

I w handlowym świecie nie mało także wtedy znaczyła, gdy ją pod tym względem uważano na równi z Krakowem, jak o tém przekonywa dyplomat królowéj Jadwigi wdowy po Władysławie Łokietku, wydany w tymże 1339 roku, upoważniający niejakiego Pawła Benedykta Węgra, do założenia nowéj osady i pobierania cła, jako położonéj na drodze handlowéj, prowadzonéj do Węgier z miast Warszawy i Krakowa (2).

Taki był stan miasta na początku XIV wieku. Po zgonie Trojdena 1341 roku, syn jego Kazimierz objąwszy rządy podniósł jeszcze powagę i znaczenie ziemi i zarazem jéj głównéj stolicy. Gdy inni poprzednio panujący nazwiska jéj nie używali, on pierwszy pisał się odtąd księciem Warszawskim. Mieszkał stale, ustanowił stolicą swych wszystkich posiadłości, urządził dwór i zamek sobie przebudował.

Wtedy Czersk zaczął iść osobno, a ziemia Warszawska oddzielnie od państwa Czerskiego stanowiła już odrębną całość. Cecha téj nowéj formacyi na Mazowszu przebija się nie w samym tytule księcia, nie w jego samodzielności i postanowieniu, ale w życiu okolicy, powiatu i księstwa. Za księcia Kazimierza zjawiają się w dyplomatach tutejsze urzędy ziemskie.

Nie dobra więc wola panującego ale życie, potrzeba, historya, utworzyła ziemię, która przedtém jako część składowa oddawna istniała. Znajdujemy teraz w ziemi Warszawskiéj oprócz dawniejszych kasztelanów, innych urzędników: stolnika, cześnika, podczaszego skarbnika i podskarbiego, łowczego i wojskiego. Jest sędzia, podsędek i prokurator, z którego powstał starosta, wskazujących urządzenie jednocześnie całego osobnego sądownictwa. Jest kanclerz i pisarz dworski oraz wielu innych dostojników księztwa (3).

Państwo posiada trzy ziemie: Warszawską główną, Sochaczewską i Wizką. Dwór książęcy jednak nazywa się warszawskim, chociaż ustanowiony dla trzech ziem, nie dla jednéj. Książe ma w Warszawie zamek i osobny dwór *Castrum et curiam*, jak wyraża nadanie czyli raczéj potwierdzenie w Warszawie 1350 r. przywilejów dla dóbr kościoła poznańskiego. Zamek widocznie dawniejszy, bo w tymże samym dyplomacie zobowiązano obdaro-

(1) Lites etc. T. I str. 16, 23, 27, 66, 382.

(2) Kodeks dypl. pol. Bartoszewicza T. III str. 202.

(3) Kodeks dypl. W. pol. str. 120 i kodeks pol. Rzyszcz. T. I 194 i 209.

wanych do przebudowania i pomagania innym, według dawnego zwyczaju (1).

W lat kilka potém, oddzielność ziemi uznaną została i przez zwierzchnią władzę. Nastąpiło to po śmierci Kazimierza 1354 r., kiedy brat jego Ziemowit III ostatni raz połączył w jedną całość wszystkie pojedyńcze państwa mazowieckie, i jako lennik Polski składał hołd w Kaliszu. Wtedy król osobnym dyplomatem nadał jemu urzędownie ziemię Warszawską z jéj powiatami i grodami, które stanowiły razem ówczesne księztwo (2 grudnia 1353 roku) (2).

Lecz w roku 1379 Ziemowit podzielił znowu Mazowsze pomiędzy trzech synów swoich: Janusza, Ziemowita i Henryka. Piérwszemu oddał ziemię Czerską, Warszawską, Liwską, Zakroczymską, Wyszogrodzką i Ciechanowską. Drugi brał ziemię Płocką, Gostyńską, Sochaczewską, Rawską i Płońską. Nakoniec najmłodszy przeznaczony do stanu duchownego, otrzymał biskupstwo płockie. Z podziału tego który nastąpił w Płocku w stolicy całego Mazowsza, widzimy że nie rozgraniczając się Wisłą Janusz wziął połowę wschodnią, Ziemowit zachodnią kraju. Ziemia Wizka zastawiona była Krzyżakom i o nią późniéj umawiali się bracia (w roku 1382), że w razie wykupu oznaczą w téj stronie granicę (3).

Skutkiem tego podziału nastąpiła dla Warszawy epoka najświetniejsza. Książe Janusz tak upodobał sobie miasto, że kiedy jeszcze ojciec rozdawał synom swoim ziemie na dzierżawy, w téj wschodniéj stronie Mazowsza, wybrał sobie Warszawę, Ziemowitowi ustępując Czerską.

Wziąwszy teraz na barki swoje ciężar rządów udzielnych, nie w Czersku ale w Warszawie urządził stolicę i odtąd cała połowa ziem mazowieckich przestała nosić nazwisko Czerskiéj i natomiast jest Warszawską. Książe zaciéra nawet pomiątki starożytne Czerska, żeby to piérwszeństwo grodu ukochanego utrwalić na zawsze. Powiększa sobie znacznie zamek, przenosi ztamtąd kollegiatę do „ludniejszego-już i zamożniejszego miasta, (*locumpopulosum*) do którego się tłum ludzi schodzi, nie tylko rodaków, ale i cudzoziemców, jako do miejsca dogodniejszego". Nadaje kościołowi dobra i hojnie swobodami uposaża (4).

Najmędrszy i najznakomitszy z książąt swego wieku, jak powiada o nim Długosz, rządząc przez lat 47, szczególnie zajmował

(1) Item volumus, ut praedicti incolae solummodo ad reaedificationem castri in Warschovia cum aliis militibus secundum consuetudinem nostrorum militum teneantur, (Kodeks Wpol. Raczyńsk. str. 119, 120).

(2) Kodeks Mazowiecki str. 69.

(3) Kodeks Mazow. str. 91 i 97.

(4) Erekcya kollegiaty ustanowionéj w r. 1402, potwierdzonéj 1406 w Archiwum Kapituły w oryginale; różniąca się od tłumaczenia w dziełku ks. Kurowskiego *Wiadomość hist. o kościele Ś-go Jana* str. 13.

się dobrem Warszawy. Wszystko też co przez długie wieki tutaj trwało, i w części jeszcze istnieje, jemu zawdzięcza.

Księztwo było wtedy najrozleglejsze na Mazowszu i liczniéj niż gdzie indziéj znajdowały się tu miasta. Ściągał on do nich ludność pod swoje berło, zacném panowaniem. Opiekę dawał zarówno ludziom i zgromadzeniom. Nadawał miastom prawo niemieckie, przyzwyczajał do samorządu; inne podnosił zamieniając z wiosek.

Nie było ani jednego któremuby nie dał jakichś przywilejów, jakich swobód, więc i stolica podniosła się najbardziéj. Położona w samym środku księztwa, szybko wciągnęła do siebie stare przedtém oddzielne osady wiejskie: Kałęczyn, Kałęczynek, Solec, i inne. Płynęła podówczas w północnéj stronie Warszawy rzeka Dżansna czyli Drna, o któréj poprzednio mówiliśmy. Pod nią osiadło na dawnéj posadzie nowe miasto, któremu także swobód nieszczędził odróżniając zupełnie od starego miasta.

Książe Janusz był wielkim kolonizatorem swego państwa. Nadał on szlachcie wiele pustéj ziemi, osadził dużo nowych włości, założył mnóstwo parafii i pobudował kościołów, miasta zaś w duchu ówczesnego postępu urządził.

Jeżeli nie sam bezpośrednio wpływał na te szczegóły zagospodarowania Mazowsza, zawsze ożywiał i podawał wszystkiemu chętną rękę, dzieląc się ze szlachtą i duchowieństwem ziemią i lasami; z mieszczanami posiadanemi prawami, czém kraj zaludniał i oświatę rozszerzał.

Wprawdzie rozwijając obszerne stanowe swobody, starał się zarazem o utrzymanie poprzedniéj równowagi, między stanami, duchowieństwem, szlachtą, mieszczanami i włościanami. Nie mógł jednakże wszystkiemu poradzić, gdyż duchowieństwo, którego powagę chciał umniejszyć, i szlachta tak jak gdzieindziéj brały górę i wyzwolone miasta odosobniały się od reszty kraju.

W postępie tym Warszawa najznaczniejszą za jego panowania odegrała rolę, korzystając z dobréj woli księcia i swego położenia, otrzymywała zwolna coraz większe swobody, które w miarę pomnażającéj się zamożności mieszkańców zbliżały ją do samorządu.

Używała oddawna prawa niemieckiego częściowo z władzą wójtowską zaprowadzonego. Lecz to podług pierwotnego zwyczaju pozostawiało miasto jeszcze na umowie czyli kontrakcie i zależności téj nigdzie łatwo się nie pozbywano.

Podobnież książe Janusz praw swoich nie odrazu odstępował i powoli, stopniowo udzielał przywileje jużto pojedyńczo, już w ogóle do pewnego czasu ograniczane. Zanim przyszło do wydania lokacyjnego, który właściwie zaprowadzał dopiéro w zupełności prawo niemieckie, ustalał miasto i samorząd powierzał.

Przywiléj lokacyjny był niejako ustawą zasadniczą i służył też za podstawę do wszystkich następnych tutaj urządzeń, na nim zawsze opiérających się aż do ostatecznego zniesienia samorządu, w końcu zeszłego stulecia.

AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITÉJ ARGIENTYŃSKIÉJ

p. D. José Màrmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(Dalszy ciąg)

(CZĘŚĆ PIĄTA).

VII.

Ballenera.

Noc była mglista lecz ciepła, rzeka spokojna, powiew świeży lecz łagodny z lekka potrącał wód fale, które przypływem wezbrane, okrywały sterczące głazy na brzegu i rozlewały się bez szelestu po wilgotnym piasku. Zaledwie niekiedy błysnęła gdzieś gwiazdka wśród szarych osłon niebieskiego stropu.

O godzinie dziewiątéj tego wieczora, wpośród statków blokujących, od boku jednéj korwety odczepiła się łódź, na któréj wypłynął młody oficer francuzki, sternik i ośmiu majtków.

Z wydętym w kłąb żaglem *ballenera* pomykała lekko i wdzięcznie, rzekłbyś nocne widziadło w powietrzu podmuchem niesione. Młody oficer rozciągnięty niedbale na ławie w tyle łodzi, od czasu do czasu pochylał się i spoglądał na małą mapkę rozłożoną u jego nóg, to rzucał okiem na ustawioną na mapce bussolę, a potém nie mówiąc ani słowa, ręką wskazywał kierunek jaki łodzi miał nadać sternik stojący u rudla. Przy mapce stała latarka, a światło jéj pozwalało widzieć karabiny majtków poukładane na dnie w poprzek *ballenery*.

Płynęli tak z godzinę. Oficer spojrzał na zegarek, baczniéj przypatrzył się igiełce, mapce i kierunkowi łodzi, poczém kazał zwinąć żagiel i wiosłami posunąć się daléj, a latarkę schował pod ławę. Górna część wioseł obwinięta była żaglowém płótnem, i zaledwie słychać było lekki plusk wody.

Światła z miasta zniknęły już zupełnie z przed oczu, a na lewo zaledwie dostrzedz można było czarne niepewne brzegów kształty. Pobrzeże wydawało się coraz to wyższe w miarę posuwania się łodzi szybszego od popychania wioseł, niż wprzód pod pędem żagla.

W końcu na skinienie oficera *ballenera* zwróciła się bokiem do brzegu, majtkowie zaledwie końcem wioseł powierzchni fal dotykali, i statek utracił o połowę chyżości swego biegu.

Wtenczas młody oficer usiadłszy podniósł latarkę, z uwagą obejrzał bussolę i wskazówki na mapce, i podniósł rękę nie odwracając oczu od planu i igły.

Majtkowie naraz zatoczyli wiosłami, i łódź stanęła jakby wrosła w wodę, wśród ciszy i ciemności. Oficer wziął latarkę między dwa kapelusze, tak, że światło padało w prostéj linii nie rozchodząc się na strony, wstał i podniósł ją do wysokości swojéj głowy zwracając światłem ku brzegom.

Stał tak kilka minut, a wszyscy upatrywali na lądzie odpowiedzi na ten tajemniczy telegraf: lecz napróżno. Oficer pokręcił głową, schował latarkę jak wprzód, i kazał płynąć.

W pięć minut odbyła się taż sama czynność, z takiemi ostrożnościami i z nielepszym skutkiem. Oficer już nieco zniecierpliwiony, znów badał mapkę, i przekonawszy się że był w stronie i na drodze wytkniętéj na planie, kazał się posunąć nieco bliżéj wzdłuż lądu żeby wyjść za wydmę zasłaniającą dalszy brzeg w tém miejscu.

W rzeczy saméj niedługo łódź ominęła mały cypel i o parę staj od poprzedniéj stacyi, telegraf w ręku oficera znowu posyłał sygnały.

Nie przeszła minuta odkąd ten tajemniczy promyk dobiegał do lądu, kiedy na najbliższéj wydmie błysnęło światełko żywsze niż sygnał które mu odpowiadało: znać od strony lądu nie zdawała się potrzebną taka przezorność jaka towarzyszyła sygnałom na wodzie.

— Otóż jest—szepnęli wszyscy w łodzi tak cicho, że ledwie jeden drugiego słyszał.

Latarka podniosła się w górę i zniżyła po dwakroć w ręku oficera, a światło na lądzie zagasło natychmiast. Była już godzina jedenasta.

II.

Około siódméj tegoż samego wieczora toczył się powóz przez plac *25 maja*, zjechał na Padół, i szybko posuwał się gościńcem w stronę północną.

Nie długo dwóch jeźdźców zbliżyło się na spotkanie powozu, i za nim o kilka kroków dalszą odbywali drogę.

W powozie siedziały dwie kobiety: jedna z nich z twarzą bladą i zwiędłą, nacechowaną suchotami duszy, które w krótszym czasie większe zrządzają spustoszenie aniżeli cierpienia organów najdotkliwsze; a obok niéj druga śliczna jak zorza poranna, czysta i delikatna jak wiosenny puszek. Obie te kobiéty przedstawiały najdoskonalsze typy z lat pomiędzy 1820 a 1830. Bowiem generacya która się w czasach trwania rewolucyi rozwinęła, tak w płci męzkiéj jak niewieściéj, pod względem moralnym równie jak fizycznym, miała swoje właściwe piętno, które się zatraciło z ową epoką. Przyjrzenie się temu zjawisku byłoby ciekawém, lecz zbyt dla nas długiém; to tylko dodamy, iż tego typu kobiéty pozostały nam tylko na portretach i w tradycyi.

Od czasu do czasu spuszczało się okno w powozie, błysnęła w niém wdzięczna główka, a już jeden z jeźdźców był przy stopniu powozu; zamieniały się krótkie, czułe zapytania i czulsze jeszcze lecz długie spojrzenia.

W jednéj z chwil kiedy okno było zamknięte, a jeździec postępował obok towarzysza, przysunął się do niego z koniem i kładąc mu dłoń ną ramieniu rzekł:

— Mamże ci zrobić wyznanie, którego rumieniłby się każdy inny?

— Czy może to żeś zakochany? Cóż u licha, i ja nim jestem, a bynajmniéj się nie wstydzę tego wyznania.

— Nie, to co innego. Wiesz ty? ja się boję.

— Ty, boisz się? Ty!...

— Tak, boję się, lecz tylko téj chwili, téj drogi samotnéj, tego ryzykownego kroku na jaki się odważamy. Ja co bezustannie narażam moje życie, co od dziecka, mogę powiedzieć, szukałem nocnych ciemności, przygód hazardownych, co się nauczyłem poskramiać dzikiego źrebca tylko dla przyjemności narażenia się na niebezpieczeństwo, co na fale naszéj rzeki bardziéj rozkołysane i rwące niźli oceanu wody puszczałem się w wątłem czółenku bez potrzeby, bez żadnéj pobudki innéj jak po to by harde stawić czoło potężnemu przyrodzeniu w godzinach jego dzikiego zuchwalstwa; ja z hartownem sercem i ramieniem silném, drżałbym jak małe dziecię, gdyby w téj chwili spotkał nas jakiś wypadek mogący zagrażać niebezpieczeństwem.

— A, to osobliwszy objaw męztwa! Na kiedyż potrzebna odwaga, jeśli nie w niebezpieczeństwie?

— Zgoda na niebezpieczeństwo dla mnie, ale nie dla Florencyi, nie dla jéj matki. Nie lękam się o to że zginę, ale o jéj łzę każdą, o straszne tortury jéj serca gdyby nam coś nagle zagroziło. Boję się tego żeby nie została sama, z dogorywającą prawie matką, w oddaleniu od ojca, bez opieki mojego ramienia, wśród téj burzy zbrodni co się nad naszemi zbiera głowami. Pojmujesz mię teraz.

— Pojmuję, ale co gorsza to żeś we mnie przeszczepił tę bojaźń o której nie myślałem: słowo daję. Prawda, można bać się, umrzéć nie przez bojaźń śmierci, lecz przez obawę o tych co przy życiu zostają.

— Tak mój Edwardzie! kochając prawdziwie, z przekonaniem żeśmy wzajemnie kochani, życie się rozdwaja, wciela w drugie życie, i umierając pozostawiamy na ziemi cząstkę nas samych i w niéj cierpimy.

— No, ależ wreszcie już dojeżdżamy: za dziesięć minut staniemy na miejscu... Biédaczka!... Twoja Florencya przynajmniéj jest z nami, ale ona tam sama od wczoraj! Ach, jak sobie pomyślę że może jutro, może pojutrze skończy się tak okropne życie jakie prowadzimy, tułacze, parye na własnéj ziemi, we własnym nawet domu!... Wiesz Danielu? zdaje mi się że jak poczuję zapach prochu, gdy ujrzę pierwszy szwadron Lavalla i we dwudziestu jak nas jest wyjdziemy z bronią w ręku, zdaje mi się powiadam ci, że zacznę w powietrze strzelać żeby proch wąchać, jeżeli ten łotr Rozas nie zechce żebyśmy mu do piersi strzelili. Czy sądzisz że będą tu pojutrze?

— Według tego jak jest w planie pochodu może nastąpić attak pojutrze. I dlatego właśnie tak nastawałem na wyjazd dzisiejszéj nocy. Znam siebie. Z Florencyą w Buenos-Aires w połowie nie będę tém czém mogę być sam zostawszy na ten raz.

— Ach, a z Amalią nie ma rady, nie chce wybrać się z niemi!...—zawołał Edward.

— Amalia ma więcéj odwagi aniżeli Florencya, i odrębny to charakter. Żadna ludzka siła nie odłączy ją teraz od twoich losów. Ty tutaj jesteś, tu i ona: to twój cień.

— Nie, to moje światło, gwiazda mojego życia!—odrzekł Edward z wyrazem chluby, w którym przebijała się ta myśl: „taki właśnie charakter pragnę widzieć w kobiecie którą ukochałem."

Przybyli wreszcie przed bramę *pustki*. Ani światełka, ani głosu żadnego, tylko szum drzew w pobliżu. Lecz skoro tylko powóz i jeźdźcy stanęli przed bramą, natychmiast się roztwarła, i nawykły do ciemności od dwóch godzin wzrok podróżnych, dojrzał we drzwiach stojące dwie postacie, kobiety i dziecka, a z po za niedomkniętéj okiennicy wysuwającą się sędziwą głowę. Stary weteran czuwał tak wiernie nad córką swego pułkownika, jak przed dwudziestu laty przy dawnéj narodowéj armii pilnował swego stanowiska na czatach w przednim posterunku.

Znużona i omdlewająca prawie pani Dupasquier znalazła wszystko przygotowane z drobiazgową troskliwością co mogło być potrzebném do wypoczynku i posilenia się. Wkrótce uczuła się pokrzepioną. Wszyscy zebrani byli w sypialnym pokoju Amalii, jedynym gdzie się znajdowało światło, gdyż okna jego wychodziły na mały wewnętrzny dziedzińczyk. Wszystkie inne pokoje z oknami od rzeki lub od gościńca, pozostawiono w zupełnéj ciemności.

Florencya bledsza była niż zwykle i serce jéj uderzało nieregularnie, jak to bywa w chwilach poprzedzających jakieś stanowcze rozwiązanie, którego pragniemy i obawiamy się zarazem. Puszczała się na krok wielce niebezpieczny: lecz w miękkiém sercu kobiety nie mieści się pamięć o sobie, gdy także w niebezpieczeństwie życie jéj matki, życie ukochanego. Do pierwszéj się uśmiechała, miłosne spojrzenie obracała na drugiego, a źrenica jéj błyszczała niebiańską serca rosą.

— Dziesiąta wnet uderzy—powiedział Daniel—pójdźmy do okien jadalnego pokoju wyglądać sygnału z *ballenery*, który powinien się ukazać niedługo. Luiza niech tu zostanie i przyniesie mi światło jak na nią zawołam.

Zasiedli po ciemku przy oknach, i rozmawiając z cicha, przez szyby wzrokiem po rzece błądzili.

W miarę jak przemijały minuty na czasu kołowrocie, rozmowa się urywała i nawiązywała z trudnością, gdyż jedna myśl całą pochłaniała uwagę: naznaczona godzina już ubiegała a *ballenery* nie widać. Pani Dupasquier nie może tu pozostać. Zbrojne starcie może nastąpić lada dzień, a trzech dni przynajmniéj potrzeba na nowe zniesienie się z francuzką eskadrą!...

— Może wiatr ich opóźnia—mówił Daniel siląc się jakimś pozorem łagodzić ogólną niespokojność, którą sam podzielał w niepomiernéj części.

Nagle Amalia wsparta na ramieniu Edwarda wyciągnęła rękę ku rzece.

— Jest, tam!

Wszyscy poruszyli się i zwrócili w jeden punkt oczy.

Daniel otworzył okno, zmiarkował odległość domu od brzegu wody, co można było poznać po szmerze fali, i przekonawszy się że światło było na rzece, zawołał Luizę, która z lichtarzem w ręku wbiegła zanim jeszcze przebrzmiało echo jéj imieniem.

Wszystkich serca biły gwałtownie.

Daniel przysunął świécę do szyby, a spostrzegłszy umówiony ruch światła z rzeki, zamknął okiennicę i rzekł: chodźmy.

Florencya drżąca była i blada jak marmur. Matka jéj spokojna i odważna, a jednak arystokratyczna obywatelka Buenos-Aires, nigdy w życiu nie byłaby pomyślała aby jéj kiedy przyszło wyprawiać się obcą łódką na rzekę w takich miejscach i o takiéj godzinie.

Gdy wyszli z domu, Daniel spostrzegłszy cień jakiś sunący w górę po wydmie, odłączył się na chwilę od towarzystwa. Był to Fermin, który z polecenia pana obszedł pobrzeże po jednéj i drugiéj stronie i zdał raport że nikogo nie widać, że *ballenera* przybiła do brzegu i woda wysoka, można wsiąść bez zamoczenia się. Daniel mu kazał natychmiast wyruszyć konno i zaprowadzić swego wierzchowca w pewne wiadome miejsce o milę daléj, gdzie miał za parę godzin wysiąść na ląd. Po téj rozmowie powrócił do

swoich już mocno potrwożonych tém nagłém jego odejściem. Uspokoił ich w kilku słowach, i zaczęli schodzić na dół.

Chłód wieczorny musiał orzeźwiać chorą, gdyż wsparta na ramieniu przyszłego syna, stąpała krokiem pewnym i odważnym. Przed nimi szła Florencya z Edwardem, a na czele pochodu postępowała Amalia prowadząc za rękę małą Luizę. Kilka razy Edward ofiarował jéj swoje drugie ramie, lecz ona chcąc innym dodać odwagi odmówiła jego prośbie. Powiadała iż jest tych stron feudalną panią i że jéj obowiązkiem zawsze być na przodzie. Głowę przykryła małą jedwabną chusteczką czarną, z końcami pod brodę związanemi; widać było tylko profil jéj zachwycającéj twarzy i oczy których blasku nie zagasiły nawet nocy ciemności.

Wkrótce przybyli do miejsca gdzie stała *ballenera* u brzegu. Przypadkiem łódź trafiła w maleńką niby zatokę rzeki. Za zbliżeniem się pań, oficer wyskoczył na ląd z galanteryą swego narodu, by dopomódz im przy wejściu na statek.

Chwila ta miała w sobie coś religijnie uroczystego, wśród nocnych cieniów, na tém pobrzeżu pustém i samotném.

Pożegnanie pani Dupasquier w tych jedynie zawarło się słowach:

— Do zobaczenia się wkrótce, Amalio.

Nikt z unitaryuszów nie śmiał powiedzieć ani nawet pomyśleć że Rozas może się utrzymać dłużéj nad ośm dni.

Ale Florencya, u któréj tak rzadko łzy przychodziły w ulgę sercu, lecz na ten raz wezbrały potokami, tuliła się długo do łona drogiéj przyjaciołki. Amalia płakała wewnątrz, we własną duszę, a smutne i złowieszcze przeczucia snuły się po jéj wyobraźni rozbujałéj a znękanéj.

Aż nareszcie Daniel odrywając Florencyę od spłakanéj także Luizy, objął ramieniem jéj powiewną kibić, uniósł i jednym skokiem postawił w łodzi, gdzie się już znajdowała jéj matka obok oficera.

Jeszcze jedno: *bądźcie zdrowi!* zamieniło się pomiędzy lądem a wodą, i na znak oficera łódź odbiegła od brzegu, skręciła ku południowi, i pomknęła wzdłuż pobrzeża z rozpuszczoném na wiatr żaglowém płótnem, i bez owych ostrożności z jakiemi się przedtém zbliżała.

Pozostali na brzegu ścigali ją wzrokiem dopóki nie znikła w ciemnościach.

Wtenczas Amalia wzruszeniami znużona, oparła się na ramieniu ukochanego, i wzniosłszy piękne oczy ku niebu, goniła po niém chmur płaty podmuchem wiatru pędzone. Edward swojego nieba w jéj źrenicach szukał.

Tak ubiegło minut kilka, kiedy nagle błysk i huk karabinowych wystrzałów w stronie gdzie łódź płynęła, wstrząsnął ich serca jakby elektryczném uderzeniem.

VIII.

Zażegnanie burzy.

Edward zwrócił głowę w stronę zkąd padły strzały, i instynktownie sięgnął do kieszeni gdzie miał pistolety. Lecz się wnet opamiętał: zrozumiał wszystko. Pojął iż dla Amalii mogło być niebezpieczném pozostać choćby minutę w tém miejscu. Silnie ją wpół uchwycił i pociągnął w górę ku domowi, mówiąc:

— Wejdźmy, wejdźmy, jak najprędzéj!

Zaledwie uszli kilkanaście kroków, kiedy na powtórny wystrzał machinalnie przystanęli i zwrócili oczy ku stronie zkąd się huk rozległ, i wtedy ujrzeli wyraźnie choć w wielkiéj odległości błyśnięcie i zaraz odgłos nowego wystrzału odbił się o ich uszy.

— Ach mój Boże!—krzyknęła Amalia.

— Nie, ten ostatni to odpowiedź z *ballenery*—odrzekł Edward ukazując białe jak kość słoniowa zęby w uśmiechu, w którym się dziwnie wyrażały zarazem zadowolenie i wściekłość.

— Ale oni mogli kogo trafić, Edwardzie?

— Nie, nie, za daleko... ale inne może być niebezpieczeństwo... nie pytaj, na Boga! chodźmy!

O kilka kroków przed domem spotkali starego Pedra, który szedł ku nim z pałaszem pod pachą, i przybijając nabój w swojéj strzelbie.

— Ach, przecież!—rzekł spostrzegłszy nadchodzących—pani, to nie jest godzina do przechadzki w tych tu stronach.

Może po raz pierwszy w życiu poczciwy staruszek zganił coś w córce swego pułkownika.

— Pedro, słyszeliście?—spytał Edward.

— Tak panie—odrzekł weteran wyraźnie w bardzo złym humorze—wszystko słyszałem i mówię że pani nie powinna...

— Dobrze, dobrze, już więcéj tego nie zrobię—przerwała mu łagodnie, rozumiejąc szczerość przywiązania starego sługi swojéj rodziny.

Gdy weszła do pokoju i zdjęła z głowy chusteczkę, Edward zdziwił się niesłychanéj bladości jéj twarzy. Usiadła na krześle, łokciem wsparta na stole, czoło pochyliła na drobną białą rączkę.

Edward przeszedł do jadalnego pokoju i po ciemku otworzywszy okno, skupił się cały w słuchu, gdyż noc stawała się coraz czarniejszą i nic nie można było już rozróżnić. Lecz nic słychać nie było.

Wchodził niekiedy do sali, gdzie Amalia w téj samćj została postawie, siadał przy niéj, pocieszał ją i uspokajał zapewnieniem, że kule dosięgnąć *ballenery* nie mogły w takiéj odległości; na jéj obawy o wylądowanie Daniela zaręczał że tenże wysiądzie na brzeg w godzinie, kiedy patrole już schodzą się do miasta.

A potém wracał znów do okna i nasłuchiwał. Pewna myśl snuła mu się po głowie i to jedynie go niepokoiło. Jakoż zaledwie ze trzy minuty siedział oparty o kratę okna, kiedy zdało mu się że słyszy od strony *Padolu* szum jakiś, który się stawał coraz głośniejszym, i wkrótce nie można było wątpić iż go sprawia stąpanie gromady koni.

Nagle tętent kalwakaty ustał, a rozróżnić się dawał szmer niewyraźny wielu głosów u dołu wydmy. A potém znów stąpanie koni.

— Ani wątpić—mówił do siebie Edward—to ten patrol co dawał ognia. Zatrzymali się pod wydmą i pewno o tym domu uwagi robili, a teraz objadą wkoło, i zajdą nam od górnéj drogi. Fatalność! fatalność! i zagryzł sobie wargi aż do krwi.

Skoro wrócił do sali, Amalia umiejąca tak dobrze czytać w jego twarzy, poznała natychmiast silne jego choć tajone wzruszenie i sama piérwsza zaczęła.

— Mów Edwardzie, ja jestem na wszystko gotowa: spodziewam się nieszczęścia.

— Ale dlaczegóż koniecznie nieszczęście przypuszczasz, — odparł zawstydzony że może cień obawy w twarzy jego dojrzała. To może być moje tylko przywidzenie.

— Nie, jest coś i chcę wiedzieć co.

— A więc to jest że dołem wydmy przeszedł dopiéro co patrol, zapewne ten sam co strzelał do łodzi: to wszystko.

— Wszystko? dobrze, przekonasz się czym nie zrozumiała tego co przemilczasz. Pedro!

Weteran zjawił się w téj chwili.

— Pedro,—rzekła—trzeba pozamykać dobrze bramy, i broń przygotować, może się przytrafić téj nocy najście na dom, lub coś podobnego.

— Już wszystko zrobione, pani — odrzekł stary—mam dwadzieścia strzałów i moję szablę.

— Edward zdumiał się temu męztwu swojéj ukochanéj, i w głębi duszy czcią był dlań przejęty, znając że to nie była wrodzona odwaga jéj organizmu, lecz męztwo miłości podniesione do wysokości ofiary. Bowiem w tych chwilach opór zbrojny, a nawet jakikolwiek opór stawiony agentom Rozasa, stawał się niechybnym wyrokiem śmierci lub wszelkiego rodzaju nieszczęść, i Amalia narażała się dobrowolnie na to wszystko, kusząc się o uratowanie kochanka.

— Nie, — zawołał zrywając się—tu nie będzie krwi rozlewu. Moje życie nie warte choćby tego tylko żebyś obecną była scenie którąby ztąd wynikła, a która w rezultacie wszystkich razem zgubi.

— Pedro, — odrzekła—proszę wypełnić moje polecenie. Edwardzie moje życie jest całe w życiu tego kogo kocham, i co się z nim stanie, to się stanie i zemną w każdym razie.

Zaledwie słowa te kończyła, kiedy na górnym gościńcu zatętniał galop koni.

Edward pobiegł do swego pokoju, wyjąwszy z kieszeni dwururne pistolety, opatrzył panewki, zabrał swoją szpadę, i wyszedł w dziedziniec po którym przechadzał się Pedro.

Przez ten czas mała Luiza w trwodze uczepiona u sukni swojéj pani mówiła do niéj:

— Seniora, ja się będę modlić; dobrze?

— Dobrze, idź moje dziecko: módl się.

— I niewinne dziewczątko uklękło przed krucyfiksem i złożyło rączki do modlitwy.

I jednocześnie rozpoczęła się piérwsza scena tego dramatu zwiastująca straszne jego rozwiązanie. Słyszéć się dał hałas blizko bramy, i brzęk pałaszy i ostróg przy zsiadaniu z koni.

Edward i Pedro przybiegli do sali któréj drzwi wychodziły na mały krużganek.

Zakołatano silnie w bramę.

— Już ułożyliśmy się obydwa,—mówił Edward do Amalii— nie otwierać, i nie odzywać się. Jeżeli się znudzą i pójdą sobie, tém lepiéj. Jeżeli zechcą wysadzić bramę będą mieli wielką pracę, bo mocna i zamczysta, a jeśli im się uda, to będą utrudzeni jak się z nami spotkają.

Stukanie do bramy powtarzało się, a potém rozpoczęło się także do okien sali i jadalnego pokoju.

— Wywalić bramę, — rzekł głos silny i chrapliwy, który już wiele razy górował nad innemi miotającemi sprosne wykrzyki przy nadaremnem wybijaniu w bramę i okna.

Pedro uśmiechnął się spokojnie oparty o drzwi od sali.

— Strzelaj w zamek, — zawołał tenże sam głos.

Cztery wystrzały uderzyły zewnątrz, a zamek upadł przy nogach Pedra, który z największym spokojem odwrócił się i przystępując do Amalii, rzekł:

— Te łotry mogą strzelać do okien, niebezpiecznie tu dla pani.

— To prawda,— dodał Edward—idźcie z Luizą do sypialnego pokoju.

— Nie, ja będę tam gdzie wy jesteście.

— Dziecko, jeżeli nie pójdziesz, wezmę na ręce, zaniosę i zamknę — odparł Pedro tonem łagodnym lecz tak stanowczym, że Amalia aczkolwiek nieco zdziwiona, nie śmiała nic odpowiedzieć i poszła z Luizą do sypialni.

Pedro i Edward stanęli pomiędzy oknami pod ochroną muru. Niebezpożytecznie okazały się te ostrożności, gdy zaledwo miejsce te zajęli, gdy szyby rozprysły się w tysiączne kawałki i kilka kul przeleciało przez salę.

Lecz tamci zewnątrz także obmyślali środki. Przekonani byli że dom zamieszkany, gdyż brama zaryglowana z wewnętrza a przez otwory przewiercone kulami widać było światło. I do ostateczności doprowadzał ich ten opór stawiany im, co nosząc muszkiety i szable byli narzędziami wszechpotężnéj Restauratora władzy.

Naraz straszliwe uderzenie, pchnięcie szalone zatrzęsło bramą; zawiasy skrzypnęły, zatrzeszczały odrzwi, zdawało się że brama cała wyskoczy, bo nawet mury się zachwiały jakby od trzęsienia ziemi.

— A! znam to! i niéma na to rady, — rzekł Pedro wychodząc z miejsca gdzie stał, i odwodząc kurek u strzelby wszedł w krużganek, a Edward za nim z zaiskrzoném okiem, z nawpół otwartemi usty, ściskając konwulsyjnie broń w ręku.

Amalia słyszała i widziała to wszystko, co się zaledwie w jednéj sekundzie stało, rzuciła się ku drzwiom, ale Luiza przyskoczywszy do jéj nóg objęła ją za kolana.

Powtórne uderzenie głuche, lecz silne i ciężkie zatrzęsło znów całym domem, i mnóstwo gruzu posypało się z odrzwi bramy.

— Nie wytrzyma trzeciego,—rzekł Pedro.

— Czémże te czarty tak walą? — pytał Edward drżący z wściekłości i pragnąc żeby już brama odrazu upadła.

— Tyłami dwóch lub trzech koni jednocześnie, — odpowiedział Pedro—tak wysadziliśmy bramę u jednych koszar w Peru.

W tejże saméj chwili, gdyż cała ta scena była szybka jak polot myśli, Luiza ściskając ciągle kolana Amalii aby ją powstrzymać, wyrzekła z płaczem:

— Pani, modliłam się do Najświętszéj Panny i Ona mi coś przypomniała: ten list... ja wiem gdzie on jest, on nas wyratuje.

— Co za list?

— Ten co to wtenczas...

— Ach tak! Opatrzność boska! to jedyny środek zbawienia: przynieś go, przynieś!

Luiza poleciała, wyjęła papier ze szkatułeczki i podała pani.

Amalia pobiegła do drzwi sali i rzekła do obu mężczyzn oczekujących w krużkanku upadku bramy lada chwila.

— Nie ruszajcie się na Boga! słuchajcie, ale się nie odzywajcie i nie wchodźcie do pokoju.

I nie czekając odpowiedzi drzwi przymknęła, przypadła do okna, odsunęła rygiel i otworzyła. Na ten łoskot dziesięciu czy dwunastu zbójców, wielu ich tam było, odstąpili bramę a rzucili się do okna i instynktowie, instynktem federalnym, lufy do krat przyłożyli.

Amalia nie cofnęła się, ani się bynajmniéj nie zmięszała, i głosem śmiałym a pełnym godności odezwała się do nich:

— Zkądże ten napad na mój dom? tu mieszkają same kobiéty, i niéma bogactw.

— Eh, przecież my nie złodzieje! — odparł jeden który roztrącając innych podszedł pod samo okno.

— Jeżeli więc to jest patrol wojskowy, nie powinieby wybijać bram *tego domu.*

A czyjże to *ten dom?* — pytał ten sam, podrzeźniając przycisk, z jakim Amalia ostatnie dwa wyrazy wymówiła.

— Przeczytaj pan, to się dowiesz: Luiza podnieś w górę świecę.

Ton Amalii, jéj młodość, piękność i zagadka tego bezpieczeństwa i pewnego rodzaju groźby jaką zawierały w sobie ostatnie jéj słowa, a w dodatku ten papier który im podawała, wszystko to w czasach kiedy każdy bał się bądź przez omyłkę, bądź innym sposobem ściągnąć na siebie gniéw Rozasa, łatwo rzuciło pomieszanie wśród napastników, którym w głowie pomieścić się nie mogło, ażeby w tym domu od lat tylu opustoszałym, znajdowała się podobna kobiéta jak ta na którą patrzyli.

— Ależ pani, proszę otworzyć, — rzekł ucinaną mową ten który list odebrał, a był to ciałem i duszą sam pan Santa-Coloma na czele swego oddziału.

— Piérwéj proszę czytać, a potém otworzę jeżeli pan będziesz jeszcze tego żądał, — odpowiedziała Amalia przybierając w mowie nieco surowości i jakby ton wyrzutu, a jednocześnie Luiza udając odważną jak jéj pani, przybliżała do kraty świecę pod szklaną kulą.

Santa-Coloma rozkładał list nie spuszczając oczu z młodéj kobiéty, która przy świetle latarni uderzyła jego wyobraźnię jakby coś zaczarowanego w tém ponurém i samotném ustroniu. Potém spojrzał na podpis listu i mocne zdziwienie odmalowało się na jego twarzy, mimo wszystko męzkiéj i przystojnéj!

— Bądź pan łaskaw głośno czytać, żeby wszyscy słyszeli.

— Seniora, jestem dowódzcą tego oddziału i dosyć na tém jak sam go przeczytam.

Co list ten w sobie zawierał, nie będzie również i dla ciekawości czytelnika obojętném.

„*Do pani Amalii Saenz de Olabarrieta.*

„Szanowna współrodaczko! Z niewymowną przykrością dowiaduję się, iż śmiano zakłócać pobyt pani na ustroniu, bez słusznych przyczyn i bez rozkazu mego ojca, który zgromiłby podobne nadużycie gdyby o niém wiedział. Sposób życia pani nie może w nikim obudzać podejrzeń, w tych tylko którzy poważają się posługiwać imieniem gubernatora dla swoich osobistych celów. Pani należysz do liczby osób które najbardziéj poważam i proszę, jako przyjaciołka o doniesienie mi natychmiast, gdyby jeszcze kiedy panią niepokojono; ponieważ, jeśli to bez rozkazu mojego ojca o czém nie wątpię, ostrzegę go o tém natychmiast, aby nienadużywano jego imienia na drugi raz.

„Bądź pani przekonaną, iż chwila w któréj mogłabym Jéj być użyteczną, będzie chwilą bardzo miłą dla téj, która pozostanie na zawsze dla pani ze szczerém uczuciem szacunku i życzliwości."

„Manuela Rozas"

dnia 23 sierpnia 1840 r.

— Seniora, — rzekł Santa-Coloma zdejmując kapelusz po odczytaniu żelaznego listu—nie miałem zamiaru wyrządzić pani przykrości, ani wiedziałem kto tu mieszka. Przepłynęła dopiéro

co tędy *ballenera* nieprzyjacielska, przypuszczałem że ztąd jacy się na nią zabrali, a że na brzegu niéma innego domu jak ten . . .

— Więc pan przyszedłeś wybić mi bramę, wszak tak? — przerwała mu Amalia -aby do reszty zgnębić ducha w mężnym Santa-Coloma.

— Ponieważ mi nie otwierali a widziałem światło... lecz proszę mi wybaczyć, nie wiedziałem że tu mieszka przyjaciółka Doni Manuelity.

— Mniejsza z tém, może pan chcesz wejść teraz i dom przetrząść? — i ruszyła się jakby szła otworzyć.

— Ach nie, seniora, broń Boże! proszę tylko o łaskawe pozwolenie, żebym jutro mógł tu przysłać ludzi dla naprawy koło bramy, jeżeli się co nadwerężyło.

— Bardzo panu dziękuję; nie potrzeba: to fraszka, a zresztą jutro mam zamiar przenieść się do mego mieszkania w mieście.

— Ja sam pójdę przeprosić panią Manuelę. Chciéj pani wierzyć, że nie miałem zamiaru . . .

— Wierzę, wierzę, i nie potrzeba przeprosin, bo z ust moich nikt się nie dowié co zaszło: omyliłeś się pan i koniec, — odrzekła Amalia łagodząc ton mowy o ile mogła w takim razie.

— Panowie, na koń! to dom federalny, — krzyknął Santa-Coloma do swoich. Jeszcze raz przepraszam panią i życzę dobréj nocy.

I odchodząc jeszcze nie włożył na głowę kapelusza.

Amalia zamknęła okno, doszła do sofy i upadła zemdlona.

IX.

Krwawa wiosna.

Już o dnia świcie ptaszęta nuciły tajemniczy hymn przyrodzenia na cześć swego Stwórcy. Jaskółka w powrocie z gorących klimatów, krążyła szybko bez celu, jak gorączkowych marzeń obrazy. Brzoskwiniowe drzewo przystroiło się za to w różowe i fioletowe gwiazdki, a w złocistéj kulce w pośrodku kwiatka utkwionéj, krył się zawiązek pysznego owocu. Nard podnosił się dumnie jak palma pustyni, a u stóp jego skromny fijołek krył się wśród szmaragdowych jego wachlarzy, zazdroszcząc mu silnych kadzideł. Hyacynt wytknął wdzięczną główkę, ażeby wiosenném odetchnąć powietrzem, a pyszna kwiatów królowa roztwierając purpurowe zwoje, piła świeże łzy jutrzenki, i łono wychylała ku porannego słońca promieniom, które swém ciepłem budziły zamknięte w niém zapachy: jak młoda piękność pozwala w swoją źrenicę ognistemu utonąć spojrzeniu co aż do serca jéj sięga, i ukradkiem pije najpiérwsze miłości czucie, które w dziewicze jéj łono, Boskie złożyło tchnienie. I na róży szkarłatne lica i na blade czoło lilii, motyl strzepywał

złoty ze skrzydeł pyłek, i znów ku niebu ulatał napawać się światłem i tęczy barwami.

Fale zaczynały się uciszać po zimowém wzburzeniu i usypiały na swoich topielach, jak namiętności zdrzemnięte na tém samém sercu, które szał ich podnieciło. Dzikie wichry *Pampy* znużyły się i opadły, a od zwrotników ciepłe powiewy bujały po strefach La Platy, obejmując panowanie w opuszczonych przez zimę królestwach.

Natura cała odradzała się na nowo, świąteczne przywdziewała stroje, oddychała nadziejami, barwiła się poezyą; jak opuszczonéj kochance wraca blask piękności, zakwitają nadzieje i radość ożyje, kiedy po długiéj nieobecności kochanka, znów tchnienie jego ciepła, owiewa jéj czoło zwiędłe od lodowego rozłąki zimna.

Po zimie zabójczéj, martwéj i smutnéj, następowała twórcza, pełna wesela, wiosna. I dla przyrodzenia całego znalazła się pieszczotka, uśmiech, obietnice . . . tylko nie człowieka.

Kwiat, pole, woda, obłoki i gwiazdy rozsiane na błękitnym Bóstwa płaszczu, wszystko udarzone życiodawczém spojrzeniem przy zajęciu berła szczodrą ręką wiosny, tak bogatéj w krainach La Platy . . . tylko nie człowiek.

Przeznaczenie jego zimne jak znak liczbowy, przykute do jego życia jak marmur do grobu, i nieuchronne jak czasu pochód, popychało go z jednego nieszczęścia w drugie, i już dlań nigdzie nadziei, tylko w jednym Bogu, a spojrzenie boskie przysłonięte znać chmurą, bo nie dochodzi do duszy i nie przyświeca jéj w téj strasznéj nieszczęść nocy.

Wiosna wschodziła dla przyrodzenia. Ale niestety! Zapachy kwiatów, woń krwi przygłuszy. Błonia utracą piękność szmaragdowego kobierca pod plamami z krwi, któréj wywabić nie zdołają lata. Strumień krwią wodę zamąci, światło dnia przyćmi się od krwi wyziewów, i gwiazdy rozsiane na błękitnym Bóstwa płaszczu, srebrne promienie odbijać będą w krwi kałużach.

Zapadł już wyrok La Platy. Żywot ich przykrępowany do dzikiego źrebca tyranii, jak nowy Mazepa, wysączy z siebie krew na długie lata, poszarpie członki wolności o ostre ciernie w puszczach zbrodni i nieszczęść. Rewulucyjne tradycye, gwiazda roku 1810, uśmiechające się wróżby 1825, postępy umysłowe wśród społeczeństwa, moralność wychowania i plemiennéj natury, charakter ludów, duch a nawet wyobraźnia, wszystko upadnie do reszty pod rozkładającą siłą takiego rządu i w takiéj szkole publicznéj, pod rządem jednéj głowy tyrana, i pod wpływem przykładu używanych przez niego środków.

Tém smutniejszy stan rzeczy, iż pozostawi zaszczepione w krwi pokoleń budzących się do życia wady właściwe ludom, co rodziły się i wzrosły pod systemem despotyzmu urągającym się człowieczéj godności: posłuszeństwo bezmyślne i ślepe, jako warunek indywidualnego bytu, a idee i potrzeby społeczne jako egzotyczne rośliny na gruncie takiego rządu.

Brak wszelkiéj spójności i zmysłu kojarzenia się doprowadził do anarchii, na któréj podniósł się Rozas, i tenże sam brak podtrzymywał tak długo ohydne jego rządy. A przedłużenie się tych rządów jeszcze głębiéj wkorzeni tu źródło złego w dziewiczą ziemię, w społeczeństwie jeszcze bez obyczaju, bez ustalonych przekonań. Tym sposobem przygotowały się na przyszłość smutne i straszne symptomata oporu, jeżeli zwrot nowy powstanie przeciw temu porządkowi rzeczy, bo tu już nie będzie walka z jednym tyranem, ale ze wszystkiemi posmakami tyranii.

Rozas wygrał bez zwycięztwa. I odtąd wszystkie dalsze zawady otaczające horyzont jego rządów, stoczyły się zwolna i same z siebie w prąd jego szczęścia, a raczéj w nieodzowną koléj dziejową, bowiem historyczne obrazy narodów pod rozbiór wzięte, nigdy nie zostają ani się nie przedstawiają niedokończone.

Rzeczpospolita argientyńska jako lud nowy, dopełniła już w piętnastu leciech swojéj epopei walk i chwały, włócznią swoją stwierdziła moc swego oręża w Ameryce i swoje istnienie w świecie jako naród. Ostatnim dział wystrzałem wypowiedziała swoje najpiérwsze pragnienia z 1810 roku, i ogniem swego prochu rzuciła ostatni błysk światła na wielki obraz młodzieńczych dni swojego bytu.

Brakowało jéj drugiego rewolucyi peryodu. I tu starły się z sobą gwałtownie dwa wielkie krańce idei: innowacya która tworzyła, i reakcya która obalała.

Gdy ostatnia górę wzięła w piérwszych zapasach, loika dziejowa nie mogła ustąpić z pola, i musiały się wypełnić wielkie ramy w tym drugim zwrocie nowego narodu. I otoż zbrodnia, zepsucie, rozprzężenie wszystkich chrześciańskich zasad, wywrót wszystkich zachowawczych podstaw społeczeństwa, wsteczność, stagnacya i odrętwienie, bezwładność i gnuśność myśli, zapomnienie tradycyi i wykrzywienie ducha narodowego do nowego porządku rzeczy, wszystko to musiało ukazać się w obrazie tyranii Rozasa. Gdyż obraz ten nie mógł pozostać w niedokończeniu, tak samo jak wszelki dziejowy ustęp, wynik naturalny z położenia istotnego i wyraźnego w narodowém życiu.

I kiedyś tam w potomnych czasach, gdy argientyński myśliciel rozchyli bluszcz osnuwający mogiłę piérwszych lat ojczyzny, aby odnaleźć krwawe napisy wypadków i pokoleń, które kołowały wśród burz jéj młodości, a z zimnym spokojem śledzić będzie prostéj filozofii naszych dziejów, nie zdumieje się z pewnością nad naszym długim i ciężkim uciskiem, bowiem on jest prawdziwym i jasnym wyrazem stanu w jakim nas zastała rewolucya. Lecz i to niemniéj pewne, iż czoło pochyli ze wstydu, że wielką postacią na obrazie tego żałobnego ustępu naszego życia, jest to postać Manuela Rozas! Bo zaprawdę, dla dziejów argientyńskich najsmutniejszém do opowiadania będzie nie to, że istniał w nich tyran, lecz to że nim był Rozas.

Rozas był tyranem ciemnym i pospolitym. Kroki jego nie dążyły do żadnego politycznego celu. Żadna myśl ważna nie była główną pobudką jego czynów. I polityczny jego żywot pozostawi po sobie tylko wstrętliwe wspomnienia.

W człowieku tym systematyczną była tylko zbrodnia. Albowiem ów tak sławiony systemat jego amerykanizmu w celu odpierania wszelkich europejskich wdzierań się pomiędzy nas, w niezmordowanéj obronie biało-błękitnéj chorągwi, to było tylko długiém kłamstwem dyktatora, wymyśloném dla rozbudzenia na swoję korzyść narodowych drażliwości: a przynajmniéj tak dowodzą dzieje własnych jego postępków.

W czasie o wiele poprzedzającym jego samochwalczy patryotyzm amerykański, a w wieku gdzie człowiek najpochopniejszy jest do porywów uczucia patryotycznego, przesadzonego częstokroć przez krwi gorącość i przez burzliwe popędy osobistego charakteru, Rozas stanął po stronie cudzoziemców w obec czynu korsarstwa, spełnionego przeciw narodowéj fladze. Po rewolucyi 1-go grudnia 1828 r. pan Venancourt dowódca sił francuzkich na tutejszych wodach napadł wśród nocy na naszą małą eskadrę. Don Juan Manuel Rozas, już wówczas występujący zbrojnie przeciw rewolucyi, napisał list do komendanta francuzkiego z podziękowaniem w imieniu wszystkich obywateli argientyńskiego narodu, którego mienił się władcą i przedstawicielem, zachęcając tudzież do zatrzymania w niewoli eskadry buntowników, i do opanowania innych statków pływających po Parana.

List ten którego dalsze szczegóły są niezbitemi dowodami jego chytrości i zamiarów pokonania rewolucyi przez obce siły na korzyść własnéj swojéj władzy, ów list wyszedł na widok publiczny dopiéro 29 grudnia 1849 roku, kiedy w Izbie deputowanych przedstawił go pan Larrochejacquelin.

Bez żadnéj wyższości ani godności osobistéj powierzał własnym podwładnym swoją poziomość i nicość, rozkazując dowódzcom wojskowym ażeby z urzędu kłamali w doniesieniach, zdwajając liczbę swoich rzeczywistych sił.

Co więcéj nadto i cynizm dyktatora do takiego dochodził stopnia, iż sam własnoręcznie i nieudaném pismem kreślił instrukcye dla kuryerów wyprawianych z Buenos-Aires w prowincye i do Boliwii, nakazując im, aby po wszystkich drogach rozpowiadali iż: „Jego Ekscellencya pracuje dzień i noc nad utrzymaniem sprawy amerykańskiéj, że już nawet i zagraniczne mocarstwa składają hołd szacunku i podziwu dla jego męztwa i talentów, że świat cały gotów poświęcić się dla niego, że każda poczta przywoziła mu listy i podarunki od królów, i że za dni niewiele pokaże się co on wart“ i t. d. i t. d.

Stał on na czele epoki życia społecznego, która z nim czy bez niego z konieczności musiała się rozwinąć w narodzie nowonarodzonym, i nie tém się wsławił że epoce téj dał nastrój, lecz że ją wstecznem pchnięciem w krańcowe wpędził koleje; a osobiście

wyniósł się tylko przez srogość swojéj duszy i przez mnóstwo okoliczności, które wiążąc łańcuch wypadków na około niego, nie były bynajmniéj utworem głowy Rozasa, ani pod jego wpływem działały. Jak oto i teraz odwrót wojsk wybawczych mógł mu otworzyć wolną drogę, po któréj tyrania kroczyć będzie aż do ostatniego swego wyrazu w rzeczypospolitéj.

Na tablicach czasu, miesiąc wrzesień 1840 roku rozstrzygał o losach ludów La Platy, i z przegraną wolności, wiosna przyrodzenia przemieniała się dla Argentynów w *krwawą wiosnę*.

Nabiegające szybko wypadki w związku z poprzedniemi, które już poznaliśmy, wykażą nam jak ohydną i przerażającą jest ta prawda.

X.

Z czterdziestu tylko dziesięciu.

Po owéj nocy w któréj federalna policya po swojemu odwiedziła *Pustkę*, i w któréj Luiza w nagrodę za swoje modły otrzymała zbawienne dla wszystkich natchnienie, następnego wieczora od ósméj godziny zaczęli się schodzić jacyś ludzie do obszernego magazynu hurtownych składów, który się stykał z pięknym kilkopiętrowym domem górującym prawie na całą *Uniwersytecką* ulicę.

Przybywający pukali w odrębny sposób, drzwi magazynu otwierały się i zamykały za niemi natychmiast.

Tam w głębi zaledwo dostrzedz się dawało słabe światło świécy, postawionéj za stosem beczek wina, i wkoło któréj gromadzili się przybysze. Pomimo znacznéj przestrzeni między tym punktem magazynu gdzie się znajdowali o ścianę od ulicy, jednakże rozmowa ich choć ożywiona odbywała się pocichu. Ostrożność takową tłumaczyła ta okoliczność, iż dom piętrowy do którego należał magazyn i z którym kumunikacya była przez drzwi w dziedzińcu, zamieszkanym zostawał wówczas przez pewną federalną rodzinę. Lecz to mogło wydać się dziwném, iż z wewnętrznéj strony owych drzwi usunięto nagromadzone przy nich stosy pak, i odśrubowano wielką sztabę w poprzek drzwi założoną; a co jeszcze więcéj nad to wszystko uwagę zwracało, były to rzędy karabinów ustawione blisko wchodu na dziedzinicc pomiędzy baryłkami wina i murem.

Wszystkie te przyrządy w takiém miejscu, w takiéj tajemnicy, w takiéj godzinie i w takich czasach, to więcéj niż potrzeba dla wyobraźni, by widziała jak śmierć igra z włosami wszystkich głów, które się tam znajdowały.

— Dziesiąta, —rzekł jeden zbliżając swój zegarek do świécy na ziemi.

— To i lepiéj, —odrzekł drugi wstając i przechodząc się.

— Zapewne, — dodał trzeci, — gdyby nie miało nic być, tobyśmy już do téj pory wiedzieli.

— Ja myślę, że wkroczenie nastąpi dopiéro o świcie, — zauważył czwarty powstając także; bo wszyscy siedzieli na beczkach na okół świécy.

— Czemuż reszta nie przychodzi?

— A wiecież ilu nas jest.

— Mnie Bello nie powiedział.

— Ani mnie Belgrano nie wspominał o liczbie w jakiéj się zbierzemy.

— Cóż zależy na liczbie!

— Tak, co zależy! Toż sądzisz pan, że tylu co nas tu jest mogą wielkie rzeczy zdziałać? — zagadnął najstarszy wiekiem ze zgromadzenia, chociaż nie wiele więcéj nad trzydzieści lat mieć musiał: w twarzy jego i postawie było cóś wojskowego.

— Ja wiem jak będzie, — odezwał się inny; — pewno Bello i Belgrano wyznaczyli kilka punktów w téj stronie miasta, i musi być umówione hasło na chwilę, kiedy opanujemy ten dom i wejdziemy na taras jak do siebie, choćby się na to okrzyknęli jego panowie, przypuściwszy że federaliści będą jeszcze mieli siłę krzyczéć za kilka godzin.

— To nieco podobne do objaśnienia, — odrzekł ów jegomość z wojskową miną. Boć wprawdzie że w dziesięciu, z tego miejsca które mamy zająć, dalibyśmy radę ugaszeniu ognia na wszystkich tarasach téj ulicy, w razie gdyby im się zachciało strzelać do Lavalla, lecz gdyby nam wypadło z okoliczności zejść ztąd i coś działać gdzieindziéj, w takim razie za mało nas jak tu jesteśmy.

— Co do mnie, czy będzie walka czy nie, umówiłem się już z czterema, zejdziemy skoro tylko pokaże się hufiec z ulicy.

— To nas jeszcze mniéj zostanie. A gdzie to pan odchodzisz?

— Do domu Rozasa.

— Czy aresztować Manuelę?

— Oh, bynajmniéj, owszem broniłbym ją od wszelkiéj zniewagi.

— I ja, i ja,—przywtórzyli inni z młodzieży.

— A cóż więc pan chcesz zrobić z domem Rozasa?—odrzekł ów najsędziwszy ze wszystkich. Sądziszże pan, iż Roziści pójdą się tam schronić?

— Nie jestem naiwnym do tego stopnia. Chcę zabrać papiery.

— A! papiery? winszuję panu takiéj zdobyczy; zdaje mi się że to tyle warte co bez lufy karabin.

— Może być niewiele warte dla wojskowych, ale dla piszących bardzo wiele, — odrzekł amator papierów nieco urażony.

— A, zapewne! ponieważ panom pisarzom zawdzięczać będziemy obalenie Rozasa; słuszną jest rzeczą, aby i oni dzieło doprowadzili do końca, — odparł ironicznie przedstawiciel rycerskiego stanu.

— Bardzo być może, iż się pan nie mylisz.

— Rozumie się! Działa strzelające gazetami wielkie uczyniłyby spustoszenia w obozie Rozasa!

— To już osobistość *caballero*.

— Ależ panowie, na miłość Boską!—odezwał się jeden który dotąd cicho siedział,—czyż to podobna że nas czterech Argientynów nie może się zejść razem, żeby zaraz nie było swarów? Jeszcze nie zwyciężyliśmy Rozasa, a już będziemy spory toczyć o to czy żywioł wojskowy mocniejszy był do zachwiania go, czy piśmienna propaganda?

— Ale bo.....

Pukanie do drzwi przerwało odpowiedź, i zwróciło uwagę wszystkich. Poszli zaraz otworzyć, gdyż zapukano jak należało, i wszyscy dziesięciu otoczyli wnet wchodzących Edwarda i Daniela. Lecz na twarzach tych ostatnich, a zwłaszcza na obliczu Daniela tak dobitnie odmalowaném było rozjątrzenie i taki wyraz bólu, że młodzi towarzysze wyczytali na nich co się działo w ich duszy.

Domniemany zdobywca papierów nie mógł wytrzymać i rzekł do nich:

— Każda z waszych twarzy jest bulletynem Rozasa, zwiastującym nam porażkę Lavalla.

— Nie, — odrzekł Daniel, — Lavalle nie został pobitym, to coś gorszego.

— Tam do lichal dotąd nie miałem wyobrażenia o niczém gorszém, — rzekł inny.

— A jednakże tak jest. Pół godziny temu jak odebrałem wiadomość, że dziś 6 września, Lavalle doszedłszy do kaplicy Merlo, rozpoczął rejteradę o szóstej po południu. Dla mnie jest to porażka naszéj sprawy na długie lata, a to ważniejsze zaprawdę niż rozbicie jednego oddziału.

Długie milczenie nastąpiło po tém objawieniu. Mróz ściął lodem krew we wszystkich sercach: takiéj wiadomości najmniéj się spodziewano.

Edward przerwał milczenie.

— Jednakże Bello nie dopowiedział wszystkiego. To prawda że Lavalle się cofnął, lecz wiadomo że idzie uderzyć na Lopeza, który go niepokoi od tyłu; a potém uwolniwszy się od téj przeszkody powróci znów żeby działać przeciw Rozasowi.

— A to rzecz jasna, —odezwał się inny. Teraz pojmuję. Ten cały strach którego nam napędził Bello, tyle tylko ma podstawy, ile odwłoka zwycięztwa na dni kilka.

— Niewatpliwie,—rzekli inni. Niezawodnie.

— Myślcie moi panowie jak wam się podoba,— odrzekł Daniel, a dla mnie to rzecz skończona. Dla powodzenia Lavalla potrzeba było koniecznie więcéj mieć na względzie stronę moralną niż materyalną siłę Rozasa. Chwila stracona. Duch odżyje w licznem stronnictwie federacyi i skoro ochłonie z piérwszego wrażenia, dziesięć razy będzie silniejszém niż my. Za dwie godziny w téj chwili, Lavalle mógł opanować Buenos-Aires. Jutro już tego

nie dokaże. Lopez go wyciągnie z naszéj prowincyi a tymczasem Rozas wystawi nowy oddział z tyłu za nim.

Milczeli znów wszyscy zgnębieni smutkiem.

— Ale trzeba udzielić innym tę wiadomość, — odezwał się nareszcie któryś.

— Jakim innym? — spytał Edward.

— Jakże! alboż w téj stronie miasta niema innego zebrania naszych?

Daniel uśmiechnął się że tak powiem okropnie, gdyż na wyrazistéj jego twarzy odmalowała się zarazem ironia i pogarda.

— Nie panowie, żadnego zebrania oprócz tutejszego niéma. Dwa tygodnie temu otrzymałem przyrzeczenia czterdziestu, późniéj zmniejszyła się liczba do trzydziestu, wczoraj już tylko dwudziestu znalazłem, a dziś rachuję was i widzę niewięcéj jak dziesięciu. A wiecież wy co to znaczy? to filozofia dyktatury Rozasa. Nasz nałóg niezgody w najoświeceńszéj części społeczeństwa, brak stowarzyszenia się do czegokolwiek, nasze życie jednostkowe, nasze odrętwienie, nasze niedbalstwo, nasz egoizm, nasza nieświadomość tego co może zbiorowa siła ludzi: to wszystko trzyma nas pod jarzmem Rozasa, i to sprawi, iż jutro nam po jednemu głowę poucina wszystkim, a nie znajdzie się czterech ludzi, którzyby sobie podali ręce dla wzajemnéj obrony. Zawsze będzie zmyśleniem wolność, zmyśleniem sprawiedliwość, zmyśleniem godność ludzka i postęp i cywilizacya także zmyśleniem, tam gdzie ludzie nie zjednoczą myśli swojéj i woli, po to żeby wszystkim być solidarnemi za krzywdę każdego, żeby się wszyscy cieszyli dobrem każdego, słowem żeby wszyscy żyli w wolności i w prawach każdego pojedynczo. Ale tam gdzie się nie znajduje nawet dwudziestu ludzi chcących połączyć los swój i życie, w dniu, który stanowi o wolności i szczęściu ich kraju i ich samych, tam z konieczności musi być rząd taki jak Rozasa, i tam on jest właściwy i na swojém miejscu. Dzięki wam moi przyjaciele, chlubne wyjątki naszego skarlałego pokolenia, które odziedziczyło po przodkach tylko ich przywary ale żadnéj z ich cnót. Dziękuję wam raz jeszcze. Teraz już niema na jutro ojczyzny jak mieliśmy nadzieję; lecz musi być za rok, za dwa, za dziesięć, kto wié! Musi być jeżeli nie dla nas, to dla naszych synów. I w tym celu od dzisiaj rozpocząć nam trzeba z innym programem pracę nieustającą, mozolną, wolno postępującą lecz owocną z czasem. Pracę wychodztwa, pracę propagandy na wszystkie strony, każdéj godziny, bez wytchnienia. Pracę oręża w poruszeniach wojennych, pracę słowa i pióra gdzie choć czterech słuchaczy użyczy nam ucha zagranicą, bo choć niektóre ze słów tych wkradną się do ojczyzny z powietrzem, ze światłem, z falą. Moja obecność jeszcze na jakiś czas potrzebna w Buenos-Aires; ale wam już tu niema co robić. Dotąd usiłowałem być tamą wychodźctwa; dziś zmiana sceny, i będę jéj pomostem. Daléj więc na tułactwo. Ale zawsze krążąc pod wrotami swojéj ziemi, zawsze w nie kołacząc. Zawsze dając uczuć barbarzyńcy, że wolności echo

nie zaniemiało; zawsze go trzymając w walce aby wyczerpywał swoję siłę, swoje środki, nawet swój terroryzm. Otóż taki nasz program na lat wiele. Wstępujemy w walkę krwi, ducha, życia. Ten z nas co drugich przeżyje, kiedy wolność odzyskaną zostanie, niech naucza swoich synów że wolność ta nie potrwa długo, jeżeli społeczność nie będzie jednym mężem do jéj obrony, że miéć nie będą ojczyzny, swobody, ani praw, ani religii, ni cnót publicznych dopoki duch zjednoczenia nie wytępi raka indywidualizmu, który był i jest sprawcą nieszczęść naszego pokolenia. Uściskajmy się, do widzenia na obczyznie!

Łzy płynęły po twarzach wszystkich, tak niedawno jeszcze rozjaśnionych nadziejami, marzeniem o wolności i zwycięztwie ... i po chwili w tém miejscu bolesnego rozczarowania, pozostał już tylko jeden dla pochowania broni i pozamykania drzwi.

I my zamkniemy ten smutny rozdział, w którym *powieść* była najrzeczywistszą *historyą;* gdyż zebranie takowe i w takichże okolicznościach miało w istocie miejsce dnia 6 września 1840 roku.

XI.

Prawo głodowe.

Niepodobieństwem jest dać poznać w pobieżnych powieści szkicach stan ogólny Buenos-Aires, po cofnięciu się wojska oswobodzicieli.

Umysły nie mogły przyjść do siebie z odurzenia w jakie wprawiła je ta wiadomość: dręczyła je straszliwie walka gorączkowa nadziei z rozczarowaniem. Jeszcze się spodziewano z każdym tygodniem, z każdym dniem co mijał, powrotu Lavalla ku Buenos-Aires po pobiciu Lopeza. A tę nadzieję podtrzymywały gazety i listy z Montewideo, przybywające kontrabandą dwa lub trzy razy w tygodniu.

Pisma te kréślone z namiętnością i zapałem, wytrwałością i fantazyą, jakie tylko w rzadkich chwilach życia narodowego daje się spotykać, jak rozpalone żelazo spadały na stygnący umysł. I na mocy faktów fałszywych, wymyślonych szczegółów, przypuszczeń bezzasadnych, wyrabiała się w wielu stanowcza wiara, nadzieja niezachwiana.

Terroryzm wszystko pokonał.

Rozas posiadając klucz do zagadki swego rzeczywistego tryumfu, myślał już tylko jak zemścić się nad przeciwnikami, i jak do reszty znękać i pobić ducha ogółu ciosami terroryzmu. Ręka jego zerwała groblę, a mashorka rozlała jak krwawy potok.

Ludność osłupiała, a w panicznym strachu szukała ocalenia i ratunku w najbłachszych pozorach.

Mniéj niż w przeciągu tygodnia miasto całe umalowało się na czerwono. Mężczyzni, kobiéty, dzieci, wszyscy z pędzlem w ręku,

malowali bramy, drzwi, okna, kraty, zewnętrzne gzymsy, całemi dniami a często aż poźno w noc. I kiedy jedna część rodziny tém się zajmowała, druga obwijała, ukrywała, wymazywała lub niszczyła co tylko wewnątrz domu mogło mieć prążkę błękitną albo zieloną. Była to praca duszy i ciała od świtu do świtu, a jednakże nikomu nie zapewniła bezpieczeństwa jakiego w niéj szukano.

Większa część domów pozostały bez służących. Miasto zamieniło się jakby w cmentarz. Tylko z tarasu na taras, albo przemykając się chyłkiem z domu do domu, sąsiedzi udzielali sobie wzajem wiadomości o czynach *mashorki.*

Przesławny ten klub morderców przebiegał ulice dniem i nocą, strasząc, zabijając, rabując, a jednocześnie w *Santos-Lugares*, w więzieniu i po koszarach komendantów Marinio i Cuitinio wtórowały jéj do chóru jęki konających ofiar.

Wejście *mashorki* do jakiego domu przedstawiało szatańskie widowisko zgiełku, brutalstwa i zbrodni, jakiego nie znajdzie się przykładu w dziejach najsroższych barbarzyńskich tyranów.

Wpadali gromadami po ośmiu, dziesięciu, dwunastu. Jedni zaczynali wybijać szyby wśród krzyków; drudzy zajęli się ciskaniem w dziedziniec porcelany i szkła, także krzycząc: inni rozbijali szafy i komody. Ci z pokoju do pokoju, z dziedzińca w dziedziniec gonili bezbronne kobiéty, smagając je wielkiemi batogami, rzucali je na ziemię i włosy nożami ucinali; a tymczasem tamci jak psy wściekłe szukali pod łóżkami i po wszystkich kątach mężczyzn, panów domu, i jeżeli znaleźli mordowali ich lub wywlekali na ulicę aby tam morderstwa dokonać. I wszystko to wśród hałasu, zgiełku i wrzawy piekielnéj, do któréj łączył się płacz dzieci, niewiast jęki, i ostatnie chrapanie ofiary.

Po sąsiedztwie rozbiegał się popłoch: i Bóg tylko jeden zna te modły, które przed tron Jego niosły matki tulące w objęciach drobną dziatwę, dziewice wzywające opieki dla swojéj niewieściéj cześci, miłosierdzia dla ojców, litości nad mordowanemi!

Postrach już nie miał granic. Duch był zgnębiony, upadły, zabity. Przyrodzenie uczyniło rozbrat z sobą samém. Ludzkość, spółeczeństwo, rodzina, wszystko się rozlutowało, rozerwało.

Przytułku nie było nigdzie dla nikogo.

Drzwi zamykały się przed bliźnim, przed przyjacielem, przed krewnym, i ofiara biegła przez ulicę, kołatała do domów, do klasztorów, do zagranicznych ambasad, a dłoń konwulsyjna i blada dotykała jéj piersi i drżący głos mówił:

— Nie, nie, na Boga, przyjdą tu i zginiemy wszyscy. Nie, precz! precz! i nieszczęsny oddalał się, biegł, błagał, a nawet ziemia się nie roztąpiła by go we wnętrznościach ukryć. . .

Najdawniejsi szczerzy federaliści, jedni ministrowie, drudzy deputowani, generałowie, urzędnicy, drżeli także. Nikt nie wiedział czy głowy rzucone na traf losu, czy téż sporządzona została lista męczeńska i oddana w ręce *mashorki.*

Nie był to cios nagły, doraźny, jak Sycylijskie *nieszpory*, jak *jutrznia* Ś-go Bartłomieja. Ten był długo trwały i odtwarzał się z coraz to straszliwszą i dzikszą srogością, a duch coraz głębiéj w otchłań grobową zapadał, bo życie zagrożone każdym słońca wschodem, każdém uderzeniem godziny.

Lecz nóż nie mógł całéj dosięgnąć rodziny: matka, niemowlę, dziewica, nie umierały. Setki ludzi uchodzili śmierci. Zemsta Rozasa nie była zupełną a tak być nie powinno. Potrzeba ciosu któryby spadł na życie wszystkich, na wszystkich los, któryby dosięgając wszystkich, nateraz i w przyszłości ich zabił.

I wśród szlochania, przestrachu i śmierci, przy błysku sztyletów *mashorki*, lud Buenos Aires czytał barbarzyński dekret z 16 września 1840 roku, który oddawał na pastwę nędzy i głodu wszystkich którzy byli albo których Rozas chciał aby byli unitaryuszami.

W jednéj chwili tysiące rodzin spadało z dostatków w ostateczną nędzę, zmuszone w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu żebrać przytułku i kąska chleba, wyrzucone z własnych domów, obdarte nawet ze sprzętów i z najkonieczniejszych do życia przedmiotów. Bowiem wszystkie „dobra ruchome i nieruchome, prawa i akcye jakiegobądź rodzaju, należące do unitaryuszów podpadają konfiskacie“ — opiewał ów dekret, który był jawnym rozbojem na wielkim gościńcu.

Pod miano unitaryuszów podciągnięto nietylko wychodźców, nie tylko działających jawnie lub skrycie przeciw dyktaturze; lecz mnóstwo ludzi najspokojniejszych, najzupełniéj niewinnych, nawet cudzoziemców którzy się do niczego nie mięszali: wszystkich co nie pracowali dla Rozasa.

Nie stanowiło wyjątku mienie żon, dzieci, i t. p., nie znalazły uwzględnienia nawet prawa wierzycieli, spólników, lub kogokolwiek trzeciego. Był to prawdziwy rabunek majątków dopełniony w sposób jak najbardziéj samowolny i brutalny. Jakież sądy lub władze wyrzekały o winie podciągającéj pod kategoryą dekretem objętą? Tylko sam Rozas. Jakież śledztwa i przekonanie o zbrodni poprzedzało wykonanie wyroku? Żadne.

W taki to sposób prawo własności pogwałconém zostało przez tych którzy mieli bezczelność mianować się sami restauratorami i obrońcami praw. Montesquieu, Constant, Guizot i tylu innych szanownych publicystów mogli się nie trudzić wykładaniem swoich zasad. Restauratorów La Platy przeznaczeniem jest oświecić ludzkość w prawdziwéj socyalnéj doktrynie.

Dekret ów sam jeden zawierał w sobie więcéj nieszczęść i łez więcéj aniżeli cały długi szereg przestępstw Rozasa. Ludność oko w oko ze śmiercią nie mogła sobie na razie zdać rachunku z całéj doniosłości tego wyrafinowanego aktu zemsty.

I przez ten czas gdy ona w dreszczach i konwulsyjnych targaniach, pomiędzy sztyletem, głodem, rozpaczą i strachem, wojsko wybawcze za Lopezem w pogoni, oddalało się, i oddalało na zawsze:

a ludność tułacza na drugim brzegu La Platy rzucała się w objęcia nowéj nadziei z przybyciem do Montewideo vice-admirała Mackau: i ta nadzieja miała się aż nazbyt prędko rozprószyć.

Przybywszy do Montewideo pan Mackau objawił chęć poznajomienia się gruntownie z kwestyą i jéj położeniem; otrzymał obszerne objaśnienia stwierdzone autentycznemi dokumentami od pana Buchet Martigny; mnóstwo osób prywatnych wysłuchał pozornie z zajęciem i uwagą; odebrał akt opatrzony bardzo wielką liczbą podpisów, a wyrażający myśl i pragnienia ludności francuzkiéj w tych krajach.

Lecz pod pozorem roztropnéj ostrożności jakiéj położenie jego wymagało, nigdy otwarcie nie objawił żadnéj swojéj myśli, nawet przed ministrem stanu oryentalnego rządu. Odezwanie się admirała zawsze się kończyło na takich lub podobnych słowach: „Stanowisko moje wielce jest drażliwe; moje sympatye nader są żywe dla spraw oryentalnéj i argientyńskiéj; trzebaby serca nie miéć żeby ich nie czuć: uczynię dla nich co tylko da się pogodzić z mojemi obowiązkami“ — Do takich frazesów dołączył się niekiedy objaw niezbyt pospolity w dyplomacyi, wzruszenie i łzy admiralskie!

Jednakże pomimo tych czułości, pełnomocnik francuzki dawał do zrozumienia, iż ani rzeczypospolitéj oryentalnéj, ani wojsk zostających pod rozkazami generała Lavalle, Francya nie uznawała za sprzymierzeńców, przyjmując w nich tylko pomoc trafunkiem sobie nadarzoną.

Ale wychozdtwo odzywało się głośno, że Oryentale i Argentyni mają prawo do pomocy ze strony Francyi aż do zakończenia sporu z Rozasem, odwołując się do sprawiedliwości, do honoru, względów przyzwoitości.

Admirał miał się udać do Buenos-Aires w pierwszych dniach października; i tam się znów rozbija ostatnia nadzieja téj chwili o nowy dla Rozasa tryumf. Lecz chociażby nawet ostatnie słowo tych negocyacyj niekorzystném było dla Rozasa, nie w mocy jego zatamować krew w otwartych żyłach nieszczęsnego ludu.

Rokowania francuzkie już tylko nadzieją były dla wychodźców; dla mieszkańców Buenos-Aires nie było innéj nadziéj jak w Bogu.

Więzienia się przepełniały, ulice krwią broczyły, ognisko domowe pogwałcone.

Matki chciałyby synów wrócić do łona, które je na świat wydało.

Każde spojrzenia na nich ojca było pożegnaniem duszy, przedśmiertném błogosławieństwem, bo każdéj chwili mógł być w pośród nich zamordowanym.

Powietrze i światło niosły do Boga niewysłowioną modlitwę całego narodu, nad którego głową śmierć rozpostarła szerokie, czarne skrzydła...

XII.

Przytułek angielski.

W niewiele dni po owéj nocy nadziei i rozczarowań dla dziesięciu młodzieży zebranych w magazynie przy *Uniwersyteckiéj* ulicy, powóz ciągniony przez dwa ogniste rumaki zatrzymał się przed willą pana ministra Jéj Kr. Mości W. Brytanii.

W przejeździe ekwipaż ten zwracał na siebie niepomału uwagę widzów i słuchaczy, bowiem w dniach tych federalnego republikanizmu, powozy bywały pochowane, a większa część koni ofiarowane Restauratorowi, lub federalnie postrojone.

Woźnica otworzył drzwiczki i wysiadło dwóch mężczyn. Jeden z nich wszakże pozostał chwilę z nogą na stopniu, i z połową postaci pochyloną wewnątrz powozu gdzie się rozmówił półgłosem z kimś, co się nie ruszył z siedzenia na którém przyjechał.

— Pamiętaj-że pan dokładnie wszystko, — mówił wysiadający, — a za powrotem zastaniesz nas tutaj.

— Dobrze, — odparł siedzący, — lecz jeśli mię ojciec Gwardyan zapyta. . . ?

— Już powiedziałem panu sto razy. Nie odpowiadać wprost na żadne pytania. Chodzi tylko o to czy zechcą lub nie przychylić się do prośby, za jakąbądź cenę; pieniędzy nie żałować: oto i wszystko.

— I koniecznie ma być on moim siostrzeńcem?

— Albo synem.

— Co téż ty mówisz! moim synem! ja, co . .

— No to kuzynem, chrzestniakiem, czém sobie pan chcesz.

— Niech-że Bóg będzie natchnieniem moich kroków!

— A zwłaszcza słów pańskich. Za małą godzinkę powrócisz pan. Do widzenia, kochany professorze.

— Bądź zdrów, Danielu, bądź zdrów.

Młodzieniec zamknął drzwiczki, dał znak woźnicy którym nie był kto inny jak wierny Fermin, i powóz odjechał.

Pan Mandeuille był u siebie, i Daniel wraz z towarzyszem zostali wprowadzeni do salonu gdzie właśnie zapalano światło.

Minister wszedł ze zwykłém sobie obliczem pełném dystynkcyi i świeżym pomimo lat, w zapiętym surducie, w batystowych mankietach spadających na białe i wypieszczone ręce, i z ową trudną łatwością obejścia, jakiéj się tylko w ciągłém obcowaniu z wyższém towarzystwem nabywa, podał rękę Danielowi mówiąc:

— O, co za szczęście! Nigdy sobie nie wyobrazisz panie Bello, jakim zaszczytem, jaką przyjemnością dla mnie jest bytność pańska w moim domu.

— Panie Mandeville, — odpowiedział młodzieniec ściskając podaną sobie dłoń dyplomaty, — nigdy nie udzielam zaszczytu

i przyjemności tylko w zamian za wielki zysk w téjże saméj monecie. Mam przyjemność przedstawić panu mojego dobrego przyjaciela, pana Belgrano.

— A! pan Belgrano; już dawno pragnąłem go poznać. A to prześliczny wieczór wyprawiasz dla mnie prawdziwie, panie Bello.

— Za szczęście sobie poczytuję, — rzekł Edward, — iż nazwisko moje znaném jest panu Mandeville.

— Cóż pan chcesz? jam już stary, a lubię nadzwyczajnie towarzystwo pięknych pań Buenos-Aires, i od nich się uczę na pamięć wszystkich nazwisk czoła tutejszéj młodzieży.

— Każdy wyraz pański jest wielce pochlebną grzecznością, panie Mandeville, — odpowiedział Edward, nie wiedząc sam jak się wdrożyć w tę wyszukaną grę jedwabnych słówek, która stanowi jeden z głównych przywilejów towarzystwa wytwornych salonów i dyplomacyi europejskiéj, a która niewłaściwą była ani charakterowi ani nawyknieniom młodego Argientyna.

— Nie, nie, nic tylko sprawiedliwość, panie Belgrano. Nam starym nie długo już przyjdzie zdać Bogu rachunek z naszych postępków, każdemu z nas zatém szczególniéj trzeba się starać być zawsze sprawiedliwym i rzetelnym. Panie Bello, widziałeś pan dzisiaj Manuelitę?

— Dzisiaj nie, panie Mandeville.

— A, cóż to za czarujące dziecię! Nigdy nie mogę się z nią dosyć nagadać i napodziwiać. Nie jednym się zdawać może iż moje wizyty mają polityczne cele przy Jego Ekscellencyi; a to wcale co innego: ja w towarzystwie téj niepospolitéj panienki szukam jakiegoś rozjaśnienia dla umysłu interesami przygniecionego. W Londynie panna Manuela robiłaby furorę.

— A jéj ojciec? — spytał Edward, na którego jakby policzek spadło spojrzenie Daniela.

— Jéj ojciec.... pan generał Rozas.... widzisz pan w Londynie....

— W Londynie zdrowie nie służyłoby panu Gubernatorowi,— podchwycił Daniel dla wyprowadzenia ministra z kąta w którym go przyparł jego przyjaciel.

— O, klimat londyński szkaradny! Byłeś pan w Europie, panie Belgrano?

— Nie, panie; lecz mam zamiar podróżować w niéj przez lat kilka.

— A prędko?

— Nie tak prędko jak nam tu przybył pan Mackau, — rzekł Daniel chcąc dać nowy zwrot rozmowie dotąd tak nietreściwéj.

— Jakto! to przybył vice- admirał Mackau?

— To pan o tém nie wiedziałeś?

— Słowo daję. Tutaj?

— Nie, do Montewideo, przedwczoraj o pierwszéj.

— I wié o tém już Jego Ekscellencya?

— Skoro ja wiem, jakże można przypuszczać żeby nie wiedział pan gubernator.

— A prawda, prawda. Lecz dziwna to rzecz że Komodor nic mi nie doniósł... Takim sposobem wchodzimy w kryzys — mówił Mandeville bawiąc się paznogciami, jak miał zwyczaj kiedy go jakaś myśl zajmowała.

— Jest i cóś lepszego.

— Czy jeszcze jaka wiadomość ważna?

— Bagatelka, panie Mandeville. Wszak wiadomo panu że dotąd wszyscy mniemaliśmy iż wyprawa francuzka przybędzie w nieprzyjaznéj postawie?

— No tak, a więc cóż?

— To tylko że zjawiła się z zamiarami całkiem pokojowemi.

— A! to bardzo szczęśliwie!

— Dla nas tu.

— Dla wszystkich, panie Bello.

— Tylko nie dla kwestyi wschodniéj. Jeden kłopot z głowy Francyi, to jest jedna zawada więcéj dla europejskiego pokoju w téj chwili.

— To być może po części.

— Właśnie mówiliśmy o tém z panem Belgrano, iż gdyby Anglia miała jaki w tém interes aby zatrudnić Francyę tą sprawą La Platy, dziś miałaby do tego pyszną sposobność.

— Jednakże... jeżeli baron de Mackau ma instrukcye do uprzątnienia tych zajść na wszelki przypadek, przyznam się panu iż nie widzę jakby Anglia mogła zapobiedz tym układom, w przypuszczeniu czysto fantazyjném, iżby w tém miała jakowy interes.

— Tutaj nie, lecz we Francyi mogłaby przeszkodzić potwierdzeniu traktatu, wytknięciem nieformalności, któréj nie dostrzegą we Francyi, a ktora popsułaby wszystko, gdyby gabinet angielski oświecił o niéj opozycyę i nad tém popracował. To jest obawa o któréj właśnie rozmawialiśmy z panem Bello, — rzekł Edward.

Mandeville przenikliwém okiem wodził z jednego na drugiego, chcąc pochwycić myśl tych młodych ludzi, która mu się ciągle wymykała.

— W czémże-by to mogła być nieformalność? — zapytał dobrodusznie.

— Ni mniéj, ni więcéj, jak w podpisie pana gubernatora.

— Jakto?

— Oto unitaryusze w Montewideo mają zrobić panu Mackau przedstawienie, które do pewnego stopnia silnym może być argumentem, że podpis gubernatora jest nieprawdziwy. Wyobraź sobie pan jak oni rozumieją: że admirał Mackau choćby miał polecenie do układów, to niema z kim traktować, gdyż Rozas nie jest rządem, ani żadnego nie posiada pełnomocnictwa do układania się w imieniu argientyńskiego narodu.

— Jednakże jest to rząd *de facto*, — odrzekł Mandeville, — anbassadora nie jest rzeczą sprawdzenie jego legalności.

— Na ten argument odpowiadają unitaryusze, iż admirał mógłby z generałem Rozas jako z prostym gubernatorem prowincyi Buenos-Aires robić układy tyczące się li tylko prowincyi Buenos-Aires; lecz jeżeli przybywa w celu traktowania z rządem przedstawiającym na zewnątrz władzę całego państwa, to taki rząd w téj chwili nie istnieje.

— W tém jest może nieco słuszności, w istocie,—rzekł Mandeville z roztargnieniem.

— Unitaryusze utrzymują, — mówił daléj Daniel, — iż prowincye argientyńskie nigdy nie udzielały pełnomocnictwa do spraw zagranicznych rządowi Buenos-Aires raz na zawsze; lecz tylko wyłącznie gubernatorowi obieranemu w legalnych peryodach. Że generał Rozas mianowanym będąc na lat pięć, te już się spełniły w marcu roku bieżącego, a zarazem skończył się termin jego upoważnienia od prowincyi. Potrzebaby odnowienia mandatu a tymczasem tenże został mu odjętym przez tych właśnie, którzy mu go nadali.

— Coś nie coś o tém czytałem w dziennikach z Montewideo, — odparł Mandeville coraz bardziéj się zamyślając.

— To jest czytałeś pan dokumenta urzędowe w gazetach.

— Nie tak właściwie dokumenta . . zresztą nie przypominam sobie dobrze.

— I ja także nie zupełnie, ale zdaje mi się że tam były pod datami kwietnia i mają wszystkie proklamacye Izb każdéj prowincyi, któremi one odbierały generałowi Rozas pełnomocnictwo do spraw zagranicznych. I ztąd wykazują unitaryusze, że z czternastu prowincyj rzeczypospolitéj, siedm odjęło mu upoważnienie do traktowania w swojém imieniu.

— Czyż admirał Mackau może mieć w ręku owe dokumenta?

— Czyż można o tém wątpić? I łatwo przewidzieć, iż gdyby on na mocy swoich instrukcyi posunął się do zawarcia układów z generałem Rozas pomimo jego prawnéj niezdolności, traktat z tak radykalną nieformalnością odrzuciłaby opozycya francuzka, albo ministeryum znalazłoby się w bardzo kłopotliwém położeniu. I jestem pewnym iż gdyby szczera polityka rządu angielskiego zdolną była do poświęcenia na swoję korzyść przyjaznéj sobie rzeczypospolitéj argientyńskiéj, w celu tamowania dróg rządowi francuzkiemu, w takim razie panie Mandeville, nie wielebyśmy zyskali na przybyciu pana Mackau. Lecz o tém nie wątpię także, iż rząd angielski nie zrobi ofiary z sympatyj argientyńskich, ani dla sprzeciwienia się Francyi, ani nawet dla spożytkowania reakcyi jaka w Bandzie Oryentalnéj obudzi się na rzecz Anglii.

— Jakto, jakto, panie Bello ?

— To chcę powiedzieć, że po zawodzie doznanym ze strony Francyi, w rzeczypospolitéj zarzecznéj i w liczném tam wychodztwie argientyńskiem, wpływ francuzki ulegnie wcale nie korzystnéj przemianie w opinii publicznéj. A ztąd lolicznie nastąpi zwrot sympatyi ku Anglii, która niegdyś dopomogła wdaniem się swojém do niepod-

ległości Bandy Oryentalnéj. Tak więc co straci Francya, o tyle zyskaćby mogła Anglia na wpływie w krajach tak bogatych w przyszłość jak są ziemie La Platy.

— Wiesz panie Bello, że z pana byłby ambasador niebezpieczny dla generała Rozas,—odezwał się Mandeville, który nie uronił ani jednego słówka z całéj mowy gościa.

— Mniemam iż przyjaciel mój nie wynurzał własnych swoich myśli, ani podobnego nie miał zamiaru, — zauważył Edward spoglądając z uśmiechem na pana Mandeville.

— Tak istotnie nie w swojém imieniu mówiłem, iż wyobrażam sobie iż musiałem powiedzieć mnóstwo niedorzeczności powtarzając z pamięci gadaniny z Montewideo, a które w tamtejszych gazetach zwykle wyczytuję.

— Panie Bello, — rzekł chytry Anglik, — już teraz nie tyle wdzięczen panu jestem za jego odwiedziny, bo mię one téj nocy pozbawią snu parę godzin, które użyję na zanotowanie sobie niektórych uwag, dla siebie tylko osobiście.

— W dzisiejszych czasach, — odrzekł Bello, — tylko zagraniczni ministrowie mogą sobie robić notatki; jabym się na to nie odważył. Nikt nie jest wolnym od jakiegoś nieprzyjaciela, od jakiéjś potwarzy: kto może wiedzieć? Jak pan szczęśliwym jesteś, panie Mandeville! Mieszkać w tym domu, to jakby znajdować się w Anglii.

— To są obustronne rękojmie: w Londynie argientyńska ambasada jest rzecząpospolitą argientyńską.

— A wiész pan że nie jedna rzecz mię mocno zadziwia?

— Cóż takiego, panie Bello?

— Oto, skoro w Buenos-Aires jest grunt angielski, i kiedy tylu się znajduje takich którzyby tysiąc mil drogi odbyli aby w obecnéj chwili nie być w tym kraju, dziwi mię to że oni nie poszli o tysiąc kroków żeby dojść do tego domu.

— A tak, lecz...

— Przepraszam pana, nie chcę nic wiedzieć. Jeżeli jacy nieszczęśliwi znajdują przytułek w tym domu pod opieką bandery angielskiéj, to ze strony pańskiéj jest obowiązkiem ludzkości, a ja nie będę tyle niedyskretnym żebym chciał przeniknąć tę tajemnicę.

— Ależ nie ma nikogo; uroczyste słowo honoru panu daję, że nikt się nie schronił do mojego domu. Moje położenie jest wyjątkowe. Instrukcye moje stanowczo nakazują mi jak największą zachować oględność. Z najlepszą wolą nie mógłbym przekroczyć moich instrukcyj.

— A więc w takim razie ten dom jest niczém więcéj jak każdy piérwszy lepszy?—spytał Edward tonem prawie impertynenckim, który Daniel musiał w przelocie zatrzéć.

— Wszyscy pojmujemy pańskie położenie, panie Mandeville. W tych dniach wzburzenia pomiędzy ludem, sam nasz rząd niemógłby dać rękojmi za nietykalność tego domu, a pan pragniesz uniknąć dyplomatycznych nieporozumień, któreby koniecz-

nie nastąpiły gdyby lud w zapomnieniu się, nie poszanował ambasady.

— Tak właśnie—odrzekł Mandeville szczerze uradowany znalezieniem niespodziewanego rzecznika w trudnéj sprawie—i widziałem się w konieczności, w nader przykréj konieczności odmówienia przytułku w moim domu różnym osobom które o to prosiły, ponieważ nie mógłbym ręczyć za ich bezpieczeństwo, a nadto nie wolno mi mojém postępowaniem przyczyniać się do rozjątrzania umysłów w kraju, dla którego mieszkańców czuję jak najgłębszą sympatyę.

— Słyszałem, Danielu, zajeżdżający powóz, a pan Mandeville także zechce zapewne zwykłe swoje odbyć wizyty—odezwał się Edward ponsowy cały aż po końce uszów.

— O, panie Belgrano, nic dla mnie nie wyrówna przyjemności rozmowy z panami.

— Z tém wszystkiém, mój przyjaciel ma słuszność, i powinnością naszą jest pożegnać pana Mandeville — odrzekł Daniel z uśmiechem i równie grzecznym ukłonem.

Pełnomocnik angielski pozostał w niewiadomości po co przyjechali ci dwaj młodzi ludzie, czém byli rzeczywiście, i co o nim myśleli odchodząc.

(Dokończenie nastąpi.)

SERBIA.

Zarysy historyczno-etnograficzne.

Przez

P.....

III.

Pod tureckiém panowaniem.

Kiedy naród serbski stracił swój byt polityczny i obcego pana jarzmo dźwigać zaczął, droga do szerszego i głośniejszego życia zamknęła się przed nim. Kronika, która na swych kartach podawała do potomności sławne imiona wielkich jego bohaterów i zapisywała zdobycze na polu cywilizacyi przezeń osięgane, już innemi głoskami zaznaczała śla-

dy dziejów, jakie się nad narodem przesuwały: pisała je łzami serc jęczących w niewoli, westchnieniem piersi wzdychających do swobody, rozpaczą nad sponiewieraną wiarą przodków, krwią sączącą się wśród mozołu i trudu pańszczyznianego. Czas głoski te zaciera, któż je odszuka, odczyta? Takich dziejów trzysta z górą lat nad serbską przeszło krainą. Historya nie jest dziś w stanie odtworzyć w szczegółach obrazu niedoli, w jakiéj przez trzy wieki pogrążeni byli Serbowie. Zresztą wszędzie jednaki los znosić musieli pod Muzułmanów panowaniem wyznawcy chrześciaństwa.

Ziemia serbska przechodziła w ciągu tego czasu po utracie bytu niezależnego różne polityczne koleje, które się ściśle wiążą z dziejami walki mocarstw europejskich przeciwko Porcie Otomańskiéj. Trzebaby wkraczać w dziedzinę rożnych dyplomatycznych zawikłań, z jakich się rodziły wyprawy cesarstwa niemieckiego, Polski i Rossyi celem poskromienia tureckiéj potęgi; trzebaby dotykać szczegółów porozrzucanych na szerokiém polu europejskiéj polityki, wspomnieć bliżéj o tém, jak Belgrad, Serbia i Bośnia chwilowo Turkom wyrwane, przeszły pod władzę Habsburgów i znowu pod dawne wróciły panowanie: są to zaś właściwie dzieje kwestyi wschodniéj. Pozostając w granicach przedmiotu, poświęćmy raczéj nieco uwagi dziejom Serbów w niewoli tureckiéj i trzy z górą wieki ogólniejszym ogarnijmy rzutem oka.

Leży to, jak słusznie powiada Ranke, w zasadzie islamu, że innowierców nie uważając za równych, swojemi sługami być ich mieni. Ktokolwiek nie jest wyznawcą koranu, a więc każdy raja musi być poddanym i niewolnikiem wiernych; takiém przekonaniem religijném rządził się sułtan i jego cała rzesza. Nie inne więc losy miały spotkać Serbów: z ludzi swobodnych przeszli na sługi muzułmanów. Wielu z nich przeniosło wygnanie nad nędzny żywot w rodzinnéj ziemi. Tysiące Serbów przechodziło po za Sawę, szukając na Węgrzech schronienia. Z początku jeszcze trzymała się, lubo w szczupłym zakresie swoboda religijna—jeszcze Serbia miała swego patryarchę jako paladium wolności sumienia, ale z czasem i téj tarczy pozbawioną została, kiedy patryarchat serbski od konstantynopolskiego zależnym uczyniono, a patryarcha grecki w Carogrodzie w wielkiéj był przez sułtana trzymany uległości. Całe duchowieństwo wyższe składało się z cudzoziemców, biskupów Greków, którzy ordynowali wiejskich plebanów z miejscowéj ludności, za znaczną zapłatą, prócz tego ciężko jeszcze wybierali podatki (dymnicę tj. podymne) z każdéj parafii. Lud prosty wiejski chował pilnie swój obrządek wschodni, wiarę przodków swoich, ale szlachta prędko się turczyła i powiększała sobą liczbę tureckiéj wojskowéj szlachty, znanéj pod nazwą spahiów. W serbskiéj ziemi takich spahiów było tysiące. Względem swego sułtana mieli jeden obowiązek: stanąć na każde jego zawołanie pod bronią. Stanowili rodzaj ruchomej załogi, rozrzuconéj po kraju i utrzymywanéj kosztem trudu rolnika, pasterza. Nie mieli oni wydzielonéj sobie posiadłości ziemskiéj, nie mieli nawet we wsi stałego mieszkania, nie posiadali władzy sądowéj ani prawa zwierzch-

niczego nad ludnością wiejską, ale żyli z owoców pracy rolnika, spahia wybierał dziesięciny z pola, z winnic i z barci, prócz pogłównego (gławnica), które każda rodzina płacić musiała. Niekiedy zamieniano dziesięcinę z płodów naturalnych na opłatę pieniężną i takową wraz z pogłównem wybierano stale w oznaczonéj wysokości np. 10 piastrów od każdéj rodziny. Tacy spahiowie byli najbliższemi poborcami, ale nie jedynemi, na których lud pracował. Basza lub rządca prowincyi miał także prawo korzystać ze swych poddanych w całym obrębie swojéj dzielnicy, więc i na rzecz jego wieśniak odrabiał pańszczyznę i płacił w gotowiznie podatek. Gdy basza wymagał od całego kraju zwykłéj rocznéj sumy, rozdzielano ją na powiaty, wsie zaś między sobą rozkładały ogólny ciężar pieniężny. Zwano ten podatek porezą tj. podatkiem karbowym. Część tego dochodu przesyłano do Konstantynopolu, reszta zaś służyła głównie na pokrycie wydatków miejscowych, także i na utrzymanie janczarów (serb. jeniczarów), którym następnie wydzielano dochody celne.

Wymiar sprawiedliwości był w rękach sułtańskich urzędników. Wyższy mułła albo sędzia przebywał stale w głównem mieście w Belgradzie, w mniejszych miasteczkach na prowincyi w sprawach między rają a muzułmaninem rozstrzygał kadya. I kadya także utrzymywał się z ofiar sądowo-prawnych uiszczanych wyłącznie przez rajów przy różnych aktach sprzedaży, umowy, zamiany i innych. Do egzekucyi wyroków kadya miał dodanego do boku muselima, który nieraz większą od sędziego cieszył się powagą. Łatwo jest dostrzedz, z tego, co się już rzekło, że cały system zarządu opierał się na wszechstronném wyzyskiwaniu ludności. W każdéj dziedzinie stosunków społecznych, religijnéj, sądowéj, administracyjnéj cały ciężar spadał na rajów. Obowiązki wszędzie, prawa dla nich żadne. Kraj i ludność uważano za kapitał ogromny, z którego dochód stanowił źródło utrzymania gnuśnych urzędników, chciwego żołdactwa i zbytkownego dworu w Carogrodzie. Nie zawsze jednak — powiada Ranke, nawet i ta drobna miara porządku trzymała się w swych granicach. Od czasu do czasu sami ciemiężcy wszczynają między sobą zatargi. Spahiowie, którzy stale w serbskiéj ziemi przebywają, innemi się rządzą widokami jak basza, który tylko czasowo gości w wydzielonéj mu prowincyi; janczarzy, którzy silną stanowią korporacyą po całém państwie rozlaną, różnią się w swych widokach i ze spahiami i z baszami. Szczęście dla kraju, jeśli żyją z sobą w zgodzie. W czasie rozterek, każdy bez względu na innych dobija się z całém okrucieństwem swego prawa. Wtedy porządek ustaje i nieład jeszcze cięższém na ludność spada brzemieniem.

Ale i między rajami objawia się duch nieuległości a raczéj poczucie krzywdy im wyrządzonéj, zgwałconego na ich osobach prawa. Kogo ma dosięgnąć niesłusznie miecz karzącéj sprawiedliwości, ten rzuca swoję zagrodę, swoję rodzinę, chroni się na szczyty gór, do lasów, zostaje rozbójnikiem, hajdukiem. Tu już prawdziwa panuje swoboda. Towarzysze wspólnéj niedoli łączą się w większe koło, wybierają naczelnego dowódzcę Harambaszę i czatują na swoję zdobycz, na Turczyna

przewożącego podatki do Carogrodu. Ale z tém wszystkiem hajduk w przekonaniu własném jest uczciwym człowiekiem, towarzyszowi swemu dochowuje wierność niezłomną. Na zimę szukają schronienia w pobliskich siołach u wieśniaków, którzy ich przechowują (jataki). Z wiosną znowu w góry i lasy, znowu w większe gromadzą się grono, a gdy spostrzegą że brak im jednego towarzysza, wszyscy za obowiązek uważają zemścić się za śmierć jego.

Nie ulega wątpliwości, że ten żywioł hajducki wprowadzał do spokojnego życia narodu powien pierwiastek ruchliwy, budził wspomnienia i podtrzymywał zamiłowanie do oręża wśród ludności, któréj używanie wszelkiéj broni było surowo zakazane. W razie ruchawki ogólnéj z góry przepisanéj, wieśniak serbski występował z kijem lub pałką. Ludność całą uważano jako bezbronną trzodę, któréj obowiązkiem jest bez szemrania ulegać.

Największego upokorzenia doznawał raja przy spotkaniu się z Turczynem. Nigdy niewolno było Serbowi wjeżdżać konno do miasta, tylko pieszo mógł wchodzić w bramy miast. Na każde zawołanie Turczyna musiał spełniać posługi. Przy spotkaniu się w drodze za miastem z Turczynem musiał się zatrzymać, wyminąć a jeśli przypadkiem miał drobną broń przy sobie przeciwko napastnikowi, trzeba ją było zasłonić. Znosić obelgi było jego obowiązkiem, wywzajemnić się—karygodném przestępstwem. Na szczęście ustrój polityczny ułatwiał zupełny między wiejską a miejską ludnością rozdział. Jeżeli podróżnik w końcu przeszłego wieku przez serbską przejeżdżał ziemię, najwięcéj go uderzała gwałtowna między wsią a miastem różnica. W miastach, twierdzach mniejszych lub większych mieszkali Turcy, po wsiach Serbowie.

Jak basza we własnych widokach niechętnie widział, jeśli się Turcy po kraju włóczyli, tak Serbowie znowu radzi miasta unikali. Niejeden Serb się zestarzał i nigdy miasta nie widział. W tych formach życia społecznego właśnie najpomyślniejsze znalazły się warunki, które nie pozwoliły przytłumić, ujarzmić narodowego ducha. W ustroniu wiejskiém, dokąd tylko zaglądał chwilowo poborca lub czasowo zatrzymywał się janczar przejeżdżający, przechowywał się niezmiennie obyczaj narodowy; lud sielski trzymał się wiary swoich przodków i w sercu chował pamięć dawnéj swobody, dawnéj świetności swego kraju. Nie przestawał śpiewać swoich pieśni, w których swoje żale wywodził i którym najdroższe swoje powierzał nadzieje.

Już na schyłku trzeciego wieku niedoli i niewoli serbskiéj zaczęła świtać gwiazda lepszych dni, lubo jeszcze nie jedna czarna godzina nawiedziła serbską krainę. Lud nie przeczuwał, że się znajduje na progu nowego życia. Nie na horyzoncie europejskiéj polityki, ani w nowéj konstelacyi mocarstw, lub w interwencyi zagranicznéj szukać należy pierwszych promieni pogodniejszéj doli, ale w zmianach wewnętrznych, jakie się w końcu XVIII wieku dokonywały w saméj Turcyi.

Sułtan Selim III przedsięwziął myśl przekształcenia swojego państwa, chciał pod pewnym względem znieść wieki średnie i nową w niém rozpocząć erę. Ten ruch powszechny przeradzających się w sobie państw na Zachodzie udzielił się także i Turcyi. Węgielnym kamieniem, na którym się opierała cała monarchia sułtana, była kasta wojskowa—janczarów, rodzaj feudalnego rycerstwa. Selim III rozpoczął szereg przekształceń dla postawienia swéj siły wojskowéj na odpowiedniéj stopie. Wzmocnił marynarkę, budował twierdze, urządzał artyleryą, sprowadzał inżynierów francuzkich, odnawiał, cokolwiek było staréw, nadgniłém. Nowe urządzenia wydały się prawowiernym wyznawcom koranu prawdziwém odszczepieństwem. Między zwolennikami starego porządku, a takiemi niemal wszyscy byli, objawiało się niezadowolenie. Najgłośniéj szemrali janczarowie, widząc, jak nowe przekształcenia znaczenie ich podkupują. Ze wszystkich janczarów, najzjadliwszemi wrogami nowych porządków byli ci, co w Belgradzie leżeli załogą. Wyuzdani, niesforni, bez karności wojskowéj byli plagą egipską dla prowincyi. Naczelnicy ich tak urośli w dumę, iż się dahiami nazywali. Przed niemi ustąpić musiało wszelkie prawo baszy, spahiów, w końcu i samego sułtana. Podnieśli rokosz, dowódzca ich Bego Nowlianin zajął twierdzę Szabac na Dunaju i ztąd opierał się wszelkim reformom Hadżi Mustafy, baszy wielce względem ludności serbskiéj łagodnego. Rokosz przybrał groźniejsze rozmiary, kiedy z janczarami połączył się również wszelkim zmianom nieprzyjazny Paswan-Ogłu wielko-rządca z Widynu. Paswan-Ogłu stanął na czele najemnego żołdactwa, które z różnych stron posprowadzał. Byli to tak zwani Kardżalje. „Dla was będą łupy, mówił przyjmując ich, ja tylko sławy żądam“. Miał obok siebie 10 tysięcy kardżaljów, dowodzonych przez bimbaszów i buljakbaszów. Hadżi Mustafa, którego Serbowie dla jego przyjaznego sposobu myślenia, jego troskliwości o ich dobro, serbską majką (tj. matką) nazywali, gdy widział od wschodniéj granicy nadciągające niebezpieczeństwo—kardżaljów pod sprawą Paswan-Ogłu, odezwał się do Serbów, przedstawił im że lepiéj część dobytku sprzedać i broń zakupić, jak wszystko stracić. Słowa nie były daremne. Hajduków zbiegła się moc ogromna, wieśniacy także chętnie porzucili swe zajęcia i stanęli pod bronią. Na Turczyna biegli wszyscy z zapałem. Rokoszanie nieraz doświadczyli na sobie siły serbskich wojowników. Ale burza uciszyła się niebawem. Sułtan pogodził się z janczarami. Dawny porządek wrócił. Hadżi Mustafa został znienacka zabity, ten, który ośmielił się rajów podburzyć przeciwko wiernym. Lud zaś serbski dostał się pod jarzmo dahjów i janczarów. Zemsta nowych zwierzchników krwawe swe szpony rozpuściła po całym kraju. Spahiowie, posiadacze dziesięcin i pogłównego zostali wypędzeni, ale najcięższa kara dotknęła Serbów. Wszędzie zapanował niesłychany ucisk nowych ciemiężców. Urzędnicy janczarów dopuszczali się gwałtów, rabunku, nawet domów bożych nieszczędzili. Zebrali się odważniejsi kniaziowie wiejscy i napisali do sułtana: „Zrabowani i złupieni przez djahów doszliśmy do tego, że się już tylko łykiem opasujemy;

lecz na tém ciemiężcy nie poprzestają, gwałcą nasze sumienie, naszą cześć; mąż nie jest pewny żony, ojciec córki, brat siostry; znieważają wszystko, klasztor i cerkiew, mnicha i popa: jeśli jesteś jeszcze naszym carem, przybywaj i zbaw nas od ciemiężców; jeśli zaś nie chcesz nas ocalić, daj nam znać, abyśmy się schronić mogli w góry i lasy, lub życie nasze w wodach rzek zakończyć.“ Skarga odniosła niepożądany dla Serbów skutek. Groźne słowa sułtana, iż przyśle obcych narodowości wojska na ich poskromienie, zrozumieli dahiowie w ten sposób, iż przezto miejscowych Serbów miano na myśli. Więc tępić ich, mordować poczęli janczarowie, ktokolwiek z kniaziów niebezpiecznym się wydawał, tego pozbawiali życia, po drogach chwytali ludzi, wpadali do wsi i mordowali. Przestrach ogarnął kraj cały, krążyła pogłoska, że wszystkich wygubić zamierzają. Tylko starcy i niemowlęta we wsiach pozostali, młodzież, ojcowie pobiegli w góry, lasy zaludniać się zaczęły. Kryjówki hajduków nie były w stanie pomieścić licznych przybyszów.

Ale są granice, powiada Ranke, nawet w ucisku narodu. Rozpacz wtrąciła Serbom broń do ręki. Już nic prócz życia nie mieli do stracenia, a życia tego panami byli janczarowie. Więc zagrzani szlachetnym zapałem ku odzyskaniu minionéj swobody a przyuczeni do broni w ostatnich przeciwko janczarom wyprawach, mieszkańcy górzystéj Szumadii, przytykającéj do Dunaju, stanęli śmiało do walki. Jak z owéj podaniowéj doliny Rütli, tak z Szumadii rozległ się odgłos zemsty i swobody, a hasło to jednozgodnym odezwało się dźwiękiem w sercach wszystkiego ludu. Trzej mężowie podali sobie ręce i poprzysięgli śmierć wrogom: Janko Katicz, Wasso Czarapicz i Jerzy Pietrowicz, inaczéj Kara Dżjordzje czyli Jerzy Czarny. Za niemi poszli inni, najchętniéj zaciągały się oddziały hajduków pod dzielnemi harambaszami jako Gławaszem i Weliko. Zaczęła się partyzantka. Szabac na Sawie, siedlisko powstania dahiów i ich chwilowego panowania, była piérwsza twierdza, która się w ręce powstańców dostała. Jakub Menadowicz oblegał ją w 1804 r. z oddziałem swoich ludzi i dzięki szlachetnemu poświęceniu kilkuset Serbów, którzy powstrzymali na odsiecz spieszących z Bośnii Turków, dobył warowni. Dodało to otuchy niemało. Narodu wiara we własne siły się wzmagała na widok powodzenia. Trzeba było naczelnego wodza. Czarny Jerzy przyjął ofiarowaną sobie władzę, ztąd większa jedność w działaniach objawiać się zaczęła. Na zdobycie i wydarcie z rąk powstańcom Szabacu silili się odtąd daremnie Turcy. Po kilkakroć przechodzili Drinę i wyniosłe Guczowskie i Sokole wzgórza. Najprzód w 1806 r. Nareszcie wpadli Turcy do Szabacu, pozostawionego bez załogi i w niewielkiéj od twierdzy odległości około Miszar czekali na nadciągających w 7 tysięcy Serbów pod wodzą Jerzego Czarnego. Na żądanie Turków domagających się kapitulacyi i oddania broni, odpowiedzieli Serbowie: „sami sobie po nią przyjdźcie.“ Jakoż stawili się Turcy. Dwa dni daremnie uderzali na wał ochronny, którym się oszańcowali powstańcy, trzeciego zaś dnia, ale niech Ranke swém żywém piórem nas zastąpi:

„Było to na początku sierpnia 1806 r., kiedy się dwa wojska mierzyły. W nocy przed bitwą wysłał Jerzy Czarny swoję konnicę do pobliskiego lasku, aby przy pierwszym wystrzale ale nie wcześniéj uderzyła na tył nieprzyjaciela. Z szańców nie kazał strzelać, dopóki Turcy nie podstąpią tak blisko, iżby każdego na cel wziąć można. O świcie ruszył seraskier z obozu z przed Szabacu z całą swą siłą, najwaleczniejsi szli naprzód ze sztandarami: spokojnie z nabitą bronią czekali na nich Serbowie. Dopiéro gdy się pod wystrzały Serbów zbliżyli Turcy, na znak Jerzego dano ognia. Pierwszy szereg nieprzyjaciela legł trupem, powstał popłoch. Odezwały się trzy armaty Serbów. Z tyłu uderzyła jazda, z za szańców rzucił się Jerzy Czarny ze swoją piechotą. Zwycięztwo było zupełne. Co jeszcze żyło, ratowało się ucieczką, chroniąc się do sąsiednich lasów, ale i tu dosięgła ich niszcząca ręka powstańców.“

W następnym 1807 r. powodzenie było już tak znaczne, że Turcy zmuszeni byli opuścić wszystkie twierdze, i z kraju ustąpić przed zwycięzką rają. Dawny stosunek, poddańczy w którym kilka wieków przetrwali Serbowie, ustał zupełnie.

Pomijamy szczegóły, jak Serbia wybiwszy się na wolność, zaczęła się urządzać, nowe bowiem instytucye tylko czasowym zadość czyniły potrzebom i trwałości nie miały; zwrócimy zaś uwagę na to, że Jerzy Czarny, który był głównym bohatérem wśród téj walki narodowéj, pozostał nadal na czele dalszéj, również jak poprzednia ciężkiéj pracy około utrzymania zdobytego stanowiska. Jerzy Czarny niewątpliwie wielkie swemu krajowi wyświadczył usługi. Kto i jakim był ten Jerzy? oto jego obraz mistrzowską ręką Rankego skreślony.

Jerzy Pietrowicz, Kara albo Czarny zwany, urodził się między 1760 a 1770 r. w okolicy Kragujewca we wsi Wyszewcy, z ojca wieśniaka, i za młodych jeszcze lat wespół z rodzicami przeniósł się w górzyste strony Topoli. Już w piérwszéj ruchawce, co się rozpoczęła w 1787 r., nim jeszcze oczekiwane wkroczyły austryackie pułki, przyjmował czynny udział, który wywarł stanowczy wpływ na całe jego życie. Widział się zmuszonym uciekać, a ponieważ nie chciał pozostawić ojca na pastwę Turkom, zabrał cały swój dobytek i swoje bydło i ruszył ku Sawie, ku austryackiéj granicy. W miarę tego, jak się ku rzece zbliżali, coraz większa ogarniała tęsknota ojca (który pierwiastkowo wolałby się był poddać Turkom, jak inni uczynili), nieraz nawet namawiał syna, aby się wrócił. Raz jeszcze ale niemal błagalnie, kiedy już Sawę ujrzeli, przemówił ojciec do syna, uderzmy w pokorę, rzecze doń, a przebaczoném nam będzie; nie chodź, synu mój, do Niemiec, zaklinam cię na wszystko: pozostań. Ale Jerzy był niewzruszony, i ojciec także stanowczo się oparł.—Więc idź-że sam, —powiada mu,—ja tu w kraju pozostanę.—Jakto,—zawołał Jerzy Czarny,—miałżebym się doczekać, że cię powoli Turczyn na śmierć zamęczy? lepiéj że tu odrazu dokonasz żywota. Chwycił za pistolet, strzela do ojca a kiedy ten jeszcze znaki życia dawał, kazał towarzyszowi swemu zadać mu ostatni cios śmiertelny. W najbliższéj wsi rzekł do ludzi: „pochowajcie mi tam ojca za wsią i wyprawcie sobie

stypę pogrzebową. Oto bierzcie mój dobytek, moje bydło.“ I ruszył sam przez Sawę.

Czyn ten, od którego rozpoczął swoje męzkie lata, wyrzucił go z kolei zwykłego życia. Wrócił niebawem z Austryi, został hajdukiem i znów rodzinne opuścił góry, powtórnie przechodząc granicę. Był czas jakiś leśniczym. Kiedy w Serbii rozpoczął swe rządy łagodny Hadżi Mustafa, Jerzy mógł bez obawy wrócić do swoich. Nowe zajęcie, do jakiego się rzucił, handel trzodą chlewną, zapewniało mu znaczne dochody. Wśród takiego zajęcia zastało go powstanie w 1804 r.

Był to człowiek bardzo niezwykły. Siedział dniami całemi, słowa nie mówiąc, ogryzał sobie tylko paznokcie. Nieraz, gdy kto do niego przemówił, odwracał głowę w inną stronę i milczał.

Kiedy się winem raczył, język mu się rozwiązywał. Gdy sobie podochocił, to i do tańca stanął. Nie dbał o blask i przepych: na szczycie swojego szczęścia, w dniach swojéj wielkości zawsze nosił stare modre szarawary, wytarty krótki kożuszek, na głowie zawsze taż sama czarna czapeczka. I córka jego, nawet wtedy gdy ojciec został naczelnym księciem wyzwolonego ludu, jako inne wiejskie dziewoje chodziła sama z wiadrem po wodę. A jednakże dziwna rzecz, połysk złota nie był dlań bez pewnego uroku.

W Topoli każdyby go wziął za chłopa. Ze służbą swą karczował las, albo wodę sprowadzał na młyn; potém z wieśniakami wspólnie ryby łowili w rzeczce Jasienicy. Szedł za pługiem i orał. Oręż swój, jaki był od rządu rossyjskiego dostał, zepsuł sobie, wbijając obręcz na beczkę. Dopiero w bitwie się przeinaczał. Wtedy był wojownikiem prawdziwym. Kiedy go Serbowie widzieli zdaleka na czele swoich momków (t. j. drużyny), a łatwo go było poznać, wzrost wysoki, chudy a piersi szerokie, szrama na twarzy, małe błyszczące oczy, wtedy odwaga w nich wstępowała. Zsiadał z konia, najchętniéj walczył pieszo. Lubo miał skrzywioną prawą rękę od rany, którą dostał będąc hajdukiem, dzielnie jednak władał bronią. Kiedy się ukazał, Turcy pierzchali: byli przekonani że z Jerzym zrosło się zwycięztwo.

W sprawach zarządu cywilnego objawiał pewną skłonność do regularnego prowadzenia interesów i do pisaniny, jakkolwiek sam pisać nie umiał; chętnie widział, jak sprawy szły swą naturalną koleją, ale skoro mu tylko dokuczały, wtedy sprawiedliwość jego była straszna i okrutna. Brat jego, korzystając z nazwiska i położenia, pozwalał sobie nieraz przekroczyć właściwe granice. Jerzy patrzał spokojnie, ale kiedy ten uwiódł wiejską dziewczynę, kazał go na drzwiach domu powiesić, mimo że bardzo kochał swego jedynego brata. Matce zabronił płakać po nim. Zresztą była to poczciwa natura. Któż wątpi o wysokiém jego znaczeniu? On reprezentował zasadę wyzwolenia z pod jarzma tureckiego wszystkich chrześciańskich narodowości: oczy wszystkich były nań zwrócone.“

Wiele niewątpliwie zrobił Jerzy Czarny dla Serbii, Serbowie także dokonali niemało, ale i zewnętrzne przyjazne okoliczności przyczyniły się znacznie do ich wyswobodzenia. Początek naszego stulecia wywołał te ogromne wojny, w skutek których w całym syste-

macie państw europejskich odbywały się gwałtowne przewroty. I Turcya także porwaną została w ten wir wojennych zapasów. Zrazu sprzymierzona z Napoleonem, to znów przezeń opuszczona, powikłała się w wojnę z Rossyą. Ku Rossyi wspólplemiennej, związanéj jednością wiary, już od dawna Serbia się zwracała. Na początku swego powstania w r. 1804 wysłali Serbowie deputacyą do Petersburga, która przyniosła z sobą gorące słowa zachęty, następnie w ciągu lat kilku czynem stwierdzane. Kiedy się nad Dunajem zgromadziły wojska rossyjskie, pojedyncze oddziały pośpieszyły Serbom na pomoc. Turcya pobita przez Kutuzowa, zgodzić się musiała na zawarcie pokoju w Bukareszcie w 1812 r. Rossya nie zapomniała o Serbii, silnie popierając sprawę jéj niepodległości. I jakkolwiek w akcie pokoju jest jeszcze mowa o serbskim kraju jako poddanym sułtanowi, jakkolwiek o gwarancyi jeszcze niema wzmianki, to jednak sam fakt, że Serbom przyznano pewne prawa, stał się wypadkiem wielkiéj doniosłości. Nadto nie małéj wagi była i ta okoliczność: nad wykonaniem tych zobowiązań względem Serbii miało prawo czuwać mocarstwo, które po r. 1812 tak stanowczy głos zabierało w sprawach całéj Europy. Wprawdzie ustępstwa zapewnione przez pokój w Bukarszcie nie zaspokajały wszystkich życzeń Serbów, ale w każdym razie dawały bynajmniej nie błahe prawa. Lubo załogi tureckie pozostały w twierdzach serbskich, bo tego prawa nie można było odebrać Turcyi, popieranéj znowu przez Napoleona, ale w sprawach wewnętrznych zostawiono Serbii zupełną swobodę; oznaczono ilość podatków mających się płacić porcie, ilość, niedowolnie przez Sułtana ale wespół za zgodą narodu określoną. Było to w istocie wiele, lubo tylko na papierze. Turcya nie myślała bynajmniéj dotrzymać warunków, co do wypełnienia których wszczęły się nieporozumienia. Z jednéj i drugiéj strony różnie sobie tłumaczono artykuły pokoju, rzeczywiście zredagowanego nie zupełnie jasno. Rokowania podjęte celem zaprowadzenia w tym względzie zgody rozchwiały się niebawem; Serbowie w poczuciu swego prawa, ufni w siedm warowni i 150 dział chwycili za broń.

W tych jednak krajach nie rozstrzyga losu wojny liczba armat. Rozumne dowództwo i jedność dawały kiedyś zwycięztwo nawet źle uzbrojonym Serbom. Teraz brakło zgody, brakowało owych dzielnych dowódzców, którzyby dobro kraju wyżéj nad osobiste widoki stawiali. Łatwo było przewidzieć nieszczęsny téj wojny wypadek. Po kilku przegranych pod Negotynem nad Dunajem, pod Deligradem i nad Driną poddać się musiały twierdze Semendrya i Belgrad prawie bez oporu. W końcu i ostatnia warownia Szabac dostała się w ręce Turków. A Jerzy Czarny? Jerzego Czarnego nie widać na polu bitwy, bo byłby się przecie odznaczył czynem zrozpaczonego męztwa. Jerzy Czarny, kiedy inni ginęli w boju, niechcąc przeżyć klęski swego narodu, zwątpił o kraju i o sobie. Wśród ogólnego popłochu zbierał swoje pieniądze i zakopywał je w ziemię! Zaiste, są ludzie co łatwiéj zdobyć, zgromadzić, niż utrzymać potrafią.

„Jego było obowiązkiem, powiada Ranke w szlachetnym zapale, a któżby go nie podzielał, położyć życie dla swego narodu, który mu swoje szczęście powierzył. Jeszcze nie wszystko było stracone. A gdyby się już nawet nic nie udało, byłby przynajmniéj Jerzy legł na polu chwały, jak przystoi na bohatéra. Ale tu brakło gruntu odpowiedniego dla téj moralnéj siły, któréj potrzeba, aby nawet śród klęsk i nieszczęść wytrwać do końca i życie swoje położyć ze świadomością— choćby tylko dla honoru: tych wzniosłych chwil nie posiada serbska historya, i Jerzy Czarny nie był do tego zdolny.“

On przeszedł granice i schronił się do Austryi; z nim wielu innych dostojników: tureckie panowanie rozciągnęło się znowu w dawnéj sile na kraj cały.

Wyzwolona Serbia.

Jeden tylko mąż ze znaczniejszych czuł, iż haniebniéj jest porzucić rodzinę, kraj i lud swój, niż zginąć choćby najmarniéj z rąk Turczyna. Usunął się więc do górzystego zacisza w leśnéj Szumadyi i w ustroniu Czernucz goił bóle złamanego serca. A lubo swój sielski żywot górami rudnickiemi od świata oddzielił, nie oderwał się wszakże uczuciem od serbskiego ludu, owszém chwytał chciwie odgłosy jęku, jakie się z uciśnionych piersi o góry odbijały; porzucił ustronie i stanął na czele swego narodu, kiedy ten zwalczyć postanowił ciemięzców. I wyprowadził kraj swój po chwilowych cierpieniach z toni niewoli i trwałą dlań zgotował niepodległość. Był to Miłosz Obrenowicz.

Słówko o jego przeszłości. Matka jego Wisznia piérwiastkowo wyszła za mąż w Bruśnicy za wieśniaka Obrena. Miała jednego syna Milana, kiedy ją mąż odumarł. Wstąpiła powtórnie w związki małżeńskie podobnież z wieśniakiem Teszo albo Todorem, którego obdarzyła kilkorgiem dziatek. Około 1780 r. urodził im się Miłosz. Majątku nie było, obaj synowie poszli w świat. Starszy Miłan dorobił się skromnego gospodarstwa, Miłosz zaś z początku pędzał woły handlarzy na dalmackie targi, późniéj przyjął służbę u brata. Taka ścisła wiązała ich miłość, że Miłosz właściwie po ojcu mający nazwisko Todorowicz albo Teszycz, przyjął nazwę brata swego przyrodniego Obrenowicz. Kiedy piérwsze przeciwko Dahiom wybuchło powstanie, obaj byli ludźmi dość zamożnemi. W ruchawce przyjmowali udział, starszy Milan umarł, pozostał Miłosz, który jako dowódca oddziału walczył także w 1813 r., ale nie przeszedł granicy, owszém pozostał w kraju. Kiedy ucisk i gwałty Turków jątrzyły Serbów, w umysłach powoli dojrzewała myśl o nowém powstaniu. Miłosz dzielił z innemi rodakami uczucie zemsty.

W Palmową niedzielę 1815 r. ukazał się Miłosz między ludem, który się tłumnie zebrał z okolicznych wsi do kościoła w Takowie: nawet starcy, zwykle powolniejszego usposobienia domagali się teraz pow-

stania. Wszyscy, co byli obecni przysięgli, iż zapomną sąsiedzkich waśni i słuchać będą Miłosza. Do Czernuczy zbiegła się orężna drużyna. Miłosz w lśniącém od blasku uzbrojeniu stanął wpośród niéj: „otóż jestem, rzekł, między wami a teraz macie wojnę z Turczynem.“ W niedzielę Wielkanocy przemówił raz jeszcze do ludu, który się z okolic Belgradu był zebrał około klasztoru w Morawcy. Lepszego usposobienia nie można było żądać. Każdy był przekonany, że wojna korzystniejszą będzie, niżeli upokarzający pokój. Rozbiegli się gońcy po kraju, zwiastując początek powstania. „Niech każdy zabija zieloną suknię, taka bowiem była barwa stroju Turków, gdziekolwiek ją spotka“, głosili posłańcy. Wydobyto broń z wydrążeń drzew, w których była schowana. Kto własnéj nie miał, dostawał od sąsiada.

Było to śmiałe przedsięwzięcie, śmielsze niźli powstanie przeciwko Dahiom. Ale oddziały partyzanckie miały teraz na czele Miłosza, który dorównał Jerzemu Czarnemu w nieustraszonéj odwadze a przewyższał go poświęceniem bez granic dla sprawy narodowéj. Miłosz prowadził wojnę, która się mogła mierzyć we wszystkiém, co się kiedykolwiek w Serbii stało; rzutki w pomysłach, lekki w obrotach, z odwagą ślepą na wszystkie niebezpieczeństwa bił Turków w polu a wstępnym bojem zdobywał ich szańce. Ale wyparowani zewsząd nieprzyjaciele zamykali się w twierdzach, których przy najśmielszém męztwie zdobyć nie było łatwą rzeczą. Wielkiego powodzenia skutek mógłby się był w istocie błahym zdawać, lecz Turcy zrażeni tylu klęskami stracili wiarę w swe siły. Sultan rozpoczął układy, ile że Rossya po kongresie wiedeńskim, mając rozwiązane ręce, groźną przybrała postawę. Miłosz przyjął ofiarowaną mu przez duchowieństwo i naczelników ludu władzę zwierzchniego księcia (1817) Serbii. Zrodził się ztąd stan i położenie niejasne, nieokreślone. Miłosz zręcznie jako dyplomata i z wielkim taktem trzymał się między powagą rządu tureckiego, który z zazdrością patrzał na ustąpione prawa a miejscowemi naczelnikami ludu, którzy znowu dążyli do coraz większéj władzy. Uroszczenia jednéj i drugiéj strony umiał ująć we właściwe karby. Podczas gdy w Konstantynopolu toczyły się spory o uznanie niepodległości Serbii, a Rossya silnie ją popierała, co w końcu skutkiem zwieńczone zostały, Miłosz wtedy staranie swoje obrócił na urządzenie wewnętrznych stosunków swego kraju, zaprowadzał administracyą, urządzał sądownictwo, zakładał szkoły, budował drogi: jednem słowem niezmordowanym się okazał w pracy około przygotowania kraju swego do prawidłowego rozwoju.

Hattiszeryf z r. 1831 nakoniec przyznał Miłoszowi godność dziedzicznego księcia w Serbii. Kilka jednak lat jeszcze była potrzeba, nim Porta zgodziła się na ustąpienie dawno już przyrzeczonéj południowéj części Serbii. Dopiéro drugi Hattiszeryf z r. 1833, który Miłosz odczytał zgromadzonemu (w r. 1844) sejmowi wraz z wolnościami zagwarantowanemi ludowi serbskiemu przez traktaty w Bukareszcie, Akermanie, Adryanopolu, wyświecił dokładnie stosunek polityczny, w jakim odtąd niemal do ostatnich czasów Serbia względem Turcyi pozostawała.

Na téj saméj skupsztynie (sejm) złożył książe Miłosz uroczyste zapewnienie, że odtąd nigdy już w Serbii nie będzie zaprowadzony dawny feodalny porządek, który przez co rok Porcie składać się mający haracz zniesiony został; nadto przysięgał, że starać się będzie zachować powierzony mu skarb narodowości serbskiéj, dochowując ściśle praw, przestrzegając publicznego pokoju i porządku oraz wprowadzając coraz inne ulepszenia we wszystkich gałęziach życia społecznego, w końcu zapewniał że godnie odpowie położonemu w nim zaufaniu.

Jakże się Miłosz wywiązał ze swoich pięknych obietnic? Dziś już historya nie zaślepiona stronniczością sprawiedliwszy wyrok wydać może aniżeli współcześni. Dziś nikt temu przeczyć nie będzie, że Miłosz nieraz w sposób gwałtowny, obrażający uczucie słuszności przekraczał właściwe granice swéj władzy, że nieraz autokratyczne objawiał dążności. Nie powstrzymywał go wzgląd na prawo osób prywatnych, gdy działał w interesie kraju, ale co gorzéj gdy własne przeprowadzał widoki. Wyrok wszakże łagodniejszą przybierze postać, jeśli rzucimy okiem na okoliczności, wśród których działał Miłosz, na przeszkody, z któremi mu walczyć wypadało.

Otóż owych drobnych wojewodów widzimy, którym się zdawało, że Miłosz postawi ich na miejscu dawnych spahiów tureckich, że z nich utworzy rodzaj szlachty feodalnéj i wyda im lud prosty, wiejski na dowolne wyzyskiwanie. Jeżeli dziś z dumą Serb zawołać może: „każdy Serb jest szlachcicem“ komuż to zawdzięcza, jeśli nie Miłoszowi, który z właściwą sobie autokratyczną energią przytłumił w zarodku zawiązki szlachty dążącéj do pańszczyznianych praw.

Ożywiony jak najlepszemi dążnościami spotykał Miłosz na drodze swojéj pracy właśnie ów nieprzyjazny sobie żywioł spanoszonych naczelników, wojewodów. Ztąd téż panowanie jego nie było wolne od owych tajemnych knowań, które nieraz, maskę skrytości zdejmując, na jaw występowały. Lud prosty dawał chętne ucho podżeganiom wichrzycieli. Wieśniak w prostocie ducha mniemał, iż po zrzuceniu jarzma tureckiego powinien być wolnym od wszelkich podatków, tymczasem Miłosz gotujący tyle ważnych reform dla swego kraju, bez środków pieniężnych obejść się nie mógł. Łamiąc z powodzeniem opór i niechęć pojedynczych osób, pracował nieustannie nad zbawiennem przekształceniem swojego kraju.

Do dziś dnia istniejący podział administracyiny kraju, pierwsze drogi przez nieprzebyte dawniéj lasy, ludowe szkółki, gimnazyum, liceum, założenie gazety i drukarni, wystawienie licznych kościołów, urządzenie stosunków i praw duchowieństwa, założenie skarbu publicznego, system kwarantanny, szpitale, apteki: oto dzieło pierwszego Obrenowicza. Kiedy Miłosz zniewolonym się widział, w skutek tajemnych intryg, złożyć władzę i opuścić kraj, będąc oskarżony o naruszenie ustawy w r. 1839 ogłoszonéj, zostawił nawet w spadku po so-

bie zawiązki nieźle wyćwiczonego regularnego wojska ze sztabem oficerów wykształconych w europejskich szkołach wojskowych (1).

Po opuszczeniu kraju przez Miłosza powstał zamęt. Porta Otomańska nie chciała uznać prawa dziedziczności w rodzie Obrenowiczów. Wreszcie zgodziła się na przywrócenie książęcéj godności synowi Miłosza Michałowi, ale wzięła ztąd pochop do mięszania się w domowe sprawy Serbii. Michał był człowiekiem słabym, istne przeciwieństwo ojca. Wzmagała się liczba niechętnych: sarkał lud wiejski na powiększenie podatku porezy, zżymała się klasa zamożniejszych na widok austryackich Serbów, których książę Michał powoływał do swéj przybocznéj rady; Porta zaś zręcznie rozniecała zarzewie nieukontentowania. Wuczyc, jeden z głośniejszych przywódców opozycyi, przeszedł wreszcie do oporu zbrojnego. Książe miał za mało moralnego poparcia w wojsku, które go raz i drugi w stanowczéj chwili starcia opuściło. Syn doznał podobnego co ojciec losu. Michał Obrenowicz także przeszedł granicę i kraj opuścił (w 1842 roku). Walna skupsztyna obwołała księciem Aleksandra. Był to syn owego dowódzcy w pierwszém powstaniu Serbów, owego bohatéra Jerzego Czarnego, ztąd po ojcu nazywał się Aleksander Karadżordżewicz. Szesnaście lat (1842-1858) trwało jego panowanie dla Serbii, zwłaszcza pod względem wewnętrznym nie zbyt świetne. Dopiero pod koniec jego rządów kraj się nieco więcéj zaczął rozwijać i wzrastać zaczęło jego bogactwo narodowe. Podczas wojny krymskiéj umiał Aleksander na korzyść Rossyi utrzymać się na neutralném stanowisku. Pokój paryzki w 1856 roku zapewnił Serbii jéj polityczną względem Turcyi niezależność, którą mocarstwa europejskie wzięły pod swoję opiekę.

Pod rządami Aleksandra stał się dla Serbii pamiętnym rok 1848-my, był on wszakżeż nie mniéj stanowczym w przyszłych losach samego księcia. Na polach bitew przeciwko Węgrom, gdzie się słowiańskie spotykały plemiona, zmężniało uczucie narodowości, ogólną ruchawką w całéj zachodniéj Europie żywo rozbudzone. Myśl o zbrataniu się wszelkich Słowian pod tarczą Rossyi ogarnęła umysły wielu, między innemi i księcia Aleksandra. Odtąd stanowczo ku Rosyi chylić się zaczął, ale z obawą patrząc na Austryą, i ku niéj słodkie zwracał oczy. Wśród téj dwuznacznéj polityki stracił równowagę. Chciał także i z Turcyą utrzymywać serdeczniejsze stosunki. Ta chwiejność zrodziła niezadowolenie, które wybuchło nareszcie w 1858 r. na burzliwym sejmie. Złożono go z tronu i powołano napowrót Obrenowiczów, jako „chorążych tradycyj i narodowych zasad."

Sędziwy Miłosz objął rządy na początku stycznia 1859 roku. Zwolennicy Aleksandra Karadżordżewicza musieli ustąpić przed nowemi sługami wracającego z wygnania księcia. Miłosz sądził, że w nich znajdzie najsilniejsze dla swéj władzy podwaliny. Niejedna

(1) Zob. broszurę: Miloch Obrénovitsch, ou coup d'oeil sur l'histoire de la Serbie de 1813-1830 etc. Paris 1850, w któréj syn Michał wymownie broni swojego ojca.

zdolność poprzedniego rządu zastąpioną została przez służalczą mierność. Książe żył wspomnieniami czasów ubiegłych, nie umiał zrozumieć potrzeb nowego ducha i sądził, że Serbia pozostała tém, czém była w latach jego kwitnącego wieku i najgłośniejszéj sławy. Pomyślniéj kierował sterem kraju w stosunkach na zewnątrz książe Miłosz i syn jego Michał. Załogi tureckie trzymane przez Portę Otomańską w twierdzach serbskich, zawsze jeszcze stanowiły dla uczucia narodowego kamień obrazy. To prawo zwierzchnictwa i opieki Turcya tłumaczyła nieraz dowolnie, ono otwierało jéj zawsze drogę do wywierania pewnéj nad Serbią supremacyi. Pobyt Turków w Belgradzie krępował nawet swobodniejszy rozwój handlu w tém ważném pogranicznem mieście. W poczuciu siły i w patryotycznem, uniesieniu zaczęli się Obrenowicze domagać wycofania z Serbii wszystkich garnizonów tureckich. Owo bombardowanie w 1862 roku Belgradu, które z błahych powstało pobudek, było odpowiedzią sułtana na żądania serbskie. Mocarstwa europejskie, tém zgwałceniem traktatu oburzone, ujęły się za Serbią. Na konferencyi pełnomocników Rossyi, Francyi, Austryi, Prus, Anglii i Włoch przyszło do skutku po długich rokowaniach uroczyste pojednanie, które właściwie było tylko półśrodkiem.

Wprawdzie na mocy protokularnego pojednania Turcya zniosła kilka twierdz wewnątrz Serbii, wprawdzie ograniczyła swoje prawa w Belgradzie: Turcy mogli mieszkać tylko w cyrkule najbliższym cytadeli, z innych miast wszyscy się wynieśli zupełnie; ale nie zrzekła się prawa trzymać załogi w Belgradzie, jakoby w fortecy, która powinna bronić granic państwa tureckiego. Obecność Turków w Belgradzie była solą w oku. Któż mógł być pewnym, iż w danéj chwili znowu z tych samych dział nie posypie się na miejscową ludność grad bomb i kartaczy?

Niezadowolenie chwilowo się tylko uśmierzyło, a przybrało większe rozmiary, kiedy Serbia a zatém i Belgrad obchodziły w 1865 r. narodową pamiątkę, rocznicę 50 letniego wybicia się pod Miłoszem na wolność. Książę Michał chciał wystosować list do Wielkiego Wezyra w październiku 1866 r., domagając się wycofania ostatniéj załogi tureckiéj z Belgradu.

Powstanie w Kandyi, wojownicza postawa Grecyi, ruch ogólny między ludnością chrześcijańską na całym półwyspie bałkańskim, silne nalegania zwłaszcza mocarstw zachodnich, skłoniły Portę do ustępstw z razu nieznacznych, w końcu przy zręcznem działaniu serbskiego ministra rezydenta w Konstantynopolu Risticza prawie zupełnych.

Tyle lat poruszana kwestya fortec i załogi tureckiéj w serbskiém księztwie została nareszcie zgodnie z życzeniami narodu rozwiązana. W 1867 roku 23 marca wydał książe Michał proklamacyą, w któréj zawiadamia kraj i całą ludność, że sułtan zgodził się wycofać wszystkie swoje załogi, że jemu jako księciu Serbii, powierza wszystkie warownie, które on—książę utrzymywać będzie winien dla bezpieczeństwa granic i porządku wewnętrznego, w znak jednak zwierzchnictwa

domaga się sułtan, aby na fortecznych wałach obok serbskiéj powiewała także turecka chorągiew.

Radość była bez granic. Michał, który bez krwi rozlewu tak ważną dla niezależności Serbii uczynił zdobycz, zjednał sobie trwałe w sercach Serbów prawo do wdzięczności. Zgodę wszakże z Portą niebawem zamąciły nieporozumienia. Tych nowych spraw, znanych wszystkim, co się wypadkami politycznemi współczesnéj nam doby zajmują, nie dotykamy. Na półwyspie między chrześciańską ludnością zawrzała wtedy gorąca chęć do boju. Już się zbroili Serbowie. Prędzéj czy późniéj walka jest nieuniknioną, to tylko pewna, że nie Serbowie dadzą hasło do boju.

Historya Literatury Angielskiéj.

(z H. Taina.)

Streścił **Ed. Lub** . . . . .

(Dokończenie).

Wiek XIX.

Romans nowoczesny.

I.

Carlyle.

„Pytać się Anglików, jakich mają ludzi myślących, wymienią zaraz nazwisko Carlyle, ale natychmiast poradzą, iżby go nie czytać, gdyż się go nie zrozumie. Skutkiem téj rady bierze się ze 20 tomów jego dzieła, krytykę, historyą, pamflety, filozofią, fantazye, czyta się je z rozmaitém wzruszeniem, zmieniając przytém i poprawiając codzień swoje zdanie—a nareszcie przyjść trzeba do przekonania, że się ma do czynienia z nadzwyczajném zwierzęciem, z mastodontem zbłąkanym w świecie nie dla niego stworzonym. Po nabraniu tego przekonania, dyssekuje się je z niezmierną ciekawością i wiedzą, że się drugiego podobnego nie znajdzie.“ Taki daje nagłówek Taine, przystępując do określenia stylu i ducha Carlyla.

* * *

Wszystko tu jest nowe: idee, styl, ton, skład frazesów. Autor ten gwałci wszystko: wyrażenia i rzeczy; paradoxy stawia jako zasady,— sens zdrowy przybiéra formę absurdu, tak, iż wydaje się nam jakbyśmy byli przeniesieni w świat, ktorego mieszkańcy chodzą na głowie, w sukni arlekina magnata i manjaka, wykrzykując, podrygując i kurczac się. Czujemy się niemile dotknięci temi nieharmonijnemi oddźwiękami, i radzibyśmy zatkać sobie uszy, obwiązać głowę. Jakiś nowy język trzeba odsylabizować. Spojrzyjmy. Leży przed nami: *Historya rewulucyi francuzkiéj*, książka, która powinnaby być jasną, a tymczasem czytamy takie tytuły rozdziałów: „Urzeczywistnione idee, Wiatyk, Astraea redux, Broglie bóg wojny." Co to za szarady, co za zagadki? Analistow XVIII w. nazywa „rąbiącemi logikę" (loigick choppers) „Nauki bobrów" oto oznaczenie na klasyfikacye najpiérwszych uczonych (pozytywistów). Nie trzyma się wyrażeń prostych, musi każdą swą ideę przyoblec w ciało. Widzenia świetne i pogrzebne obsiadły jego umysł i dlatego każda myśl jest wstrząśnieniem. Nie zdoła rozumować—lecz maluje. Kiedy chce opisać zakłopotanie młodzieńca niewiedzącego jaki obrać zawód w wieku wątpliwości, w jakim żyjemy, wtedy ukazuje: „świat zanurzający się i tonący jak ów stary świat rzymski, którego miara występków się przelała; przepaście, potopy górne i podziemne roztwierają się ze wszystkich stron, a w tym wściekłym chaosie wszystkie gwiazdy na niebie pogasły. Zaledwie oko ludzkie może teraz jednę gwiazdkę dostrzedz; mgły, wyziewy zatrute osłoniły firmament. Błędne ogniki połyskujące tu i owdzie, zastąpiły gwiazdy... i t. d. i t. d.

Dwadzieścia tomów pisanych w tym tonie, w tych obrazach, apostrofach i wykrzyknikach, i rzeczona *Historya rewolucyi francuzkiéj* tak samo—podobna ona do delirium. Carlyle jest jasnowidzem purytańskim; rusztowania, orgie, rzezie, batalie, widma krwawe i wściekłe przesuwają się przed jego oczyma, a on prorokuje, dodaje odwagi lub przeklina. Ktoby nie rzucił książki z gniewu lub ze znużenia, straciłby zmysły... Gdy go czytamy, ogarnia jakiś sen straszliwy i chorobliwy, podczas którego widzenia okropne i dzikie krążą po mózgu.,.

Od wzniosłości do pospolitości, od patetyczności do dziwactwa, jeden tylko krok u Carlyla. Za jednym zamachem ogarnia dwie ostateczności. Uwielbienia jego kończą się sarkazmem. „Swiat jest dlań tak samo świątynią i wyrocznią, jak kuchnią i stajnią". Posługuje się z równą łatwością mistycyzmem i brutalnością.

„Milczenie śmierci—(1) mówi, opisując zachód słońca na przylądku północnym—nic prócz skał granitowych oblanych purpurą i łagodnego szmeru oceanu Północnego wznoszonego powolną falą, ponad którym zwieszone ogromne słońce, a tak leniwe, jak gdyby zasnąć chciało. Atoli okrąg jego oblany purpurą i złotem; a światło jego rozpryskuje się o zwierciadło wód, jak ów słup ognisty chwiejący się i drgający nad przepaścią, roztoczoną u mych stóp. W takich chwilach, samotność jest wszystkiém! Któżby chciał mówić wtedy lub być widzianym, gdy po za nim Afryka i Europa głęboko zdrzémnięte, i gdy przed nim roztwiera

(1) Sartor—resartus.

się nieskończoność milcząca i pałac Przedwiecznego, w którym nasze słońce jest lampą, lampą z przedsionka".

Autor tak zawsze przemawia wspaniale, gdy się znajduje w obliczu natury. Nikt nie przypatrywał się głębiéj wzruszony niemym gwiazdom, krążącym po firmamencie bladym, świat nasz okalającym; nikt nie badał z większém przerażeniem nieskończonéj ciemności, w pośród któréj myśl nasza tylko na chwilę błyska światełkiem. Opisuje też z drżeniem czci i nadziei usiłowania religii, chcące ciemności te przedrzéć. „W samém sercu odległych gór, wznosi się mały kościołek. Umarli śpią na około pod białemi nagrobkami w oczekiwaniu wspólnego wskrzeszenia. Dusza twoja byłaby umarła... gdyby kościół nie był ci podszepnął rzeczy niedających się opowiedzieć, a które wniknęły w duszę twojéj duszy. Ten był mocny, który miał kościół taki, jaki nazwać się godzi kościołem. Przezeń stał on prosto, jakkolwiek w pośrodku niezmierzonych przestrzeni na krańcu wieczności; trzymał się prosto, jako człowiek w obec Boga i w obec człowieka. Szeroki świat bezbrzeżny stał się dlań siedliskiem, które znał". (Hist. rew. fran.). Tylko Rembrandt umiał odnaleźć podobnie ponure wizye zagrzęźnięte w cieniach, przeniknione mistycznemi promieńmi.

Wyobraźnia jego ma pewną bolesną wielkość, ale przechodzi łatwo w szorstkość i trywialność. Nie ma wrzodu, nie ma błota wstrętnych dla Carlyla. Przy sposobności, porównywa on politykę popularną z „psem utopionym oddawna i płynącym za prądem po Tamizie, psem którego zna się z widzenia, z nosa, a którego odór staje się coraz nieznośniejszym." Dziwactw pełno w jego stylu. Kończy też często dytyramb karykaturą. Obryzguje wspaniałe obrazy śmiesznem ulicznikowstwem; poezyą wiąże z kalamburem. „Geniusz Anglii—powiada w książce o Kromwellu—nie krąży już jak orzeł po przez burze!.. Podobniejszy raczéj do żarłocznego strusia zajętego swym żerem, nadstawia on słońcu swą *drugą* kończynę... ale kiedyś obudzą go w sposób straszny, *a posteriori* lub inaczéj".

Takiém błazeństwem zakończa swoje najlepsze dzieło, nieporzucając bynajmniéj tonu poważnego, bolesnego, przekleństw i proroctw. Nie może się utrzymać na miejscu, ale przeskakuje z jednéj idei w drugą, mięsza wszelkiego rodzaju formy i styl, nagromadza porównania pogańskie, wspomnienia biblijne, abstrakcye niemieckie, terminologią techniczną, poezyą fizyologią, matematykę, stare wyrazy i neologizmy. Niema nic, czegoby nie pogniótł i nie podeptał. Sztuka i myśl ludzka kupią się pod jego ręką w ogromny stos gruzów niekształtnych, na szczycie których on sam, niby barbarzyński zdobywca, gestykuluje i walczy.

* * *

Takie usposobienie umysłu, wytwarza *humor*, wyraz niedający się przetłumaczyć ani w języku Taina, ani może w naszym. „Humor jest to—powiada Taine—rodzaj talentu mogący się podobać Germanom jako ludziom północy, przypada do ich umysłu, jak wódka do ich ciała. Lecz ludziom innéj rasy nie smakuje, bo dla nerwów naszych jest on za

ostrym i za gorzkim. Swift żartuje z miną urzędową, Hamlet w chwilach najrozpaczliwszych rzuca całym snopem konceptów, Heine drwi ze swych uczuć w chwili, gdy im się poddaje. Wszyscy ci odziewają idee komiczne w szatę uroczystą, idee poważne w czapkę błazeńską." Drugim rysem humoru jest zapomnienie o publiczności. Autor oświadcza wyraźnie, że nie dba o to, czy się nudzimy lub bawimy, byle się tylko on bawił. Chce on być oryginalnym i wyrafinowanym, jest u siebie, w pantoflach, w szlafroku, z nogami do góry, czasem bez koszuli. Carlyle ma styl sobie właściwy, i objaśnia swą ideę dowolnie, do nas należy zrozumieć lub nie. Robi aluzyą do jakiéjś anegdoty, tém gorzéj dla nas, że jéj nie znamy, krzyczy kiedy go napadnie ochota; pisze według kaprysu wyobraźni i podskoków swéj inwencyi, tém gorzéj, jeżeli nasz umysł inaczéj chodzić przywykł. Ostatnim rysem humoru, jest rozlanie się nagłe jowjalności, schowanéj pod skałami smutku. Nieprzyzwoitość zjawia się nagle. Natura fizyczna, przytłumiona dotąd refleksyą melancholijną, odsłania się do naga na chwilę. Nadto, ponieważ humorysta obejmuje w sobie poetę, więc niespodziewanie wśród monotonnéj płaszczyzny prozaicznéj, ujrzysz nagle krajobraz, mniejsza o to czy piękny czy brzydki, byle zastanowił i uderzył.

Te nierówności już charakteryzują trafnie Germanina samotnego, energicznego, lubownika gwałtownych kontrastów i niespodzianych zwrotów za instynktem fizycznym, tak odmiennego od ras latyńskich i klassycznych raz mówców i artystów piszących zawsze z uwagą na publiczność, miłujących formy harmonijne, rozkosz przedstawiającą się naturalnie. Carlyle jest nawskróś Germaninem dziwacznym i niezwykłym w swych fantazyach i w swych żartach, sam się zwie: „dzikim bykiem, zabłąkanym w lasach Germanii." Tak naprzykład prawne jego dzieło będące filozofią ubrania, p. t. Sartor resartus, zawiera z powodu pantalionów i fartuchów traktaty metafizyczne, polityczne i psychologiczne. „Człowiek według niego jest zwierzęciem ubraném, społeczeństwo zaś ma za podstawę i sukno." „A potém czemże jest człowiek wobec czystego rozumu? Duchem, zjawiskiem Boskiém, *ja* tajemniczém, które pod swém wełnianém ubraniem nosi ubior z ciała utkanego w warsztatach niebieskich, przez które tworzy dla siebie świat z przestrzeniami niebieskiemi, pełnemi gwiazd i tysięcy wieków."

Paradox taki dziwaczny i mityczny, ciągnie się daléj, ukrywając teorye pod szaleństwem, mięszając dziką ironią z czułą idyllą, z opowieścią miłosną, z wybuchem wściekłości i z karnawałowym obrazkiem. Dowodzi doskonale, że „najważniejszém wydarzeniem dziejów nowoczesnych nie jest sejm Wormski, ani batalja pod Austerlic lub Wagram, albo jakabądź inna, ale pomysł Foxa kwakiera iżby sobie zrobić ubiór skórzany, bo „ubrany w ten sposób na całe życie, 'mieszkając w drzewie, mógł swobodnie wynaleźć purytanizm czyli cześć sumienia." W ten sposób obchodzi się Carlyle z ideami, dla których poświęcił życie i serce.

Weźmy znowu ustęp godny Swifta:

„Przypuśćmy—powiada—że świnie (rozumiem tu świnie czworonożne), obdarzone wrażliwością i zdolnością wyższą logiczną, nabrawszy pewnego ukształcenia, są w stanie po pewnym namyśle wylać na papier

idee swe o wszechświecie, o jego interesach i obowiązkach; przypuśćmy, że te idee mogłyby zająć publiczność tyle rozsądną co nasza, i że propozycye byłyby następujące:

1) Świat o ile da się zdrowo przypuścić, jest niezmiernym chlewem dla wieprzków, złożonym z rzeczy stałych i płynnych, z kontrastów, przedewszystkiem zaś z obmyć, które się osiągnęło i z obmyć których się osięgnąć nie da, a tych ostatnich jest ogromna liczba odnośnie do większości świń.

2) Złem moralném jest niemożność osiągnięcia obmycia; dobrem zaś moralném możność osiągnięcia tychże.

3) Poezya świń polega na powszechném uznaniu doskonałości obmycia i doskonałości mielonych krup, i na szczęściu świń mających kałdun pełny i koryto w porządku.

4) Świnia zna się na wietrze; powinna przeto wystawić nos na powietrze dla wywróżenia, jaka będzie pora.

5) Kto stworzył świnię? Niewiadomo. Być może, że rzeźnik.

6) Oznaczyćby trzeba obowiązki świń.

Posłannictwo powszechne świń i obowiązek tychże po wszystkie czasy polega na zmniejszeniu liczby obmyć, których dosięgnąć trudno, a zwiększeniu tych, które osięgnąć łatwo. Wszelki przemysł, nauka, wszelkie usiłowania, powinny być jedynie ku temu skierowane. Mądrość świń, entuzyazm, pomięszanie, nie mają innego celu."

W takiém to błocie zatapia życie społeczne, a mianowicie życie angielskie, zatapiając w jednéj kałuży pozytywizm, nauki, przemysł, kościół, państwo, filozofią i prawo. Ten wymieniony katechizm umieszczony wśród deklamacyi wściekłéj i pieniącéj się, charakteryzuje dziwny Carlyla umysł; nie co innego tylko to naprężenie stanowi jego talent, ono tłumaczy jego obrazy i jego dziwactwa, jego śmiech i jego wybuchy. Temperament angielski, flegmatyczny i zimny na pozór, przemienia się—gdy krew zawrze w żyłach, w rozszalałe zwierzę, potrzebujące dla zasycenia się, zniszczyć wszystko na około. Rodzaj talentu Carlyla żywo właściwość tę przypomina.

* * *

Zdawałoby się, że dusza tak gwałtowna, tak entuzyastyczna, a zarazem dzika, tak oddana na pastwę wyobraźni, tak obdarta z poczucia smaku, porządku i umiarkowania, strawi się w widziadłach bolesnych i niebezpiecznych. Tak przynajmniéj sądzićby się dało z temperamentu przodków autora, owych piratów, purytanów XVII w. i poetów XVI wieku, którzy niszcząc spokój ogólny, zniszczyli zarazem własne serce.

Przeciwnie, dwie przeszkody powstrzymały tego autora: poczucie realistyczne i poczucie wzniosłości, skutkiem czego zamiast chorzéć i stać się marzycielem, stał się filozofem i historykiem.

Potrzeba czytać jego historyą Kromwella, ażeby zrozumieć do jakiego stopnia przenikniony jest poczuciem rzeczywistości i jakiém światłem obdarza go to poczucie. Sprawdza on tradycye i genealogie, zwiedza miejsca, studyuje drzewa, ogląda strumyki, zna wszelkie szcze-

góły polityczne i literackie; z niesłychaną drobiazgowością, a zarazem gwałtownością, odtwarza w naszych oczach stronę zewnętrzną przedmiotów i spraw i stronę wewnętrzną idei i uczuć. Czyni to z potrzeby i z zamiłowania. W ogromnéj, a pustéj przestrzeni przeszłości, oczy jego zatrzymują się chciwie na kilku jaśniejszych punktach. Ciemne bagnisko zapomnienia pochłonęło resztę; miliony uczynków i myśli miliona istot przepadły, żadna już potęga nie powoła ich napowrót do światła, tylko tych kilka punktów sterczy do góry, niby szczyty najwyższych skał zatopionych w oceanie. Z jakimże zapałem i głębokiem poczuciem światów zniszczonych, których szczyty te są świadectwem, dotyka się ich historyk, ażeby z ich natury i budowy zachwycić jakąś wiadomość o zaginionych gatunkach, których już ludzkie oko nie ujrzy! Dla tego cyfra pojedyncza, szczegół wydatku jakiego, nędzny frazes barbarzyńskiéj łaciny, stają się dla Carlyla wartością niemającą ceny . . .

Pojmuje on tak, jak każdy historyk z poczuciem rzeczywistości, że pargaminy, mury, suknie, nawet ciała nie są niczém inném tylko dokumentami, że zaś faktem prawdziwym jest uczucie wewnętrzne ludzi którzy niegdyś żyli, że faktem jedynie ważnym jest stan ich duszy, bo od niego zawisło wszystko. Potrzeba bowiem raz jeszcze powtórzyć, że historya nie jest czém inném tylko historyą serca, i że winniśmy odnaleźć i zrozumieć uczucia przeszłych pokoleń—nic innego.

To właśnie widzi Carlyle. Przed nim stoi człowiek wskrzeszony; patrzy on w jego wnętrze, widzi jak tenże cierpi, pragnie i czuje, a widzi i patrzy nie chłodno, ale z całą mocą serca i swego spółczucia, jako widz przekonany, dla którego dzieje przeszłe raz stwierdzone dowodami, stają się równie dotykalnemi i widzialnemi jak przedmioty cielesne, dające się dotknąć ręką. Według niego wielcy ludzie, królowie, pisarze, prorocy i poeci tylko z tego stanowiska oglądani, są wielkimi.

„Charakter jakiegobądź bohatéra, w jakiéjbądź epoce i w jakiembądź miejscu, polega na oparciu o rzecz samą, a nie o pozór rzeczy.“ Wielki człowiek odkrywa jakiś fakt nieznany lub pominięty, ogłasza go, wszyscy go słuchają, idą za nim i oto cała historya. A nietylko, iż on odkrywa i ogłasza, ale sam wierzy weń i widzi go. Wierzy zaś nie przez przypuszczenie, ale nieugięcie i absolutnie. Mniemanie ustąpiło przed przekonaniem, tradycya przed intuicyą. Carlyle tak ufa w ten proceder, że go przypisuje wszystkim wielkim ludziom. I ma słuszność. Wszędzie gdzie wchodzi z takim kagańcem, światło przenika, wszędzie przy téj pomocy zagłębia się w sercu człowieka, wszędzie prześciga historyą polityczną i oficyalną. W ten sposób odgaduje charaktery, pojmuje ducha wieków zamierzchłych, czuje lepiéj od każdego Anglika, nawet od Macauleya, przewroty duszy. Tą siłą wyobraźni, tą przenikliwością antykwarską, tym szerokim poglądem dorównał prawie Niemcom, a przecież nie jest twórcą przypuszczeń i marzydeł; nie cierpi historyi awanturniczéj i niepewnéj; odrzuca legendy i podania, a zgadza się zaledwie w połowie na etymologią i hipotezy germańskie.

Pragnie on z historyi wyciągnąć prawo pozytywne i czynne dla siebie samego i dla czytelników. Odrzuca przeto wszystko, co nagromadzać zwykła wyobraźnia romantyczna i ciekawostka naukowa. Bierze

w ręce jedynie drzewo zdrowe i mocne, przyciąga go przed nasze oczy, wywija niém tak gwałtownie, oświeca światłem tak ostrém, opromienia kontrastami obrazów tak szorstkiemi i nadzwyczajnemi, że czujemy się porwani, i wbrew naszéj woli dosięgamy stopnia jego widzeń i wiary. Fakta pochwycone przez taką wyobraźnią gwałtowną, stapiają się jakby w płomieniu. Wszystko drga pod tą furyą pomysłów. Idee przemienione w halucynacye wstrząsają się, istoty wydają się marzydłami, świat cały wydaje się tylko senną marą, a wobec wizyi wewnętrznych, zmysłowość i cielesność zatracają się zupełnie. Człowiek nie znajduje już różnicy między pomysłem a marą, mistycyzm wdziera się między rozgrzane ściany czaszki . . .

W ten sposób wdarł się niegdyś w ekstazę ascetów indyjskich i w filozofią naszych dwóch wieków. Wszędzie bowiem ten sam stan wyobraźni wprowadza te same doktryny. Purytanie prawdziwi przodkowie Carlyla byli na téj saméj drodze, on zaś nie przestaje powtarzać, „że jesteśmy stworzeni z téj saméj materyi co nasze sny.“ Świat ten tak realny, wydarzenia tak niezapomniane i wyraziste, są dla niego tylko zjawiskami a raczéj widmami, a świat ten Boskim. Chléb twój i suknie cudem są, a natura nadnaturalną.“

„Nauka ateuszowska plecie nędznie o świecie, z całém swém doświadczeniem i Bóg wié z czém, jak gdyby świat był rzeczą nieżywotną, dającą się zapakować w butelki Leydeyskie i sprzedawać w kantorach. Świat jest rzeczą żywotną, niewypowiedzianą i Boską, w obec którego cała nasza nauka jest tylko uwielbieniem, pokorą, osłupieniem . . . . .“ W istocie Carlyle dochodzi do osłupienia. Często drżąc cały przerywa sobie opowiadanie i marzy. (W histor. rewol. francuzkiéj). Obsiadają umysł jego obrazy ponure i złowieszcze. Drży na samą myśl, że ludzie mają żywot jeszcze *gdzieindziéj*, i że odpowiadać będą wiecznie za swój żywot krótki doczesny; drży na samą myśl tego świata przedwiecznego, którego nasz jest tylko ruchliwym i zmiennym odbłyskiem. Widzi w nim coś wspaniałego i strasznego, a to dla tego że odzwierciedla jeden i drugi według własnego ducha, że je określa według własnych wrażeń.

Chaos świetnych widziadeł, nie kończących się w przestrzeni burzy się w nim za najmniejszém poruszeniem; idee gwałtowne, poprzerywane, napływają ze wszystkich kątów horyzontu ciemno-błyskawicznego; myśl jego jest burzą, i te to właśnie wspaniałe blaski, te ciemności i przerażenia burzy przypisuje wszechświatu samemu. Tego rodzaju pomysłowość staje się prawdziwém źródłem uczucia religijnego i moralnego. Człowiek nią przenikniony, pędzi życie na wzór purytański w bogobojności. Carlyle nieinaczéj przepędza życie, a wszystkie jego książki są proroctwami.

* * *

Tak więc niezaprzeczenie jestto umysł dziwny, pobudzający do zastanowienia. Takie istoty ekscentryczne najwłaściwiéj objawiają prawdę.

W tém miejscu podaje Taine dwojaki proceder myślenia i tworzenia, oraz pojęcie *grupy*. Powiada: w chwili gdy chcecie myśléć, macie przed sobą przedmiot cały i wyraźny, czyli zbiór szczegółów powiązanych ze sobą i odłączonych od swych przypadłości. Jakiembądź byłoby drzewo, zwierzę, uczucie, wydarzenie, zawsze ma ono części, a części te stanowią zawsze całość; grupa ta mniéj lub więcéj rozległa ma w sobie inne i sama tkwi w innych, tak że najmniejsza część świata czy téż świat cały jest *grupą*. Otóż cała praca myśli ludzkiéj polega na odtworzeniu tych grup. Stosownie do tego czy umysł się ku temu nadaje lub nie, jest on zdolnym lub niezdolnym; stosownie do tego czy może wytworzyć grupy całkowite czy tylko niektóre z jéj cząstek, jest on całkowitym lub cząstkowym.

A cóż to znaczy odtworzyć grupę? Znaczy to nasamprzód oddzielić od niéj wszystkie części, potém uporządkować je w szeregi wedle podobieństw, potém sformować te szeregi w rodziny, nareszcie połączyć wszystko pod jakąś cechę ogólną i panującą; krótko mówiąc, naśladować klassyfikacyą hierarchiczną nauk. Ale zadanie jeszcze nie skończone. Hierarchia ta nie jest bowiem urządzeniem sztucznem i zewnętrznem, ale koniecznością naturalną i wewnętrzną; przedmioty są żywotne i siła jest jakaś, która wytwarza i organizuje tę grupę, która wiąże szczegóły i całość, która powtarza typ we wszystkich cząstkach. Otóż tę to siłę winien umysł wytworzyć w samym sobie ze wszystkiemi następstwami; potrzeba iżby ją odczuł przez odbicie i przez sympatyę, iżby odrodził w sobie grupę całą, iżby się w nim tak rozwinęła, jak się rozwinęła po za nim; iżby szereg idei wewnętrznych był naśladownictwem szeregu przedmiotów zewnętrznych, iżby wzruszenie dołączyło się do koncepcyi a wizya dokończyła analizy, iżby wreszcie umysł stał się tak twórczym jak natura: wtedy dopiéro możemy powiedzieć, że cóś znamy, coś wiemy.

Wszystkie umysły wchodzą na jednę z tych dróg. Drogi te dzielą umysły na dwie wielkie klassy i odpowiadają temparamentom. Na piérwszéj znajdują się zwyczajni uczeni, mówcy, pisarze i w ogóle wieki klassyczne i rasy latyńskie; na drugiéj poeci, prorocy, zazwyczaj wynalazcy, w ogóle wieki romantyczne i rassy germańskie. Piérwsi idą krok za krokiem, z jednéj idei w drugą, są metodyczni i ostróżni, mówią dla wszystkich i dowodzą tego, co mówią; dzielą pole, po którém przebiedz mają, na przegródki dla wyczerpania przedmiotu; chodzą po gościńcach wygodnych, ażeby nie upaść; z wniosków ogólnych przechodzą w coraz ogólniejsze: całkowicie klassyfikują grupę. Kiedy się zagalopują po za prostą analizę, cały talent ich polega na obronie wymownéj swych tez; pomiędzy spółczesnymi Carlyla Macauley jest wzorem najdoskonalszym umysłu tego rodzaju. Drudzy zagłębiwszy się bez porządku w szczegółach grupy, zaczepiają jednym nagłym skokiem o ideę rodzicielkę. I wtedy widzą ją całą; czują potęgi jéj składowe, i odtwarzają ją przez odgadnienie, malują ją w skróceniu słowem najwyrazistszém i najdziwaczniejszém; nie są w stanie rozłożyć jéj na szeregi regularne, ale zawsze spostrzegają ją ryczałtem w masie (en bloc). Myśl u nich wytwarza się jedynie przez nagłe skupienie idei gwałtownych, mają widzenie dalekich skutków lub czynów żywych, są objawicielami lub poetami.

„Michelet—powiada Taine, kończąc tę klassyfikacyę pociągającą, lubo dowolną i świadczącą o szkole do której należy, — jest u nas najlepszym wzorem *téj formy intelligencyi*, Carlyle zaś jest Micheletem angielskim.“

Wie Carlyle o tém, i dlatego słusznie utrzymuje, że geniusz jest intuicyą, *widzeniem wewnątrz*, (insight). „Metoda Teufelsdrecka — powiada, mówiąc o osobie, w której się sam maluje,—nie jest pospolitą logiką szkolną,... ale praktycznego rozumu, postępującego naprzód za pomocą szerokiéj intuicyi, obejmującéj grupy i całe królestwa systematyczne;.... jest ona duchowém malarstwem natury, szperaniem wspaniałém—ale jak wiara szepcze cicho, nie pozbawioném planu.“

Prawda, lecz za nią idzie ciemność—mówi daléj Taine—i zawiłość. Potrzeba dla zrozumienia jéj prawdziwie ją studyować, a mało jest ludzi z powołania krytyków. Pisze się zaś na to, ażeby być zrozumianym, a nie dla stawiania zagadek.

„Proceder wizyonerski Carlyla jest cokolwiek ryzykowny, lepszy jest metodyczny który sprawdza każdy krok“ dodaje Taine.

Co prawda to te natchnienia gwałtowne Carlyla są bardzo często pozbawione wszelkich dowodów, Carlyle każe je szukać czytelnikowi, a czytelnik nie zawsze chce się fatygować. Nareszcie affektacya nieuniknioną jest przy takim stylu. Proroctwo jest stanem nadzwyczajnym, niemogącym trwać długo, zastępują je więc wkrótce wszelkie giesta. Carlyle rozgniewa się umyślnie, ażeby być ciągle ognistym, wpada w ciągłą epilepsyą, w żargon, w deklamacyą, w wykrzykniki, starając się podrażnić nasze nerwy, co w ostatku nie jest zbyt miłém. Wielu téż sądząc z teoryi i sposobu wyrażania się Carlyla, posądzi go o pozowanie na nieuznaną wielkość, na nieuznanego bohatéra, według którego rodzaj ludzki, ażeby się odrodzić, powinienby w jego powierzyć się ręce.

Niezawodnie, że daje nam lekcye, że pogardza epoką, że przemawia tonem zgryźliwym, że nienawidzi opozycyi, która w jego oczach nie dorosła mu do kolan. Grubiańsko się téż wyraża o swych poprzednikach; gdy mówi o biografach Kromwella, przybiera minę geniusza który wlazł między idyotów. Na ustach jego krąży pyszny uśmiech, zdający się oznaczać bohatéra uważającego się za męczennika; jeżeli zaś wychodzi z téj roli, to na to ażeby wrzeszczéć z całego gardła, jak źle wychowany plebejusz.

Atoli wszystkie te usterki odkupuje on rzadkiemi przymioty. Mówi prawdę, a umysły takie jak on, posiadają wiele głębokości i zdolności do czynienia odkryć. Suchy klassyfikator bowiem nic nie wynajdzie. „Ażeby poznać przedmiot jaki, potrzeba miéć doń zamiłowanie.“ (Bohater: Carlyle) „Wyobraźnia jest organem, za pomocą którego rozumiemy rzeczy Boskie,“ co znaczy, że każdy przedmiot żywotny czy nieżywotny, obdarzony jest siłami wpływającemi na jego rozwój, i że ażeby go poznać, potrzeba go odtworzyć w nas samych. W istocie sposób ten będący naśladownictwem natury, jest jedynym, z pomocą którego radzimy przeniknąć naturę; Szekspir uważał go za instynkt a Goethe za metodę. Najwłaściwszym jest on do odnowienia naszych idei, do wydobycia nas z formułek i przesądów, w których przez wychowanie wzrastamy, do pogruchotania przeszkod, jakie nam stawia otoczenie nasze. Z jego to po-

mocą Carlyle wydobył się z idei oficyalnych angielskich, przejął się filozofią i naukami niemieckiemi, ażeby, spożytkowawszy je dla swych celów, przerobić je znowu na teoryą oryginalną o człowieku i o świecie.

* * *

Z Niemiec przeto pochodzą najwspanialsze idee Carlyla. Zna on doskonale język niemiecki i literaturę, którą stawia w piérwszym rzędzie. Przełożył „Wilhelm Meisters Lehrjahre," napisał o pisarzach niemieckich szereg artykułów krytycznych. W r. 1869 zaczął pisać historyą Fryderyka W. Był on jednym z najoryginalniejszych i najwiarogodniejszych installatorów literatury niemieckiéj w Anglii. Nie łatwa to i niemała sprawa.

* * *

„Niemcy od r. 1780—1830 wypuściły w świat wszystkie idee naszego wieku, powiada Taine w r. 1869, które może przez wiek cały jeszcze będziemy powtarzali. Objaśnia myśl tę bliżéj w ten sposób: w niektórych epokach zjawia się pewna *forma* duchowa oryginalna, stwarzająca filozofią, literaturę, sztukę, naukę, a która odnowiwszy czy odświeżywszy myśl człowieka, odnawia zwolna ale nieomylnie wszystkie jego myśli. Wszystkie umysły badające i wynalazcze znajdują się w tym prądzie: jeżeli postępują, to przezeń; jeśli mu się sprzeciwiają, stanąć muszą, a jeżeli prąd ten wspierają, to posuwają się daléj od innych. Ruch ten trwa tak długo, dopóki coś jeszcze wynaleźć można, i dopiéro gdy sztuka wydała swe dzieła, filozofia wszystkie swe teorye, nauka wszystkie swe odkrycia, ustaje on; a na jego miejsce wstępuje inna forma ducha, lub téż człowiek przestaje myśleć. W taki sposób ukazał się za czasów odrodzenia geniusz artystyczny i poetyczny, który zrodzony we Włoszech, przeniesiony do Hiszpanii, zgasnął tam w przeciągu półtora wieku, i który przeniesiony do Francyi i Anglii, zniknął po stu latach pośród szaleństw sekciarzy, po dokonanéj Reformie, ustaliwszy zarazem myśl wolną i ugruntowawszy naukę. W taki sposób powstał z Drydenem i Malherbem duch wymowy i klassycyzmu, który wytworzywszy filozofią XVIII wieku, wziął za następców Woltera i Popego i zniknął zupełnie, zaprowadziwszy w Europie ogładę i przygotowawszy rewolucyę francuzką.

Nareszcie w taki sposób powstał z końcem ostatniego wieku geniusz filozoficzny niemiecki, który zrodziwszy metafizykę, teologią, poezyą, literaturę, lingwistykę, egzegezę, nową erudycyą, przechodzi obecnie w inne nauki (przyrodnicze), rozwijając się daléj. Objaw ten jest od 300 lat najoryginalniejszym, najpłodniejszym w następstwa wszelakie, najsposobniejszym do przerobienia wszystkiego. Pociąga on za sobą wszystkie wielkie dzieła inteligencyj spółczesnych, ukazuje się we wszystkich krajach cywilizowanych, rozwija się i rozszerza pod rozmaitemi postaciami. Staje się on jedną z epok historyi świata; natrafić nań można w jednéj i téj saméj cywilizacyi i w tychże samych rasach... Możemy

wnioskować, że trwanie jego będzie długie... i możemy rozróżniać formę tego ducha i zbadać, do jakich idei nas prowadzi.

* * *

Na czém polega ta forma? Na zdolności wytworzenia idei generalnych. Żaden naród i żaden wiek, nie posiadał jéj w tym stopniu co niemiecki. Taką to siłą zdziałali wszystko, ta siła jest darem zrozumienia, objęcia *(begreifen)*. Ona stwarza pojęcia *(begriffe)*; pod przewodem jednéj idei wspólnéj, gromadzą się rozrzucone cząstki przedmiotu, w poddziałach grupy rozeznaje się węzeł wspólnie łączący, a pozorne kontrasty doprowadzić łatwo do jedności. To jest właśnie szczególna zdolność filozoficzna, ona téż na wszystkich dziełach wycisnęła swoje piętno. Z jéj pomocą ożywili Niemcy nauki suche, dotychczas zajmujące tylko akademików i seminarzystów; za jéj pośrednictwem odgadli logikę pierwotną, która stworzyła i uorganizowała języki, wielkie idee skryte na dnie każdego dzieła sztuki, jakotéż intuicyą metafizyczną, która zrodziła religią i mity. Przez nią dostrzegli ducha wieku, cywilizacye i rasy, i przeistoczyli w system praw historycznych nagi zbiór faktów; przez nią odnaleźli znaczenie dogmatów, złączyli Boga ze światem, człowieka z naturą, ducha z materyą; dostrzegli następstwo łańcuchowe i konieczność oryginalną form, których całością jest wszechświat. Przez nią wyrobili lingwistykę, mitologią, krytykę, estetykę, egzegezę, historyą, teologią i metafizykę, wszystko nauki tak dalece nowe, że długi czas były niezrozumiałe, zmuszone wyrażać się swoim odrębnym językiem.

Skłonność ta do idei ogólnych, była tak wszechpotężną, że nawet poeci tworząc dramaty, epopeje i ody, odnosili je do tychże. Bohaterów przemieniali w symbole, idee filozoficzne zaś rozsadzały formę poetyczną, w któréj je chcieli zamknąć; byli oni wszyscy krytykami (Goethe) zajętymi budowaniem i odbudowaniem, erudytami i twórcami metod, pociągniętymi ku wyobraźni przez sztukę i studya, niezdolnymi do stworzenia istot żyjących, chyba sztucznie.

* * *

Z téj zdolności obejmowania całych grup zrodzić się mogła jedna idea: idea *rozwoju* (Entwickelungsidee). Wszystkie te idee krążące w Niemczech od lat 50, do téj jednéj dadzą się zredukować. Polega ona na przedstawieniu wszystkich części grupy jako solidarnie ze sobą związanych, jako uzupełniających się nawzajem, i to w ten sposób, że jedna wymaga drugiéj, jedna zależy od drugiéj, i że wszystkie razem złączone, objawiają już swém następstwem i kontrastem, przymiot wewnętrzny, który je wytworzył. Tę ideę zasadniczą stwierdzało lub przekręcało dwadzieścia systematów, sto marzeń, 100,000 metafor.

Zastósowawszy tę ideę do natury, dochodzi się do uważania świata jako (stopniowania) *drabiny* form, i jako ciągu stanów, mających same w sobie racyą bytu, zamykających w swéj naturze konieczność swego upadku i swego ograniczenia, składających przez swój związek całość

niepodzielną, która, wystarczając sama sobie i łącząc wszystko, czas i przestrzeń aż do życia i myśli, staje się przez tę harmonią i tę wspaniałość podobizną jakiegoś Boga wszechpotężnego i nieśmiertelnego. Odnosząc tę ideę zasadniczą do człowieka, dochodzi się do uważania uczuć i myśli jako produktów naturalnych i koniecznych, splecionych ze sobą na wzór przemian dokonywanych w zwierzęciu i roślinie, co znowu prowadzi do pojmowania religij, filozofij, literatur, wszelkich pomysłów i wzruszeń ludzkich jako następstw koniecznych stanu umysłu, który unosząc się porywa je z sobą; wracając, sprowadza je napowrót... Oto dwie doktryny, któremi przeniknione pisma dwóch pierwszych myślicieli wieku: Hegla i Goethego. Obaj posługiwali się niemi wszędzie jako metodą: Hegel dla znalezienia formuły na wszystko, Goethe dla stworzenia sobie wyobrażenia o wszystkiém; obaj tak dalece niémi przesiąkli, że na nich oparli swoje uczucia wewnętrzne i zwykłe, swoją moralność i postępowanie.

Dwie te doktryny uważać można jako dwa legaty filozoficzne, któremi nowoczesne Niemcy obdarzyły rodzaj ludzki.

* * *

Ale te legaty nie były czyste, ani ta namiętność do idei ogólnych. Rzadko się bowiem zdarza, iżby umysł nasz pochwycić mógł przedmiot we wszystkich szczegółach i odnośnie do całości; ograniczeni jesteśmy małością przestrzeni i czasu, organa nasze nie daleko sięgać mogą, doświadczenia robimy dopiéro od 300 lat, pamięć nasza krótką jest, a dokumenta, przy pomocy których zagrzebujemy się w przeszłości wątpliwemi są ognikami, rozrzuconemi na ogromnych obszarach na to zaledwie, iżby je odsłonić, a nie oświecić. Ażeby powiązać drobne te wskazówki, trzeba najczęściéj stworzyć przypuszczenie przyczyn, albo téż posługiwać się ideami ogólnemi tak szerokiemi, iżby się pod nie wszystkie fakta podciągnąć dały; potrzeba się ratować hipotezą albo abstrakcyą, potrzeba wymyślić objaśnienie dowolne a stosowne, albo zgubić się w objaśnieniach niepewnych. Dwa te błędy zepsuły myśl niemiecką. Przypuszczenie i formuła rozsiadły się bujnie. Poczęły się roić systemata jedne za drugiemi, jeden przytłumiając drugi, jeden trwający krócéj od drugiego. Publiczność europejska zadziwiła się nad tak bogatą wyobraźnią a tak wątłym zdrowym sensem, nad tyloma ambitnemi pretensyami i tyloma teoryami pustemi, nad taką massą abstrakcyj niepożytecznych i zupełnym brakiem rozróżnienia, a wreszcie nad tak chimerycznem rozumowaniem. Atoli szał, głupstwa i geniusz, płynęły z jednego źródła; jedna i ta sama zdolność wszechpotężna spowodowała odkrycia i błędy.

Każdy naród ma swój geniusz oryginalny, przez który urabia idee, wzięte z obcego źródła. Tak Hiszpania w XVI i XVII wieku odnowiła w innym duchu poezyą i malarstwo włoskie; tak purytanie i janseniści odtworzyli w nowych ramach protestantyzm pierwotny; tak francuzi XVIII w. rozszerzyli i obwieścili liberalne idee anglików w religii i polityce. Francuzi nie mogą ogarnąć za jednym zamachem tak jak niemcy wielkich pomysłów. Posuwają się tylko krok za krokiem, wychodząc z idei wyraźnych i dopiéro nieznacznie wznoszą się do abstrakcyinych,

według metody progresyinéj i analizy stopniowéj Condillaca i Kartezyusza. Ale ta powolna droga, prowadzi prawie tak daleko jak tamta, a w dodatku nie uchroni się od fałszywego kroku. Przez nią to zdolni jesteśmy zrozumieć i poprawić poglądy Hegla i Goethego. Z jednéj strony pozytywistyczna metoda, z drugiéj historya, romans i krytyka, dotknęły praw, na których oparte są wydarzenia ludzkie, natura uwidoczniła się, powiada z naciskiem Taine, jako porządek faktów, człowiek jako kontynuacya natury, a jeden z najwznioślejszych umysłów naszego czasu p. Renan, miarkując natchnienia niemieckie, ułożył w stylu francuzkim wszystko co nauka mytów, religii i języków nagromadziła po za Renem od lat sześćdziesięciu.

* * *

Trudniéj odbył się ten proceder w Anglii, bo tutaj zdolność do idei ogólnych jest mniejszą a nieufność przeciw tymże jest większą. Tu odrzucają odrazu wszystko, co mogłoby zaszkodzić moralności praktycznéj albo ustalonemu dogmatowi, a przecież droga obrana przez Carlyla jest jedyną, przez którą idee niemieckie stać się mogą angielskiemi. Przez tę drogę, poezya i religia dwóch tych krajów styka się z sobą, przez nią dwa te narody zbratać się mogą. Poczucie rzeczy wewnętrznych (móight) tkwi w rasie, a poczucie to jest pewnego rodzaju darem, natchnieniem filozoficznem. W razie potrzeby, serce zastępuje mózg. (Przypominamy, że Taine bardzo często i mimowoli, wychodzi ze swéj pozytywnéj natury). Człowiek „natchniony“ wnika w głębię rzeczy, dostrzega przyczyny przez doznane wstrząśnienie, obejmuje całość jasnością i szybkością swéj twórczéj wyobraźni. Albowiem skoro tylko kto tworzy, czuje zaraz w sobie samym, siłę działającą w przedmiotach objętych jego myślą; przez sympatyą dorozumiewa się ich znaczenia i związku; intuicya jest analizą skończoną i żywą. Poeci i prorocy, Szekspir i Dante, święty Paweł i Luter, byli samochcąc systematycznemi teoretykami, a wizye ich zawierają poglądy ogólne na świat i człowieka.

Mistycyzm Carlyla jest potęgą takiego rodzaju. Wykłada on w stylu poetycznym i religijnym, filozofię niemiecką. Mówi jak Fichte „o idei boskiéj świata, w rzeczywistości, spoczywającéj na dnie każdego zjawiska.“ Mówi jak Goethe „o duchu wiecznie przędzącym żywą suknię bóstwa.“ Pożycza metafor, tylko że je bierze dosłownie. Uważa bowiem jako istotę tajemniczą i wzniosłą Boga, którego oni uważają jako formę lub jako prawo. Jedność natury, którą oni pojąć chcą przez rozumowanie i przez abstrakcye, on pojmuje przez egzaltacyą, przez marzenie boleśne.

Analiza metodyczna wraz z klasyfikacyą nauk pozytywnych, krytyka francuzka zaostrzona smakiem literackim i obserwacyą świata, krytyka angielska oparta na zdrowym sensie praktycznym i na *intuicyi pozytywnéj* (sic); nakoniec gdzieś tam w zakątku, wyobraźnia poetyczna, oto są cztery gościńce, po których dąży dzisiaj umysł ludzki, dla dostania się na wzniosłe szczyty, do których zdawało mu się, że zmierzał, i które utracił.

Wszystkie te drogi prowadzą na jeden i ten sam szczyt, tylko widoki i poglądy z téj wysokości, z tego szczytu, są odmienne. Szczyt po którym stąpał Carlile, był jednym z najodleglejszych, i leżał w perspektywie najdziwaczniejszéj. Posłuchaj czytelniku własnych słów jego.

* * *

„Nie jestto metafizyka ani żadna inna umiejętność abstrakcyjna, mająca siedlisko w głowie saméj, ale filozofia życia, mająca siedlisko w sercu i mówiąca do serca.“ Carlile wypowiada tu pod imieniem Teufelsdrecka, cały szereg wzruszeń, które go do tego doprowadziły. Są to wszystko wzruszenia purytanina nowoczesnego, jako zwątpienia, rozpacze, walki wewnętrzne, egzaltacye i rozdarcia, przez które dawni purytanie dochodzili do wiary, czyli—jestto ich wiara tylko pod inną formą. Według Carlyla jak i według purytanów, człowiek duchowy i wewnętrzny oddziela się od człowieka zewnętrznego i cielesnego, rozróżnia obowiązek od nagabywań przyjemnych, odkrywa Boga pod pozorami natury, i po za światem i instynktem wrażliwym spostrzega świat i instynkt naturalny.

* * *

Właściwością Carlyla tak jak i każdego mistyka jest, dopatrywanie w każdéj rzeczy podwójnego znaczenia; według niego, tekst i przedmioty, można dwojako objaśniać. Jedno objaśnienie jest proste, dostępne dla wszystkich, przeznaczone dla życia zwykłego, drugie wzniosłe, dostępne tylko dla niektórych, zdolne do życia wyższego. „Wobec pospolitéj logiki — powiada Carlyle — czemże jest człowiek? Dwunożném wszystkożernem zwierzęciem, noszącém spodnie. W obec czystego rozumu, czemże jest? Duszą, duchem, boskiem zjawiskiem.“ Tajemnica tkwi pod suknią cielesną. Głęboko jest ono schowane pod tém dawném okryciem, pośród tonów, kolorów i form, które są jego powijakami. A przecie suknia ta utkaną jest w niebie i godną Boga.“ „Materya bowiem jest duchem, objawieniem ducha. Rzecz widzialna, czémże jest jeżeli nie suknią, szatą czegoś wyższego i niewidzialnego, czegoś niepojętego i niepożądającego kształtu, zaciemnionego właśnie przez swój blask.“

„Wszelkie rzeczy widzialne są godłami: to co dostrzegasz, nie istnieje z własnéj woli. Właściwie mówiąc, nic tam niéma, materya istnieje duchowo tylko dla wyrażenia jakiejś idei i dla ucieleśnienia jéj zewnętrznego. Czyż wyobraźnia nie jest zmuszoną utkać suknie, ciała widzialne, przez które objawiają się natchnienia i kreacye niewidzialne naszego rozumu? Język, poezya, sztuki, kościół, państwo nie są niczém inném tylko symbolami. Symbole to kierują człowiekiem szczęśliwym czy nieszczęśliwym; zewsząd widzi się on otoczony symbolami uznanemi za takowe lub nieuznanemi. Wszystko, co zdziałał nie jestże symboliczne? a życie jego nie jestże objawieniem widzialném daru boskiego, siły mistycznéj w nim będącéj?“

Wstąpmy wyżéj i przypatrzmy się czasowi i przestrzeni, tym dwom przepaściom, których zdaje się, że nic nie zapełni ani nie zniszczy

a po nad któremi unosi się życie nasze i świat. „Są one tylko formami naszéj myśli . . . „Niéma ani czasu ani przestrzeni, są to tylko wielkie pozory" obleczone myślą naszą. Nasze źródło leży w wieczności, pozornie wydaje się, jakbyśmy się rodzili i umierali . . . Wiedz dobrze, że tylko cienie wieku zginęły i zginąć mogą, że substancya rzeczywista wszystkiego, co było i co jest, istnieje w tejże chwili i na zawsze." Tak jak jesteśmy ze zmysłami naszemi i z ciałem naszém sądzimy się być rzeczywistymi, gdy tymczasem cała ta zewnętrzna strona jest tylko widmem, pojawem. „Te członki, ta krew żywa ze wszystkiemi namiętnościami jest tylko prochem i cieniem, systemem cieni zgromadzonych w około naszego ja !" . . Cóż więc znajduje się pod temi czczemi i próżnemi pozorami? Cóżto jest za istota niewzruszona, któréj natura jest „szatą zmienną i żywą?" Nikt tego nie wie, jeżeli się serce domyśla, duch tego nie spostrzega. „Stworzenie rozpościera się przed nami, jak wspaniała tęcza, ale słońce które ją stwarza, zostaje po za nami, po za obrębem naszego wzroku." Mamy tylko poczucie, ale nie wiemy o tém pojęciu. Czujemy, że świat ten jest piękny i straszny „ale jego treść pozostanie zawsze bez nazwiska i określenia." Możemy tylko paść na kolana przed tém zasłoniętem obliczem, bo osłupienie i uwielbienie to nasza prawdziwa postawa. „Nauka bez czci jest bezpłodną a może zatrutą. Człowiek który czcić nie jest zdolny, który nie umie czcić i uwielbiać choćby był prezydentem stu towarzystw królewskich, i choćby nosił w głowie całą mechanikę niebieską i całą filozofię Hegla . . . nie byłby niczém innem jak parą okularów, po za któremi niéma wcale oczu." „Zdejm łuskę z twych oczu a patrz. Ujrzysz, że świat ten wspaniały w najmniejszéj ze swych dziedzin, jest miastem gwiazdzistem Boga; że z po za każdéj gwiazdy, każdego źdbła trawki, z po za każdéj duszy żyjącéj przebłyskuje chwała jednego Boga obecnego. Pokolenie po pokoleniu, ludzkość przybiera formę ciała, ukazując się z posłannictwem niebios. Poczém posła niebios odwołują, ubranie jego ziemskie spada, stając się nawet dla zmysłów znikającym cieniem . . . Tak więc niby armia duchów stworzonych przez Boga, wychodzimy z próżni, spieszymy burzliwie przez ten padół ziemski, a potém znów zatapiamy się w próżni. Ale zkąd przychodzimy o Boże i gdzie dążymy? Zmysły nie dają na to odpowiedzi ani wiara; wiemy tylko że to tajemnica."

* * *

Tak gwałtowna poezya religijna przepełniona nawskróś wspomnieniami Miltona i Szekspira, nie jest niczém innem jeno *transkrypcyą* angielską idei niemieckich. Istnieje reguła stała na dokonanie téj *transkrypcyi* czyli przemiany jednych idei w drugie; można zaznaczyć każdy krok prowadzący z prostéj koncepcyi filozoficznéj w stan ostateczny i gwałtowny. I tak biorąc świat tak jak go wskazują nauki, jest on grupą regularną, układającą się według praw pewnych, które to prawa nazwać można siłą. Jeżeli jesteś artystą pochwycisz odrazu siłę, szereg skutków i cały tryb regularny, przez który siła wytwarza ten szereg. Jestto przedstawienie najdokładniejsze, do którego świadomość nasza

dojść powinna. Lecz po za tą granicą zaczepiają się widma, które umysł tworzy, a któremi sam się łudzi. Jeżeli masz cokolwiek wyobraźni, zrobisz z téj siły istotę odrębną, stojącą po za doświadczeniem, duchową, będącą źródłem i treścią rzeczy widocznych: będzie to istota metafizyczna. Podnieś o jeden stopień twoję wyobraźnię i twój entuzyazm, a powiesz, że ten duch stojący po za obrębem czasu i przestrzeni, objawia się właśnie przez czas i przestrzeń, że tkwi w każdéj rzeczy, że ożywia wszystko, że w nim mamy ruch i życie. Dójdź aż do ostateczności w téj ekstazie, a powiesz, że ta zasada jest jedyną, rzeczywistą, reszta zaś pozorném zjawiskiem; i odtąd pozbawiłeś się środków dla określenia jéj, odtąd nie możesz nic już odrzec twierdząco, dowodząco; uważać ją będziesz za przepaść wspaniałą i niedającą się przeniknąć, porzucisz drogę idei jasnych, ubóstwisz uczucie i egzaltacyą. Jeżeli jesteś smutnego usposobienia, będziesz jéj szukał w boleści, w rozdarciu serca, w ukorzeniu. Przez takie stopniowanie przemian idea ogólna staje się istotą poetyczną, potém zaś istotą filozoficzną, potém mistyczną, aż wreszcie metafizyka niemiecka skupiwszy się i rozpaliwszy, zostaje zamienioną na purytanizm angielski.

* * *

Mistycyzm ten odróżnia się tém od innych, że jest praktyczny. Purytanin niepokoi się nietylko o to, w co ma wierzyć, ale i o to, jak ma postępować, pragnie odpowiedzi dla swych zwątpień; zmartwiony jest nietylko swą niewiadomością ale i występkami, szuka Boga ale zarazem i obowiązku. W jego przeświadczeniu dwa czynią jedno, sens moralny jest zarazem przewodnikiem filozofii . . . Alboż wyraz *obowiązek* niéma znaczenia? Potrzebaż dowodów, że to, co zowiemy obowiązkiem, nie jest bynajmniéj posłańcem boskim, ale widmém ziemskiém i łudzącém, sfabrykowaném równocześnie z pragnieniem i obawą ? . . Szczęście zadowolnionego sumienia ? . . . Alboż Neron, umysł wesoły nie uchodził w swoim czasie za najlepszego artystę. Nieszczęsny fabrykancie motywów, który posiadasz w twym młynie logicznym osobny mechanizm i chciałbyś odedrzéć cnotę z łupiny przyjemności; ja ci powiadam: nie! Tkwi w nas instynkt, który woła: nie! Odnajdujemy w sobie: „coś wyższego nad miłość szczęścia" to jest poświęcenie. Otóż i część boska naszéj duszy, w onéj i przez nią dostrzegamy Boga, który inaczéj pozostałby dla nas zawsze w ukryciu. Przez nią wnikamy w świat nieznany i wzniosły. Istnieje stan nadzwyczajnéj duszy, przez który wydobywa się ona z samolubstwa, uwielbia boleść, pojmuje świętość. To tajemnicze *coś*, którego domysły dosięgnąć nie są w stanie, ani rozum określić, które wyobraźnia przedstawia sobie jako króla, jako osobę, jest świętością, jest wzniosłością . . . Cnota jest objawieniem, heroizm światłem, sumienie filozofią; czyli—ten mistycyzm moralny da się wyrazić w skróceniu tém, że Bóg dla Carlyla jest tajemnicą, któréj jedyném nazwiskiem jest ideał.

* * *

Taka zdolność dostrzegania w przedmiotach wewnętrznéj racyi i takie usposobienie wyszukiwania w przedmiotach sensu moralnego, wytworzyły wszystkie Carlyla doktryny a najsamprzód jego chrystyanizm. Chrystyanizm ten jest wcale swobodny. Carlyle pojmuje religią symbolicznie. Dlatego zwią go panteistą, co mówiąc pospolitym językiem znaczy: szaleniec. W Anglii exorcyzmują go jak szatana, ciągle bowiem obraża on teologów, zwłaszcza gdy się zapuszcza w dogmat. Uważa on chrystyanizm jako szczyt, a tego treścią jest: „uwielbienie boleści.“ Kościół protestancki XIX w. (mówi daléj), tak jak niegdyś katolicki w XVI w. potrzebuje reformy, potrzeba nam nowego Lutra. Chrystyanizm raz doprowadzony do abnegacyi wpłynie na podniesienie znaczenia i godności innych religij, gdyż są one podobnie jak chrystyanizm, formami religii uniwersalnéj. „Wszystkie one zawierają prawdę, inaczéj nie byliby ludzie w nie wierzyli.“ Nie są one szarlatanizmem ani igraszką poetycznéj wyobraźni, ale są one życiem mniéj lub więcéj zmąconém i zmięszaném z tajemnicą wielką, ukrytą w głębi wszechświata. „Najgrubszy poganin czczący kamień czarny Caaby uznaje w nim piękność, tchnienie boskie“ . . . Cześć wielkiego Lamy a nawet papizm tłumaczy na swój sposób poczucie boskości, dlatego to i papizm jest poszanowania godny. „Niechaj trwa jak najdłużéj (wyrażenie w Anglii śmiałe), jeżeli tylko zdoła kierować ludźmi pobożnie.“ „Wszystkie religie są symbolami. Wszystkie wiary, liturgie, formy religijne, któremi się przyodziewa uczucie religijne, są w tém znaczeniu *bożyszczami*“ . . Jedyny rodzaj bałwochwalstwa jest niegodny ten, w którym niéma uczucia, który polega na wymownych ceremoniach, na powtarzaniu machinalnem pacierzy. Cześć głęboka mnicha z XII w. klęczącego przed relikwiami świętego Edmunda ważyła więcéj aniżeli chłodna religia filozoficzna dzisiejszego protestanta. Niech będzie cześć religijna jakabądź, byle było w niéj uczucie, bo ono nadaje jéj całą wartość. A tém uczuciem jest uczucie moralne. „Jedynym celem każdéj religii przeszłéj, teraźniejszéj i przyszłéj, powinno być zachowanie żywo i gorąco naszéj świadomości moralnéj (sumienia), która jest naszém światłem wewnętrznem. Każda religia przypomina nam tu mniéj lub więcéj różnicę *nieskończoną* między człowiekiem dobrym a złym, ażeby wpoić w nas iżbyśmy jednego kochali a drugiego strzegli się nieskończenie, ażebyśmy starali się niezmiernie być jednym a nie być drugim.“

„Wszelka religia która nie zmierza do czynu, do pracy, może sobie zamieszkać między braminami, derwiszami, wszędzie gdzie jéj się podoba; lecz ja znać jéj nie chcę.“ Być może że jéj ty znać nie chcesz, odpowiada Taine, ale ją i inni znają. Tu właśnie przypada rys charakterystyczny angielski, tak pojmujący ciasno szeroką ideę. Wszakże znajduje się wiele religij niemoralnych a więcéj jeszcze niepraktycznych, Carlyle zaś chce doprowadzić serce człowieka do angielskiego poczucia obowiązku, a wyobraźnią człowieka do angielskiego poczucia uszanowania. Przezto wymyka mu się połowa ludzkiéj poezyi, gdyż jeżeli jedna cząstka nasza podnosi nas aż do poświęcenia i cnoty, druga wiedzie nas w krainę radości i użycia. Człowiek jest poganinem i chrześcianinem zarówno, natura ma dwa oblicza; niektóre rasy jak indyjska, grecka,

włoska, pojęły tylko drugą i miały jako religią uwielbienie bujnéj siły i extazę wyobraźni, albo też kształty harmonizujące z czcią rozkoszy, piękności i szczęścia.

* * *

Carlyla krytyka dzieł literackich tchnie tym samym ogniem i tąż gwałtownością, ma tęż samą doniosłość i takież granice, tę samą zasadę i te same konkluzye co jego krytyka dzieł religijnych. Uważa on poetę, pisarza, artystę „jako tłumacza idei boskiéj tkwiącéj na dnie każdego zjawiska“ jako przedstawiciela swego wieku i narodu. I tu formuły niemieckie, które znaczą, że artysta lepiéj od kogobądź scharakteryzować jest zdolny świat otaczający, tak iż z jego dzieła da się wyprowadzić teorya o człowieku i naturze, jako też da się odmalować wiek jego i rasa. Odkrycie to odświeżyło krytykę. Carlyle zawdzięcza temu najpiękniejsze swe poglądy na Szekspira i Danta, swoje studya o Getem, Johnsonie, Burnsie, i Rousseau. Stał on się heroldem literatury niemieckiéj, apostołem Getego, zowie go bohatérem, życie jego podaje za wzór ludziom naszego wieku, nie chce nawet widzieć jego poganizmu tak przeciwnego purytanizmowi. Z téj saméj przyczyny zrobił Jana Pawła Rychtera przesadnym humorystą, obsypał pochwałami Nowalisa i marzycieli mistycznych, Burnsa postawił wyżéj nad Bajrona, a śmiesznego pedanta Johnsohna podniósł do potęgi.

Do zasad jego należy, że w dziele ducha forma jest rzeczą podrzędną, a tylko treść jest główną. Skoro ktoś obdarzon jest głębokiém uczuciem, silném przekonaniem, już i książka jest piękną. Pismo jakiekolwiek ono jest uwidocznia duszę; jeżeli dusza ta poruszaną jest poważnemi myślami, jeżeli kocha dobro, już osiągnęła cel. Talent nic nas obchodzić nie powinien, nie potrzebujemy pochlebstwa pięknéj formy; jedyném naszém staraniem powinno być zetknięcie z wzniosłością, jedyném przeznaczeniem człowieka poczucie heroizmu, dlatego poezya i sztuki to tylko mają powołanie i tę zasługę. Ztąd poznać, dlaczego Carlyle lubi mistyków, proroków, pisarzy nieutalentowanych i ludzi czynu, poetów niezgrabnych i wszystkich tych, którzy gwałcą regularną formę piękna przez nieuctwo, brutalność, szał lub postanowienie z góry obmyślane. Dlatego przebacza Johnsonowi retorykę, deklamacyą napuszystą, bo widzi w nim jedynie człowieka religijnego i z przekonaniem; dlatego też zamyka sobie oczy na wiele przedmiotów. Z pogardą mówi o dyletantyzmie spółczesnym, o malarzach nieznając piękna widocznego. Nie dba o artystów, a przecież źródłem sztuki jest poczucie formy i najwięksi artyści włoscy i greccy znali tylko piękność rozkoszy i siły; dlatego też nie lubił literatury francuzkiéj.

Jego sposób pjmowania życia całkiem jest odmienny od naszego. Chciałby zrozumieć Woltera a zaledwie udaje mu się spotwarzać go i lżyć. „Niéma ani jednéj wielkiéj myśli w jego 36 tomach in quarto... Wzrok jego zatrzymuje się tylko na powierzchni natury... Jego teorya o świecie, malowanie człowieka i życia ludzkiego jest nędzne nawet jak na poetę i filozofa. Czyta on historyą nie oczyma krytyka, ale prostą

parą okularów antykatolickich. Nie jest ona dla niego dramatem wspaniałym granym na teatrze nieskończoności, ze słońcami zamiast lamp a z wiecznością jako tłem . . . ale nędzną dysputą klubową . . . Głośna pochwała za przeprowadzenie celów szlachetnych, może mu być oddana z wielką tylko ostrożnością a nawet może mu być odmówioną. Siła jakiéj mu było potrzeba, nie była ani wielką ani szlachetną, ale drobną i z pewnych względów nikczemną, tylko że umiał użyć jéj zręcznie i stósownie. Ażeby zbudować świątynię Efezką potrzeba było pracy wielu głów mądrych i wielu ramion silnych przez długie peryody życia, a tę samą świątynię mógł także zburzyć jeden szaleniec i w jednéj godzinie." Słowa dosyć grubijańskie i mogę tylko powiedzieć, powiada Taine, że gdyby ktoś sądził Carlyla jako francuz, tak jak on sądzi Woltera jako anglik, to portret Carlyla wypadłby niezawodnie całkiem inaczéj aniżeli ja go kreślę.

* * *

Pięćdziesiąt lat temu spotwarzanie było na porządku dziennym, za 50 lat może się znów skończy.

Potrzeba, iżby krytyka do swéj duszy narodowéj dołączyła pięć innych dusz sztucznych, iżby na mocy spółczucia mogła się nagiąć i wedrzéć w uczucia obce lub dawno zagasłe. Najlepszym owocem krytyki jest: strzedz się samego siebie, zmusić się do uczestnictwa w świecie, w którym się zatapiamy, odróżnić przedmioty od pozorów chwilowych, jakiemi je charakter nasz i stólecie przystrajać zwykło. Każdy patrzy na nie przez okulary rozmaitego koloru i różnéj mocy, jednakże nikt nie osiągnie prawdy, jeżeli nie będzie uważał na formę szkła jego i budowę, przez którą właśnie narzucają się przedmiotom. Dotychczas kłóciliśmy się o to, że jeden mówił iż przedmioty są zielone, drugi że żółte, trzeci że czerwone i przezto każdy posądzał swego sasiada o złą wiarę i wzrok niedobry. Teraz dopiéro uczymy się optyki moralnéj, przekonywamy się, że barwa nie leży bynajmniéj w przedmiotach ale w nas samych; przebaczamy sąsiadom naszym pogląd odmienny, uznajemy że powinni widzieć na czerwono to, co się nam wydaje niebieskiém, na zielono to, co się nam wydaje żółtém; jesteśmy nawet w stanie oznaczyć rodzaj okularów dających kolor żółty i tych, które dają zielony, jesteśmy w stanie przepowiedzieć kolor, w jakim ukażą im przedmiot, zbudować najprzód systemat każdego umysłu, a może z czasem zwolnić się zupełnie z wszelkiego systemu. „Jako poeta, mawiał Gete, jestem politeistą; jako naturalista panteistą, jako istota moralna deistą, a dla wyrażenia mego uczucia potrzebuję wszystkich tych form." Rzeczywiście wszystkie te okulary są dobre, ponieważ wszystkie ukazują nam przedmioty z jakiegoś nowego punktu widzenia. Rzecz zaś główna w tém zależy, iżby tych okularów mieć kilka, umieć użyć każde z nich w stosownéj chwili, wiedzieć, że po za tysiącem tych barw ruchliwych i poetycznych optyka uznaje tylko te zmiany, któremi rządzi prawo.

* * *

„Historya powszechna, powiada Carlyle, historya tego, co człowiek spełnił na tym świecie, jest w gruncie rzeczy historyą wielkich ludzi, którzy tu pracowali. Oni byli kierownikami ludów, wzorami na szeroką skalę, twórcami wszystkiego, co massa ludzi wzięta razem zdołała zdziałać. Wszystko co się utrzymało w świecie, jest właściwie inkarnacyą myśli wielkich ludzi przysłanych na ten świat. Dusza całéj historyi byłaby ich historyą.“ Carlyle nadaje poetom, reformatorom, pisarzom, ludziom czynu, charakter mistyczny. „Bohatér jest posłannikiem wysłanym z głębi tajemniczéj nieskończoności z nowościami dla nas . . . Przychodzi on ze serca świata, z piérwotnéj rzeczywistości wszechrzeczy ; natchnienie Wszechmocnego daje mu inteligencyą i pewien rodzaj objawienia.“ (On heroes) Nadaremnie nieświadomość wieku stoi mu w drodze, dochodzi on zawsze do jakiéjś niewzruszonéj i ożywczéj prawdy i przez tę prawdę staje się potężnym. Co odkrył to jest skuteczném i nieśmiertelném. „Dzieła człowieka, choćbyście je schowali pod najobrzydliwszemi śmieciskami . . . nie zginą . . . Co było ze światła wieczystego w człowieku i w jego życiu, to dołączyło się do wieczności i istnieje na zawsze . . . Dlatego takie czczenie bohatérów jest i było zawsze potęgą ożywczą życia ludzkiego; religia i całe społeczeństwo na tém się opiéra. Bo czemże jest właściwie lojalność (loyalty) będąca ożywczém tchnieniem każdego społeczeństwa, jeżeli nie wypływem z czci bohatérów, uwielbieniem korném dla tych, którzy są istotnie wielkimi?“ To uczucie stanowi podstawę człowieka. Zachowało się do dziś dnia, do dzisiejszéj epoki, będącéj epoką burzenia i niwellacyi.

* *
*

W tém orzeczeniu zawartą jest idea niemiecka, ale przemieniona na sposób angielski. Niemcy utrzymują, że każdy naród, każdy peryod, każda cywilizacya ma swoją *ideę*, czyli rys zasadniczy, od którego płyną wszystkie inne, tak że filozofia, religia, sztuki i obyczaje, wszystkie udziały myśli i czynu dadzą się wywieść z pewnéj właściwości oryginalnéj i podstawowéj, od któréj wszystko bierze początek. Otóż tam gdzie Hegel ideę, Carlyle stawia uczucie bohatérstwa. Przedstawia się to dobitniéj i moralniéj. Potrzebuje on oblec abstrakcyą w ciało i duszę, bo mu źle z czystemi pojęciami bez istoty realnéj.

A ta istota, tak jak on ją pojmuje, przedstawia w skróceniu resztę, gdyż według niego bohatér reprezentuje cywilizacyą spółczesną, bohatér odkrył lub obwieścił pomysł oryginalny a stólecie poszło za nim. Znajomość téż uczucia bohatérskiego zaznajamia zarazem z całém stóleciem. Tym sposobem odczuł Carlyle na wzór swych bohatérów, że cywilizacya niechby była najrozleglejszą i najbardziéj rozpierzchniętą, stanowi przecież całość niepodzielną. Zgromadził pod znaczeniem heroizmu fragmenty rozrzucone, które Hegel łączył prawem, wyprowadził z ogólnego uczucia, wypadki, które niemcy wywodzili z definicyi ogólnéj. Zrozumiał głęboki i daleki związek rzeczy, tych które wiążą wielkiego człowieka ze swą epoką i tych które łączą dzieła myśli skończonéj z myślą rodzącą się, myśli, które splatają uczone pomysły konstytucyj nowoczesnych z niepo-

rządkami pierwotnego barbarzyństwa. „Gdyby nie było dzikich świętych Dominików, nie byłoby harmonijnego Dantego. Surowe wysiłki w Skandynawii i gdzieindziéj począwszy od Odina do Waltera Rabigha (z czasów Elżbiéty) od Ulfili do Cranmera przysposobiły Szekspira . . . Poeta doskonały jest dowodem że epoka jego doszła do doskonałości i że znowu potrzeba będzie nowéj epoki i nowych reformatorów, ponieważ każdy wiek ma swoję teoryą i swoje pojęcie duchowe o świecie.“ Wszelkie dzieła poetyczne czy praktyczne, są tylko zastosowaniem téj idei panującéj; historyk posługuje się nią dla odnalezienia uczucia pierwotnego i dla wytworzenia sobie poglądu na całość.

* * *

Ztąd wypływa nowy sposób pisania historyi. Ponieważ uczucie bohatérskie jest przyczyną wszystkiego, a zatém na nie zważać powinien głównie historyk; ponieważ jest ono źródłem cywilizacyi, motorem przeobrażeń, wskrzesicielem rodu ludzkiego, a zatém w niém potrzeba śledzić cywilizacyi, przeobrażeń i życia ludzkiego; ponieważ jest ono sprężyną wszelkiego ruchu, a zatém przez nie zrozumiéć będzie można ruch każdy. Wolno metafizykom wywodzić dedukcye, formuły, a politykom sytuacye i konstytucye; człowiek nie jest bynajmniéj istotą martwą urobioną dla jakiegoś układu państwowego, ani istotą umarłą dającą się określić formułą: jest on duszą czynną i żywą, zdolną do tworzenia i działania, prawdziwa historya jestto epopeja heroizmu. Idea taka—to żywe światło, gdyż ludzie nic nie zdziałali wielkiego bez wielkich uczuć. W chwili przeobrażeń i przewrotów uczucie przepotężne zerwało dawne tamy i popchnęło sprawy w nowe łożysko. Odrzućcie precz względy polityczne a patrzcie w głąb' umysłu, zauważcie podniesiony stan duszy. Rewolucya nie jest niczém inném jeno poczęciem wielkiego uczucia, Jakiém jest ono, jak się łączy z innemi, jaki jest jego stopień, źródło, skutek, jak przeobraża wyobraźnie, pojmowania, skłonności; jakie namiętności podsycają je, jakie przybiera granice szału lub rozumu: oto główne pytania. Ażeby nakreślić historyą buddyzmu wystarczy ukazać rozpacz spokojną ascetów, którzy przez myśl o nieskończonéj próżni i oczekiwanie ostatecznego znicestwienia, dochodzili do poczucia powszechnego braterstwa. Ażeby nauczyć historyi chrystyanizmu, wystarczy ukazać duszę świętego Jana lub Pawła, odrodzenie nagłe ich sumienia, wiarę w rzeczy niewidzialne, przemianę duszy przeniknionéj obecnością Boga, nawał uczuć takich jak szlachetność, abnegacya, ufność i nadzieja, uczuć, które wyzwoliły nieszczęśliwych z pod tyranii upadającego Rzymu!

Objaśniać, opowiadać dzieje rewolucyi, jestto wykładać ustęp jakiś z psychologii; dokonać tego jedynie może analiza, krytyka i natchnienie artysty. Chcąc miéć taką psychologią doskonałą, trzeba jéj zażądać od tych, którzy z powołania czy przez geniusz są znawcami duszy, takiego Szekspira, Balzaka, Stendhala.

Z téj też przyczyny można jéj czasem zażądać od Carlyla. A jest taka część historyi, któréj od niego słuszniéj domagać się można niż od kogobądź; jest nią ta rewulucya, która miała za podstawę — sumienie, która wywołała surowy i poważny heroizm. Najlepszym bowiem historykiem purytanizmu jest purytanin.

* * *

Ta historya Kromwella, jego arcydzieło, składa się ze zbioru listów i mów komentowanych, połączonych zarazem ciągłą opowieścią. Wrażenie wywiera nadzwyczajne. Wiele innych poważnych dzieł historycznych niknie w obec téj kompilacyi. Carlyle chciał dać poznać duszę, duszę Kromwella, największego z purytanów i opowiadanie jego podobne do opowiadania naocznego świadka. Znajdujemy się sam na sam, oko w oko z Kromwellem słyszymy jego słowa, akcent jego mowy; dowiadujemy się przy każdym czynie o okolicznościach przyczynowych, widzimy go w obozie, w radzie, w podróży, patrzymy na jego fizyognomią, jego kostium: nieopuszczony tu najmniejszy szczegół ani drobiazg. A szczerość jest tak wielką jak i sympatya, która otacza bohatéra; biograf nie tai swéj niepewności i braku dowodów; jest prawdziwym, jakkolwiek jest poetą sekciarzem. Zapuszczając się wraz z nim w hipotezy, czujemy przecież co krok, że stawiamy nogę na gruncie trwałym prawdy. Życzyćby należało, iżby każda historya była takim wyborem tekstów, opatrzonym takim komentarzem; za taką historyą można oddać bez żalu wszystkie opowieści historyczne (piękne lecz bezbarwne) Robertsona i Humego. Czytając Kromwella mogę sprawdzić zdanie autora, nie kieruje się jego myślą ale moją; mam przed oczyma fakt sam a nie opowiedzenie faktu, niéma tu oratorskich i osobistych obsłon.

Kromwell wyłania się z téj próby odnowiony. Pojmowaliśmy, że nie był ambitnym obłudnikiem, ale braliśmy go za wstrętnego fanatyka a purytanów za szaleńców smutnych, z ciasném pojęciem pełném skrupułów.

Otrząśnijmy się jednak z idei nowoczesnych i wniknijmy w te dusze; znajdziemy tam coś innego jeszcze prócz choroby: znajdziemy tam wielkie uczucie. „Jestemże człowiekiem sprawiedliwym? i gdyby Bóg będący doskonałą sprawiedliwością, sądził mnie w téj chwili, jakiżby wydał wyrok? Taką jest idea oryginalna, która stworzyła purytanów, a przez nich rewulucyą angielską. Poczucie różnicy, jaka istnieje po między dobrem a złem . . . ucieleśnili oni niebem i piekłem.“ Silnie zastanowiła ich idea obowiązku, przy jego świetle poczęli się wzajem badać bez litości i bez odpoczynku; wyrobili sobie pojęcie doskonałego wzoru cnoty nieomylnéj i skończonéj, przejęli się nim, w téj ich absorbującéj myśli utopili wszelkie zajęcia światowe i wszelkie skłonności, powzięli wstręt do najdrobniejszych błędów, których uczciwy człowiek niéma za złe, nakazali sami sobie doskonałość absolutną i rzucili się w wir życia ze stałém postanowieniem zniesienia raczéj najsroższych cierpień, aniżeli odstąpienia na krok jeden od wytkniętéj drogi.

Może kto wyszydzać myśli z rewolucyi, którą wywołały, dysputy o ubiór, a przecież tych dysput podstawą było głębokie uczucie. Ci sklepikarze i dzierżawcy wierzyli z całéj duszy w Boga strasznego i wspaniałego, więc nie był dla nich obojętną rzeczą sposób, w jaki Go czcić należało. „Przypuśćcie że jesteście mocno wzruszeni, tak że zaledwo milczeniem wzruszenie to okazać jesteście zdolni; cóżbyście powiedzieli, gdyby ktoś na waszém miejscu okazać je chciał w kształcie maskarady... stracił ktoś z was jedynego syna, jest przezto zgnębiony, oniemiały i bez łez, a w tém jakiś natręt ofiaruje się obchodzić pogrobową jego pamięć na sposób dawnych greków !" .. To właśnie spowodowało rewolucyą a nie taksa okrętowa albo inny jaki ucisk polityczny. „Możesz mi odebrać pieniądze, ale nie możesz zniszczyć mojéj duszy. Dusza moja należy do Boga i do mnie." I to samouczucie, które ich zrobiło buntownikami, zrobiło ich też zwycięzcami. (On heroes) Nie rozumiano w jaki sposób mogła istnieć karność w armii, w któréj żołnierz burczał pułkownika gdy chłódł w zapale. Dziwiono się, że generałowie, którzy płacząc wzywali Boga, nauczyli się z biblii administracyi i strategii, dziwiono się, że szaleńcy mogli być ludźmi prowadzącymi ważne sprawy.

Lecz oni nie byli szaleńcami, różnili się tylko o tyle od ludzi praktycznych, że mieli sumienie; sumienie to było ich płomieniem, a mistycyzm i marzenia dymem.

Szukali prawdy, a ich długie modły, kazania przez nos wygłaszane, cytacye biblijne; ich łzy i niepokoje, oznaczają tylko moc ich szczerości. Czytali obowiązek w sobie samych, Biblia tylko dopomagała w razie potrzeby, gdy chcieli stwierdzić tekstem jéj porywy swego serca, przekształcali biblią.

To właśnie poczucie obowiązku łączyło ich, dawało natchnienia, było ich odwagą i zuchwałością; ono podniosło aż do starożytnego heroizmu Hutchinsona, Miltona i Kromwella, ono wywołało wszystkie wspaniałe przedsięwzięcia: wypowiedzenie wojny, sąd króla, oczyszczenie Parlamentu, upokorzenie Europy, protekcya protestantyzmu i panowanie na morzu. Ludzie ci byli istotnymi bohatérami Anglii, przedstawiają oni charaktery oryginalne i najszlachetniejsze Anglii, jako: pobożność praktyczną, przewagę sumienia, wolę męzką, energią niezłomną. Oni dali podstawę Anglii mimo zepsucia Stuartów i zwiększenia obyczajów nowoczesnych, a to spełnieniem obowiązku, sprawiedliwości, upartą pracą, oporem przeciw uciskowi, zdobyciem wolności, pognębieniem występku. Oni stworzyli Szkocyą i Stany Zjednoczone, oni dziś stwarzają Australią i kolonizują świat cały. Carlyle jest tak dalece ich bratem, że podziwia i uwielbia egzekucyą króla, zmniejszenie Parlamentu, nietolerancyą purytanów, inkwizycyą, despotyzm Kromwella, teokracyą Knoxa.... Stawia on nam ich jako wzory i sądzi przeszłość i teraźniejszość według nich.

* * *

Dlatego to może widział samo tylko złe w rewolucyi francuzkiéj. Sądzi ją tak niesprawiedliwie jak i Woltera, i dla tych samych przyczyn. W myśli i czynie francuzów szuka uczucia purytańskiego, a gdy go nie

znajduje wydaje wyrok potępienia. Według niego jedynie idea obowiązku, duch religijny, podstawa sumienia, samorząd, mogą zreformować społeczeństwo zepsute, a z tego wszystkiego nic nie znalazł w społeczeństwie francuzkiém. Filozofia która wywołała (Rew. fran. T. I) i prowadziła rewolucyą francuzką, była czysto destruktywną, obwieszczającą jako jedyną Ewangelią: „że kłamstwa społeczne runąć powinny i że w przedmiotach duchowych, nadzmysłowych, niema nic czemuby wierzyć można.“ Teorya praw człowieka zapożyczona u Rousseau była tylko: „grą logiczną, pedanteryą,“ obyczaje zaś epikureizmem Faublasa. Moralnością modną była zapowiedź szczęścia powszechnego.

Niewiara, gadulstwo, zmysłowość, oto sprężyny téj reformy. Rozjuszono instynkta a obalono przeszkody, zastąpiono zepsutą władzę rozpasaną anarchią. Ateuszowskie rozumowania podbudzające zbydlęconych prostaków, co mogły wywołać? . . . . . „Destrukcyą . . . . naturę demoniczną człowieka, a z nią: „kanibalizm.“

Lecz, zwraca uwagę Taine, połączcie cnoty z występkami! Ci sceptycy budowali społeczeństwo na sprawiedliwości, ci epikurejczycy obejmowali swém spółczuciem ludzkość całą, ci wściekli, ci prostacy bezbutowi, walczyli na granicach za sprawy ludzkości i zasady abstrakcyjne. Szlachetność i zapał był taki sam tutaj jak i u was; uznajcie go chociaż pod odmienną formą od waszéj. Byli oni wierni prawdzie abstrakcyjnéj, tak jak wy prawdzie Boskiéj; szli oni śladem filozofii, tak jak wy religii, mieli oni zbawienie ogółu tak jak i wy zbawienie indywidualne; zwalczali oni złe społeczeńskie, tak jak wasi purytanie złe leżące w duszy.

* * *

Tenże sam przesadzony purytanizm oburzający Carlyla na rewolucyą francuzką, oburza go także na Anglią nowoczesną. „Zapomnieliśmy o Bogu (Past and Present)—powiada—zamknęliśmy oczy na treść wieczną rzeczy, mając je otwarte jedynie dla fikcyi . . . . . Zaledwie zysk i strata, pudding i jego pochwała, widocznemi są dla człowieka praktycznego. Dla nas nie istnieje już Bóg! Prawa Boskie przemieniono na zasady *największéj ile można pomyślności;* niebo nie wznosi się nad nami, chyba na to, żeby stanowiło dla nas zegar astronomiczny, cel dla teleskopów Herschla . . . Takiém jest centrum ogólnéj gangreny społecznéj, która zagraża wszystkim straszliwą śmiercią . . . . . Człowiek utracił swą duszę i szuka nadarmo soli zbawczéj mogącéj ochronić ciało od zgnilizny. Nadaremnie posługuje się egzekucyami królów, bilami reformy, rewolucyami francuzkiemi . . . . Przekonywa się, że to nie są lekarstwa.“

Od czasu powrotu Stuartów (mówi Carlyle) jesteśmy utylitarystami i sceptykami. Ufamy jedynie obserwacyi, statystyce, prawdom grubym i dotykalnym; albo też wątpimy, lub wierzymy potrosze. Niemamy przekonań moralnych, a mamy tylko przekonania chwilowe. Straciliśmy pobudkę czynów, nie stracimy już obowiązku jako podstawy naszego życia; przyczepiamy się do wszelkiego rodzaju recept eksperymentalnych i po-

zytywnych. Jesteśmy egoistami i dyletantami. Nie uważamy już życia jako wzniosłéj świątyni, ale jako maszynę dającą zyski, albo jako salę wykwintnych zabaw. Mamy bogaczy, przemysłowców, bankierów głoszących ewangielią złota, mamy także gentlemanów, dandysów, paniczów głoszących ewangielią umiejętności życia. Piekłem naszém nie jest, jak za Kromwella; „obawa błędu w obec sprawiedliwego sędziego," ale obawa upadnięcia w zły interes lub uchybienia konwenansom. Arystokracya nasza składa się z chciwych kupców i z amatorów pilnujących dziczyzny na swych gruntach. Nie jesteśmy też już rządem. Rząd nasz nie posiada innéj ambicyi tylko utrzymać pokój i akuratnie zebrać podatek. Parlament nasz, to młyn wielki, pełen słow, w którym intryganci starają się o narobienie wielkiéj wrzawy. Lecz pod tym murem frazesów i konwenansów huczy niepowściągniony żywioł demokratyczny. Anglia zginie w dniu, w którym sprzeda jeden funt bawełny taniej od innych. W chwili ustania rękodzieł i fabryk, choćby najkrócéj, 500,000 robotników przechodzi na łaskę litości publicznéj. Straszliwa massa, zajęta przemysłem, popchnięta chciwością i głodem, tłoczy się pośród słabych i już trzeszczących ścian; zbliżamy się do ostatecznego rozprzężenia, które się stanie jawną anarchią. Demokracya błąkać się będzie wśród tych ruin, dopóki uczucie obowiązku nie zgromadzi jéj w około czci heroizmu, dopóki nie ustanowi swego rządu i kościoła, dopóki nieznajdzie środka na prowadzenie do steru rządu najcnotliwszych i najzdolniejszych, dopóki nie uzna swego Lutra i swego Kromwella, czyli swego kapłana i swego króla.

* * *

Dziwna propozycya dla demokracyi, dojście do panowania przez fanatyzm i tyranią purytańską. Społeczeństwo i duch, jaki Carlyle proponuje jako wzory dla ludzkiéj natury, istniały bardzo krótko i niemogły istnieć dłużéj. Ascetyzm republiki wywołał rozpustę restauracyi; Harrissony mieli porobić Rochesterów, Bunyan'y Hobbesów, a sekciarze ze swym entuzyazmem wywołali przewagę ducha pozytywnego i cześć grubych rozkoszy. Egzaltacya nie może być trwałą, nie można téż jéj bez niebezpieczeństwa wymagać od ludzkiéj natury. Wspaniałomyślność Rzeczypospolitéj francuzkiéj skończyła się cynizmem dyrektoryatu i wojnami krwawemi Cesarstwa. Pobożność rycerska i poetyczna wielkiéj monarchii hiszpańskiéj wyludniła Hiszpanią z myśli i z ludzi. Pierwszeństwo w geniuszu, smaku i inteligencyi, jakiemi celowały Włochy, skończyło się z upływem wieku na martwocie lubieżnéj i na niewoli politycznéj. „Kto stwarza anioła, stwarza zwierzę," tak samo doskonały heroizm, jak hańba ostateczności, doprowadza do przytępienia. Natura ludzka podlega wybuchom ale nie ciągłym; mistycyzm dobrym jest, ale gdy trwa krótko. Nadzwyczajne tylko okoliczności sprowadzają stan ostateczny, i potrzeba wielkich cierpień, ażeby utworzyć wielkich ludzi. Entuzyazm jest wprawdzie piękną rzeczą, ale jego źródła i następstwa smutne są; zawsze jest on tylko przesileniem, a stałe zdrowie warto więcéj. Pod tym względem sam Carlyle może posłużyć za przykład.

Mniéj jest może genialności w Macaulay'u niż w Carlyl'u, lecz kto się karmił przez czas jakiś jego stylem przesadnym i demonicznym, jego filozofią chorobliwą, jego historyą proroczą i polityką złowieszczą, ten powróci chętnie do kwitnącéj wymowy, dzielnego rozumu, teoryi dowodzonych zdrowo, do Macaulay'a, którego straciła Europa, a którego w Anglii nikt zastąpić nie zdoła.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA i ARTYSTYCZNA.

Pomnik wzniesiony w mieście Vendome, na cześć Ronsarda naczelnika plejady poetów XVI wieku. — Porównanie Ronsarda z Kochanowskim. — Dwaj zapaśnicy odrodzenia. — Mowa Augusta Barbier delegowanego od Akademii Francuzkiéj. — Poemata popularne Eugeniusza Manuela, uwieńczone przez akademią. — Nowy zwrot poezyi. — Obrazki rodzajowe z życia miejskiego ludu: Narzeczona robotnika, Matka i dziecię, Kwiat pomarańczy, Śpiewaczka uliczna, Przechadzka. — Mąż-niewiasta, broszura Aleksandra Dumasa. — Aspazya z Miletu, studyum historyczne p. Becq de Fouquières: Mężczyzna i niewiasta, list Emila Girardin do Dumasa w odpowiedź na jego broszurę.

Najsilniejszym objawem żywotności ducha w narodzie jest niewątpliwie cześć oddawana ludziom talentu i zasługi. Uznanie pracy tych co przyłożyli własny kłosek do ogólnego snopa, większy zaprawdę czyni zaszczyt ludziom dobréj woli, którzy umieli ocenić bratni mozół, niż tym nawet, którzy byli przedmiotem owego chlubnego uznania. Słusznie też wyrzekł jeden z poetów:

Zasługi moje, to drobna kropelka,
W tém morzu ofiar co wzbiéra wiek długi;
Ale zasługa tych bratnich serc wielka,
Co chcą acz słabe ocenić zasługi.

Minęły dzięki Bogu czasy tak jeszcze niedawne, kiedy na porządku dziennym było smutne hasło: *Nihil admirari*, świadczące o sceptycyzmie i oschłości serca. Codzienne przykłady okazują wymownie, że u nas przynajmniéj hasło to słaby znalazło oddźwięk.

Żaden zapewne naród czynniéj nad Francyę nie protestuje przeciwko znanemu przysłowiu: „nikt nie jest prorokiem w swéj ojczyznie.“ Niéma tam miasta, niéma prawie wsi, któraby nie poszczyciła się imieniem zasłużonego syna. Wspominaliśmy już pomiędzy innemi inauguracyą pomnika Ponsarda w mieście Vienne, grobowca Dumasa w Villers-Cauterets; dziś wspomnimy świeżą uroczystość odbytą w mieście Vendome, przy stawianiu pomnika Ronsardowi zmarłemu lat temu trzysta!

Imię Ronsarda wielkiego poety XVI wieku, naczelnika sławnéj plejady francuzkiéj, nie może być dla nas obojętném. Któż nie wié o stosunkach, jakie łączyły z nim naszego Jana z Czarnolasu. Dla Ronsarda to, jak mówi Michał Wiśniewski w literaturze swojéj, Kochanowski udał się z Włoch do Francyi, gdzie właśnie natrafił na wielki przewrot poetyczny, który odbywał się pod jego okiem; tam zawiązał on przyjacielskie stosunki z księciem poetów, jak Francuzi przezwali Ronsarda. Z jego tam ust posłyszał sławną radę, którą naczelnik plejady dawał swym następcom: „Szanujcie mowę francuzką, nie znieważajcie matki własnéj (ne battez pas votre mère)! Polecam wam testamentem, stare wyrazy francuzkie, które niebaczni chcą dziś zastąpić słowami łacińskiemi!“ Zdanie to, jak utrzymuje Wiśniewski, musiało wpłynąć na polskiego poetę „który jął pilnie badać wszystkie właściwości mowy ojczystéj, i w pismach swoich nie lękał się arhaizmów. Natchniony może przykładem Ronsarda począł on pisać wiersze polskie, które przysłane do kraju i w gronie dawnych przyjaciół czytane z zapałem i uwielbieniem, tak wielką wkrótce zjednały mu wziętość, że sława poprzedziła powrót jego w domowe progi. Przewaga literatury klassycznéj, dodaje w końcu nasz wielki krytyk, przewaga do któréj najwięcéj przyczynił się Ronsard, wpłynęła zapewne nie mało na ducha poezyi Kochanowskiego.“

Tak jest, Ronsard i Kochanowski, to dwa bratnie duchy, to dwa orły, co w chwili danéj, jednakim lotem wzbiły się pod obłoki, na dwóch krańcach ucywilizowanego świata, i wytknęły nowe szlaki literaturze odrodzonéj na modłę starożytną. Francya uczciła Ronsarda nazwą książęcia poetów fancuzkich; Polska zaś mianowała Kochanowskiego księciem polskich poetów. Ronsard i Kochanowski, z równą pracowali gorliwością nad wydoskonaleniem własnego języka, nad podniesieniem go do wysokiéj godności poetycznéj. Kochanowski przeszedł jeszcze w tym względzie mistrza swego, bliższy on niewątpliwie Trembeckiego i Mickiewicza, niż Ronsard, Lamartina i Wiktora Hugo. Co więcéj, poeta nasz potężniejszy natchnieniem i uczuciem. Ronsard nie utworzył nic, coby można postawić obok *Trenów nad skonem Urszulki.*

Któż nie wié, czém był dla nas ten, którego promieniste czoło współcześni ozdobili mitrą, a którego my potomni wolimy raczéj niż księciem, zwać ojcem i piastunem naszéj literatury. Zobaczmy teraz czém był Ronsard dla kraju swego.

Występuje on na widownią w chwili, kiedy ze śmiercią Franciszka I-go, francuza do szpiku kości, poczyna oddziaływać na Francyę żywioł włoski, urobiony w Katarzynie z Medyceuszów. Wychowanka Machiawela, rządziła ona wszechwładnie Francyą, w ciągu panowania czterech Walezyuszów: męża swego Henryka II i trzech synów: Franciszka II, Karola IX i zbiegłego z Polski Henryka. Za czasów Katarzyny, pod jéj tarczą, zakwitła we Francyi nowa szkoła poetyczna, szkoła odrodzonéj literatury, którą wykołysały Włochy.

Iskra zaledwie roztlona, w mgnieniu oka potężnym wybucha płomieniem. Francuzi rzucają się na nowe drogi, ruch budzi się nagle w umysłach. W połowie XVI wieku młodzian wielkich zdolności i większego jeszcze zapału, Joachim du Bellay, rzuca w świat gorącą odezwę na rzecz mowy ojczystéj. Żali się na straszne jéj upośledzenie. „Wszyscy dziś—woła—piszą po grecku, po łacinie; lecz nikt nie pisze po francuzku. Język ojczysty w zupełną poszedł poniewierkę. Wina w tém pisarzów, którzy sądzą że poezya francuzka nie zdoła się podnieść nad ciasne koło zakreślone jéj przez Marota i dawniejszych poetów. To bajka! to przesąd! przyszłość otwarta przed nią! Ale jak stworzyć wielki styl? Oto zwracając się do Greków i Rzymian, a nawet do Włoch i Hiszpanów, i szukając w tych wzorach szczytniejszéj formy poetycznéj. Czas nam porzucić barbarzyńskie pieśni i ballady, a zastąpić je elegią, odą i satyrą, czas porzucić zużyte rycerskie romanse, a dać światu nowe Iliady i Enejdy! czas puścić w niepamięć dawne farsy, mysterya i moralne dyalogi, a tworzyć komedye i tragedye.” Kończy Bellay powołując do broni w imię odrodzenia, z werwą przypominającą Marsyliankę.

„Francuzi naprzód!—woła—kroczcie śmiało na ten pyszny gród rzymski i wydartym mu łupem, jak czyniliście nieraz, ozdabiajcie wasze ołtarze i świątynie! Nie trwóżcie się owych krzykliwych gęsi, ani dumnego Manliusza, ani chytrego Kamilla, który korzystając z waszéj dobréj wiary zszedł was nagich przed kapitolem, w chwili gdy mierzono wasze złote okrycia! Uderzcie na tę kłótliwą grupę, odżyjcie jak niegdyś ze skarbów jéj starożytne Delfy! nie lękajcie się ich niemego Apolina i kłamliwych wyroczni: pomnijcie na starożytną waszą Marsylią, drugie Ateny, i na greckiego waszego Herkulesa, który pociągał ludy za uszy, przytwierdzonym do języka łańcuszkiem.“

Kończy Bellay odezwę strzelistą modlitwą do nieba. „Błagam, rzecze, Febusa, Apolina, aby Francya po długiéj bezpłodności, wydała nakoniec poetę, któryby dźwiękiem brzmiącéj liry zgłuszył ochrypłą kobzę.“

Życzenia te spełniły się niebawem: Ronsard błysnął na widnokręgu Francyi.

Urodzony w mieście Vendome w szlacheckim domu, wywodzącym, jak mówiono ród z Węgier, służył od młodu wojskowo; jako paź księcia Orleanu zwiedził z nim Anglię, Szkocyę i Wło-

chy. W ośmnastym roku życia dotknięty głuchotą, oddał się wyłącznie poezyi.

Opuścił dwór, zerwał ze światem, i pod kierunkiem uczonego mistrza Jana Daurat, rzucił się na autorów greckich i łacińskich. Przez lat siedm czytał księgi zapamiętale, wypisywał z nich szczególne zwroty, metafory i wyrażenia, badał tajemnice dźwięcznego rytmu, słowem łupił starożytność i gromadził w pamięci nieprzeliczone skarby. Z równym mozołem badał ducha francuzkiego języka, śledził jego formy, dostrajał je do harmonijnéj miary starożytnych języków. Do Ronsarda zastosować można w zupełności przysłowie: *geniusz to praca.*

Wzbogacony nauką jął uprawiać niwę poezyi. Pierwsze utwory obudziły powszechny poklask, sława jego urosła w mgnieniu oka do olbrzymich rozmiarów. Obwołano go mistrzem, ktokolwiek pochwycił za pióro, wychwalał go rymem i prozą. Pierwsi uczeni współcześni pisali komentarze do dzieł jego, jak to czyniono do klasyków greckich i łacińskich. Cudzoziemcy nawet korzyli przed nim głowę. Sperone Speroni na jego cześć napisał wielki poemat. Tasso przybył umyślnie z Włoch, aby zasięgnąć jego rady. Trzej królowie: Franciszek II, Karol IX i Henryk, sypali nań dary i wysokie godności. Królowa Elżbieta przysłała mu z Londynu dyament wielkiéj ceny; Marya Stuart z więzienia obdarzyła go niemniéj upominkiem. Akademia Igrzysk Kwiatowych w Tuluzie, kazała ulać dla niego srebrny posąg Minerwy. Słowem współczesni podnieśli go pod niebiosa; żaden może poeta nie otrzymał za życia takich hołdów. Ronsard przyszedł na świat w samą porę, znalazł przygotowane umysły ziomków, potrzeba reformy leżała w duchu wszystkich, ogół przyklasnął śmiałemu nowatorowi.

Z pomiędzy licznych uczniów i naśladowców, Ronsard wybrał sześciu najzdolniejszych i nazwał ich gwiazdami, on sam był słońcem w téj plejadzie!

Takim to blaskiem świecił mistrz z nad Loary, kiedy młody Jan Kochanowski pospieszył z Padwy do Paryża, aby przyjrzeć się temu nadzwyczajnemu zjawisku. Łatwo pojąć jak wielką zachętą dla naszego młodego wieszcza, stała się ta promienista aureola otaczająca czoło francuzkiego poety; łatwo pojąć o ile przykład Ronsarda oddziałał na Jana z Czarnolasu. Patrząc na tę cześć narodu całego, zrozumiał Kochanowski potrzeby wieku i postanowił uczynić to samo dla Polski, co Ronsard uczynił dla Francyi. Wówczas to przestał pisać po łacinie, zrzekł się owych wieńców kapitolińskich, o które ubiegali się inni poeci nasi i powrócił do kraju, gdzie na własnym gruncie jął karczować odwieczne ugory, i jak mówił *służyć poczciwéj sławie* pracując dla powszechnego pożytku.

Kochanowski śmiało też mógł powiedzieć to co wyrzekł o sobie Ronsard:

By podnieść z poniewierki macierzystą mowę,
Pracowałem ja dla niéj robotnik wytrwały;
Brałem stare wyrazy, to znów kułem nowe,
Aż w końcu pod niebiosa pchnąłem blask jéj chwały,
I tylem ja dokazał, że w czas niedaleki,
Francuz zdoła doścignąć Rzymiany i Greki!

Krytycy dzisiejsi widzą pychę w tych słowach Ronsarda, my przeciwnie widzimy w nich prostotę i szczerość. Tę samę prostotę i szczerość cenimy w Kochanowskim, gdy mówi że popiół kości jego nie zostanie wzgardzony, że nie zwykłém obdarzon piórem nie umrze, a czarny Styx nie pochłonie go wody swemi, gdy nakoniec woła w poetycznym zachwycie:

Kto mi dał skrzydła? kto mnie odział pióry?
I tak wysoko postawił że, zgóry
Cały świat widzę!

Takie zbliżenie spotykamy co krok między dwoma krzewicielami odrodzenia na dwóch krańcach świata cywilizowanego. Obaj, jednaką szli drogą, to jest jednaki wycisnęli tór na pustych odłogach,

„Kędy nie było śladu ludzkiéj stopy.“

według pięknego wyrażenia Jana z Czarnolasu.

Obaj poeci pisali pieśni liryczne i elegie, obaj wysławiali wielkie sprawy i zwycięztwa królów swoich, z tą różnicą że Zygmunt August aktem Lubelskim, a Batory szeregiem świetnych czynów rycerskich, więcéj dostarczyli wątku Kochanowskiemu, niż trzej ostatni Walezyusze Ronsardowi. Obaj chłostali satyrą niezgodę i samolubstwo panów, opieszałość rycerskiéj młodzi, którą tak surowo gromi nasz poeta:

Skowaliście ojcowskie granaty na pługi,
A z drugiego już dawno w kuchni rożen długi;
W przyłbicach kwoczki siedzą, albo owies mierzą.

Obaj probowali sił w teatrze, który pragnęli dostroić do miary starożytnéj. Ronsard tłumaczył Arystofana, Kochanowski pisał *Odprawę posłów greckich*. Obaj nakoniec rozpoczęli narodowe epopeje, Ronsard *Francyadę*, Kochanowski *Bitwę* pod Warną.

Ronsard o lat pięć starszy, przeżył naszego Jana o rok jeden. Śmierć każdego z nich okryła żałobą serca ziomków: nad ich grobami brzmiały lutnie pierwszych poetów wieku.

Lecz o ile w ciągu życia Ronsard i Kochanowski szli jednakim torem, o tyle znów pamięć ich odmiennym uległa wpływom: Kochanowski sławiony za życia, sławiony był niezmiennie i po śmierci. Cześć jego przechodziła z pokolenia w pokolenie. Imię poety było zawsze największą chlubą narodową. Psalmy jego przekładu śpiewane chórem w kościele, brzmiały zarówno po zam-

kach możnych panów, jak po skromnych dworkach szlacheckich, a nawet pod strzechą rolniczą. Sława Ronsarda przeciwnie przebrzmiała niebawem we Francyi. W czterdzieści lat po skonie poety, nikt nie czytał już jego dzieł, nikt nie powtarzał jego pieśni. Powodem takiego zobojętnienia Francuzów dla pamięci Ronsarda był najprzód poeta Malherbes, który przepomniawszy ile zawdzięczał poprzednikowi swemu, twórcy poetycznego języka we Francyi, poniżał zawistnie jego pamięć. Drugim powodem był krytyk Boileau autor sztuki rymotwórczéj, zaślepiony czciciel Malherba, ztąd nienawistny Ronsardowi.

I przez lat dwieściepięćdziesiąt, dzieła wielkiego pisarza, leżały zagrzebane w pyle niepamięci. Od r. 1623, nikt nie pomyślał nawet o nowém ich wydaniu. Wybiła przecież godzina sprawiedliwéj rehabilitacyi: szkoła romantyczna, która przed czterdziestą laty, odrodziła we Francyi upadłą poezyę, zrozumiała całą zasługę Ronsarda, oceniła mozolną pracę pierwszego trzebiciela, który otworzył drogę przyszłym pokoleniom poetów. Wówczas to Sainte-Beuve, w znakomitém dziele krytycznem, o poezyi francuzkiéj XVI wieku, wydobył z pomroku wspaniałą postać naczelnika plejady i należnym otoczył ją blaskiem. Wkrótce potém pojawiło się nowe wydanie jego dzieł, dokonane starannie i z miłością.

Przy niedawno rozbudzonym, a tak silnym popędzie do uczczenia wszelkiéj wyższéj zasługi, miasto Vendome przypomniało sobie znakomitego syna, i postanowiło uczcić pamięć jego ozdobnym pomnikiem. Wojna opóźniła spełnienie téj szlachetnéj myśli. Monument był już gotów, kiedy krew zrumieniła kolebkę Ronsarda i zmąciła wody Loary.

Inauguracya owego pomnika, nastąpiła dopiéro 27 czerwca r. b. Połączono tę uroczystość z inną niemniéj rzewną: wzniesiono drugi pomnik na cześć Francuzów poległych w bitwach pod Vendome. Znane powszechnie wielkie wysilenia armii Loarskiéj, jakkolwiek nie zdołały ocalić Francyi, zasługują one przecież na uczczenie i pamięć narodu.

Wszystkie ciała naukowe paryzkie, wyprawiły delegacye na uroczysość Ronsardową. Z ramienia akademii Francuzkiéj, udał się do Vendome August Barbier znany i ceniony poeta. Mowa akademika poety o Ronsardzie, wypowiedziana z wielką siłą, sprawiła głębokie na słuchaczach wrażenie. Rozprawa ta naukowa, wybornie określa znaczenie wielkiego poety XVI wieku, związanego tak silnemi węzłami z naszym nieśmiertelnym Janem. Przytaczamy ją w treści.

„W przeznaczeniu literackiém Ronsarda—rzekł Barbier,—uderza nas szczególniéj dziwna niestałość opinii względem niego. Za życia uczczony imieniem książęcia poetów, znany nie tylko we Francyi, lecz w całym ucywilizowanym świecie, stawiany na równi z Tassem, w kilkadziesiąt lat po skonie, spada z zenitu chwały, znika z pamięci ludzkiéj, a potém znów, po wiekach zapomnienia,

po burzach rewolucyi, po wojnach cesarstwa, pod wpływem nagłego ocknienia się umysłów, wychodzi na widownię, i obwołany jednym z mistrzów nowéj szkoły poetycznéj, wstępuje dziś na ów tron granitowy, zbudowany mu gorliwością ziomków, w jego rodzinnym grodzie.

„Szczególny ten zbieg okoliczności, tak niezwykły w życiu sławnych pracowników pióra, daje się przecież wytłumaczyć. Czas, on wielki niszczyciel rzeczy ludzkich, aczkolwiek sieje po ziemi zgliszcza i gruzy, nie zdoła zburzyć do gruntu dzieła, w którém połyska rzeczywiście iskierka ognia Bożego. Niweczy on to tylko co stanowi przesadną i ujemną stronę, ale dzieło trwa w tém co istną nadaje mu wartość i budzi w potomnych tém większe poszanowanie ku natchnionemu twórcy.

„Czas — dodaje Barbier, — obalając piedestały na których współcześni pomieścili ulubieńców swoich, znajduje zwykle ludzi złéj woli, gotowych do współdziałania z nim razem. Te zawistne i uprzedzone umysły, dopatrują strony wadliwéj w dziele, wytykają skazy i częstokroć na długie lata, bądź i na całe wieki nawet, pociągają za sobą głos opinii powszechnéj.

„Ronsard znalazł takich zaciętych wrogów w Malherbie i Boileau, dla tego może aby chwała jego wyszła tam czystsza, i tém żywszym blaskiem zajaśniała w przyszłości.

„Malherbes i Boileau zburzyli chwałę Ronsarda, ale przyszedł czas zadosyćuczynienia. Sędziowie zostali osądzeni. Czterdzieści lat temu wytoczono na nowo proces, wygrał go wielki poeta, świadczy o tém on wspaniały pomnik co patrzy na nas z góry.“

W dalszym ciągu mowy Barbier kreśli obraz literatury XVI wieku, wskazuje stanowisko jakie zajmuje w niéj Ronsard, wylicza prace poprzedników, którzy przygotowali mu pole. Posłuchajmy co mówi, a przekonawszy się że toż samo powiedziéćby można o Janie z Czarnolasu, któremu Rey z Nagłowic pierwszy wytrzebił stojące na drodze zawady.

„Ronsard nie był zjawiskiem nagle zrodzonem na niwie literatury, jak one rośliny, które burza rozwija w mgnieniu oka. Miał on ojców i piastunów między poprzednikami, miał współzawodników w gronie współczesnych, ale przerósł ich wszystkich siłą, wdziękiem i wyobraźnią. Niewyczerpany w pomysłach, pisał do ostatniego tchnienia, bynajmniéj nie okazując śladów znużenia i upadku. Styl jego zawsze pełny, szeroki, malowniczy, krzepki i niesłychanie trafny. Pod jego piórem wiersz francuzki przybiera powagę, a częstokroć majestat metru łacińskiego. Zastosował on mnóstwo rytmów nieznanych dotąd w poezyi naszéj, a tém samém przygotował bogatą formę dla przyszłych geniuszów. Wiktor Hugo i Lamartine użyli wielokrotnie jego miary, i utworzyli arcydzieła.

„Nie sądźmy jednak aby Ronsard był wyłącznie artystą przywiązanym tylko do formy. Umysłem ogarniał on najwznioślejsze idee, duszę jego napełniały najwyższe uczucia. Świadomy

siły własnéj, czując się panem słowa, a szlachetną podniecon dumą, zapragnął unieśmiertelnić wielkim poematem kolebkę monarchii francuzkiéj, i jak nowy Wirgili wyśpiewać czyny ludu Franków, w Europie.

„Nieszczęściem brakło mu nauki historycznéj, było to winą czasow, co więcéj przesiąkły na wskróś łaciną, przypomniał że prawdziwa epos snuje się tylko z wnętrza ludu jak Illiada Homera albo pieśń o Rolandzie.

„Niedokończona Francyada stanowi drobny zaledwie urywek wśród licznych dzieł poety. Urywek to przecież bardzo piękny, pełen uczuć patryotycznych. Taż sama dźwięczna struna podzwania w jego hymnach i rozprawach nad niedolą kraju. Hymny te, lubo naśladowane z greckiego, i przesycone mitologicznemi ozdobami, tchną atoli krzepką wonią prawd chrześciańskich. Wyżéj jeszcze cenimy jego rozprawy nad niedolą kraju, gdyż te wydatniejsze noszą piętno geniuszu narodowego, i burz wichrzących krajem.

„Czujemy tu gorące tętno francuzkiego serca, oburzonego widokiem spraw publicznych. Tu Ronsard występuje jako znakomity satyryk. Chłoszcze on bez litości wszystkie stany narodu, tak hugonotów jak papistów, tak dostojników państwa jak prostą szlachtę, jak i lud wieśniaczy. Powołuje wszystkich do zgody i porządku; nie pomija nawet samego króla: doradza Karolowi IX. roztropność i umiarkowanie.“

Wysoko podnosi Barbier uczucia Ronsarda, jego wielką miłość dla kraju. Przytacza słowo tak wymownie świadczące o niéj:

Słonko, cudzie! ty ognia krynico bogata,
Słonko, duszo, ozdobo, piękne oko świata;
Odkąd wstawszy porankiem zbieżysz przestrzeń całą,
Nim zapadniesz w głąb morza, zalisz ty widziało
Kraj cudniejszy, wspanialszy, nad tę Francyę naszą?

Inny ustęp podnosi mówca, jako żywiéj przypominający dzisiejsze niedole kraju:

Lasy! kto waszą boleść, kto gorycz obliczy,
Kiedy młodzi germańskiéj hufiec najezdniczy
W szalonéj za zdobyczą i mordem pogoni,
Wydzierał nieustraszon berło z Franków dłoni,
I nadzieją zwycięztwa nadęty bez miary,
Miasto wód swego Renu, pił wody Loary!

Nakoniec akademik zwracając mowę do mieszkańców miasta Vendome, wyrzekł te piękne słowa:

„Spełniliście zacny czyn, podnosząc na tarczy księcia poetów XVI-tego wieku, zrodzonego w tym grodzie waszym. Od dawna

już XVII-ty wiek zagarnął dla siebie wszystkie hołdy! XVI-ty zbyt długo czekał na uznanie; a przecież te obie epoki, równe mają prawo do czci narodu, obie bowiem zarówno pracowały nad wyrobieniem języka. Jeżeli pisarze wieku XVI tego nie doszli sami doskonałości, oni to przygotowali ją z mozołem, a Ronsard wielki udział przyjął w tój pracy. Jego poezye cudne treścią i formą, natchnione prawdziwém uczuciem, pełne siły i barwy, żyć będą dopóki trwać będzie mowa nasza!

„Nie mała to chwała zaprawdę, przyczynić się do rozkoszy umysłowéj narodu, powiększając zasób jego bogactw intellektualnych, wyrabiając język, cudowne narzędzie poezyi; nie mała to zasługa szukać wytrwale piękna i urwać kwiat jego uroczy!

„Tak za dni żywota jak po skonie, w pamięci narodu, zdolny pisarz prędzéj czy późniéj, otrzyma zawsze słodką nagrodę za owoce prac swoich. Ktokolwiek on jest, ojczyzna słusznie się nim zaszczyca, splata mu wieńce, buduje mu posągi!

„Bodajby przykład tego wielkiego poety unieśmiertelnionego spiżem, zbudził współzawodnictwo w duszach waszych! Bodajby myśl narodu z nową siłą zwróciła się do poważnych nauk i wielkich prac literackich! Obyśmy ujrzeli falujące na błoniach nowe kwiaty; świetne barwą, urocze wonią, któreby zdołały ukoić umysły, oczyścić serca i pokryć złotą błękitną zasłoną nasze smutne ruiny! Oby świat patrząc na szybkie odrodzenia nasze, miał prawo wyrzec: Nie należy nigdy rozpaczać o narodzie, który miłuje piękno!

„Niema wnijść do umysłu twego jedno to co nadludzkie a niebiańskie! pomysły twoje nie będą się czołgać po ziemi!“ Taką to radę dawał Ronsard plejadzie swojéj. Coby powiedział książe poetów, na radykalny zwrot w dzisiejszych pojęciach, na to zdemokratyzowanie poezyi, jakie się dziś w całym świecie objawia Nowy ten prąd posunięty w Ameryce północnéj do krańców nihilizmu, jak to widzieliśmy w Whitmanie, owym niby to Kolumbie poezyi, nowy ten prąd zatrzymał się w Europie w granicach zdrowego rozsądku; we Francyi przedstawiają go głównie dwaj nowi poeci: Eugeniusz Manuel i Franciszek Copée. Oni to, bądź w dramatach, bądź w małych poetycznych obrazkach, wyprowadzają na widownię lud rzemieślniczy, taki jakim jest, z wadami i cnotami swemi; oni to patrząc z boleścią na złe nurtujące w łonie społeczeństwa, przykładają żelazo rozpalone do rany, aby uratować organizm. Manuel i Copée wprowadzili do poezyi owe rodzajowe obrazki, które w malarstwie tak znakomite dziś zajęły miejsce:

Zdemokratyzowanie sztuki we wszystkich jéj objawach, daje się czuć nadzwyczaj silnie we Francyi. Opinia powszechna przyklaskuje szczerze takiemu kierunkowi. Charakterystycznym jest fakt, że Juliusz Breton za dwa obrazy z życia ludu, otrzymał właśnie medal honorowy, którym dotychczas nagradzano zwykle malarstwo historyczne. Podobny zaszczyt spotkał w ostatnich

czasach poetę Manuela. Za zbiór obrazków poetycznych pod tytułem: *Poemata popularne*, akademia francuzka przyznała mu wielką nagrodę *Gaubert*, wynoszącą jak nam mówiono 20,000 franków.

We wstępie poeta wypowiada jasno swój programat. Ożywiony pragnieniem powszechnego dobra, wbrew tym którzy wypisali na chorągwi swojéj absolutne godło *sztuka dla sztuki*, Manuel widzi w poezyi jednę z potężnych dźwigni do wydobycia społeczeństwa z grożącego mu dziś odmętu. Przytaczamy tu jego słowa:

„Wielbimy i podziwiamy—mówi poeta—ową bezstronną a wielką poezyę, która odrywając czytelnika od trosk współczesnych, przenosi umysł jego w świat wiekuiście piękny, w świat czystego marzenia i daje mu zakosztować rozkoszy niemal od życia oderwanych; w ów świat wyższy nad codzienną a tak smutną i poziomą rzeczywistość, gdzie wytworna sztuka żywi się własną istotą swoją i staje się sama dla siebie celem. Poeci bez wątpienia mają prawo nie kłaść daty na pracach własnych, oni bowiem szybując jak orły po wyżynach, panują częstokroć nad czasem i przestrzenią, i są echem ludzkości całéj, echem powtarzającém się przez wieki.

„Dziś jednak poeta spotyka nową powinność, a nie przyznając sobie zbyt wielkiéj przewagi, ma równie jak pisarz dramatyczny nowe zadanie do spełnienia. Poezya musi coraz bardziéj w obrazach swoich, należéć do czasu który ją wydał. Powinnością jéj współdziałać gorąco, w rozwiązaniu zagadki obecnego życia powinnością jéj ustąpić z wyżyn, a zetknąć się bliżéj z ziemską rzeczywistością, i z mowy zwykłych śmiertelników, podjąć wyrażenia któreby określiły myśli, namiętności i boleści wstrząsające dzisiejszém demokratycznem społeczeństwem.

„Tak jest, ubóstwo, ciemnota, praca nad siły, poniżający występek, ukryte bohatérstwo, wszelkie nierówności, wszelkie niedole i wszelkie ofiary, mają być tematem téj nowéj poezyi. Nie braknie w niéj zaprawdę, dla biegłéj ręki mistrza, ani pełnych życia obrazów, ani głębokich wstrząśnień, ani potężnéj gry światła i cieniu, ani uroczych niespodzianek, ani surowych przestróg.

„Nowa droga!—dodaje poeta—za wieleśmy może powiedzieli! Oddawna już poeci różnych krajów czerpią przedmioty prosto z życia, z prawdy rzeczywistéj, powszedniéj; oddawna już zanurzyli oko w tę otchłań, do któréj dna zajrzéć można tylko przy połysku rewolucyjnych gromów. Lecz to co u wielu było przelotném natchnieniem a u kilku przeczuciem geniuszu, może stać się ostatecznie jednym z wielkich szlaków poezyi współczesnéj.

„Na taką to drogę i my pragniemy wstąpić. Głównem zadaniem naszém pochwycić złotą nić poezyi, wsnutą w życie pokornych i maluczkich prostaczków. Szukaliśmy jéj po gościńcach, w zaułkach miast, przy warsztacie robotnika, w szpitalu u łoża chorego, a nadto w ciemnéj otchłani sumień ludzkich nieświadomych jeszcze siebie. Szukaliśmy uderzeń serca własnego, kiedy która z tych przepomnianych nędz stanęła nam przed oczy; szliśmy

w ślad za owym tajemniczym głosem co szeptał nam uporczywie: *tą drogą iść potrzeba.*"

Po takim wstępie poeta rzuca nam przed oczy dziwnie piękne rodzajowe obrazki, zawarte w szczuplych ramach, lecz nakreślone ręką mistrza. Jakaż w nich prawda! jakie życie! jakiż to blask promienisty wytryska z pod smutnéj i wstrętnéj nieraz rzeczywistości.

Manuel nie szuka sztucznych efektów, nie pragnie on działać na nerwy czytelnika; dość mu na tém gdy poruszy do gruntu jego serce, gdy na niejedne lica wywoła rumieniec wstydu, gdy zbudzi niejedną myśl uśpioną, gdy z niejednych ust wydobędzie słowo zmazujące tyle win, błogosławione słowo: *mea culpa!*

Oddawna już poeci,—jak słusznie zauważył autor—biorą życie prostego ludu za przedmiot artystycznych utworów; ale dotąd wszyscy niemal ukazywali ten lud z dodatniéj, sielankowéj tylko strony. Życie rolnika na łonie przyrody, przeplatane pracą i pieśnią, najwięcéj dostarczyło wątku w tym nowym zwrocie poezyi.

Literatury wszystkich ludów chlubią się prawdziwemi arcydziełami tego rodzaju. Francuzi mają *Perinnę* Laprada, my mamy *Wiesława* Brodzińskiego. Dotąd jednak robotnik przy warsztacie, nędzarz na śmietniku, chory łazarz na łożu szpitalnym, szwaczka nad iglą, pijak w szynku, słowem ta cała czereda uliczna walcząca uporczywie z nędzą, wystawiona na tyle piekielnych pokus, tak ciemna, tak zaniedbana, tak moralnie upośledzona, jeżeli zwróciła na siebie uwagę pierwszorzędnych powieściopisarzy, jeżeli dostarczyła malarzom mnóstwo genialnych pomysłów, dla mistrzów słowa była przecież światem nieznanym i nietkniętym.

W taki to świat wprowadza nas Eugeniusz Manuel.

Dajemy w przekładzie kilka z tych obrazków, tak smutnych a niestety tak wiernie oddających rzeczywistość!

Narzeczona robotnika.

— Gdzie-to pędzisz? kto cię goni
Robotniku z młotem w dłoni?
Jakaż twoja narzeczona?
— Młode dziewczę, istne ptasze,
Jéj gniazdeczkiem to poddasze,
Izba ciemna, zadymiona!
Ma szesnaście tylko latek,
W jéj umyśle dziwny statek;
Ale słaba, kaszle dawno!
Taka smukła jak lilija,
Wyziew miasta ją zabija;
Ciągle szyje rączką wprawną!

Nad igiełką tak się biedzi,
Nie widują jéj sąsiedzi;
Ja ją kocham jak brat szczerze.
Śpiew czyżyków u niéj słyszę,
To jéj wierni towarzysze;
Wciąż im sypie ziarnka świeże!
Bez drzew ciężka zbiegła zima,
Sukieneczki ciepłéj nie ma;
Brak pokarmu, brak wygody!
Pierś jéj ledwie że oddycha,
Mnie ta straszy mowa cicha,
I rumiane te jagody!
Długa praca zbyt ją męczy,
Z po za sinéj téj obręczy,
Jakie oczy jéj płonące!
Wszystko, panie, dałbym za to,
Gdyby mogła w skwarne lato
Po zielonéj pląsać łące.
Radbym pojął ją za żonę,
Ale dziewczę to szalone
Ani słyszéć chce, mój Boże!
Niema rady . . . ach! od wczora,
Ona bardzo, bardzo chora:
Pan doktorem jesteś może?
— Gdzie-to pędzisz? kto cię goni
Robotniku z młotem w dłoni?
Jak dziewczyna twoja droga?
— Jutro w ziemi ją pogrzebię,
Jéj ojczyzna teraz w niebie!
Za jéj duszę prośmy Boga!

Matka i dziecię.

Nieraz wieczorem przechodząc po mieście
Dałem jałmużnę ubogiéj niewieście.
Pomnę półmartwa, z obliczém ponurem;
Jak duch cmentarny snuje się pod murem,
Wzrok jéj obłędny i kroki nieśmiałe,
Do wyschłéj piersi tuli dziecię małe.
Drżąca od mrozu, od głodu półżywa,
Brudną je szmatą troskliwie odziéwa,
Choć wicher szumi, dmą śnieżne zamiecie,
Przy sercu matki śpi cichutko dziecię.
Gdy je nieboga tuli dłonią skrzepłą.
Znać mu tam dobrze, bezpiecznie i ciepło!
Wyciąga rękę, a gdy jéj na głowę
Z nienacka światło upadnie gazowe,

Jakby spłoszona odblaskiem latarni
Odbieży na bok gdzie puściéj i czarniéj;
Na skręcie ulic niknie gdzieś w pomroczu,
Obraz to dziwnie bolesny dla oczu.
Więc jéj rzucano jałmużnę co prędzéj,
A ja dumałem na widok téj nędzy,
Co się tak kryje przed ludźmi nieśmiało!
Ciągnąćże daléj? raczej-by przystało
Zmilknąć mym ustom! u nieufnych ludzi,
Czyż podejrzenia ta powieść nie zbudzi?
Oh! gdybym odgadł że to moje słowo
Pierś zamknie jednę w skorupę lodową,
Że w chłodném sercu ku niedoli bratniéj,
Zgasi współczucia promyczek ostatni,
Że jednę rękę wstrzyma od jałmużny,
Milczećbym wolał! . . nie! . . jam światu dłużny.
Gdym smutnéj prawdzie przypatrzył się z blizka,
Niechże ta prawda i drugim połyska!
By zleczyć rany, sięgnijmyż do głębi:
Prawda acz straszna, niech serc nie wyziębi,
Ona tam nawet w otchłaniach bez końca,
Jasna i czysta, istny promień słońca!
W obec tych dłoni co błagalnie sterczą
Nasza nieufność grzeszną i bluźnierczą.
Choćby nam przyszło wpaść w sidła niekiedy.
Godziż się ludzkiéj nie szanować biédy?
Cobądź nas spotka, ach! smutniéj i gorzéj,
Nieczuć litości, téj iskierki Bożéj!
Idę wieczorem, patrzę otóż ona
Co tchu przedemną pędzi przerażona,
Ktoś dąży za nią, przecina jéj drogę,
Za wyschłe barki pochwyca niebogę.
Zdziera z niéj łachman rzuca go na śmiecie,
Pod tym łachmanem śpi maleńkie dziecię!
Z objęć matczynych wydziera je wściekły:
Stała jak kamień łzy jéj niepociekły.
Z piersi struchlałéj nie wybiegła skarga!
Okrutnik dziecko szamocze i targa,
Ach! to nie dziecko! . . kloc w płótno oszyty,
Stoczył się w rynsztok!
Ja stałem jak wryty.
Do kości szpiku przejęły mnie dreszcze,
Wlepiłem oko, chciałbym wątpić jeszcze,
Z odrazą patrzę na sztukę zdradziecką,
Ten cichy anioł, owo senne dziecko
W objęciu matki, to bałwan, to chusta,
Kłamstwem te modły co biegły przez usta;
Kłamstwem ta boleść, kłamstwem łzy kobiéty!
Do czegóż nędza przywodzi niestety!

Czyżby uwierzyć przyszło naostatek,
Nawet w sen dzieci, nawet w rozpacz matek.
Odskoczę na bok, krew we mnie się burzy,
Na smutny obraz nie chcę patrzéć dłużéj,
Nagle posłyszę ciche w piersi łkanie.
Ona mnie błaga :
— Ach! litości panie!
Chciéj mi zawierzyć, chciéj na rany Boga,
Tam na poddaszu śpi dzieciuka droga,
Żyje biédactwo przysięgam na duszę!
Miałam je wczora, lecz w téj zawierusze,
Jam go nie chciała narażać daremno,
Bardzo mi kaszle... O panie, chodź ze mną,
Sam się przekonasz . . . to robaczek mały,
Taki słabiuchny . . . stać z nim wieczór cały
Na takim wichrze zmarniałoby pewnie!
Więc okręciłam ten łachman na drewnie,
Obroń mnie panie, jam sama na świecie,
Tam śpi w kolébce prawdziwe me dziecię.
Łzy strugą płyną po jéj zwiędłéj twarzy,
Wierzę . . . ach! wątpić . . . któż z was się poważy?

Kwiat pomarańczy.

Płomień gazu na nią pada,
Twarz jéj zwiędła, żółto-blada,
Oko zgasłe, pierś bez tchu.
Po za oknem tam szerokiém,
Co tak chciwie goni wzrokiem?
Co tę nędznę trzyma tu?
Przepomniała snać o świecie,
Cóż się stało téj kobiécie?
Na jéj licu ciemny mrok.
Tłum przechodniów ją potrąca,
Jak słup martwa i milcząca,
W szybę łzawy wlepia wzrok.
Ani spojrzy na tę różę,
Na fijołków pęki duże,
Na te bratki, na te bzy.
Kwiat to inny śnieżno biały,
Tak pociąga wzrok zbolały,
Tak wyciska z ócz jéj łzy!
Tchnienia brakło w piersi choréj
Na poduszkę z białéj mory,
Tam uroczy rzuca cień.
Pomarańczy kwiat bieluchny,
Który przypną hoże druchny,
Narzeczonéj w ślubny dzień.

Gniéw i zazdrość pierś jéj targa,
Z ust się wyrwie z klątwą skarga,
Spojrzy w piekło zbiegłych lat.
W łzach palących oko tonie,
Ach! nie na jéj zwiędłe skronie
Pomarańczy biały kwiat!

Śpiewaczka uliczna.

Biédne dziewczę, ulicą Bulońskiego lasu
Szło prosząc o jałmużnę, łzą oko jéj spływa,
Głosem woła piskliwym od czasu do czasu:
„Wesprzyj przez miłość Bożą duszo litościwa!"
Nad czołem ogorzałém włos bujny się jeży,
Gruby, dziurawy trzewik chroni stopkę małą,
Z poszarpanéj w łachmany plugawéj odzieży
Na ramionach i łokciach świeci nagie ciało.
Idzie wprost ku przechodniom, wlecze się w ich ślady,
Niestworzone powieści powtarza w około.
Nie wierzą jéj . . . oh! ktoby wierzył w te szkarady,
Gorzki wyrzut rumieńcem padłby mu na czoło!
Błaga o drobny pieniądz, o kęs chleba marny,
Rodzice bez roboty, w kolébce bliźnięta;
Gnieżdżą się na poddaszu, w izdebce gdzieś czarnéj:
Żadna poczciwa dusza o nich nie pamięta.
Tłum przeszedł, w lot żebraczka ociera z łez oczy,
Na zieloną murawę bieży rozpłasana,
Strąci z lipy gałązkę, za motylem skoczy,
To oskubie stokrotkę co rozkwitła zrana;
Zaśpiéwa po przestrzeni, wiatr piosenkę niesie,
Z bladych ustek za zwrotką płynie nowa zwrotka,
Rzuca dźwięki ku niebu jak w cienistym lesie
Na gałązce kaliny ptaszyna szczebiotka.
Wpływ tajemny bezwiednie porywa jéj ducha,
Woń kwiatów ją odurza, pieści słonko złote;
Upojona radością czuje, patrzy, słucha,
Dziwny czar wskróś przeniknął jéj całą istotę.
W piersi dziecka jak łatwo kona jęk żałosny,
Bawi ją listek trawki, nęci błękit nieba,
Ach! łez ileż osuszy słodkie tchnienie wiosny,
Jak mało ubogiemu do uśmiechu trzeba.
Ja zdaleka badawczym ścigałem ją wzrokiem:
Biegła po miękkiéj darni jak wicher w rozpędzie,
Życie bucha z jéj łona wezbranym potokiem,
Szaléj biédna dziewczyno! nie długo tak będzie!

Staje nagle przed chwilą leciuchna jak pióro,
Wlecze się ku przechodniom, chwiejąca, pół żywa;
Pogodny wyraz twarzy nastraja ponuro,
„Wesprzyj, woła piskliwie, duszo litościwa."
I przybliża się się do mnie, wyciąga dłoń hudą,
Oko jéj łzą zabiegło, twarz potwornie zbrzydła.
— Precz mi ztąd, wołam z gniéwem, przeklęta obłudo!
Naucz się lepiéj kłamać nim złowisz mnie w sidła.
Nie daleko znać pada jabłko od jabłoni,
Śpiewałaś, teraz płaczesz ty dziecko żebracze;
Ona spojrzała na mnie, lekko się zapłoni:
— „Dla siebie ja śpiewałam, a dla nich ja płaczę!"

Przechadzka.

— „Tędy, tędy kochanku, nie bój się maleńki!"
Ozwie się głos ochrypły staréj babuleńki;
Ja nie widzę nikogo: rzęd bujnych topoli,
Słoni ich przed mém okiem. „Powoli, powoli!
Nie spiesz tak, mnie za tobą nie zdążyć niebodze:
Czy widzisz ową kupę kamieni na drodze?
Gdy będziesz dokazywał, upadniesz jak długi.
Na prawo, patrz, tu pieniek, ostróżnie, tam drugi!
Mignęło cóś, za chwilę spotkamy się przecie,
Ujrzę troskliwą babkę i wesołe dziecie;
Widzę w myśli jéj postać schyloną ku ziemi,
I dziecko rozpląsane, jak stopki drobnemi
Z płomienistą źrenicą naprzód się wymyka.
Że babce niepodążyć w ślady swawolnika;
Stajemy oko w oko: oh! istne to dziwy!
Spostrzegam dwoje starców: on jak gołąb siwy;
Idą razem, splecione mocno ich ramiona,
Drżącego jak liść męża, drżąca wiedzie żona;
Blade widma przeszłości, w pamiątki bogatéj,
Oboje istne grzybki, pokurczeni laty;
Ostatnim blaskiem życia słabo wzrok ich płonie,
Co ujdą dziesięć kroków, tchu braknie im w łonie;
Stanęli: ja ich wzrokiem śledzę pilnie z boku,
Jednemu bez drugiego nie postąpić kroku.
Biedneż to co zostanie, kiedy Bóg rozkaże
Na ziemi kochającéj rozdzielić się parze!
Na ich zoraném licu dopatrzéć już trudno,
Tego co było wdziękiem i krasą ułudną;
Od zmarszczek co im szpecą jagody i usta,
Przestraszona w popłochu zbiega miłość pusta!

Słodki przecież ich uśmiech, wiek uczuć nie zięhi,
Słowo jak strumyk czysty płynie z serc ich głębi;
Ona zwraca ku niemu wzrok rzewniéj i czuléj,
Niż dziewczę gdy jéj rękę oblubieniec tuli,
A on co dni z nią przeżył szczęśliwie i z cicha,
Przy jéj boku rozkoszą dziecięcą oddycha.
Podążam za ich śladem i serce mi rośnie,
A gdy oni na słońcu gwarzą tak radośnie,
Kiedy patrzą na płomień co z tych zgliszcz wybucha,
Na tlejącą w nich iskrę nieśmiertelną ducha;
Przed słodką ich nadzieją ze czcią głowę korzę,
O! miłości! jam odgadł Twe tajniki Boże!

Dawno już książka nie znalazła tak wielkiego rozgłosu, jak nowa broszura Aleksandra Dumasa syna p. t. *L'Homme-Femme* Mąż-żona. Większość czytelników oburza się na nią, rzuca ją z gniewem i otwiera znowu; a ktokolwiek wziął ją raz w rękę, musiał doczytać do ostatniéj karty. Czytało ją téż wielu, świadczy o tém mnóstwo wydań dokonanych w ciągu miesiąca.

Zkąd takie oburzenie? bo Dumas przyłożył gorące żelazo do gangrenowéj rany co toczy społeczeństwo dzisiejsze, bo sięgnął głęboko do dna serc ludzkich, określając wzajemny stosunek małżonków; bo tak mężczyznie jak kobiécie rzuca w oczy gorzką prawdę, nie powiemy z cynizmem, ale wyraźnie, nago, bez najmniejszéj ogródki.

Broszura ta w formie listu do redaktora dziennika *Soir*, skreśloną była dorywczo, w skutek smutnéj sprawy Dabourga, który niedawno zamordował w Paryżu własną żonę, przekonany o jéj niewierności. Dumas wziął sobie za cel udowodnić konieczność rozwodu w nadzwyczajnych wypadkach, aby uchronić społeczeństwo od zbrodni.

Nie chcemy bynajmniéj rozbierać dziełka, zostawiamy to śmielszym piórom. Przyznajemy téż otwarcie że nie zgadzamy się w wielu rzeczach z autorem, widzimy nawet brak ścisłéj logiki w jego rozumowaniu. Bo i jakże naprzykład pojąć w pisarzu który nie zrywa wcale z kościołem, owo natarczywe domaganie się od praw cywilnych rozwodu, na który jak mówi sam Dumas: „kościół nie może i niepowinien przystać, uznając w małżeństwie związek nieśmiertelnéj duszy z duszą.“

W téj przecież okrzyczanéj, potępionéj i wyszydzonéj przez prassę niemiecką książeczce, widzimy wiele pięknych i prawdziwych połysków. Autor pojmuje doskonale ideał małżeństwa, wie jakiém być powinno. Posłuchajmy go chwilę:

„Mąż znajdując w niewieście odpowiednie sobie warunki, mówi do niéj: „Bądź tylko moją.“ „Dobrze, ale działaj tylko dla mnie,“ odpowiada niewiasta mężowi. I kiedy mąż jest sumien-

nym, niewiasta słodką, harmonia niedługo następuje. Mąż nie stara się opanować żony, ale czyni z niéj towarzyszkę; żona nie myśli odwracać męża z jego drogi, ale idzie z nim razem. I następuje ścisły związek, dwa jestestwa łączą się w jednę całość, obmyśloną wyrokiem Opatrzności. Gody to nieśmiertelne, związane na wieczność całą; stan cudowny, nadziemski, który śmierć uświęci ostatecznie, stan dostępny tylko małéj liczbie wybranych. Jestto miłość w najczystszém, najwznioślejszém, najpełniejszém znaczeniu słowa."

„Nie o tych wybranych mówić tu zamierzamy—dodaje autor—bo i na cóż im rady i nauki nasze? Alboż oni stokroć od nas nie mądrsi! Pochylmy przed nimi ze czcią głowy i idźmy daléj!...

I autor przechodzi z kolei do téj ludzkości powszedniéj, ani złéj ani dobréj jaką codzień spotykamy po drodze i kreśli smutny ale wierny jéj obraz.

„Dwoje młodych ludzi—mówi on—czyniąc zadosyć prawom społecznym przysięgają sobie wiarę i miłość aż do śmierci. I mniéj więcéj dotrzymują przysięgi. Zaprzęgają się w jarzmo i ciągną życie we dwoje, jak dwa woły co ciągną pług po błocie i kamieniach, pod skwarem i pod deszczem i orzą bruzdy ciężko, w milczeniu, cierpliwie, nie pytając nawet co kto posieje za niemi i jaki plon zrodzi się na tém polu. Konieczność pogania ich biczem ilekroć zatrzymują się w twardéj pracy. Czasami zaczerpią tchu kiedy zaorzą skibę, a dzień jeden spoczynku łudzi ich szczęścia pozorem. Instynkt, nawyknienie, ciemnota, trochę rezygnacyi. uczucia i nadziei, oto grunt ich pożycia. Wkoło nich snuje się nieodrodna dziatwa. Umierają nakoniec, tak samo jak przyszli na świat, jak żyli, jak pracowali, sami nie wiedząc dlaczego.

Taka sama zwykła koléj i ubogich prostaczków i wielkich świata, z tą różnicą że ci ostatni stoją na wyższym szczeblu drabiny, że jedzą lepiéj, trawią gorzéj, że zamiast ciągnąć mozolnie pług, aby zapracować na niezbędny kęs chleba, ciągną mozolniéj jeszcze własne namiętności, własne występki, własne zgryzoty, częstokroć dobrowolnie. Tym trybem idzie powszednia część społeczeństwa, trzoda ludzi, kwicząca, ryczącą, potrącająca się wzajem, tłum który znika i odnawia się bezustanku, nie zostawiwszy najmniejszego śladu przejścia swego po ziemi."

Autor idzie daléj, to jest zstępuje niżéj jeszcze. Ukazuje nam młodą kobiétę, znudzoną, przesyconą hołdami świata, chciwą gwałtownych wrażeń, kobiétę która nie znalazłszy na drodze małżeńskiéj wymarzonego ideału, szuka go po manowcach życia, za obrębem domowych progów. Krótko mówiąc nazwijmy rzecz po imieniu: młoda kobieta ma kochanka. „Sto lat temu—mówi Dumas—byłby nim świetny pan dworski ze szpadą u boku, przyjaciel króla, dowcipny, waleczny, z upudrowaną fryzurą; przed laty sześćdziesięciu, byłby to zawołany wojak, wąsaty, osmalony prochem, ogorzały od słońca, gotów przebyć wpław Elbę i Berezynę, by ujrzéć panią myśli swojéj; przed trzydziestu laty byłby

nim blady czarnowłosy bajronista, poeta, jakiś potomek Lary, piersiowy, spragniony śmierci byle umrzéć razem z ukochaną.

„Dziś to zupełnie *coś* innego. *To coś* niema już ani dowcipu, ani odwagi, ani złudzeń. *To coś* jeździ konno po lasku Bulońskim, należy do klubu sportsmanów, *to coś* przesiąkło wonią cygara, wina i stajni, mieszaniny zaprawnéj patschulą. Ba! cóż robić? czasy ciężkie!

I takie to coś kłóci pokój domowego stadła? Jakim sposobem? Dlaczego?“ Dla tego odpowiada Dumas, że mąż nie umiał postawić się godnie w obec żony, że nie umiał zwyciężyć jéj prawdziwą wyższością umysłu i ducha.

I jakiż środek podaje autor przeciw złemu? Jakąż tu siłą kobiéta zdoła zwalczyć pokusę, a raczéj pokonać w sobie próżność i chciwość hołdów, bo przecież *takie coś* nie może być niebezpieczną pokusą? Ażaliż poważne wychowanie da jéj potrzebną tarczę przeciw poszeptom chorobliwéj wyobraźni? Autor małą wagę przywiązuje do wychowania, wszystkiém u niego jakaś fatalność rasowa, prawo krwi odziedziczone spadkiem. „Przewroty polityczne—mówi Dumas—szczególniéj wojny, spowodowały pomięszanie i zlew najrozmaitszych plemion w społeczeństwie naszém. Powie mi kto, że wychowanie modyfikuje, poprawia, niweczy fatalność plemienną? Wychowanie poprawia dobrych, wzmacnia słabych, lecz nie zmienia żywiołów psychologicznych, stanowiących główny charakter jednostek. Próżno obwijałbyś niedźwiedzia w watę, wiązał mu błękitną wstążeczkę na szyi, nie zamienisz go w pieska. Natura ciągnąć go będzie do lasu; prędzéj, późniéj niedźwiedź pochwyci cię za gardło. To co zowiemy rozmarzeniem i wybrykiem wyobraźni kobiecéj, bywa najczęściéj przypomnieniem piérwotnego rodu; spotykamy codzień praprawnuczki dzikich ludożerców, u których instynkt plemienny z całą przeważa siłą.“

Zbyteczną byłaby tu protestacya nasza. Wpływ wychowania zapewne nie zatrze do szczętu instynktów plemiennych, ale może je podnieść i uszlachetnić, rozwijając je na właściwych im prawach; wychowanie wyrobi wolę, a wola wyższa od fatalizmu.

Autor szydzi niemiłosiernie z dzisiejszych obrońców praw kobiéty, zowie ich *feministami*. „W ich mniemaniu—mówi Dumas—wszystko złe pochodzi ztąd, że świat nie chce uznać równości kobiéty z mężczyzną, potrzeby jednakiego wychowania i t. p. My odpowiemy na to *feministom*, że słowa ich nie mają sensu. Wartość kobiety nie jest ani równa, ani wyższa, ani też niższa od wartości mężczyzny. To wartość innego rodzaju. Że kobiéta niema równéj siły, dowodem na to jéj bezustanne skargi na przewagę mężczyzn. *Silni* którzy kładli podwaliny porządku społecznego, poddali kobiétę pod osobne prawo, z powodu osobnego, a powiedzmy *niższego posłannictwa*, które nałożyła na nią przyroda. Ci prawodawcy dobrze uczynili, dodaje autor, widzimy bowiem że najzacniejsze, najszanowniejsze, a przytém najszczęśliwsze kobiéty, poddają chętnie głowę pod taki społeczny porządek,

odpowiedni prawom natury. Nie dlatego więc że dajemy jéj wychowanie jakie odbiera, kobieta jest tém czém jest, ale dlatego właśnie że jest tém czém jest, dajemy jéj wychowanie jakie obecnie odbiera!“

Dziwnyż tu chaos w pojęciach! Wartość kobiéty na czém innem polega niźli wartość mężczyzny, zgoda zupełna na to. Ale posłannictwo jéj maż być niższe? ale wychowanie jéj w warunkach dziś przyjętych, maż być typem doskonałości? przeciw temu protestujemy najsilniéj!

Posłuchajmy daléj autora: „Bóg wszechpotężny, mężczyzna pośrednik, kobiéta istota posiłkowa: oto doskonały trojkąt. Mąż nie dokona nic bez Boga, kobiéta nic bez męża: oto prawda wieczna, bezwzględna, niewzruszona. Nie idzie tu więc o zmianę w wychowaniu kobiéty, ale przeistoczyć trzeba z gruntu wychowanie mężczyzny. Skoro będzie wiedział dlaczego jest na ziemi, kobieta zrozumie dlaczego winna mu uległść! Wszelkie prawa i swobody nadane kobiecie, wzmocniłyby tylko walkę, z któréj mężczyzna jako silniejszy, wyszedłby zawsze zwycięzko.

Należy raczéj oświecić mężczyznę jakie są powinności jego względem kobiety. Czego żona ma przedewszystkiem prawo żądać? oto iżby mąż jako pośrednik, jako inicyator, wtajemniczył ją w myśl Bożą, aby wyrobił jéj godne stanowisko na ziemi, i dał jéj udział w wiekuistém swém przeznaczeniu. Dopóki mężczyzna nie spełni téj powinności, nie zapanuje nad kobietą, nie będzie jéj przewodnikiem ale wrogiem.

„W chwili rozpoczynającéj się walki—mówi autor—kobiéta głosi zazwyczaj że pragnie widzieć w mężczyznie, powolnego jéj niewolnika, w duszy jednak pragnie aby został jéj panem, silnym, słodkim a sprawiedliwym. Gdy uzna w nim pana, ukocha go i uczci. Nie chce być prostym łupem, ale wymaga aby ją pokonano. W każdéj kobiécie jest cząstka Xymeny, każda pragnie aby jéj Cyd wyszedł zwycięzko z boju który toczy przeciw niéj saméj. Odda się w nagrodę, skoro uzna w nim tryumfatora!“

A jeżeli zapytamy, przyjdzie kobiécie urodzić się w czasach, kiedy zabraknie Cydów? maż ona być zawsze tą wiotką jemiołą szamotaną wichrem, choć wytrzebiono w lesie stare dęby, o których pień oplatała się niegdyś tak bezpiecznie i tak uroczo?

Nie chcemy bynajmniéj rozwiązywać pytania, rzucamy je mimochodem oddając rzecz pod rozwagę myślicieli. Powiemy tylko że w mniemaniu naszém, pomiędzy mrzonkami nowatorów, marzących o emancypacyi kobiét, a teoryą pana Dumas tak krańcowo im przeciwną, jest dla kobiéty jakaś droga pośrednia, droga nieomylna, zgodna z jéj wielkiém powołaniem, droga, którą musi iść samodzielnie, jako istota odpowiedzialna za swe czyny przed Bogiem i przed ludźmi!

„Na sto błądzących kobiét — mówi autor — dwadzieścia błądzi z winy własnéj, a ośmdziesiąt z winy mężów, ktorzy zwichnęli w zasadzie tę cudowną instytucyę małżeństwa, i nie dali poznać

towarzyszkom swoim, ani jéj wielkości, ani szczęścia jakie w niéj można znaleźć.“ Nie dzielimy w tém zdania autora, kobiéta błądzi zawsze z własnéj winy, bo ma wolną wolę, bo w mocy jéj podnieść się wysoko albo upaść. Jeżeli na kogo ma spaść w cząstce jéj wina, to na tych, którzy wychowując ją od dziecka, nie umieli wyrobić jéj samodzielnéj woli.

Na poparcie zasady swojéj że kobiéta jest istotą bierną, że ślepa uległość konieczném jéj prawem, Dumas cytuje Pismo Święte, sięga do początków genezy, mówi o wszystkiem:

O Adamie i o Ewie,
I o wężu i o drzewie.

Przytacza wreszcie z Ewangielii ustęp, w którym Chrystus przemienia w Kanie Galilejskiéj wodę w wino, na prośbę Najświętszéj Matki swojéj. Słowa Maryi: czyńcie cokolwiek On wam rozkaże, mają być według niego modłą uległości niewieściéj.

Tu Dumas czyni publiczne wyznanie wiary; przytaczamy ten ustęp jako charakteryzujący osobistość pisarza.

„A teraz kto ma uszy niechaj słucha, kto ma oczy niechaj patrzy. Nie czas już zasłaniać się niewiadomością, ani zwalać winy jedni na drugich, po Bożkiém Narodzeniu Chrystusa. Prawda już objawioną, prawo powszechnie znane, i świat ma Boga, i ludzkość ma duszę. Dzięki téj cudownéj tradycyi biblijnéj otrzymałem życie w Adamie, ziemię w Noem, rodzinę w Abrahamie, prawo w Mojżeszu, odkupienie w Chrystusie, pod niejakiemi warunkami, które bynajmniéj nie przechodzą sił moich. Stary Testament tłumaczy mi i daje ziemię, Nowy Testament gdy ziemia wystarczyć mi nie może, otwiéra mi drogę do nieba.

Pierwszy uczy mnie od jakiego Boga pochodzę, drugi do jakiego Boga powracam. Bóg to jeden, niewyczerpany w miłości, wiekuisty i niewzruszony w woli swojéj.

Mądrość Mojżesza, największa jaką świat zaznał, dusza Jezusa, najczystsza jaka zapromieniała kiedykolwiek nad ludźmi, mogłyżby mnie zwodzić? i pocóżby mnie zwodziły? Coby im z tego przyszło? Jakiż był ich cel, jeżeli nie dobro téj ciemnéj i biednéj ludzkości, za którą walczył Mojżesz, za którą umarł Chrystus? A owi tysiące męczenników, co konali z uśmiechem na ustach, i opiewali chwałę nowego Boga, wśród najochydniejszych katuszy, cóż ich wiodło do śmierci takiéj, jeżeli nie chęć poświadczenia prawdy tego Boga, który napełniał pokojem ich serce w chwili mąk najsroższych? a ja człowiek nowy, ja co dzięki im nie mam z kim walczyć chyba sam z sobą, mógłżebym nie wierzyć w Bogu, wygłoszonego w taki sposób? Te wielkie rzeczy miałyż się spełnić nadaremnie? Tyle geniuszu, tyle czystości, tyle cnoty, tyle odwagi, tyle nadziei, tyle dowodów, miałożby to być niczém? Precz z tą myślą niegodną! o tak.. Bóg tych apostołów, tych męczenników, jest Bogiem moim. Jego ja szukałem, jego pragnę.

Wy wszyscy, którzyście walczyli, miłowali, cierpieli dla mnie, przyjmijcie mnie pomiędzy was, pragnę walczyć, pragnę miłować, pragnę jak wy cierpieć za tę prawdę, którą poświadczyliście skonem waszym. Ja widzę, ja wiem, ja rozumiem i wierzę! Mam Pana: tym jest Bóg, mam państwo: tém jest ziemia, mam środek działania: tym jest praca, mam cel: tym jest dobro, mam obietnicę: tą niebo! mam brata: jest nim człowiek, mam pomoc: jest nią kobieta. . . Idźmy!

„Oto wykrzyk z piersi człowieka, który został chrześcianinem!“

Słuchajmy dalszego wyznania:

„Od siedmiu tysięcy lat nic się nie zmieniło, przyszła kolej na nas że stajemy w obec tych pytań, które prędzéj czy późniéj zatrzymają uwagę każdego myślącego człowieka.

„Religia, filozofia, nauki, literatura, historya, doświadczenie, praca, boleść, poznanie ludzi i rzeczy, słowem wszelkie prądy wyobraźni, duszy i serca, złożyły w nas złoto i błoto, wielką moc sprzecznych pojęć, w których współdziałaniem, jeśli jesteśmy prawdziwie ludźmi, musim bądź co bądź przed śmiercią utworzyć w sobie własne przekonanie. Co do mnie, nic mnie już nie męcza, nic nie dręczy. Intelligencya moja przyszła do równowagi, serce moje do harmonii, dusza do zaufania; czuję w sobie trzy działacze, odmienne co do właściwości, ale jednakie co do celu, trzy badacze nadzmysłowe, które stanowią moją cząstkę Bożą na ziemi. Ani duma, ani pycha, ani pieniądz, nie wydobędą z ust moich tego, co nie leży w mej duszy, nie skłonią mnie do przemilczenia tego, co uważam za prawdę. Nie należę do żadnéj doktryny, do żadnéj sekty ani koteryi. Słowem jestem wolny w wielkiém znaczeniu słowa: mam własne przekonanie. W samotności skupiam się duchowo, wdzieram się z mozołem do góry, spoglądam wkoło siebie, niżéj i wyżéj i w nieścignioną okiem przestrzeń.

„Podemną miasta, zgiełk, ziemia, ludzie w pogoni za szczęściem, dążący doń wszelkiemi drogami i ścieszkami.

Wkoło przyroda jednostajna, płodna, nieprzebłagana, milcząca, dobroczynna, zakryta a przecież zrozumiała.

Powyżéj niebiosa błyszczące tajemnicą, niezmierzone i nieskończone.

„W dalekiéj przestrzeni, świat niewiadomy, gdzie każda religia złożyła obietnice, gdzie każda filozofia przyjęła tajemne słowo, świat, o którym człowiek myśli dopiéro, kiedy ma przekroczyć jego wrota. Otrząśnięty z wpływów ziemskich, jestem tam, w samém centrum życia powszechnego i stworzenie całe przemawia do mnie, do mnie drobnego pyłku, jak przemawiało do Noego na górze Ararat, do Mojżesza na górze Sinai, do Chrystusa na górze Oliwnéj, jak przemawia do najprostszego ze śmiertelników, jeżeli tylko chce słuchać i uwierzyć!

„Otóż gdybym miał syna w dniu, w którymby ten syn skończył rok dwudziesty piérwszy, poprowadziłbym go na ową górę moję i wyrzekłbym do niego:

„Znasz nauki ścisłe i rzeczywiste, których wielka część nie zna, umiesz mnóstwo rzeczy których ja nie umiem i nie nauczę się nigdy, gdyż młodość moja ubiegła w rozprószeniu, a początek wieku dojrzałego zbiegł mi na zbieraniu owych okruszyn prawdy, jakie zgromadziłem mozolnie w jednę całość, aby oprzeć się na nich, skupić się w sobie, i zrozumieć życie powszechne. Ten skarb wiedzy zdobyty przez ciebie pomnażaj z wytrwaniem i stałą metodą.

„Masz lat dwadzieścia i jeden, prawo uznało cię pełnoletnim a więc panem czynów twoich, współdziałaczem w losach kraju twego. Wiesz, że istota twoja nie składa się z saméj krwi, z samych nerwów, muskułów i kości. Z tego ciała które tworzy widomą formę i stanowi twoje dotykalne *ja*, nie zostanie kiedyś nic, a gdy to ciało miało być całą puścizną twoją na ziemi, w takim razie lew przeszedłby ciebie siłą, dąb wzrostem, a karp trwałością organów. Żyjesz więc inaczéj, i tu okazuje się wyższość twoja nad resztą stworzeń. Ty myślisz, rozumiesz, czujesz, ty pamiętasz, żałujesz, spodziewasz się, cierpisz, kochasz, słowem tysiące wrażeń splata się, łączy, dzwoni i żyje w innóm twojém *ja* niewidzialném, które twoja forma obejmuje, lecz ograniczyć nie zdoła!

„Jesteś więc nietylko w tém co jest tobą, ale niemniéj w tém co jest po za obrębem twoim, stanowisz więc cząstkę nie tylko świata materyalnego z którym zostajesz w bezpośrednim związku ale i tego innego świata, nieujętego w formę, który jest światem myśli i uczucia, świata zwanego duszą. Piérwszy warunek bytu czyni cię podobnym do wszelkich istot co się rodzą, żyją i umierają w około ciebie, drugi warunek sprawia że czujesz się wyższym od owych tworów powołanym bezwiednie ku temu, co jest nieśmiertelne i nieskończone, ku twórcy samemu który obdarzając cię duszą, byłby cię niebezpiecznie uposażył, gdyby ta dusza nie pragnęła poznać go i zespolić się z nim razem.

„A zatém skoro nie możesz wyobrazić sobie ani określić formy tego stwórcy, masz-li wnosić że on nie istnieje? Możesz-li niemniéj wyobrazić sobie formę i siedlisko i mechanizm myśli twojéj, boleści, pamięci i życia, poszłoby zatém że myśl twoja, boleść, pamięć i życie, nie istnieje zarówno, że ci którzy mówią że myślą, cierpią i pamiętają i żyją, są poprostu szaleńcami, kiedy przeciwnie stają się nimi odkąd przestają myśléć, cierpiéć, pamiętać i żyć owém życiem nieokreśloném. Skoro więc może istnieć tysiące rzeczy widomych w skutkach lubo niewidomych w formie, a zatém stwórca niewidzialny staje się widocznym w swych dziełach, jak widoczną myśl moja, boleść, pamięć i życie w widocznych objawach jakie im daje. Wszędzie gdziekolwiek idea Boga jeszcze nie istnieje lub istnieć już przestała, panuje tylko ciemność, zamęt, barbarzyństwo. Jestem bo on jest, on jest ponieważ ja jestem!"

Pomijamy dalsze uwagi o stosunku człowieka do Boga, w których autor rozwija obszernie myśl powyższą, a przechodzimy do przedmiotu głównie nas obchodzącego, to jest do małżeństwa.

„Żeń się! powiedziałbym synowi memu—ciągnie Dumas—wybierz sobie żonę na jakim chcesz szczeblu społecznym, niech tylko narzeczona twoja ma wiarę, niech będzie skromna, pracowita, zdrowa i wesoła bez ironii. Nie żeń się nigdy z dziewczyną skorą do wyśmiewania drugich. Szyderstwo u kobiéty to piekielny system. Znaj dobrze jéj rodziców; jacy rodzice takie dzieci (nie daleko pada jabłko od jabłoni). Jeżeli są wyjątki od powszechnéj reguły, to wyjątki pozorne: mało zastanawiano się nad tém. Wysławiaj tylko w żonie zasługi małżonki i matki, ale niechaj będzie matką w wielkiém znaczeniu słowa. Liczna dziatwa zrodzona z zacnych rodziców, to błogosławieństwo Boże dla domu, a co więcéj to wielki przykład dla drugich, a przykład więcéj znaczy niż teorya, bo trudniéj nauczać czynem niżeli słowem. Ktokolwiek nie sharmonizuje życia swego z głoszonemi zasadami, jest obłudnikiem lub maniakiem godnym pogardy. Gdyby Chrystus sformował tylko cudowną naukę swoją, a sam jéj nie praktykował, nie byłby ustanowił religii; utworzyłby tylko doktryny, która umarłaby z nim razem. Boskość jego odbija w połączeniu życia z zasadami.

„Bądź sam bez zarzutu jeżeli chcesz widzieć nieskażoną małżonkę. Nie dręcz jéj, nie dawaj powodu do winy. Wtajemnicz ją w widoki twoje ludzkie i Boże, aby na wypadek przedwczesnéj śmierci twojéj, nie potrzebowała obcéj pomocy do kierowania dziećmi, aby była dla nich ojcem i matką, a tém samém stanęła na najwyższym szczycie udoskonalenia jakie dano osiągnąć kobiécie, nie wychodzącéj za obręb powołania swego.

„Daj jéj poznać życie które jest rzeczą prostą, wytłumacz jéj śmierć która bardzo łatwą temu, kto żyć umiał; niech wié, że tak życie jak śmierć nie są czém innem tylko środkiem osiągnięcia wieczności, w któréj spotkacie się oboje, gdzie was nic nie rozłączy, jeżeli w ciągu życia byliście razem *mężem-niewiastą*, połączeni w miłości jedynéj nieskończonéj.

„A teraz gdybyś pomimo rozumu, doświadczenia, cierpliwości, dobroci i wszelkich cnót, gdybyś miał doznać smutnego zawodu, gdybyś pojął istotę niegodną ciebie, gdybyś nie mógł uczynić z niéj małżonki jaką być powinna; gdyby nie ocaliło jéj nawet macierzyństwo, to ziemskie odkupienie kobiéty; gdyby nie chiała słuchać cię jako męża, jako ojca i przyjaciela; gdyby poważyła się sponiewierać imię i cześć twoją, gdyby miała zwrócić cię z dróg ludzkich i Bożych; gdyby prawo które przyznało sobie moc związywania, nie mogło rozwiązać nieszczęsnych węzłów: w ówczas w imię twego Pana wystąp sam jako sędzia i wykonawca wyroku nad nikczemną! To nie kobiéta ale potwór... szkodliwy społeczeństwu! W takim razie zabij ją!..

Tém ostatniém słowem Dumas zabił swoją książkę! Sąd może zapewne uwzględnić czyn zbrodniczy przez wzgląd na okoliczności towarzyszące przestępstwu, ale godziż się stawiać teoryę, że jednostka ma prawo sama sobie wymierzać sprawiedliwość?

Kto buduje na fałszywéj podstawie, musi w końcu tak się wplątać, że mieczem tylko zdoła przeciąć gordyjski węzeł. Dumas odmawiając kobiécie samodzielności, czyniąc z niéj istotę wyłącznie posiłkową (auxiliaire), doszedł do ostatecznych wyników założenia swego, gdy dał mężowi nad nią prawo życia i śmierci.

Książka ma przecież tę wielką zaletę, że porusza mnóstwo najżywotniejszych zagadnień, że dotyka najboleśniejszych ran toczących dzisiejsze społeczeństwo, że wykazuje chorobę i pobudza myślicieli do szukania skutecznego na nią ratunku.

Jak silnie broszura ta poruszyła umysły, znać to z dwudziestu sześciu wydań rozchwytanych w ciągu miesiąca.

Dowiadujemy się od autora że pracuje obecnie nad nowym dramatem p. t. „*Żona Klaudyusza.*" Będzie to jak widać ohydny typ dawnéj lub nowoczesnéj Messaliny, tym z którym Dumas walczy tak zawzięcie, a tak rozmaitą bronią.

Ważne pytanie co do stanowiska kobiéty w społeczeństwie, nie jest bynajmniéj nowym wymysłem. Zajmowali się niém dwatysiące trzysta lat temu filozofowie starożytni, tak samo jak się niém zajmują moraliści czasów dzisiejszych. Posłuchajmy oto rozmowy Sokratesa z Krystobalem pod sławnemi platanami Pauzilipu.

— Ja sądzę—mówi Sokrates—że jest dla ludzi i dla koni pewny wiek, w którym nabywają z każdym dniem nowych zalet. Mogę téż przytoczyć mężów którzy w taki sposób postępują z żonami, że znajdują w nich dzielną pomoc w utrzymaniu ładu domowego, gdy tymczasem inni widzą w nich główną przyczynę upadku.

— I czyjaż w tém wina Sokratesie, mężczyzny czy kobiéty?

— Kiedy trzoda jest w opłakanym stanie—odrzecze Sokrates—obwiniamy o to pasterza; kiedy koń niesforny, czynimy ztąd zarzut jezdcowi. Co zaś do niewiasty, jeżeli mimo dobrego kierunku męża postępuje źle, słusznie czynią zapewne ci, którzy na nią składają całą winę. Ale jeżeli mąż zostawia ją w niewiadomości dobra i piękna, ażali mąż nie jest odpowiedzialnym za nią? Owóż mój Krystobalu powiedz mi szczerą prawdę: czy jest kto na świecie, kogoby obchodziły bliżéj twoje sprawy niż własną twoją żonę?

— Niéma nikogo.

— A jednak czy są wśród przyjaciół twoich ludzie, z którymi mniéj niż z nią rozmawiasz o tém co ciebie dotyczy?

— Niéma takich.

— Kiedy ją pojąłeś za żonę, ażaliż nie była dzieckiem, co nic nie widziało i nie słyszało?

— Prawda.

— A więc byłoby dziwniéj gdyby wiedziała jak się ma zachować, niż gdyby popełniła jakąś zdrożność.

— A ci mężowie — rzecze Krystobal — co mają dobre żony, czy oni je sami wychowali?

— Ważne to pytanie — odrzecze Sokrates — poczekaj przedstawię cię Aspazyi, a ona lepiéj niż ja potrafi cię oświecić. Co do mnie, sądzę, że dobra żona i pani domu, działa po połowie z mężem dla dobra wspólnego.

Mąż zazwyczaj własną pracą wprowadza dostatek do domu, żona zaś rozporządza dochodem na domowe potrzeby. Jeżeli pilnie czuwa jéj oko, dom rośnie, w przeciwnym razie upadek nieochybny."

Niewiadomo jak Aspazya rozstrzygnęła rzecz, ale łatwo odgadnąć, że nie przyznała niewieście roli zupełnie biernéj. W pojęciu jéj, małżonkowie powinni byli wzajemném oddziaływaniem wyrabiać się i dążyć do coraz wyższéj doskonałości. Eschines uczeń Sokratesa przytacza charakterystyczną rozmowę jéj z Xenofontem i żoną jego Thilezyą.

— Powiedz mi małżonko Xenofonta — zagadnęła Aspazya — jeżeli sąsiadka twoja ma złoto wyższéj próby niżeli twoje, które z nich wolisz?

— Wolę jéj złoto, odrzecze zagadniona.

— Jeżeli ma strój kosztowniejszy od twego, który przekładasz?

— Jéj strój.

— A jeżeli jéj mąż więcéj wart od twojego, któregożbyś wolała?

Thilezya zarumieniła się i spuściła głowę w milczeniu.

Wówczas Aspazya zwróciła mowę do Xenofonta.

— Powiedz mi — rzecze — jeśli twój sąsiad ma lepszego konia niż twój, któregobyś miéć wolał?

— Jego konia.

— Jeżeli ma żyzniejszą ziemię od twojéj, którążbyś wybrał sobie?

— Jego ziemię, rzecz prosta.

— A jeżeli ma żonę lepszą od twojéj, któraż byłaby dla ciebie milszą?

Xenofont milczał.

— Skoro żadne z was — rzecze Aspazya — nie odpowiedziało wprost na zagadnienie moje, ja więc sama wytłumaczę myśl waszą. Ty niewiasto chciałabyś miéć mężem najdoskonalszego z ludzi, a ty Xenofoncie chciałbyś nazwać małżonkę najdoskonalszą z niewiast. Dlatego to dopóki ty mężu nie staniesz się najlepszym, ty żono najzacniejszą na ziemi, dopóty żałować będziecie nawzajem że wam nie dano osiągnąć najwyższego szczęścia.

Tak to małżonka Peryklesa pojmowała małżeństwo! widziała w niém najsilniejszą dźwignię do wspólnego doskonalenia się dwóch jednostek wolnych, samodzielnych i odpowiedzialnych za własne czyny.

Znalazła Aspazya to upragnione szczęście, bo przez ćwierć wieku dzieliła losy najznakomitszego męża w Atenach. Drogo jednak przyszło jéj okupić to szczęście domowe. Przetrwała ona ogniowe próby, jakie przetrwać muszą wszyscy trzebiciele nowych dróg, wszyscy dobroczyńcy ludzkości. Mamy właśnie przed sobą ciekawą monografię téj nadzwyczajnéj kobiety, świeżo wydaną przez p. Becq de Fouquières. Autor wziął sobie za cel ukazać tę piękną postać w pełnéj aureoli geniuszu, a bardziéj jeszcze w blasku cnoty niewieściéj, któréj współcześni przeczyli jéj przez zawiść, potomni zaś przez niewiadomość i mylnie ugruntowaną tradycyę.

Aspazya rodem z Miletu przybyła w młodości do Aten, gdzie zwróciła na siebie oczy i pozyskała serce sławnego Peryklesa. Naczelnik Rzeczypospolitéj Ateńskiéj, rozłączony z pierwszą żoną, ojciec dwóch niedorosłych synów, poślubił piękną *cudzoziemkę*. Tak to dawni Ateńczycy mienili Greków zrodzonych po za obrębem uprzywilejowanego miasta, które panowało nad większą częścią Hellady, a któremu sama tylko Sparta uporczywie stawiała czoło.

Chwila połączenia Peryklesa z Aspazyą, była chwilą najświetniejszą w dziejach Rzeczypospolitéj: Perykles uczynił Ateny pierwszą polityczną potęgą w Grecyi. On sam jako najznakomitszy obywatel, i najwytworniejszy mówca swego czasu, rozbudził geniusz literacki i artystyczny w sławném mieście swojem, i za złoto Grecyi jął budować w niém dwa pomniki nieśmiertelnéj piękności: Parthenon i Propilee.

Ale powaga praw tak była wielką w Atenach, że nawet on sławny Perykles, dla wymowy przezwany Olimpijskim, nie mógł zdobyć najmniejszego przywileju. Małżeństwo jego uważane było w Atenach za nieprawe, jako zawarte z cudzoziemką. Aspazya z Miletu nie mogła otrzymać zaszczytnego tytułu obywatelki Aten.

Miłość małżonka nagradzała jéj to upokorzenie. Dom Peryklesa i Aspazyi świecił w Atenach najwyższym blaskiem. Nie był to ów blask wschodniego przepychu, jakim słynęły dwory królów perskich. Przeciwnie, panowała tu skromna prostota, harmonizująca z zasadami przewodnika demokracyi ateńskiéj, godnego następcy Arystydesa. Całą świetność domu tego stanowiło towarzystwo złożone z pierwszych geniuszów, których imiona błyszczą dotąd nieśmiertelnym promieniem chwały. Do domowników należeli tu Anaxagoras i Zenon, Fidiasz, Eurypides i Sokrates, że pominiemy wielu innych. Sokrates młody podówczas, w rozmowach z mędrcami wysysał tu jak pszczoła on słodki miód, który miał kiedyś przelać w duszę Platona. Tu garnęli się przybysze z Sycylii i z Jonii, przyciągnięci potężnym urokiem grodu, który jako słońce ożywiał całą Grecyą. Tu czerpali oni smak wytworny, tu kształcili się w sztuce krasomówczéj, ztąd roznosili światło cywilizacyi na dalekie wybrzeża, zanurzone jeszcze w ciemnościach.

W takiemto codziennem otoczeniu, rozwinął się i dojrzał umysł Aspazyi. Była ona duszą tych zebrań, które ożywiała świetną wymową i poezyą. Wymowa jéj tak była porywająca, że Sokrates w rozmowach z uczniami, wielokrotnie nazywał ją pierwszą mistrzynią swoją.

Niechętném okiem Ateńczycy poglądali na ten nowy obyczaj. Dotąd bowiem niewiasta ateńska nie przekraczała nigdy progów *gineceum*. W demokratycznych rzeczachpospolitych, sprawy publiczne pochłaniały życie obywatela. Krótkie chwile poświęcał on rodzinie; prąd zewnętrzny porywał go od rana, to do gimnazyum i łaźni, gdzie hartował siły fizyczne, to pod cień portyków, i na publiczne place, gdzie zajmował się własnemi i kraju sprawami. Niewiasta tymczasem żyła w zupełném odosobnieniu. Nie wtajemniczona w obowiązki powołania swego, zaniedbana, poniżona moralnie, w dojrzałych nawet latach, miała wady właściwe dzieciom. Otwórzmy tylko Arystofana i innych komików, a zobaczymy, że kobiéty ateńskie były łakome, gadatliwe, zamiłowane w plotkach i grze hazardowéj. Niektóre haftowały w krosnach, przędły i tkały wełnę, większa atoli część, przez cały dzień trefiła włosy, krasiła lica sztuczną barwą, przymierzała coraz to nowych strojów, lub znudzona rzucała się na łoże.

Z uczuciem głębokiéj litości patrzała Aspazya na takie poniżenie kobiét: postanowiła zatém, gromadzić je wkoło siebie i podnosić ich umysł porywającą wymową. Podczas gdy matrony i dziewice ateńskie przędły wełnę w jéj *gineceum*, przemawiała do nich mądrze, zachęcała do cnoty, budziła w nich uczucie godności osobistéj, miłość obowiązku, wskazywała wielkie zadanie żon, matek i gospodyń. I niewiasty ateńskie z sercem bijącém, piły słodką naukę z ust Aspazyi i odchodziły od niéj z silną wolą odrodzenia się w duchu.

Na wzór domu Peryklesa, poczęły niebawem tworzyć się w Atenach koła towarzyskie, z których kobiéta nie była jak niegdyś wykluczoną: oddziałało to w dziwny sposób na złagodzenie obyczajów.

Zasady głoszone przez Aspazyą, prowadziły do społecznego wyzwolenia kobiéty. Wiek ówczesny nie dorosł do tych pojęć. Ateny tak pełne światła i twórczéj siły, patrzały ze zgrozą na nowy prąd, tak przeciwny odwiecznym tradycyom i przesądom, podkopujący jak sądzono prawa polityczne Rzeczypospolitéj i samą nawet religią.

Doktryna Aspazyi polegała głównie na tém, aby w wyborze małżonka, zostawiono kobiécie wolną wolę. Mąż, jako starszy wiekiem i bogatszy doświadczeniem, obowiązany był wtajemniczyć żonę w poznanie dobra, piękna i prawdy, ale kobiéta przyszedłszy raz do samopoznania, obowiązaną była poddawać swoje czyny pod sąd sumienia własnego. Ostatniém słowem téj teoryi była zupełna równość w prawach i obowiązkach, równość przeciwna tradycyjnym obyczajom Ateńczyków.

Wyrazem uprzedzeń powszechnych, stali się nasamprzód poeci komiczni. W scenicznych przedstawieniach, chłostano bez litości nietylko Aspazyą, lecz wielkiego jéj małżonka. Tłum przyklaskiwał z zapałem, na widok Herkulesa przędącego kądziel u stóp Omfalii, na widok Heleny zapalającéj pochodnię wojenną, która miała obrócić w perzynę tyle przesławnych grodów.

Przyszło wreszcie do formalnego zaskarżenia. Hermip zapozwał przed sąd Aspazyą, „że nie hołduje bogom opiekuńczym Aten, że prowadzi bezbożne rozmowy o zjawiskach niebieskich, że rozszerza zepsucie pomiędzy młodemi dziewczętami, wygłaszając w obec nich niebezpieczną doktrynę. Aspazya zasługuje na karę śmierci.“

Nadszedł dzień sądu. Aspazya stawiła się przed trybunałem złożonym z pięciuset sędziów, pod przewodnictwem najwyższego Archonta. Obok niéj stanął Perykles, nie jako małżonek, prawa ateńskie nie uznawały ślubów z cudzoziemką, ale jako obrońca niewinnie oskarżonéj. Od lat dwudziestu trzech żyli oni w niezmąconéj zgodzie miłości, sam ich widok poruszył sędziów. Perykles, którego słowo porównywano do gromów Jowisza Olimpijskiego, przeszedł w tym dniu sam siebie. Zazwyczaj zimny w obec tłumów, broniąc Aspazyi z zapałem, podniósł się do szczytu wymowy. W chwili najwyższego uniesienia, pierś jego wybuchnęła głośném łkaniem, strumien łez wytrysnął mu z oczów.

Sąd uniewinnił Aspazyą.

Mimo to, imię téj słynnéj kobiéty, przeszło do dni naszych, obrzucone potwarzą, postawione w jednym rzędzie z imionami Fryne-ów i Lais-ów, sławnych czarodziejek ateńskich. Potrzeba było dwudziestu z górą wieków, aby słuszny sąd potomności wyłączył z ich liczby tę, którą Sokrates nazwał mistrzynią swoją, która przez ćwierć wieku była godną małżonką, najsłynniejszego obywatela Aten. Drogo Aspazya przypłaciła szlachetną myśl wyzwolenia kobiéty z jarzma wiekowych uprzedzeń. Dziwićże się iż pogańskie Ateny potępiły jéj doktrynę, skoro dziś jeszcze po tylu wiekach, pisarze chrześcijańscy jak Aleksander Dumas, odmawiają kobiécie odpowiedzialność za własne czyny, i widzą w niéj wyłącznie istotę *posiłkową*.

Sprawdziło się przewidywanie nasze. Podczas gdy piszemy tę kronikę, broszura Dumasa wywołała mnóstwo odpowiedzi, które znamy tylko z tytułów. Przytaczamy owe tytuły jako dość charakterystyczne same z siebie. *Femme-homme*, przez Anonyma, *Femme-roi* także niewiadomego autora, *Le mariage libre*, Pawła Lacombe, *Eve contre* Aleksandra Dumas przez panią Deraisme, znaną w Paryżu zapaśniczkę emancypacyi, *L'homme et la femme*, list Emila Girardin do Dumasa, a nakoniec: *Lettre aux Alsatiens: Dumanisme et Girardinisme*. Oprócz tego sypnęło się mnóstwo

artykułów i złośliwych wierszy po dziennikach. Kobiéty niezadowolnione, że im autor narzuca kuratelę i naznacza porządne stanowisko, mężczyźni oburzeni że ich Dumas ma za nic, a raczéj za *to coś*, bez barwy i bez oddźwięku, przesiąkłe wonią cygara i stajni. Claireville tak zaczyna żałośną skargę:

Dumasową książkę całą
Przeczytałem, lecz niestety!
Nic-że we mnie nie zostało
Ani z męża ni z kobiéty!
Mierzę siebie wszerz i wzdłuż!
Jam dziś niczem!.. niczem już!

Z pomiędzy licznych odpowiedzi wpadł nam tylko w rękę list Emila Girardina *L'homme et la Femme*. Jest to zupełna autiteza teoryi jakie wygłosił Dumas. P. Girardin nie przeczy samodzielności kobiécie, co więcéj na barki jéj składa całą odpowiedzialność za wychowanie i pokierowanie synów do chwili kiedy stają się ludźmi. Wolność bezwarunkowa w małżeństwie, prawo macierzyństwa, czyniące kobiétę wyłączną głową rodziny: oto nowa zasada słynnego publicysty francuzkiego, zasada która na gruzach dotychczasowego porządku, ma niby to ocalić i z gruntu odrodzić zachwiane społeczeństwo.

Zbyt długo powtarzano, mówi autor: „Mężczyzna tworzy prawo, kobiéta tworzy obyczaje.

„Biedna sprawiedliwość! i jakież to potworzono prawa. A ja powiadam: twórzmy obyczaje, a dajmy pokój prawom."

Przepomniał tylko autor że jednym pociągiem pióra choćby najgenialniejszego, nie tworzą się obyczaje, że łatwiéj powalić w gruzy istniejący gmach, niżli zbudować nowy z tych gruzów.

„Kto szuka prawdy, musi być absolutnym," utrzymuje Emil Girardin, zgodnie z tą zasadą; gardzi on wszelkiemi półśrodkami i stawia zuchwałe hypotezy przyszłego porządku świata.

Z pomiędzy tych hypotez przytaczamy tu jednę, która lepiéj wykaże myśl autora niż wszelkie teoretyczne określenia.

Młoda Walentyna, bogata, rozumna, wychowana wzorowo, z pomiędzy licznych zalotników wybiera Edwarda, i oddaje mu rękę. Spisano akt przed rejentem; małżonek zabezpieczył summę oprawną (donaire), ślub odbył się w kościele, bez aktu cywilnego, gdyż ten wcale niepotrzebny, jak twierdzi autor. Walentyna zachowuje imię swéj matki własnéj i to imię przekazać ma dzieciom.

Jest ich troje tych dzieci, rosną pod macierzyńską opieką. Wiedząc od najmłodszych lat że mają dziedziczyć tylko po matce, ojciec bowiem nie jest obowiązanym przekazywać im spadku, chyba uczyni to z własnéj woli; wiedząc o tém dzieci nie oglądają się na nic a jedynie liczą na własne siły. Myśl ta jest dla nich bodźcem, popycha ich na drogę postępu.

„Przypuśćmy — ciągnie autor — że Walentyna była ofiarą złudzenia. Edward zawiódł jéj ufność. Porwany złym przykładem, rzuca się w odmęt zepsucia i szału. Cóż czyni żona? głęboko religijna, poddaje się pod niemylne przepisy wiary. Aczkolwiek nie kocha i nie szanuje męża, pozostaje mu wierną, bo wierną jest prawom kościoła. Czerpiąc siłę w czystym i niezmąconym zdroju macierzyństwa, poświęca się wychowaniu dzieci, które noszą jéj imię, i za których przyszłość odpowiedzieć ma przed społeczeństwem. W nich całe jéj szczęście i chwała.“

Jako dowód twierdzenia swego, autor przypomina że trzej najznakomitsi królowie Francyi, wychowywani byli przez matki. Ludwik święty przez Blankę z Kastylii, Ludwik XII przez Maryę z Kliwii, Henryk IV przez Joannę z Albretu. I któżby śmiał przeczyć błogosławionego wpływu kobiéty, matki? pewnik to tak niezbity, że wszelkie dowody byłyby tu zbyteczne. Nie rozumiemy tylko czemu p. Girardin przytacza owe trzy królowe, bo żadna przecież z nich nie przekazała synowi nazwiska swego, żadna za wychowanie dziecka nie dźwigała na sobie wyłącznéj odpowiedzialności, w obec świata i przyszłych wieków.

„A więc przez macierzyństwo, ciągnie autor, kobiéta dźwiga się i podnosi. Uczucie obowiązku pobudza ją do działania. Przyszłość spoczywa w jéj ręku, ona odpowie za nią. Wątek który snuje, jest wątkiem ludzkości. Zadanie jakie spełnia, to najwznioślejsze, najszlachetniejsze, najtrudniejsze ze wszystkich zadań na ziemi. Wykarmić dziecię własném mlékiem, podnieść, wykształcić, oświecić jego umysł, rozwinąć zdolności, przytępić wady, słowem utworzyć charakter, serce i umysł człowieka, nie jest-że to najszczytniejszém powołaniem kobiéty? Aby zmienić losy narodu wystarczy niekiedy jeden człowiek. Każda więc matka w szlachetnéj dumie, powinna spodziewać się że syn jéj będzie tym wybranym człowiekiem, każda matka ma prawo szukać własnéj chwały w synu swoim. Ażaliż matka chrześcijańska, niéma najszczytniejszego wzoru przed oczyma, wzoru Maryi, matki Chrystusowéj?“

Wszystko to prawda niezbita, jasna jak słońce; pan Girardin ma słuszność przypominając ją kobiétom, ale czyż ten wielki przykład nie istniał dla dotychczasowego społeczeństwa? W czémże on usprawiedliwia nową zasadę?

„Pod *prawem macierzyństwa*, dodaje autor; im kobiéta bogatsza, tém więcéj ma zajęcia, musi bowiem nie tylko karmić, wychowywać, uczyć i pielęgnować własną dziatwę, ale co więcéj musi zarządzać swoim majątkiem który będzie kiedyś ich puścizną. Praca nad utrzymaniem i pomnożeniem tego majątku zapełni jéj wolne chwile, uspokoi wyobraźnię, będzie dla niéj wędzidłem. Mylnym jest sąd, że kobiéta nie zdoła prowadzić interesów pieniężnych: prowadzi je wybornie skoro chce i skoro ją do tego przygotowano.“

Pozwólmy że tak jest, ale gdzież będzie równowaga w podziale pracy? Jakież pole działania zostawione mężowi? Godziż się tak na barki jednéj połowy społeczeństwa składać wszystkie ciężary, drugą zaś uwalniać z wszelkich obowiązków i wszelkiéj odpowiedzialności? I cóż pozostaje dla mężczyzny? chyba oręż, pioro lub warsztat, że już pominiemy karty, stajnie i t. p. Oręż, upada sam przez się, autor bowiem utrzymuje że nowy porządek doprowadzi ludzkość do wiekuistego pokoju! do wszechwładnego panowania demokracyi, którą przyszłość zbuduje na gruzach wojennych zdobyczy i arystokratycznych przywilejów."

Autor opiera się jak mówi na prawach natury. Jakoż w rzeczy saméj nowy ustrój wymarzonego przezeń społeczeństwa przypomina w wielu względach porządek zachowany w pszczolnym ulu, gdzie matka panuje tak wszechwładnie i powszechne odbiera hołdy.

Ale zobaczmy dalsze korzyści, jakie ludzkość osiągnie z nowego stanu.

„Skoro ojcowizna, mówi autor, usuniętą zostanie prawem, małżeństwa stracą właściwy swój charakter. Dotąd żeniono z sobą dwa stosy talarów lub dwa obszary ziemi, dziś przeciwnie mężczyzna żenić się będzie z kobiétą. Pieniądz utraci wielką część wartości, *piękność* za to wyższéj nabierze ceny."

Gdyby autor powiedział rozum, zacność duszy, byłby przynajmniéj loiczniejszy sam z sobą. Rozum pomógłby kobiécie do rządzenia domem, majątkiem i rodziną. Zacność duszy utrzymałaby ją na drodze powinności, tak trudnéj, skoro odpowiedzialność za najmniejsze zboczenie wyłącznie na nią spada. Ale pytamy autora w czemże *piękność* daje mu rękojmię pomyślności i bytu rodziny? Ażaliż dar tak niebezpieczny wystawiający kobiétę na tyle zewnętrznych pokus, przykuje ją tém silniéj do progów domowych, których ona jedynym być ma filarem?

Silnie autor powstaje na zasady Dumasa, potępia sam nawet tytuł broszury *L'homme-femme*, tytuł oznaczający nierozerwalną jedność pomiędzy małżonkami. Dziełku swemu daje tytuł *l'homme et la femme*, a tém samém rozdziela dwie jednostki, przyznając każdéj z nich *najzupełniejszą* wolność, nieskrępowaną żadném prawem.

„Wolność—mówi on—niweczy małżeński feudalizm; ludzkość odzyskuje swoje prawa. Kobiéta przestaje być wasalką, mąż przestaje być lennym jéj zwierzchnikiem. Niema tytułu przebaczać jéj, ani prawa pastwić się nad jéj życiem. Kobiéta należy sama do siebie, dzieci są jéj wyłączną własnością."

Opuszczamy tu szeroki wywód korzyści jakie osiągnie kobieta, rozprzężona z jarzma, ciężącego na niéj od wieków, przywrócona do praw człowieczeństwa, to jest do praw natury, dla którychto praw według autora, wszelkie kodeksa począwszy od rzymskich aż do napoleońskich najsroższym były gwałtem, najcięższą znie-

wagą! Opuszczamy to wszystko; dotykając podobnych przedmiotów, samo pióro wypada z ręku.

Nie bez słuszności jednak protestuje p. Girardin przeciw twierdzeniu Dumasa, jakoby wychowanie dzisiejsze kobiety, odpowiadać miało potrzebie. Przytacza tu zdanie Daniela Sterna: „Scytowie wydzierali oczy niewolnikom, aby tłukąc masło nie mieli próżnego roztargnienia; są także ludzie którzy wydzierają oczy słowikowi aby tém piękniéj śpiewał: nie przychodziż nam mimowoli na myśl, że podobny cel przewodniczy wychowaniu dzisiejszych kobiét?“

W ogólności cytacye wielkich filozofów i moralistów, które p. Girardin nakręca do swoich uwidzeń, więcéj warte niż cała jego broszura. Powtarzamy tu słowa Condorceta, Monteskiusza, i J. J. Rousseau, nadzwyczaj ważne i ciekawe wobec podniesionego dziś pytania, co do stanowiska kobiéty w społeczeństwie.

Zobaczmy co mówi Condorset:

„W postępie rozumu ludzkiego powinniśmy uważać za objaw najsilniéj przyczyniający się do ogólnego szczęścia, zupełne obalenie przesądów, które utrzymywały między mężczyzną a kobiétą różnicę praw, zgubną nawet dla strony uprzywilejowanéj.

„Napróżno szukalibyśmy powodów usprawiedliwiających te przesądy, w odmiennym organizmie fizycznym, w nierównéj sile intelligencyi, w przewadze uczucia.

Piérwotną przyczyną téj nierówności było tylko nadużycie siły. Daremnie chciano późniéj zasłaniać się sofizmatami.

„Trudno przyszłoby dowieść, że kobiety nie zdolne spełniać obowiązków obywatelskich. Bo i czemużby istoty narażone na przemijające fizyczne cierpienia, miały być pozbawione praw, których nie przyszło nikomu na myśl, odmawiać ludziom dręczonym co zima podagrą lub skłonnym do kataru!“

Monteskiusz tak się wyraża:

„Między mężczyznami a kobiétami siły byłyby równe, gdyby równém było wychowanie. Wyprobujmy ich zdolności w tém, w czém ich edukacya nie osłabiła, a zobaczymy, czy jesteśmy tak bardzo silni.“

Wstrzymujemy się od własnych uwag. Nie naszą rzeczą prowadzić polemikę z takimi myślicielami jak Condorceret i Monteskiusz. Mężowie ci, wbrew panującym uprzedzeniom, wzięli sobie za cel dowieść, że umysł kobiéty właściwością swoją nie różni się wcale od męzkiego, że cała różnica polega na odmiennem wychowaniu. Żaden z nich nie mówi o koniecznym podziale pracy, między dwie połowy ludzkiego rodu; zostawili to innym moralistom: sami zaś poprzestali na sformułowaniu teoryi z filozoficznego tylko stanowiska. J. J. Rousseau podejmuje rzecz praktycznie; zrozumiał on wielkie posłannictwo kobiéty.

„Mężczyzni—mówi on—będą zawsze tém, czém ich kobiéty miéć chcą. Jeżeli pragniecie ujrzéć ich wielkiemi i cnotliwemi, uczcie kobiéty czém jest wielkość i cnota. Pierwsze wychowanie

wraża się najsilniéj, a to zależy wyłącznie od kobiét. Gdyby Twórca przyrody powierzył je mężczyznom, dałby im mleko do wykarmienia własnych dzieci. Przemawiajcie więc przedewszystkiem do kobiét w waszych rozprawach nad wychowaniem, one bliżéj czuwają nad niem niźli mężczyzni, silniéj na nie wpływają, a co więcéj, skutki wychowania ważniejsze dla nich, wdowa bowiem zostaje najczęściej na łasce dzieci, i tak w dobrém jak w złém, zbiera owoce z własnego posiewu. Prawa zajmujące się wyłącznie mieniem a nigdy osobami, gdyż celem ich pokój nie zaś cnota, prawa nie dają dosyć powagi matkom."

Wszystkie te zdania filozofów i moralistów, naciąga Girardin jakby wodę na swój młyn, udowodniając niemi błędne rozumowanie. A przecież tu i owdzie, w tym steku najprzewrotniejszych zdań, połyska przypadkowo płomyk prawdy. Ma słuszność autor kiedy mówi że próżnowanie i bezmyślność prowadzą kobiétę do złego.

„Kobiéta—mówi on—nie zajęta wychowaniem dziatwy własnéj, ani obowiązkami pani domu; kobiéta nie świadoma wielkiéj odpowiedzialności jaką zaciąga względem społeczeństwa, jest jakoby okręt bez balastu puszczający się na daleką wyprawę. Wyjątkowo tylko taki okręt uniknąć może rozbicia. Jeśli tyle upada kobiét, powodem tego brak balastu, to jest brak pojęcia własnéj odpowiedzialności."

Słusznie też zarzuca Girardin Dumasowi, że w klassyfikacyi różnego rodzaju kobiét, przepomniał o wieśniaczkach (*femmes des Mamps*), których liczba tak przeważna, życie tak pracowite i pożyteczne. „Weźmy ją—mowi—dzieckiem, nie odrosła jeszcze od ziemi, a patrzmy jak się krząta, jak pomaga ojcu i matce, i babce i dziadkowi, jak wyręcza starszą siostrę, piastuje młodszego braciszka; jak późniéj pracuje w polu z mężem, jak zagarnia siano grabiami, jak sierpem żnie zboże na zagonie, jak obrywa jesienią winne grona, jak na nogach od rana do nocy, to doi krowę w oborze, to karmi wieprza w chlewku, to sadzi drób, to posypuje mu ziarno. to znów rozczynia mąkę na chleb, to kołysze niemowlę i karmi je mlekiem i usypia je pieśnią!

„Nieraz – mówi autor—gdy byłem deputowanym, zaglądałem ja do chaty wieśniaczéj. I trudno zaprawdę byłoby mi osądzić kto z dwojga, mąż czy żona piérwsze zajmuje w niéj stanowisko.

„Równość doskonała, prostą koleją rzeczy, ustanawia się sama w takiém stadle, gdzie cztery ramiona łączą się razem, by udźwignąć twardy mozół codziennéj pracy. Tylko w bezczynności kobieta staje się niewolnicą."

Czemuż niestety na dwustu blisko stronnicach dziełka, kilka zaledwie napotykamy takich jak ten ustępów, gdzie prawda przedziera się jasno przez ciemne tumany, które autor rzuca w oczy swym czytelnikom!

Smutna ta książka, napisana z niesłychaną przewrotnością, jest obrazą dla całego społeczeństwa, szczególniéj zaś dla kobiéty,

którą autor podnosi niby to z wiekowego upokorzenia, i stawia na świeczniku, jako istotę wolną i odpowiedzialną!

Zdaniem pana Girardin, mężczyzna może zrzec się wszystkiego na korzyść żony, powierzyć jéj los dzieci, ich majątek; nie może tylko oddać własnego imienia pod straż jéj zacności, gdyż niewiasta uszanować go nie zdoła! Taka nieufność jestże dowodem najwyższéj pogardy?

Z dwojga złego wolimy więzy, któremi Dumas krępuje kobiétę przyznając mężowi pośrednictwo pomiędzy nią a Bogiem, niż te upakarzające prawa jakie chce jéj nadać p. Girardin. Dumas pozwala w chwili uniesienia zabić przestępną żonę, Girardin na zimno zabija cześć kobiéty!

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Kurs historyi wieków średnich napisany przez Tadeusza Korzona, z dołączeniem 4-ch mapp histor. i 25 tablic genealogicznych. Nakładem J. Brzozowskiego, Warszawa 1872. XVII 554 str.

Zgódźmy się na to, co autor w przedmowie do swojéj pracy mówi o zadaniach nauki dziejowéj. Oto jego słowa: „Historya ma wyjaśnić pochodzenie i rozwój cywilizacyi, starałem się przeto wciąż miéć na oku wszystkie jéj czynniki, główne jéj części składowe, przedstawiając wytwarzanie się narodowości i organizmów politycznych, stanu prawnego i ekonomicznego, literatur i sztuki, obyczajów i życia domowego.“ Lubo wymagaéby można nieco dokładniejszego określenia zadań historyi, poprzestańmy jednak tymczasem na definicyi podanéj przez autora. Ma ona za sobą powagę Guizota, który, jak wiadomo, przed laty z górą 40-tu zajął w swoich odczytach podobne względem nauki dziejowéj stanowisko. Guizot miewał lekcye i o cywilizacyi europejskiéj równie i o cywilizacyi francuzkiéj. Wiemy nadto w jakie granice przezeń ujęte zostało pojęcie cywilizacyi. Według jego myśli takie dzieje zawierają w sobie rozwój stanu społecznego i umysłowego, rozwój warunków zewnętrznych i ogólnych oraz rozwój natury wewnętrznéj i osobistéj człowieka, jedném słowem postęp w udoskonaleniu się społeczeństwa i ludzkości. Przypomnieć tu jeszcze wypada,

że według pojęcia Guizota potrzeba, aby te dwie składowe części cywilizacyi rozwijały się wspólnie i równocześnie, wzajemnie na siebie odziaływając. (Cours d'hist. mod. Brux. 1835 8—9). To zdanie Guizota nie wiele się różni od poglądu, z którym nas poznaje autor w swojéj przedmowie.

Jeśli dotychczas po największéj części układający podręczniki historyczne nie wznosili się na tak wysokie stanowisko, to ze strony p. Korzona jestto postęp znaczny, ważny krok naprzód. Pisano dawniéj i tak nas téż uczono, że historya jest nauką o wypadkach zaszłych w przeszłości, albo że historya opowiada zdarzenia zaszłe w ludzkości i t. p. Zdarzenia takie grupowano około cesarzów, królów i w tym porządku snuł się wątek dziejów. Obowiązkiem ucznia było uczyć się na pamięć tych licznych nazwisk w nieprzerwanym po sobie ciągu idących, w tych ćwiczeniach umysłowych tylko pamięć brała udział, wszystkie inne władze pozostały nietknięte. Z biegiem czasu nazwiska się zatarły a z niemi i jedyny owoc długiéj i mozolnéj pracy. Stanowisko więc z jakiego p. Korzon zamierzył według słów w przedmowie umieszczonych wyłożyć dzieje średniowiecznc jest nierówniéj trafniejsze, właściwsze. Z tego punktu widzenia rozpatrywane zdarzenia historyczne wściślejszym między sobą łączą się związku i występują na jaw w pełniejszéj postaci. Już czas jest porzucić metodę martwą, która serca nie kształci i ducha nie rozwija, w ostatecznym rezultacie prowadząc do bolesnéj straty czasu. Czyja pamięć jest w stanie objąć te nieprzeliczone tłumy nazwisk królów, bitew i miejscowości, które się zmieniają ciągle jak w kalejdoskopie? Cóż zresztą z tych nazwisk pozostanie? Jakieś oderwane wiadomości o przekształceniach politycznych, o zdobyczach terytoryalnych, poprzyczepiane do nici chronologicznéj. Po tém rozległém państwie dziejowém snują się w głowie jakieś cienie bez ciała i duszy.

Inaczéj jest, kiedy się zbiór wiadomości historycznych zmienia w dzieje rozwoju cywilizacyi. Tak szerokie jest znaczenie cywilizacyi, jak ją Guizot określa, tyle stron życia publicznego ona obejmuje, że dzieje cywilizacyi nie mogą się zamknąć w ciasnym obrębie wypadków politycznych ugrupowanych około osób panujących i wypadków z ich życia osobistego. Dzieje cywilizacyi nie mogą poprzestać jedynie na obrazie zmieniających się stosunków politycznych zewnętrznych, i wojen prowadzonych celem rozszerzenia granic lub utrzymania piérwotnego obszaru; dzieje cywilizacyi nie mogą bawić się wyłącznie opisem nieustannie wznawiających się walk i staczanych bitew, bo one życie całe objąć powinny, życie społeczeństwa w jego najważniejszych objawach, więc życie religijno-kościelne, życie umysłowe, stan społeczny, stosunki wewnętrzne, więc dotknąć muszą warunków, w jakich się rozwijał człowiek w społeczeństwie, do jakich celów dążył, jak je urzeczywistniał, wśród jakich warunków pracował i t. d. Na takiém tle rozwijany obraz dziejów przestanie być suchym zbiorem nazwisk i przedmio-

tem, który li dla ćwiczenia pamięci przydatnym być może. Zaniedbane zupełnie strony życia dziejowego wystąpią wtedy w żywotniejszéj pełni, obudzą żywsze zajęcie i w kształcie łatwiejszym, przystępniejszym wejdą do umysłu i trwalsze w pamięci zjednają sobie miejsce. Jeżeli z biegiem czasu z pamięci wypadną nazwiska, pozostanie zawsze pewien szereg ogólniejszych pojęć, osnutych na zrozumianym biegu wypadków między sobą w związku zostających, przyswojonych rozumem ale nie pamięcią, ztąd łatwo mogących się odnawiać, odświeżać w naszéj wyobraźni. Objaśniamy myśl naszą opartą na pewném doświadczeniu przykładem.

Wychowańcy tych szkół, w których nieco staranniéj bywa wykładana historya rzymska, zapominają po większéj części w bardzo prędkim czasie, bo w kilka miesięcy po ukończeniu gimnazyalnego kursu nazwiska konsulów, dyktatorów, osób działających; ale zawsze zachowują w pamięci pojęcia ogólniejsze o rozwoju życia publicznego o stosunkach wewnętrznych, jeśli często nawet chronologiczne ramy wypadków chwiejnemi w ich umyśle się stają, składają jednak dowody, że nie obcy im jest mechanizm polityczny republikańskiego Rzymu, znają urządzenia publiczne i o walce toczącéj się między patrycyuszami i plebejuszami dość dokładne mają pojęcia.

Inni znowu, co z pod innego wyszli kierunku, prócz oderwanych wiadomości nic z sobą nie wynieśli na drogę życia z wykładu dziejów. Opowiadają szczegółowo dzieje wygnania Tarkwiniusza z Rzymu, ale nieraz nie wiedzą, jaki rząd nastąpił po zniesieniu w Rzymie władzy królewskiéj. Pamiętają drobiazgowe wiadomości z dziejów wojen punickich, na piérwsze zapytanie o nich przytaczają szczegóły o Hannibalu, Katonie, Fabrycyuszu, ale wznieść się nie mogą do zrozumienia znaczenia tych wypadków. Całe szeregi zdarzeń historycznych grupują się w ich pamięci około téj lub innéj osobistości. Widać z ich odpowiedzi, że pamięci swojéj przychodzili w pomoc, dając jéj podporę około nadzwyczajnego rysu charakteru pewnéj osobistości lub niezwykłego wypadku głębiéj się w umysł wrażającego.

Wykład prowadzony ze stanowiska dziejów cywilizacyi, jak to w przedmowie p. Korzon uczynić obiecuje, zapewnia nierównież większe korzyści.

Godząc się na stanowisko, z jakiego autor „Kursu historyi wieków średnich“ zamierzył wyłożyć dzieje średniowieczne, i nie wymagając w tym względzie nic więcej prócz tego, co sam dać obiecał, z obowiązku krytyka sprawdzić zamierzamy, o ile założeniu swemu w ciągu całéj swéj pracy wiernym pozostał.

Otóż dwie części w kursie p. Korzona odróżnić należy. W jednéj z nich autor utrzymał się na wysokości swojego stanowiska, w drugiéj, może nawet mniejszéj, nie wypełnił swoich obietnic.

W piérwszéj połowie wieków średnich spostrzegać się daje program niemal wykończony. Nietylko wypadki polityczne ale i życie wewnętrzne i te nieznaczne składowe części, które w owych wiekach ciemnoty i barbarzyństwa do pojęcia cywilizacyi wchodzą, są ugrupowane starannie i czerpane z dobrych źródeł. Świat germański, którego ludy występują na widownię dziejową, przedstawia się w zarysach dość pewnych. Nie zapomniano tu o instytucyach politycznych, prawnych, są tu także wiadomości i o życiu społeczném, domowém i z takim zapasem już nam się zrozumialéj i pełniéj przedstawiają dzieje Gotów, Wandalów, Longobardów, Franków, aż do owéj ważnéj epoki, kiedy chrześciaństwo i obrządek rzymski zapanowały nad temi różnemi ludami, i kiedy zachodnia i środkowa Europa połączyła się na chwilę pod rządami Karola W. Piérwsza to rozległa monarchia, która stanowi pamiętny okres w dziejach Europy. Tu się wyrabiać zaczęły trzy główne narodowości i państwa na stałym lądzie, tu Francya Niemcy i Włochy przesiąkły wspólnemi zasadami życia politycznego, które późniéj mniéj lub więcéj odrębnie w nich się rozwijać zaczęły. W ogólnym rzucie oka objął tu autor tę całą monarchię, przedstawił jéj instytucye wspólne, kościelne i polityczne i starał się, o ile to jest możliwe, urozmaicić obraz szczegółami z życia prawnego, ekonomicznego i domowego. Zasady feodalizmu wyniosły z téj monarchii w następstwie nietylko trzy państwa na stałym lądzie, ale porządek ten feodalny przeniesiony także został przez Normandów i do Anglii. Mamy także i obraz tego ustroju feodalnego w chwili jego pełniejszego rozwoju, i nowego zwrotu, jaki się rozpoczynał od wojen krzyżowych w dziejach ludów średniowiecznych.

Wojny krzyżowe stanowią pamiętny wypadek: Europa która się rozbiegła od czasów Karola W. w różne strony, na polu religijném, piérwszy raz się spotyka na drodze około wspólnego i podniosłego celu. Wykład tych wojen dwieście lat się ciągnących odznacza się obrazowością właściwą bardzo, w książce przeznaczonéj dla młodych umysłów. Uznania godną jest rzeczą, że autor nie zapomniał w oddzielnym paragrafie uwydatnić w głównych rysach znaczenie tego wielkiego ruchu, jaki ożywiał w ciągu dwustu lat zachód Europy i który tak zbawiennym dla niéj się okazał. Żałować bardzo, wypada, że autor nie zastosował takiego postępowania i do innych mniéj wydatnych zdarzeń jak wojny krzyżowe, do wypadków głośniejszych w każdém z państw oddzielnie, np. do wojny stuletniéj między Francyą i Anglią i wielu innych.

W drugiéj części swojego dzieła autor nie utrzymał się na stanowisku, z którego miały być rozpatrywane dzieje.

Weźmy pod bliższą uwagę dzieje półwyspu pirenejskiego (str. 519—534) w ciągu ostatnich pięciu wieków historyi średniowiecznéj. Lubo państwa na półwyspie pirenejskim nie odegrały piérwszorzędnéj roli, bo pomijamy w téj chwili odkrycia i podróże

morskie, lubo Hiszpania i Portugalia w ciągu kilkuset lat prowadziła życie niemal zamknięte, nie biorąc udziału w szerokim ruchu dziejowym, jaki ożywiał państwa i narody środkowéj Europy; twierdzić jednak nie można, by stanowisko państw hiszpańskich i Portugalii w obec cywilizacyi europejskiéj było zupełnie podrzędne. Jakikolwiek był wpływ, który te państwa wywarły na postęp ogólny objawiający się w wiekach średnich, większy lub mniéj znaczny, zawsze jednak całe życie Hiszpanii i Portugalii dalekiém jest od martwego nieruchomego stanu, jaki cechuje dzieje chińskie w ciągu kilkuset lat.

W Aragonii, w Kastylii, w Portugalii spotykamy znaczne objawy życia, rozwijającego się w różnorodnych kierunkach.

Jakżeż się autor obszedł z temi dziejami? Dzieje Aragonii przedstawił w ciągu niemal 500 lat na jednéj niespełna kartce albo dokładniéj w 75-ciu wierszach. Przeciwko objętości nic w téj chwili nie mamy. I w tak szczupłym nawet zakresie treściwie o wielu rzeczach powiedzieć można. Zależy od wyboru. Można, porzuciwszy mniejszéj wagi szczegóły, nakreślić obraz, który żywotnością swoją przemówi do umysłu młodego, pobudzi uwagę i zapewni sobie trwalsze miejsce w pamięci. Tymczasem w treściwym rysie podanym przez podręcznik p. Korzona, spotykamy około 18-tu nazwisk królów aragońskich: Ramirów, Alfonsów, Rajmundów, Marcinów, Pedrów; przy każdym z nich umieszczono wiadomości o podbojach, jakie uczynił, o wojnach jakie prowadził. Są to tablice genealogiczne, do których dodano właściwe objaśnienia. Zresztą tablice genealogiczne nie są także bez wartości, bo nieraz jako pomoc służyć mogą, jako wskazówka, informacya. Tymczasem i te nawet nie odznaczają się niezbędną w tym razie ścisłością, brak jest chronologicznych danych, kiedy np. panował Alfons I, Ramiro II, Rajmund Berengaryusz IV, Alfons II. Jeżeli autorowi szło o taką drobiazgowość w wyliczaniu nazwisk, trzebaż było i tę drobiazgowość w chronologii zachować. Kto się tylu nazwisk nauczyć może na pamięć, dlaczegożby jeszcze i kilka dat chronologicznych nie miał spamiętać. Historya Kastylii i Portugalii, jedném słowem dzieje całego półwyspu są w tym sposobie wyłożone. Pytamy się teraz, jaką uczeń może wynieść korzyść z wykładu dziejów prowadzonego w rodzaju genealogiczno-chronologicznym? Na kilku kartach mamy przed sobą Kastylią i Leon do XIII wieku, Aragonią do tegoż wieku, Kastylią do końca wieku XV, znowu Aragonia aż do połączenia z Kastylią i wreszcie dzieje Portugalii, a w każdém z tych państw w różnych epokach dzieje Alfonsów, Piotrów, Janów, Henryków. Przypuśćmy, że młoda pamięć nieustannie ćwiczona w tym kierunku zdoła zapamiętać Alfonsów i odróżniać będzie Alfonsów kastylskich od aragońskich i portugalskich; ale cóż się stanie z tym materyałem po upływie niezbyt nawet długiego czasu. Owóż wszystkie te imiona zleją się w jakieś nazwy pustobrzmiące, z któremi się żadne wspomnienie wią-

zać nie będzie. Pozostaną w pamięci tylko pewne szczegóły, które się następnie jak wiatr błąkają po pustym stepie, takie szczegóły jak o owéj nieszczęsnéj Inezie de Castro zamordowanéj z rozkazu Alfonsa IV, o zdobyciu Granady, o wyjściu zamąż Izabelli za Ferdynanda i t. d.

A gdzież się podział ów stan prawny i ekonomiczny, stan literatury i sztuki, obyczaje i życie domowe, które autor obiecał nam w przedmowie wciąż mieć na oku w swoim wykładzie? O ile czas nam pozwolił sprawdzać, zkąd autor czerpał wiadomości swoje o dziejach Hiszpanii i Portugalii, przekonaliśmy się, że za przewodnika na téj drodze wybrał sobie: Dzieje powszechne Schlossera (Weltgeschichte für das deutsche Volk) i wyłącznie z tego źródła zrobił treściwe skrócenie. Owoż Schlosser w tym razie nie wystarcza. Dawne to już lata, kiedy Schlosser pisał, zresztą polegać tylko na nim, gdy się układa dzieje Hiszpanii i Portugalii nie można. Sądzę, iż słuszną jest rzeczą wymagać, aby autorowie kursów i podręczników, nie sięgając bynajmniéj do źródeł, wszechstronniejszéj biegłości w literaturze dawali dowody. Jeżeli nie wystarcza Schlosser, można się uciec do obszerniejszego Webera. Dlaczegożby w dziejach Aragonii nie można kosztem wielu niepotrzebnych szczegółów dać obraz treściwy wewnętrznych urządzeń, w których pod wielu względami słusznie dopatrywano się podobieństwa do instytucyj politycznych dawnéj Polski. Arystokracya aragońska, ricohombria niepospolitemi zajaśniała zaletami. Kortezy aragońskie były jakoby sejmy polskie. Szlachta aragońska średnich wieków doszła drogą walki legalnéj do swobod, jakiemi się kiedyś rządziła szlachta polska. Jednaki duch ożywiał stan rycerski w Polsce i szlachtę aragońską. Miłość wolności i swobod politycznych stawiała ricohombria aragońska wyżéj nad przywiązanie do kraju. Już dawnobyśmy, powiadają kortezy w r. 1451, porzucili naszę ziemię nieurodzajną i nasze biédne państwo, *si non fues por las libertades...* gdyby nie nasze swobody. Ztąd téż istotnie zakwitła w Aragonii ta złota swoboda, z któréj korzystał nietylko wyższy stan rycerski ale i infanzones; ztąd téż na gruncie tych swobód wyrosła gorąca miłość ojczyzny, przywiązanie do kraju, uczucia, pod względem których tylko polska szlachta w lepszych czasach obywatelskiéj cnoty współzawodniczyć mogła z aragońską arystokracyą. W téj walce długiéj ricohombrii z władzą królewską, ileż rysów podobnych, spotykanych wśród politycznych zapasów rzymskiego patrycyatu z plebsem. Duma Aragończyka weszła w przysłowie. Praw swojego stanu bronił zacięcie, zamykał się szczelnie przed niższemi warstwami społeczeństwa, w wojnie z Maurami nie było bitniejszych waleczników, ale Aragończyk nie pragnął zdobyczy po za granicami swojego kraju. Jeżeli Aragonia na wyspach i wodach morza Śródziemnego zapanowała, to zdobycze te przypisać należy Katalonii i przedsiębiorczemu usposobieniu jéj mieszkańców, z któremi Aragonia polityczną stanowiła całość. Katalońska szlachta odmienne od ara-

gońskiéj rozwinęła w sobie zalety. Miasta w Katalonii, jako prowincyi nadmorskiéj, ważniejszą odegrały rolę. One właściwie stanowiły siłę morską królestwa aragońskiego. W tych miastach nadbrzeżnych, które wyrobiły sobie miejsce jako stan odzielny w kortezach aragońskich, handel rozwinął się w wysokim stopniu. Miasta Katalonii prowadziły ze sławnemi miastami Włoch zacięte boje morskie, katalońskie statki krążyły po wodach morza Śródziemnego, sięgały stosunki ich do Flandryi, Bosforu i Syryi. Głośną przedewszystkiém była Bareclona, do któréj w ciągu r. 1448 zawinęło 1290 statków kupieckich. Może to być miarą stosunków handlowych. Pan Korzon, mówiąc w swym kursie o Jakóbie Zdobywcy, wspomina o jego zdobyczach, jak gdyby również pamiętném z jego panowania nie było ułożenie kodeksu handlowego i morskiego. W dziejach kodyfikacyi jestto zdarzenie wysokiéj wagi. Ten zbiór praw morskich i handlowych znany pod nazwą :

Llibre del consolat del mar zjednał sobie w prędkim czasie powszechne uznanie. Już w 1266 r. cieszył się powagą na Wschodzie; powoli został przyjęty przez państwa morskie, handlowe, tłumaczono go na wszystkie języki i odtąd służył jako podstawa, jako norma stosunków handlowo-prawnych i prawa konsularnego.

O wszystkich tych stosunkach i wypadkach, w których nie trudno dopatrzéć się ich strony wielce ważnéj, i któréj z lekka tylko dotknęliśmy, nie znajdujemy w kursie p. Korzona żadnéj wzmianki. Zdaniem naszém, na tle wyżej przez nas rozwiniętém właściwszy i pełniejszy da się rozwinąć obraz życia pewnego narodu, niż na podstawie wyliczonych w długim szeregu nazwisk królów aragońskich, kastylskich i portugalskich.

Ponieważ dłużéj nam jeszcze wypadnie się potykać z autorem na innych polach jego pracy, nie poruszamy więc szczegółów z dziejów Kastylii i Portugalii. Dość powiedzieć ogólnie, że w wykładzie dziejów pirenejskiego półwyspu, autor pozostał na stanowisku, jakie nie odpowiada pierwotnemu założeniu.

Przejdźmy do drugiego z rzędu półwyspu, do Włoch, i sprawdźmy o ile tu autor spełnił swoje zadanie.

Apeniński półwysep, jak wiadomo, przechodził różne koleje. Nie stworzywszy jedności politycznéj, rozpadł się na kilka samodzielnych części, które w ciągu wieków średnich odegrały różne role. Południowe Włochy, państwo kościelne pod względem znaczenia w obec cywilizacyi nie mogą współzawodniczyć z Lombardyą i Toskanią. W północnych i środkowych Włoszech właściwie skupiło się całe życie, cały ruch cywilizacyjny Italii średniowiecznéj. W połowie X wieku Lombardya, Toskania, utraciwszy byt swój polityczny, wcielone zostały do cesarstwa Niemieckiego. Przestały więc mieć swoich królów narodowych, a skoro gdzie królów nie masz, tam trudniéj jakoś jest autorowi dać sobie radę.

Bądźmy jednak sprawiedliwi w naszym sądzie. Owszem są wzmianki o Lombardyi i Toskanii, ile razy cesarz niemiecki przedsiębrał wyprawę do północnych lub środkowych Włoch (na str. 130

131). Autor zbywa dzieje tych prowincyj temi np. słowy (str. 214): „Włochy za panowania Henryków IV i V, tudzież Lotaryusza III, coraz bardziéj wyzwalały się z pod władzy niemieckich cesarzów. Pod osłoną niepodległości (zkąd się wzięła?), dzięki ruchowi przez krucyaty wywołanemu, szybko wzrastają w potęgę Wenecya, Genua, Piza, miasta lombardzkie, szczególniéj Medyolan. Każde z tych miast tworzy osobne państwo, a wszystkie prowadzą prawie nieustanną walkę pomiędzy sobą. „I na str. następnéj, z powodu wypraw Fryderyka I-go. „Miasta włoskie, zagrożone napadami Węgrów i Saracenów, otoczyły się potężnemi murami i wyprowadzały znaczne wojska w pole.“ W końcu spotykamy opis wojen prowadzonych z miastami Lombardyi, Toskanii przez Fryderyka I i II-go.

Co za pojęcie można wynieść z dziejów Lombardyi i Toskanii w ciągu trzech z górą po sobie następujących wieków od X do XIII, po takiém ich przedstawieniu? Wiadomo, jaką potęgę dziejową, polityczną, cywilizacyjną stanowiły miasta włoskie w XII i XIII wieku w dobie swojego rozkwitu. Wiele potrzebaby na to poświęcić miejsca, gdybyśmy tu o ich wysokiém znaczeniu rozprawiać chcieli. Ruch komunalny (gmin zdobywających sobie samorząd i samodzielność polityczną), jaki ożywiał północne i środkowe Włochy, należy niewątpliwie do najznakomitszych objawów życia średniowiecznego. Tylko wiekom średnim właściwą jest ta silna potęga polityczna w kształcie związków miast się przedstawiająca. Włochy pierwsze wystąpiły na tę drogę, na którą później dopiéro weszły miasta Flandryi i Niemiec. One dały przykład, za którym poszła środkowa Europa. Kiedy feodalizm miał w swych żelaznych rękach skruszyć lepsze pierwiastki w publicznym i społecznym rozwoju Europy, wtedy miasta włoskie jako widne zaranie lepszych dni wschodzą na widnokręgu dziejowym i podejmują walkę zaciętą ze straszną potęgą wieków średnich: z feodalizmem. Jakoż zwycięzko wyszły z tych zapasów i sprowadziły istotnie zwrot ważny w dziejach średniowiecznych. Jak widok wiosennego kwiatu po bezbarwnéj zimie wabi nasze oko, tak nas pociąga ku sobie ta młoda cywilizacya europejska, która po raz pierwszy ukazuje się Europie po długich wiekach surowéj zimy, przemocy i ciemnoty, jako zawiązek kwiatu na polach Lombardyi, śród dolin górzystéj Toskanii. Czyż to nie jest ważny okres w dziejach powszechnych, który nikomu obcym zostać nie powinien, kiedy się rozchodzić zaczęły na wszystkie strony pierwsze promienie nowéj cywilizacyi, i kiedy się budził z uśpienia między nowemi ludami duch, co niegdyś ożywiał rzeczypospolite greckie i Rzym dawny? Więc należałoby rozwinąć obraz stosunków feodalnych we Włoszech w X i XI wieku, zupełnie odmiennych od tych, co się ustaliły w Niemczech i we Francyi, trzebaby wyłożyć, jak się z pod jarzma feodalizmu wydobywać zaczęły gminy miejskie, jak się urządzały u siebie, kto mieszkał w tych murach, kto nadawał swobody i do jakich doszły granic w swoich wolnościach?

Trzeba było powiedzieć o przewrocie społecznym, jaki się dokonywał w XII wieku, nauczyć że nie z samych tylko mieszczan (par excellence) składała się ludność Medyolanu, Pawii, Werony, Lukki i t. d., że zamieszkała tam cała szlachta sąsiednich powiatów (capitanei, valvassores) albo przynajmniéj, mieszkając na wsi, do politycznego składu miasta należała. A ileżto tu zdobyczy uczyniła cywilizacya w każdym niemal kierunku. W tych gminach miejskich wywalczyła sobie uznanie ta zasada, przeciwko któréj powstawał feodalizm, że praca przy pługu, warsztacie nie hańbi, nie poniża człowieka. Gdzież jeśli nie we Włoszech ustało wcześniéj niż gdzieindziéj gospodarstwo naturalne, zamienione na pieniężne; tu się uszlachetniły obyczaje, życie domowe przybrało kształty łagodniejsze, otoczyło się powabami wyższego rzędu. I któżby to wszystko był w stanie tu wyliczyć? Tymczasem autor kursu historyi wieków średnich, te wszystkie piękne zajmujące strony a tyle ważne pokrył głębokiém milczeniem. Gdzież to my znajdziemy tę cywilizacyą, jeśli jéj autor nie odszukał we Włoszech aż do XIII wieku. W odpowiedzi na wszystkie poruszone przez nas strony dziejów miast włoskich otrzymujemy od p. Korzona małą rubrykę p. n. Stan Włoch w XII wieku w tych słowach: „Miasta włoskie zagrażane napadami Węgrów i Saracenów, otoczyły się potężnemi murami i wyprowadzały znaczne wojska w pole. Żeby dać wyobrażenie o potędze naprzykład Medyolanu, dosyć powiedzieć, że *w końcu XIII* wieku liczono w nim domów i t. d.“ Wypada nawet ten ustęp sprostować, bo najprzód napady Węgrów i Saracenów miały miejsce aż do połowy X tylko wieku, a wtedy nie było ani *potężnych* murów ani miasta nie wyprowadzały znacznych wojsk w pole. Jedno z drugiém niema związku, bo potężne mury i znaczne wojska powstały wtedy, kiedy już Węgrzy i Saraceni żadnemi nie grozili napadami. Powtóre, autor podaje rubrykę p. n. Stan Włoch w XII wieku, jakoż w całym ustępie jest mowa o tym okresie, tymczasem dla dania pojęcia o Medyolanie w XII stuleciu przytacza statystyczne dane z końca XIII wieku. Literatura włoska jest pod tym względem tak bogata, że nawet o XI wieku możemy mieć statystyczne dane i na nich wyrobić sobie dość dokładne pojęcie, nie potrzebujemy zmuszać czytelnika do robienia wątpliwych wniosków. Zdaje nam się, że autor kursu H. W. Ś. w wykładzie dziejów Włoch w XIV i XV wieku żadnéj nawet wzmianki nie uczynił o Piemoncie i Sabaudyi, któréj dzieje pod względem polityczno-prawnym, pod względem systematu finansowego stanowią ustęp wielce ciekawy i nader ważny.

Zwróćmy się teraz ku dziejom półwyspów na Północy, skandynawskiego i jutlandzkiego, ku historyi państw skandynawskich. O cywilizacyi skandynawskiéj w ciągu wieków średnich nie wiele by się powiedzieć dało, zawiązki były słabe, postęp nie zbyt znaczny, który na pochód cywilizaczi europejskiéj oddziałał mało, ale z tém wszystkiem był powien stopień cywilizacyi. O nim nie otrzymujemy prawie żadnego wyobrażenia z kursu H. W. Ś. Obja-

śniamy to sobie: p. Korzon wziął i tu podobnież za przewodnika Schlossera Weltgeschichte i przedstawił z niéj treściwe skrócenie. (z Tomu V-go str. 210, VII-go 392, VIII-go 49), a skrócenie to, przeciążone nazwiskami królów, których wymawianie nie małe zawsze przedstawia trudności dla ucznia, odznacza się naturalnie suchością. W szerokiéj opowieści, jaką mógł Schlosser w swém XVIII-o tomowém dziele swobodnie rozwijać, jakoś więcéj urozmaicenia i ożywienia czuć się daje. Ale wiadomo, że Schlosser w ogóle nie jest ideałem historyka. Stoi on na stanowisku dość ograniczoném, biograficzny charakter w jego wykładzie przeważa, poświęca wiele uwagi rozwojowi umysłowemu, literaturze, co kiedyś stanowiło jego zaletę, lecz bez zarzutów nie jest. Zwłaszcza, kto rozpatruje dzieje wszechstronniéj, kto wszystkie znaczniejsze objawy życia łączy w jakąś całość, ten ma najwięcéj powodu uskarżać się na Schlossera i nie powierzać się jego przewodnictwu. Każdy do swego celu najwłaściwsze wybierać powinien środki. Jeśli nie znajduje pewnych stron uwydatnionych u Schlossera, to wtedy, bynajmniéj nie sięgając do źródeł, uciec się może do Dalhmanna. W kursie H. W. Średnich pominięte zostały zupełnie dzieje wewnętrzne, prawodawstwo, stan ekonomiczny państw skandynawskich. Po wyuczeniu się na pamięć wszystkich królów państw skandynawskich, może uczeń słusznie zadać sobie pytanie, a był też kiedy i jakie przybrał formy w Danii, Szwecyi i Norwegyi, systemat feodalny, który zapanował w całéj zachodniéj i środkowéj Europie? Na to pytanie książka p. Korzona nie da mu odpowiedzi. A jednak jest to strona wielce ważna, nierównież ważniejsza niż wiele niepotrzebnych szczegółów, które w kursie H. W. Ś. pomieszczenie znalazły. Nie mamy zamiaru autora czynić odpowiedzialnym za rzeczy, które czerpał z dzieła Schlossera, bo bardzo słusznie może się zasłonić powagą wielkiego historyka, ale wolno nam zganić to, co nie jest własnością Schlossera. I tak np. autor powiada, str. 517, że Waldemar II król duński zobowiązał się wyrzec ziemi Wendów i *przywrócić dawne przywileje Hanzy*, (a było to po bitwie pod Bornhövde w 1227 roku). Otóż Schlosser powiada tylko Handelsstädte (VII 396) i bardzo słusznie, bo o Hanzie, która powstała dopiéro w jakie 15 lat późniéj, jeszcze mowy być nie może, jak się sam autor łatwo przekona, porównawszy wiadomość, którą o Hanzie umieścił na str. 272. Sąd nasz łagodniejszym będzie z powodu rozdziałów poświęconych dziejom Anglii w wiekach średnich. Autor powierzył się przewodnictwu Aug. Thierry, Lappenberga i Rankego. Są to powagi i historycy *majorum gentium*. Szkoda tylko, że nie zawsze się trzymał ściśle drogi przez nich wytkniętéj i że sam nie wzniósł się na stanowisko, z którego, jak głosi przedmowa, miały być rozpatrywane dzieje powszechne. Czujemy dotkliwie brak wiadomości o rozwoju stosunków wewnętrznych prawnych, ekonomicznych, społecznych. Wiadomo, jakie ma znaczenie w dziejach Anglii samorząd, reprezentacya, życie parlamentarne, zwłaszcza w okresie powstających swobód parlamen-

tarnych. O mechanizmie politycznym Anglii średniowiecznéj czytelnik z książki p. Korzona żadnego nie wyniesie pojęcia. Wielka karta 1215 r. nie została uwydatnioną w zupełności z ważniejszych jéj stron. Autor mówi (250 str.), że ludzie wyższego stanu mogli być skazani tylko na mocy wyroku przez 12-tu uczciwych sąsiadów (jury), wydanego. Takiego paragrafu po kilkokrotném przejrzeniu całéj Wielkiéj karty nigdzie dostrzedz nie mogliśmy. Początek izby, niższéj odnosi autor do r. 1264, tymczasem posiedzenia téj izby zaczęły się dopiéro 20 stycznia 1265 r. (zob. Lappenberg. Gesch. v. Engl. III 780) i rok ten, a nie poprzedni znany jest Gneistowi, Hallamowi, Lappenbergowi, i innym. Ale zato téż autor nie szczędzi szczegółów w opisach wypadków wojennych, przytaczając zwroty w biegu wojny, nieznaczne, liczne miejscowości bitew, jedném słowem obarcza swój wykład zewnętrznych wypadków drobiazgami, które najprzód zasłaniają sobą główne rysy obrazu a nadto stanowią bezużyteczny kapitał, którego żadna pamięć dłużéj nie zatrzyma u siebie nad jednę dobę. Autor trzy kartki czyli sześć stronnic poświęcił wykładowi wojny 30letniéj, znanéj pod nazwą wojny Dwóch Róż. Najbardziéj wytężona uwaga rozprószy się wśród tych ciągłych bitew, zmiany stanowiska partyj i nie wyniesie z opisu wybitnego obrazu i pojęcia o znaczeniu, doniosłości tych krwawych zapasów dwóch linij królewskiego domu. Jakiż odmęt powstanie w młodym umyśle ucznia, najlepiéj czytelnik osądzi, skoro się dowié, że sam autor się poplątał w téj drobno splecionéj a rozległéj sieci wypadków, nazywa bowiem raz Jorków *różą czerwoną* (?), Lankastrów *różą białą* (?) (str. 379), na następnéj znowu (str. 381). Lankastrów *różą czerwoną* a w tablicach genealogicznych (nr. 15) odwrotnie, Lankastrów *białą* a Jorków *czerwoną różą*.

Czy nie właściwszém byłoby w tak obszernéj książce dać kilka wskazówek, co téż to za zmiany w ustroju parlamentarnym zaszły w skutek wstąpienia na tron Lankastrów, jaką postawę przyjęło Magnum Consilium, jak się to wytworzyła dziedziczność w izbie panów, jak ta izba wywalczyła sobie szeroki zakres władzy sądowéj, co za skutki wydała dla Anglii i jéj życia wewnętrznego długoletnia wojna z Francyą? A o tém ani słowa, co się stało z parlamentem po wojnie dwóch Róż, jak się zaczęła reakcya ze strony władzy królewskiéj? Może dla wielu ostateczną księgą historyczną pozostanie na całe życie Kurs h. p. Korzona, i nieraz wypadnie im szukać w niéj treściwego objaśnienia w tak ważnéj kwestyi, jak publiczny rozwój Anglii a Gneisty, Hallamy, Lappenbergi pozostaną na zawsze dla nich nieznanemi lub niedostępnemi? A jeszcze tyle innych stron, które jako części składowe wchodzą do cywilizacyi? gdzie miasta angielskie, handel, przemysł, gdzie stan ekonomiczny kraju np. w XIV i XV wieku?

Jeżeli autor Kursu H. W. Ś. zapomniał się nieco w wykładzie wewnętrznego życia Anglii, jeśli politycznego rozwoju narodu angielskiego, którego instytucye były kiedyś wzorem dla całéj

Europy, na którym się całe szkoły publicystów i mężów stanu kształciły, jeśli powiadamy, tego rodzaju przedmiot jedyny niemal w dziejach, tak mało głębszéj uwagi autor godnym być mienił: to nie dziw, że nie wejrzał w życie polityczne tych państw, które nie zdołały w tym stopniu co Anglia urzeczywistniać ideałów swoich o państwie, porządku i prawie publiczném. Niemieckie cesarstwo wieków średnich sprowadziło w ostatnim rezultacie zupełną anarchią. Ostatnie dwa stulecia odsłaniają nam widok gmachu w zwaliskach. Taki rozkład, jaki się dokonywał w formach bytu politycznego, nie obudza zajęcia dziejowego. Na rozwój więc życia publicznego w rozpadającém się cesarstwie niemieckiem XIV i XV w., zbyt wielkiego nacisku kłaść nie wypada, ale z tém wszystkiém te odpadające od ciała części miały swe życie, miały swe dzieje. Te więc dzieje, czy one mniéj lub więcéj są jasne, należą do obrazu, choćby cały ten obraz ponurą był pociągnięty barwą. Osłabienie władzy naczelnéj cesarza czy króla, przemoc feodalnéj arystokracyi, gwałt zamiast prawa, wytworzyły już na początku XIV wieku stan rozprzężenia powszechnego. Zdawaćby się mogło, kiedy się patrzy na te stosunki niemieckie z czasów piérwszych Habsburgów i Luksemburgów, że całe życie narodu dąży w przepaść bezładu; aliści zdrowsze piérwiastki występują na jaw. Oto miasta, ich potężne związki. One chciały stanąć u steru rządu ze swą polityczną siłą, one dźwignąć zamierzały cały świat stosunków politycznych z téj toni bezprawia. Dwa blisko wieki trwały te usiłowania wśród ciężkiéj walki, feodalizm nie ustępował ze swego stanowiska, na które wdzierało się mieszczaństwo. Miasta nie dopięły swego celu, bo podjęły walkę nierówną; brakło zmysłu politycznego, nie było organizacyi. Miasta szwajcarskie wprawdzie podawały rękę Hanzie, ale związek nadreński i południowych Niemiec nie umiał przełamać zaściankowego swego charakteru i feodalizm znowu górą. Autor kursu nie wzniósł się do téj wysokości, by objąć z jéj szczytów drogi, po jakich dążyły wypadki w XIV i XV wieku, kierunki, w jakich płynęły dzieje. Tłumne wypadki życia zewnętrznego wzrok mu zasłoniły. Nie wymagamy rozumowań historyozoficznych, one w kursie były wadą organiczną. Ale oto dowody na wyjaśnienie znaczenia naszych zarzutów: Autor poświęcił kilka słów na str. 272 dziejom zawiązującéj się Hanzy, i wymieniwszy kilka miast, które do jéj składu weszły, tak daléj rzecz swą prowadzi:

„W krótkim czasie Hanza opanowała cały handel północny, rozrządzała zuaczną flottą i stała się groźném mocarstwem.“

Istotnie tak było. Związek miast hanzeatyckich przedstawiał siłę polityczną niezwykłą. „Groźne mocarstwo“ to prawda, ale wszelkie groźne mocarstwo, już *eo ipso* ma prawo w danym czasie zająć jakieś miejsce w Kursie Historyi. Tymczasem po téj wzmiance, która sama przez się zapowiadała jakieś przyszłe starcia, walki, bo mocarstwo musiało być ostatecznie „groźném“

dla kogoś, ta Hanza już ginie w *Kursie* bez wieści i śladu. Ale w *Historyi* XIV i XV wieku Hanza zostawiła po sobie ślady znaczne, jak Lombardskie miasta pod Legnano. Proszę przypomnieć sobie ową wiekopomną walkę, którą podjęły miasta hanzeatyckie z Waldemarem III królem duńskim. Co to za zapał, jakie wysiłki po klęsce zadanéj przez Duńczyków, cóż wreszcie za tryumf, co za zwycięztwo, kiedy w Stralsundzie 1370 r., upokorzony Waldemar III zmuszony był miastom hanzeatyckim przyznać takie prawo: bez przyzwolenia Hanzy nadal żaden król duński na tron wstępować nie będzie.

O téj walce, jéj przebiegu i znaczeniu p. Korzon ani słowa.

A terrytorye w Niemczech, Landesstände czyli owe stany ziemskie, ów parlamentaryzm prowincyonalny i owa zacięta walka, jaką do XIV wieku wszędzie w terrytoryach duchownych i świeckich zaczęły prowadzić stany z miejscowym księciem Landesherrem? I tyle innych.

Ale dość już. Dalsza analiza zdaje się być zbyteczną. Według podanych przez nas wskazówek można ją przeprowadzić przez inne części rozbieranego dzieła.

Wróćmy do tego, od czego wyszliśmy. Metoda, według któréj p. Korzon zamierzył wyłożyć dzieje wieków średnich, zasługuje na uznanie. Przemawiają za nią ważne pedagogiczne względy. Żałować wielce wypada, że autor Kursu nie dołożył usiłowań, by wszędzie przeprowadzić swój punkt widzenia, przez wszystkie części swojéj pracy. Ogólne wrażenie byłoby nierównież korzystniejsze.

Nie wytykamy drobniejszych błędów, jakie się tu i owdzie znalazły; bo od nich każda obszerniejsza praca wolną być nie może. Nie byłoby zawadziło, gdyby autor był nieco staranniéj korzystał zamiast ze Schlossera z Webera obszerniejszego z jego 4-ch ostatnich tomów, w których się znajdują rezultaty najnowszych badań, wtedyby nie był powtarzał owych podaniowych opowieści, które już dziś krytyczna historya odrzuciła.

Forma samego wykładu nie jest naganną, owszem wszędzie niemal objawia się opowiadanie żywe, obrazowe. Nie widać żadnego wymuszenia, przeciwnie swoboda wysłowienia, potoczystość świadczą, że autor włada piórem wyrobioném. Lubo rażą niekiedy zwroty mowie naszéj niewłaściwe, może nawet nie zrozumiałe dla tych czytelników, co tylko własny swój znają język, ale z tém wszystkiém są to tylko wyjątkowe usterki.

Pod koniec książki są umieszczone tablice genealogiczne i mappy, wreszcie i chronologia papieżów.

W tablicach genealogicznych są także błędy, podobnież i w mappach, ale przyłączenie ich do podręcznéj książki jest bardzo właściwe. Cokolwiekbądź widać, że autor ożywiony jak najlepszą chęcią, pragnął według sił jak największą wyświadczyć przysługę uczącéj się młodzieży. Takie szlachetne dążności, taka praca podjęta w imię dobra ogólnego spotka w literaturze serdeczne przy-

jęcie. Na téj drodze naukowéj bez widoków i korzyści mało w ogóle spotykamy bezinteresownego zapału; niechże więc autor nieustaje na mozolnéj niwie i przyjmie od nas ku dalszym trudom zachętę słowy Wergilego:

Tu ne cede..... sed contra audentior ito.

A. P.

O Mazurach napisał Dr. Wojciech Kętrzyński. Poznań. Nakładem Tygodnika Wielkopolskiego, czcionkami L. Merzbacha, 1872 (w 16-ce str. 94).

Do nieocenionych *materyałów etnograficznych* Oskara Kolberga przybywa nowy zasiłek w pracy Dr. Kętrzyńskiego wielce pożądany. Zbiór pieśni bez melodyi które w charakterystyce ludowéj tak ważną grają rolę, obejmuje liczbę pięćdziesięciu czterech: nie widzimy w nich żadnego podziału ani wskazówek, czy łączą się z jakim obrzędem lub tylko luźnie bywają śpiewane. Oprócz pieśni *dożynkowéj* znanéj we wszystkich okolicach naszego kraju a mającéj zawsze jeden początek: „*Płon niesiemy, płon*“ poprzedzająca ją (Nr. 36) jest widocznie śpiewywaną w święta wielkanocne, jak jéj treść przekonywa i całe strofki znane u nas przy obchodzeniu z *Gaikiem*. Wydawca przy żadnéj nie podał choćby maleńkiego objaśnienia, jakie zaś z podanéj liczby należą do obrzędu weselnego? nie wiemy, lubo to nie jest rzeczą nie obojętną w każdym zbiorze ludowych pieśni. Poniżéj obszerniéj powiemy o nich, teraz zwracamy się do wstępu który zasługuje na głębszą uwagę i stanowi nie małą wartość ogłoszonéj pracy.

Położywszy następne godło z Pola:

„A czy znasz ty bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?“

Na czele pisze:

„Gdybym żądał łaskawy czytelniku żebyś szczerze i otwarcie się przyznał co ci wiadomo o Polakach, daleko ztąd w *Prusach Wschodnich* mieszkających, co ci wiadomo o *Mazurach* z tobą teraz w jedném państwie pod jedném berłem żyjących, pewniebyś ruszył ramionami, dodając że prócz nazwiska nic więcéj nie wiesz; lub gdy przypadkiem kiedy byłeś w Królewcu w interesach lub na Uniwersytecie, odpowiedziałbyś mi zapewnie żeś ich widział, ale że to Niemcy. Taka to nieświadomość naszych domowych niemal stosunków panuje między nami. Kilka lat dopiéro minęło jakeśmy porzucili zasadę zgubną, podług któréj każda ziemia polska tylko dla siebie żyła, sobą się tylko zajmowała, nie troszcząc się wcale o losy ziem sąsiednich. Kilka lat dopiéro minęło jak wyszliśmy po za mury naszego domku, jak zadumieni poznaliśmy że prócz nas

jeszcze wielu jest polakow w kraju pruskim, że nietylko na ziemiach *chełmińskiéj i michałowskiéj* ludność polska żyje i rozwija się, ale że nawet na *Pomorzu* ona dotąd silnie się utrzymuje, a nasi *Kaszubi* poczciwi, to nie Niemcy jak przedtém sądzono, lecz dzielny ludek polski. Dziś Bogu dzięki wyrosł już błogi owoc dla obydwóch prowincyj, powstało ztąd przekonanie o wzajemnych i zobopólnych interesach. Ale im większy nasz widnokrąg, im daléj spoziera oko po za granice zwyczajne, tém bardziej spostrzegamy że *Księztwo* (poznańskie). i *Prusy królewskie*, nie same tylko w państwie pruskiém są ziemiami polskiemi, że po za niemi jeszcze mieszka wielka moc ludu polskiego, niby na ustroniu. A ponieważ dziś każdy wie, że i liczba ważną odgrywa rolę w życiu politycznem, że tém bezpieczniejsze i pewniejsze będzie nasze stanowisko w obec pochłaniającego nas żywiołu niemieckiego, im więcéj nas tutaj będzie; dlatego téż zwracano już często w ostatnich czasach uwagę na bracię zapomnianą na Szlązku, w księztwie Warmińskiém i na Mazurach i myślano o sposobie zbudzenia ich z kilkowiekowego letargu do życia aby ich dźwignać z demoralizacyi w któréj ugrzęźli w skutek ciemnoty, aby ich połączyć z nami węzłem wspólnéj nam wszystkim narodowości i wspólnych interesów. Są to kwestye które niemało dziś zajmują inteligentną część naszego społeczeństwa, a spodziewać się mogę że miłe będą wszystkim te wiadomości które tu o Mazurach podaję, bo przyczyniają się do lepszego poznania tego ludu i jego stosunków."

Wyrzuty autora są sprawiedliwe i tém dotkliwsze dla księztwa Poznańskiego, że przedzielone tylko miedzą sąsiedzką, nie starało się zbadać tego ludu tak blizkiego jednéj krwi, pochodzenia i języka.

Niemcy swoim zwyczajem, jak kukułki w cudzych gniazdach wychowują swoje pisklęta, opanowawszy siłą pięści lub podstępem ziemię cudzą, mają jeszcze tę zuchwałość, że zgnębionych narodowców a właścicieli ich od wieków nazywają przybyszami, sami się mianując posiadaczami takowych. Tego samego losu doświadczyli i *Mazury* w Prusach Wschodnich. Tak *Toeppen* (Gesch. *Masurens*) w monografii tych Mazurów wydanéj w Gdańsku przed dwoma laty (1870 r.) pisze: że Polacy na ziemi mazurskiéj są osadnikami, lubo przyznaje, że ludność polska już w XIV i XV wieku w tych stronach przeważała, a w XV stuleciu już składano *homagium* Wielkim mistrzom krzyżackim w języku polskim.

Obszary ziemi które zamieszkują mają grunta przeważnie lekkie, piasczyste i pagórkowate, wielkie niwy nietknięte pługiem: wszędzie lasy i bory ogromne, z których najwięcéj słyną bory *Janowskie;* niebrak i wielkich jezior, przy których *Gopło* wydaje się małym stawem. Do takich jezior należy *Śniardwy* czyli *Sniardły*, jeziora *Niewołyńskie* i *Niebolińskie*, po których statki parowe chodzą, a kiedy burza nastanie, fale na nich się pietrzą, podobne morskim bałwanom.

Zachwycający i uroczy widok na jezioro *Łękackie* pod *Orłowem*, z czystą jak kryształ wodą. Otoczone z jednéj strony pagórkami których wierzchołki obrosłe jodłami, świerkami i brzozami, w przezroczu wód się odzwierciedlają; z drugiéj strony dwór *Łękucki* z gaikami i za

ziolonemi łąkami kościół *Orłowski* z wysmukłą wieżyczką tę okolicę przystrajają. Niedaleko ztąd leży *Łażno* przezwane przez niemców Haschnen w pośrodku umajonych borów i szumiących jezior: wieś ta uważana za najpiękniejszy pejzaż całéj okolicy, godny ołówka artysty. I miasto *Ełk* jakoby stolica mazurska, w pięknéj leży okolicy ze starém zamczyskiem w pośrodku jeziora. Dowcip miejscowego ludu dzieli całe Mazury na trzy części: na *Mazury piaszczyste* (pod *Szczytnem*), na *Mazury kamieniste* i na *Mazury garbate* czyli pagórkowate (pod Gołtopiem). Natura ziemi dobrze odpowiada temu podziałowi, bo jakkolwiek miejscami nawet na dobréj glebie nie zbywa, jest jednak wiele okolic które wszystkie te przymioty w sobie łączą.

Autor opierając się na urzędowych podaniach statystycznych z końca roku 1867, w dziewięciu powiatach Prus Wschodnich liczy mieszkańców 260,000 polaków i 140,000 niemców.

Charakterystyka Mazura tutejszego jest taż sama co i w całém Mazowszu. Wesoły, towarzyski, gościnny, chętnie obcego do swéj chaty przyjmuje, rad się dowiedzieć od niego co tam słychać na Bożym świecie i wypytywać o wszelkie gościa swego przygody. Gromadę lubi, a skoro się z obcym spotyka wita słowami „*Dobry dzień*“ na co gdy otrzyma zwyczajną odpowiedź: „*Bóg zapłać*“ piérwsze jego pytanie: „*A skiela* (zkąd) *waść?*.“ Z poczciwem sercem gotów zawsze ostatnim kawałkiem chleba lub ostatnim kieliszkiem wódki z drugim się podzielić.

Wszyscy Mazurzy są ewangelikami ale wielce pobożnymi: kiedy podczas nabożeństwa niemieckiego kościoły są puste, bywają one gdy jest polskie, przepełnione. Na nieszczęście wódka, ta trucizna szeroko rozlana, sprawia i tu spustoszenia tak w życiu moralném jak i bycie materyalnym, przynosi liczne choroby, ubóstwo i nędzę. Ubiór zachowali ten sam jaki noszą i w naszym Mazowszu; żupan granatowy i kapelusz tego kształtu jak u Kurpi; niewiasty noszą się jak Mazurki, wszystkie z małą różnicą zawięzywania chustek na głowie. Niemasz tu dostatku i dobrego mienia jak u innych włościan na urodzajnéj glebie, ale mimo to są gorąco przywiązani do swoich gniazd rodzinnych. O pszenicę trudno pytać: żyto, owies, jęczmień, len, tatarka i *perki* (kartofle) oto główne produkta rolnicze.

Dawne zwyczaje i obrzędy zachowały swój czysto polsko-sławiański charakter. Obchod weselny tém się tylko odznacza, że drużba konno (a konie ich są małe, chude, długiemi włosami obrosłe, ale zato wytrwałe) objeżdza zapraszając na wesele kmotrów i sąsiadów w całéj okolicy; z konia nigdy nie zsiada, a kiedy domek nie za niski, a drzwi dosyć wysokie, to konno wjeżdza do izby, aby tam poselstwo swoje odprawić. Na ten objazd przywdziewą szaty odświętne, przybrany we wstążki czerwone, białe i niebieskie, a często i w szarfy.

Autor daléj poświęca obszerniejszy ustęp, o wymowie braci Mazurów, która nieco jest odmienniejszą od wymowy Wielkopolan. Zajmujące szczegóły podaje nam następnie o *literaturze* miejscowéj.

„Literatury, Mazury właściwie nie mają, bo wszystko co się u nich pojawiło, jest treści religijnéj, a pisownią polską pisane. Cały zapas

więc książek, które zwykle w ręku Mazura się znajdują, składa się *z Biblii*, która jest tylko przedrukiem edycyi Gdańskiéj z roku 1632, z *Kancyonału i Kalendarzyka*, który p. *Giersz* Radca miejski w miasteczku *Lecu*, od lat kilkunastu drukiem wydaje. Kalendarzyk ten rozchodzi się w 8000 egzemplarzy. *Kancyonał* jestto liczny i bogaty zbiór pieśni, tak własnych utworów jak i tłumaczeń. O autorach tych pieśni szacowną zdał nam sprawę professor *Kuehnasl*, dziś w *Kwidzynie*, wrozprawach po polsku pisanych, i w programach gimnazyum Raściborskiego drukiem ogłoszonych.“ Mazury Prus Wschodnich jak Zachodnich, lubią z natury śpiew jak cały lud polski; zbioru poezyi ludu tego nie posiadamy w druku, pisze autor: omylił się co do tego Dr. Kętrzyński, gdyż przed ośmnastu laty wyszedł zbiór pieśni ludowych z *Prus Zachodnich* p. n. *Pieśni Gminne i przysłowia ludu polskiego w Prusach Zachodnich, zebrane przez Ignacego Łyskowskiego. Nakładem wydawcy. Brodnica, drukowane i jest do nabycia u C. A. Köhlera 1854 r.* (w 8-ce str. VII, 66). W przedmowie p. Łyskowskiego czytamy:

„Rozpatrując się w ludzie polskim *Prus Zachodnich*, z boleścią dostrzegłem, że tu pieśni gminne konają.

„U starców znajdziesz tu jeszcze zabytki dawnéj śpiewności, młode pokolenie jest ubogie w pieśni, a im bliżéj pogranicza niemieckiego, tém większa głuchość. Żywioł niemiecki wpływa na wytępienie pieśni gminnych, i zimném tchnieniem studzi śpiewne serca polskie. Lud nasz, ubożejąc w pieśniach, ubożeje w cnotach.“

Przerażony tém autor, że pieśń ludowa odzywa się to *„już tylko zrywanym konania głosem.“* nie podaje dotąd przechowanych w żywém słowie, jak je słyszał: ale zebrawszy rozerwane i po różnych okolicach rozrzucone części jednéj piosnki, zlewa je w jednę całość, czasem nieharmonijne wyrzucił słówko, nieobyczajną wyrzucił zwrótkę i nowe powsuwał, aby związać wątek rozerwanych i rozrzuconych części należących do jednéj pieśni.

„To zbrodnia! krzyknie krytyka, — mówi autor — biorąc moje pieśni pod zwyczajne prawidła. Ja na moje usprawiedliwienie odpowiadam: nie pisałem dla ukształconych, czyniąc im zabawkę, zbiorem pieśni gminnych, ale pisałem dla ludu, zwracając ludowi zgubioną własność. Lud pozna swoją piosnkę po jednéj albo kilku zwrotkach, które się tu utrzymały, i przyswoi sobie urywki téj saméj pieśni, które się gdzieindziéj utrzymały, a poznawszy swoją piosnkę, uzna ją w całości za swoją, pokocha i powtórzy: wślad zaś za pieśniami wracać będzie dawna uczciwość i cześć bogów ojczystych.“

Jak się ten szlachetny zamiar autorowi udał nie wiemy: lubo pokup tego zbioru musiał być niemały, gdy sami zaledwie po długich staraniach, potrafiliśmy w samych Prusach Zachodnich ją dostać. Na końcu umieszczony zbiór *przysłów* w liczbie 281, pokazuje że prawdy zdobyte długiém doświadczeniem, i ujęte formą właściwą ludowi, tak się ryją w pamięci, że trwalsze są nad pieśń samą i giną jedynie, wraz z rodowitym językiem. Wracamy do dziełka Dr. Kętrzyńskiego.

Piérwszym ze zbieraczów pieśni ludowych u Mazurów pruskich był ś. p. H. G. *Gizewiusz* pastor ewangelicki w Ostrodzie, on też wedle

wyrażenia autora „zatknął sztandar narodowy wydając *Przyjaciela Łeckiego* 1843 roku.“ Łączyły nas ze zmarłym czcigodnym pastorem bliższe stosunki przyjaźni, i ztąd nadesłał nam swój zbiór szacowny pieśni wraz z nutami w rękopiśmie. Owoc ten długoletniéj pracy użyczyliśmy *Oskarowi Kolbergowi*, który wziął na siebie obowiązek wydania ich drukiem. Mniemamy, że gdy teraz zamierza ogłosić zbiór pieśni wielkopolskich, najodpowiedniejsze umieszczenie obok nich byłoby rękopismu ś. p. Gizewiusza.

Obecnie zajmuje się zbieraniem pieśni ludowych mazurskich pastor przy kościele polsko-ewangelickim w Królewcu, *Pelka* „człowiek zacny i mowie polskiéj przychylny, (dodaje Dr. Kętrzyński), którego staranie i założenie biblioteki polskiéj treści religijnéj, dla teologów Mazurów w Królewcu pomyślnym uwieńczone zostało skutkiem. Gdym kilka lat temu go odwiedził posiadał już przeszło 300 pieśni zebranych“

Zbiór ich liczny posiada także pan Giersz w *Lecu*, wykształcony mazur, który pracuje nad słownikiem i gramatyką mowy mazurskiéj. Ułożył także spis wszystkich miejscowości mazurskich podając w nim podług pojedyńczych parafii, jak każda miejscowość po polsku i po niemiecku się nazywa.

Od śmierci ś. p. Gizewiusza, a z nią i upadku *przyjaciela Łęckiego.*“ powstały *Kurek mazurski* nie długo istniał. Niemasz teraz dziennika ludowi temu odpowiedniego, bo *Przyjaciel ludu* Chełmiński rzadko się zabłąka, a inne gazety jeszcze rzadziéj.

Nie możemy pominąć tego co autor mówi, o usiłowaniach zniemczenia mazurskiego plemienia. „Pozornie Mazury we *Wschodnich Prusach*, używają więcéj względów, więcéj łaski u rządu i władz administracyjnych, aniżeli Prusy Zachodnie. Jedność wiary może się cokolwiek do tego przyczynia, ale nie jest jedynym tych łask powodem, których Polacy z *Prus Zachodnich* dotąd napróżno się domagali. *Tygodniki Powiatowe* bywają już od wielu lat wydawane zarazem z dokładném polskiém tłumaczeniem: na wszystkich słupach z tablicami, czy to przy mostach, czy to przy miastach, czy to gdzie indziéj, wszędzie masz polskie i niemieckie napisy. Nie jeden poczciwy niemiec z mazur zadziwił się, że posłowie z Prus Zachodnich, od rządu wymagają dla siebie takich rzeczy, które na Mazurach każdemu służą. Ale mazur, to istota niby umierająca, trzeba go trochę pogłaskać, ażeby cicho skonał, żeby się ze snu letargowego nie obudził, ztąd te łaski niby i te względy. Stan oświaty całego ludu mazurskiego, jak każdy się już domyśli stoi na najniższym stopniu. „Przyczyniają się do tego niemało dążności germanizacyjne rządu, który tutaj cicho, powoli, ale z żelazną konsekwencyą, cele swoje przeprowadza. Najgłówniejszym środkiem do osiągnięcia tych zamiarów są szkoły i służba wojskowa, a co pierwsze zaniechały, to druga z pewnością dokona.“

Przymus szkolny, w wykładzie niemieckim, jest wybornym środkiem germanizacyjnym: ślady polskości w Prusach Wschodnich, coraz bardziéj nikną. Ziemianie, dawne polskie obywatelstwo, samo zniemczało. Autor pisze: „Na mazurach nigdy nie było ani ducha ani poczucia

narodowego: dziś liczą się do gorliwych niemców familie niegdyś mazurskie *Łęskich, Przyborowskich, Dębowskich, Leszczyńskich, Dąbrowskich, Oterskich, Sakowskich, Parczewskich, Radziwiłłów, Brzosków, Tyszków, Kostków, Rogala-Biberstejnów, Morsztynów, Rutkowskich, Wiśniewskich, Gizewiuszów, Gierszów*, i wielu innych."

Tak więc lud mazurski, ciśniony z góry, niemający pomocy od zniemczonego szlacheckiego dworu, przy braku oświaty, żyje jak w śnie letargicznym.

Przy braku oświaty przesądy i zabobony szeroko się rozpostarły; szereg ich długi mamy tu podany: nie będziemy ich powtarzać. Autor, za główny podaje środek, wydawnictwo czasopisma w rodzaju chełmińskiego *„Przyjaciela ludu,"* które redagowane w duchu ich wyznania ewangielickiego, mogłoby wpływać zbawiennie na podniesienie ducha rodowego i oświaty, na podniesienie moralnéj strony i bytu materyalnego.

Pięćdziesiąt cztery piosnek ludowych stanowi cały zbiorek w tém dziełku. Wiele tu znajdujemy takich, które są znane i do dziś śpiewane we wszystkich okolicach naszego kraju, bez żadnych lub z małemi zmianami i niektóre co u nas zaginęły, przechowały się u mazurów, jak ta starożytna łowiecka:

„Pojedziemy na łowy towarzyszu mój!" i druga także myśliwska: *„Leży zając pod miedzą."* (pod nr. 35).

Dochowała się tu pieśń i owa o *Lipce zielonéj*, o któréj Łukasz Górnicki w swoim *Dworzaninie* wspomina, jako też rzewna „o *Kalinie.*" W całym tym zbiorze, co uderza najwięcéj, to rozlane w nich gorące uczucie miłości, i czego nie znajdujemy w innych pieśniach ludowych, z jéj powodu samobójstwa. Kochanek wzięty do wojska na grobie swéj narzeczonéj zastrzela się (nr. 20). Dziewczyna widząc wyrzuconego trupa z morza z szablą w ręku swego ulubionego, wyrywa szabelkę i przebija się.

„A to za to mój najmilsy
Żem ci *scera* była." (nr. 51).

W jednéj pieśni (nr. 3), mamy cały dramat miłości dwojga zakochanych: podamy ją w wiernéj treści.

Sokół, ów ptak uważany jako godło miłości we wszystkich pieśniach ludu naszego, lata wysoko. Młody mazur pyta go o nowiny?

— Powiem ja ci nowinę, smętną, niewesołą, ptak mu odpowiada, jużci twoją *najmilejszą* po niewoli do ślubu wiodą.

Chce wysłać służkę swego, aby ją ratował, pisze i list, wreszcie sam siodłać każe konia i jedzie: będzie się jéj przypatrywał jak zostanie panią, bo za bogacza ją wydają.

Ona idzie do kościoła
Drobno stąpający,
A on za nią pilnie patrzy
Rzewnie płakający.

Ona siedzi w ławulecce,
Między swachnickami,
A on myślał ze to miesiąc,
Między gwiazdeckami.
Ona siedzi w ławulecce
Między *bialickami* (białogłowami),
A on myślał ze to słońce
Między obłockami.
Ona siedzi w ławulecce
Między druchnickami,
A on myslał ze to róża
Między listeckami.

Wzięła ślub z *nielubym* przymuszona, i odchodzi od ołtarza, a on woła za nią: „Obejrzyj się ma najmilsa poki jesteś panno.“

— Czegoż ja się mam oglądać, jużci ja nie twoja! odpowiada blada jak lilija.

Wychodzą z kościoła i temi słowy kończy się ta pieśń smutna:

Ona siada na kolaskie,
On jéj rąckie daje:
Najmilsemu łzy padajo
Jéj się serce kraje!

Pełną rzewnego uczucia jest pieśń sieroty, która opisuje swoją niedolę, i ciężkie utrapienia, nad którą się litują tylko żórawie co leciały *bez pole krzyoąco*! (W. 2)

W pieśniach tych znajdujemy boleśne skargi, na służbę wojskową powołującą wszystkich do broni:

Zielenią się lasy, zielenią się pola,
Komuzcie zostawie, najmilejsa moja?
Zostawiam cie Bogu, Bogu jedynemu,
A sam pójde służyć królowi pruskiemu;
W polu iść, w polu stać, w polu i nocować,
Choćby było gdzie spać, niemas cem psykrywać.

Dali nam tornistry i mantelsak na to,
A ja biedny zołnierz, trace zycie zato.

Z tak treściwego przeglądu, możemy się łatwo przekonać, jak wysokiéj wartości dla nas jest rozprawa Dr. Kętrzyńskiego o *Mazurach*: podała nam bowiem wiele nieznanych wiadomości o znacznéj części starego Mazowsza, zachowującego jeszcze wydatny charakter rodowy, po-

mimo całego nacisku germanizmu. Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie oddałoby rzetelną usługę obywatelską, gdyby wiadome już prace i wskazane, tak zbiorów pieśni i przysłów, jak zwyczajów i obyczajów, o języku, a zarazem opisy miejscowości ogłosiło drukiem czy to w swych *Rocznikach*, czy oddzielnie, aby pamięć o nich od zatraty uchować. Byłoby to niemałą zasługą powtarzamy, a dodamy z głębokiem przekonaniem, że to jest nawet obowiązkiem.

K. Wł. Wójcicki.

Vincentius Kadłubek und seine Chronik Polens. Zur Litteraturgeschichte des dreizehnten Jahrhunderts, von Heinrich Zeissberg.

Pod tym napisem wyszło jeszcze w roku 1869 w Wiedniu dziełko uczonego pisarza (obecnie professora historyi w uniwersytecie Wiedeńskim), dotąd jednak naszym księgarniom nieznane, najprędzéj jak się zdaje dla tego, iż będąc po większéj części wyciągiem i zestawieniem tego co o Kadłubku pisali krajowi pisarze, przeznaczone jest raczéj dla literatury zachodniéj jak naszéj. Praca ta nie jest jednak próżną wcale zajęcia i wagi i dla polskiego czytelnika, już to dla tego, iż autor jéj w ocenianiu kroniki Kadłubka opiera się na najkrytyczniejszém wydaniu jéj tekstu (t. j. porównawczém Mułkowskiego), już dla tego, iż oprócz zdań i sądów pisarzy naszych którzy o Kadłubku pisali (jak Lelewel, Ossoliński, Bielowski, Szajnocha i inni) zbliża sądy i zdania w tychże przedmiotach i pisarzy niemieckich (jak *Szlecera*, *Röppel'a*, *Gutschmidta*, *Wattenbacha*, *San Marte* i innych) z wyrażeniem w każdéj gałęzi rozprawy i wniosków własnych.

Książka opowiada w piérwszéj części żywot Kadłubka (str. 1—69), w drugiéj zawarcie Kroniki, a mianowicie: 1) jéj formy (str. 88—144) i 2) jéj treści historycznéj (144—205); pracę kończy wiadomość o rękopismach i wydaniach Kroniki. Wykład w dziełku od początku do końca krytyczny, z możliwą erudycyą przedmiotu, a pomimo zadanie tak wyczerpane, natrafia się w nim nieraz na źródło nowe i spostrzeżenie nowe. Lecz co najwięcéj jest miłém a najmniéj spodziewaném dla czytelnika polskiego w téj pracy, to oglądanie w ogólnym jéj kolorze bezstronności w sądzie i przywracanie językiem Szlecera dobréj sławy pisarzowi, którego jak to już sam napis wskazuje, autor uważa za osobistość mającą znaczenie nie tylko w krajowéj, ale i w ogólnéj XIII wieku literaturze. Autor uprzedza wprawdzie we wstępie iż niema i nie może

miéć zamiaru uniewinniania Kadłubka ze wszystkich jego ujemnych stron, a idzie mu tylko o dojście do dokładniejszego zdania o tym autorze z rozbioru jego dzieła, niż te do jakich dochodziły badania dotychczasowe; wniosek jednak do którego dochodzi i który przy końcu pracy wyraża, jest mianowicie ten: iż „sądząc ze stanowiska wieku w którym pisał, Kadłubek był literacko-historycznem zjawiskiem pierwszego rzędu (.... *was allerdings den Vincentius zu einer litterarisch-historische Erscheinung erstes Ranges erhebt)* str. 194. Rezencya tego dzieła pióra Wattenbacha znajduje się w *Heidelberger Jahrbücher* z r. 1870 posz. 10. Dodajmy z okoliczności, iż inne pisma tegoż autora (Henr. Zeissberga) odnoszące się do historyi polskiéj, o ile nam jest wiadomem, są: *1) Miseseco der erste christliche Beherscher der Polen* (w Archiv für Oestereichische Geschichte T. 38) *2) Ueber die Zusammenkunft Kaiser Otto's III mit Herzog Bolesław I von Polen in Gnesen* (w czasopiśmie dla gimnazyów austryackich 1867 zesz. 5) *3) Die Kriege Kaiser Heinrich's II mit Herzog Bolesław I von Polen* (w Sitzungsberichte der Kaiserlichen Akademie der Wissenschaften T. 57 zesz. 2) *4) Die Oeffentliche Meinung im XI Jahrhundert ueber Deutschlands politik gegen Polen* (Czas. dla austr. gimn. 1868). (Co do pomienionéj na początku pracy o Kronice Kadłubka dodać tu można: iż autor jéj tak co do ogólnego poglądu na literackie znaczenie tego kronikarza, jakoteż do uważania jego Kroniki, jedną ręką, nie zaś i Mateusza pisanéj, podzielił uwagi artykułu umieszczonego w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1867 za maj p. n. *Kronika Wincentego Kadlubka* przez Aleksandra Tyszyńskiego, na który też pod tym ostatnim względem po dwakroć się powołuje).

A. T.

Radziwiłł w gościnie. Anegdota dramatyczna w 3-ch aktach przez J. I. Kraszewskiego. We Lwowie, nakładem Karola Wilda 1872 (w 8-ce str. 55).

W pierwszych latach naszego stulecia, kiedy złota nić tradycyi narodowéj, w nieprzerwanym ciągu snuła się tak w starszém jak i młodszém pokoleniu, najwydatniejsze w niéj miejsce zajmowała postać księcia Karola Radziwiłła, znanego pod przydomkiem *pana kochanku*. Powtarzano sobie jego dowcipy i anegdoty, rozprawiano o wspaniałości niesłychanéj i bogactwach nieprzebranych: one to stanowiły wątek towarzyskich pogawędek pomiędzy kontuszowcami, które chciwie chwytała młodzież i przechowywała w żywéj pamięci. Z rozwojem literatury krajowéj, powoli postać

ta zachodziła coraz w mglistszą przeszłość, aż w ostatku zniknęła w cieniu. Po 1830 roku Soplica na nowo do życia ją powołali znowu zyskiwać zaczęła coraz więcéj wydatniejszych zarysów: w naszych czasach J. I. Kraszewski, wywołał *pana kochanku*, na deski teatralne i w Krakowie artysta dramatyczny Rapacki, odtworzeniem téj postaci na scenie, pozyskał sobie wielki rozgłos.

O pierwszéj komedyi J. I. Kraszewskiego p. n. „*Panie kochanku*“ podaliśmy w naszém piśmie sprawozdanie; tę anegdotę dramatyczną autor przypisał wspomnionemu wyżéj Wincentemu Rapackiemu, jako dowód swéj wdzięczności, za wierne odtworzenie typu księcia Radziwiłła.

„Życie księcia Karola (mówi autor w tém przypisaniu) tak obfitém jest w bogate szczegóły, iż trudno się oprzéć pokusie zużytkowania ich w książce i na scenie, zwłaszcza gdy się od młodości nasłuchałem opowiadań, w których żywe jeszcze drgały wspomnienia przeszłości. Wiele anegdot podobnych powtarzać lubił mój ojciec, słyszanych od pana *de Laszac* niegdyś komendanta w Nieswieżu, wiele ich błądziło po rozwalonym *Bielskim* zamku, gdym go studentem z dziecinną ciekawością przebiegał. Inne wybornie, z humorem sobie właściwym, opowiadane słyszałem przez Henryka Rzewuskiego, wiele już nie wiem gdzie pochwytałem. Mają one urok przywiązany do fantastycznéj a niepowrotnéj onéj Polski szlacheckiéj a magnackiéj, która jest niewyczerpaną skarbnicą dla powieścio-pisarzy i dramatyków.“

Treść téj anegdoty dramatycznéj stanowi zajście *Pana kochanku*, ze szlachcicem sąsiadującym z granicami dóbr jego.

Książe z nieodstępnym Wołodowiczem wraca z wygnania i właśnie jest spodziewany w karczmie w *Obibokach*, która do niego należy. Szmul Słonimiec arendarz w niéj, czyni przygotowania na przyjęcie tak znakomitego gościa, kiedy się niespodzianie zjawia chorąży *Kurcewicz* wraz z córką swoją Basią. Arendarz nie był mu rad, i chciałby go zmusić do opuszczenia karczmy, ale szlachcic butny, jako ze krwi książąt Koryatowiczów ród swój wywodzący ani myśli o tém, i rozkazuje sobie podać obiad. Tymczasem nadjeżdża Józef Szczuka dworzanin i koniuszy księcia, a zakochany w pięknéj Basi Kurcewicz, zapowiadając rychłe jego przybycie. Daremnie ta zaklina ojca ażeby ustąpił i nie szukał zwady, z tak możnym panem; ani słyszéć o tém nie chce i na wejście jego nic powstaje nawet z ławy. *Panie kochanku* zdziwiony tém zuchwalstwem, powściąga się jak może, aż w coraz rosnącéj kłótni, przyjmuje wyzwanie i gdy się ścinają na szable, wpada *Basia*, i perswazyą swoją wstrzymuje dalszy pojedynek i wyjednywa swojém zjawiskiem, że książe opuszcza pierwszy karczmę w *Obibokach*, pozostawiając pole zwycięztwa Chorążomu. Książe za powrotem do Nieswieża, nie mogąc strawić spotkania w *Obibokach*, rozmyśla nad odwetem. W téj chwili znajduje

się na zamku Nieświeżskim *Heliodor Dyplowicz* właściciel drugiéj połowy wioski, którą posiadał Kurcewicz, część większą. Dyplowicz w chęci wydziedziczenia go i schwytania całéj posiadłości, podburza gniew księcia, który Szczuka stara się ułagodzić. *Panie kochanku* opowiadając swoją awanturniczą wędrówkę do księżniczki *Brambilli*, oczekuje na powrót swego dworzanina *Żary*, co wysłanym został do chorążego Kurcewicza aby go zaprosił w imieniu księcia na barszczyk do Nieświeża. Ale ten posłowi odrzekł:

— Kłaniaj się księciu Jegomości i powiedz że jeżeli w barszczu smakuje, niech tu do *Siennéj Wulki* przyjedzie, dam mu takiego, aż mu się gęba wykrzywi!

Łatwo sobie wyobrazić jak to przyjął dumny magnat; zwołuje swoich senatorów i dworzan, którzy bynajmniéj nie starają się go uspokoić, ale raczéj rozjątrzają; sam komendant Nieświeża *Larzac* który ojcu naszego autora opowiadał nie mało o *Panu kochanku*, występuje na scenę, w pogotowiu wykonać wyrok wydany.

— Niech panowie radzą, mówi, a *brachium militare* wykona. Każecie ściąć, zetnę, spalić, spalę, na pal wbiję jeśli trzeba.

Koniuszy *Szczuka* hamuje zapędy księcia, który po namyśle zapowiada że jedzie na barszcz lub zrazy do *Wulki* kniazia Kurcewicza i zaprasza z sobą panów swojéj Rady, wszystkich Albeńczyków, dwór i dwieście koni zbrojnéj jazdy, wysyłając zarazem tegoż *Szczukę* ażeby właścicielowi *Wulki* uroczyście zapowiedział. Zrospaczony kochanéj Basi, musi wykonać dany rozkaz, i obwieścić jéj ojcu, tak liczny orszak gości.

Akt trzeci odbywa się w ubogim szlacheckim dworku chorążego, którego córka zrozpaczona błaga, ażeby uchodzili z niego, bo lada chwila przemoc wielkiego pana uderzy ich gromem. Ale zacięty Kurcewicz, ufny w powagę prawa ani myśli wyjrzeć za progi swoje; gdy ujrzano z podziwieniem nadjeżdżającego Szczukę, który oświadcza że książe pan ukłon swój składając, przybywa zaraz nie na barszcz ale na zrazy do Wulki. Basia niemając czém przyjąć, tembardziéj gdy się dowiaduje że orszak wojewody najmniéj składa trzysta koni, oprócz przyjacioł i dworu, znowu zaklina ojca aby uciekali, ale ten oświadcza gotowość przyjęcia księcia i jego dworu gościnnie. Dla zebrania potrzebnego jadła i obroków dla takiéj chmary, sprzedaje całe gniazdo rodzinne Dyplowiczowi, który oddawna czychał na nią, z obowiązkiem aby wszystko było za godzinę gotowe. Jakoż ten zgromadza jadło i napitek, owies i siano.

Panie kochanku tymczasem zdjęty ciekawością jak go przyjmie sierdzisty szlachcic, jednokonną kałamaszką *in cognito*, w szarój długiéj oponczy z biczem w ręku zjawia się we dworku i znajduje Dyplowicza, od którego dowiedziawszy się o układzie nabycia Wulki i warunkach, rozkazuje ażeby natychmiast zgromadzone zapasy sprzątnął, bo inaczéj srogą jego zemstę poczuje.

Ten spełnia dany rozkaz, gdy Chorąży spotyka księcia, który wracając do wrodzonéj dobroci, łagodzi zawziętość gospodarza. a tymczasem Szczuka bierze ślub z Basią. Chorąży dowiedziawszy się że Szczuce, jakoby pożyczone od niego pięć tysięcy dukatów książe wypłacił i puścił mu trzy wsie w Słuczczyznie, błogosławi nowożeńców, pozostaje w gnieździe rodzinném, a przerażony Dyplowicz dowiaduje sią z ust księcia, jak ukaranym za swoją chciwość zostaje, bo książe ten mówi, gdy ucichły okrzyki radosne i wystrzały młodzieży na cześć państwa młodych: „A teraz panie kochanku, chodźmy zjeść Dyplowicza, bo trzeba ażeby ktoś za nasze grzechy odpokutował!“

Anegdota ta dramatyczna, czyta się z niezwykłém zajęciem, dodaje jéj powabu nietylko prawda charakterów, ale i koloryt właściwego czasu. Znać pisarza który napojony żywém słowem tradycyi oddaje ją wiernie i umiejętnie stosuje do potrzeby sceny. Rozkład szczęśliwie pomyślany, nadaje jéj niezwykły ruch dramatyczny. Nie powątpiewamy że przedstawiona na scenie, zyskałaby świetne powodzenie.

Wł.

Obrazki z mojego sąsiedztwa. Z notat pana Antoniego spisał Leon Kunicki. Warszawa, nakładem G. Sennewalda 1872 r. (Drukiem Józefa Ungra, w 18-ce, stronnic 149).

W zeszycie sierpniowym r. b. naszego pisma, daliśmy sprawozdanie o dziełku tegoż autora: “*Wyjątek z kroniczki mojéj okolicy*“ wydanéj niedawno; teraz jakby dopełnienie poprzedniéj, mamy *obrazki*, w tym samym rodzaju: ta różnica jednak zachodzi, że gdy w pierwszéj znajdujemy całość artystyczną i umiejętnie zaokrągloną, tu zebrane są pojedyńcze, liczne szkice, w niczém niepowiązane z sobą.

Pięć obrazków: *Pan sędzia i pani sędzina*, *Pan Fortunat*, *Preferans nałogowy u pani prezesowéj*, *Gawędka poobiednia* i *Pantofel*, malują nam postacie oryginalne, sąsiedztwa pana Antoniego. Nie możemy zaprzeczyć dokładności schwytania ich charakterystyki; znać że wzięte zostały z życia, ale smutne czynią wrażenie, że jest u nas w kraju w XIX stuleciu taka okolica, w któréj tak gęsto przewijają się podobne jednostki, pasożyty, nieożywione żadną wyższą myślą, ani uczuciem szlachetném.

Czytając te obrazki. w których taki moralny upadek widzimy, zapytujemy z kolei, gdzież się podzieli ludzie, co zamieszkiwali te stare dwory wiejskie, przy których jasném ognisku, przechowywał się zwyczaj i obyczaj domowy, a duch obywatelstwa ogrzewał młode pokolenia? Widzimy, że już przygasł nie tylko w wielkich miastach, ale nawet i w zapadłych i ustronnych okolicach. *Kroniczka* poprzednio wydana, nie obudza tych smutnych

myśli, chociaż wiernem jest również malowidłem swój okolicy, i daje pociechę, że nie jest tak źle jakby sądzić należało z tych *obrazków*: bo jak dobrze mówi Wicenty Pol „że chociaż życie idzie jak po grudzie, przecież nie są tak źli ludzie". Wszędzie ujemna strona z dodatnią łączą się społem: tu autor w satyrycznem usposobieniu, pierwszą dosadnie przedstawił, gdy *w Kronice*, dodatnia góruje. Zawsze to pożądane zarysy, do poznania i zbadania społeczności naszéj.

R.

Dziwy świata pierwotnego czyli Kolebka Wszechświata przez W. F. A. Zimermana, przekład T. Dziekońskiego 1872 r., wydanie drugie z 268 drzeworytami.

Nakładem księgarni S. H. Merzbacha pierwsza edycya dzieła Zimmermana w przekładzie T. Dziekońskiego wyszła w r. 1857. W roku bieżącym wychodzi druga znacznie powiększona według poprawionego oryginału z ostatniego roku i z dodaniem nowych 31 drzeworytów. Dziwy świata pierwotnego (Die Wunder der Urwelt) Zimmermana za zjawieniem się swojém, w ciągu dwóch lat rozbiegły się po Niemczech w 30,000 egzemplarzach, a następnie doczekały się 23 wydań i przekładu na wszystkie prawie języki europejskie. Jest to przedstawienie dziejów stworzenia i urodzin ziemi. Niema tam ścisłego, systematycznego wykładu nauki; jest to tylko najpopularniejsze opowiadanie cudownych zjawisk, jakie ziemia w głębi swój ludziom odkrywa i daje im do odczytania kronikę własnego żywota, a przytem zapoznaje z prawami odwiecznemi, którym najdrobniejszy proch ziemi ulegać musi. Ludzkość z gorączkową ciekawością odkopuje zwaliska dawnego życia ziemi, jéj twórców, jéj mieszkańców. Najpotężniejsza fantazya poety blednie i gaśnie obok twórczéj fantazyi przyrody. Człowiek znajduje w pierwotnych warstwach ziemi szkielety potworów olbrzymich słoni nadzwyczajnéj wielkości, zwierząt z pyskiem delfina, z zębami i głową krokodyla, z płetwami wieloryba, z oczami większemi od głowy ludzkiéj, węży latających, ptaków ze szponami 17 cali długiemi, potwory morskie z rękoma ludzkiemi, i t. d. Człowiek nie tyle dumieje na widok tych potwornych stworzeń, ile nad wykrywanemi szczeblami, przez które przyroda żyjątka swe przeprowadza i coraz wyżéj do doskonałości podnosi. Żadna księga utworu człowieka, żadna filozofia, żadna metafizyka, nieda nigdy tak potężnego wyobrażenia o wielkości najwyższéj istności, ile daje sama przyroda, odsłaniając człowiekowi swoje twory i swoje tajemnice. Książka Zimmermana składa się z trzech części. W pierwszéj wstępnéj Archiwa świata pierwotnego, w drugiéj, Okres pierwszy stworzenia, początek systemu planetarnego, początek ziemi. W trzeciéj części: Okres drugi stworzenia. Zaludnienie powierz-

chni ziemi, rośliny świata pierwotnego, zwierzęta świata pierwotnego, zwierzęta członkowate, Formacya druga, Formacya trzecia, Formacye, działanie plutoniczne i wulkaniczne, trzęsienie ziemi, O kruszcach i ich łożysku. Samo wyszczególnienie przedmiotu daje wyobrażenie o stanowisku i wartości książki w porównaniu z dzisiejszym stanem nauki. Popularny ten wykład objaśniony illustracyą z 268 drzeworytów, wciąga każdego z czytelników do przedmiotu ważnego i zachęca do dalszego studyowania nadzwyczajnych zagadnień świata i człowieka.

A. J. S.

Historya literatury rossyjskiéj w zarysach i życiorysach, przez P. Polewoja (syna). Wyjątek z dziennika Dieło *m. styczeń r. b.*

Jest to wielki tom wydany wspaniale, z 70 illustracyami, stanowiącemi po większéj części portrety znakomitszych literatów. Ale treść dzieła nie odpowiada zewnętrznéj stronie. W dziele Polewoja napotyka się wiele luk i opuszczeń. Pomija mianowicie przedstawienie tych warunków, które krępowały rozwój piśmiennictwa. W skutek téj jednostronności, niektóre części pracy jego przybrały charakter panegiryczny, niektóre zaś postacie literackie ukazały się w świetniejszych barwach niż były w rzeczywistości. Autor nadto bardzo niedokładnie ocenia znaczenie bizantyńskiéj scholastyki w historyi cywilizacyi rossyjskiéj. Pierwiastek ten, jakkolwiek ważną w niéj odegrał rolę, i ważne przyniósł usługi we względzie ukonstytuowania się państwowego, wyrodził jednak pojęcie, podług którego cywilizacya Zachodu uważała się za dzieło szatana.

Takie główne zarzuty czyni dziełu wspomnionemu recenzent dziennika *Dieło* w zeszycie styczniowym r. b., dodając, że utwór tego uczonego męża wydany z takim przepychem formy a ubóstwem treści, pozbawiony wszelkiéj idei zasadniczéj obok niedokładnego przedstawienia, a nawet skażenia dziejowéj rzeczywistości, w niczém nie jest wyższym od innych na tém polu publikacyj np. Karaułowa, Gałachowa. Podług rzeczonego recenzenta, p. Polewoj należy do falangi tych pisarzów, którzy aby nie być zaliczonymi do rzędu kompilatorów, wypełniają swe utwory tanim liberalizmem, kadząc jednocześnie koryfeuszom przeciwnego obozu.

Mimo takich usterek, recenzent przepowiada świetny los pracy p. Polewoja, dzięki illustracyom i brakowi właśnie wszelkiego wydatniejszego kierunku.

Przy rozbiorze dzieła o którém mówimy, p. Szaszkow daje nam zajmującą charakterystykę piśmiennictwa w artykule p. t. *Literatura i społeczeństwo rossyjskie.*

Literatura w ogólności, mówi on między innemi, w krajach ucywilizowanych uważa się za taką samą sprawę publiczną, jak religia i polityka; i utwór społeczeństwa i rozwój literatury to konieczne warunki społecznego postępu. Wiele prób ciężkich przechodzić musi literatura, która się tworzy nie jako owoc dziejowy samodzielny własnego gruntu, ale jako roślina przeniesiona z obczyzny i zaszczepiona na korzeniu jakiéjś narodowości. — W położeniu takiém właśnie długi czas zostawała literatura rossyjska. W epoce poprzedzającéj czasy Piotra W. nie było prawie literatury. Społeczność jeżeli się zajmowała jaką literaturą świecką, to więcéj jako rozrywką umysłową. Takie zapatrywanie się ogółu przetrwało prawie do ostatnich czasów; ale i większa część autorów patrzała z tego samego punktu widzenia: wszyscy służyli sztuce dla sztuki.

Przy takim kierunku, społeczeństwo nie mogło dawać skutecznéj opieki literaturze, a przecież w niéj leżał zakład własnego jego rozwoju i pomyślności. Obojętność podobna pozbawiała piszących podstawy społecznéj samodzielności.

Grybojedow gorzko się żalił na tę obojętność, szukał śmierci i znalazł ją w wyprawie na Czecznię. Tak samo Marliński chciał zginąć i zginął w wyprawie przeciw czerkiesom. Puszkin i Lermontow również pragnęli umrzeć i poginęli w pojedynku; Radiszczew sam odebrał sobie życie. Łomonosowowi przyśpieszyła zgon niewstrzemięźliwość w używaniu darów Bachusa; Batiuszkow dostał obłędu, — po powrocie z wojny 1813 powtarzał: myśmy wszyscy podobni teraz do bohatérów homerowskich; każdego ściga jakiś bóg mściciel. Ozierow, Żukowski, Gogol umarli w zupełnym rozstroju umysłowym. Pisarew także cierpiał umysłowo.

Wpośród takich warunków, literatura nie znajdując podstawy w społeczeństwie, szukać musiała mecenasów. To nadało jéj charakter zuchowawszy, a prądowi temu ulegali najznakomitsi pisarze. Polewoj (ojciec autora rozbieranogo dzieła) głowa postępowéj prasy, wydawca najpopularniejszego w owym czasie dziennika, jeden z najpierwszych krytyków, kończy na drodze, jaką szli Grecz i Bułharyn. Ani Dierżawin, ani Karamzin, ani Puszkin, ani Polewoj nigdy nie dosięgli owego olimpijskiego spokoju, w jakim żył np. Getc, zostający w podobném jak oni otoczeniu.

Większość tych autorów, mówi recenzent, posiadała nader ubogi zapas wiadomości ścisłych i umysł nie dosyć uprawiony przez naukę. Owocem tego była niejasność przekonań i kruchość moralnych podstaw. Ci tylko z pośród pisarzy, którzy poważnie pracowali nad kwestyami naukowemi, wytwarzali sobie i pogląd jaśniejszy na życie rossyjskie, stałe przekonania i niezachwiane zasady moralne. Do rzędu ich zaliczyć trzeba Grybojedowa, Bieltińskiego, Granowskiego, Waleryana Majkowa. Każdy z nich nie rzucał się jak Batiuszkow, Puszkin i Gogol, ale szedł stale do celu.

Z ukazaniem się tych ludzi, literatura rossyjska przybrała kierunek utylitarny, znalazła pewną oporę w społeczeństwie i kończy okres orędownictwa. Zmieniły się dla niéj warunki zewnętrzne, charakter jéj więc stał się samoistnym. Ale i dziś potrzebuje podpory publiczności i nie znajduje jéj po dawnemu. Ta zaś żali się na czczość dzienników, ubóstwo książek i upadek sumienia literackiego. Recenzent kończy swój przegląd bardzo pięknym i prawdziwym aforyzmem: że sumienna i żywotna literatura kwitnąć może tylko w moralném i rozwiniętém społeczeństwie, które interes nauki uważa za interes żywotny własnego istnienia.

M.

Dzieje Polski w głównych zarysach krótko streszczone dla użytku młodocianego wieku, przez E. Leja 1872.

Mała ta książeczka przeznaczona dla drobnych dziatek, przedstawia ciąg wspomnień o królach polskich, aż do Stanisława Poniatowskiego. Samo prawie scharakteryzowanie każdego z panujących monarchów, a w skróceniu takiém pominięte wypadki życia publicznego i prywatnego, pominięte czyny i charaktery pojedynczych osób które stanowią piękność historyi a przedstawione w obrazkach zajmujących i scenach dramatycznych, oprócz nauki historyi, podają przykłady podnoszące moralność pokolenia. Najtrudniejszém zadaniem jest pisanie książek dla dzieci. Autor musi sam zostać prawie dzieckiem, jeśli pragnie dla dzieci pisać to co dla nich jest zrozumiałém i co je zająć może. P. Leja starała się odpowiedzieć obranemu przedmiotowi stosownie do swego widzenia i zdolności. Zawsze książeczka jéj dla samych wspomnień nie jest bez użytku, bo nawet usiłowanie w tym kierunku stanowi zasługę.

A. J. S.

Pamiętnik Wydziału prawa i administracyi w C. K. Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Rok szkolny 1871/2. Kraków 1872 XVI i 425.

Zamiast upadłego czasopisma, wydawanego przy współudziale członków wydziału prawnego w Uniwersytecie, ukazuje się oto nowy pamiętnik; ten ważny objaw działalności naukowéj w Krakowie witamy z prawdziwą radością. Sama forma zewnętrzna dzieła wydanego z wielką starannością i znaczna jego objętość sprawiają na czytelniku miłe wrażenie. Treść książki składa się z następnych rozdziałów: na czele pomieszczony jest imienny spis professorów na wydziale prawa, lista słuchaczów, promocye, egzamina rządowe, rozporządzenia. Następnie

idą rozprawy naukowe 1) prof. Bojarskiego: Zasady nauki o poczytaniu; 2) dr. Kasparka: Zasady Hugona Grocyusza o prawie interwencyi ze stanowiska dzisiejszéj nauki filozoficznego i politycznego prawa narodów. 3) prof. Girtlera: Wspomnienia o prawie magdeburskiem w Polsce. 4) prof. Zolla: O krytycznych badaniach tekstu instytucyi Justyniańskich. Do składu wydziału wchodzą następni professorowie. Fr. Zoll czyta prawo rzymskie, U. Heizmann prawo kościelne, E. Fierich procedurę cywilną, J. Dunajewski umiejętności polityczne, statystykę, P. Buszyński dawne prawo polskie, A. Sas Bojarski prawo i procedurę kryminalną, M. Zatorski prawo cywilne austr. I. Girtler historyą państwa i prawa niem. L. Blumenstok medycynę sądową i policyę lekarską, J. B. Oczapowski administracyą i encyklopedyą umiejętności politycznych. W charakterze docentów wykładają M. Bochenek ekonomią polityczną, H. Hankiewicz rachunkowość rządową, G. Roszkowski filozofią prawa, F. Kasparek filozofią prawa.

Słuchaczów zwyczajnych w letniem półroczu było na wydziale prawa 238, w 1854 roku liczono zaś tylko 59. Stopień doktora praw otrzymało 38. *X.*

W tomie III, zeszycie 9, Biblioteki Warszawskiéj, znajduje się rozbiór pracy pana Siennickiego, noszącéj tytuł: „Opis historyczny rzymsko-katolickiego kościoła świętéj Katarzyny w S-t Petersburgu.“

W opisaniu tém znajdujemy rysunek kamienia z napisem już w wielu miejscach nieczytelnym, położonym na grobie króla Stanisława Augusta, który obecnie w skutek tego że w podłodze kościelnéj jest umieszczony, został zupełnie zatarty. W 1833 r. w czasie pobytu mego w Petersburgu napis ten był jeszcze dobrze zachowany i spisany został przezemnie. W owéj dacie żyło tam jeszcze kilkanaście osób, które pamiętały zgon króla, ostatnie jego chwile i pogrzeb z wystawą prawdziwie monarszą; ci łaskawie udzielili mi pierwiastkowy napis jaki był położony na jego grobie i również z czasem zatarty nogami przechodzących. Dopełniając więc szacowną kronikę kościoła S-téj Katarzyny, pozwalam sobie przesłać Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj tę krótką notatkę, ażeby tym sposobem ocalały napisy monumentalne, dwukrotnie na grobie królewskim stawiane.

D. 8 marca nowego stylu 1798 r., po ukończoném nabożeństwie żałobném, ciało króla zniesiono do sklepu kościelnego, do którego wejście jest przed drzwiami prowadzącemi do zakrystyi, a wkrótce potém z Najwyższego rozkazu położono kamień zamykający to wejście z następującym napisem:

Stanislaus Augustus
Rex Poloniae Magnus Dux Lithvaniae
insigne documentum utriusq. Fortunae
prosperam sapienter, diversam fortiter
tulit
Obiit Petropoli VII kal. Febr. MDCCXCVIII
Natus Annos LXVI
Paulus I, Autocrator
et Imperator totius Russiae
Amico et hospiti
posuit.

W lat przeszło dwadzieścia potém, napis zupełnie żatarty został, przez tych właśnie, dla których wiadomości był położony. Wówczas metrop. rz. kat. kościołów w Rossyi, arcybiskup mohylewski Stanisław Bohusz Siestrzencewicz następujący napis na tymże kamieniu wyryć rozkazał:

D. O. M.

Hic Jacet
In Ecclesia Parochiali Romano-Catholica Petropolitana
inter Altare Beatissimae et Sacristiam in angulo
Serenissimus M. Dominus Stanislaus Au-
gustu Rex Poloniae
Princeps Poniatowski
Natus anno 1733-io in Wołhynia
Electus Rex anno 1764 Varsaviae
Mortuus anno 1798 Februar: 1, Petropoli
et praesente Serenissimo Imperatore ante faciem
Ecclesiae suis ex cubiis stipato, sepultus 22 Februarii
per Reverendissimos Archi-Episcopos Thebanum
Nuntium et Legatum Apostolicum ad Serenissi-
mum totius Rossiae M. D. Imperatorem
Paulum 1. Laurentium Comitem Litta
et Mohileviensem Metropolitanum Ecclesiarum
Romano-Catholicarum per Imperium Rossiacum
Stanislaum Siestrzencewicz a Bohusz. Idem
gratus oravit, et Lapidem hunc posuit.

Niepojęte są omyłki historyczne w tym napisie, bo król urodził się w Wołczynie nie zaś na Wołyniu, a tytuł *Princeps* Poniatowski najniewłaściwiéj tu pomieszczono, bo Stan. August ze stolnika został królem i nigdy w życiu księciem nie był, a tylko przy wprowadzeniu go na tron tytuł ten braciom jego został nadany. Pod względem zgonu i pogrzebu to na kamieniu wyryte są daty starego, a w gazetach polskich i zagranicznych oznaczona jest data według nowego stylu. Ale i te są mylne, bo 12 lutego mógł wówczas odpowiadać piérwszemu, a pochowanie ciała odbyło się podług urzędowych wiadomości dnia 8 marca; data więc nie

sprawiedliwa, 22 zaś lutego odpowiadałby chyba dniu 5 marca, to jest przeniesieniu zwłok królewskich z marmurowego zamku do kościoła, ale nie dniu ostatecznego pogrzebu. Nawet w języku łacińskim poprawniejszy jest napis pierwiastkowy, gdzie słowo *Russia* czytamy, nie zaś *Rossia* po dwakroć użyte w napisie Siestrzencewicza.

Znane są dwa sztychy przedstawiające wnętrze kościoła Ś-téj Katarzyny podczas obchodu żałobnego i wnętrze sali, gdzie zwłoki króla były eksponowane. Pod pierwszym jest taki napis:

„Catafalque faite á l'Eglise Catholique de S-t Petersbourg
„á l'occasion de l'Enterrement de Stanislas Auguste
„Roi de Pologne.
„V. Brenna Architecte de Leurs Majestés Imperiales
invenit.
„Joseph Lapeine delineavit.
„7 Calpacow Sculp.

Drugi sztych tegoż Kałpakowa w mniejszym rozmiarze przedstawia *Castrum Doloris* w wielkiéj sali zamku marmurowego i ciało królewskie w odkrytéj trumnie, na widok publiczny wspaniale wystawione.

Co się tyczy ostatnich chwil życia Stanisława Augusta, to znana artystka pani *Le Brun*, która wówczas w Petersburgu portret króla malowała, wspomina w swoich pamiętnikach, że dniem przed zgonem tego monarchy widziała wielką zmianę na jego twarzy i ztąd najgorszą wróżbę powzięła. Nadworny lekarz króla *Boecler*, w liście swoim ogłoszonym drukiem wymienia przyczyny zmartwień i niespokojności jego z powodu familijnych i pieniężnych w Warszawie interesów, i temu wzruszeniu uderzenie krwi przypisuje. Podejrzenia więc Sagatyńskiego w jego pamiętnikach umieszczone, mogą nie być prawdopodobne. Jednakże król ciągle cieszył się wybornem zdrowiem, w ostatnich dniach życia bardzo był zajęty przedstawieniem dramatu *Kamilla*, który miał być odegrany przez amatorów w zamku marmurowym w obecności Ich Cesarskich Mości. W dniu fatalnym z rana wyszedł do sali jadalnéj ażeby obejrzéć nakrycie stołu, gdyż miał miéć ambasadorów zagranicznych u siebie na obiedzie, a do drobiazgów zawsze wielkie przywiązywał znaczenie. Gdy wrócił do sypialni poczuł że mu nie dobrze, posłał więc zaraz odprosić swoich gości, a gdy mocniéj zasłabł podano mu według ówczesnéj mody lekarskiéj łyżeczkę musztardy. Król biorąc ją powiedział jeszcze: „*C'est la moutarde après le dîner*" ale zaraz zrobiło mu się gorzéj i król mowę utracił, puszczenie krwi nic nie pomogło i nazajutrz nad rankiem oddał ducha Bogu, otoczony swoimi dworzanami, którzy mu z Grodna do stolicy towarzyszyli. Oto jest ich lista: (tłumaczenie z Rossyjskiego oryginału).

Hrabia Mniszek.
Hrabina Mniszek.
Córka hr. Mniszka.

Książe Józef Poniatowski i przy nim dwóch z jego świty. (Książe Józef nie przyjechał do Grodna i z tego powodu nie towarzyszył królowi).

ADJUTANCI.

Cichocki.
Gordon.
Kirkor.
Byszewski.
Wicki półkownik.

SZAMBELANI.

Trembecki (Stanisław) został potém mianowany rzeczywistym radzcą stanu i młodszym bibliotekarzem Cesarskiéj publicznéj Biblioteki ze znaczną pensyą. Ze spisków urzędowych dowiadujemy się że był synem Jakóba (Станиславъ Яковлевичъ).
Wolski.

Doktor Boecler.
Kapelan X. Jurewicz.
Półkownik Michał Grabowski.
Kawaler maltański Stanisław Gabowski (syn króla, późniejszy minister oświecenia i prezes Izby obrachunkowéj w Królestwie Polskim).

SEKRETARZE.

Puzyna.
Antoni Poniatowski.
Fabian Poniatowski.
Karaś.
Baciarelli.
Kochański.
Starosta Ryx.

KAMERDYNERY.

Brunet.
Russo.
Koniar dentysta.
Trzech dworskich lokai.

LEKARZE.

Henzelman.
Auspenger.
Wójcicki. (Ojciec zasłużonego w piśmiennictwie krajowém K. Wł. Wójcickiego).

PODKONIUSZOWIE.

Kawecki.
Aksamitowski.

PAZIOWIE.

Jabłoński.
Skorulski.
Buchowiecki.

METR DOTELE.

Tremo.
Szyc.

Przy nich dwadzieścia osób należących do kuchni, pomywaczek sześć. Cukiernik i przy nim czterech pomocników. Kiellermejster i przy nim czterech pomocników. Dwóch froterów w obowiązku podskarbiego Szwendrowski i Wagenhalter.

(podpisano). Takowy spisek podany mnie został przez sekretarza Fryze.
Generał Lejtenant Graf Ilija *Bezborodko.*

W ciągu całorocznego pobytu króla w Petersburgu, skład osób jego dworu odmienił się znacznie.

Wilno, 1 września 1872 r. *E. Hr. T.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Wrzesień 1872 r.— Otrzymane a nieznane utwory dwóch zgasłych poetów: *Zygmunta Krasińskiego i Juliusza Słowackiego*, podajemy.

I.

Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
Rozsnuć do światła wiążące mnie nicie;
Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
Jak łza w potoku, jak mgła na błękicie.

Lecz zanim chwila wyroczna przeminie,
Nim zkądem przyszedł, powrócę do Boga,
Chciałbym być z tobą w ostatniéj godzinie,
I cicho konać na twém ręku droga!
A gdy już rzucę wszelkiéj troski brzemię,
I ty na ciało będziesz kładła ziemię,
Proszę cię nie chciéj dusznego sklepienia
Klasztornych murow, kłaść nad mojém czołem!
Dość mi już było na ziemi więzienia,
Śmierć niech łąk polnych otoczy mnie kołem.
Gdzieś nad zieloném i otwartém polu,
Pod niebios wiecznie błękitném sklepieniem,
Złóż moją głowę senną, pełną bolu,
I marmurowym przykryj mnie kamieniem.
A marmur ochłódź wonnym krzewów cieniem.
Zasiej tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,
Stulistne róże, podwójne gwoździki,
Niezapominajki i nieśmiertelniki;
Italskie mirty, podalpejskie dalie,
I borów naszych pamiątkę konwalię.
Wszystkie co kochasz i com ci przynosił
Za życia kwiaty, oddaj umarłemu;
Wspomnij, że o nie zasypiając prosił,
I rzuć je wieńcem pod głowę śpiącemu,
Niech przytłoczony tym ostatnim darem
Pchan coraz niżéj tym kwiecia ciężarem,
W wieczność zapadam, aż w niéj się przetworzę
Na drobne listki, gałązki, kielichy,
I z głębi grobu wyrosnę kwiat cichy,
I serce wonne przed tobą otworzę.
Tak każdej wiosny, ócz wonnych tysiącem
Będę wyzierał za śmierci okręgi,
I rósł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi,
Rwiej mnie, bierz, rwiéj mnie, przyczepiaj do skroni,
Co ciało zdoła, to ciało da tobie,
Nic się już z niego, nie zostanie w grobie;
W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w woni,
I duch mój czeka, aż woń ta powróci,
Przez smugi niebios niesiona wichrami;
I znów go ciałem dokoła obrzuci.
Lecz inném światłem, wspólném z aniołami,
Przenoś więc daléj na téj dziwnéj drodze,
Z głębin grobowych do jasnego nieba,
Wszystkie te kwiaty które w grobie rodzę,
Nim mnie obleką, zwiędnąć im potrzeba
Na piersi twojéj: bo ztamtąd dopiero,

Biblioteka Jagiellońska Cieszyniki

Uniewidnione, w niebo się wybiorą
Do ducha mego, i ciało me w niebie
Będzie z tych kwiatów, co zwiędły u ciebie!

Zygmunt Krasiński.

II

Do poety Z. K. (z pism pośmiertnych Juliusza Słowackiego).

Żegnaj! o żegnaj, archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojém sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął na swoje łono;
Ogrzał, oświetlił, by nie poszło w trumnę,
Ani spokojne mniéj, ani mniéj dumne.
Więc gdzieś, wysoko, u Boskiego celu,
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój, dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba spokojności.
Lecz jeśli ducha nadchodzą szyderce,
Lecz jeśli walka jest—daleś mi serce!

— Z drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie, wyszedł: *Pamiętnik warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, z roku szkolnego 1871/2. Rok trzeci.*" (1872 r. w 8-ce str. 199). Dzieło to obejmuje: 1) Historyę warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, 2) Szkoła głuchoniemych i ociemniałych w Petersburgu, 3) Życiorys ks. L'Epée, 4) Dr. Jan Bącewicz, 5) Znaczenie rysunku i metoda nauczania go u głuchoniemych, 6) Metoda początkowego nauczania języka w szczególném zastosowaniu do ociemniałych klassy 1-éj, 7) Warszawska metoda pisania nut muzycznych dla ociemniałych, 8) Założenie ogródka botanicznego dla głuchoniemych, 9) Stan zdrowia głuchoniemych i ociemniałych w Instytucie warszawskim, 10) Sprawozdanie z obrotu fnnduszów Instytutu za rok 1871, 11) Kronika Zakładu w r. 1871/2, 12) Fundusze Instytutu, 13) Egzamina i programy.

— *Encyklopedyi rolnictwa* pod redakcyą I. T. Lubomirskiego-E. Stawiskiego i S. Przystańskiego, wyszły dwa zeszyty. Zeszyt III obejmuje wyrazy: *Block Albert, Błota i bagna, Bób i bobik, Bóbr, Bocian, Borsuk, Boussingault, Botanika, Brona, Bruk, Brukiew, Brzostowski Paweł Ksawery* (ksiądz), *Brzostowski hrabia Karol, Budownictwo wiejskie.* Zeszyt ten zdobi około stu drzeworytów. W zeszycie IV mamy dokończenie obszernej rozprawy *Karola Martin, Budownictwo wiejskie* ze 145 drzeworytami; daléj: *Budynki gospo-*

darskie, wybór miejsca pod nie, położenie względem siebie, stosunek ich do obszaru pól. Wzory zagraniczne z 15 drzeworytami przez Kazimierza Langie. Budowa roślin z 56-ma drzeworytami przez F. Berdau'a i Bulwa.

— W nr. 75 czasopisma illustrowanego *Wieniec*, znajdujemy w rycinie projekt na pomnik dla ś. p. *Stanisława Moniuszki*, w jednym z kościołów Warszawy. Projekt ten wykonał *Cypryan Godebski*, znakomity rzeźbiarz, znany z wielu prac artystycznych wysoko cenionych w Paryżu, w Belgii i w Wejmarze. Na wzniosłym piedestale stoi w postaci niewieściéj *anioł melodyi* osmutniały, z milczącą lutnią w ręku, poniżéj krzyż z wieńcem, popiersie zmarłego, a pod nim tablica z napisem. Pomysł godny pamięci wielkiego muzyka.

— *Encyklopedyi powszechnéj S. Orgelbranda* (mniejszéj) wyszło już zeszytów dziewięć. Z szóstym zeszytem skończył się tom I: następne należą do II-go tomu i dochodzą do wyrazu „*Bogumiłowie*.“ Przy zakończeniu tomu I-go, spisu alfabetycznego niedano; zapewne redakcya ogólny spis wyrazów przy ostatnim zeszycie téj Encyklopedyi pomieści. Równocześnie *Encyklopedyi wiedzy ludzkiéj* nakładem J. Ungra, wyszło także 9 zeszytów.

— Z drukarni Czerwińskiégo i Sp. wyszedł prospekt na dzieło: „*Droga do spokoju sumienia i doskonałości moralnéj*.“ W trzeciém wydaniu przez X. A. Marcińskiego kanonika kollegiaty łowickiéj, wice-rektora b. akademii duchownéj rzymsko-katolickiéj. Dzieło to jak czytamy w prospekcie, w szczuplejszych rozmiarach wyszło w r. 1857, a następnie w 1860, teraz przerobione i dopełnione, uważane być powinno jako zupełnie oryginalne.

— W Berlinie z litografii *Korna* wyszedł portret *Mikołaja Kopernika*, prawie wielkości naturalnéj, rysowany przez znanego z talentu artystę *Tytusa Maleszewskiego*, podług obrazu olejnego *R. Ghirlandajo* malarza włoskiego, który go malował z natury gdy w młodych leciech Kopernik przebywał w Italii. Oblicze piękne, więcéj dziewicze niż męzkie, z oczu bije promień geniuszu. Obraz ten przeszedł do Anglii, gdzie go *hrabia Mielżyński* sam artysta zakupił i ofiarował Towarzystwu Przyjaciół Nauk poznańskiemu, wraz z galeryą obrazów i biblioteką nabytą od Edwarda Rastawieckiego. Tytus Maleszewski pospieszył z wykończeniem tego portretu, ażeby był gotowym na jubileusz 400 setny urodzin Kopernika, który w roku przyszłym wypada. Dodamy tu kilka słów o naszym artyście.

Po ukończeniu szkoły Sztuk pięknych w Warszawie, T. Maleszewski był w roku 1852 nauczycielem rysunków przy gimnazyum w Kaliszu, ale krótko to miejsce zajmował: czując potrzebę szerszego pola dla swego talentu wyjechał za granicę. Jego prace artystyczne na wystawach we Lwowie i Paryżu nader gruntownie i pochlebnie ocenione zostały.

Na wystawę sztuk pięknych w Paryżu 1870 r. przed wybuchem nieszczęśliwéj wojny z Prusami, wystąpił z dwoma portretami. Posłuchajmy co mówi p. *Laurent Jouvenet* jeden z najznakomitszych krytyków malarstwa w Dzienniku *l'Art* w nr. 17 i 32 z tegoż roku.

„Portret *Bohdana Zaleskiego* przez p. Maleszewskiego nacechowany jest wybornym kolorytem i siłą tonów świetną. Nie znając nawet modelu odgaduje się w nim wielkie podobieństwo: przedstawia się w nim bowiem nietylko strona fizyczna ale i moralna, poza nie mogła być lepiéj wybraną i więcéj naturalną. Poeta jest siedzący w fotelu, oparty na stoliku z założonemi nogami w ubraniu narodowém. Umiarkowanie w kolorze z poświęceniem nawet akcessoryi, ściągają spojrzenia i uwagę jako przedmiotu głównego na głowę wymodelowaną z nauką, która jednakowoż nie odbiéra jéj wdzięku. Jakaż tam delikatność w przejściach tonów, umiejętność w planowaniu i loiczność w traktowaniu, w połączeniu których to warunków artysta potrafił przedstawić żywą postać na płótnie. Trudnoby żądać było więcéj wdzięku obok poważnego traktowania sztuki i więcéj uszlachetnienia w prostocie.“

O portrecie *pani de V.* tenże sam recenzent pisze, z nie małém uwielbieniem dla naszego artysty. W Poznaniu na *Sali bazarowéj* przedstawił T. Maleszewski obraz religijny: „*Wniebowzięcie Najświętszéj Maryi Panny.*“ Obraz ten prowadzony w stylu XVI wieku, znawcy zaliczyli do bardzo udatnych prac T. Maleszewskiego.

Portrety Kazimierza Wielkiego i Zygmunta Augusta, które w litografii wydał, rozpowszechniły się wielce w całém Księztwie Poznańskiém: znajdziesz je zarówno w każdym pałacu jak dworku.

— Współpracownik *Encyklopedyi powszechnéj* S. Orgelbranda, i znany pisarz Józef Bliziński zajął się mozolną pracą, bo *słownikiem geograficznym starożytnéj Polski.* Obecnie przygotował już część: „Rzeki Królestwa Polskiego.“ Materyał to ważny do hydrografii krajowéj.

— *Julian Horain* współpracownik wielu pism czasowych Warszawskich, w roku bieżącym przeniósł się na stałe zamieszkanie do Ameryki i zamieszkawszy w New-Yorku jest obecnie stałym korrespondentem Gazety Polskiéj. Z niéj wyczytujemy że publicysta ten zamierzył wydać: *Kalendarz gospodarski polski* na rok 1873, dla polaków zamieszkałych w Ameryce.

Kalendarz ten *(Almanac)* składać się będzie ze zwykłych kalendarzowych działów: kościelnego Rzymsko-katolickiego, oraz dla protestantów, jako téż Mojżeszowego wyznania, astronomicznego, w którym zaćmienia słońca, księżyca i zmiany księżycowe obliczone będą na horyzont Nowo-Jorski. Dział polityczny zawrze wiadomości o ile możności szczegółowe o rzeczachpospolitych, obecnie na kuli ziemskiéj istniejących. Dział gospodarski poda przepisy i rady gospodarskie doświadczeniem

stwierdzone, a mogące być łatwo zastosowane przez rolników polskich w Ameryce; również przepisy dla gospodyń polskich i kuchenne. Dział literacki obejmie poezye znakomitych naszych wieszczów, powieści oryginalne lub tłumaczone. W tym oddziale będą pomieszczone niektóre bajki Krasickiego, Goreckiego i innych znakomitych bajkopisarzy, oraz powiastki krótkie dla dziatek. Dział 6-ty rozmaitości, zawiérać ma ciekawe wypadki z ubiegłego roku, anegdoty, fraszki i t. p. Dział 7-my ogłoszenia o pismach peryodycznych polskich w Ameryce, o stowarzyszeniach polskich istniejących obecnie w New-Yorku lub innych miastach Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ogłoszenia prywatne, handlowe, przemysłowe, lekarskie, literackie, o książkach i gazetach polskich wychodzących w Europie, finansowe etc., rozumie się jeśli takowe zostaną przesłane do redakcyi kalendarza i opłacone. Zakończy lista prenumeratorów kalendarza z wymienieniem ich adresów, a którzy życzyć będą, to i sposób zarobkowania (business).

Ze względu na objętość, na wielkie koszta druku i papieru w Ameryce, a głównie na niewielką ilość spodziewanych abonentów (czego doświadczały i doświadczają pisma peryodyczne polskie w Stanach Zjednoczonych wychodzące—mowi prospekt) ustanawia się za jeden egzemplarz Kalendarza cena dla Ameryki z przesyłką: 75 (siedemdziesiąt pięć) centów. Dla Europy z przesyłką: dwa guldeny (półtora talara, pięć franków). Za przysłane przy jednym liście dwa dollary, wyśle wydawca trzy egzemplarze kalendarza. Cena ogłoszeń: dwa dollary od cala druku. Ogłoszenia zajmujące całą stronnicę 5 dollarów, pół stronnicy 3 dollary. Wydawca nikogo nie upoważnia do zbierania przedpłaty na „Kalendarz“ a tym tylko wyśle takowy, którzy mu do połowy października nadeszlą pieniądze w listach rekomendowanych.

Redakcyom polskich pism peryodycznych w Europie, które raczą przedrukować wiadomość niniejszą, wydawca po otrzymaniu właściwych numerów przeszle po egzemplarzu swego kalendarza, lub jeśli tego będą sobie życzyć, umieści ogłoszenia o ich publikacyach.

— Na przyszłorocznéj wystawie w Wiedniu, w oddziale malarstwa osobny i obszerny kompartyment przeznaczony będzie dla obrazów Matejki, które tam w całym komplecie, o ile to jest możliwém zostaną zgromadzone.

Ostatnie arcydzieło Matejki „Stefan Batory“ znajduje się obecnie we Lwowie a następnie z wystawy w Pradze Czeskiéj przesłane będzie do Wiednia. Znakomity mistrz pracuje obecnie nad wizerunkiem Kopernika w całéj postawie, którego kopia fotograficzna wejdzie w skład albumu wydać się mającego przez Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu, na obchód 400-letniéj rocznicy Kopernika, (19 lutego 1873 r.), rysunek zaś popiersiowy tego wizerunku Matejko przyrzekł nadesłać redakcyi „Tygodnika Illustrowanego.“ Zaraz po ukończeniu portretu astronoma polskiego, Matejko zabiéra się do odmalowania „Bitwy pod Grunwaldem,“ ku czemu poczynił już odpowiednie studya historyczne i archeologiczne.

Będzie to obraz kolosalnych, nieznanych dotąd w malarstwie naszém rozmiarów, 20 łokci długości, 13 szerokości. Krytycy francuzcy nazwali Matejkę drugim Van-Dyck'em.

— Henryka Rzewuskiego romans historyczny: „*Listopad*“ przełożony przez *F. L. Vorliczka* na język czeski, wyszedł w Pradze już w drugiém wydaniu. Komedya A. Fredry (syna) *Mentor* przetłumaczoną została na język węgierski i ma być przedstawioną w Peszcie w teatrze narodowym.

— Nakładem i drukiem Pobiedzińskiego w Krakowie wyszedł opis tego miasta. W części historycznéj autor nie korzystał z nowszych badań, w części zaś informacyjnéj są zajmujące szczegóły. Lucyan Siemieński wydał *studyum* p. n. *Religijność i mistyka w życiu i poezyach Adama Mickiewicza.* (Kraków, nakładem i drukiem wydawnictwa dzieł Władysława Jaworskiego, w 8-ce str. 151).

— Korrespondent z Odessy do *Gazety Polskiéj*, p. Antoni Siekierzyński (w nr. 192), podaje nam wyjaśnienie początku znanego przysłowia: „*pisz na Berdyczew.*“

„W Berdyczowie była kiedyś sławna poczta, a właściwiéj jéj naczelnik, po śmierci którego nowy nabywca domu, znalazł pod strychem massę listów spokojnie leżących, rozumie się już opłaconych (marek wówczas jeszcze nie było); opłata szła do kieszeni naczelnika, a listy na strych były ekspedyowane. Wskutek tak szybkiéj i pewnéj korrespondencyi powstało przysłowie: „*pisz na Berdyczew*“ a z pewnością pismo odbierzesz.“

— W Lipsku u F. A. Brockhaus'a, wyszła powieść Michała Czajkowskiego: „*Bulgarya*“. Jest to najświeższy utwór tego tak oddawna znanego pisarza, albowiem nosi datę z 20 kwietnia 1871 roku (w 12-ce str. 304. Lipsk, 1872).

— We Lwowie professor *Kuliczkowski*, wydał ostatni zeszyt swych *Dziejów Literatury polskiéj*, których pierwsze zeszyty wyszły przed dwoma już laty. Jest to dzieło opracowane treściwie podług wykładów prof. A. Małeckiego, mianych na Uniwersytecie Lwowskim. Każdy okres poprzedza autor zarysem dziejów politycznych i ogólnego rozwoju umysłowego dla uzupełnienia całości obrazu.

W témże miejscu wyszedł tom XXII zbioru *powieści* J. I. Kraszewskiego. Wydawnictwo to już wydrukowało w téj nowéj edycyi, następne powieści tego pisarza: *Dwa światy* 4 t. *Chata za wsią*, 3 t. *Poeta i Świat* 2 t. *Pod Włoskiém niebem* 1 t. *Stary sługa* 2 t. *Dziwadła* 2 t. *Ostrożnie z ogniem* 1 t. *Latarnia Czarnoksięzka* 4 t. *Historya o bladéj dziewczynie* 1 t. *Ladowa pieczara* 1 t. *Pamiętniki nieznajomego.*

— Księgarz Tros w Paryżu nabył rozmaite książki i ryciny pochodzące z *Pomorzan* w Galicyi i takowe w r. b. wystawił na publiczną sprzedaż. Między książkami nic ciekawego nie przedstawia się. Zato główne plany różnych miast polskich z wieku XVI i XVII-go, rozmaite ryciny przedstawiające wjazdy królów, zwycięztwa ich, wjazd Ossolińskiego do Rzymu, zwycięztwo pod Chocimem, genealogia rodziny Radziwiłłów ułożona przez Józefa Łyskiewicza w r. 1699 na czterech wielkich arkuszach. Nakoniec portrety królów i znakomitych panów polskich. Na szczególną zasługują uwagę roboty Falcka, Danckersa, Kiliana, Hondiusa i Nilsona. Ogólna liczba rycin jest około 640 sztuk.

— W Krakowie ogłoszono Prospekt na Bibliotekę Umiejętności Przyrodniczych. W nim czytamy: „Postępy i odkrycia, jakie w XIX stuleciu dokonanemi zostały w dziedzinie nauk przyrodniczych, stały się przyczyną, iż chcąc wytworzyć sobie jasny pogląd na świat i rzeczy, trzeba koniecznie zbadać te nauki i na ich podstawie wyprowadzić wnioski tak względem ustroju społecznego, jako też i względem filozoficznego zrozumienia całokształtu objawów światowych. Gruntowne jednak ich badanie, zagłębianie się w szczegóły i studyowanie wszystkich najdrobniejszych zjawisk, było niemożebném w obec olbrzymiego zakresu nauk przyrodniczych i w obec licznych odkryć, coraz bardziéj rozszerzających ten zakres. To stało się powodem, iż na Zachodzie poczęto popularyzować wiedzę ścisłą, i w formie przystępnéj, pomijając drobnostkowe rzeczy, przedstawiać zarówno metodę badań, jak i najważniejsze prawa przyrodnicze, jakie za pomocą tejże metody odkryć zdołano. Rozumie się samo przez się, że obok dzieł sumiennie odpowiadających powyższemu celowi, pojawiały się i takie, co nadużywając wiary czytelników przedstawiały im domysły za teorye, mrzonki za hipotezy, a hipotezy za pewniki naukowe. Publiczność ujęta z początku ułudną formą dzieł takich, czytała jedne i drugie, i zarówno spożywała pokarm świeży i zdrowy, zdobyty pracą licznych stuleci, jak i stęchłe produkta rozbujałéj wyobraźni pojedynczych uczonych. Następstwem tego była dyskredytacya dzieł popularnych: zaczęto im nieufać i przestano je uważać jako owoce sumiennych badań.

„Chcąc zapobiedz temu nadużyciu i zapewnić publiczność polską, iż w skład Biblioteki naszéj wejdą tylko dzieła takie, które rzeczywiście *popularyzują* prawdziwą wiedzę, a wcale nie dążą do rozsiewania fałszywych pojęć i nienaukowych hypotez, zaprosiliśmy najznakomitszych przyrodników polskich i professorów Uniwersytetu Krakowskiego, Warszawskiego i Lwowskiego, aby raczyli wejść do komitetu redakcyjnego. Komitet redakcyjny składa się zatém z Drów. Czyrniańskiego, prof. chemii na Uniw. Krakowskim, Frankiego, prof. mechaniki na Technice Lwowskiéj, Karlińskiego prof. astronomii na Uniw. Krakowskim: Nowickiego prof. zoologii na Uniw. Krakowskim, Radziszewskiego prof. na Uniw. Lwowskim, Skiby prof. fizyki na Uniw. Krakowskim, Teichmanna prof. anatomii na Uniw. Krakowskim, Wierzbickiego adj. obser. astr. w Krakowie, K. Przeciszewskiego, naucz. rolnictwa. Nadto zaproszeni zostali Doktorowie: Kreuz prof. mineralogii, na Uniw. Lwowskim, Majer prof. fizyologii na Uniw. Krakowskim, Natanson prof. chemii, na Uniw. War-

szawskim, Piotrowski prof. fizyologii, na Uniw. Krakowskim, Strasburger prof. botaniki, na Uniw. Jenajskim.

„Członkowie komitetu redakcyjnego będą w miarę możności zasilali Bibliotekę swemi własnemi pracami, przestrzegając przytém pilnie tak wyboru dzieł, jakie się mają tłumaczyć, jakotéż i czystości języka.

„W Bibliotece téj będą kolejno wychodziły najznakomitsze prace przyrodnicze, tłumaczone z języków: angielskiego, francuzkiego, niemieckiego i włoskiego. Ponieważ jednak, ułożyć program najprzód jest rzeczą niemożebną, podajemy więc same tylko nazwiska uczonych, których prace prawdopodobnie wyjdą w naszéj Bibliotece, zastrzegając jednak wszelkie zmiany, jakie komitet redakcyjny uzna za stosowne. Między innemi podamy w tłumaczeniu prace następujących uczonych. Tyndall, Chambers, Odling, Huxley, Johnston, Lewes, Lyell, Cl. Bernard, Naquet, Onimus, Deleschamps, Grimaux, Burmeister, Klein, Wundt, Helmholz, Secchi, etc. etc.

„Biblioteka będzie wychodziła w zeszytach pięcioarkuszowych co miesiąc. Na okładce zaś (na str. 2, 3 i 4-téj) znajdować się będzie kronika najnowszych odkryć i wynalazków. Cena rocznie: Złr. w. a. 6, rubli 3,60 kop., talarów 4. Pierwszy zeszyt wyjdzie pierwszego października r. b; wydawcy A. Dygasiński i W. Tomaszewicz. Redaktor Ludwik Masłowski."

— Piękną bibliotekę *Wejgla* zasobną w białe kruki bibliograficzne sprzedano przez licytacyę czyli *z młotka*, jak wyraża *Wieniec* w n. 57. Za 533 numerów, pomiędzy któremi było wiele unikatów, zebrano 82,000 talarów. Piérwsze wydanie ksylograficzne *Ars moriendi*, nabyto do Muzeum Brytańskiego za 7,150 talarów. Za kompletny egzemplarz piérwszego wydania *Apocalipsis S. Joanni*, toż Muzeum 3,310 talarów. Za piérwsze wydanie ksylograficzne *Biblia pauperum* otrzymano 2,360, za kartkę zaś jedną *Psalmorum kodex* z 1457 r., 90 talarów. Natłok lubowników był wielki, a zawziętość przy kupnie jeszcze większa.

— Dwaj uczniowie *Szkoły dróg i mostów* w Paryżu, którzy ją w r. b. ukończyli: pp. *Wład. Kluder i Feliks Kucharzewski* (wychowaniec b. szkoły głównéj w Warszawie) wydają w Paryżu dzieło p. n. „Wykład hydrauliki wraz z teoryą machin hydraulicznych, poprzedzony wiadomościami wstępnemi z mechaniki analitycznéj ciał płynnych."

— W miesiącu sierpniu i wrześniu r. b. *Kłosy* od nr. 374 do 377 obejmują artykuły z drzeworytami: Do Boga. — Obraz Kaulbacha. — Ugo Foscolo. — Wieśniacy neapolitańscy. — Szkic charakterystyczny. — Szczątki starego dworu w Czarnolesiu. — Adam Pajgert. — Jezioro Orle w Kujawach. — Walter Skott i jego siedziba w Abbosford. — Zabieżowskie skały pod Krakowem. — Wystawa paryzka z 1872 r. — Teodor Wosiński. — Biblioteka Jagiellońska w Krakowie. — Praktyczne wychowanie dzieci. — Bóżnica w Łucku. — Nauka pocztowych gołębi w Belgii. — Zapisywanie gołębi. — Wzlot gołębi.

Prócz powyższych mieszczą się artykuły: — Dorsław z Rytwian powieść T. Jeża. — Z motywów ludowych A. Maszewskiego. — Idealizm i realizm, J. Zacharyasiewicza. — Początek i charakter arystokracyi angielskiéj. — Drugie cesarstwo we Francyi, I. Jeża. — Wiadomości z pola

literatury i sztuki. — Filozoficzno i socyalne pojęcia Adama Mickiewicza, I. Hodiego. — Marta Kuźmówna, powieść Szczedryna. — Przegląd muzyczny. — Kronika naukowa. — Z obcego świata I. Hodi. — Przegląd teatralny. — Przegląd prassy peryodycznéj i polityczny.

— *Tygodnik illustrowany* od nr. 243, obejmuje artykuły z drzeworytami: Pytanie bez odpowiedzi W. Gomulickiego. — Monachium — M. I. Brodowicz. — Bóżnica w Szarogrodzie. — Sabina Grzegorzewska. — Grupy prof. Szchilinga. — Rysunki humorystyczne F. Kostrzewskiego. — Miasto Mścisław i Latyczów. — Walka lisa z orłem. — Skromność (rzeźba) W. Brodzkiego. — Targ niedzielny w Warszawie. — Paweł Algimuntowicz.— A. K. Heylman. — O koniku żołnierskim.—Pińszczyzna.— D. Linvingstone. — Katedra w Ratysbonie. — Po polowaniu. — Zabytki Wschodu.

Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Kronika zagraniczna J. I. Kraszewskiego. — Pogadanki hygieniczne dra. Szokalskiego. — Nekrologia półroczna. — Pozytywni komedya Z. Narzymskiego. — Morituri powieść J. I. Kraszewskiego. — Wet za wet powieść z angielskiego. — Przeglądy literackie i polityczne. — Korrespondencye.

---

† Dnia 3 września r. b. zmarł w Warszawie ***Oskar Flatt*** współpracownik od lat wielu naszego pisma, w samej sile wieku, bo zaczynał rok 42 życia. W ostatnich latach był naczelnikiem bióra budowy drogi żelaznéj Libawskiéj. Zwłoki zgasłego pisarza pochowano na cmentarzu Ewangielickim. Urodzony w *Siedlcach* na Podlasiu dnia 6 listopada 1828 roku, był synem zasłużonego nauczyciela szkół publicznych, pobierał nauki w gimnazyum Piotrkowskiém. Zawód literacki rozpoczął w roku 1849 jako współpracownik, a następnie współredaktor *Gazety Codziennéj*. Oprócz wielu rozpraw treści historycznéj i nauk społecznych, wydał oddzielnie w Warszawie: *Opis miasta Piotrkowa trybunalskiego 1850 r. Opisanie miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym 1853 r. Brzegi Wisły od Warszawy do Ciechocinka* (z rycinami) *1854. Gawędy i notatki z podróży 1855 roku.*

† Dnia 5 września r. b. zakończył życie ***Lech Nowakowski*** artysta dramatyczny, zarazem i malarz. Portrety jego pędzla znajdowały się na tegorocznéj wystawie sztuk pięknych we Lwowie. Był on synem znakomitego aktora, który przez długie lata należał do pierwszych artystów, a znanym był i ze sceny warszawskiéj; słynna jego rola „*W chłopie milionowym*“ upamiętnioną została rysunkami litografowanemi Jana Lewickiego, wraz z humorystycznemi śpiewkami.

† Dnia 9 września r. b. zakończył życie w Warszawie ś. p. ***Karol August Heylmann,*** radca stanu b. członek b. rady stanu Królestwa, członek Warszawskich depart. rządzącego senatu

i konsystorza gener. ewang.-augsb., w wieku lat 76. Urodzony w W. Księztwie Poznańskiém w r. 1796 pobierał nauki w liceum Warszawskiém, wyższe w uniwersytetach w Berlinie i Getyndze. Wr. 1819 w uniwersytecie Warszawskim otrzymał stopień mag. obojga praw. Rozpocząwszy aplikacyę sądową w ministeryum Sprawiedliwości, doszedł stopniami do ostatniéj godności. Od roku 1828 zaczął zawód literacki w znakomitéj wartości czasopiśmie prawném *Themis polska* pod główną redakcyą Romualda Hubego. Przez lat dwadzieścia kilka był stałym współpracownikiem naszego pisma. Z licznych prac zgasłego męża wyliczymy znaczniejsze: *O sądownictwie w królestwie polskiém, wykład historyczny* 1834 r., *Wykład historyczno-praktyczny porządku i postępowania wewnętrznego w sądzie apellacyjnym i trybunałach cywilnych królestwa polskiego* 1835 r., *Rys processu dyscyplinarnego sądowego* 1844 r.,—*Kodeks handlowy, przekład z przypiskami* 1847 r.—*Pogląd na prawnictwo krajowe co do spraw granicznych między dobrami ziemskiemi* (przedruk z *Biblioteki Warszawskiéj)* 1855 r.—*O dowodach stanu familijnego, wykład teoryczny*—*Pogląd pobieżny na uwagi bezimiennych odnoszące się do rozpraw o klassyfikacyi hypotek i praw hypotekowanych* (odbitki z *Biblioteki Warszawskiéj)* 1859 r.—*Rozbiór wykazu hypotecznego* 1850 r.—*Historya organizacyi sądownictwa w królestwie polskiém* 1861 r. W roku 1871 wydał: *„Zbiór rozpraw jurisprudencyjnych* tomów dwa, w których pomniejsze zebrał rozprawy swoje, i w końcu podał spis szczegółowy prac własnych, które drukował w Warszawie i swoim nakładem. W roku 1868 wydał także swoim nakładem z rękopismów Jana Wincentego Bandtkiego *„Rozprawy o prawie i sądownictwie karzącém i o urzędach w dawnéj Polsce.* Piękne wspomnienie zostawił po sobie nietylko jako pisarz i uczony prawnik, ale jako człowiek zacny myślą i szlachetny charakterem.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera przy ul. Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 14 Сентября 1872 г.

POGLĄD

na nowsze prace około wyjaśnienia historyi praw Słowian południowych.

Podobno byliśmy piérwszymi w naszych czasach, cośmy dali przykład i dalszy pochop do prac nad historyą praw narodów słowiańskich, czy to zwracając uwagę na nieznane dotąd źródła, czy to wydając je, bądź ogłaszając wsparte na nich wywody. Właściwą téż jest rzeczą, abyśmy od czasu do czasu zwracali uwagę na wszystkie prace, jakie się na tém polu spotykają, jużto dla własnéj naszéj nauki, już dla wykazania postępów, jakie stopniowo robią przedsięwzięte poszukiwania. Dzisiaj zwracamy uwagę na zajęcia około historyi praw Słowian południowych. Zachęca nas do tego kilka ważnych prac, które się w ostatnich piętnastu latach ukazały. Ponieważ liczba ich nie jest tak wielka, sądzimy, że najstosowniéj będzie rozpatrzéć je w téj kolei, w jakiéj ogłoszone zostały.

Uprzedzam wszakże, że zniewolony jestem poprzestać na tém, co sam własnym mozołem zebrać zdołałem. Przy trudności dostania niektórych wydań południowo-słowiańskich, a szczególniéj przy braku słowiańskich literackich czasopisów, łatwo pominąć można jednę lub drugą pracę zasługującą na uwagę.

Zaczynamy od 1858 roku. Napotykamy tu na samym czele zasłużonego naszego Wacława Maciejowskiego, który w roku tym ogłosił dwa przekłady na język polski dwóch ważnych prawodawczych pomników południowo-słowiańskich,

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

a mianowicie Statutu Winodolskiego i Zakonnika cara serbskiego, Duszana (1). Oba zasługiwały na skrzętne nimi zajęcie się już to ze względu na starożytność ich, jeden bowiem pochodzi z końca wieku XIII (2), drugi z połowy wieku XIV, już to ze względu na treść, w której zachowało się wiele czysto słowiańskich pojęć prawnych; już wreszcie dlatego, że są tworem miejscowych wiecowych postanowień. Prócz tego oba wielce ważne z powodu, że są spisane w narzeczach narodowych, co jednakże sprowadza niemałą trudność w należytém wyrozumieniu znacznéj liczby ich rozporządzeń i co czyni wielce pożądaném dobre ich tłumaczenie (3).

Aliści rok ten odznacza się szczególniéj pojawieniem dwóch zbiorów aktów historycznych i obszernym zbiorem pomników prawodawczych Horwacyi, Dalmacyi i Slawonii. Zbiory dyplomatów wydane zostały, jeden przez zaszczytnie znanego światu uczonemu Fr. Miklosicza w Wiedniu, drugi przez hrabiego Medo Pucicza w Białogrodzie (serbskim), zbiór zaś pomników prawodawczych przez Kukulewicza Saksińskiego w Zagrzebiu.

Dyplomata serbskie a przy nich bośniackie i bulgarskie zwracały już od niejakiego czasu baczną uwagę badaczów historyi i języka. Wydawano je w miarę odkrycia pojedyńczo w różnych pismach peryodycznych i oddzielnych rozprawach lub pomniejszych zbiorach (4). Wiadomo jednak, jak przystęp do podobnych dorywczych publikacyj jest trudny, jak one szybko wychodzą z obiegu; niemałą więc przyniósł usługę nauce Miklosicz, zbierając je w jednę całość i starając się zbiór swój wzbogacić nowemi nabytkami (5). Zresztą potrzeba było mieć tekst krytycznie oczyszczony i ustalony,

(1) Ob. *Historya praw słowiańskich.* Warszawa, 1858 T. VI str. 334 — 385.

(2) Kraina Winodolska położona jest między miastami Fiume (Rieka) i Novi.

(3) Niektóre uwagi nad tłumaczeniem Maciejowskiego podaje Leontowicz, w piśmie, które poniżéj zacytujemy.

(4) Między dawniejszymi zbieraczami dokumentów jaśnieją imiona: p Szafarzika, Wuka Karadzicza, Kukulewicza.

(5) Pomimo starań nie mógł otrzymać wydawca wszystkich znanych mu dokumentów, np. aktów naszego Zygmunta Augusta zachowanych w archiwum kościelném karłowackiém.

co mógł jedynie dokonać tak głęboki jak on znawca dawnych języków słowiańskich. Zbiór Miklosicza nosi tytuł: *Monumenta serbica spectantia historiam Serbiae, Bosnae et Ragusii* (1) i obejmuje w sobie 497 aktów, poczynając od r. 1114 do r. 1618; z tych tylko około trzydziestu odnosi się do wieku XVI i XVII, reszta pochodzi głównie z wieku XIV i XV. W zbiorze wyłącznie pomieszczone są dokumenta pisane po słowiańsku. Po największéj części cały zbiór składają nadania na rzecz kościołów i akta przymierza z Dubrownikiem, oraz nadane mu handlowe swobody. Nadania udzielone kościołom, pod względem historyi prawa zasługują mianowicie na bliższe rozpatrzenie z powodu zawartych w nich oznaczeń co do stosunków prawnych ludności osiadłéj w dobrach kościelnych, handlowe zaś przywileje ze względu przepisów oznaczających sąd i rozprawę dla poddanych układających się stron we wzajemnych ich roszczeniach. W liczbie zamieszczonych w zbiorze tym dokumentów zwraca mianowicie na siebie oczy nie zrównanéj rzadkości pomnik bulgarski z końca wieku XII, zapewniający Dubrowniczanom prawo handlu w krajach podległych władzy Asena II, noszącego tytuł króla Bulgarów i Greków. Drugi niemniéj ciekawy dokument odnoszący się do Bulgaryi jest traktat przymierza Michała Asena z Dubrownikiem z r. 1253 przeciw Stefanowi Uroszowi królowi serbskiemu, w którym oznaczone są imiona sędziów i osób składajacych małe i wielkie wiece w Dubrowniku.

W ogóle w zbiorze Miklosicza reprezentowani są wszyscy z owych czasów panujący w Serbii i Bosnii, oraz władcy rozlicznych krain południowo-słowiańskich; i tak między innemi występują tu banowie i królowie Bosnii: Kulin ban (1189), Mateusz Ninosław wielki ban (1234—40), Stefan ban (1332—33), Twertko ban, potém król (1367—1375), Stefan Dabisza król (1392—1395), Stefan Ostoja król (1398—1420), Andrzej wielki kniaź chlumski (1234), Odola syn Predena z Krainy (1247) (2), Radosław wielki żupan chlumski (1254),

(1) *Serbskie pomniki odnoszące się do historyi Serbii, Bośnii i Dubrownika.* W Wiedniu, 1858 str. 580. Żałować należy że i to dzieło już wyczerpane i nie znajduje się więcéj w handlu księgarskim.

(2) Oryginał tego wielce ciekawego dokumentu znajduje się w Archiwum Stanu w Wiedniu.

Iwanisz ban kniaź Cetiński (1416), Stefan Herzeg od świętego Sawy, gospodar chlumski i przymorski (1453), Jan Czernojewicz pan Zetski (1485).

Współcześnie z poprzednią publikacyą wyszedł zbiór pism rzeczypospolitéj dubrownickiéj do sąsiednich władców serbskich, bośniacskich i przymorskich (1). Dokumenta wypisane zostały ze starego archiwum rzeczypospolitéj zachowanego dotąd w Dubrowniku. Pochodzą z lat 1392 do 1423. Wydawca Medo Pucicz wypisane dokumenta wzbogacił nadto wyciągami o wiecu i rządzie Dubrownika z rękopisu XV-tego wieku Filipa Diversisa. Niebawém toż samo archiwum dostarczyło skrzętnemu wydawcy nowego materyału, z którego powstał tom drugi dodatkowy, obejmujący w sobie dokumenta z r. 1313 do r. 1466, przyczém po raz piérwszy podaną została przez wydawcę wiadomość o Statutach Dubrownika i udzielone obszerne z nich wyjątki. Podług téj wiadomości zbiór praw Dubrownika złożony jest z czterech części: piérwsza mieści w sobie statut dawny z r. 1272, druga księgę reformacyj z r. 1335, trzecia pojedyncze postanowienia od r. 1357 do 1460, czwarta postanowienia od r. 1460 do 1574 roku. Nazwiska łacińskie tych części są: *liber statutorum*, *liber reformationum*, *liber viridis* i *liber croceus*, będące naśladowaniem wyrażeń używanych w owe czasy we Włoszech. Między podanemi wyciągami jeden dotyczy tak zwanéj *wrażdy* czyli głowszczyzny opłacanéj z dawien dawna za zabójstwo popełnione między Dubrowiczaninem a człowiekiem ze Slawonii (hominem de Sclavonia). Do tegoż przedmiotu odnosi się podany w tomie II *Spomienic* układ z r. 1442 o opłatę za zabójstwo (2). Godne także uwagi w tym tomie jako wzory aktów prawnych kilka testamentów, z których jeden nosi nadpis: *testamenat welikosławnogo gospodina herzega Stiepana Kosacze* (z r. 1465) (3).

(1) *Spomenici Srbski od 1393 do 1423 to est pisma pisana od republike dubrowaczke kraliewima, despotima, wójwodama i knezowima srbskiem, bosanskiem i primorskiem. U Beogradu 1858.*

(2) Str. 105.

(3) Obacz str. 121, 124. W tomie drugim znajdujemy tłumaczenia łacińskie i włoskie ze słowiańskiego, sporządzone przez oddzielnie na ten cel utrzymywanego w Dubrowniku tłumacza.

Do rzędu tego rodzaju dokumentów odnosi się niemniéj wydany w tymże roku przez Maciejowskiego akt rozgraniczenia z r. 1325, wynaleziony w klasztorze hilandarskim na górze Atos w dawnéj Tessalii przez professora uniwersytetu odeskiego Grigorowicza, który nie małe rzuca światło na cały przebieg podobnego rodzaju spraw (1). Z aktu tego dowiadujemy się, że dla oznaczenia spornéj granicy wzywano 12 starych mieszkańców żupy (*żuplian*) ludzi wiarogodnych, którzy pod przysięgą wskazywali granicę (2). Przypomina to naszę *osadę* albo *opole*, która i u nas w dawnych czasach to samo spełniała (3).

Obok tych wydań w tymże samym roku, jak wspomnieliśmy, staje ważny zbiór praw trójjedynych królestw Horwacyi, Dalmacyi i Slawonii, sporządzony i wydany przez Kukulewicza słynnego czciciela i wydawcy starych narodowych pamiątek (4). Zbiór ten rozpoczęty w r. 1858 a dokończony w r. 1862, podzielony jest na dwa tomy (5). Piérwszy tom, który zawiéra w sobie przywileje i wolności królestw Horwacyi, Dalmacyi i Slawonii, poczyna akt księcia horwackiego Terpimira z r. 837 a kończy akt z r. 1790. Atk z r. 837 jest nadaniem na rzecz kościoła Salonitańskiego. Drugi akt z r. 892 księcia Mutimira jest zatwierdzeniem poprzedniego. Jako ogólniejszy pomnik prawodawczy zasługują na uwagę dekreta wydane na wiecach w Splicie w r. 914 pod przewo-

(1) *Historya prawodawstw słowiańskich* T. VI str. 407.

(2) Ktoby w tych ludziach chciał upatrywać sędziów przysięgłych, mocnoby się mylił.

(3) Akt polski z r. 1400 konstatujący zejście osady czyli opola na grunt, dla wskazania pod przysięgą granicy, w roku obecnym ogłosił Konstanty Małkowski w dziele: *Przegląd najdawniejszych pomników języka polskiego*, Warszawa, 1872. str. 116, 117.

(4) Jemu należy się chwała wydawnictwa archiwum dla historyi południowych Słowian (*Archiv za povestnicu jugoslavensku*) rozpoczętego w r. 1851, w którém pod naszym względem odznaczają się mianowicie wydania: Statutu wyspy Krka z r. 1388 (T. III str. 141—173), Statutu polickiego (T. V str. 225—320).

(5) Ogólny tytuł: *Iura regni Croatiae, Dalmatiae et Slavoniae edidit Joannes Kukulević aliter Bassarie de Sacchi Zagrabiae.* Tytuł specyalny tomu piérwszego: *Privilegia et libertates Regni C. D. et S.* str. 1—499; drugiego tomu: *Articuli et Constitutiones diaetarum seu generalium congregationum Regni Cr. D. et S.* str. 1—361.

dnictwem Tomisława, króla Horwatów i Serbów, w rzędzie których spotykamy rozporządzenie wzbraniające dowolne porzucenie żon, wyjąwszy tylko przypadek cudzołostwa. Tom drugi mieści w sobie postanowienia wydane na miejscowych kongregacyach i na sejmach węgierskich: piérwszy akt z r. 1273 a ostatni z r. 1848 (manifest narodu horwacko-slawońskiego (1).

Niemniéj ważną oddał przysługę nauce, a mianowicie badaniom nad historyą prawa horwackiego, Kukulewicz ogłaszając w ciągu r. 1863 ważny zbiór dyplomatów horwackich. Trzeba wiedzieć, iż zamiarem było Kukulewicza przy współudziale słynnego biskupa Strossmajera stanąć na czele obszernego wydawnictwa, które miało w sobie obejmować trzy działy: dyplomata, historyków i prawa Słowian południowych. Przystępując do wykonania zamiaru swego rozpoczął wydawnictwo od wspomnionego dopiéro co zbioru dyplomatów, pisanych po większéj części głagolicą (2). Jestto prawdziwy skarb dla historyi prawa horwackiego. Zawiéra on w sobie blizko czterysta aktów, z których najdawniejszy sięga r. 1100 a ostatni jest z r. 1599 (3). Rozmaitość zamieszczonych w zbiorze aktów jest tak znaczna, że jak nadejdzie czas do gruntowniejszych poszukiwań nad historyą prawa horwackiego, znajdzie się w nim prawie pełny materyał do skreślenia prawnych stosunków kraju w dobie od początku XIV-tego do końca XVI-tego wieku, spotykamy w nim bowiem akta rozmaitych darowizn, akta kupna, zamian, zastawy, różnego gatunku nadania, testamenta, działy majątków, umowy, wyroki, akta rozgraniczeń, protokóły zeznań świadków, a między innemi i ciekawe akta zagodzenia spraw o zabójstwo (4), a także nader rzadki akt przysposobienia syna z r. 1500.

(1) Żałujemy, że nie możemy nic bliższego powiedzieć o publikacyach r. 1861, w których między innemi ukazała się rozprawa Fr. Raczkiego przedstawiająca odłamki z prawa publicznego horwackiego, gdyż znamy ją tylko z tytułu.

(2) Tytuł dzieła podwójny jest: *Monumenta historica Slavorum meridionalium. Poviestni spomenici južnih slavenah knjiga I. Listine hrvatske* (*Acta Croatica*). *U Zagrebu* 1863.

(3) Prócz aktu z r. 1100 niéma w zbiorze żadnych innych pamiątek z wieku XII i XIII.

(4) Ob. XII r. 1893, CXVII r. 1487.

Ogłoszenie tak znacznéj liczby pomników a szczególniéj serbskich podało szczęśliwą myśl znanemu już z różnych prac Grzegorzowi Daniczycowi, ułożenia i wydania oddzielnego słownika do tychże pomników (1). Pod każdém słowem mającém jakowe techniczne znaczenie lub używaném w kilku znaczeniach, wypisane tak jak w słowniku naszego Lindego, miejsca stosowne z pomników, objaśniające jego znaczenie lub tłumaczące sposób, w jakim jest użyty. I tak *np.* pod wyrazem *wiecze* (wiece), który to wyraz tłumaczy autor przez łacińskie *consilium*, rada, podane zarazem, że w Dubrowniku odróżniano trzy rodzaje takowych rad czyli wieców *wielkie wybrane* (consilium rogatorum) i *małe wiece*. Podobnie pod wyrazem *wrażda* powiedziano, że w pomnikach użyty jest albo dla oznaczenia zabójstwa, albo dla oznaczenia opłaty za zabójstwo. Tym sposobem każdy wyraz w słowniku występuje ze swojém znaczeniem specyalnie historycznem, jaki ma w powołanych pomnikach, należących do pewnéj ściśle oznaczonéj doby i do określonéj miejscowości. Jak dalece praca podobna dostarcza ważny i pożyteczny materyał do dalszych badań historycznych, każdy łatwo oceni. Podług zdania mojego w tém właśnie szukać należy główną zaletę całéj pracy, że autor wyłącznie zajął się tylko pomnikami serbskiemi i ustrzegł się tentacyi przywodzenia wyjaśnień z innych słowiańskich źródeł, co byłoby zaraz całą pracę skrzywiło.

Tymczasem dojrzał pomysł założenia w Zagrzebiu południowo-słowiańskiéj akademii. Ustanowiona w roku 1866, rozdzieloną została na cztery oddziały, w rzędzie których pomieszczony został osobny oddział nauk filozoficznych i prawnych. Zaraz w piérwszém zdaniu sprawy akademia oświadczyła, że zamiarem jéj jest zbadać prawo zwyczajowe narodów południowo-słowiańskich i przystąpić do rozpatrzenia praw pisanych słowiańskiego południa; że pod piérwszym względem przedsiewzięte zostały środki dla zebrania wiadomości o istniejących jeszcze zwyczajach prawnych, a pod drugim względem, że ma być przedewszystkiém przygotowana bibliografia praw pisanych południowo słowiańskich (2).

(1) *Rjecznik iz književnich starina srpskich* T. III. *U Biogradu* 1863—1866.

(2) Ob. *Rad jugoslavenske akademie znanosti i umjetnosti. Knjiga I.* 1867 str. 59—60.

Co w obu tych kierunkach akademia dotąd zrobiła, niebawem zobaczymy. W każdym razie tym co się zajmują historyą praw słowiańskich, przychodzi ubolewać, że akademia nie podniosła zarazem więcéj praktycznéj myśli Kukulewicza, i że nie przystąpiła odrazu do wydawania samych pomników prawodawczych, czy to gromadząc w jedno to wszystko, co dotąd częściowo w różnych pismach dzisiaj mało już komu dostępnych wydane było, czy też ogłaszając częściowo nie drukowane jeszcze pomniki, w miarę jak się wynajdą i obrobione zastaną przez specyalistów, a w rzędzie których bez wahania możnaby zaraz postawić statuta Dubrownika.

Za wzór do zbierania zwyczajów prawnych podała akademia wydaną w tym czasie pracę dzisiejszego professora Uniwersytetu Odeskiego Baltazara Bogiszica rodowitego Dubrowniczanina, noszącą tytuł: *Prawne obyczaje Słowian* (1), skreślającą utrzymujące się dotąd między południowemi Słowianami zwyczajowe prawne stosunki, a mianowicie wyjaśniającą dzisiejszy stan spółek familijnych, tak zwanych zadrug.

Uświetnił nadto otwarcie akademii prezes jéj Dr. Raczki przez wydanie kilkunastu aktów historycznych, w liczbie których akt piérwszy z r. 1186 podaje nam wiadomość o wiecowych postanowieniach zapadłych w Kotorze, za sprawą Jury wysłańca Niemani, wielkiego żupana serbskiego (2).

Równocześnie dzisiejszy professor Uniwersytetu Warszawskiego Makuszew, w dziele poświęconém wyjaśnieniu historycznych pomników Dubrownika, podał ciekawe wiadomości o składzie rękopisów statutów dubrownickich i ogłosił jedną przedstatutową ustawę z r. 1235 o obrzędach małżeństwa (3).

Rok 1868 przyniósł nowe znowu prace, nie tyle poświęcone wydawnictwu dawnych pomników, jak raczéj mające na celu obrobienie ich dla historyczno prawnych wywodów.

Jedna z tych prac pojawiła się w Odesie, autorem jéj teraźniejszy rektor Uniwersytetu Noworossyjskiego Leontowicz. Praca ze wszech miar godna uwagi. Zadanie, które

(1) *Pravni običaiju Slovena. Privatno pravo. U Zagrebu* 1867.

(2) *Rad jugoslavianske akademie* T. I str. 127.

(3) *Izsledwania ob istoriczeskich pamiatnikach i bytopisateliach Dubrownika. St. Petersburg* 1867.

sobie autor postawił, było: dać obraz starego horwato-dalmackiego prawodawstwa, za pośrednictwem systematycznego rozbioru trzech najdawniejszych dotąd znanych pomników tego prawodawstwa a mianowicie: statutu Winodolskiego, statutów miasta Zagrzebia i statutu Polickiego (1). Statut Winodolski, jak było wspomnione, sięga końca wieku XIII i jest wiecowém miejscowém postanowieniem. Statut Zagrzebski złożony z trzech części, z których piérwsza z r. 1242, druga z r. 1400, a trzecia z r. 1425; wreszcie Statut Policki obejmujący także wiecowe postanowienia, jest dziełem wieku XV i następnych. Każdy z tych pomników jest osobno rozebrany i treść onego systematycznie ułożona i wyjaśniona. Do tego dodany obszerny wstęp o pomnikach prawodawczych południowo słowiańskich, ich wydaniach i zestawiony spis dzieł posłużyć mogących do wyjaśnienia historyi praw Dalmacyi i Horwacyi. Po dziele Reutza, które przed czterdziestą laty obznajomiło nas z pomnikami dalmackiego prawodawstwa, utworzonych pod wpływem Wenecyi i pod przeważnym naciskiem pojęć włoskich, praca Leontowicza piérwsza wprowadza nas w zakres więcéj czystych, starszych pojęć słowiańskich, choć także już cząstkowo zmienionych pod wpływem obcych wyobrażeń. Nie mogąc się dłużéj wdawać w rozbiór téj ważnéj pracy, powiemy tyle tylko, iż autor w ogóle szczęśliwie rozwiązał założenie swoje i że całéj pracy w niektórych szczegółach brakuje jedynie ścisłe odróżnienie tego, co jest rzeczywiście słowiańskiém od tego, co powstało w skutek nacisku obczyzny. Itak *np.* przy opisaniu urzędów w Policy, wyrzeczone jest zdanie, że instytucya prokuratorów, jako publicznych oskarżycieli i delegatów rządu przeznaczonych do utrzymania porządku prawnego, jest niczém inném jak emanacyą starosłowiańskiéj instytucyi soków (2). Trudno zgodzić się na to twierdzenie. Instytucya soków należy do doby piérwiastkowego ustroju społeczeństwa, do doby, w któréj poszkodowany przez kradzież sam własnemi środkami poszukiwał rzeczy skradzione; przeciwnie prokuratorowie są tworem silnie uorganizowanéj władzy zwierzchniéj, która

(1) *Drewnee chorwato-dalmatskoe zakonodatelstwo. Odessa* 1868, str. 155.

(2) Str. 85—86.

utrzymanie porządku publicznego bierze w swoje ręce, usuwając zupełnie na bok wdanie się osób prywatnych. Samo wreszcie nazwanie *prokurator* użyte w pomniku po słowiańsku pisanym świadczy o obcém pochodzeniu instytucyi.

Równie nie sądzę, aby między analizowanymi pomnikami horwackiemi a Prawdą ruską tak wiele znajdowało się analogii, jak autor przypuszcza. Między innemi twierdzi, że wygnanie z miasta postanowione w statucie Zagrzebskim, jest niczém inném jak *potokiem* prawdy (1). Widocznie potok i wygnanie zupełnie dwie różne rzeczy! W ogóle, jeśli badania porównawcze mają nas doprowadzić do jasnych pojęć, należy, szukając podobieństwa, nie zaniedbywać zarazem dokładnie wskazywać różnice. Mianowicie też tam, gdzie stykają się wpływy różnych elementów, bacznie wyosobniać należy, co każdemu z tych elementów przyznać wypada.

Wychodząc z tego stanowiska, zwracamy szczególniejszą uwagę na rozprawę professora Bogiszica, nad prawem familijném dubrownickiém, zamieszczoną w pracach akademii zagrzebskiéj z tegoż samego roku (2). Nikt z naszych pisarzy, badając pomniki prawodawcze, w których spotykają się dwa różne elementa, jak tutaj słowiański i rzymsko-włoski, nie oddzielał z większym taktem jak prof. Bogiszic jednego od drugiego elementu. Rezultat pracy zupełnie jest jasny i stanowczy, wyświetlony cały podkład słowiański statutowego prawa familijnego Dubrownika i wskazane z największą ścisłością, jak na pokładzie tym wszczepiły się rzymsko-włoskie pojęcia. Szkoda tylko, że w pracy téj za mało mamy wyciągów z tekstu statutów dotąd nie drukowanych, posłużyłoby to bowiem do usprawiedliwienia twierdzeń autora, a zarazem podałoby możność do uczynienia dalszych wywodów. Może jednak brak ten sam autor wkrótce nam wynagrodzi, ogłaszając cały tekst statutu.

W tym samym czasie ogłoszoném zostało w Warszawie wypracowanie mające na celu oznaczyć w ogólnym zarysie stopień wpływu, jaki wywarło prawo rzymskie i rzymsko-

(1) Str. 57.

(2) *Glavnije crte obiteljskogo pisanego prava u starom Dubrowniku.* Ob. *Rad* T. V. str. 123—149.

bizantyńskie na prawodawstwa słowiańskie (1). Pod względem praw południowo słowiańskich, a mianowicie w Bulgaryi wystawioną była w powołaném piśmie hipoteza, że tak nazwany *Sudny zakon* znany z ruskich kormczych, jest zbiorem różnych przepisów prawnych wyczerpniętych ze źródeł bizantyńskich dla sądowego użytku Bulgaryi, co do Serbii zaś, że tak zwane *Justinianowe zakony* wydane przez autora, są także zbiorem przepisów wziętych z różnych części praw bizantyńskich, dla praktycznego zastosowania w sądach, a mianowicie w zdarzeniach nieokreślonych postanowieniami Zakonnika Cara Duszana. Wreszcie co do Dalmacyi i Horwacyi wyrzeczoném zostało, że na prawa ich późniejsze stanowczy wpływ wywarło prawo rzymskie, za pośrednictwem średniowiecznego prawodawstwa i nauki włoskiéj (2). Z powodu tak różnych wpływów autor rozdziela ludy słowiańskie na dwie gruppy: w piérwszéj stawia te, na których prawne stosunki działało prawo bizantyńskie, w drugiéj te, które mniéj lub więcéj uległy wpływowi praw i pojęć rzymsko-włoskich. Do piérwszéj gruppy zalicza Bulgaryą, Serbią, Czarnogórze, Ruś; do drugiéj Dalmacyą, Horwacyą, Czechy, Szląsk, Polskę (3).

W tymże czasie ukazał się znowu Tom I nowego zbioru ważnych dokumentów historycznych, który obecnie liczy już trzy tomy i zawiéra w sobie akta odnoszące się do stosunków

(1) *O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-bizatyńskiego u narodów słowrańskich. W dodatku excerpta serbskie z praw rzymsko-bizantyńskich, wyłożył, objaśnił i wydał R. Hube. W Warszawie* 1868. Ogłoszone w Wiedniu tłumaczenie pisma tego nosi tytuł: *O znaćenju prava rimskogo i rimsko-bizantisnkoga kod slavjanskich narodach. U Beću* 1869. Tłumaczenie sporządził J. Miszkatowicz. Skróćenie pisma tegoż w języku niemieckim podały: *Heidelberger Jahrbücher der Literatur* 1869.

(2) Str. 10—13, 17—21, 32—37.

(3) Prof. Bogiszic w rozbiorze pisma tego (*Rad* VI str. 218), jak mi się zdaje, nie słuszną robi uwagę, że autor niewłaściwie *przeskakuje* z Czarnogórza do Rossyi, a potém dopiéro zwraca się do Dalmacyi. Uwaga ta byłaby stosowną, gdyby chodziło o wynalezienie najkrótszéj drogi z Czarnogórza do Dalmacyi, ale tu szło o związanie z sobą tego, co na sobie nosi wspólne cechy charakterystyczne we wskazanym kierunku. Dalmacya i Horwacya pod tym względem bezwątpienia należą do gruppy zachodniéj.

Wenecyi z narodami południowo-słowiańskiemi (1). Dokumenta wypisane zostały z archiwów weneckich i wydane przez Szymona Liubicza za pomocą akademii zagrzebskiéj. T. I obejmuje w sobie akta od r. 960 do r. 1335, T. II akta od roku 1336 do 1347, T. III akta od r. 1347 do 1358, a w dodatku od r. 1116 do r. 1347. Niema potrzeby zwracać uwagi na ważność zbioru, dosyć wspomnieć, że wydawca wywiązuje się z największą sumiennością z włożonego nań obowiązku. Jak w istocie ważny historyczny materyał dostarcza ta nowa publikacya, pokażą specyalne studya, do jakich daje zachętę i dostarcza środki. Przy biegłém przejrzeniu zbioru zwraca zaraz na siebie badawcze oko akt czwarty tomu piérwszego z r. 1076, którym niektóre miasta dalmackie a między nimi Split, zobowiązuje się doży weneckiemu nie sprowadzać do kraju Normanów i każdego, ktoby to uczynił, karać podług przepisów, jak się akt wyraża *prawa rzymskiego*, w szczególności zaś podług paragrafu czwartego tego prawa, poczém zaraz wypisane jest dosłownie rozporządzenie powołanego paragrafu. W rzeczywistości jednak układający akt nie mieli na względzie prawa rzymskiego, ale postanowienie Rotarisa króla Longobardów (2). W każdym razie powołanie na prawa longobardzkie przedstawia do rozwiązania nader ciekawe zapytanie, zkąd w Dalmacyi przywiązywano taką powagę do praw longobardzkich, kiedy, jak dotąd utrzymywano, prawa te nie znalazły przystępu do Wenecyi? Ten sam akt daje ciekawe wskazówki co do ustroju zarządu miejskiego. Wymienieni tu głowy (priores) miast, sędziowie, wojscy czyli tribuni. Szczegółów takich wielce ważnych dostarcza zbiór bez liku.

Spuszczony z oka od niejakiego czasu Zakonnik Cara Duszana, znalazł w r. 1870 nowego znowu wydawcę w Bia-

(1) Tytuł tego zbioru dwoisty: *Monumenta spectantia ad historiam slavorum meridionalium. Listine o odnošajih izmedju južnogo slovenstva i mletačke republike. Na svict izdao jugoslavenska akademia. U Zagrebu* 1868-1872.

(2) Słowa aktu są: si quis autem hujus sceleris prevaricator inventus fuerit et se legitime excusare non poterit, amittat vitam suam et quidquid possidet in hoc seculo. . . per *romanam legem*, quo in presenti pagina scripta esse videatur in quarto capitulo ejusdem legis: quia si quis inimicos infra provinciam invitaverit aut introduxerit animo suo incurrat periculum et res ejus . . porów. *Edictum Rotharis regis* c. 4.

łogrodzie, Stojana Nowakowicza współpracownika przy wydaniu słownika Daniczyca (1). Aby wyjaśnić na czém polega zasługa wydawcy, trzeba sięgnąć trochę daléj. Posiadamy dotąd znanych rękopisów Zakonnika około dziesięciu, pochodzących z różnych czasów i znacznie między sobą różniących się. Wydań z różnych rękopisów mamy cztery: piérwsze wydanie Raicza (r. 1795) podług rękopisu hrabiów Tekelich, drugie Magaraszewicza (r. 1828) podług rękopisu Rakowackiego, przedrukowane następnie w Warszawie (r. 1838) przez Kucharskiego w dziele: *Monumenta juris slovenici;* trzecie Pawła Szafarzika podług rękopisu Chodoszowskiego w jego *Pamatky drevniho pisemnictvi Iihoslovanov* (r. 1851), przedrukowane w Wiedniu r. 1856 przez Miklosicza (*Lex Stephani Dušani*); czwarte wydanie poprawne z rękopisu Tekelich, podane do druku przez Giorgiewicza w tak zwanym *Latopisie serbskim* z r. 1829 (2). Z pomiędzy tych wydań edycya podług rękopisu Rakowackiego uważała się za najpełniejszą, edycya zaś Szafarzika za reprodukującą tekst najdawniejszy i najstaranniéj krytycznie obrobiony. Tymczasem Nowakowicz zwrócił uwagę na rękopis Prizreński zachowany w Białogrodzie i po rozważném jego zbadaniu, przekonał się, że on przedstawia tekst jeszcze dawniejszy jak rękopis Chodoszowski, a tém samém podług wszelkiego podobieństwa do prawdy więcéj zbliżony do pierwotworu. Nie wahając się, postanowił go wydać, opatrzyć waryantami z wydania Szafarzyka i w osobnych notach dodać objaśnienia, w części oparte na słowniku Daniczica. Do wydania dołączył wiadomość gruntownie opracowaną o dotychczasowych wydaniach Zakonnika, o jego rękopisach, o sposobie wydania onego, o staréj serbskiéj ortografii, o literaturze wyjaśniającéj Zakonnik. Cała praca wykonana nadzwyczaj starannie, nie można tylko odżałować, iż wydawca chcąc uwydatnić materye w Zakonniku traktowane, przepisy jego uporządkował systematycznie podług przyjętego przez siebie dowolnego układu. W stanie dzisiejszym krytyki historycznéj podobne zboczenie od zasad przyjętych w wydawnictwie rękopisów, nie do darowania.

(1) *Zakonnik Stefena Duszana Cara Srpskog.* 1349 i 1354. *Izdano i objasnio Stojan Novakowicz. U Biogradu* 1870 str. 120.

(2) Pismo czasowe wydawane w Peszcie przez Maticę Serbską.

Szczęśliwym trafem dla nauki we dwa lata później zjawiło się wydanie Zakonnika, które dopiéro co wytknięte uchybienie sprostowało. Teodor Sigel, były uczeń Uniwersytetu Petersburgskiego, korzystając z dozwolenia professora Łamańskiego, który przed kilku laty odpisał był Prizreński rękopis, wydał takowy w Petersburgu w całości. Zamiarem wydawcy jest opracować kompletnie cały Zakonnik, wyłożyć i wyjaśnić po szczególe w układzie systematycznym cały zasób rozporządzeń prawnych w nim zawartych i to za pomocą zbadania wszystkich pomników serbskich, o ile one do tego celu przyczynić się mogą, przyczém niezaniedbać także posiłkować się porównawczemi wywodami z innych praw słowiańskich. Dotąd wydana część piérwsza całéj pracy (1), obejmuje w sobie: 1) zarys położenia Serbii pod panowaniem Stefana Duszana, 2) opisanie Zakonnika pod względem rękopisów, w których doszedł do naszych czasów, pod względem czasu redakcyi, źródeł z których wyczerpniętą została, systematu układu i późniejszych kolei, jakim uległ, 3) wstęp do wykładu prawa cywilnego podług Zakonnika. W oddziale o źródłach Zakonnika autor zwraca uwagę na stosunek jego do praw bizantyńskich, który to wzgląd powtarza się i w innych częściach pracy, wspomina tu i o owych *Justynianowych prawach* powyżéj wzmiankowanych, są to wszakże dorywcze tylko uwagi nie wyczerpujące przedmiotu; oceniając jednak gorliwość, z jaką się autor wziął do pracy i zasób znaczny materyałów które zgromadził, spodziewać się należy że przedmiot ten zgłębi w dalszych częściach dzieła swego, do kontynuacyi którego szczerze go zachęcamy. Przy porównawczych objaśnieniach zasad praw serbskich z innemi słowiańskiemi, życzylibyśmy w przyszłych badaniach więcéj oględności, *np.* cały wywód o różnicy między rodowym wysłużonym i dorobionym majątkiem, jakkolwiek pokazuje, że autor obznajomiony jest z różnemi źródłami praw słowiańskich, ale podsuwa prawu serbskiemu pojęcia, które w niém albo się wcale nie rozwinęły albo właściwym sposobem ukształtowały, i zamiast przyłożyć się do wytłumaczenia właściwych pojęć serbskich, rzucają na nie obłędne światło. Za główną zasługę poczytujemy autorowi, że ko-

(1) *Zakonnik Stefana Duszana. Soczinenie T. Sigelia. I Wypusk. Sankt Peterburg* 1872, str. 220 i 149 (wydane kosztem Uniwersytetu Petersburgskiego).

rzystając z przychylnych okoliczności, z wykładem swoim połączył wydanie tych ważnych pomników, najprzód Zakonnika podług rękopisu Prizrieńskiego, o czém była już mowa (1), potém tak zwanych Justynianowych zakonów także podług tego samego rękopisu (2): nareszcie części systematu Wlastaresa, które otwiéra nam nowe poglądy na stan prawny Serbii w epoce późniejszego jéj istnienia. Mamy nadzieję, że autor z czasem dopełni wydanie Wlastaresa, co zapewni dalszéj jego pracy niewątpliwą wartość.

Ostatnią ważniejszą i obszerniejszą pracą, poświęconą wyjaśnieniu prawodawstw południowo-słowiańskich, o któréj w naszym przeglądzie wspomnieć należy, jest świeżo wydana praca prof. Bogiszica pod tytułem: *Prawa pisane na południu słowiańskiem. Zarys bibliograficzny* (3), dzieło ogłoszone kosztem akademii południowo-słowiańskiéj w Zagrzebiu. Ogłaszając je, akademia wywiązuje się z części programatu, który sobie założyła, a o którym wspomnieliśmy wyżéj. Autor bibliografii rozdziela ją na cztery części: w pierwszéj — wydanéj zdaje sprawę *z praw danych przez najwyższą władzę prawodawczą w krajach niepodległych* (4); w drugiéj pomieszczone będą prawa pojedynczych municypiów, wysp, gmin i korporacyj; w trzeciéj prawa kościoła; w czwartéj prawa nadane przez obce rządy. Część, którą mamy przed sobą, rozdzielona znowu na kraje: Bulgarią, Serbią, Bosnią, Chlum (Hum, Chelmo) późniejszą Hercogowinę, Zetę późniejszą Czarnogórę, Dubrownik, Policę i Horwacyą. Witamy pracę tę z radością, bo lubo nie wiele co nieznanego nam przynosi, zestawia jednak obfity materyał w jednę systematyczną całość i zarysowywa świat południowy słowiański w jego pomnikach prawodawczych. Podajemy niektóre ważniejsze szcze-

(1) Autor, wydając Zakonnik podług rękopisu Prizreńskiego, byłby oddał wielką przysługę czytającym jego pracę, gdyby był zamiast cytowania wydania Szafarzyka, tak wielce rzadkiego, cytował wszędzie swoje wydanie. Wypadało przynajmniéj dać tablicę porównawczą obu wydań.

(2) Zwracamy uwagę, że wydanie to, daje także tekst krótszy *Justynianowych zakonów*, który poprzednio drukowany był w powołanéj wyżéj pracy: *O znaczeniu prawa rzymskiego*.

(3) *Pisani zakony na slovenskom jugu. Bibliografski nacrt. U Zagrzebu* 1872 str. 201.

(4) *Zakoni izdani najvisom zakonodavnom vlaśću u samostalnim državam.*

góły tego zarysu. Mówiąc autor o Bulgarii, zwraca przedewszystkiem uwagę na ważny fakt, że papież Mikołaj I na żądanie Borysa czyli Michała w r. 866 posłał Bulgarom księgę praw rzymskich dla zastąpienia braku miejscowych prawnych instytucyj; daléj, że kiedy Bulgaria stanowczo stanęła po stronie kościoła wschodniego, zjawił się w Bulgarii zbiór wyczerpnięty ze źródeł bizantyńskich, znany pod nazwiskiem *Sudnego Zakonu* dla użytku miejscowego sądownictwa. Myśl ta poprzednio stanowczo wyrzeczona została w piśmie: *O znaczeniu prawa rzymskiego* i t. d. (1). Przechodząc do Serbii, podaje cały szereg wyciągów z nadań udzielonych kościołom i z układów zawartych z Dubrownikiem na rzecz swobód handlowych. Wyciągi sięgają r. 1198 i idą do 1381. Są to po większéj części wyciągi z aktów wydanych przez Miklosziça i późniéj ogłoszonych w różnych pjsmach. Tym sposocem autor zabytki prawa pisanego serbskiego podnosi aż do wieku XII, gdy dotąd zwykle jako pierwszy akt prawa pisanego serbskiego uważał się Zakonnik Cara Duszana. Z naszéj strony zrobilibyśmy tutaj tę tylko uwagę,, że zapewnione przywilejami książęcemi kościołom pewne swobody, tak samo jak zastrzeżenia na korzyść handlu, nie zawsze mogą być uważane jako pomniki prawa powszechnego pisanego, gdyż zwykle stanowią wyjątek od prawa powszechnego. Pod względem Zakonnika znajdujemy w Bibliografii wyliczone i opisane jego rękopisy, nieroztrzygnięta jednak kwestya co do składowych jego części. Wreszcie pod Serbią autor zwraca się do tak zwanych *Justinianowych zakonów*, które także przyznaje za prawo pomocnicze Serbii, wykazując zresztą, że zbioru tego istnieją dwie redakcye: krótsza i obszerniejsza (2). Podług

(1) Str. 15. Autor Bibliografii, nie wspominając o tém, natomiast podnosi tylko niemożność przypisania zbioru bezpośredniemu wpływowi Cara Simeona, na co zresztą można się zgodzić. Czy Car Simeon albo inny dali zbiorowi temu formę ustawy, czy go potwierdzili aktem uroczystym prawodawczym, mniejsza o to, głównie chodzi o przyznanie, czy zbiór wszedł za ich zezwoleniem, a przynajmniéj za ich wiedzą, w praktyczne użycie sądownictwa.

(2) Wydając w r. 1868 redakcyą krótszą, w istocie nie wiedzieliśmy iż poprzednio już drukowaną była w *Latopisie Serbskim* z r. 1829 redakcya obszerniejsza; udzielił ją nam po raz pierwszy w roku obecnym Przewielebny ksiądz Rajewski w Wiedniu. Wydawcą téj redakcyi był Giorgiewicz podług rękopisu Tekelich.

wszelkiego podobieństwa do prawdy, pierwsza czyli krótsza jest dawniejszą, obszerniejsza późniejszą, zastosowaną do potrzeb znacznie nowszéj doby. Pod rubryką Bosnia, przytoczony wyjątek z umowy zawartéj z Dubrownikiem przez bana Kulina w r. 1189, daléj wyjątek z podobnéj umowy Mateusza Ninosława z r. 1234 i z kilku innych późniejszych tego rodzaju aktów. Prawodawstwo Chlumskie reprezentuje kilka wyjątków z układów z Dubrownikiem z r. 1234 i 1454 i z nadania udzielonego przez Herzega Stefana na rzecz żony Heleny i syna Władysława. Podobnie dawne prawa pisane Czarnogórza przedstawiają wyciągi z układów z Dubrownikiem, z nadań kościelnych (1), a naostatek słynny Zakonnik (2) Piotra I Niegusza Metropolity z lat 1796, 1798 i 1803 (3), oraz późniejszy Zakonnik księcia Daniła I z r. 1855. Pod napisem Dubrownik, opisane są po szczególe składowe części statutów (4), wyliczone i opisane znane dotąd ich rękopisy i za pomocą porównania ich z sobą, wyrzeczone zdanie co do najdawniejszéj redakcyi (5). Przy policki statucie odróżniona redakcya z r. 1400, nowelle począwszy od r. 1577 i ostatnie postanowienia z r. 1773, następnie wyliczone i opisane rękopisy statutu i wspomniane wydanie onego sporządzone przez Mesicza w archiwum Kukulewicza. Wreszcie pod względem Horwacyi odróżnione cztery doby: najdawniejsza do końca XII wieku czyli panowanie własnych narodowych książąt; druga od końca XII do początku XVI wieku, czyli węgierska; trzecia od 1527 do 1848 habsburgska, czwarta od 1848 nowa. Do doby pierwszéj podane z różnych aktów umieszczonych w zbiorze Kukulewicza wyciągi, pokazujące, jakim sposobem miejscowi książęta władzę prawodawczą wykonywali; do drugiéj epoki przedrukowanych z Kukulewicza

(1) Obszerniejszy wyjątek dostarczyło wydano przez Miklosicza nadanie słynnego w dziejach Czarnogórza Jana Czernojewicza na rzecz kościoła w Cetyni (r. 1485).

(2) We wstępie postanowienia ogłaszano, nazwano: *zakon i ured'ba.*

(3) W Bibliografii przepomniano powiedzieć, że pierwszy raz drukował Zakonnik Piotra, Aleksander Popow w Petersburgu w r. 1847, w dziele: *Puteszestwie w Czernogoriu* str. 281-301.

(4) Wyciągi podane w Bibliografii o trzęsieniach ziemi w Dubrowniku i innych wypadkach, mogły być śmiało opuszczone.

(5) Poprzednio dał także opis szczegółowy statutów Dubrownika prof. Leontowicz w Żurnalu Ministerium Oświecenia z r. 1867.

kilka aktów stwierdzających czynność prawodawczą miejscowych kongregacyj czyli sejmów: do trzeciéj epoki prócz cytacyi w chronologicznym porządku różnych postanowień zawartych w zbiorze Kukulewicza, wydrukowano dla przykładu całkowicie z archiwów zagrzebskich dwa akta, z których jeden obejmuje lauda uchwalone na zgromadzeniu w Zagrzebiu, a drugi daną przez stany horwackie instrukcyą komissarzom wysyłanym na narady do Wiednia. Całe dzieło zamyka dodatek, obejmujący w sobie zaczerpnięty z dziennika praw księztwa Serbskiego spis pojedyńczych praw i postanowień wydanych od r. 1830 do końca r. 1867 (1). W dalszéj kontynuacyi téj ciekawéj pracy jest do życzenia, aby dokładniéj były cytowane tytuły dzieł, które są przytaczane, miejsce ich druku i lata wydania, gdyż osoba, która nie jest specyalnie obznajomioną z tą tak mało znaną literaturą, może się słusznie użalać na ten brak precyzyi. Zresztą podobno to jedno z głównych zadań każdéj bibliografii.

Zakończyć przeglądu tego nie możemy bez wspomnienia o pojedyńczych pracach naukowych Akademii Zagrzebskiéj, a mających na celu wyjaśnienie różnych przedmiotów, z dziedziny praw południowo słowiańskich.

Na piérwszém miejscu wypada nam znowu wspomnieć o pracach prof. Bogiszica; a najprzód składa on od czasu do czasu akademii doniesienia, jakie mu nadsyłają z różnych stron południowéj Słowiańszczyzny o istniejących w różnych miejscowościach zwyczajach prawnych (2); następnie zakomunikował akademii ciekawą wiadomość o rękopisie włoskim XVI wieku skreślającym zwyczaje prawne (consuetudini) zachowywane w owym czasie między Zadrem a Noną (3).

(1) Właściwie spis ten należało było pomieścić pod rubryką Serbii, rozdzielając prawodawstwo jéj na epoki, tak jak to uczyniono co do Horwacyi. Dlaczego wreszcie w roku 1872 zatrzymano się na r. 1867: czy późniéj w Serbii niewydano żadnych nowych postanowień?

(2) Przy téj sposobności wspomnieć możemy, że przed jakiemi dwudziestu laty powzięliśmy już byli myśl zbierania wiadomości o zwyczajach prawnych ludności słowiańskich osiadłych w państwie ottomańskiém i że w tym celu zawiązaliśmy byli korrespondencyą z Raczyńskim byłym konsulem w Warnie, a podobno i z Piotkiewiczem konsulem w Dubrowniku.

(3) *Rad* I. str. 229, V. 233.

Członek akademii Petranowicz przedstawił rozprawy o zemście, pokorze i głowszczyznie, podług praw serbsko-horwackich (1). Przedmiot ciekawy, ważny, ale obrobiony zbyt lekko, niewspomniane nawet powyżéj przez nas przytoczone akta, wydane przez Pucicza i Kukulewicza, mieszczące w sobie zagodzenie spraw o zabójstwo.

Tenże sam Petranowicz obrobił rzecz o poddaństwie podług pomników serbskich i statutów dalmackich (2). W pracy po szczególe wyjaśnia autor znaczenie wyrazów meropsi (włościanie), własi i otrocy. Na wytłumaczenie znaczenia prawnego włachów przytacza autor postanowienia statutu Kotorskiego z r. 1333, w którym występują w charakterze zagrodników mających dom, obórkę (*ovile*) i ogród. Zdaje się jednak, że pozostaje jeszcze do obrobienia historya transformacyi, jakim stan ten ludzi w różnych czasach ulegał.

Liebald-Liubojewicz w rozprawie o przysiędze na południu słowiańskiem przytacza stary zwyczaj wykonywania przysięgi przez podstawioną osobę, byleby wykonywający przysięgę stał u boku tego, kto ją miał wykonać i dał mu pocałunek. W ogóle cała praca zasługująca na baczną uwagę z powodu staranności z jaką mniéj więcéj skrzętnie zebrane zostały ważniejsze rozporządzenia statutów o przysiędze (3).

Fr. Raczki wyjaśniał historyą przekształcenia księztwa Horwackiego na królestwo (4).

Członek akademii dr. Paweł Muhicz wypracował rzecz o rozwoju prawnych idei w ogóle a w szczególe pod względem prawa karnego (5). Wziąwszy za punkt wyjścia zdanie Cicerona: *repetamus stirpem juris a natura, qua duce aberrari nullo pacto potest*, wywodzi początek pojęć i ustanowień prawa karnego z przyrodzonego uczucia sprawiedliwości i stwier-

(1) *Rad* VI. str. 1 20.

(2) *O robstou po srbskim spemenicama i statutima prim. dalm. gradova Rad.* XVI str. 59 75.

(3) *Prisega u našem narodu. Rad* XVI. z r. 1871. Autor powołuje tu statut Raguzy III c. 51 § 5, podany w wyjątku przez Pucicza.

(4) *Kada i kako se preobraže hrvtska kneževina na kraljevinu. Rad* XVII str. 70-80.

(5) *O rosvoju pravnich idea u obei i napose u području prawa kaznenego. Rad* V. str. 1, 29.

dza to przeistoczeniami z różnych praw starożytnych, germańskich i miejscowych słowiańskich, a mianowicie statutu Winodolskiego, statutu wyspy Krka, Zagrzebia i Zakonnika serbskiego. Zadanie piękne, podnoszące myśl do wyższych sfer abstrakcyi, wpływające zarazem na wyrobienie języka filozoficznego; ale jeśli punkt wyjścia jest chybiony, niewiele przyczynić się może do zbadania właściwości miejscowych instytucyj.

Pod tym względem oddaje niezaprzeczoną usługę wybornie opracowana historya piśmiennictwa horwackiego i serbskiego Jagicza, wydana także z pomocą akademii (1). Jagicz jako filolog, rozpatruje pomniki prawne słowiańskie tylko ze stanowiska językowego, właśnie jednak to stanowi znakomitą zaletę jego badań; to nas sprowadza na stanowisko historyczne i im więcéj rzucone poglądy językowe są głębokie, tém więcéj przyspasabiają użytecznego materyału do przyszłych wywodów prawno-historycznych. Szczególniéj godne uwagi z naszego punktu widzenia wszystko to, co Jagicz podaje o dyplomatach głagolickich i o statutach dalmacko horwackich, a wszczególności o statucie winodolskim, i następnie o statutach wyspy Krka i Policy. Przy rozbiorze statutów wskazuje, jak wzięte z włoszczyzny wyrażenia usadowiły się obok słowiańskiego technicznego języka. Do piszącego historyą prawa należy teraz pokazać, czy i w jaki sposób z wyrażeniami obcemi przenosiły się na grunt słowiański pójęcia prawne cudzoziemskie (2), godne wreszcie uwagi zdanie, jakie wyrzeka Jagicz pod względem językowym o zakonniku Duszana. Widzi on w nim przeważny wpływ grecki i naznacza mu niższe miejsce w rozwoju narodowych pojęć prawnych jak statutom horwackim (3).

Żałujemy, że nie mamy pod ręką dzieła Liubicza wydanego przed ośmiu laty: *Zwierciadło historyi południowo-sło-*

(1) *Historija književnosti naroda hrvatskoga i srbskoga. Knige prva. Staro doba. U Zagrzebu 1867.*

(2) Na okoliczność tę zwraca już uwagę, pismo: *O znaczeniu prawa rzymskiego* str. 36, 37.

(3) str. 203.

wiańskiéj (1), znamy go tylko z tego, co o nim podał Leontowicz. Zdaje się, że Liubicz zebrał w niém najciekawsze wiadomości o zawiązku i stopniowém rozwinięciu prawodawstwa horwacko-dalmackiego, a znając gruntowność z jaką obrabia swoje prace, wnioskować możemy, że to co powiedział, godne zastanowienia. Między innemi przytacza podanie ze starego horwackiego latopisca, że na wiecach hliewańskich postanowionych zostało wiele dobrych praw. Zdaniem jego miało to miejsce ku końcowi IX wieku za czasów Mutimira.

Po tém wszystkiem, co powiedzianém zostało, trudno żądać, aby w ciągu lat piętnastu więcéj było zrobioném dla pewnego danego przedmiotu poszukiwań nad to, co w przeciągu tego czasu przygotowano dla objaśnienia historyi praw narodów południowo-słowiańskich. Najprzód zebrano i krytycznie wydano dawniejsze cząstkowe publikacye aktów serbskich, bośniackich i bulgarskich i takowe pomnożono nowemi dodatkami (Miklosicz); ogłoszono znaczną liczbę nowych w większéj części juridycznych aktów horwackich (Kukulewicz); wydano obszerne zbiory aktów historycznych z archiwum dubrownickiego i weneckiego (Pucicz, Liubicz); przygotowano krytycznie obrobiony słownik do pomników serbskich (Daniczic); następnie opracowano trzytomowy zbiór praw horwackich (Kukulewicz); wydano dwa razy najdawniejszą redakcyą Zakonnika Duszana (Nowakowicz, Sigel), także dwa razy drukowano krótszą redakcyą tak zwanych Justinianowych zakonów (Hube, Sigel); wydano słowiańskie obrobienie części syntagmatu Wlastaresa (Sigiel); wytłumaczono na język polski statut Winodolski i Zakonnik Duszana (Maciejowski); daléj rzucono pierwsze główne myśli do określenia znaczenia praw bizantyńskich w Bulgarii, Serbii i Czarnogórzu (Hube); nakreślono pierwszy zarys historyi prawodawstwa horwackiego (Liubicz) i oceniono ze stanowiska filozoficznego pomniki prawodawcze horwacko-serbskie (Jagicz); opisano zwyczaje prawne dotąd utrzymujące się w zakresie prawa prywatnego u Słowian południowych (Bogiczic); obrobiono po raz pierwszy w wykładzie systematycznym najważniejsze pomniki pra-

(1) *Oglédalo književne povésti jugoslavjanske. Rjeka* 1864.

wodawcze horwacko-dalmackie (Leontowicz); przedsięwzięto obszerną pracę mającą na celu wykład systematycznych praw serbskich podług Zakonnika i innych miejscowych pomników (Sigiel); udzielono bliższe wiadomości o statutach Dubrownika (Pucicz, Leontowicz, Makuszew); opracowano naukowo prawo familijne Dubrownika (Bogiszic); wydano kilka rozpraw objaśniających różne przedmioty z praw południowo-słowiańskich (Bogiszic, Petranowicz, Liubojewicz, Muhicz, Raczki): wreszcie przygotowano pierwszą część bibliografii prawodawst południowo słowiańskich (Bogiszic).

Im więcéj jednak pobudza się i rozżarza chęć zgłębienia tych prawodawstw, tém więcéj wzmaga się pragnienie posiadania coraz większéj liczby krytycznie obrobionych wydań samych pomników prawodawczych, a przynajmniéj uczynienia przystępniejszemi tych, które już są znane. Jagicz i Leontowicz występują z tém zdaniem, do czego i my się przyłączamy. Jak naturalnie w obecnym stanie rzeczy, kiedy Kukulewicz zaniechał spełniania tak zdrowo pomyślanego i tak rączo podjętego zamiaru wydania pełnego zbioru praw południowo-słowiańskich, oczy wszystkich zwrócone są na akademią zagrzebską: nie odrzuca ona tego zamiaru, ale spełnienie onego odkłada do czasu nieoznaczonego.

Samo przez się rozumie się, że obok żądania posiadania jak największéj liczby pomników prawodawczych, pragniemy, aby dotychczasowy tak ograniczony zbiór aktów juridycznych to jest aktów prawnych sądowych i zasądowych pomnożył się (1), w braku bowiem tekstów prawnych, z nich samych dają się odtworzyć i wytłumaczyć stosunki prawne społeczeństwa. Bodajby przykład Kukulewicza znalazł jaknajprędzéj naśladowanie! Nie wątpimy zaś, że miejscowe archiwa byłyby w stanie dostarczyć obfity materyał. Pod tym względem jest do życzenia, aby akademia dała inicyatywę do zbadania miejscowych archiwów sądowych i opisania ich stanu,

(1) Nadmienić tu możemy, że posiadamy zbiór aktów sądowych z wieku XVI i XVII stołu wesprinskiego, który nam przed wielu laty udzielił łaskawie Dr. Miklosicz i który oczekuje na ogłoszenie drukiem. Rękopis przepisywał z głagolickiego oryginału pop Jakób Volczic z Lowrania.

tak jak to niedawnemi czasy zrobił znany historyograf morawski Dudik we względzie archiwów galicyjskich (1).

Gdyby w tém miejscu zapytano się, co daléj i przedewszystkiem pozostaje zrobić, możnaby dać następującą odpowiedź:

We względzie Bulgarii, Hercegowiny i Bosnii, w stanie, w jakim się krainy te znajdują, nie pozostaje jak kompletować wiadomości o zwyczajach prawnych, jakie w różnych stronach tych rozległych ziem istnieją, a przytém zbiérać skrzętnie tak dawne jako i nowe ich akta juridyczne i jeśli można pilnie powiększać liczbę starożytnych dyplomatów i wyszukiwać rękopisy stare nomokanonów.

We względzie Serbii, mając już kilkanaście rękopisów Zakonnika, przygotować za pomocą ich wszystkich nowe onego krytyczne wydanie. Aby takowe odpowiadało wymaganiom dzisiejszéj nauki, wypada najprzód na zasadzie gruntownych językowych badań, oznaczyć, który ze znanych rękopisów istotnie przedstawia najdawniejszy tekst, a uczyniwszy to, przyjąć tekst ten za podstawę wydania; następnie pod każdym ustępem oznaczyć waryanty innych rękopisów, uporządkowawszy je także chronologicznie, a tam gdzie redakcya innych rękopisów znacznie się różni od przyjętéj głównéj redakcyi, drukować całe ustępy, choćby kilka razy; wreszcie zamieścić po tekście głównym wszystkie dodatki z późniejszych rękopisów w porządku czasu, jak rękopisy jedne po drugich następują. Do takiego wydania koniecznie dołączyć wypada tablicę porównawczą układu wszystkich rękopisów. Nakoniec należy opatrzeć wydanie kompletnym słownikiem terminów technicznych z ich objaśnieniami podług słownika Daniczyca, w którym zresztą do téj pracy przygotowany już bogaty materyał. Takie dopiéro wydanie posłuży za zasadę do dalszych badań i wniosków (2).

Co do Horwacyi, byłoby do życzenia, aby przy obfitości już zebranego a przynajmniéj znanego i łatwo dopełnić się

(1) *Archive im Königreiche Galizien und Lodomerien von Dr. B. Dudik* (Archiv für österreichische Geschichte. Wien. 1868 XXXIX).

(2) Przekonany jestem, że przez wydanie krytyczne Zakonnika i nowych Justinianowych zakonów, da się niejako zrestytuować ciąg nieprzerwany ustanowień prawnych Serbii od czasu jéj upadku do chwili odrodzenia.

mogącego materyału, przystąpiono do skreślenia historyi jéj prawodawstwa. Nie powiémy, aby to było zadanie łatwe do spełnienia, ale trzeba nareszcie zacząć, zostawiając czasowi późniejszemu dopełnienie i dalsze rozwinięcie raz przygotowanéj pracy. Aby odpowiedzieć wyższym założeniom krytyki historycznéj, jest do życzenia, aby każde twierdzenie poprzéć wypisanemi dosłownie świadectwami źródeł. Za przykład w tym względzie może służyć historya praw czeskich Iireczka. Ponieważ zaś Horwacya zostaje, od tak dawna pod wpływem Węgier, koniecznie przeto przyszły historyk prawodawstwa horwackiego powinien wpływ ten dokładnie oznaczyć. Naprowadzi to zapewne na potrzebę scharakteryzowania prawodawstwa węgierskiego, przyczem wyjaśnić wypadnie, o ile początkowe prawa Węgier przesiąkłe są starodawnemi słowiańskiemi pierwiastkami, jak to utrzymuje nasz Maciejowski.

We względzie Dalmacyi, sądzę, że nateraz głównie zwrócić należy uwagę na pojedyńcze ważniejsze statuta miast i gmin, których taką obfitość ta kraina posiada i po szczególe zająć się zbadaniem każdego oddzielnego statutu, bacząc ciągle na odróżnienie w nim elementu słowiańskiego od elementu rzymsko-włoskiego. Dopiéro z tych praw szczegółowych złoży się z czasem ogólny obraz prawodawstwa dalmackiego, którego słabe zarysy mamy w dziele Reutza. Gruntowna znajomość statutów włoskich przy pracy podobnéj pokaże się niezbędną.

Prócz prac tych zachęcamy do zajęcia się krytyczném wydaniem owych słowiańsko-bizantyńskich pomników, o których tyle razy wspominaliśmy, oraz słowiańskiego przerobienia *ustawy sielskiéj*, przyczem powinno być także wydane systagma Wlastaresa. Życzymy, aby do pracy téj wzięli się gruntownie ukształceni filologowie.

Czyby dla ziszczenia tych wszystkich życzeń niewypadało, aby akademia południowo-słowiańska obmyśliła ogłoszenie zadań konkursowych, wypracowawszy do każdego z nich dobrze obmyślany programat? Przy robieniu zadań pamiętać należy, że zawsze jest lepiéj podane do obrobienia przedmioty, ile być może, ograniczać, bo tym sposobem spodziewać się można wywołania prac gruntowniejszych.

Dnia 25 sierpnia 1872 r.

R. H.

AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWÉJ

W RZECZYPOSPOLITÉJ ARGIENTYŃSKIÉJ

p. D. José Màrmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(Dokończenie).

(CZĘŚĆ PIĄTA).

XIII.

Stany Zjednoczone.

Pomimo złego humoru, który tak onieprzytomnił Edwarda, iż pożegnanie jego z p. Mandeville było raczéj niegrzecznością niż ukłonem, słuch go jednak nie zawiódł, kiedy przyjacielowi oznajmiał przybycie powozu. Takowy stał rzeczywiście przed domem, a w nim Don Candido Rodriguez, z którego uciśnionéj piersi wybuchnął słup powietrza, gdy biédny professor znalazł się znów wśród swoich uczniów i powóz ruszył w stronę z któréj poprzednio przybyli.

Daniel spytał natychmiast:

— Do któregoż z dwóch?

— Jakto, Danielu?

— Do świętego Franciszka czy do świętego Dominika?

— Wprzód muszę cię uwiadomić o wszystkiém, ze szczegółami, że...

— Tak, ale trzeba zacząć od końca, żebym wiedział jaki rozkaz dać woźnicy.

— Koniecznie tak chcesz?

— Ależ tak, do tysiąca bomb!

— No to dobrze... ale się nie będziesz gniewał?

— Kończ pan, bo wyrzucimy z powozu —rzekł Edward ze wzrokiem który przeraził professora.

— Zapaleńcy! zapaleńcy! Otóż, ognista młodzi, moja dyplomatyczna missya nie została uwieńczoną powodzeniem.

— To się znaczy że go nie przyjmą ani jedni ani drudzy?— spytał Daniel.

— Nikt a nikt.

Daniel pochylił się, spuścił szybę z przodu i dwa słowa wyrzekł do Fermina.

— A więc ci opowiem—mówił daléj Don Candido.—Kazałem stanąć powozowi przed świętym Dominikiem; wysiadam, wchodzę, przeżegnałem się, i idę po samotnym i ponurym klasztorze. Zatrzymuję się, klaszczę w dłonie: braciszek zapalający latarnię zbliża się: zapytuję o zdrowie wszystkich, i pytam o wielebnego Ojca którego mi wskazałeś. Wprowadza mię do jego celi, a po ukłonach i komplementach jak zwyczaj każe, nie mogłem wstrzymać się od powinszowania mu tego żywota spokojnego, błogiego i świątobliwego jaki pędzi w tym przybytku ciszy i spokoju; bo trzeba wam wiedzieć moi drodzy, iż od najmłodszych lat miałem upodobanie, skłonność, powołanie do zakonu, i kiedy dziś sobie pomyślę iż mógłbym być spokojnym pod świętemi sklepieniami klasztoru, wolny od politycznych wzburzeń, z bramą zamkniętą od zmierzchu, nie mogę sobie darować mojéj opieszałości, mego lenistwa, mego zaniedbania. W końcu...

— Tak, cóż w końcu? bo koniec zawsze najlepszy, mój kochany professorze.

— Otóż natychmiast przedstawiam mu pierwszy mój wniosek.

— To bardzo źle pan zrobiłeś.

— A, przecież po to tam przyjechałem?

— Tak, lecz nigdy na wstępie nie zaczyna się od tego co chcemy otrzymać.

— Pozwólże niech mówi — przerwał Edward wtulając się w kąt powozu jakby do snu.

— Więc mówię. Wyłuszczyłem mu jasno i dobitnie położenie niejakiego siostrzeńca mego, który będąc najlepszym federalistą, prześladowanym zostaje przez osobiste rywalizacye, przez zazdrość, przez zawiść niektórych złych sług sprawy, nie umiejących należycie uszanować niezrównanéj chwały i wielkości patryarchalnego rządu naszego prześwietnego Restauratora praw i jego najszanowniejszéj familii. Tu skreśliłem wymownie i z zapałem biografię wszystkich członków prześwietnych familii Jego Ekscellencyi pana gubernatora rzeczywistego, i Jego Ekscellencyi pana gubernatora zastępującego; konkludując, że dla honoru tych świetnych konarów pnia federalnego, religia i polityka zarówno są interesowane aby się nie spełnił gwałt na osobie siostrzeńca takiego jak ja wuja, któ-

ry dałem wzorowe dowody męztwa i wierności federalnéj, i że nie chcąc zajmować czasu panom gubernatorom i innym wysokim i dostojnym osobom trudniącym się obecnie niepodległością Ameryki, proszę zakonu świętego Dominika o schronienie, opiekę i przytułek dla mego niewinnego siostrzeńca, ofiarując się dać na jałmużny znakomitą summę, w złocie lub papierowéj monecie, stosownie do woli WW. OO. Taką była w krótkiém streszczeniu mowa, którą zagaiłem moją konferencyę. Aż tu, wbrew moim przypuszczeniom i przewidywaniom, wielebny Ojciec powiada: „Mój panie, pragnąłbym usłużyć mu, lecz my się nie możemy mięszać w polityczne sprawy, a coś w tém musi być, skoro prześladują pańskiego siostrzeńca." Protestuję raz, dwa i trzy razy, poręczam mu za wszystko co tylko się da powiedzieć o moim siostrzeńcu. Pomimo to wszystko, odpowiedział mi: nie możemy narażać się Don Manuelowi, nic więcéj zrobić dla pana nie jest w naszéj mocy, jak tylko prosić Boga aby miał opiekę nad niewinnością pańskiego siostrzeńca, jeśli prawdziwie jest niewinnym.

— Amen—rzekł Edward.

— I ja tak samo odpowiedziałem—mówił daléj Don Candido— i powstałem, przepraszając tysiąckrotnie za czas zabrany Jego Wielebności. A teraz przechodzę do mojéj konferencyi u świętego Franciszka.

— Nie, nie, nie, dość już mnichów, na miłość Bozką, dosyć wszystkiego, nawet życia, bo to nie życie ale piekło!—zawołał Edward uderzając się silnie dłonią w czoło.

— Wszystko to mój drogi — odrzekł Daniel—to jest tylko jeden akt, jedna scena z dramatu życia: tego życia naszego i naszéj epoki, która jest odrębnym dramatem w świecie. Lecz tylko słabe serca dają się owładnąć rozpaczą w trudnych wypadkach losu. Przypomnij sobie że to są ostatnie wyrazy Amalii. Ona jest kobietą, a przebóg! więcéj ma niż ty odwagi.

— Odwagi umrzéć, to najmniejsze. Ale wszystko to gorsze od śmierci, bo to jest upokorzenie. Włóczę się jak żebrak. Od wczoraj ciągle mię zewsząd wypychają. Słudzy moi uciekają odemnie, nieliczni moi krewni nie poznają mnie; cudzoziemiec, nawet dom Boży zamykają drzwi przedemną, a to sto razy, milion razy gorsze niż pchnięcie sztyletu!

— Nic ci nie zostaje, mówisz? Wszakże jeszcze miłość i przyjaźń czuwają nad tobą a nie wszyscy się tém pochwalą w Buenos-Aires. Od trzech dni nie masz domu, nie posiadasz nic, zniszczyli cię, zrabowali, skonfiskowali całe mienie, jak im się zdaje. A przecież udało mi się uratować ci przeszło milion *pesos*. A więc, kto posiada narzeczoną śliczną jak słońce, przyjaciela takiego jak ja, i wcale nie zły mająteczek, ten jeszcze niema tak dalece powodów wyrzekania na swój los.

— Gdzież my jedziemy Danielu? patrz, zbliżamy się ku *Retiro*.

— Wiem o tém kochany professorze.

— Cóż ty robisz? tu są koszary i załoga, czy chcesz żebyśmy zostali ujęci?

— Jak się panu podoba.

— Danielu, nie poświęcajmy siebie tak zawczasu! Kto wié jakie błogie dni czekają nas w przyszłości? Zawróćmy, moje dziecko, zawróćmy. Patrz, już blizko! wracajmy!

W trakcie tych przedstawień i błagań powóz zajechał przed piękny dom, w którym przemieszkiwał konsul Stanów Zjednoczonych, pan Slade. Wielka krata żelazna była zamknięta, a za nią o jakie sto kroków w gmachu zaledwie dostrzedz można było światło w pokojach na piérwszém piętrze.

Daniel dwa razy silnie uderzył młotkiem, czekał chwilę, lecz napróżno.

— Jedźmy Danielu—powtarzał raz po raz Don Candido nie wysiadając z powozu za uczniami, i ciągle rzucając niespokojne spojrzenia na koszary, ciche o téj porze, bowiem było już blizko dziesiątéj wieczorem.

Daniel mocniéj zastukał. Niedługo ukazał się jakiś mężczyzna i wolnym krokiem szedł do kraty. Przybliżywszy się, popatrzył z wielką flegmą, a potém rzekł po angielsku:

— Czego?

— Pana Slade—odpowiedział równie lakonicznie Daniel.

Służący wyjął klucz z kieszeni i otworzył furtę nie mówiąc ani słowa.

Don Candido wysiadł natychmiast, i umieściwszy się pośrodku między Danielem i Edwardem, wraz z nimi szedł w ślad za służącym. Ten wprowadził ich do małego przedpokoju, gestem wskazał żeby zaczekali, i wszedł do drugiego pokoju. W kilka minut wrócił i zawsze na migi poprosił aby weszli.

W salonie paliły się tylko dwie świéce. Pan Slade leżał na włosiennicowéj sofie, bez zwierzchniéj odzieży, bez kamizelki, bez chustki na szyi i bez butów, a na krześle obok sofy stała butelka koniaku, karafka wody i szklanka. Był to człowiek około pięćdziesięciu lat wieku, wysoki, fizyognomii otwartéj i prostéj, typ więcéj pospolity niźli dystyngowany.

Daniel znał tylko z widzenia konsula Stanów Zjednoczonych: lecz znał dobrze jego naród.

Senior Slade usiadł z wielką flegmą, życzył dobrego wieczoru, dał znak służącemu aby podał krzesła, a sam wdziewał surdut i buty, jakby sam jeden znajdował się w swoim sypialnym pokoju.

— Nasza wizyta nie będzie długą, panie Slade—odezwał się Daniel.

— Panowie Argientyni?—spytał konsul.

— Tak jest panie, wszyscy trzej.

— To dobrze. Bardzo lubię Argientynów—i dał znak służącemu aby podał gościom koniaku.

— Jestem tego przekonania, panie Slade, i przybywając tu,

chciałem panu dać sposobność okazania dowodem téj ku nam przychylności.

— Wiem.

— Pan wiész po co tu przybyłem?

— Tak. Panowie przybywacie po to aby się schronić w ambasadzie Stanów Zjednoczonych. A cóż, nie tak?

Daniel zmieszał się tą obcesową otwartością; lecz pojął iż mu należało iść tąż samą drogą. Popiwszy więc nieco koniaku ze szklanki, odpowiedział najspokojniéj:

— Tak jest panie, po to przybywamy.

— To dobrze, więc już tu jesteście.

— Ależ pan Slade nie wié nawet naszych nazwisk?—przemówił Edward.

— Cóż mi tam po waszych nazwiskach? Tu jest bandera Stanów Zjednoczonych a pod nią opieka dla wszystkich, jakbądź się oni zowią.

I to mówiąc konsul znów się poufale położył na sofie, i nie zmienił pozycyi, gdy Daniel zerwał się z krzesła, ujął jego rękę i mocno ją ściskając, mówił:

— Jesteś pan skończonym typem narodu najswobodniejszego i najwięcéj demokratycznego w XIX wieku.

— I najsilniejszego—dorzucił Slade.

— To prawda—dodał Edward—i jakże nie ma być najsilniejszym, takich mając obywateli!

I musiał głowę odwrócić na stronę, ażeby inni nie dostrzegli uczucia które nagle w oku jego łzą zabłysło.

— Dobrze, panie Slade—mówił znów Daniel—lecz my nie wszyscy trzej prosimy o przytułek. Jak na tę chwilę szukamy go tylko dla tego tu oto, pana Belgrano, synowca jednego z najpierwszych mężów w wojnie o naszą niepodległość, a który obecnie narażonym jest na prześladowanie.

— A, i owszem. Tu są Stany Zjednoczone.

— I nie ośmieliliby się wejść tutaj?—pytał Don Candido.

— Kto?—zagadnął pan Slade i brwi namarszczył; popatrzał na professora a potém się roześmiał. Bardzo jestem dobrze z generałem Rozas. Jeżeli mię zapyta jacy tu są, to mu powiem. Lecz gdyby ich kazał przemocą ztąd wyprowadzać, ja mam to,—i palcem wskazał na stół, na którym leżał karabin, dwa pistolety i wielki puginał; potém podniósł rękę wskazując na dach domu—a tam mam banderę Stanów Zjednoczonych.

— I mnie do pomocy pańskiéj—rzekł Edward.

— Dobrze, dziękuję. Z panem już będzie dwudziestu.

— Pan masz dwudziestu? tutaj?

— Tak, dwudziestu schronionych w moim domu, w tamtych pokojach i na górném piętrze. A jeszcze mi mówili o jakich ze stu.

Niech sobie wszyscy przyjdą. Nie mam łóżek ani wyżywienia na tyle ludzi. Ale tu jest dom i bandera Stanów Zjednoczonych (1).

— Dobrze, na niczém zbywać nam nie będzie, na niczém. Dla nas dostateczna opieka pańska, szlachetny, szczery i prawy potomku Waszyngtona, bo i ja także zostaję tutaj, — rzekł Don Candido podnosząc w górę głowę i uderzając laską w podłogę z miną tak seryo i tak stanowczą, że Daniel i Edward spoglądając na siebie mimowolnie na głos się roześmieli.

Daniel widział się zmuszonym zwracając mowę po angielsku do pana Slada, dać mu niejakie wyobrażenie o osobie i charakterze swojego mistrza. To krótkie opowiadanie wprawiło w tak dobry humor umysł prostodusznego Amerykanina, iż sam nalał koniaku, podał professorowi i pił do niego mówiąc:

— Od dzisiejszego dnia znajdujesz się pan pod opieką Stanów Zjednoczonych, i gdyby pana zabili, ja każę spalić Buenos-Aires.

— Nie przyjmuję téj hipotezy, panie konsulu; wolałbym żeby Buenos-Aires piérwéj spłonęło, nie zaś abym ja był najprzód zabity a ono potém spalone.

— No, no,— rzekł Daniel,—to wszystko żarty, mój kochany panie Candido; pan wracasz ze mną.

— Nie, nie pójdę ztąd, ani ty już niemasz żadnych praw nademną, bo jestem na terrytoryum zagranicznem. Tu życie moje przepędzę, pielęgnując zdrowie tego wielce zasłużonego męża, którego już kocham z całych sił.

— Ale cóż znowu, panie Candido, jedź pan z Danielem,— wmięszał się Edward,—wszak na jutro jest robota.

— To nic nie znaczy, nie pojadę. I od téj chwili zerwane wszelkie nasze stosunki.

Daniel wstał, odciągnął go na stronę i żywą z nim przeprowadził rozmowę aby go nakłonić do powrotu; lecz wszystko byłoby nadaremném, gdyby mu Daniel wreszcie nie przyrzekł iż go odwiezie napowrót do Stanów Zjednoczonych, skoro tylko dostanie przez niego jakąś bardzo potrzebną mu wiadomość z bióra wicegubernatora, i że professor nocować będzie tymczasem w domu swojego ucznia, aż dopóki nie przybędzie na zamieszkanie do téj tu gościnnéj i bezpiecznéj przystani.

— Panie konsulu,—mówił Don Candido skończywszy swoje warunki, i odwracając się do pana Slade,—na dzisiejszą noc nie mogę jeszcze mieć zaszczytu, przyjemności, szczęścia, widzenia nad moją głową znakomitéj flagi północno-amerykańskiéj; lecz wszyst-

(1) To jest rzeczywistą prawdą. Pan Slade był ubogim; właśnie odesłał był swoją rodzinę do Stanów Zjednoczonych, nie mogąc wystarczyć na jéj utrzymanie w Buenos-Aires. Lecz w miesiącach wrześniu i październiku zebrało się gości w jego domu przeszło stu. Przez dni czterdzieści bawili u niego, a że nie miał zgoła czém ich wyżywić przez tyle czasu, ci zrobili pomiędzy sobą składkę i dawali rządcy domu na utrzymanie dla wszystkich: wielu nic nie przyłożyło się, bo nic nie posiadali.

ko co w mojéj mocy, uczynię, ażebym mógł znajdować się tu już od jutra.

— Dobrze, — odrzekł Slade,—żywcem pana nie wydam, chyba trupem.

— To szatan nie człowiek ze swoją otwartością! — bąknął Don Candido spoglądając na Edwarda.

Pan Slade podniósł się ociężale, po angielsku pożegnał Daniela, a professora uścisnął mówiąc:

— Jeżeli się już nie ujrzymy, mam nadzieję że się poznamy na tamtym świecie.

— Tak? to ja już nie jadę panie konsulu,—i Don Candido zabierał się usiąść.

— Ależ to żarty, kochany professorze,—perswadował mu Edward.

— Tak, żarty, od których szpik w kościach marznie!

— Chodźmy żeby ich nie słuchać.

Dwaj młodzi przyjaciele uścisnęli się jeszcze; a ten sam służący który gości wprowadził, towarzyszył im do furty. Gdy ją otwierał, spytał go Don Candido:

— Czy zawsze zamkniętą bywa ta brama?

— Tak.

— A nie lepiéj byłoby ją zostawiać otworem?

— Nie.

— Co za czartowski lakonizm! Przypatrz mi się przyjacielu, poznasz mię na drugi raz?

— Tak.

— Jedziemy, Don Candido—mówił Daniel już w powozie.

— Idę, idę. Dobranoc ci, zacny sługo najznakomitszego z konsulów.

— Dobranoc,—i brama się zamknęła.

XIV.

Don Candido Rodriguez spotyka krewniaka.

Jednego z ostatnich dni września o ósméj godzinie z rana, nauczyciel początków zapijał ze smakiem pienistą i wrzącą czekoladę w porcelanowym ogromnym kubku, a tymczasem uczeń jego składał papiery, kopertował je i pieczętował. Twarze ich jawnie pokazywały iż obydwa noc całą na czuwaniu przepędzili.

— Ale to już koniec, Danielu; dziś już stanowczo udaję się do Stanów Zjednoczonych. Wiesz że już pięć dni będzie jak dałem słowo temu zacnemu i wielce zasłużonemu konsulowi, iż przybędę na pobyt do jego terrytoryum.

— Bo pan nie wiesz co tam zajść może.

— O nie, mnie ty nie oszukasz. Jeszcze wczoraj wieczorem, kiedyś ty pisał, ja sobie odczytałem pięć traktatów o prawie narodów, i dwa podręczniki dyplomatyczne, te rozdziały które traktują o niepogwałcalności agentów publicznych i domów gdzie ciż rezydują. I wiesz ty, Danielu? nawet powozy ich są nienaruszalne; a ztąd wywnioskowałem, że będę mógł przejeżdżać się, bezpiecznie, w powozie zacnego konsula, bez obawy, bez trwogi, bez narażenia się, bez . . . . . ale ty piszesz: nie przeszkadzam ci.

Daniel popieczętowawszy listy schował je do skrytéj szufladki, zasiadł do biórka i pisał list następujący:

„Drogi mój Edwardziel Byłem wczoraj ku wieczorowi u Amalii. Znalazłem ją cierpiącą. Nasza niespodziewana wizyta onegdajsza i trwoga jakiéj ją nabawiła nasza podróż z powrotem, oddziałały na jéj zdrowie. Ja sam jak się zastanowiłem, przyznam ci się żem ostro siebie zganił za ustępstwo dla twoich zachceń.

„Mashorka ciągle we krwi brodzi. Więzienie, koszary i obóz są teatrami śmiertelnych widowisk, które w pewnych chwilach większe przybierają rozmiary, i mam powody wnioskować że to jest dopiéro wstęp do zbrodni na wielką skalę, gotujących się na październik.

„Na wszystkie strony jest mowa o tym domu, i poszepty o napadzie na niego. Nie wierzę w to, ale trzeba przewidywać wszystko. Pogłoska ta doszła do uszu Amalii. Chce koniecznie żeby ślub wasz nastąpił 1-go października, ponieważ ty postanowiłeś nie opuszczać kraju przed osięgnięciem tego celu twoich pragnień. Lecz przekonałem się iż p. Duglas nie może tu przybyć aż na 5-go i musiała zgodzić się na tę odwłokę.

„Wszystko już skończone. Rezultatem rokowań z panem Mackau będzie pokój. Jednakże będę czekał aż do ostatniéj chwili a wtenczas przywiozę ci Amalię, jak to już ułożone. Ja już wszystkie moje interesa uporządkowałem, i lada chwila spodziewam się mego kochanego ojca.

„Nie będę u ciebie aż pojutrze. List ten posyłam ci przez naszego poczciwego mistrza, który mocne ma postanowienie już się nie ruszyć ztamtąd.

Niech przy tobie pozostanie. Ściska cię twój Daniel.“

— Pan się zdrzemnąłeś, senior Candido,—mówił młodzieniec składając list.

— Nie, drogi Danielu, rozmyślałem.

— Aha, rozmyślałeś pan.

— Myślałem sobie, iż gdyby pani matka naszego pana gubernatora rzeczywistego nie była poślubiła godnego swego małżonka, bardzo prawdopodobnie nie byłaby miała syna, i mybyśmy dzisiaj nie musieli opłacać miłości małżeńskiéj, téj zacnéj pani.

— A, przysięgam panu że jeszcze mi taki argument przez głowę nie przeszedł,—mówił Daniel pieczętując list,—oto masz pan kartkę do Edwarda: proszę ją dobrze schować.

— A czy zaraz mam ją odnieść?

— Kiedy pan zechcesz. Ale pojedziesz pan moim powozem, a jeszcze nie gotów.

— A, to wyśmienity pomysł, mój kochany, i .....

Zastukano do bramy, i zaraz wszedł służący, oznajmując bardzo zmieszanym głosem komendanta Cuitinio.

Don Candido odrzucił się w tył krzesła i zamknął oczy.

— Niech wejdzie,—rzekł Daniel. Odwagi, kochany profesorze, to nic wielkiego.

— Ze mnie już nieboszczyk Danielu, — odparł Don Candido nie otwierając oczu.

— Proszę komendancie, — mówił Daniel powstając na przyjęcie gościa.

A zaś Don Candido usłyszawszy go w pokoju przez czysto mechaniczną reakcyę, podniósł się, roztworzył usta konwulsyjnym uśmiechem i wyciągnął obie ręce na ujęcie dłoni komendanta.

Straszny gość usiadł w rogu stołu, przy którym mistrz i uczeń tyle przepędzili godzin.

— Dawno otrzymałeś pan moje zaprosiny, komendancie?

— Już ze dwie godzin, ale byłem na czynności.

— A, ja też sobie mówiłem! kiedy idzie o służbę dla sprawy, wtenczas niéma jak pan! Właśnie wczoraj mówiłem to samo prezydentowi, bo jeśli mamy łazić żółwim krokiem jak naczelnik policyi, to lepiéj jasno powiedzieć a nie okłamywać Restauratora. Co się mnie tyczy komendancie, ja już nawet nie wiem co to noc przespać! Caluteńką dzisiejszą noc składaliśmy *Gazety* żeby je rozesłać na wszystkie strony, bo Restauratora wolą żeby się rozchodził federalny zapał. I właśnie ten oto pan robił mi pewną uwagę, która panu już także musiała przychodzić na myśl.

Don Candido zaczynał już zwolna powracać do siebie usłyszawszy że Cuitinio przybył tu na zawezwanie Daniela.

— Cóż to takiego, panie Danielu? — pytał komendant.

— Że *Gazeta* ani słówka nie mówi o panu, ani o federalistach, którzy bezustannie narażają swoje życie dla podtrzymania sprawy.

— Nawet raportów nie umieszczają!

— Komuż je pan przesyłasz?

— Teraz przesyłam policyi, od czasu jak Restaurator w obozie. Widzę ja to dobrze i ten pan ma słuszność.

— Oh! panie komendancie, — odezwał się Don Candido,— kogóżby nie zdumiewało to milczenie względem męża tak wielce zasłużonego!

— I to nie dopiéro od dzisiaj.

— O, zapewne że nie od dzisiaj. Przed przyjściem na świat miałeś już pan prawa do szacunku powszechnego, bowiem senior de Cuitinio ojciec pański należy do jednego z najpiérwszych szczepów naszych najczcigodniejszych familii. Jeden ze znakomitych stryjów pańskich, mój przezacny komendancie, był ożenionym jak to słyszałem od moich rodziców, z jedną kuzyną mojéj pani matki i z téj przyczyny miałem zawsze ku panu przychylne uczucie kre-

wnego, a w dodatku łączą nas ścisłe i federalne węzły naszéj wspólnéj sprawy.

— Takim więc sposobem jesteś pan moim krewniakiem? — pytał Cuitinio.

— A tak, i to bardzo blizkim. Taż sama krew w naszych żyłach krąży i winniśmy sobie miłość, szacunek i opiekę wzajemną, dla przechowania naszego rodu.

— Kiedy tak, jeżeli mogę w czém usłużyć . . .

— Jakże to komendancie! — przerwał Daniel ażeby Don Candido nie wydał się z czém więcéj—nawet raportów nie ogłaszają?

— Ale gdzie tam: w téj chwili posłałem im raport o tym dzikim unitaryuszu Salces, nie ogłoszą go z pewnością.

— Salces?

— A tak, stary Salces, dopiéro co go zarżnęliśmy.

Don Candido zamknął oczy.

— Leżał w łóżku, aleśmy go ztamtąd wywlekli i na ulicy odcięliśmy mu głowę. Tamtego dnia zarżnęliśmy jednego Tukumana, w przeszły czwartek zarżnęliśmy ośmiu: ze wszystkiego posłałem raporta, i nic. Kiedy tak, ma słuszność mój krewniak . . . jak się zowie?

— Candido, — odrzekł Daniel widząc iż właściciel tego imienia, nie wyglądał już na właściciela swojego życia.

— A więc powiadałem, ma słuszność mój krewniak Candido, i otóż jak się rozpocznie rzecz na wielką skalę, nie będę się spowiadał nikomu.

— Jakto! dopiéro się ma rozpocząć? — spytał Don Candido głosem, który jakby nie z piersi ludzkiéj lecz z grobu wychodził.

— Właśnie, teraz się zacznie na dobre: już mamy rozkaz.

— Bezpośrednio go otrzymałeś komendancie?

— Tak panie Danielu. Już teraz nie znoszę się z nikim, tylko wprost z Restauratorem: nie pytam już o Donię Maryę Józefę.

— Patrzcie, już mu się naprzykrzyła!

— Teraz z nią tam w konszachtach Gaetan, Badia i Tronkoso; i zawsze o Baraki i zawsze o tego dzikiego co zemknął, jak gdyby on nie był już u Lavalla.

— Ta pani i mnie nawet nienawidzi!

— Nie, o panu mi nic nie mówiła; tylko téj krewnéj pana nie cierpi.

— Powiem panu kiedyś dlaczego. Ale cóż więcéj słychać? Jeszcze nie otrzymałeś pan pewnego rozkazu?

— Nie wiem o co idzie?

— O ten wielki dom, na *Retiro*.

— Ach, dom konsula? Nie, rozkazu jeszcze niéma. Ale już wiemy.

— Ot tak! — i Daniel dłoń ze ściśniętemi palcami podniósł przed oczy komendanta.

Professorowi zjeżyły się włosy, oczy wyskakiwały mu z oprawy, zdawało mu się że w Danielu widzi samego Judasza.

— Wiem, wiem, — odrzekł Cuitinio.

— Ale rozkazu niéma?

— Nie.

— Tém lepiéj i właśnie po to pana zawezwałem. Pański kuzyn jest pewny i wtajemniczony w to wszystko. Otóż panu powiem że jeszcze nie czas, jeszcze ich tam nie wielu. Ale teraz kiedy się na dobre zaczyna, to się dom napełni. I tak około 8-go, 9-go . . . rozumiesz mię pan?

— Tak, tak, — odparł Cuitinio promieniejący dziką radością zrozumiawszy Daniela.

— Całą gromadkę za jednym zamachem!

— Don Candido myślał o sobie że zwaryował, bo nie mógł uwierzyć że to słyszy.

— Brawo! — mówił Cuitinio—to paradnie! Tylko aby rozkaz.

— A tak, bez rozkazu uchowaj Boże! Ale ja już za tém chodzę.

— I Santa-Coloma także; on ma złość na heretyka: miał tam z nim jakąś bójkę.

— Wiem o tém wszystkiém. Otóż jak ja dostanę rozkaz, to panu dam znać, a jeśli go dostanie Santa Coloma, pan mię uwiadomisz natychmiast.

— Czemu nie!

— Bo widzisz pan taka jest rzecz: ja muszę być tam obecny i przypilnować żeby czasem w zapale federalnym nie tknęli papierów konsulatu. Restaurator gniewałby się, bo to ściągnęłoby mu zatargi z obcém mocarstwem. Rozumiesz pan?

— O, teraz rozumiem.

— Ale choć Santa-Coloma dostał rozkaz, ja jestem tego zdania że lepiéj zaczekać z ośm, dziesięć dni, aż ich będzie więcéj.

— Ani słowa że lepiéj.

— Toż to gratka komendancie!

— O! my wszyscy na to się radujemy.

— To więc już wszyscy o tém wiedzą?

— Wszyscy. Ale póki rozkazu niéma, żaden się na nic nie poważy. Tylko cośmy umyślili! Już od dzisiejszéj nocy będziemy się zaczajać w okolicy domu.

— A to dobra myśl; tylko o jedném trzeba pamiętać: nie zaczepiać żadnego powozu, tych tylko zatrzymywać co pieszo idą.

— A dlaczegóż powozów nie można?

— Bo to mogą być powozy konsula, a wszystko należące do konsulatu jest pod opieką Restauratora. Tknąć powóz jest to samo co napaść na konsula.

— A! to ja nie wiedziałem!

— Widzisz pan jak to dobrze pogawędzić z sobą? Jakby to się Restaurator gniewał, gdybyśmy się tak spisali żeby go w nowe wplątać wojny!

— Zaraz ostrzegę towarzyszy.

Tak, tak, nie trać pan czasu: z takiemi rzeczami bardzo trzeba ostrożnie.

— Rozumie się!

— Więc już rzecz ułożona. Pamiętaj pan że nic bez rozkazu.

— Niechaj Bóg broni, panie Danielu!

— A jak będzie rozkaz, czekamy aż ich tam się zbierze więcéj.

— To, to! A teraz idę ostrzedz żeby nie tykali powozów.

— Tak, tak, to najpilniejsze: zobacz się pan ze wszystkiemi.

— Otóż, Candido, jeżeli mogę ci w czém usłużyć, wiesz żem twój krewniak.

— Dziękuję mój najukochańszy i najzacniejszy kuzynie, — odrzekł Don Candido więcéj niż nawpół nieżywy, powstając i biorąc w obie dłonie wyciągniętą do siebie prawicę.

— Gdzie mieszkasz?

— Mój drogi... ja mieszkam... mieszkam tutaj.

— To dobrze, przyjdę cię odwiedzić.

— Dziękuję, dziękuję!

Daniel wyprowadził gościa i przy pożegnaniu w sali, wsunął mu w rękę sporą sakiewkę.

— Komendancie, tu jest pięć tysięcy *pesos*, które mi ojciec mój przysłał dla rozdania pomiędzy biédnych federalistów, a ja pana proszę żebyś tém za mnie się chciał zająć.

— Zdadzą się, panie Danielu. A kiedyż przyjedzie Don Antonio?

— Codzień go się spodziewam.

— Każ mi pan dać znać jak przybędzie.

— Nie omieszkam. Idź pan z Bogiem i służ sprawie.

Daniél wrócił do gabinetu, i niezwracając na to uwagi że D. Candido coraz to rzucał nań spojrzeniem, w którém gniew łączył się z pewnym rodzajem osłupienia, usiadł, wziął ćwiartkę papieru i kreślił następujące wyrazy:

„Edwardzie, wiem już z pewnością, że wszystko co słychać o projektowanym napadzie na dom pana Slade, są to dotąd tylko czcze gadaniny, bo rozkazu jeszcze niema żadnego w tym względzie. Jednak potrzeba aby konsul dał znać wszystkim, którzy go prosili o przytułek, niech pod żadnym pozorem nie idą tam pieszo, bo na około domu są czaty; lecz powozami mogą całkiem bezpiecznie przybyć, a jeszcze lepiéj, żeby to był powóz samego pana Slade. Bądź zdrów"

— Teraz mój kochany mistrzu, w miejsce jednego listu masz pan dwa, — mówił Daniel, wyciągając doń rękę ze świeżo napisaną kartką.

Lecz mistrz wzdrygnął się z oburzeniem.

— Nie! alboż i mnie chcesz wplątać w twoją czarną zdradę?

— Jest coś nowego! czy zmysły stracił szanowny krewniak pana Cuitinio?

— Z samym Belzebubem musi być spokrewniony ten morderca, ale nie zemną!

— Przecież pan to sam powiedziałeś?

— Wiemże ja co mówię? ja myślę że zwaryowałem, widząc siebie w tym labiryncie, otoczony zbrodnią, zdradą, kłamstwem: kto ty jesteś, powiedz? Określ swoje stanowisko. Jakże ty w mojéj obecności mówisz żeby napadano na dom gdzie ja mam znaleźć przytułek, gdzie się znajduje ten młodzieniec którego zwiesz swoim przyjacielem, gdzie...

— Na miłość Bozką, panie Candido, toż wszystko panu trzeba tłumaczyć!

— Jakież tłumaczenie może mieć miejsce tam, gdzie ja sam słyszałem?

— To, — rzekł Daniel rozkładając kartkę niezapieczętowaną i podając professorowi, którego twarz i oczy rzeczywiście przestraszały.

— A-a-a! — wykrzyknął odczytawszy ją dwukrotnie.

— To jest, senior Don Candido, co się nazywa pracować na cudzym warsztacie, wikłać ludzi w ich własne sidła, ich rękami niweczyć własne ich plany, posługiwać się swemi przeciwnikami: jest to słowem, cała mądrość Riszeliego, zastosowana do bardzo szczupłych ramek, ponieważ niema tu Anglii ani Roszelli, lecz gdyby były, również bym je zastosował. A teraz, powóz mój czeka, jedź pan, i w spokoju odpoczywaj na północnoamerykańskim gruncie.

— Pójdź w moje objęcia, nieporównany młodzieńcze, przez którego przebyłem najokropniejszą z chwil mojego życia!

— No, a po uściskach, idź-że pan już do powozu, wielce znakomity krewniaku komendanta Cuitinio.

— Nie znieważaj mię Danielu. Bądź zdrów, najdroższy, bądź zdrów!

W pół godziny potém, Don Candido Rodriguez z głową do góry przechadzał się po terrytoryum Stanów Zjednoczonych, według jego wyrażenia; a tymczasem Edward odczytywał listy przyjaciela.

XV.

Wróżby i przeczucia.

W dniu 5-tym października, miasto na czerwono umalowane, przystroiło się na wszystkie strony w chorągwie: był to wymysł dyktatora dla większego uświęcenia każdéj federalnéj uroczystości. A uroczystość dziś niemała, bo to rocznica dnia w którym przed dwudziestu laty ból zębów przeszkodził mu znajdować się na czele swego oddziału zdobywającego twierdzę. Wojsko

biło się bez niego, pod innym dowódzcą, lecz uroczystość święci pamiątkę męztwa bohatéra pustyń.

Lecz wyjdźmy z miasta, które mimo godowego stroju smutkiem serce przejmuje, a z wysokości wzgórza *Balcarce* popatrzmy raczéj jak wygląda w dniu tym wiosenna przyroda.

W przestrzeni światło niby ocean płynnego złota, firmament jak niewinność przezroczysty, powietrze łagodne i pieszczotliwe jakby macierzyńskie tchnienie.

Błonia uśmiechnięte błyszczą wszystkiemi barwami, kąpiąc się w potokach jasności: to nadziei szata rozpostarta na ziemi z całém swojém bogactwem, ze świetną grą fantazyi, jak złudzeń, przejrzysty rąbek na duszy zakochanéj kobiéty w zaraniu życia.

Wszystko tu piękne, łagodne, urocze. To żywa sprzeczność z moralném przyrodzeniem poblizkiego miasta.

Lecz zejdźmy na dół. Jest coś, co bardziéj nadto piękne i urocze. Jest bardziéj uderzające i niepojęta sprzeczność; mistyfikacya szczęścia czy niedoli, albo raczéj prześliczne szyderstwo ze wszystkiego co się działo w owych chwilach: Amalia łudząca się szczęściem, sama w nie nie wierząc.

Amalia piękna jak nigdy, rozmarzona jak dusza poety, cała miłością tchnąca, łzą własne zrasza szczęście i rozkoszuje się swoim smutkiem: to tajemnica Boga i przeznaczeń, łup który sobie wydzierają szczęście i niedola, życie i śmierć.

Wejdźmy do onéj zaczarowanéj willi, która znów dawnym jaśnieje wykwintem. Blask słońca przez zazdrostki i firanki zmiękczony, oświeca bogate kobierce i sprzęty salonu; napełniają pokój wonne kadzidła z róż i fijołków porozstawianych w koszykach filigranowéj roboty, z hiacyntów i laków w małych wazonach ze złoconéj porcelany; ciszę przerywa zaledwie blizki szmer wichru pomiędzy drzewami: to ustroń przeznaczona zaprawdę na przybytek miłości, poezyi i wytworności.

Bogini téj groty tu niema. Z rozplecionym włosem okalającym w nieładzie śliczną jéj główkę, w rannym szlafroczku przewiązanym sznurem jedwabnym, była w gotowalnianym pokoju ze swoją Luizą. Piękna zawsze, w każdéj przemianie urocza, fizyognomia jéj była więcéj niż zazwyczaj ożywiona. Oczy jéj zawsze płonące niebieskiém światłem, wymykającém się z ciemnéj źrenicy jak pierwszy promień jutrzenki przedziera się przez cienie co wschód jeszcze zalegają, zarówno jak twarz jéj żywszym ogniem jaśniały. Wszystko w niéj dziś niezwyczajne.

Stała na środku pokoju, a wkoło niéj rozłożono po krzesłach, na zwierciadłach szaf porozwieszane, przepyszne suknie, bogate koronki i stroje. Ona to wszystko przekłada, podnosi, ogląda. Przymierza na siebie i przegląda się w zwierciadłach. To jest nie ta Amalia poważna, smętna i rzewna, lecz młoda zalotnica rozmiłowana w przepychu i strojach, w błachych drobnostkach i próżności.

Bo dziś Amalię po raz pierwszy w życiu nawiedziła zalotność; chce być piękną, piękną tylko dla niego, w dniu złączenia wspólnych losów, w dniu szczęścia ich obojga .. ach! i rozłąki! Ostatnia myśl ta wśród zajęcia ślubnym strojem coraz do jéj marzeń się wtrącała. Kiedy słońce znów zejdzie, oni będą rozłączeni! i wtenczas Amalia dłonią przyciskała oczy. Lecz znów je otwierała, potrząsała głową jakby dla pozbycia się téj smutnéj myśli. Ona sama ten odjazd przyśpieszyła, przygotowała doń swoję duszę, zahartowała swoję trwożliwość, a co więcéj odważyła się na to co uważała za bluźnierstwo: mówienie o szczęściu wpośród żałoby i krwi tylu innych! On musi dziś koniecznie jechać. Pod tym warunkiem go poślubię. A ona późniéj za nim pojedzie, jak tylko będzie można wydobyć się z tego grobowca żywych...

— Ach, co to będzie za dzień, kiedy wszyscy razem znajdziemy się w Montewideo, — mówiła Luiza znając myśl swojéj pani.— Jak tam prędko, powiadają, matka panny Florencyi ozdrowiała!

— A, one się uradują pojutrze!

— Ale tutaj . . . widzi pani? nawet ptaszki już nie śpiewają!

— To prawda! uważałaś? one dziś wcale nie śpiewały! — zawołała Amalia patrząc na klatki, jakby jakaś nowa myśl ją uderzyła. — Ale... nie chcę dziś o niczém myśléć, tylko o tém żem szczęśliwa...

I znów wracając do strojów, wybrała wreszcie suknię, która najlepiéj przypadała do jéj obecnego usposobienia, z wielkiém zmartwieniem Luizy, bo inne były świetniejsze.

— A teraz, pani pewno będzie wybierać klejnoty?

— Nie, moja mała, na taki obrzęd nie bierze się klejnotów na siebie.

— A, pani! już jak ja będę kiedy iść za mąż, i będę miała tyle pięknych rzeczy co pani...

— To się w nie ustroisz. Dobrze, ale teraz idź do sali i przynieś mi róże co tam są.

Luiza pobiegła i przyniosła koszyk z różami. Kwiaty były uciechą i skarbem Amalii. Postawiła koszyk na kolanach, brała róże po jednéj, wąchała, przypatrywała się, a serce jéj snać wydzierały sobie nawzajem przyszłość i przeszłość, szczęśliwość i czarne myśli, bo na twarz jéj przed chwilą rozjaśnioną, wrócił zwykły wyraz słodkiéj smętności.

Kwiaty, wieś, morze, pół-światło, godziny zmierzhu, wywierają na tkliwe i poetyczne dusze pewien wpływ niepochwycony organami zmysłów, z którego dusza sama sobie sprawy dać nie może, ale go czuje i ulega mu. Jest tu prawdziwa cześć religijna Boga, któréj świątynią natura, a kapłanem serce ludzkie.

Wreszcie Amalia zdawała się już zadowolnioną z jednéj róży, którą z pośród innych wybrała, i włożyła ją w kryształowy kubek na swojéj gotowalni.

— Oto moje dyamenty, — rzekła do Luizy.

Lecz czy to naczynie było zbyt małe, czy ciężar kwiatu przeważył, róża wypadła na biały marmur gotowalni, i listki posypały się aż na podłogę: Amalia zadrżała.

— To osobliwsze! dwa razy już mi się to samo przytrafiło i zawsze z białą różą: w dniu kiedy mu oddałam serce, i w tym kiedy mu mam oddać moję rękę . . nie . . Luiza, zobaczmy co jeszcze więcéj potrzeba.

Widocznie w dniu tym staczała w sobie uporczywą walkę z zabobonną trwogą, która nagabywała jéj umysł. Wyjęła sama z szafy pudło z paryzkiém obuwiem, i wybrała trzewiczki zrobione jakby na miarę dwunastoletniéj dziewczynki; odłożyła na bok kilka innych przedmiotów potrzebnych do ślubnego ubrania, a potém przystąpiła do klatki żeby pieścić ulubieńców zaniedbanych dziś od rana.

Lecz napróżno zaczepiała ich różanym paluszkiem wsuniętym między złocone pręciki, machała rękami nad klatką, wstrząsała nią, co je zwykle pobudzało do śpiewu: ptaszki skakały po pręcikach, jakoś ociężale, i nie odzywały się.

— Co im jest, seniora? — pytała Luiza zdziwiona tą niezwyczajnością.

— Smutne są! — odrzekła Amalia widocznie pod przykrém wrażeniem. Łza zwilżyła jéj źrenicę. Wyobraźnia dręczyła tę duszę tak tkliwą a tak losem targaną i własném usposobieniem.

Przystąpiła do okna, uchyliła firankę i wpatrywała się w czyste lazury niebios.

— Nie może być piękniejszy dzień. Jaki spokój . . tylko nie w mojéj duszy! . . Która godzina?

— Trzecia wybiła przed chwilą.

— Jeszcze pięć godzin brakuje! . . Luizo, posprzątaj to wszystko.

Mówiąc te słowa Amalia zasunęła napowrót firankę, potém przeszła do sypialnego pokoju i drzwi zamknęła za sobą. Tu panował zmrok zupełny, zazdrostki u okien były pospuszczane. Amalia poszła do małego stolika obok swego łóżka i uklękła przed hebanowym krucyfiksem.

Z pochyleniem głowy zsunęły się jéj włosy, tylko małym grzebykiem przytrzymane, i gęste ich promienie rozpuściły się jakby płaszczem okrywając jéj ramiona.

Tak, na kolanach, oparta o stół, krzyż ściskając w dłoniach, podobną była pięknéj Magdalenie. Syn Boży słuchał serdecznych słów jéj modlitwy, spojrzenie Opatrzności wszech świat ogarniające czytało w téj przeczystéj duszy prawdę jéj miłości, wiary i nadziei. . .

* *
*

W tymże samym dniu 5 go października, wieczorem, widzimy w mieście powóz zatrzymujący się przed niepozornym domem w jednéj z ustronnych ulic. Po chwili wyszedł z tego domu staruszek w ubraniu duchownego, i wsiadł do powozu, gdzie witał dwie osoby zapewne oczekujące na niego. Konie ruszyły rączym truchtem, biegły zwracając z ulicy w ulicę, aż na jednym skręcie musiał woźnica raptem powściągnąć lejce: o mało nie uderzył o trzech jeźdców przybywających od strony pola, na koniach bez podków, widocznie znużonych kilkomilowym galopem. Jeden z kawalerzystów zdawał się być w podeszłym wieku, i dowódzcą lub panem innych: poznać to było po przepysznym stepowym wierzchowcu, i po odległości, znamionującéj uszanowanie, w jakiéj za nim w tyle jechali.

Właśnie ósma wybiła. Ulica *Larga* na Barakach była prawdziwą pustynią. Oko nurzało się w niéj, nie spotykając ani jednéj żyjącéj istoty, ani światełka, ani żadnéj wskazówki życia; odgłosu żadnego nie słychać, tylko szelest wiatru po liściach drzew. Rzekłbyś że to jedno z owych miejsc jakie sobie obierają innych światów duchy, kiedy schodzą na nasz świat, w tumany płat obwinięte, i tam biegają, prześlizgują się, potrącają, śmieją się, śpiewają, płaczą, to w szyby zadzwonią, już się rozpraszają, nikną, i bez kształtu ani koloru po czole muskają, rozgarniają włosy, dmuchnięciem rozogniają wyobraźnię i umykają; naokół miejsc takich pusto i tajemniczo: tam dusza pochwycona zdziwieniem, skupia się w sobie, uciska ją coś nieokreślonego, własnéj fantazyi zmyślenia ukazują się jéj widziadłami na tle ciemności, mary oddalają się i przybliżają, zjawiają się jakby dymu spiralne kręgi, i rozprawiają się jak mgła w przestrzeni; światełka nagle zapalają się i gasną, w powietrzu słychać śmiechy, jęki, których głos jakby znajomy duszy, i ta coraz bardziéj odurzona, ogarnia ją jakieś uczucie które nie jest właściwie pospolitym strachem, lecz niby snem na jawie, coś bardziéj zbliżonego do śmierci niż do życia, do ciemnéj wieczności z jéj tajemnicami niźli do obecności z jéj rzeczywistemi niebezpieczeństwy: mamidła duszy ale nie zmysłów, widzenia wyobraźni w pewnych miejscach, w szczególnych godzinach i w danych okolicznościach . . . . .

Lecz w pośrodku téj głuchéj pustyni znajdowało się ukryte życie, wśród tych ciemności biły potoki światła osłonione murami pięknéj willi.

Tam w salonie pięćdziesiąt świec odbija swój płomień w zwierciadłach, w połyskujących sprzętach, w wielkich urnach z rżniętego kryształu dźwigających ogromne bukiety, a na szlifowanych karbach pomiędzy kwiatami, igrają barwy wszystkich

drogich kamieni: rubinów, szafirów, szmaragdów, i mieniącego się opalu, i dyamentu błękitnawy ogień.

Gabinet obok salonu tak samo rzęsiście oświecony, tylko w sypialni przyćmiona płonie lampa, a za nią w gotowalnianym pokoju postać Amalii wśród światła promieni się jak *gwiazda wieczorna* wpośród miliona gwiazd. Stojąc przed zwierciadłem dokończała stroju wdzięcznego smakiem, a cała jéj osoba, nadobna, w młodzieńczéj świeżości, przenosiła myśl w biblijne wieki i przypominała urocze Izraela córy.

Miała na sobie suknię z ciężkiéj materyi koloru jasno-lila, z dwoma szerokiemi falbanami z białéj koronki, podpinanéj białemi różami, doskonałą sztuką naśladującemi świeżość naturalnych. Na szyi miała tylko sznurek pereł, na którym zawieszony medalion z wizerunkiem jéj matki, krył się wpośród mgły koronek przysłaniających jéj śnieżne łono. Włosy podwójnym warkoczem zwinięte z tyłu głowy, od przodu zbiegały w pierścieniach aż na ramiona, a po nich spadały końce z angielskiéj koronki, przepiętéj na głowie białą różą, w miejsce osypanéj wybraną.

Nie ta lub owa rzecz w szczególności, ale całość, ale ona sama porywała wzrok i olśniewała.

Oczy jéj, najśliczniejsze w świecie, niezwykle dziś ożywione, usta jak rubin płonęły, a delikatny odcień jakby wiosennéj róży rozpędził zwykłą bladość jéj twarzy. Czy to było wszystko naturalnym skutkiem owéj ukrytéj gorączki, która krew burzy w stanowczych chwilach ludzkiego życia? czy téż tylko ożywienie, jakie w kobiécie zwykło sprawiać światło i zwierciadła gotowalni, blask jéj własnéj piękności i fantazyjne rojenia myśli? któż to wié! Fizyologia niewieściego serca złożona cała z tajemnic, wśród których śledząc gubi się rozum! .....

Zégar wydzwonił ósmą, a od piérwszego uderzenia, następne można było rachować uderzeniami serca Amalii przez śniegi koronek co piersi jéj przesłaniały, i nagle rubiny i róże przybrały barwy perły i jaśminu.

— Jak pani pobladła,—zawołała Luiza, która jéj się ciągle przyglądała w zachwyceniu,—i to zaraz jak tylko ósma wybiła!

— Właśnie dlatego,—odrzekła Amalia przesuwając dłoń po czole, i usiadła. Nie wiem co to jest? od szóstéj wieczorem, każdy raz co słyszę bijącą godzinę, okropnie cierpię.

— A tak, i ja to już trzy razy uważałam. Wié pani co zrobię? zatrzymam zegar, żeby pani znów nie zasłabła jak uderzy dziewiąta.

— Nie... nie potrzeba. O dziewiątéj już oni tu będą i wszystko się skończy. To nic, już przeszło,—mówiła powstając i odzyskując dawniejsze kolory. Idź, powiedz niech tu przyjdzie Pedro.

Dziewczynka wybiegła, a tymczasem Amalia przyciskała do ust miniaturę matki.

Wkrótce wszedł Pedro, tak świéżo wygolony i wyczesany, z zapiętym surdutem pod samą szyję, z miną tak marsową, że wy-

glądał jakby mu dwadzieścia lat ubyło na dzień ślubu córki jego pułkownika.

— Mój poczciwy Pedro,—mówiła ona,—w moim domu nic się nie zmieni. Pragnę być zawsze dla ciebie tém, czém dotąd byłam; życzyłabym sobie abyś i nadal miał pieczę nademną jakby nad córką, a jako piérwszy dowód przywiązania chciałabym abyś mi przyrzekł że się nigdy zemną nie rozłączysz.

— Seniora, ja . . . ja . . . nie mogę mówić,—rzekł wstrząsając głową jakby ze złości, albo jakby na ukaranie łez które mu wzrok mroczyły i dławiły mowę.

— A więc odpowiedz mi tylko jednym wyrazem, *tak*. Chciałabym ażebyś w następnym tygodniu towarzyszył mi do Montewideo, ponieważ mój przyszły małżonek musi dzisiejszéj nocy kraj opuścić, moim obowiązkiem jest udać się za nim. Zgadzasz się na to, Pedro? Tak?

— Tak, a jakże, tak, seniora, tak,—powtarzał chcąc pokazać stałość, i dowieść że mógł wiele wymówić wyrazów.

Amalia zbliżyła się do stolika, otworzyła hebanową szkatułkę napełnioną drobnemi klejnotami, wyjęła z pomiędzy nich pierścioneczek, i odwracając się do starego towarzysza swojego ojca, rzekła:

— W tym pierścionku są moje włosy z czasu kiedy byłam małém dzieckiem; niema on innéj wartości i dlatego chcę żebyś go miał na pamiątkę. Mój ojciec nosił go na wojnie.

— A jakżeł ten sam, znam go, jak go niemam znać!—rzekł żołnierz pochylając głowę i całując pierścionek który był w ręku jego pułkownika, jak gdyby to była relikwia.

Oczy Amalii a nawet Luizy zabiegły łzami na widok tego uczucia niekłamanego, płynącego z serca i z pamięci.

— Drugą jeszcze mam prośbę, Pedro. Chcę żebyś razem z Danielem był za świadka przy moim ślubie. Nie będzie tylko was dwóch.

Za całą odpowiedź wojak przystąpił do Amalii, ujął jéj rękę w swoje dłonie drżące ze wzruszenia i z uszanowaniem ją pocałował.

— Czy wysłałeś obu służących z willi?

— Jeszcze o zmroku, jak pani kazała: jestem sam jeden.

— Jutro rozdasz pomiędzy nich te pieniądze, nie mówiąc dlaczego,—mówiła Amalia podając mu paczkę papierów bankowych które wzięła ze stołu.

— Pani,—rzekła Luiza,—zdaje mi się że coś słychać od drogi.

— Czy wszędzie pozamykane, Pedro?

— Tak pani. Tylko ta furtka w żelaznéj kracie, nie rozumiem co to jest . . . dwa razy już, mówiłem to pani, znalazłem ją otwartą z rana, choć sam ją zamykam i klucz mam schowany pod poduszką.

— Dzisiaj nie mówmy o tém.

— Pani,—odezwała się znów Luiza,—to powóz jedzie... o, i stanął.

— Słyszę. To pewno oni. Wyjdź Pedro, ale nie otwieraj póki nie poznasz.

Weteran wyszedł przez pokoik Luizy w dziedziniec, dla przekonania się kto przybywa do domu córki jego pułkownika.

XVI.

Śluby wieczyste.

Amalia nie myliła się. Były to w rzeczy saméj osoby na które oczekiwała od tylu godzin i z takim niepokojem. Niedługo poznała kroki Daniela przechodzącego przez jéj sypialny pokój.

— Ach pani — rzekł zatrzymując się we drzwiach i patrząc na nią, — szedłem tu w nadziei iż będę miał przyjemność zastać tu piękną kobietę, a zdumiony jestem szczęściem znalezienia bóstwa!

— Doprawdy? — odrzekła Amalia ze swoim czarownym uśmiechem naciągając na palce maleńką białą rękawiczkę.

— Z największą pewnością,—mówił daléj zbliżając się zwolna i oglądając ją rzeczywiście z podziwem;—a na dowód wyznam iż po raz piérwszy patrzę na kobiétę takiém okiem jak na pewną inną, któréj...

— Któréj ja zaraz dziś doniosę tę nowinę.

— A za to ja... ja to zrobię,—i mówiąc przystąpił bliżéj, objął ją z nienacka i pocałował w czoło; a potém odskakując o kilka kroków dodał:—a teraz mówmy seryo.

— Już wielki na to czas.

— Otóż Edward tam czeka a z nim ksiądz który tu nie może dłużéj nad kwadrans pozostać.

— A to dlaczego?

— Dla tego, że powóz musi na niego przed bramą czekać a może przechodzić patrol, zwrócić uwagę, a ztąd....

— Ach, prawda, prawda... rozumiem... chodźmy Danielu.

Postąpiła krok, i stanęła opierając rękę na stole.

— Cóż to takiego? co ci jest?

— Nie wiem... chciałabym śmiać się sama z siebie, a nie mogę.. nie wiem co się dzieje z mojém sercem...

Młodzieniec wziął rękę siostry, położył na swojém ramieniu i poprowadził ją do salonu gdzie ich oczekiwano.

Edward ubrany był całkiem czarno, w białych rękawiczkach. Przy bladéj jego twarzy mocniéj jeszcze odbijała hebanowa czarność jego włosów i pięknych oczu, ciemną okolonych obwódką, która nadawała męzkiéj jego fizyognomii smętny i poetyczny charakter.

Mimo całego hartu jego duszy, nie możebném jest człowiekowi z sercem, obojętnie przechodzić chwile tak wielkich postanowień w życiu. Małżeństwo, akt który przecina żywot człowieka oddzielając przeszłość od przyszłości, ustala szczęście lub nieszczęście reszty dni jego bytu; rozłączenie się z ukochanym przedmiotem wraz przy skosztowaniu piérwszéj kropli pożądanéj szczęśliwości, a w ostatku, opuszczenie kraju wśród śmierci zagrażającéj na każdym kroku postawionym na ojczystych brzegach przy ich pożegnaniu: wszystko to są okoliczności zdolne owładnąć i pognębić duszę najbardziéj przyzwyczajoną do żelaznych ciosów losu, gdy wszystkie na jeden raz pomieścić się miały w szczupłym zakresie kilku godzin.

Oblubieńcy rozmówili się obszernie piérwszém wzajemném spojrzeniem.

Kapłan już najprzód uwiadomiony iż ceremonia ma się odbyć pospiesznie, w jednéj chwili przygotował się do aktu może najważniejszego w swojém powołaniu: akt który spaja w jedno dwa żywoty i dwie dusze, który wezwaniem imienia Boskiego uświęca to co serce ludzkie ma w sobie najświętszego i najszczytniejszego, co łączy upadłego anioła z jego Stwórcą: miłość.

Kapłan skończył modlitwę, zadał pytanie, na które odpowiedź jest przysięgą daleko aż po za grób sięgającą, i któréj żadne ludzkie nie wyrzekną usta bez gorętszego serca bicia. I w imię nierozdzielnéj i wiecznéj Trójcy, Edward z Amalią zostali połączeni na ziemi i w niebie; gdyż dusze które Bóg łączy na ziemi najczystszém swojém natchnieniem, jeżeli się tu na chwilę rozdzielą, tam się znów połączą z sobą na łonie błogiéj nieśmiertelności!

Westchnienie wybiegło z uciśnionych piersi, i w ręki ściśnieniu, w spojrzeniu głębokiém, w uśmiechu, nowożeńcy przeżyli wieki błogiego wesela; po raz pierwszy w ich oczach łza radości zabłysła, i blade ich twarze nagle zarumienił odblask wewnętrznego uszczęśliwienia.

Skoro tylko zakończył się obrzęd, Edward dziękował kapłanowi, a tymczasem Daniel odprowadził Amalię na stronę.

— Ksiądz jedzie zaraz powozem, a ja wyjeżdżam na koniu Pedra, — powiedział do niéj.

— Jakto! ty jedziesz?

— Tak pani Belgrano, ja; gdyż mojém jest przeznaczeniem nie pozostawać spokojnie na jednem miejscu, dlatego ażeby pani małżonek dostał się spokojnie do Montewideo.

— Cóż to mój Boże! cóż się znowu stało? przecież miałeś z nami zostać aż do chwili jego odjazdu?

— To prawda, i będę tu; lecz właśnie dlatego na krótko muszę się oddalić. Umówiłem się z Duglasem że jeszcze się z nim zobaczę w pobliżu portu między dziewiątą a dziesiątą, żeby się dowiedzieć czy jaka nowa okoliczność nie nakaże jakiéj zmiany w naszym planie. A że to Anglik bardziéj punktualny od Anglika, pewien jestem że

nim kwadrans minie, on już będzie na miejscu schadzki, bo dziewiąta już blizko. Za godzinę będę z powrotem. Fermin odwiózłszy księdza pojedzie do domu i przyprowadzi mi tu wierzchowca, na którym wrócę potém do siebie. Ale muszę się spieszyć: idź pożegnać księdza.

Jednocześnie powóz ruszał z przed domu, Edward zamykał bramę, a Daniel furtką wyjeżdżał, nucąc jednę z naszych piosnek a raczéj dumek, których nuta mniéj więcéj jest ta sama do różnych słów: okryty ponszem, jechał małym truchtem z obojętnością prawdziwego *gaucho*.

Wróciwszy do salonu, Edward przystąpił do swojéj oblubienicy i małżonki i ująwszy obie jéj ręce, z rozkoszą się w nią wpatrywał. A potém przyciągnął do swojéj piersi i nie mówiąc, nie mogąc mówić, tulił ją w długim uścisku, pojąc się jéj szczęsnym uśmiechem, jéj spojrzeniem miłosném. Lecz nagle jakby elektryczną iskrą dotknięta młoda kobieta zadrżała, wyrwała się z jego objęć i ze spuszczoną głową przebiegła salę i gabinet, a wszedłszy do swojéj sypialni stanęła przed krucyfiksem, wlepiła weń wzrok jakby prosiła o radę lub opieki błagała.

Edward poszedł za nią prawie nieprzytomny ze zdziwienia a raczéj z przerażenia, na widok tego nagłego wzdrygnięcia się i bladości swojéj małżonki.

— Na Boga! co ci jest Amalio? — spytał w końcu biorąc ją za rękę i sadowiąc na małéj sofce obok siebie.

— Nic... nic Edwardzie, już przeszło... cierpiałam bardzo... zabobony... nerwy... nie wiem sama co, ale już minęło.

— Nie, Amalio, to coś było szczególniejszego; chcę wiedzieć co, bo w téj chwili ja więcéj cierpię niż ty.

— A więc uspokój się: to od bicia zegaru, więcéj nic.

— Ależ?...

Nie pytaj, nie rób mi uwag, wiem cobyś mi powiedział: ale to nie było w mojéj mocy i przez cały wieczór tego samego doznawałam wrażenia.

— Z pewnością to tylko?

— Przysięgam ci.

Edward odetchnął jakby mu ogromny ciężar spadł z duszy.

— Najdroższa,—mówił—gdy uczułem twoje wzdrygnięcie się, gdy uciekając z moich objęć poszłaś szukać opieki Boga, okropna myśl przemknęła mi się przez głowę i w ciągu minuty przeżyłem cały wiek udręczeń. Zdawało mi się że to objaw jakiegoś wstrętu, oburzenie się twojéj duszy przeciw węzłom które nas na wieki złączyły.

— I ty mogłeś to pomyśleć Edwardzie? o mój Boże! tego mi jeszcze brakowało!

— Przebacz mi najdroższa Amalio, przebacz... moje życie tak skołatane burzami, moja miłość niewymowna, słodkie nadzieje które we mnie ta szczęsna obudza chwila, wszystko to spiknęło się razem i umysłem moim zachwiało... Przebacz mi mój aniele...

Obsypywał ją tysiącznemi pieszczoty, a ona mówiła:

— To moja najpiérwsza i jedyna miłość, piérwsze zamęźcie, piérwszy mój szczęścia dzień. Boleści, osamotnienie, sieroctwo mo-

jego życia, wszystko zapominam. Dziś dla mnie rozpoczyna się życie przez ciebie, dla ciebie i w tobie. Jeżeli się czego lękam, to tylko téj okropnéj mary która mię zawsze prześladuje, pokazując mi iż w losie moim jest trucizna nieszczęścia, zabija lub nieszczęśliwymi czyni wszystkich którzy mię pokochają i jeżeli zamknęłam oczy na moją gwiazdę, to dlatego, że tylko moją ręką mogłam okupić twój odjazd. Gdyby nie to, byłabym poświęciła i to szczęście które mię teraz upaja, aby oszczędzić sobie nawet przypuszczenia iż mogę choćby jedną chwilę złą na ciebie sprowadzić . . . widzisz jak ciebie kocham!

— Oh, to zbyt wiele szczęścia, by jedno serce mogło je ogarnąć! . .

Chwile płynęły . . . godzina przeszła jak jedno mgnienie, albo jak długi wiek rozkoszy . . .

XVII.

Gody weselne.

Kiedy zegar wydzwaniał dziesiątą, Pedro otwierał furtkę na wejście Daniela usłyszawszy i poznawszy piosnkę jego w ponuréj i głuchéj ulicy *Larga*.

W tejże saméj chwili Amalia za piérwszém uderzeniem zegara, wstrzęsła się gwałtowniéj niż poprzedniemi razy i głowę chroniąc na piersiach swego małżonka, machinalnie objęła go rękami jak gdyby dźwięk kruszcu był złowieszczym głosem ducha boleści, oznajmującym jéj nieszczęście w tém co było połową jéj życia, jéj całem życiem.

— Co to jest mój ukochany? — rzekła wreszcie podnosząc na niego oczy z których błyskała miłość wśród chmury smutku i niepokoju, — co to takiego? Piérwszy raz w życiu odbywa się taka tajemnica w mojéj duszy i w miarę upływu godzin coraz silniejszego i gwałtowniejszego doznaję wrażenia. Więc nawet i obok ciebie nie mogę być szczęśliwą?

— Aniele drogi, to twoja wyobraźnia, nic innego. Umysł twój przygnębiony cierpieniom napełnił się przywidzeniami, które się prędko rozproszą, skoro miłość będzie czuwać nad twoim spokojem. Powietrze Buenos-Aires osłabia ducha i ciało; ale niedługo będziesz przy mnie daleko ztąd.

— Ach, jak najprędzéj mój Edwardzie. Ja tu żyć nie mogę i nigdzie dla mnie życia niéma bez ciebie.

— Zawsze będziemy razem.

— A dlaczegóż nie od dzisiaj. Zostawię wszystko: Pedro z Luizą potém za mną przybędą.

— Nie, to być nie może.

— Zabierz mię z sobą Edwardzie, zabierz mię. Alboż nie jestem twoją żoną? Nie powinnam pójść wszędzie za tobą?

— Ale nie możesz się tak narażać moja duszo, nie pozwolę na to.

— Więc ty się narażasz? Po cóż mię oszukują! przecież mi ręczono za zupełne bezpieczeństwo!

— I to prawda, niebezpieczeństwa niéma; lecz może nam wypadnie pozostać na rzece dwa, trzy, cztery dni.

— Cóż mi to szkodzi, skoro będę z tobą?

— Nie zmieniajmy nic w naszych planach Amalio. Po ślubie szanujmy wszelkie przedślubne zobowiązania. Jeżeli przed dwoma tygodniami nie przywiezie cię Daniel, to bez niego się wybierzesz; bo do téj pory będzie zawarty pokój z Francyą, a wtedy wsiadanie na statek stanie się zupełnie łatwém i bezpieczném. Pamiętaj moja droga, że odjeżdżam na twój rozkaz, a więc ty powinnaś zostać na moją prośbę . . . Lecz zdaje mi się że kogoś słyszę w salonie.

— To pewno Daniel!

Był to on rzeczywiście i wkrótce powitał młodych małżonków.

— Bóg na nas łaskaw Amalio,—rzekł—wszystko dobrze i zupełnie gotowe. Tylko zamiast czekać do świtania, Duglas wyznaczył godzinę wypłynięcia na dwunastą w nocy, to jest za dwie godziny.

— Po cóż ta zmiana?

— Ja ci tam tego nie umiem wyjaśnić, lecz taką mam ufność w przezorności i ooświadczeniu mego sławnego kontrabandzisty, że skoro on tę godzinę obrał, już go nie pytałem o nic, będąc pewnym że ta musi być najwłaściwszą.

Edward wziął rękę Amalii i w uścisku zdawał się chcieć przelać w nią całą swoją duszę.

Daniel popatrzył się na nich z czułością, a w końcu rzekł:

— Los odmówił dogodzenia najgorętszym życzeniom moim, pragnąłem widzieć uszczęśliwienie wasze z mojém jednocześnie. Wspólnie ogarnięci niedolą chciałem żebyśmy w jednéj godzinie odkradli przeznaczeniu chwilkę na naszą wspólną szczęśliwość; gdyby Florencya w téj chwili znajdowała się obok mnie, byłbym najszczęśliwszém stworzeniem na świecie . . . lecz zresztą dopiąłem pierwszéj połowy moich pragnień. Druga . . . w ręku Boga!

W sercach ich trojga mieściło się czucie tak głębokie, tak tkliwe, każde z nich tak zgodny brało udział w losie drugich, że ich wzajemne wrażenie szczęścia lub boleści, niepokoju lub smutku, magnetycznie udzielało się natychmiast i w téj chwili łza kradziona lecz z głębi serca wytryśnięta zwilżyła oczy ich wszystkich. Lecz Daniel posiadał w charakterze szczególną moc zapanowania nad sobą, a duszę tak szlachetną, tyle zdolną do zaparcia się, iż z łatwością poświęcał wszystko dla szczęścia drogich sobie osób. Zmiarkował się natychmiast iż okrucieństwem byłoby dolować kroplę zmartwienia do czary szczęścia zaledwo zbliżającéj się do ust tych dwóch istot, tak boleśnie przez los dotkniętych; powstał więc natychmiast i uścisnąwszy z kolei oboje, powiedział:

— Dajmy temu pokój a cieszmy się chwilami których nam los użycza i nie myślmy o czém inném jak o dniach które niedługo będziemy spędzać w Montewideo.

Pedro wniósł tacę z herbatą do gabinetu, który jak wiemy znajdował się pomiędzy sypialnym pokojem a salonem. Amalia z małżonkiem i bratem przeszli tam i zasiedli w około stolika.

Nim dziesięć minut ubiegło już Daniel powrócił wesołość do szczupłego przyjaciół grona. Pełen życia, miły, dowcipny, łatwy w rozmowie i zręczny w jéj zwrotach, umiał jéj nadać charakter i popęd, którym niepodobna było się oprzeć.

W ostatku zapragnął jeszcze młodą parę pogniewać z sobą, żeby ich obdarzyć przyjemnością pogodzenia się; gdyż według niego jedną z najpiérwszych potrzeb rozkochanego serca, były owe chwilowe gniewy sprowadzające pojednanie, a z niém powrót serdeczności w silniészéj potędze. A więc drażnił ich, probował obudzić zazdrość, żartował, śmiał się . . . aż nagle głos Luizy jak piorun padł między nich troje.

Był to krzyk przeraźliwy, okropny, na wskróś przeszywający i jednocześnie ujrzeli dziewczynkę wystraszoną, biegnącą z dalszych pokoi i również jednocześnie słychać było strzał w dziedzińcu, jakby nawałnicę krzyków i szybkich stąpań.

I zanim Luiza mogła wyrzec słowo, nim ją kto zapytał, wszyscy odgadli co się stało, a wraz z tém instynktowém odgadnięciem prawda ukazała się im przez szyby gabinetu, od tylnéj strony domu zkąd przybiegła mała: gromada przerażających postaci wtargnęła przez pokoik Luizy do gotowalnianego pokoju Amalii. I wszystko to zacząwszy od wykrzyku dziecka aż do ukazania się tych strasznych ludzi stało się w przeciągu chwili krótkiéj jak błyskawica.

Lecz także z równą szybkością Edward małżonkę wciągnął do salonu i porwał z kominka swoje pistolety.

W téj chwili, gdyż wszystko to było jednoczesnie i nagle, Daniel pociągnął stół i wraz z lampą, z tacą, ze wszystkiém co się na nim znajdowało, przewrócił we drzwiach łączących gabinet z sypialnią.

— Ratuj nas Danielu ! — wołała Amalia przyskakując do Edwarda gdy brał pistolety.

— Tak moja Amalio, lecz tylko walcząc, już nie czas mówić.

Ostatnie te wyrazy przygłuszył grzmot wystrzału pistoletów Edwarda, który dał ognia o cztery kroki do jakiéj dziesiątki łotrów już rozsypujących się po sypialni, a przez ten czas Daniel rzucał krzesła przede drzwi, a w podwórzu powtarzały się strzały i nagle ryk podobny do lwiego podniósł się nad wrzaski, zgiełk i huk wystrzałów.

— O Boże, zabili Pedra ! — krzyknęła Amalia uczepiona o lewe ramię Edwarda, nie mogącego skłonić ją do usunięcia się na stronę opodal.

— Jeszcze nie, — rzekł weteran wchodząc przez drzwi od salonu prowadzące w krużganek. Twarz i piersi zalane miał krwią, która toczyła się strumieniami z cięcia jakie otrzymał w głowę.

Lewą ręką obcierał sobie krew z oczu, a prawą usiłował zaryglować drzwi któremi wszedł i w niéj trzymał swój pałasz.

Pióro, myśl nawet nie zdoła uchwycić wszystkich szczegółów téj sceny w jéj całym szybkim i nagłym ruchu.

— Gubisz nas Amalio, puść mię, przejdź do salonu, — powtarzał Edward, a głos jego niknął wśród zgiełku i piekielnéj wrzawy rozlegającéj się z dziedzińca, z gotowalnianego pokoju i obok krzyku tych co się do sypialni wdarli i z których jeden poległ już od kuli Edwarda. Szkła zwierciadeł gotowalni rozlatywały się kawałkami pod rąbaniem pałaszów. Cięli po sprzętach, po szybach okien, po szkłach i porcelanach umywalni, po wszystkiém co pod rękę im podpadło, a razem tym towarzyszył wrzask dziki powiększający okropność téj sceny zgrozy i śmierci.

Na odgłos strzałów Edwarda, niektórzy ze zbójców co wtargnęli do sypialni, cofnęli się o kilka kroków, inni zatrzymali się nagle, nie posuwając się ku owéj barykadzie ze stołu i krzeseł którą zaimprowizował Daniel we drzwiach; lecz wtém dwóch nowych wpadło do tegoż pokoju.

— Ach, Troncoso i Badia! wysłańcy Maryi Józefy!—krzyknął Daniel, stojąc z boku przy drzwiach z pistoletem obróconym kolbą do góry, gdyż nie miał więcéj nabojów: broń zbyt słaba w tak nierównéj walce.

I kiedy ci dwaj ludzie wpadali jak dwa szatany, jeden z pistoletem w ręku, drugi z szablą, Edward porwał wpół Amalię, podniósł ją i złożył na sofie w salonie, a sam pochwycił swoją szpadę i pobiegł przeciw napastnikom. Pedro zamknąwszy słabą zasuwkę u drzwi sali, chciał z wysileniem pójść za Edwardem; lecz o dwa kroki zdradziły go siły, kolana się ugięły, i drżący ze wściekłości upadł przed sofą na któréj siedziała młoda kobieta. Objął jéj nogi, brocząc krwią to ukochane dziecię, które jeszcze chciał ratować, przytrzymując aby nie wstała z miejsca.

Piorun nie spada bardziéj szybki i zabójczy, jak miecz Edwarda spadł na głowę bandyty najbliższego przy barykadzie ze stołu i krzeseł, z pomiędzy jakich dziesięciu lub dwunastu, którzy na głos dowódzców rzucili się na tę słabą zaporę. A Daniel dosięgnął ramienia drugiego i wytrącił mu je uderzeniem kolbą.

Pedro silił się powstać napróżno, gdyż śmiertelnie był ranny w głowę i w piersi; zdobywał się tylko na tyle siły iż Amalię przytrzymywał za nogi, i powtarzał do Luizy również obejmującéj swoję panią:

— Zagasić światła, na Boga: zagasić!

Lecz dziewczyna go nie słyszała, a choćby nawet i usłyszała nie byłaby mu posłuszną, gdyż lękałaby się zostać po ciemku, jeżeli możliwym był większy przestrach nad ten który ją ogarniał.

Dwa trafne ciosy Edwarda i Daniela ściągnęły na nich jeszcze większą liczbę zbójców, gdyż na rozkaz przywódców wbiegli i ci, którzy tłukli i plądrowali po gotowalni. A kiedy rzucili się na słabą barykadę, sam Edward zniecierpliwiony tą zaporą która mu prze-

szkadzała sięgnąć daléj swoją szpadą, probował nogą odrzucić krzesła i już się zaczynała otwierać droga z jednego pokoju do drugiego, gdy wtém Daniel silnym razem w głowę powalił jednego bandytę, który padł na miejsce już nieco opróżnione.

— Ratuj Amalię, Danielu, ją ocal, mnie zostaw samego!— krzyczał Edward odbijając ciągle swoją szpadą sztylety i szable jeżące się z zapalczywym ruchem ku niemu.

Wszystko to trwało już od dziesięciu minut, kiedy około ośmiu z tych zbójców wyszło tyłem z sypialni, podczas gdy inni usiłowali ciągle rozrzucać powywracane sprzęty. Lecz przysuwali się z bojaźnią i zaledwie parę krzeseł uprzątnęli, tam gdzie ich nie mogła dosięgnąć szpada Edwarda.

Żaden z dwóch młodych ludzi nie był dotąd rannym, a Edward opuszczając dla wytchnienia na sekundę zmordowane ramię, rzucił okiem przez szyby gabinetu w stronę gdzie siedziała jego Amalia, powstrzymywana przez dziecko i przez konającego starca, a potém wracając znów do Daniela rzekł mu po francuzku:

— Wyprowadź Amalię z sali przez krużganek, wyjdź na drogę i dotrzéj do parowów tam naprzeciwko: a ja za pięć minut potłukę wszystkie lampy, przedrę się przez tę tłuszczę i dobiegnę do was.

— Tak, to jedyny środek,—odrzekł Daniel,—wiedziałem o nim, ale nie chciałem ciebie zostawić samego, i teraz nie chcę. Sprobuję wyprowadzić Amalię i wracam za dwie minuty; ale cię zaklinam nie przedzieraj się za barykadę.

Daniel lotem błyskawicy przebiegł do salonu, a w chwili gdy obalał jednę lampę i jeden świecznik z dwóch palących się, rozległo się silne uderzenie we drzwi z krużganku, zasuwka odskoczyła, drzwi się na oścież roztwarły, i do salonu hurmem wpadła zgraja szatanów, któremi otaczał się ten rząd z piekła rodem, przeklęty na wieki w dziejach potomności argientyńskiéj.

Krzyk straszny, jak gdyby wraz z nim rozszarpywało się serce na sztuki, wydarł się z piersi nieszczęsnéj Amalii, i wyzwalając się ze stygnących rąk Pedra, i z bezsilnych dziewczęcia ramion, pobiegła zasłonić sobą swojego Edwarda, a jednocześnie Daniel pochwycił pałasz konającego już weterana, i także wbiegł pędem do gabinetu.

Lecz zaraz za nim i mordercy wbiegli. I kiedy Edward przyciskał do serca Amalię chcąc być ostatnią jéj tarczą, wszyscy już byli w jednym tłumie zmięszani. Daniel otrzymał pchnięcie noża w prawe ramię, a sztylet przeszył przez plecy pierś Edwarda, który jeszcze przez kilka sekund zdołał na nogach się utrzymać nadprzyrodzonym wysiłkiem, gdyż rana była śmiertelną.

I w chwili gdy w jednym kącie gabinetu podtrzymywały go zaledwie ramiona Amalii, a prawa ręka ostatniemi żył drgnięciami podniosła się jeszcze w górę wygrażając zbójcom; i kiedy w drugim kącie Daniel z szablą w lewém ręku bronił się jak lew; kiedy w sali dwóch bandytów odrzynali głowę bezprzytomnemu weteranowi, w téj saméj chwili słychać było gwałtowne stukanie do bramy od ulicy.

Luiza która w przelęknieniu wybiegła w krużganek, poznała głos Fermina, odsunęła rygiel i otworzyła się brama.

A wtedy starzec, ciemnym odziany ponszem, wpadł wołając głosem piorunującym, lecz zarazem boleścią strasznym, jakim bywa głos ręką natury z serca wydarty:

— Stójcie! stójcie! w imię Restauratora!

Wszyscy głos ten usłyszeli z wyjątkiem Edwarda, bo jego dusza w téj chwili ulatywała do Boga, a głowa opadła na łono Amalii . . . . . Nieszczęsna pochyliła czoło i bez czucia padła wśród rzeki krwi tuż obok ciała swojego małżonka . . . . .

I w téj saméj chwili zegar jedenastą wydzwonił.

— Tu, mój ojcze, tutaj! ocal Amalię! — wołał Daniel słysząc i poznając głos.

I razem z temi słowy młodzieniec otrzymawszy nową głęboką ranę w głowę, bez sił i zmysłów padł w objęcia swojego ojca.

Na jedno słowo opadły sztylety, które toż samo słowo podnosiło do tylu klęsk i zbrodni!

W miejsce epilogu.

Może kiedyś późniéj, kronika objawi nam coś zajmującego względem losu niektórych z postaci, jakie występowały w tém nazbyt rozwlekłém opowiadaniu.

Nateraz podaje ona tylko tę wiadomość, iż w dniu następnym po owym krwawym dramacie, sąsiedzi z Barak ciekawością zdjęci, wszedłszy do opustoszałéj willi, znaleźli w niéj tylko cztery trupy: starego Pedra z głową odciętą od tułowu, i trzech członków towarzystwa ludowego. Ciała te pozostały tam aż do zmroku, a wtedy zabrano je na wóz przysłany przez policyą, i jednocześnie zrabowano resztę rzeczy pozostałych na stołach, w komodach i szafach.

Jest wieść także, iż Don Candido Rodriguez, po śmierci pana Slado przypadłéj w kilka tygodni po wyż opisanych wypadkach, zmuszonym był aż przez sędziego pokoju do wyjścia ze swego przytułku, gdyż stanowczo wzbraniał się opuścić terytoryum Stanów Zjednoczonych, mimo że wraz ze zgonem konsula, dom pozostał bez konsulatu.

A o pani Marcellinie to tylko słychać, iż dnia pewnego przybyła ofiarować professorowi swoją rękę, jako żywą pamiątkę niebezpieczeństw wspólnie przebytych; lecz Don Candido ofiarę tą odrzucił ze zgrozą.

KONIEC.

SERBIA.

Zarysy historyczno-etnograficzne.

Przez

P.....

Dla każdego w ogóle piszącego nie małą stanowi trudność nakreślenie obrazu kraju i ludności, które się zna nie z własnych spostrzeżeń, ale z doniesień i opisu podróżników. W obec takiego ograniczonego źródła niknie wszelka niemal indywidualność pióra; najobszerniejsze słowo należy się w tym razie przewodnikowi podróżnemu. Któż nadto jest w stanie zachwycić czytelnika obrazem zdjętym nie z wdzięcznego oblicza natury, ale z nieudolnego opisu podróżnika, obojętnego na czarująco widoki przyrody; kto wreszcie zdoła wyprowadzić na widok ludność i jéj życie rzeczywiste, jeśli się sam piszący w tém jéj wielostronném życiu nie obracał, jeśli się sam pilnie nie przypatrywał tym ludziom w stosunkach codziennych i publicznych, w dniach smutku i wesela, śród pracy i chwil wytchnienia? Szczęście, jeśli jeszcze można przebierać w gruntownych opisach, szczegółowych doniesieniach. Nie da się to do Serbii odnieść. Tam naukowe poszukiwania w ogóle dopiéro w ostatnich latach piérwsze kroki stawiać zaczęły w dziedzinie przeszłości dziejowéj i umysłowéj, ale do badań nad powierzchnią zamieszkanéj ziemi i jéj wnętrzem, jeszcze właściwa nie nadeszła pora. Przenoszenie zaś na papier rysunku miejscowego ludu, jego zwyczajów i obyczajów, przedstawiało mało zajęcia dla tych, co sami do téj ludności należą i wśród niéj żyją. Taka czynność staje się zwykle udziałem obcych—podróżników, których uderzają spostrzegane na cudzéj ziemi odmienne typy, inne zwyczaje, niezwykłe rysy ludowego życia.

Ale i w tym względzie nie poszczęściło się Serbii. Nigdy tu nie zawitał Humboldt, nigdy tu nie postała stopa Baedekera, Kiselaoka. Przed dawnemi laty zwiedzali te strony Viquesnel, Lejean, po-

święciwszy swe prace zbadaniu pod wielu względami całéj Turcyi. Piérwsze dokładniejsze mapy tureckich prowincyj im zawdzięcza nauka. Nierównież większe na tém polu położył zasługi niezmordowany podróżnik Ami Boué, który wygotował w 1840 roku obszerną czterotomową pracę p. n.: *La Turquie d'Europe* (Paris). Było to w swoim czasie głośne dzieło, do obecnéj chwili nie pozbawione wartości pod względem opisów jeograficznych. Boué robił wymiary przestrzeni i wysokości, badał pokłady geologiczne, zbierał wiadomości historyczne, statystyczne i nakreślił obszernych rozmiarów obraz Turcyi, między innemi prowincyami i Serbii, obraz, którego wartość w rozdziałach statystycznych z postępem czasu oczywiście się zmniejsza, który wszakże pod względem wiadomości geologicznych, oro- i hydro-graficznych pozostanie powagą na długo... dopóki nowsze w téj dziedzinie nie powstaną badania.

W etnografii czyli opisie ludu, jego życia domowego, Ami Boué odznacza się starannością rysunku i skwapliwością w gromadzeniu szczegółów, ale wykład pozbawiony jest żywości.

Z pomnikowém dziełem wystąpił przed kilką laty F. Kanitz, podróżnik austryacki. Jest to nie przebrany w każdym kierunku skarb wiadomości o Serbii. Rządowe znaczne zasiłki pieniężne pozwoliły mu w ciągu lat kilkunastu odbywać nieprzerwane studya. Łatwo się domyśléć, dlaczego rząd austryacki tak hojnie wspierał usiłowania naukowe celem zbadania Serbii, usiłowania, powiedzmy, uwieńczone tak pięknym i bogatym plonem. Siedmnaście powiatów, na jakie się dzieli obecne Księstwo Serbskie, wszystkie bez wyjątku zwiedził Kanitz, w niektórych w ciągu dłuższego czasu kilkakrotnie przebywał, odszukiwał ludność serbską w najodleglejszych zakątkach kraju, w leśnych knicjach Szumadyi, na wyniosłościach Kopaonickich gór, w dolinach zielonéj Driny i w kotlinach Morawy a wszędzie badał jego zwyczaje, jego charakter, podsłuchiwał jego pieśni i podania i zastanawiał się nad polityczno-społecznym stanem Serbii. Zwiedzał nadto Czarnogórze, Hercegowinę i Chorwacyą austryacką, mógł więc drogą porównawczą dokładniéj sądzić o całym szczepie serbskim w tych różnych stronach osiadłym. Żadna literatura, prócz niemieckiéj, tak pomnikową pracą poszczycić się w obecnym czasie nie może. Jestto książka o 700 z górą stronnicach (1). Przewodnictwu dwóch znakomitości Ami Boué i Kanitza powierzamy się, puszczając się w drogę dla poznania kraju i ludu serbskiego.

(1) Serbien. Historisch ethnographische Reise studien aus den Jahren 1859—1868, von F. Kanitz. Leipzig 1868. VIII i 726.

V.

Kraj i ludność.

Stańmy około Beogradu, (to jest Białogrodu), tam gdzie wody Sawy wpadają od zachodu do „cichego Dunaju" i zwróćmy się twarzą ku południowéj stronie. Linia Sawy i Dunaju oddziela Serbią od Austryi. Niech to będzie podstawą figury geometrycznéj, wtedy cały kraj w swych granicach politycznych przedstawi nam się w kształcie trójkąta, którego dwa boki zbiegają się u wierzchołka w górach Kopaonickich a boki te stanowić może od zachodu rzeka Drina, od wschodu rzeka Timok. Do pierwszéj przytyka ościenna ziemia Bośnia, do drugiéj Bulgarya a u wierzchołka trójkąta sąsiaduje Serbia z Albanią: pomieściła się więc wśród otaczających współplemiennych ludów. Gdyby wierzchołki gór Kopaonickich wznosiły się nieco wyżéj nad poziom, możeby się nawet dało z ich szczytów ogarnąć okiem całe księstwo, bo ono nie zbyt wielki obszar zajmuje: jak najnowsze obliczenia wykazują, nie więcéj jak około 800 mil kwadratowych (1). Jéj przestrzeń dorównywa zatem rozległości Szwajcaryi, jest nieco mniejszą od Czech, trzy razy zaś mniéj miejsca zajmuje jak Królestwo Polskie.

Cała powierzchnia Serbii odznacza się przeważnie charakterem podalpejskim. Jest to kraina górzysta, ktora pod względem swoich nierówności przypomina Hercyńskie góry (Harzgebirge). Cała massa jéj wyniosłości nie stanowi oddzielnego samoistnego systematu, owszem niemal wszystkie pasma i grzbiety są tylko przedłużeniem sąsiednich gór i jako częściowe odnogi rozchodzą się z odległych pni górzystych. Od strony zachodniéj, od Bośnii ciągną się w kierunku południowo-wschodnim gałęzie gór, które do nadmorskiego pnia alpejskiego należą, od północno-zachodu zaś wkraczają wyniosłości, które się oderwały od siedmiogrodzkich Karpatów i od Bałkanów.

U wierzchołka trójkąta, w jakim się, jak to wyżéj nadmieniono, przedstawia pod względem swych granic politycznych obecne Księstwo Serbskie, zgromadziły się najwyższe wypukłości ziemi serbskiéj. W stronie południowéj, na samym krańcu wznoszą się szczyty Kopaonickie, które na 6,000 stóp sterczą nad poziomem. Ta wyniosłość nad całą Serbią panuje, nad całą przestrzenią do Sawy, Dunaju i Bałkanu. I w odwrotnéj południowéj stronie odsłania się z wierzchołka Kopaonika rozległy widok na sąsiednie równiny Kosowego pola, tyle pamiętnego dla każdgo Serba, jako smutne miejsce grobu wielkości Serbii. W łagodnej linii piętrzą się Kopaonickie góry, podnoszą się z lekka niby taras a wszędzie pokrywa je gęstwina leśna drzew iglastych. Nierównież nażniejsze pod jeograficznym względem są sąsiednie od zachodu góry lubo mniéj wysokie. Z nich bowiem wężokrętym bie-

(1) Statistische Tafel von Hübner. 1872. Serbski statystyk Jakszycz liczy tylko 760 □ m., Engelhard zaś 998 □ m.

giem spływa Morawa, z południa dążąc ku północy i po kolankowém zgięciu na znacznéj przestrzeni, połączywszy się z bulgarską Morawą, znowu w północnym kierunku niesie swe wody do Dunaju. Dolina Morawy dzieli Serbią na dwie połowy, godne uwagi z tego powodu, że prawa strona stanowi jakby graniczną miedzę pod względem etnograficznym; we wschodniéj części tylko sporadycznie wśród przeważającego rumuńskiego żywiołu osiadł żywioł serbski, właściwém zaś ogniskiem narodowém jest lewa, zachodnia strona od Morawy.

Serce przeto serbskiéj ziemi mieści się w stronie ku Bosnii od Morawy aż do granicznéj Driny. I tu także przemaga charakter górzysty. Z płaskowzgórza podnoszą ku niebu swe czoła, zwłaszcza pamiętne w dziejach Rudnickie góry. Pojedyncze ich szczyty Sabor, Wieńczac, Sturac, sterczą niemal na dwa tysiące stóp nad poziomem. Ponura dzikość natury gór Kopaonickich zamienia się w łagodny uśmiech krajobrazu ożywionego górniczym przemysłem, liściastym dębem i jaworem, ztąd téż piękno malownicze miano całéj téj krainy, którą lud nazwał Szumadją, bo tu „jodły szumią na gór szczycie.“ W tych gościnnych górach szukał Raja schronienia, kiedy mu nad miarę dokuczało jarzmo niewiernego Turczyna; tu na płaskowzgórzu leży owa Topola, kolébka i grób pierwszego wyswobodziciela Serbii Jerzego Czarnego, tam znowu w rozkosznéj dolinie śród wieńca buków i jesionów Czernucza, druga ojczyzna Obrenowiczów i nieco daléj te nigdy nie zapomniane miejsce Takowo i Wraczewsznica, zkąd się w 1813 r. rozległo Miłosza hasło do boju a znowu daléj piérwsze stołeczne miasto Kragujewac, gdzie gotowano dla Serbów broń do ostatniéj zwycięzkiéj walki.

Wśród licznych dolin, jakiemi są przerznięte Rudnickie góry spływają drobniejsze strumienie ku Morawie. Miejscami ciasne wąwozy (klisure) zabiegają drogę rzeczkom, które w krętym biegu zmuszone są podążać do swego ujścia. Tu i owdzie sterczą łyse czubki gór, niekiedy znowu w nizinach dolin wznoszą się stromo skały. Rzadko spostrzegać się daje posępne oblicze krajobrazu, najłagodniejszym wdziękiem uśmiechają się zwłaszcza szeroko ku Morawie roztwierające się doliny. Obszerniejsze kotliny, mianowicie w południowéj stronie gór Rudnickich przedstawiają się oku podróżnika. Poważne dęby i buki pokrywają nieraz górę na całéj pochyłości aż do jéj szczytów. Z poza porozrywanego urwiska widać nieraz wspaniałe błonie a czerwone dachy wiejskich dworków, cerkwi i monasterów wesoło odbijają na zieloném tle natury. Rudnickie góry kryją w sobie niezmierne bogactwa: od rudy ich nazwa pochodzi. Jeszcze do dziś dnia pozostały tu ślady cywilizacyi prastaréj, bo rzymskiéj. Rzymianie założyli tu kopalnie, z których także kiedyś i Serbowie gorliwie wydobywali miedź, siarkę, arszenik, kobalt i inne kopalne materyały. Pozostałe szczątki murów, wodociągi świadczą, że kiedyś Rzymianie tu pilnie uprawiali przemysł górniczy. Dziś zaniedbane kopalnie czekają na poruszającą wszystko siłę, na miejscowe lub zagraniczne kapitały.

Wschodnią część kraju po prawéj stronie Morawy zajmują podobnież górzyste wypukłości, które się wznoszą do wysokiego punktu, mianowicie pasmo gór Omolijskich (3,800 stóp) i z wolna spuszczają się ku Dunajowi. Ztąd téż w tym kierunku spływają górzyste potoki. Cała ta przestrzeń wschodnia dość żyzną warstwą ziemi jest pokryta, równoległe bowiem z łożyskiem Morawy ciągnie się szeroki pas czarnoziemu, w dalszéj zaś odległości różnokolorowa glinka na wierzch gruntu się wydobywa. Gęste lasy na przemian z owocowemi ogrodami i winnicami urozmaicone tło krajobrazu stanowią. Zwłaszcza, do brzegu Dunaju przylegająca okolica, roślinną obfitością miłe na podróżniku sprawia wrażenie. I w tych górach kryją się mało jeszcze tknięte bogactwa mineralne.

Systemat rzeczny w ogólniejszym obrazie nie przedstawia dla wyobraźni i pamięci zbyt wielkiéj trudności. Do granicznéj od północy Sawy i Dunaju wpadają wszystkie ważniejsze rzeki Serbii i wszystkie od południa płyną. Na zachodnim krańcu Drina, z nią w tym samym kierunku Kolubara, w środku Serbii Morawa a na wschodnim kresie niby miedza graniczna od Bulgaryi przesuwają się wody Timoku.

Zdawaćby się mogło, że w krainie tak daleko na południe wysuniętéj, klimat powinien się równać łagodnemu niebu Italii, tymczasem roślinność zostająca pod wpływem wiatrów od północno-wschodu, niosących zimne i sucho fale powietrza, zaledwie stanąć może na równi z wegetacyą południowych Niemiec.

Latem upały dochodzą w cieniu do 33° R., zimą zaś mrozy panują niekiedy 12° stopniowe. Zmiana powietrza bywa gwałtowną, co także szkodliwie wpływa na bujność roślinności. W listopadzie już śnieg na kilka miesięcy pokrywa powierzchnię ziemi, wiosenny powiéw powstaje nagle, śnieżna pokrywa spływa z ziemi i wiosna bez żadnego przejścia rozwija się ze wszystkiemi powabami.

Obok panujących przeważnie dębów, buków, jesionów i iglastego drzewa spotykamy mianowicie w południowéj Serbii całe lasy dziko rosnącéj morwy i orzeszyny; obok srebrnéj topoli i akacyi rosną swobodnie gruszki, jabłonie a szczególniéj śliwy (śliva), z któréj wyrabiają Serbowie ulubioną nalewkę, rakiją nazywaną. Po wsiach koło domów pnie się bujnie krzew winny, a w żywych płotach między białém i czarném cierniem zieleni się dzikie wino, poziomki zaś i jagody milą swą woń z pod krzewów roznoszą.

W gęstych lasach Serbii daremnie myśliwy szukałby niedźwiedzia, wilka lub dzika; za to sarna, zając i lis są dość pospolitą zdobyczą serbskiego górala. Najliczniejszém jednak zwierzem, co ożywia samotność lasów serbskich, jest koza niszcząca nielitościwie korę drzewną i nieprzeliczone stada trzody chlewnéj, która stanowi jeden z najkorzystniejszych przedmiotów handlu wywozowego do Austryi. Miłosz Obrenowicz, wyswobodziciel i książe Serbii, młodość swą spędził, panując przez powien czas nad gromadą, co jak owi bajeczni Pelazgowie, żołędźmi się żywią.

W szczelinach gór, w urwiskach skał na wyspach Sawy i Dunaju gnieżdżą się tłumy drapieżnego ptastwa. Nad szczytami gór Kopaonickich krążą orły, sępy i sokoły, nad wodnistemi pasami przeciągają stada dzikich kaczek, gęsi i bekasów. Dziwna, że śpiewającego ptastwa niéma tu prawie zupełnie, za to téż nieustannie wśród gór i dolin dzwoniąca melodya śpiewnego ludu napełnia swą uroczą harmonią głuche górskie powietrze i roznosi pieśni weselne głosy, których natura tym stronom odmówiła.

Gdybyśmy wiedzieli, że czytelnik może przed sobą rozłożyć mappę Serbii Kieperta (w ogólnym zbiorze kartografii Turcyi) lub Milenkowicza, o które zresztą bardzo trudno, chętniebyśmy się puścili w drogę dla zwiedzenia i wystawienia obrazu różnych miejscowości Serbii, ale bez kartograficznéj podstawy podróż nasza byłaby podobłoczną wycieczką, więc w zamian za to nieco szerzéj etnograficzną stronę naszych zarysów uwydatnić nam wypadnie, co nierównież łatwiéj bez żadnych pomocy uwagę czytelnika zająć jest w stanie.

Mowa serbska nie tylko w dzisiejszém księztwie Serbskiém słyszéć się daje, owszem w obecnéj Serbii niéma jednolitéj narodowości, spotykają się tam i inne żywioły. Ale téż za to serbski język sięga daleko po za polityczne granice księztwa, będąc powszechnie używany w Czarnogórzu i części Albanii (dawnéj Serbii), w Bośnii, Hercegowinie i tureckiéj Chorwacyi. We właściwéj Serbii, jak już nadmieniono, wyżéj, granicę etnograficzną stanowi rzeka Morawa, po lewéj jéj stronie ciągnie się jednostajny pas serbskiego języka, po prawej zaś nad ludnością słowiańską przemaga żywioł rumuński, pomięszany ze słowiańskim, lecz nieco odmiennym szczepem Bulgarów. Prócz tego nie brak tam i cudzoziemców Niemców i Węgrów, są także Żydzi pochodzenia francuzko-hiszpańskiego, głównie w miastach przebywający, obok tego także pewna liczba Cyganów. Ogół ludności Serbii wynosi według najnowszych obliczeń 1,220,000 łącznie z Cyganami. Przed 40-tu laty liczono tylko 600 tysięcy (z górą), ludność więc w ciągu tego okresu czasu niemal się podwoiła.

Serbia równająca się pod względem rozległości Szwajcaryi ma o połowę mniéj od niéj mieszkańców, w Królestwie zaś Polskiém ludność jest o cztery razy liczniejszą.

Kto pragnie lud serbski zbadać tak, jakim się przedstawi w pełni swojego charakteru i w całéj swéj rodzimej czystości, nie nadwerężonéj przez obcowanie z żywiołami zagranicznemi więcéj ucywilizowanych narodów, ten udać się powinien w strony nad Drinę i Morawę, w owe górskie wąwozy i gęste lasy, gdzie zawsze najżywszém tętnem biło życie narodowe, zkąd wychodzili piérwsi walecznicy, co się za wolność serbską bili. Nad Dunajem zaś od strony Węgier i Rumunii mocno działały wpływy obce, które zatarły już wiele odrębności narodowych. Przenieśmy się więc myślą w leśne strony Szumadyi i przypatrzmy się zewnętrznéj postaci Serba, jego życiu domowemu, warunkom, wśród jakich swój żywot pędzi.

Serb się odznacza ostremi rysy twarzy i silną budową ciała. Wzrost dobry, barki szerokie, głowa kształtna, czoło wysokie, kości

twarzy wydatne, nos zakreśla niekiedy piękną orlą linię. Bujne włosy na głowie połyskują jasnym cieniem, rzadko w ciemniejszy wpadając kolor. Dziś już Serb swobodniéj pozwala włosom rość na głowie, ale jeszcze podczas wojen za wolność podgolone głowy były powszechne. Tylko duchowieństwo świeckie i zakonne nosi pełny zarost na twarzy. Kobiéty w miastach uważają czarne włosy za najpiękniejszą i niezbędną ozdobę, ztąd barwienie włosów w powszechnym jest zwyczaju. Pod względem wzrostu, kobiéty serbskie rzadko kiedy sięgają po nad średnią wysokość. Rysy twarzy bywają prawidłowe, nie zawsze jednak piękne, ale w miastach często spostrzedz można szlachetne profile bez zarzutu będące. Pod względem urody kobiét Serbia wyżéj stoi od Czarnogórza, ale czarnogórskie odznaczają się większą ruchliwością, lekkością i wdziękiem ruchów, na czém kobiétom z księztwa serbskiego zupełnie schodzi.

Na tak szczupłéj przestrzeni nigdzie tyle urozmaicenia w ubiorze nie znajdujemy, co w Serbii. Ściąga się to mianowicie do kobiét. Barwa i krój zmieniają się prawie co powiat, co okręg. Na wsiach przemagają białe, fałdziste, płócienne suknie, pas różnokolorowy nad biodrami i ciemne albo jasne wełniane okrycia.

Letnie ubranie serbskiego wieśniaka odznacza się wielką prostotą. Na głowie nosi on prawie zawsze małą, nizką, czerwoną czapeczkę (feska) w rodzaju żydowskiéj jarmułki. Szerokie fałdziste szarawary (gatje) sięgają do kostek. Pokrywa je aż do kolan płócienna koszula (košulja), na piersi z rozporkiem, niżéj zaś w pasie spięta czerwonym sukiennym paskiem. Na ten pasek zwykle wieśniak zaciąga ciemnobrunatny pas rzemienny (pojas), na którym z przodu są zawieszone pistolety, obok mosiężny kij do nabijania a z tyłu skórzana ładownica. U prawéj ręki wisi w skórzanéj pochwie krótki nóż (noš) i krzesiwo. Jeśli się Serb puszcza w daleką drogę, bierze na siebie pstrą kamizelkę (jelek), zarzuca rodzaj krótkiego płaszcza (gunjac) i do zwykłéj swéj broni dodaje zawieszoną przez ramię długą albańską strzelbę (dževordar), a w nowszych czasach wojskową kapiszonówkę. Obuwie składa się z pończoch różnobarwnych i wiązanych trzewików (opanci) z niewyprawionego rzemienia.

Ale w mieście, zwłaszcza tam gdzie jeszcze nie zapanowały zwyczaje cudzoziemskie, ubranie męzkie zwraca na siebie uwagę strojnością i bogactwem. Ciemny granat jest barwą w stroju miejskim przemagającą. Szarawary z modrego sukna w tureckim kroju, ozdobione czarnemi taśmami, na piersiach kaftan bogato ubrany, w zimowéj porze futrem ładnie po brzegach lamowany. Pas składa się z tureckiego szala o jaskrawych kolorach wełnianego lub jedwabnego. Pięknie haftowaną płócienną koszulę pokrywa zwykle karmazynowa kamizelka złotem wyszywana. Na rzemiennym pasie wiszą z przodu w srebro okuwane pistolety, z tyłu przyczepione także srebrne ładownice. Pokrycie głowy stanowi feska z długim ciemno-granatowym kwastem a obuwie—białe pończochy i szeroko wycięte skórzane trzewiki. Swobodnie wiszący nóż, krzesiwo i inne drobniejsze przedmio-

ty dopełniają ubrania, które swą okazałością teatralne sprawia wrażenie.

Ubiór kobiécy na wsi odznacza się bogatą rozmaitością w czesaniu, układaniu i ozdabianiu włosów. Około Beogradu dziewoja wiejska nosi włosy z rozdziałkiem od lewéj strony ku prawéj, z tyłu zaś spadają warkocze ubrane w kwiaty i pieniążki. Nad czołem włosy są krótko strzyżone i spuszczają się na dół ku oczom, w kształcie drobnych zwojów starannie ułożonych. W wielu miejscowościach nawet niekiedy i w mieście noszą dziewoje na głowie małą czerwoną feskę z ciemnym kwastem, około któréj wije się od tyłu naprzód założony warkocz. Wdzięk tego stroju podnoszą zwykle jeszcze świeże kwiaty lub błyszczące pieniążki. Zamężna zaś kobiéta nie kładzie jarmułki, ale natomiast rodzaj kołpaka pokrytego błyszczącą monetą, który się zawiązuje pod brodą za pomocą wstążek, a z wierzchu spada na ramiona różnobarwna fałdzista chustka. Twarz kobiéty przedstawia się wtedy niby w metalowych ramach, bo u bogatszych nawet wstążki do wiązania są wyłożone złotą i srebrną monetą. W innych znowu miejscowościach kobiéty noszą ubrania na głowie podobne do włoskich, biała chustka na szczycie głowy, spływająca z tyłu aż do stanu w wązkich fałdkach, na których połyskują metalowe ozdoby wśród wieńców z różnokolorowych kwiatów. Niewypowiedziany urok powstaje z kontrastu tego białego zawoju, odbijającego się wyraźniéj na tle ciemnych włosów.

Ubiór wiejskiéj kobiety jest zresztą dość prosty. Najważniejszą jego część stanowi długa płócienna, zwykle domowéj roboty koszula wyszywana wełną różnokolorową, sięga od szyi aż do stóp. Do tego ubrania w domu lub w polu należą tylko jeszcze w jasne pasy tkane fartuszki z przodu i z tyłu zawiązane; niekiedy kładzie kobiéta krótki kaftanik. Wierzchnie okrycie, którego mało używają na codzienną w domu potrzebę, składa się z długiéj sukni z przodu otwartéj, bez rękawów, wyszywanéj w różne kwiaty. Różnokolorowe pończochy i trzewiki czyli opanki dopełniają ubrania. Tę malowniczość stroju, do którego się przyczynia bogata ozdoba włosów, podnoszą do wysokiego stopnia perły na szyi, srebrne naramienniki i złote blaszki lub kolczyki przy uszach zawieszone.

Jak wiele rzeczy na europejskim Wschodzie tak i ubranie miejskiéj kobiety w Serbii przedstawia połączenie zachodniego i oryentalnego żywiołu, w tym razie co do ubioru dla serbskiéj mieszczanki bardzo korzystne. Kostjum cały tchnie wdziękiem i strojnością i tą się wyróżnia właściwą cechą, że nigdzie nie znać na nim wpływu europejskiéj mody. Nic więcéj uroczego nad ozdobę włosów młodéj serbskiéj pani. Na tylnéj części głowy mieści się mała zgrabna czapeczka, ujęta w najpiękniejszy naturalny diadem—w szerokie sploty włosów, wśród których kwitnąca róża swe barwne wdzięki rozwija. Zamężna kobiéta pokrywa swoję czapeczkę złotemi lub srebrnemi pierścieniami, sznurami korali, tak że z po za ozdoby téj nie widać zupełnie czerwonego koloru feski. I dla zamężnéj nieodzowną ozdobę głowy stanowi długi ciemny warkocz: która go niema, zastępuje kolor sztucznie za pomocą farby.

Więcéj jeszcze w mieście niżeli na wsi wymaga skończona toalety serbskiéj pani malowidła. Róż i blansz są w powszechném użyciu. Kto chce być ubranym jak wymaga zwyczaj, musi farbować na czarno włosy, ciemnym tuszem przedłużać brwi, różowym proszkiem posypywać twarz i usta karminową pociągać barwą. Te sztuczne środki do podniesienia wdzięków, gdy nie zawsze się odznaczają niezbędną dobrocią, bardzo szkodliwie na płeć i cerę kobiét serbskich wpływają.

Jak ubranie głowy jest czysto wschodniém, tak też i suknie kobiét oryentalnym odznaczają się charakterem. Prawie przejrzysta, bogato haftowana koszula pokrywa piersi, więcéj u panien mniéj u zamężnych zasłonięte przed wzrokiem profana chustką jedwabną, ktora na okrzyż przez ramiona po za głową spada. Jestto ta część kobiécego kostjumu, którą najtrafniéj określa angielskie godło „Hony soit, qui mal y pense! Bardzo krótka sznurówka sięga ledwie do piersi, pod względem więc hygienicznym korzystniejszą jest od mody w Paryżu przyjętéj. Na piersi w miejscu, gdzie się jedwabna chustka krzyżuje, spoczywa róża, u zamężnych złota spinka, która wraz z koralami na szyi, perłami i dukatowemi krążkami dopełnia kosztownéj ornamentacyi. Szczególniejszych wdzięków w stroju dodaje kaftanik z cienkiéj jasnéj materyi swobodnie spuszczony. Z po za szerokich rozciętych rękawów wyglądają starannie wyrobione rękawki od koszuli. Suknia spływa ku ziemi w kroju europejskim, w licznych fałdach, które zbiera na około złotolity pas z opuszczonemi na dół ozdobnemi końcami. W zimowéj porze okrywają się kobiety serbskie futrami, które się w kroju stosują do linii sukni. Dziś więc jeszcze w ubraniu panuje w całéj sile obyczaj narodowy, ale wielowładna moda paryzka powoli i w te dalekie sięgnie strony, skoro się mnożyć zaczną środki komunikacyi i kapitały zagraniczne większy ruch przemysłowy w Serbii obudzą.

*

* *

Zobaczmy, jak mieszkają Serbowie. I tu także uderza w oczy prostota pierwotne czasy przypominająca. Rażące przeciwieństwo stanowią wspaniałe gmachy w Beogradzie obok wiejskich lepianek. W osadzie lub we wsi wszystkie domy jednakową mają powierzchowność: wsród téj jednostajności architektonicznéj tylko dom starszyzny (starješina) z pomiędzy innych się wyróżnia. Ściany składają się z okrąglaków prostopadle lub poziomo umieszczonych, żadnego na nich nie znać obrobienia, chyba tylko, o ile z nich jest zdarta kora. Okrąglaki są obrzucone gliną, która wypełniając wśrodku pustą przestrzeń, ścianę między węgłami stanowi. Dom w ten sposób ustawiony ma zwykle 15 kroków szerokości i 15—20 kroków długości. Zrąb taki dzieli się na dwie lub trzy części. Główne drzwi prowadzą do środkowéj, największéj przestrzeni całéj budowli. Jestto kuchnia od mieszkalnéj izby tém się różniącą, że niema u góry pokrycia dla łatwiejszego wypuszczania dymu z ogniska. Wśród dżdżystéj pory dym się nie

wznosi w powietrze, rozchodzi się po całym domu i w izbie nie zbyt przyjemnym czyni pobyt, ale przyzwyczajenie oswoiło wieśniaka z tą niedogodnością.

Poszywanie dachu słomą jest w Serbii dość rzadkie, słoma i gonty ustąpiły miejsce dachówce. W południowych wsiach około gór Kopaonickich używają często kory drzewnéj. W powiatach nad Driną dachy mają spadek bardzo ostry, ztąd nieraz wysokością swoją dwa razy zrąb przewyższają. W górzystych stronach Serb chętnie przystawia dom swój do pochyłéj ściany góry. Wtedy różnicę poziomu między przednią a tylną ścianą wypełnia podkładami drzewnemi, zasypuje ziemią i w niéj bez wielkich zachodów przygotowuje sobie małe schowanka i piwniczki. Do takiéj chaty prowadzą schody z darni ułożone, przed drzwiami stoi rodzaj ganka.

W Szumadii często tylko fundament domu składa się z ciosowego kamienia, zrąb zaś z drzewa. Do najpiękniejszych typów podobnych budowli, które nieco szwajcarskie domki przypominają, należą dworki do dziś dnia jeszcze dobrze zachowane w Czernuczy, gdzie mieszkali kiedyś Obrenowicze. Podłogi drewnianéj nie zna prawie zupełnie wieśniak serbski, zastępuje ją mocno ubita ziemia z gliną pomięszana. W krainie leśnéj jak Serbia może się to dziwném wydać, ale nakazuje ostrożność nie używać podłogi, gdyż w chacie wieśniaka nie ma kominka lub pieca. Zwyczajne niskie ognisko mieści się w pierwszéj środkowéj izbie, ztąd dym swobodnie w górę się wzbija, jeśli służy pogoda, w innym razie dym się wdziera do izby mieszkalnéj i staje się istną plagą.

Wejdźmy do wnętrza izby. Serb stara się uczynić ją mieszkalną według sił i środków swoich. Ściany obite są trzciną, obrzucone wapnem, ale białość ich nie odznacza się wielką świeżością. Na ścianach u zamożniejszych wiszą wojłoki lub dywany, które służą za posłanie. Jaka tu prostota! Łóżek wieśniak serbski nie zna. Jego sprzęty tchną całą prostotą pierwotnéj natury; nie dostrzeże tam gość krzeseł lub stołków z poręczami, tylko koło stołu stoją trójnogi. Tam zaś w rogu mieści się skrzynia, która kryje w sobie świąteczne szaty. Najpiękniejsza ozdoba wisi na ścianie. Obraz świętego jest przedmiotem niezbędnym. Przed obrazem wisi lampka, obok gęśla i strzelba: dwa symbole pokoju i wojny. Statki gospodarskie zastosowane są do potrzeb niewyszukanego smaku wieśniaka, kilka glinianych naczyń, drewniane łyżki, widelce należą do zbytku, kociołek żelazny na żelaznym pręcie zawieszony, a szklannych naczyń ani śladu. Szkło jest rzadkością w Serbii, miejscowych fabryk niema zupełnie od czasu, jak upadła huta rządowa. Szkło jest przedmiotem handlu przywozowego z Węgier i Siedmiogrodu. Dlatego też okna chaty są bez szyb, latem wpływa z zewnątrz swobodnie strumień świeżego powietrza, zimą, kiedy mniéj jest potrzebny, wstrzymuje przystęp gruby papier na oknach przyklejony. Częstokół opasuje zwykle domostwo, gdzieniegdzie znowu odgraniczają sąsiadów żerdzie pokryte powojem, dzikiém winem.

Od tego obrazu zewnętrznéj postawy i warunków życia przejdźmy do innéj strony i spójrzmy w głąb duszy Serba i jego charakteru. Jakież tu bogate i obszerne pole do uwag, ile nowych, nieznanych rysów, które się już gdzieindziéj pod wpływem szerzącéj cywilizacyi u innych ludów zatarły. Do tych siół i osad zasuniętych w głąb lasów Szumadii jeszcze nie dotarł prąd cywilizacyi. Przez tyle wieków Serbia stała zupełnie na uboczu, błogie skutki gwałtownego postępu, w jakim idą naprzód narody zachodniéj Europy, na ten lud prosty jeszcze nie spłynęły, ale natomiast w dawnéj sile kwitnie prastary uczciwy obyczaj i te tradycyjne cnoty, które wywraca i niszczy potok krocząceéj naprzód cywilizacyi. Rzadko który naród zachował w takiéj nieskazitelności charakter swój narodowy jak Serbowie. Tu na łonie tego ludu przechowały się w całéj czystości uczucia rodzinne, to gorące serce bijące dla ojca, matki, i ta męzka odwaga, to poczucie godności osobistéj, które się nie godzi ze służalczą nizkością, a do tego te wszystkie piękne strony zdobią serce zarazem mieszkańca miasta jak i prostego wieśniaka; jaka cześć, jakie poszanowanie dla przeszłości, dla tradycyi, jakie tu silne przywiązanie do prastaréj wiary i zwyczaju pradziadów! W upór niekiedy przechodzi to trzymanie się owéj spuścizny po dziadach nawet w tych razach, gdzie pewne zboczenie nie skaziłoby narodowego charakteru, ale, owszem postęp istotny a konieczny stanowićby mogło.

Na twarzy Serba maluje się dobroć, z oczu jego błyska inteligencya. Serb jest łagodny, cierpliwy, gościnny. O jego cnotach wojskowych, co przez tyle prób ogniowych przeszły, może wątpić chyba ten, co nie zna zupełnie dziejów Serbii. Poczucie prawości głębokie puściło korzenie. Serb przekonany o słuszności sprawy nie lęka się procesu sądowego, owszem chętnie stawa przed sędzią i wymownie się broni. Rozum ma bystry, nie oszukuje innych, ale sam też nie da się w pole wyprowadzić. W gniewie zapala się, klnie, ale nie wymierza sprawiedliwości czynnie. Pojedynek, zemsta krwawa są tam nieznane. Posiada rozwagę Niemca, gladkość Włocha, brak mu skrzętności i zabiegłości niemieckiéj, ale przewyższa jednego od drugiego w wielu innych względach.

Mimo swoję bystrość rozumu Serb ma wrodzoną głęboką skłonność do mystycyzmu, która się niekiedy wyradza w przesąd, zabobon i gusła. Jak u nas tak i w Serbii lud prosty wierzy w różne szczęśliwe i nieszczęśliwe znaki, w czarownice, w dnie feralne, w cudowną siłę guseł. Gdyby nawet po wsiach byli lekarze, nie mieliby pewnie zajęcia. Serb się najchętniéj ucieka do rady baby (białéj kobiety), znachorki, która mu ulgę w jego cierpieniach przynosi.

„Svaka bolest svoje bifje ima“ powiada Serb: każda choroba ma swoje ziele. Ale skuteczność nie tyle ziołom przypisuje, ile zażegnaniom i różnym tajemniczym ceremoniom znachorki. Takie kobiety zwykle w sierpniu zbierają swoje zioła, zioła tego rodzaju, których i racyonalna medycyna w danych wypadkach używa, wiekową praktyką ludową wyprobowane. Działanie żelaza w wewnętrznych chorobach nie jest im także obce. Na niedokrwistość zrywa znachorka trzy jabł-

ka, Ś-téj Trójcy odpowiadające, które na jednéj gałęzi dojrzały. Nad jabłkami odmawia różne modlitwy, żegna je ręką i na całą dobę w jedno z nich zatyka nóż żelazny, następnie trzy razy dziennie po kawałku jabłka daje choremu. Majtkowie używają przeciwko chorobie morskiéj rdzy zeskrobanéj z kotwicy i wodą rozczynionéj. Na wyrzuty skórne smarują żelazisty atrament. Przeciwko febrze biorą cienką skórkę z jajka i obwiązują około palca. Dyaryą leczą podobnie jak u nas wieśniacy za pomocą drobno potłuczonego laku rozpuszczonego w winie. Ale najradykalniejszém w ich pojęciu i najwięcéj rozpowszechnioném lekarstwem w chorobach są trzy środki, do których się i nasz wieśniak ucieka: rakja czyli wódka, puszczenie krwi i pijawki.

Jeżeli tego rodzaju zwyczajne środki nie skutkują, wtedy baby znachorki sztuki swéj dokazać muszą. Skoro dyagnoza jest postawiona, kładą chorego w znak, posypują sól po obu stronach, a znachorka kilka razy przechodzi po ciele chorego, odmawiając tajemnicze słowa. Niekiedy zanoszą pacyenta do cudownego kościołka, przed cudowny obraz, a gdy i to nie pomaga, pocieszają się, że taka była wola Opatrzności, albo przypisują chorobę czarom wiedźmy czyli, jak ją Serb nazywa, wieszczki (wješčica). Według wiary ludowéj czarownica zamienia się w nocy na motyla i lata nad domami, najchętniéj dusząc niemowlęta w kołysce. Mężczyzn dotyka za pomocą laseczki w okolicy lewéj brodawki piersiowéj. Wtedy pierś się otwiera, wiedźma pożera serce, znowu się zamyka wieko piersi i człowiek pozbawiony serca schnie powoli i umiera. Obraz dość wierny pod tym względem, że serce w organizmie jest źródłem życia. Można się zabezpieczyć od uroku wieszczki. Wiedźma nie znosi zapachu czosnku, ztąd powszechny zwyczaj smarowania się tym nie zbyt wonnym środkiem w wigilią Bożego Narodzenia.

Stosunki osobiste między różnemi klassami i stanami, między bogatemi i biednemi, są nacechowane niezwykłą swobodą. Tam nie masz żadnych tytułów pańskich, żadnych wyróżnień stanowych: wszyscy mówią sobie ty. Jarzmo tureckie zatarło wszelkie różnice, w obec sułtana i baszy nie było szlachty, arystokracyi, wszyscy byli rajami, co podatki płacić musieli. Edward Brown, angielski podróżnik XVII wieku, powiada, że spotykał za pługiem wiejskie dziewoje, co podobno ze krwi królewskiéj pochodzić miały. Tradycye dawne niby w arce przymierza chowa w świeżéj pamięci lud serbski, jak może, żaden inny naród; każdy pastucha zna swoich królów i biegle przytacza podania o sławnych bohatérskich rodach swojéj ziemi, o Bogdanach, Jakszycach i innych.

Mimo śpiewne usposobienie i zamiłowanie w muzyce, któremi się Serb odznacza, mało objawia upodobania i skłonności do sztuk pięknych, plastycznych, a najmniéj do rzemiosła. Serb posiada bardzo bystre pojęcie i wiele innych talentów, których dowody daje, sam sobie przygotowując różne sprzęty gospodarskie. Ale do rzemiosła nie zbyt chętnie się garnie, uważa je za zajęcie poniżające, niegodne dzielnego męża. Ztąd też rękodzielniczy przemysł ważniejszych miast spo-

czywa przeważnie w rękach przybyszów niemców. Dla téj i dla innych jeszcze przyczyn Serb nienawidzi „Szwaba“, przez to pogardliwe miano każdego niemca rozumiejąc. Minister Cukicz dokładał usiłowań, żeby przełamać ten upór, to zniechęcenie do rzemiosł; ustanowił stypendya dla młodzieży, ale starania jego owoców nie wydały. Jeżeli Serb zmuszony jest porzucić dom rodzicielski i rodzinną glebę, najchętniéj wstępuje na drogę urzędniczą, albo zostaje żołnierzem-wojakiem.

Umiarkowanie należy do najpiękniejszych cnót Serba. Jego posiłek jest zwykle bardzo skromny, nawet wśród letniéj uciążliwéj pracy. Jeżeli czasem się podochoci, jeśli się raczy winem lub rakją, to jednak do nałogowego opilstwa niema skłonności. Gościnność jest, jak wiadomo, piękną wszystkich Słowian zaletą, Serb nie ustępuje w tym względzie swoim pobratymczym ludom. Z zabaw do najulubieńszych należy muzyka i taniec, „Koło“ jest taniec narodowy, rodzaj chorowodu ruskiego. Ćwiczenia gimnastyczne, strzelanie, rzucanie kamieni, stanowią rozrywkę poważniejszéj młodzieży serbskiéj.

Wzajemna miłość rodziców i dzieci jest piękną ozdobą rodzinnego życia w Serbii. Rodzinne życie w Serbii ma swoje właściwości, których tu, mówiąc o związkach przyjaźni i serca, (pobratymstwo i małżeństwo), pomijać się nie godzi. Cały ustrój rodziny nosi na sobie pewne znamię patryarchalne. Wspólność jest jego główną zasadą. Tą wspólnością związana rodzina zowie się *zadrugą*. Ojciec jest naturalną głową takiego rodu. W razie śmierci ojca zadruga wybiera na jego miejsce starjeszynę. On jest przedstawicielem całego rodu w obec władz politycznych, on sądzi spory domowe, kieruje pracą, około któréj się cała rodzina krząta. Dorośli mężczyzni i kobiéty pracują w polu, młodsze pokolenie dogląda bydła lub trzody, albo na zmianę uczęszcza do szkoły. Rozkazy starosty, jeśli go nam tak nazwać wolno, są wypełniane chętnie. Starosta wydziela dochody i wydatki domowe, ma oraz staranie o innych i o sobie. Plon polny, dochody z winnic lub z trzody chlewnéj stanowią wspólne źródło przychodu dla całéj rodziny. Do sprzedaży lub nabycia znaczniejszych przedmiotów niezbędne jest zezwolenie większości członków rodziny.

W razie śmierci ojca, starosta obejmuję opiekę nad nieletniemi, on winien wraz z wdową czuwać nad ich wychowaniem, aby, jak głosi § 519 serbskiego kodeksu, z nich wyrośli dobrzy, poczciwi i krajowi użyteczni ludzie. Wdowa nawet bezdzietna korzysta w ogólnéj rodzinie z udziału, jaki przypadał na jéj męża, zobowiązana jednak jest, według sił dla wspólnego dobra pracować. Jeżeli drugi raz za mąż wychodzi, otrzymuje, równe jak inne dziewczyny, z zadrugi wyposażenie. Na znaczenie ścisłych węzłów zadrugi rzuca ciekawe światło prawo spadkowe. Otóż przy spadkobraniu większe prawo mają członkowie rodziny stanowiący zadrugę, aniżeli bliżsi krewni, którzy się od niéj odłączyli. Nawet obcy członek żadnym węzłem krwi z rodziną nie połączony, ale za zgodą ogólną do zadrugi przyjęty, ma pierwszeństwo w spadkobraniu przed krewnemi, co do zadrugi nie należeli. Nieletnie jednak dzieci, występujące ze związku rodowego za matką,

zachowują prawo swoje do udziału w spadku. Szczęśliwa lub mniéj pomyślna dola pojedyńczych członków zadrugi, ściśle zależy od losów całości. Im pojedyńczy jéj członek więcéj się przyczynia do poprawienia jéj bytu, tém nabywa prawo do większego udziału w razie wystąpienia ze wspólności rodowéj, tém większe dziedzictwo swym dzieciom zostawić może. Ten więc komunizm nie przytępia energii i przedsiębiorczości oddzielnych członków, ale owszem podnieca je dla dobra całości i pojedyńczych części.

Podobne stosunki panujące w rodzie, odbijają się także na zewnątrz. Już wyżéj się rzekło, że po nad wszystkiemi chatami wiejskiemi panuje dom starjeszyny czyli starosty. To jest punkt środkowy, około którego grupują się oddzielone od siebie domki familij, składających zadrugę. Do wspólnego gumna składa się wszystek plon wspólny. Każda zaś chatka ma swoje chlewiki, obórki i schowanka, gdzie się mieści odrębny, indywidualny nabytek. Ogólne gospodarstwo domowe prowadzi kolejno jedna z zamężnych kobiét, któréj wtedy służy miano reduszy, to jest rządczyni (od red, rząd, porządek), inne znowu spełniają niezbędne w gospodarstwie roboty. Kobiéta u południowych Słowian w ogóle dzieli z mężem wszystkie prace. Jest ona ciągle zajęta, nigdy nie próżnuje. Zwolniona od ciężkiéj roboty w polu, przędzie, robi płótno, szyje bieliznę. Po wsiach nigdy nie widać wieśniaka lub dzieci obdartych, żona szyje i łata, a zamiłowanie kobiéty tego rodzaju jest jawnym dowodem jéj skrzętności i zamiłowania porządku.

Jakiż to piękny, niewysłowiony co do uroku przedstawia obraz rodzina serbska wieczorem u ogniska zadrugi—u starosty zgromadzona! Mężczyźni strugają, poprawiają sprzęty domowe, starsi odpoczywają po pracy, radzą nad gospodarstwem, matki usiadłszy w kółku, w milczeniu oddają się drobnéj ręcznéj pracy a młodzież spoczęła u ich stóp; tam się dziecina strudzona oparła o kolano matki i zmrużywszy oczęta, śpi snem niewinnego anioła; tam znowu starsza młodzież przybiegła do dziadka i prosi, by im opowiedział o carze Trojanie, lub Marku Kraljewiczu. Niekiedy starosta zdejmie ze ściany gęślę i monotonnym dźwiękiem z jednéj tylko struny wydobywanym, przeplata opowieść poetyczną o dawnych bohatérach Serbii. To znowu inny starzec, sięgnąwszy pamięcią do odległych czasów, wysnuje opowieść o owym ucisku Turczyna, o walce za niepodległość serbską.

Kto zdoła sobie uprzytomnić taki uroczy obraz rodziny, co zresztą tak łatwo każdemu przyjdzie, kto spojrzy głębiéj w tę duchową osnowę takiego związku idealnego, czyż nie zapyta słusznie z autorem „Rodziny“, z owym sielankowym Richlem: „A polityk i ekonomista, kiedy rozważa dobre i złe strony wspólnych i indywidualnych dóbr, czy weźmie na uwagę moralne w tym względzie czynniki? Czy statystyk jest w stanie wynaleźć liczbę, któraby wyraziła, te błogie skutki, jakie na rodzinę spływają, kiedy dzieci na łonie dziadka lub babki wsłuchują się w tradycye rodziny i kiedy starcy w gronie swych

wnuków widzą, w tych samych izbach, gdzie młodość spędzili, kwitnącą na nowo wiosnę swojéj starości?“

Tak ważnéj instytucyi w sferze stosunków rodzinnych a zarazem rolnych i ekonomicznych nie chciejmy jednak oceniać li ze stanowiska wrażenia, jakie na nas sprawia widok zadrugi zgromadzonéj wieczorem u domowego ogniska. Prawnicy, ekonomiści powiedzą nam: to romantzym czułego serca, to ideologia! O, nie bynajmniéj: zadruga, ten komunizm domowy, rodzinny, to nie czczy frazes.

Posłuchajmy, co o niéj mówi, o jéj istocie i charakterze jeden z najgruntowniejszych znawców stosunków rolno-rodzinnych swojego kraju Utjeszenowicz: „Nigdy — powiada tenże — nie nazywaliśmy w ciągu naszéj rozprawy stosunków rodziny połączonéj w zadrudze— patryarchalnemi, mianem, którego tak chętnie w tym razie używają autorowie z Zachodu. Tę nazwę za zupełnie niewłaściwą uważać należy. Sam lud nie zna takiego miana, bo nazywając te stosunki drużyną, drużtwem, zadrugą, daje znać, na jakich zasadach się opiéra podobna instytucya. Jeśli głowę rodu zowie gospodarzem, nieznaczy to bynajmniéj pana, władcę--ale poprostu gospodarza, zarządcę. I nazwie téj najzupełniéj odpowiada sama istota. W stosunkach czysto patryarchalnych rządzi ojciec, patryarcha; dzieci winne mu bezwarunkowe posłuszeństwo, młodsze pokolenie ma tylko obowiązki, ale żadnych praw. Zupełnie inaczéj ma się u południowych Słowian. Tam nie ma śladu niewolniczego poddania się pod władzę patryarchalną, ale natomiast najzupełniejsze równouprawnienie pod względem wspólności majątkowéj, w tym rodzaju jak w stowarzyszeniu akcyjném; tam nie masz wyparcia się własnéj woli, ale każdy ma swój głos i większością głosów jak u akcyonaryuszów zapadają uchwały dotyczące ważniejszych spraw zadrugi czyli spółki. Ten słowiański popęd do stowarzyszeń stworzył spółki rolnicze oparte na związkach rodzinnych, spółki, które na zewnątrz i wewnątrz mają swoje właściwe sfery prawne.“

Tym więc sposobem system rolny w Serbii stanowi środek między angielskim systematem, który stara się ograniczyć możność dzielenia własności ziemskiéj a systematem rossyjskim, który, uważając grunta wieśniaków za własność gminy, co lat 10 lub 15 dzieli całe pole między pojedyncze głowy gminy. Tam gdzie burzące paragrafy niepraktycznego prawodawstwa jeszcze nie osłabiły węzłów rodowego komunizmu, tam biurokracya chętnie ograniczająca swobodę osobistą, niéma jeszcze dostępu, ztąd jéj pioruny na takie familijne prawo. Ci z teoretyków, którzy umieją się tylko obracać w kole pojęć zaczerpniętych z prawa rzymskiego i germańskiego, uważają zadrugę poprostu jako barbarzyństwo. Nowsi ekonomiści, co hołdują kierunkowi wyłącznie przemysłowemu, co sądzą o społeczno-politycznych stosunkach kraju według ilości przedsiębierstw przemysłowych, ci coby ziemię całą pokryć chcieli dymnemi fabrycznemi kominami, potępiają podobny system stosunków rolnych, jako niby wstrzymujący wszelki postęp na drodze przemysłu. Ale ci, co nie unosząc się stronniczém doktrynerstwem, trzeźwo patrzą na rozwalniające się zwłaszcza na Za-

chodzie węzły rodziny w skutek wyosobniania się najdrobniejszych właścicieli ziemskich, przyznać są zniewoleni, że podobno jak u Serbów stosunki rolne, działające silnie na wzmocnienie związków rodzinnych, przyczyniają się skutecznie do istotnéj trwałéj spójności całego organizmu społecznego. Wprawdzie w ostatnich czasach serbscy politycy wychowani w zasadach szkoły francuzkiéj, usiłowali już po kilkakrotnie potargać i zburzyć te węzły spólności rolno-rodzinnéj, ale znaleźli w zdrowym instynkcie całego ludu silny przeciwko nowatorstwu opór. Pauperyzm i proletaryat nie są więc dla Serbii widmem i przy takich urządzeniach nigdy dlań nie będą, są to bowiem owoce państw policyjnych.

*

* *

Przejdźmy do związków innego rodzaju, nie opartych ani na wspólnéj ziemskiéj własności, ani na wspólności krwi, ale na mniéj realnym gruncie, na idealniejszéj wyrosłych podstawie—na wzajemném przywiązaniu. Jestto znane pobratymstwo i posiestrzymstwo, węzły święte nie przemijające, nie okolicznościowe, ale wiążące serca w ciągu całego życia. Tylko u południowych Słowian przechowały się te serdeczne związki, jako wiernie dochowana po praojcach spuścizna. Dla serbskiéj dziewoi chlubą najwyższą i szczęściem jest posiadać brata duchowego; siostra żyje sławą wojenną swego brata: on stanowi dlań przedmiot jéj dumy. Brat nieraz jest dla serbskiéj kobiéty osobą bliższą od narzeczonego lub męża. Brat przyjmuje na siebie opiekę, broni czci swojéj siostry, mści się wyrządzonéj jéj zniewagi. W mniemaniu pospolitém najszczęśliwszy jest ten, co ma siostrę, najszczęśliwsza siostra, gdy znajdzie sobie brata. Jak pragnę by siostra (lub brat) żyła, takie zaklęcie za najuroczystszą uważane bywa przysięgę.

Istota tych niezwykłych i nieznanych nam związków polega na wzajemnéj dozgonnéj przyjaźni, jaką sobie przysięgają towarzyszki i towarzysze młodocianych zabaw. Wśród pięknych symbolów zawiéra się ten akt powinowactwa duchowego. Podczas zabaw wiosennych w dnie Wielkanocy brat upatruje sobie młodą siostrzyczkę i nawzajem siostra młodego brata i wzajemnie sobie ofiarują przyjaźń. Po rocznéj próbie znowu podczas zabaw wielkanocnych już ostateczne wyrzeka się słowo i związki są zawarte na wieki w imię Boga i Ś-go Jana. Młodzieńcza para przynosi z sobą wieńce, oplata się nawzajem temi kwiecistemi sploty, albo z wieńcem biegną brat i siostra ku sobie i na kwiatach składają pocałunki. Odtąd związek staje się świętym, nierozerwalnym. Niekiedy na żądanie młodéj pary uświęca tę przyjaźń błogosławieństwo, przez księdza w kościele udzielone. Te pobratymstwa początkiem swym dalekich sięgają czasów, ostatnie zaś wieki tureckiego ucisku, gdzie kobiéta potrzebowała więcéj niż kiedykolwiek opieki, przyczyniły się znacznie do ściślejszego zawią-

zania tych węzłów przyjaźni. Ludowe pieśni opiewają budujące przykłady wysokiego poświęcenia, które na tém czystém idealném wyrastały polu i które żywo nam przypominają owe dowody szlachetnéj przyjaźni, o jakich nieraz wspominają dzieje klasycznego świata. Są rzadkie nader wypadki, żeby się ktoś odważył uchybić obowiązkom brata lub siostry. W takim razie, według wiary ludu, niebo mści się domierzonéj krzywdy. Razu pewnego brat, tak głosi pieśń ludowa, oczarowany wdziękiem swéj nadobnéj siostry, zbliżył się doń w erotycznem uniesieniu, przekroczywszy granice skromności i

„Oto nagle grom spadł z nieba
I tknął Piotra Bulgarczyka.
Dziewczę woła w uniesieniu :
Niech tą śmiercią ginie każdy,
Co swą siostrę chce znieważyć!“

Przypatrzmy się związkom na podobnéj podstawie opartym—małżeństwom. W Serbii rzadko się kojarzą stadła z wzajemnéj zobopólnéj skłonności narzeczonych. W zadość uczynieniu potrzebom swego serca, w pójściu za jego wyborem krępuje młodego Serba wzgląd na rodzinę, na zadrugę, wśród któréj sam żyje. Jéj stan niezbyt zamożny może nieraz chłodzić najgorętsze uczucia, przytém głowa rodu i członkowie poważniejsi swoją radą praktyczną wpływają na wybór, mający głównie dogodzić wymaganiom całéj spółki rodzinnéj. Nie idzie ztąd jednak bynajmniéj, iżby Serb był obojętny na wdzięki i nie smakował w słodkich uczuciach miłości; owszem pieśń ludowa, wiernie w sobie odbijając usposobienia narodowe, z upodobaniem wysławia piękność nadobnych dziewic. Młodzian mówi do dziewoi :

„Ja nie patrzę pereł ani złota,
Ni jedwabiu, ani aksamitu;
Jeno patrzę urodnéj dziewczyny,
Udatnego wzrostu i postawy,
Pięknych oczu i kroku wdzięcznego,
By ją dowieść matce méj do dworu,
Matce mojéj chlubą żeby była (1).“

Pieśń ludowa nie zna w miłości i widzieć nie chce pobudek nizkich ziemskich :

„Szczęścia—złoto, srebro nam nie daje,
Tylko, co jest drogiém sercom naszym (2).“

Dziewoja, co ukochała młodzieńca czystą miłością, ucieka z wybrańcem swego serca do leśnego ustronia, by ujść przed uściskiem narzuconego jéj z góry kochanka. Może jeszcze niedawno ten romantyzm w pieśni był obrazem istotnie wiernym częstych wypadków rzeczywistości w dziejach kochających się serc młodych, ale dziś po-

(1) Narodowe pieśni Serbskie prz. R. Zmorskiego. 1853 II 326.
(2) Nije blago ni srebro ni zlato,
Weoz je blago, szto je srcu dràgo.

dobne porywania, o jakich pieśń wspomina, już do rzadkich zdarzeń należą. Surowo zabrania je przepis prawa. Zwykle teraz ojciec stara się o żonę dla syna a po zobopólném porozumieniu się rodziców z jednéj i drugiéj strony, następuje wskazanie synowi lub córce uczynionego wyboru.

Jak wszędzie tak i w Serbii obrzędy weselne mają swoje charakterystyczne a ciekawe cechy. Zwykle w dzień niedzielny lub w święto odbywa się wesele. Uroczysty pochód rusza z przed domu panny młodéj. Byłoby hańbą, gdyby ktoś na koniu towarzyszył, wszyscy dla większéj ostentacyi pieszo. Na czele orszaku postępuje grajek wiejski. Tuż za nim panna młoda prowadzona przez brata pana młodego (djever) w otoczeniu starosty weselnego (starišwat), kumów, chorążych (bajrakdar), chochlika (czausz albo glumpac), krewnych, rodziców i znajomych. Wszyscy z orszaku weselnego mają na lewém ramieniu przypięte kolorowe chustki. Pochód się zatrzymuje przed domem pana młodego, któremu bracia panny młodéj zalecają swą siostrę. Ztąd do cerkwi. Wesołość wzmaga się po drodze, wybranéj umyślnie w jak najdłuższym kierunku. W cerkwi gromadzą się wszyscy przed ikonostasem około pulpitu, na którym leży ewangelia. Po odbytych modłach ksiądz wiąże lewą rękę panny z prawą pana młodego białą chustą, kładzie korony metalowe na ich głowy i obrączki na palce. Młoda para z jarzącemi świécami obchodzi księdza trzy razy dokoła i przyjąwszy odeń ostatnie błogosławieństwo, wyrusza z cerkwi. Po za świątynią wystrzały z fuzyi i pistoletów zwiastują gminie radosną nowinę dopełnionego związku. Matka przyjmuje nowożeńców u progu domu chlebem i winem w dowód życzenia, by im nigdy na dostatku nie zbywało.

Uczta weselna tchnie swobodą i wesołością. Na pożegnanie panna młoda całuje wszystkich obecnych w lewy policzek, za co w zamian otrzymuje od weselników podarki pieniężne. Nazajutrz po ślubie nowozamężna odbywa w towarzystwie swoich rowieśniczek dziewic uroczystą wyprawę po wodę do studni lub rzeki, przyczém ukazuje się po raz piérwszy w stroju głowy przepisanym dla zamężnych kobiét, a o którym już wyżéj była mowa. Wiarę małżeńską dochowują stadła w Serbii trwale i uczciwie. Wdowy rzadko w powtórne wstępują związki.

Jestto serce przejmujący widok, widok serbskiéj żony i dzieci serbskich, kiedy się gromadzą około męża i ojca, co już ostatnie z siebie wydaje ziemskie tchnienie. Głośne zaś modły księdza, co błogosławi konające chwile ziemskiéj pielgrzymki, obok słodyczy religijnéj pociechy mieszczą w sobie ustępy, które do głębi wzruszają duszę. Przed temi więc smutnemi obrazy nie chcemy zbyt długo zatrzymywać czytelnika: w boleści serca nad stratą ukochanéj osoby, w tém uczuciu, które dzieli każda szlachetniejsza istota, nie uwydatni się żaden rys narodowy: w tym żalu, w tych łzach, któremi się rozpływa serce, wszystkie narodowości są sobie równe. Bohatór Homera lub Wergila, Achilles, łzy roni nad zgonem Patrokla nie mniéj szczerze od łez Niebelungów bohatéra, Hekabe i Andromacha nie mniéj obfite od łez serbskiéj wdowy. Obrzędy pogrzebowe według wschodniego wy-

znania są zresztą znane. Po złożeniu do grobu zwłok, uczestnicy téj smutnéj uroczystości zbierają się w domu zmarłego na obchód stypy pogrzebowéj (daća), na któréj nie mało rakii (wódki) wychodzi wypijanéj na intencyą zbawienia nieboszczyka. Stypa pogrzebowa ponawia się po dwóch tygodniach, sześciu miesięcach i po pierwszym roku. Zwykle wtedy przybywa także dla odprawienia modłów i ksiądz miejscowy. Dla uczczenia pamięci nieboszczyka wystawiają część potraw na grobie zmarłego, półmisek z ryżem, plackiem, wino i wódkę, czém się następnie dzielą dziady i baby cmentarne, niby ofiarą złożoną w imieniu nieboszczyka.

W Dzień Zaduszny, który w Serbii według obrządku wschodniego przypada na niedzielę po Trójcy Św., rodzina odbywa pielgrzymkę i za umarłych ofiaruje pewną liczbę świéc. Również skwapliwie zakupuje lud mszę i żałobne modły, bo zmarłych chowa w wielkiéj czci jeszcze z innego powodu—wierząc w upiory.

Po czterdziestu dniach często zły duch zstępuje w pogrzebione zwłoki, ztąd w postaci upioru (wukodlak) wkrada się do mieszkań ludzkich, dusi śpiących i wysysa ich krew. Posiada tę własność, że się przez najmniejszy otwór, nawet przez dziurkę od klucza, dostać może. Uczciwy człowiek nigdy się nie zamieni w upiora, chyba, że nad niepochowanemi jeszcze zwłokami jego ptak przeleci, ale przed tém nieszczęściem wszystkich zmarłych pilnie strzegą. Upiór najgroźniéj panuje, według ludowego wierzenia, w czasie od Bożego Narodzenia do Wielkanocy. Jeżeli się we wsi zdarzy znaczny mór, wtedy upiorowi przypisują winę. Prowadzą więc konia na cmentarz, na domniemane miejsce pobytu upiora: jeżeli koń nie chce przejść przez grób, dowód, że zwłoki mieszczą złego ducha. Ciało nieboszczyka przytwierdzają wtedy do ziemi ostremi kołami, żeby go nieszkodliwym uczynić.

Cmentarz zwykle w pobliżu wsi a nieraz w środku samego sioła się znajduje na wyniosłości drzewami pokrytéj. Stawianie lamp na grobach przypomina zwyczaje starożytnych ludów. Wysokie krzyże drewniane obok mniejszych, noszące nazwy zmarłych i inne kamienne pomniki o wielce nieprawidłowych kształtach, nadają serbskiemu cmentarzowi fantastyczny pozór, który w połączeniu z piękną miejscowością i malowniczym nieładem, korzystnie się wyróżnia od wielkomiejskich cmentarzy ujętych w murowany czworobok, poprzerzynanych prostemi ulicami, niby warzywne ogrody.

We właściwéj Serbii nie ma tak jak w Czarnogórzu ludnych i rozgałęzionych rodów. Ich miejsce zastępują gminy miejskie, których ludność stanowi jednę całość. Wyrazem téj łączności jest święto patrona miejskiego (Sabor), obchodzone przez całą wieś z niezwykłą uroczystością. Wszelka praca zawiesza się wtedy w polu i domu, rano zbiéra się gromada miejska na nabożeństwo do cerkwi. Ztąd ksiądz na czele processyi z obrazami świętemi udaje się w pole, święci ziemię, wodę i bydło, a pobożny ludek wznosi modły do Boga o urodzajne lato. Pod tym względem uroczystość podobna jest do dni krzyżowych, w naszym kościele obchodzonych, z dodaniem tylko

części świeckiéj, bo czas popołudniowy cała gromada serbskiéj wsi poświęca wesołéj zabawie, wśród nieprzerwanéj uciechy urozmaiconéj pieśnią, muzyką i tańcem.

Najdobitniejszym jednak wyrazem wspólności i ścisłości węzłów rodzinnych jest uroczystość patrona domowego, patrona rodu czyli zadrugi. Każdy ród stanowiący zadrugę, ma swego aniołastróża, swego orędownika czyli patrona, jak każda gens rzymska miała swoich penatów, swoich penates familiares. Święty patron jest najbliższym pośrednikiem między zadrugą a Bogiem. Każdy kmiotek serbski wierzy, że tarczą od wszelkich nieszczęść jest święty opiekun rodu, że on najskuteczniéj wstawia się za modlącemi doń członkami zadrugi. W osobie świętego patrona spostrzega Serb, dziecinnie myślący, jakąś tajemniczą potęgę z nieograniczoną władzą panującą nad niepojętemi dlań siłami przyrody, od których cało jego szczęście zawisło. We wszystkich ważniejszych chwilach swego życia, w szczęściu i wśród troski, w radości i wśród smutnéj doli, każdy członek rodziny błaga jego łaski dla siebie i świętego ogniska rodzinnego, bo od pomyślności całego kółka zawisło i powodzenie każdego oddzielnie.

Uroczystość domowego patrona staje się więc w obec religii wyrazem rodzinnych węzłów i urządzeń serbskich. Wspólność wszystkich członków stanowiących jednę całość pod względem gospodarczo-rolnym i rodzinnym, w ten dzień uroczysty uwydatnia się duchowo i przyodziewa w kształt wysokiéj uroczystości religijnéj. Patron domu nazywa się krsno imie, albo po prostu swetac (święty). Najczęściéj Serbowie wybierają na patronów ŚŚ. Nikołę, Jowana, Dżordzja (Jerzego). Na cześć rzymskich penatów palono na ognisku domowém rodzaj ognia ofiarnego. Podobnież i Serb zapala przed patrona obrazem,—sprowadzonym z Wiednia lub z Rossyi,—małą lampkę i nigdy tego uczynić nie zaniedba w niedzielę i święta uroczyste, choćby był najbiedniejszym.

Dzień świąteczny, na który przypada uroczystość patrona, nazywa się wraz z całym obchodem: slawą. W sławie bierze udział cała gmina kościelna, na uczcie zaś są głównie obecni członkowie zadrugi, kumowie i inni krewni. Uczta odbywa się w domu naczelnika rodu, czyli starjeszyny. Zielone wieńce zdobią ganek i dom w ten dzień uroczysty. W obszernéj izbie stoi długi stół z desek świeżo zaimprowizowany. Na nim różnokolorowe gliniane i drewniane naczynia, miski, talerze, łyżki, (nóż każdy Serb z sobą przynosi) spodeczki z solą i z papryką (pieprz turecki). Na środku stołu spoczywa ogromny okrągły bochenek chleba, krstni kołacz nazywany, który w religijnéj części uroczystości najważniejszą gra rolę. Według liturgicznych przepisów, chléb ten powinien być z pszennéj mąki. Na jego wierzchniéj części wznosi się krzyż wysoki z napisem: „Isus Christos nika“, na dolnéj zaś powierzchni—tylko krzyż na skórce wyciśnięty.

Wchodzi ksiądz ubrany w szaty kościelne i staje u rogu stołu. Przy nim naczelnik rodu, tuż obok najstarszy syn z całą męzką polo-

wą rodu; daléj koło stołu kumowie i inni krewni: kobiety mieszczą się w głębi izby. Ksiądz czyta modlitwy i święci chléb święty. Błaga o błogosławieństwo Boga i ś. patrona i prosi o rok urodzajny, aby kłosy wyrosły wysokie jak do szczytu izby. Wonnych kadzideł zapach z trybularza rozchodzi się w około, cienie dymu przesuwają się po nad głowami zgromadzonego u stołu zadrugi.

Starjeszyna bierze chléb do ręki i razem z księdzem łamie na połowę. Ksiądz poléwa chléb winem a starjeszyna wraz z kumem wino ustami wysysają i znowu na połowę chléb dzielą. Część tego chleba dostaje ksiądz, starjeszyna i gospodyni domu. Akt święcenia się skończył. Ksiądz zdejmuje swe szaty pontyfikalne i zasiada przy stole na naczelném miejscu. Rozpoczyna się uczta złożona z potraw, na jakie się kuchnia serbskiego kmiotka zdobyć może. Za napój służy rakja i wino. Biesiadnicy wychylają jeden toast za drugim. Ksiądz wznosi kielich na cześć Boga:

Kto pije wino na Sławę Bożą,
Pomóż mu Boże i sława Boża.
Cóż piękniejszego, jak Boga sławić,
A w świętéj prawdzie z braćmi wieczerzać?

Gospodarz zdrowie swoich gości. Odzywa się śpiew: „mnogaja ljeta“ i ciągle przeplata dźwięczna melodya nieskończoną liczbę toastów. Przy każdém z nich powtarzają się wierszowane gratulacye „zdrowia“ i życzenia (zdrawice, počašnice). Poetyczne porównania, nieraz pełne myśli obrazowanie stanowią wielce miłą ozdobę tych niekunsztownych improwizacyj. Jeden z kumów przy toaście odzywa się do biesiadników wierszem, wierszem, który bogactwem swych niewyszukanych porównań a prostotą myśli przemawia żywo do duszy:

Troje ptaków górą przelatuje,
Różne dary niosą wszystkie w dziobie:
Jeden niesie kłos pszenicy białéj,
Drugi winnéj gałązkę macicy,
Trzeci niesie zdrowie i wesele.
Który niesie kłos pszenicy białéj,
Ten na Baczką spuści się równinę:
Równina Baczka zbożem ztąd zakwita;
Który winnéj gałązkę macicy,
Ten na Fruszką górę z nią upadnie:
Fruszka góra winem ztąd zakwita;
Który niesie zdrowie i wesele,
Ten niech padnie na stół między nami,
Niech kwitniemy zdrowiem i weselem!

Kiedy starsi już skończą swoje zdrawice, wtedy młodzież wstępuje na pole popisu. Oto młodzian nalewa sobie z dzbanka wino i pije zdrowie dzieweczki:

Nadleciał kwiatek z cudzéj krainy,
Upadł dziewczynie w rumiane wino,
Miła siostrzyczko, ranna gwiazdeczko!
Oddmuchaj kwiatek, napij się wina;
Bo to kwiatuszek od chłopca twego,
Kochanka twego z cudzéj krainy.
I oko i czoło,
Bądź mi, siostro, wesoło! (1).

*

* *

Jeżeli u ludów europejskich, nawet u tych, gdzie się nauka Chrystusa w najczystszym rozwinęła kształcie, dotychczas zachowały się tu i owdzie ślady i szczątki prastarego ubóstwiania natury, to te pozostałości pogaństwa najsilniéj u południowych Słowian pomieszały się z chrześciańskiemi obrządkami i zwyczajami. Dość przejrzéć szereg świąt kościelnych obchodzonych przez wyznanie wschodnie, tudzież uroczystości w domowym serbskim kalendarzu pomieszczonych, a łatwo dostrzedz można, jak w tych obecnych zwyczajach odbija się echo odległych pogańskich wieków, kiedy jeszcze Słowianie, bawiąc się pasterstwem i rolnictwem, bogom leśnym i polnym ofiary składali. Serbowie zwyczajem wszystkich wyznawców wschodniego kościoła trzymają się kalendarza juliańskiego.

Szereg świąt rozpoczyna dzień Teofanii, czyli Objawienia Boga (Apparitio), pod nazwą u nas Trzech Króli znany. Wiadomo jest, z jak wielką okazałością obchodzą ten dzień w stolicy północnéj na Nowie. W tym samym sposobie jak tam udaje się nad brzeg Sawy książe serbski wraz z liczném duchowieństwem i dworską świtą z patryarchą na czele, który zanurzywszy po trzykroć krzyż w wodzie, podaje księciu do pocałowania i znak krzyża na czole księcia uczyniwszy, ten sam symbol odnowionego przez chrzest życia na czołach obecnych przy procesyi składa. Taki jednak znak duchowego pokrzepienia nie wystarcza dla prostego serbskiego kmiotka. Od takiego święta wymaga on dotykalniejszych znaków szczęścia dla siebie i swego domu.

Według mniemania ludu otwiera się niebo w wigilią Trzech Króli. Nie każdy jednak jest przez los wybrany do oglądania tego cudu; wybrańcowi, który tój łaski dostępuje, wolno prosić Boga o spełnienie życzenia, ale tylko jednego.

„A Jezus ochrzczony będąc, wnet wystąpił z wody, a oto się mu otworzyły niebiosa i widział Ducha Bożego, zstępującego jako gołębicę i przychodzącego nań (Ew. Ś. Mat. III. 16).“

Wielu przepędza noc na polu w tęsknem oczekiwaniu cudu. Przed wschodem słońca kąpie się kmiotek w rzece, gdy ją zaś pokrywa już lodowa skorupa, wyrębuje przerębel i nurza się w zlodowaciałéj wodzie, bo kąpiel w tym dniu wzmacnia ciało na rok cały.

(1) Przekład R. Zmorskiego, T. II, 313—317.

Zwiastowanie N. Maryi Panny 25 marca. W dniu tym według wiary ludowéj można skutecznie zakląć złe duchy, zwłaszcza czarowników. Na dni kilka zabija się węża i na łbie umieszcza się odłamek czosnku. Jeżeli pusci kiełki zielone aż do święta, wtedy na kapę księdza przed procesyą kładzie się odłamek czosnku, co ma nieomylny dawać sposób poznawania wszędzie czarownic.

W Kwietnią Niedzielę (cweti) obchodzą wieśniacy zwyczajem kościoła pamiątkę uroczystego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, łączą z tém jednak i swoje własne święto: zbudzenia się natury i poczynającéj się wiosny. W przeddzień zbierają się zwykle dziewczęta serbskie w polu i śpiewają pieśni o przebudzeniu się Lazara, przed wschodem słońca w dzień palmowy kąpią się w rzece i na wesołych tańcach czas trawią. Jako w Indyi, zkąd podobno przeniesioną została do nas palmowa uroczystość, uważa też i kmiotek serbski to święto za zwycięztwo budzącéj się wiosny nad potęgami zimy. Odtąd się już drogi poprawiają, las pokrywa się liściem, teraz się już można cieszyć kwitnącemi Boga tworami. Wesołe *wiły* wychodzą z ukrycia i swemi pląsy ożywiają zielone błonia i gaje białego kwiecia. Przy muzyce niebiańskiéj wirują w kołowym tańcu te lekkie powietrzne postacie w jasnych powiewnych szatach. Biada temu, coby się odważył podpatrzéć lub przeszkodzić ich weselu. Leśne boginie mogłyby się krwawo na nim zemścić, ich celne strzały nigdy nie chybiają, zawsze mierzą w piętę lub serce. Tylko *Widowit*, który się rodzi w siatce do koszulki podobnéj i który niezwykłym celuje rozumem, pojmuje mowę *wił*: wszyscy inni śmiertelnicy pilnie strzedz ich się muszą.

Wielkanoc należy do najpiękniejszych świąt wiosennych; wszędzie ją téż obchodzą wielce uroczyście. Jajko, symbol wszego początku we wszechświecie i nowego życia przez odkupienie Chrystusa, gra wtedy ważną a nam znaną rolę. Wzajemnie częstując się jajkami Serbowie, witają się słowy: „Chrystus zmartwychwstał" i odpowiadają: „w istocie zmartwychwstał".

Na dzień 23 kwietnia przypada uroczystość ś. Jerzego, zwycięzcy smoka (Djurdjewdan). Już przed wschodem słońca kąpią się chłopcy, a dziewczęta czerpią wodę z pod koła młyńskiego, wrzucają weń świeżo zerwane zioła i myją się tą wodą, jako podnoszącą urodę i wzmacniającą zdrowie. Dobrze jest także w dzień ten chustać się, tarzać na murawie, byle tylko nie spać, bo to ból głowy sprowadza. We wschodniéj Serbii od dnia tego ustaje używanie baraniego mięsa. Nad Timokiem (wschodnia graniczna rzeka) czczą św. Jerzego jako patrona trzody. Każdy wieśniak pędzi wtedy koziełka swego do cerkwi. Na jednym z rogu stawia się woskowa świeczka. Po skończonéj liturgii wychodzi pop przed cerkiew i święcąc zapalone na rogach koziełków świéce, błogosławi wszystkie trzody wiejskie w osobie tych rogato-brodatych przedstawicieli. Poświęcone koziełki zdobią późniéj stół świąteczny. Nazajutrz pop wraz z djakiem obchodzi chaty wiejskie i zbiera skóry koźle jako dar za udzielone błogosławieństwo. I w innych częściach Serbii zachował się zwyczaj, który zapewnie po-

zostaje w związku z ofiarnemi kozłami, jakie w pogańskich czasach na cześć bogom rodzinnym składano.

Zapewnie również odległéj sięga starożytności i z pogańskich przechowało się czasów surowo przez duchowieństwo zabronione święto, znane pod nazwą *Dodoli*. Jeżeli zbyt wielka susza zagrażała urodzajom, wtedy jedna z dziewic wiejskich okrywała się zielonością, ziołami i gałązkami, tak iż z poza tego stroju tylko twarz jéj widać było. Rówieśniczki towarzyszyły jéj, skacząc na około z rękami do góry wyciągniętemi. Przed każdym domem zatrzymywano się i śpiewano do „Dodoli“ bogini deszczem władnącéj o spuszczenie rosy niebieskiéj na spieczone skwarem niwy:

My ciągniemy wzdłuż przez sioło,
Oj dodo, oj dodole!
A obłoki wzdłuż przez niebo,
Oj dodo, oj dodole.
I my prędko, obłok prędko,
Oj dodo, oj dodole!
Prześcignęły nas obłoki,
Oj dodo, oj dodole!
Żyto, wino pokropiły,
Oj dodo, oj dodole! (1).

Śpiewy powtarzają się tak długo, dopóki z chaty ktoś nie wyjdzie, zwykle gospodyni, która oblawszy „chodzącą trawę“ kubłem wody, w darze składała Dodoli i jéj towarzyszkom różne podarunki. Procesya szła daléj do następnéj chaty. Dziś odziedziczyły tę pogańską spuściznę cyganki, które w podobny sposób po wsi chodzą, chociaż wieśniak serbski w skuteczność prośby zanoszonéj przez cygankę—Dodolę nie tak silnie wierzy.

Zbliżają się Zielone Świątki (duhowi, troice) to „miłe święto“, jak je Goethe nazywa w swoim poemacie Reinecke Fuchs, obchodzone uroczyście na Zachodzie zwykle na łonie zielonéj kwitnącéj natury, wśród wonnych lasów. Któżby nie pragnął wyrwać się z ciasnych murów lub posępnéj chaty, kiedy w majowy dzień słońce złotą zaświeci pogodą, kiedy pieśń skowronka rozlega się po polach zielonym kłosem umajonych? Ten się poi wonią balsamicznego powietrza, ów znowu z radością patrzy na swoje piękne i bujne niwy.

Kmiotek serbski, którego plony od matki natury zawisły, czyż nie miał powodu, patrząc na bujne zawiązki, cieszyć się swojém szczęściem z całego serca i pragnąć, by się ku jesieni jego nadzieje ziściły? Ztąd też w Zielone Świątki dziś odbywają się processye kościelne, ksiądz wychodzi z całą gromadą, by święcić pola i drzewa a ludek gorące zanosi modły do Boga o urodzaj. Oprócz tego niczém innem nie wyróżnia się to święto od zwykłych dni wolnych od ciężkiéj pracy. Ale dawniéj przed kilkunastu laty, podobno dziś nawet w niektórych

(1) Wuk Karadżycz. Srpsko pjesme. I Nr 185.

miejscowościach, Zielone Świątki były wielce uroczystém ludowém świętem, obchodzoném na cześć staro-serbskiéj bogini miłości Lelji. Przeciwko kralicy, bo tak lud swą uroczystość nazywał, powstawało duchowieństwo i ten zabytek, niewątpliwie pogańskich czasów, już ze zwyczajów niemal usunięty został.

To piękne poetyczne święto wiosenne było poświęcone czci bogini miłości. W pieśni wysławiano czarujące wdzięki i potęgę téj wielowładnéj bogini, któréj wpływom młode serca zawdzięczają tyle snów złotych, tyle marzeń tęczowych i tyle głębokich, słodkich wzruszeń, a starcy tyle rozkosznych wspomnień, iż na chwilę nowém zaczynają żyć życiem. Lud więc starał się tę niewidzialną siłę przedstawić w cielesnéj postaci i uzmysłowioną miłość ubrał w najpiękniejsze kształty, w czarujące powaby. Wybierano we wsi najurodziwszą dziewoję, krasawicę istną, jak przystało na boginię miłości. Lelja była w pojęciu ludu kralicą, królową. Występowała wieńcami cała pokryta. Obok niéj cudne towarzyszki, z których jedna przedstawia króla, umajone również zielonemi splotami; całe otoczenie składało się z rycerzy i pań dworskich, orszak z chorążym na czele od domu do domu ciągnął, wzywając Lelii:

Królu, jasny królu!
O królowo, pani! Leljo!
Powstań i pobiegnij! Leljo!
Z dworu ku dworowi, Leljo!
Do carskiego stołu, Leljo!
Gdzie car wino pije, Leljo!
Leje je królowa, Leljo!
Ze złotego dzbanka (1).

I stanąwszy przed domem wiejskim, orszak składał hołdy gospodyni:

W domu tym przed nami,
Dobra gospodyni,
Wołki jak jelenie,
Balsamowe jarzma,
Drążki jak bławatki,
Żyto niby złoto,
Królu, jasny królu!
Dzielny nasz chorąży!
Obróć się i pokłoń
Hołduj gospodyni! (2).

(1) Wuk Karadžicz. Srpskie piesme I. 159. Wszystkie wiersze, z wyjątkiem pierwszego i ostatniego śpiewają się po trzykroć; przy środkowych zaś chór przyśpiewuje Leljo.

(2) Tamże, I Nr. 160.

Odezwały się dźwięki muzyki, chłopcy i dziewoje, podawszy sobie ręce, opasali kołem króla i kralicę, w żartobliwéj pieśni zanoszą do nich prośbę:

Tu, nam powiadają,
Bawi młode dziewcze,
Zamąż ją wydajcie
Albo nam przeznaczcie.
Żeby za mąż wydać
Za Jowana djaka,
Za siostrzeńca popa,
Który pisze piórem
Wziętém z orlich skrzydeł,
Niém też zapisuje
Oczki wszystkich dziewic
I mołojców twarze (1).

Inne znowu święto z nie mniéj licznemi odgłosami tajemniczéj poezyi natury, spotykane w jednakim kształcie u wszystkich niemal ludów, stanowi dzień, kiedy słońce dobiega najwyższego na niebie punktu, dzień Ś-go Jana, 24 czerwca. Ś-ty Jan (Iwań dan) jest tak wielkiém świętem, że według mniemania Serbów, słońce wtedy trzy razy się w biegu swoim zatrzymuje. Daremnie sarali się piorwsi chrześciańscy apostołowie znieść uroczystość istotnie pogańską, poświęconą życiodawczemu słońcu w chwili największéj jego siły i czci dobroczynnego ognia. Ani germańskie ani słowiańskie ludy tego prastarego obyczaju dotychczas nie zarzuciły. Kościół widział się zmuszonym na dzień ten przenieść święto Jana Chrzciciela, by w nim uwydatnić symbol wiekuistego światła bożego. Na całym Zachodzie jak i u nas dotychczas jeszcze w sile utrzymał się pogański zwyczaj. Któż nie widział w noc Ś-to Jańską owych ogni na szczytach gór, lub owe wiejskich chłopców wesołe pląsy wśród fantastycznego światła gorejących pochodni?

Podobnież w Serbii według mniemania ludu światło Ś-to Jańskie posiada siłę ochronną, zabezpiecza bydło od chorób i pomoru. Młodzież wiejska z zapaloném łuczywem obchodzi w okół bydło zgromadzone, wbiega na szczyty gór i tam rozpala stosy z brzozowego ułożone drzewa. Dziewczęta zbierają wśród śpiewów Ś-to Jańskie ziele, zatykają je w płotach dla zabezpieczenia domu od szkody. Kładą także ziele do wody, z czego według pewnych znaków wróżą o swojém zamążpójściu.

W letnich i jesiennych miesiącach przypada kilka świąt drobniejszych, jako to Ś-go Eliasza władcy gromów, Ścięcie głowy Ś-go Jana, Ś-go Michała Archanioła i inne, przy obchodzeniu których, lubo zachowuje lud pewne zwyczaje, te jednak tu jako mało w sobie charakterystycznych cech mieszcząco, milczeniem pominięte być mogą. Dopiéro święta Bożego Narodzenia wyróżniają się swoją wydatnością i odrębnością, lubo wspomnieć się tu godzi o świętach jakie w grudniu

(1) Tamże, I. N. 161.

obchodzi najmłodsze pokolenie, mianowicie dziatwa. W przedostatnią niedzielę adwentową przypadają *materice*, w ostatnią zaś tak nazwane *otcewi*. Dziatwa już na kilka tygodni marzy o tych uroczystościach, podobnie jak u nas „gwiazdka“ w głowach dziatek budzi już zawczasu rozkoszne nadzieje o złotych jabłuszkach i piernikach. W dzień *materic* dziatwa czyha na sposobną chwilę, żeby zajść znienacka matkę i w żartach „związać“ wstążkami. Matka wtedy wykupuje się z niewoli weselących się dzieci, darząc ich orzechami, owocami lub innym smacznym kęsem. W podobny sposób postępuje dziatwa z ojcem w *otcewą* niedzielę. Czy te uroczystości nie są czasem dniem pamiątkowym, przypomnieniem owych „młodzianków,“ owych niemowląt betleemskich za sprawą Heroda wyciętych?

Sposób obchodzenia Bożego Narodzenia (bozic) przypomina bardzo żywo zwyczaje z czasów pogańskich. Tylko częściowo przebijają się w nich żywioły chrześciańskie. Nieraz rysy dawniejszego pochodzenia obok świeższych swobodnie i niezależnie na jaw występują. Do takich uroczystości, które dziś już tylko w niektórych miejscowościach Serbii spotkać można, należy koleda, nasza kolęda w wigilję Bożego Narodzenia. Zdaje się, że koleda która jak Lelja i Dodola występuje samodzielnie w pieśniach, przedstawia również bóstwo dawniéj przez Serbów jak i innych Słowian czczone. Śpiewacy stają przed każdym domem i śpiewają na cześć koledy:

Gospodyni koledo, pani nasza koledo!
Zastaliśmy cię przy stole, koledo!
Gdzie wieczerzę ty spożywasz, koledo!
Białém gardłem wino pijesz, koledo!
I oczyma perły liczysz, koledo!
I rękoma sznurek splatasz, koledo! i t. d. (1).

Takie obchodzenie po wsi kolędujących, mniemają Serbowie, przyczynia się do pomyślniejszego utrzymania inwentarza, obfitszego doju krów i in.

Wigilią Bożego Narodzenia nazywają także w Serbii badnii dan. Naczelnik rodu, starosta, ścina zwykle przed zachodem słońca najwyższe drzewo z młodych dębczaków, odzywając się doń temi słowy: Dzień dobry! bądź szczęśliwy, badnii dniu! Nieraz ścinają wieśniacy kilka badniaków w Hercegowinie téj wielkości, że dla ich przywiezienia potrzeba dwóch do czterech par wołów. Przybywszy przed dom, starosta wita wychodzących na jego spotkanie członków rodziny. Dobry wieczór, niech wam szczęście przyniesie badnii dzień! Odpowiadając mu: Niech ci Bóg go udzieli! posypują drzewko pszenicą. Więc i w Serbii mają coś nakształt naszych gaików, bo i tam drzewko niepoślednie zajmuje wśród uroczystości miejsce. Na ognisku kładą drzewko, gospodyni domu ściele naokoło słomę, naśladując przytém kwokanie kury,

(1) W. Karadzioc, T. I str. 190.

dziatwa zaś, odtwarzając głosem piskienie kurcząt rzuca orzechy między słomę, którą nazajutrz ścielą pod bydło. Spożywają następnie wieczerzę i czuwają pilnie, by przez noc nie wygasł ogień badniaka.

Rodzinie wiele na tém zależy, kto z gości piérwszy dom jéj nawiedzi w dzień Bożego Narodzenia? Zwykle więc już z góry wybiera go sobie z koła swoich przyjaciół. Połażajnik, bo tak się gość podobny nazywa, wchodzi do domu i wita rodzinę pozdrowieniem: „Chrystus się narodził“ a otrzymawszy odpowiedź: W istocie się narodził, posypuje ziarnem pszenicy palący się badniak. Poczém uderza drzewko kosiorem, odzywając się temi słowy: Ile iskier tyle bydła, owiec, kóz, trzody chlewnéj, barci, tyle szczęścia i błogosławieństwa temu domowi.“ Następnie posypuje ściany popiołem, kładzie kilka drobnych monet pod badniak albo zawiesza na drzwiach wiązkę lnu.

Z głownią po spalonym badniaku wychodzi starosta do bydła, okrąża ule i zatykają między gałęzie drzew owocowych aby i na to źródło domowego bogactwa Serbów spłynęło błogosławieństwo. Posiłek południowy zwykle obfitszy niż w inne święta odbywa się przy jarzęcych świécach poprzedzony aktem wzajemnego całowania się przy pozdrowieniu: Chrystus się narodził. W dniu tym picie wódki jest wielce umiarkowane, gdyż nadmiar w tym razie może sprowadzić zapalne febry. Odwiedziny wzajemne nie są w tym dniu we zwyczaju. Każda rodzina we własnym domu obchodzi święto. Połażajnik (gość) spędza zwykle cały dzień w domu, do którego został zaproszony, wszyscy są mu wielce radzi a na pożegnanie darzą go upominkami drobnemi. Im gość w weselszém usposobieniu dom opuszcza, tém większe sprowadza jego odwiedziny błogosławieństwo; jeśli zaś nieco podchmieliwszy sobie wychodzi, to najpomyślniejszą dla domu zostawia wróżbę.

*

* *

Powołując się na to, co wyżéj nadmienioném było, przypomnieć należy, że nie z samych Serbów składa się ludność księstwa Serbskiego; w granicach bowiem jego mieszkają także w dość znacznéj liczbie rumuńskiego lub romańskiego szczepu Wołochy i Cyncary. Dla uzupełnienia obrazu etnograficznych stosunków Serbii i o tych żywiołach kilka słów powiedzieć, zbytecznem nam się nie widzi.

Ludność rumuńska lub wołoska rozsiadła się na znacznéj przestrzeni we wschodniéj części Serbii po prawéj stronie rzeki Morawy, tu i owdzie pomięszana, z miejscowemi Serbami, w powiatach jednak nad brzegiem Dunaju w jednostajnéj siedzi massie. Z górą sto tysięcy (123,000) głów liczy w Serbii ta obca ludność. Nie ta wszakże dość znaczna liczba, ile raczéj ważne znaczenie, jakie ma w życiu wewnętrznem Serbii szczep rumuński do bliższego nas zmusza zastanowienia się nad niém. Wołosi odznaczają się nietylko wielką siłą zachowawczą pod względem swéj narodowości, ale nawet jeszcze przed niedawnym czasem w Serbii czynili znaczne postępy w romanizowaniu lu-

dności miejscowéj. Nie tak wysoko ceniąc córki jak Serbscy ojcowie, Wołosi chętnie wydają je za również chętnie biorących je Serbów. Wspólność wyznania obu narodowości ułatwia ich połączenie. Wpływ wołoski musiał być silny, jeśli wszedł nawet w przysłowie: Gde Vlahinja dodje, svu kuča povlaši, t. j. gdzie Wołoszka wstąpi, tam cały dom zwołoszczy. Cyncarzy zaś w życiu handlowo-przemysłowém Serbii piérwszorzędne zajmują stanowisko.

Zkądby pochodzili Rumuni czyli Wołosi, nad tém długo zastanawiali się uczeni; dopiéro Mikłosicz, znany badacz języków słowiańskich, w tóm pytaniu do stanowczych a zasadnych przyszedł wniosków na podstawie swoich badań filologicznych. Ludność więc wołoska nie powstała, jak mniemał Szafarzyk, z mieszaniny Rzymian i Słowian, ale według zdania Mikłosicza wytworzyła się z Daków i Getów zromanizowanych. Nad lewym brzegiem dolnego Dunaju siedzieli Dakowie i Getowie, szczep z gałęzi illiryjskiéj. Z początkiem II-go stulecia po Chr. dosięgnął ich ziemi zdobywczy miecz Rzymian, którzy tu między niemi osadzali swych kolonistów. Do tego przeto wieku odnieść należy początek języka wołoskiego, który pod silnym łaciny zostawał wpływem. W kilkaset lat późniéj zromanizowane ludy Daków wyparte zostały na prawy brzeg Dunaju przez Słowian i zajęły Siedmiogrodzkie wzgórza i Banat węgierski.

O praojcach Rumunów—o Dakach i Getach, kilka szczegółów ciekawych donoszą nam starożytni pisarze. Oddawali oni cześć głównemu bóstwu—Zamolxis zwanemu, wierzyli w nieśmiertelność duszy, objawiali skłonność do askezy, do życia surowego, kobiétę stawiali wysoko w stosunkach społecznych. Wiara w różne przejścia duszy do innych światów rozgrzewała szczególniéj waleczność wojowników. Cesarz Julian Apostata nazywa ich najdzielniejszymi walecznikami i nauce ich przypisuje chęć poświęcenia się w boju. Z Rzymianami wcisnęły się rzymskie bóstwa, co wraz z charakterem rodzinnéj religii wpłynęło na rozbudzenie sztuki plastycznéj. Szczątki pomników z téj sfery świadczą, że zromanizowana Dacya w ciągu kilku wieków dosięgła względnie dość znacznego stopnia uspołecznienia. Wątek losów dziejowych naddunajskich Daków i Getów urywa się bardzo wcześnie: dzieje ich zaledwie w XIII w. ponownie wychylają się z pomroki. Zdaje się, że z nad Dunaju wyparowani Rumuni czyli Wołosi szukali schronień w siedmiogrodzkich i karpackich odnogach, zkąd wyłamawszy się z pod władzy książąt Halickich, znowu ku ujściom Dunaju posuwać się zaczęli. Część z nich odebrała Bulgarom panowanie w Wołoszczyznie (dzisiejszéj), inni znowu pod sprawą dwóch wodzów zajęli brzegi Mołdawy i Prutu, w XIV wieku pomieszali się ze Słowianami, przejąwszy od nich liczne zwyczaje i obyczaje, następnie niezależne księstwo Mołdawskie założyli. W obu krajach słowiańskie urządzenia polityczne i słowiańska mowa byt swój utrzymały: aż do XVII wieku język słowiański był panującym w Kościele i prawodawstwie. Świadczą o tém akta urzędowe Wołoszczyzny i Mołdawii a prawie do czasów Jerzego Rakoczego I. Szafarzyk przyta-

cza, że wszystkie dworskie urzędy i dostojeństwa słowiańskie nosiły nazwy np. Veliki Ban, V. Dvornik, V. Stolnik i in.

Mikłosicz wykazuje podwójny wpływ, jaki się objawia w języku rumuńskim wywarty ze strony słowiańskiego: we względzie przystawek słowiańskich przyczepianych do wyrazów rumuńskich i znacznéj ilości słów słowiańskich, jakie się doń wkradły. Daremnie starają się młodzi Rumunie wyrzucać ze swéj mowy słowiańskie żywioły, zamiast kraj używają *rege* i t. d. Lud jednak od kilkuset lat oswojony z właściwościami swéj mowy, przesiąkłéj słowiańskim pierwiastkiem nie tak prędko podda się nowatorstwu.

Język łaciński najsilniejszy jednak wpływ wywarł pod względem form gramatycznych, nadawszy im swoje kształty i zaopatrzywszy język rumuński w znaczny zasób swoich wyrazów; lubo z drugiéj znowu strony przebijają pewne właściwości w mowie rumuńskiéj, które do prastaréj a piérwotnéj podstawy odnosić wypada. Według trafnego spostrzeżenia Mikłosicza, formacya pierwotna rumuńskiego języka w wielu razach, będąc do albańskiego podobną, staro-illiryjskie pochodzenie pokazywać się zdaje. Prócz tych żywiołów nie mało także znajduje się wyrazów madyarskich, w języku zaś Cynzarów greckich.

Wołochów w Serbii mając li na uwadze, powiedzieć o nich można, że są średniego wzrostu, w ruchach swoich nieco ociężali. Głowę i twarz mają podłużne, profil piękny i szlachetny. „Oczy błyszczą jak dwie gwiazdeczki“ zwłaszcza w chwili wzruszenia. Z pod ust rysujących się w delikatnym kształcie, ciemnym wąsem pokrytych, ukazują się białością jaśniejące zęby. Ciemny, długi, gęsty włos otacza opaloną, pełną wyrazu głowę. Ubiór nie wiele od serbskiego się różni: Wołoch tak samo jak Serb długą aż do kolan nosi płócienną koszulę, przepasaną pasem, który zdobią liczne świecidełka, kółka mosiężne. Pokrycie głowy zwraca na siebie uwagę: już po czapce każdy odróżni od Serba Wołocha, który nosi nawet latem ogromną białą lub czarną czapkę baranią (čubara).

O urodzie Wołoszki wiele powiedziećby można: piękna Rumunka wdziękiem twarzy, powabem kształtu przypomina żywo klassyczne typy w średnich Włoszech spotykane. Głowa i linie twarzy, zakrój nosa, kształty ust są jak gdyby powtórzeniem form z posągów starożytnych. Zwykle ciemne oczy, ujęte w cienie długiéj rzęsy i gęstéj brwi nadają twarzy idealny wyraz, przy tańcu lub innem wzruszeniu strojący się w połysk żywości. Naganny zwyczaj dziewic barwienia sobie twarzy odejmuje cerze naturalną jéj świeżość. Grupa młodych od studni wracających Rumunek przedstawia czarowny widok. Wysmukłe elastyczne kształty ciała uwydatniają się w nieskazitelnéj piękności z po za długiéj płóciennéj sukni. Szeroki pasek obejmuje kibić. Polne kwiatki we włosach, obok złote i srebrne kółeczka około szyi na sznurku się wijące dopełniają ubioru rumuńskich krasawic, z niewysłowionym wdziękiem niosących wodę w dzbankach o klassycznych kształtach. Zamężna kobiéta zaniedbuje się zupełnie. Daremnie szukałbyś na jéj twarzy śladów dawnéj piękności. Z koszykiem na głowie, w którym niemowlę spoczywa, z ciężarem na plecach, z wrzecionem, z któ-

rego lewą ręką snuje wątek lniany, tylko lekkim gibkim chodem o rumuńskiém swém pochodzeniu świadczy. Pod względem cnót małżeńskich Rumunka nie jest Penelopą, w tym względzie traci nieco na sławie, którą sobie w przedślubnéj dobie życia zjednała.

Powyższe rysy zdjęte są z ludności wiejskiéj. Zupełnie inaczéj przedstawiłby się obraz Rumunki do wyższych stanów należącéj. Któż nie zna owych zalotnych, zbytkiem jaśniejących kobiét, o południowych rysach twarzy, co szczęśliwie pod względem wdzięków i wystawy współzawodnicząc z Paryżankami, nadreńskie rok rocznie napełniają wody? Lubo są i w bojarskich dworach nie rzadkie wyjątki, co mówią o niepospolitych zdolnościach rumuńskich kobiét. Dość jednę wymienić przez całą Europę dla jéj wyższego dowcipu, jéj niezwykłych darów umysłu i serca podziwianą hrabinę Dora d'Istria.

Stan umysłowy w ogóle rumuńskiéj ludności na nizkim bardzo stoi stopniu. Dopiéro w ostatnich czasach serbski rząd pozakładał dla Wołochów ludowe szkoły. Wołoszczyzna pod rządem bojarów, Banat pod austrjacko-węgierską biurokracyą także żadnych w tym względzie nie uczyniły postępów. Potomkowie Daków, Getów, których zwalczenie tyle wysiłków Rzymian kosztowało i o których bohaterskich czynach tak głośno prawią starożytni pisarze, dziś spadli nizko, po większéj części odznaczając się charakterem podstępnym, tchórzliwym, okrutnym i rzadką gnusnością. Wołoch unika otwartego zarzutu, śmiałego wystąpienia, z zasadzki uderza na swego nieprzyjaciela. Całe jego szczęście polega na słodkiéj bezczynności i na piciu rakii. Trudni się sprzedażą owoców, najchętniéj furmaństwem. Ztąd ciągnie gotówkę dla opędzenia nadzwyczajnych potrzeb. Do gromadzenia grosza żadnego niema pochopu. W potrzebach swoich Wołoch jest wielce skromny. Zdolności odmówić mu nie można, posiada zręczność w robotach ręcznych, w struganiu, w rzeźbie niższéj. Nieraz ozdoby na drzwiach, na laskach o niepospolitym smaku świadczą. W Siedmiogrodzie Wołoch bawi się pasterstwem, w Serbii rolnictwem. Tamci żywot koczujący prowadzą, ci więcéj do gleby się przywiązują.

Rolnictwo jest dla Rumuna w Serbii głównem źródłem utrzymania. Starania około ziemi żadnego nie poświęca. Sieje proso tureckie, trochę pszenicy i owies, latem pędzi trzodę do lasu, zimą żywi je sianem i słomą. Oddaje się z zamiłowaniem pasterstwu, które gdy wiele daje swobody a mało przysparza kłopotu, najwięcéj gnuśnéj jego naturze odpowiada. Pożywienie Wołocha nie jest wcale wyszukane. Spożywa chleb z prosa tureckiego z kozim sérem, latem owocami się nasyca. Mleka często się zrzeka z powodu licznych w kościele wschodnim postów, które ściśle przestrzega. Wołoch jest zabobonny. Jego religia dla zaniedbanego wykształcenia plebanów wiejskich polega niemal wyłącznie na wykonywaniu ceremonijnych formuł. Pleban jest więcéj wieśniakiem niż kapłanem. Jego wiedza nie sięga po za powierzchowną znajomość liturgicznych obrządków, ztąd wpływ na otaczającą ludność bardzo słaby.

Zwyczaje w życiu uroczystém, domowém, wiele wspólnych cech ze serbskiemi mają. I u Wołochów święto patrona domowego ważną gra rolę. Śpiewu mniéj usłyszeć można we wsi wołoskiéj niż w serbskiéj, a śpiew ten ubogi nader w melodye, brak mu nadto żywości. Poezya Rumunów jest bez polotu, literatura w stanie niemowlęcym. Pewne ciekawe odrębne właściwości przedstawiają obrzędy pogrzebowe u Rumunów, więc słówko jeszcze o nich: Najęte płaczki przy zwłokach są niezbędną rzeczą. Całą dobę rozpływają się ich żale i płacze w powietrzu. Krewni zmarłego niekiedy do tego żałobnego koncertu łączą swoje ubolewania, często poetycznym nastrojem się odznaczające. Zmarłemu kładą do trumny: laskę dla dogodniejszego przejścia Jordanu, chustkę do przykrycia i kilka drobnych pieniążków dla zjednania sobie Ś-go Piotra strzegącego bram nieba. Obok grobu zaś stawiają chleb i wino, aby nieboszczykowi na tamtym świecie niczego nie brakło. Z wielką uroczystością obchodzą stypę pogrzebową, która się powtarza po sześciu tygodniach, po sześciu miesiącach, po roku i po pięciu latach. Tu i owdzie jeszcze się trzyma wiara w upiory.

Kto słyszał kiedy o Cyncarach, tym drugim etnograficznym żywiole Serbii?

Uczeni historycy niekiedy po raz pierwszy dowiadują się o takiéj ludności, tém więcéj i nasz czytelnik wytłumaczonym być może, jeśli mu podobna nazwa nieznanym dźwiękiem zabrzmi w uszach. W Wiedniu, gdzie niemało mieszka cyncarskich rodzin, które stanowią pierwszorzędne firmy bankierskie, o nazwie i pochodzeniu publiczność nic nie wié, zwykle ich Grekami zowiąc. Cyncarzy ważne zajmują stanowisko w życiu handlowo-przemysłowém na Wschodzie, pod względem handlu są w prowincyach tureckich tém, czém Grecy i Armianie na brzegach morskich. Po całéj europejskiéj rozrzuceni Turcyi, głównie w miastach swe siedliska mają, lubo i po wsiach mieszkając, rolnictwem i pasterstwem się bawią. Z rumuńskiego szczepu oni najdaléj się wysunęli ku północo-zachodowi, mając swe osady w Nowym-Sadzie, Peszcie, Budzie, Wiedniu i w Istrii.

W księztwie Serbskiem, gdzie się Cyncarzy sami nazywają Włachami, Wołochami, szczep ten około sześciu tysięcy głów liczyć może, lubo przy obecnym stanie statystyki w Turcyi za dokładność powyższéj liczby ręczyć nie można. W Bulgarii, Macedonii, Tracii i Albanii najznakomitsze domy kupieckie do cyncarskiéj ludności należą. W niektórych miastach oddzielne swe cyrkuły mają. W Grecyi zamieszkują jéj północno-wschodnią część. Grecy zwią ich Kuco-Włochami tj. kuternogami (kulawemi), dlaczego? niewiadomo. Nazwa zaś Cyncarów powstała między Słowianami z powodu odmiennego przez nich wymawiania rumuńskiego liczebnika pięć (czyncz) jako *cync*. Cyncarzy sami mienią się Rumunami, twierdząc, że są dawnych Rzymian potomkami, co w Macedonii swe osady mieli. Historya jednak nic o podobnym związku nie wié, filologiczne zaś badania, wykazując podobieństwo ich języka do wołoskiego, najdowodniéj o ich wołoskiém pochodzeniu przekonywają.

Dziś wszyscy należą do obrządku wschodniego, w liturgii jednak mają swą odrębność, używając rumuńskiego języka. Lubo mówią różnemi językami, stosownie do miejscowości, w któréj przebywają, w najpowszechniejszém jednak mają u siebie użyciu nowo-grecki, który w wielu stronach już cyncarskie narzecze wytępił. Cyncar jako pilny, trzeźwy i rozsądny człowiek wszędzie jest poszukiwany. Przy skromném życiu zwykle zarabia nad miarę swoich ograniczonych potrzeb. W obczyznie nawet zachowuje swoje odrębne narodowe cechy, swój ubiór do albańskiego wielce podobny. Typ Cyncarów mimo różnorodnych związków krwi, zawsze charakterystycznym pozostaje. Powinowactwo z Rumanami bije w oczy. Zwykle ciemny włos pokrywa pięknie ukształtowaną głowę, ostre rysy twarzy, ciemne błyszczące oczy objawiają bystrość, żywość umysłu i energią.

Utrzymywało się dotychczas u podróżników zdanie, że Cyncarzy głównie się trudnią pasterstwem i drobnym handlem. Tak wszakże nie jest, jak najnowsze świadczą spostrzeżenia Kanitza. Budownictwo na całym niemal Wschodzie jest w ręku Cyncarów, nie mówiąc o tém, że w Konstantynopolu, Atenach i Beogradzie Cyncarzy w tym względzie posiadają najzupełniejszy monopol. Z najtrudniejszych zadań architektonicznych, jako to przy budowie sklepionych kamiennych mostów, kopuł, głębokich fundamentów, wywiązuje się Cyncar nader chlubnie. Oczywiście nie stworzyli oni oddzielnéj szkoły, nie posiadając mistrzów. Czystością styl ich się nie odznacza, ale np. sławna cerkiew w Semendrii o pięciu kopułach wytrzymać może porównanie z dziełami zagranicznych architektów, co tém więcéj na uwagę zasługuje, ile że Cyncar na żadne akademickie nie uczęszcza wykłady: całą umiejętność czerpie z tradycyi, która przechodzi z dziada na syna, wnuka i t. d. Cyncar jest po większéj części w jednéj osobie i budowniczym i malarzem, stolarzem, ślusarzem i cieślą. Prócz przedmiotów z żolaza lanego i kutego, wszystko sam sporządza. Jako złotnik i rytownik nie mniéj dobrego używa imienia.

Pod innym wszakże jeszcze względem stanowią Cyncarzy ważny żywiol nie tylko w Serbii, ale i na całym Wschodzie. Rozrzuceni jak oazy wśród pustyni, pozbawieni własnéj ojczyzny bez żadnego punktu zjednoczenia, Cyncarzy posiadają jednak, podobnie jak żydzi, niepomierną siłę przechowywania swych narodowych odrębności. Nienawidzą fanatycznie Muzułmanów tureckich, nie lgną też zbytecznie do Słowian, ale najżywsze swe sympatye ku Grekom zwracają. Zjednoczeni z niemi wspólnością wiary przejmują się głęboko marzycielskiemi dążnościami Hellenów i chętnie korzystają z nowo-greckiéj cywilizacyi. Zamożne rodziny Cyncarów, zajmujące, jak się wyżéj rzekło, wysokie stanowiska w bankierskim świecie Wiednia, Beogradu i innych licznych miastach, zwykle wysyłają dzieci dla kształcenia do Aten. Ztąd grecką przyswajają sobie mowę, którą na równi z macierzystą uważają. W epoce filheleńskiego ruchu na Zachodzie i w Grecyi dawali dowody niezwykłego dla sprawy Greków poświęcenia. I dziś także starannie pielęgnują tradycye heleńskie, nieraz hojnie wspierając nauki i sztuki piękne. Średnie stany lub mniéj zamożne

stanowiące w miastach Turcyi europejskiéj, jedyny żywioł cywilizacyjny, z powodu swych ścisłych duchowych związków z Grekami, ważną dla nich stać się mogą podporą, w razie jakiegoś śmielszego polotu politycznych dążności heleńskiego narodu. W całéj Turcyi liczba Cyncarów według prawdopodobnych obliczeń Kanitza, około pół miliona wynosi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POWINNOŚCI

wojskowe mieszczan w dawnych miastach

NA RUSI.

Średniska zgromadzeń wiecowych w czasach przedhistorycznych dały zepewne początek najdawniejszym miastom na Rusi. W epoce zaś Rurykowiczów stały się one średniskami siły zbrojnéj całéj okolicy, któréj naczelnikiem był albo sam książe, jeśli to miasto było stolicą jakiéj odrębnéj dzielnicy, albo starosta lub namiestnik z ramienia księcia wyznaczony. Zresztą nic więcéj powiedzieć nie możemy o ówczesnych miastach na Rusi, bo dawni kronikarze ruscy notując najskrupulatniéj wszystkie fakta i drobniejsze nieraz zdarzenia, bardzo mało lub nic wcale nie zajmowali się społecznem urządzeniem swojego czasu, innych zaś żadnych nie mamy zabytków piśmiennych, na podstawie których moglibyśmy dokładnie poznać ówczesne stanowisko miast na Rusi i stosunek ich do innych klass narodu. Począwszy dopiéro od XV w., głównie zaś z XVI i XVII, posiadamy dyplomata królów i książąt, przywileje lokacyjne, donacyjne i inne dotyczące miast i mieszczan a stanowiące bogaty i ciekawy materyał do historyi miast na Rusi. W owéj więc epoce rozpatrzéć chcemy, jakie stanowisko zajmowały owe miasta w obec powszechnego systemu obrony krajowéj i jaki udział w niéj brały?

W tém króciutkiém studyum naszém, będącém piérwszą dopiéro próbą poszukiwań na téj drodze, opierać się głównie będziemy na publikacyach dokumentów historycznych komissyi archeograficznéj kijowskiéj, posiłkując się nie mniéj także innémi znanémi dotąd źródłami. Najbogatszy jednak materyał do dziejów Rusi zawiéra wspomniana publikacya, o któréj podawaliśmy sprawozdanie w zeszycie lipcowym zeszłorocznéj Biblioteki Warszawskiéj,

zwracając głównie uwagę na ostatni tom owéj publikacyi, obejmujący akta o miastach. Historya stanu mieszczańskiego na Rusi dotąd dotkniętą nie była przez naszych historyków, z wielkiém zatém uznaniem powitaliśmy wydawnictwo, które otwiéra i ułatwia drogę nowym a nieznanym dotąd studyom i rzuca nowe światło na całą kilkowiekową przeszłość miast naszych. Poznanie zaś téj przeszłości niezbędnie jest potrzebném dla ujęcia w ogólnym a dokładnym poglądzie całych dziejów naszych, bo wówczas tylko ów pogląd będzie sprawiedliwym, jeśli składowe części narodu szczegółowo rozpatrzone i umiejętnie zbadane zostaną. Tego więc rodzaju studya są konieczne dla wyjaśnienia ogólnéj całości dziejów, tém jeszcze więcéj dla nas niż dla innych narodów, bo gdy na całém niemal Zachodzie we wszystkich państwach europejskich, cała działalność polityczna skupiała się w ręku monarchy lub małego kółka dzierżących władzę, u nas naród nominalną tylko zostawiał władzę w ręku swych królów. Ztąd więc dokładne zbadanie ustaw, urządzeń i wzajemnych wszystkich warstw narodu stosunków, obowiązków i powinności, jedném słowem poznanie moralnéj strony narodu uwydatniającéj się w formach bytu politycznego, jurydycznego i społecznego, niezmiernéj jest wagi.

Otóż więc rozpatrzéć tu zamierzamy, jak mówiliśmy, jakie stanowisko zajmowały miasta na Rusi w obec ogólnego systemu obrony krajowéj, jakie były powinności wojskowe mieszczan, jakiéj natury i jak długo się utrzymywały? Będzie to stanowiło drobny przyczynek do dziejów mieszczaństwa naszego, w każdym jednak razie nie zupełny jeszcze i niedokładny, bo źródła odnoszące się do tego przedmiotu również są niezupełne i niedokładne, a nieraz nie wystarczające dla rozstrzygnięcia kwestyj wątpliwych, zawsze jednak odsłoni nam choć w części charakterystykę dawnych miast na Rusi i stanowisko ich w hierarchii społecznéj narodu.

Dawne miasta na Rusi nie mówiąc o tych których początki, sięgając czasów Rurykowiczów, są nam nieznane, lecz począwszy od XV wieku, zakładane były jedynie tylko w celu obrony krajowéj, sama ich nazwa *horod, gorod,* oznacza miejscowość ufortyfikowaną, bo każde miasto stosownie do potrzeb lokalnych było mniéj lub więcéj obronną forteczką, miało zamek, wały, palisady, okopy i t. d. Miast otwartych bez zamku chociażby najlichszego lub innych środków obrony, nie spotykamy na całym obszarze dzisiejszego Podola, Wołynia i Ukrainy, aż do połowy XVII wieku; zakładane zaś były w miejscowościach wymagających pilniejszéj baczności, silniejszego skupienia sił wojskowych dla odpierania najazdów nieprzyjaciół. W skutek téj ciągłéj codziennéj niemal walki, któréj teatrem była Ruś dawna, mało które z miejskich archiwów choć w części ocaloném być mogło; ztąd więc tak mało posiadamy da-

wnych zabytków piśmiennych, iż zaledwie kilku tylko dokumentami potwierdzić możemy mniemanie nasze o zakładaniu miast na Rusi.

Te dokumenta są to przywileje lokacyjne, z nich najdokładniéj poznamy, jakie przeznaczano cele nowo zakładającym się miastom.

Itak w 1584 roku, na przełożenie Michała X. Wiśniowieckiego i Alexandra Wiśniowieckiego starosty czerkaskiego i kaniowskiego, król Stefan pozwala założyć miasto na uroczyszczu zwaném *Korsuń*, „które, powiada ów dyplom, znajdowało się w takiém dobrém położeniu na szlaku tatarskim przedniejszym, którędy ten nieprzyjaciel Tatarzyn zwykł był w państwa Rzeczypospolitéj wchodzić, na którym gdyby miasto było założone, tedy przyniosłoby nie mały pożytek *spokojności i bezpieczeństwu tamtym krajom*..... łaskawie konferujemy rzeczone miasto Korsuń na témże uroczysku założyć (1).“

Inny znów dyplom lokacyjny z tejże saméj epoki (1589 roku) wydany przez Zygmunta III na rzecz nowo założnego miasta Czehryna, wyraża :

„Gdy nam urodzony kniaź Aleksandro Wiszniowecki starosta Czerkaski, Kaniowski, Korsuński i Lubecki sprawu dał, że w starostwie naszom Czerkaskom, wo wradie jeho niżej Czerkas, uroczyszcze i horodiszcze nazwanoje Czyhryn, nad rekoiu Teśminom jest w takom dobrom położeniu na szlakach i perewozie tatarskom, kudy tot nepryjatel zwykł w państwa naszi wchodziti i szkody welikije czyniti, na kotorom gdyby sia twierdza zbudowała i mesto zasadiło, mieło by to byt z dobrom wseje reczy pospolitoje i *z pokojem onych krajew*, na koniec za czasom z pożytkom stołu i skarbu naszoho..... Jakoż pozwalajem tym listom naszym i zakładajem toje mesto (2).“ W tenże sposób także wyraża się tenże król w przywileju lokacyjnym wydanym w 1616 roku na rzecz nowo zakładanego miasta Kryłowa, a wykazawszy tak jak w poprzedzającym cel obrony dodaje..... „My to uważywszy iż osażeniem miasta, państwa naszyje ozdobu majut i poddanyje naszyje *w pokoju żyti budut* a obywatelam tamtoj Ukrainy wsiakoho dobroho poradku życzeczi i t. d. . . . (3).“

Tak samo i dla tychże samych przyczyn jeszcze w 1538 roku Zygmunt I pozwala królowéj Bonie osadzić miasto Bar obok zamku założonego w jéj majętności Rowie (4). W 1540 r. tenże król wydaje przywilej Jerzemu Falczewskiemu biskupowi łuckiemu na osadzenie miasta we wsi Torczynie, gdyż wystawił tam zamek dla zabezpieczenia okolicznych mieszkańców i sprzętów kościelnych w czasie napadu nieprzyjaciół (5). W 1579 roku król Stefan pozwala

(1) *Archiwum połud-zach. Rossyi. Akta o miastach* Tom I str. 540.
(2) *Archiw. Akta o miastach* Tom I str. 84.
(3) *Tamże*, Tom I str. 127.
(4) *Baliński i Lipiński. Starož. Polska* Tom II str. 1033.
(5) *Tamże*, Tom II str. 833.

Janowi Zamoyskiemu kanclerzowi Wiel. kor. założyć miasto Szarogród, aby ztąd bezpiecznie wstrzymywać można częste napady Tatarów, a tym sposobem okolicę tameczną przez nieprzyjaciół ogołoconą zaludnić (1), a w 1584 roku tenże król wydaje Mikołajowi Herburtowi podkomorzemu halickiemu przywiléj lokacyjny na miasteczko Fulsztyn, gdyż tenże Herburt wystawił w swojéj wsi dziedzicznéj Dobroszczany zamek drewniany dla wstrzymywania zapędów nieprzyjaciół (2).

Z tych więc dokumentów widzimy, iż w owéj epoce *miasta na Rusi zakładane były zawsze w celu obrony okolicy od napadów nieprzyjaciół*, wznosiły się bowiém albo jednocześnie z obronnémi zamkami albo téż lokowały się obok *twierdz pierwéj już wzniesionych, w miejscowościach dogodnych do* obrony na szlakach, którędy nieprzyjaciel zwykł był przechodzić. Pod zasłoną tych murów zamkowych jako w miejscowościach bezpieczniejszych już od napaści nieprzyjaciół, ludność okoliczna tłumniéj osiadała niż w otwartych wioskach, słobodach i futorach, tu się gromadzili kupcy i rzemieślnicy, tu zakładano składy towarów, tu wreszcie odbywały się targi i jarmarki, na które miasta musiały wyrabiać sobie przywileje od królów i książąt. Że jednak ludność osiadająca w miastach korzystała ze wszystkich dogodności, jakie zamek obronny im zapewniał, słusznem było przeto, aby taż sama ludność w razie potrzeby broniła tegoż zamku, i odpierała najazdy nieprzyjaciół. Ztąd więc biorą początek owe powinności wojskowe mieszczan, ztąd niezmierne znaczenie miast na Rusi głównie pod względem militarnym. Często po zamkach i twierdzach ukrainnych t. j. leżących na kraju państwa, szczupłe tylko załogi zostawiono a całe rycerstwo ciągnęło na dalsze wyprawy; tymczasem Tatarzy jak zwykle wpadali, zapuszczając swe zagony aż w głąb kraju. Wśród takich napadów ludność miejska do boju występować musiała, bronić zamku w razie oblężenia, gonić Tatarów ze zdobyczą już w swe stepy pomykających, dalsze nawet w razie groźniejszego niebezpieczeństwa przedsiębrać pochody, a w czasie pokoju straż odbywać tak koło zamku jako téż na granicach posiadłości miejskich.

W ten sposób ludność miejska ważną odgrywała rolę w powszechnym systemie obrony kraju. Iżby zaś chętniéj wypełniała swe powinności wojskowe, obdarzaną była licznémi przywilejami. Każde miasto, gdzie silniejsza była twierdza lub bardziéj wystawiona na najazdy nieprzyjaciół, otrzymywało większe swobody i prerogatywy jako wynagrodzenie za trud podjęty w obronie kraju. W 1638 r. Dominik X. Zasławski, największy wówczas magnat na Rusi, koniuszy koronny po Januszu Wiśniowieckim, powziął zamiar pobudowania silniejszych zamków i fortec w miasteczkach swoich na szlakach tatarskich. W tym celu ofiarował on także Konstantynów, obiecując własnym kosztem wzmocnić miejscowy zamek, opatrzéć

(1) *Tamże*, Tom II str. 1053.
(2) *Tamże*, Tom II str. 960.

w stosowną amunicyą i dźwignąć w ten sposób potężne *antemurale* przeciwko inkursyom pogańskim, nie tylko województwu Wołyńskiemu ale całéj Rzeczypospolitéj. W zamian za to żądał obszerniejszych przywilejów dla miasta. Szlachta wołyńska zebrana na sejmiku Łuckim (w styczniu 1638 roku), z zapałem przyjęła ten projekt księcia i w instrukcyi danéj swym posłom na sejm Warszawski zalecała, aby sprawę tę przedłożyć Stanom sejmowym, zważywszy iż Konstantynów wszystkim inkursyom pogańskim jest *expositum*. żądała tylko, aby to miasto też same otrzymało przywileje i prerogatywy jak Zamość i Tarnów (1). Projekt ten jednakże nie wiadomo, dlaczego upadł a w Konstantynowie stary tylko zameczek pozostał, te jednak przywileje i prerogatywy, jakich domagano się dla miasta aby silniejsza twierdza była tam wzniesiona, stanowić miały słuszne dla mieszczan wynagrodzenie za trud podjęty przy obronie i utrzymywaniu zamku.

Jednéj stałéj normy określającéj wszystkie powinności wojskowe mieszczan w dawnych miastach na Rusi przedstawić nie jesteśmy w stanie, powinności te bowiem zależały głównie od potrzeb miejscowych, nieraz znowu od chwilowych okoliczności i różne były w różnych miastach; co więcéj, w jednych utrzymywały się dość długo, w innych mieszczanie wyrabiali sobie przywileje królewskie zwalniające ich od tych powinności, zastępując je czynszami i opłatami pieniężnemi, daniną w naturze lub też robocizną. Wszelkiego jednak rodzaju powinności wojskowe mieszczan, o których znajdujemy wspomnienie w przechowanych dokumentach, w następujący sposób rozklassyfikować możemy:

1) Służba wojenna i pochody wojenne.
2) Obrona zamku, utrzymywanie go i budowanie.
3) Stróża polowa na granicach posiadłości miejskich i wreszcie
4) Dawanie podwód pod posłów i gońców królewskich oraz kwaterunki wojskowe. Wszystkie te rodzaje powinności wojskowych rozpatrzymy tutaj po kolei na podstawie źródeł.

I.

Służba wojenna i pochody wojenne.

W wielu miastach na Rusi mieszczanie byli obowiązani w razie potrzeby stawać zbrojnie w pomoc staroście zamkowemu, bronić zagrożonego zamku lub całéj nawet okolicy, dalsze czasem przedsiębrać pochody wojenne czy to dla pogoni nieprzyjaciela, czy dla niesienia pomocy innym hufcom rycerstwa. Od kiedy obowiązek ten włożony został na mieszczan, nie wiemy. Jednym z najdawniejszych dyplomów lokacyjnych, jakie posiadamy, jest dyplom książąt Koryatowiczów, wydany Kamieńcowi w 1347 roku, a na mocy którego ciż książęta nadawali osiadającéj około zamku Kamieniec-

(1) *Archiw. Połud. Zach. Rossii. Postanowienia Sejmików.* Tom I str. 243.

kiego ludności prawo Magdeburskie i różne przywileje, zapewniali sobie przytém pomoc mieszczan w razie potrzeby. „A wójt i mieszczanie, powiada ów dyplom Koryatowiczów, mają mnie kniaziu sprzyjać i być sprawiedliwémi i wiernémi, a z wojewodą i z dworzany być z nami wespół przy złém i przy dobrém i mają być pomocni i uczynkiem i słowem i przyjaźnią i mocą i radą bez wszelakiéj hitrości (1).“ W tym jednak dyplomie nie dość jasno oznaczone są powinności mieszczan, ogólnikowo tylko zaleca książe, aby mu w razie potrzeby wszelką pomoc dawali. Inny znów dyplom Alexandra, wówczas Wiel. ks. Litewskiego z 1497 roku, nadający mieszczanom Łuckim prawo Magdeburgskie, wyraźniéj określa ich powinności wojskowe:

„Tempore vero hostilitatis quamvis dicti incolae moenia civitatis defendere obligantur, si tamen necessitas immineret hoste prevalente, omnes ad castrum nostrum congregari debent, at ibi constanter una cum terrigenis perseverare ad hostem propulsandum (2).“

Zygmunt I, potwierdzając w 1516 roku Magdeburgią nadaną mieszczanom kijowskim przez króla Alexandra, obowiązuje ich również do służby wojskowéj..... „Ciż mieszczanie kijowscy każdego czasu *zarówno z innémi mieszczanami naszémi* i poddanemi, podług dawnego zwyczaju obronę i stróżę odbywać powinni na tém miejscu, gdzie zdawna stojała i gdzie za Tatarami w pogoń potrzeba by było, oniż mieszczanie każden za siebie podług możności swojéj, zbrojno, konno, jak do wojny należy za ukazem naszym albo urzędnika naszego, nie odkładając bez żadnéj wymówki z innémi poddanymi naszémi wyjeżdżać powinni, także w zamku naszém podług zwyczaju dawnego oniż mieszczanie nasi w nocy obchodzić i obwoływać powinni (3).“ Inne znów pismo królewskie z 1544 r., uwalniając tychże mieszczan kijowskich od dawania podwód dla gońców i posłów królewskich, nakazuje im, aby stawali pod komendą namiestnika w razie konieczności rychléj pogoni za Tatarami, aby odprawiali nadto straż polową i strzegli zamku (4).

W Bracławiu także, jak świadczy rewizya zamku z 1545 roku, „bojarowie ze wszystkiémi swémi ludźmi na posługę królewską jeździli, a mieszczanie pasieki mający dwukonno w zbroi w posługę królewską stawali, ale wtenczas (1545) ta służba już ustała była (5). „Opis zamku Kaniowskiego sporządzony 1552 roku, za Zygmunta Augusta wyraża: „Mieszczanie Kaniowscy jako ludzie wolni swe ziemie terrytoryalne dziedziczący, żadnych powinności roboczych nie odbywają, ale równą z szlachtą, ziemianami i bojarami powiatu Kijowskiego służbę wojenną pod komendą starosty Kaniowskiego

(1) *Przezdziecki. Podole, Wołyń i Ukraina.* Tom I str. 142.

(2) *Archiw. Połud. Zach. Rossii. Miasta.* Tom I str. 15.

(3) *Hramoty Wiel. Ksi. Litews.* od 1390—1569 (wyd. przez Antonowicza i Kozłowskiego. Kijów 1868) nr. 25.

(4) *Sbornik Muchanowa* nr. 91.

(5) *Archiw. Akta o miastach.* Tom I str. 532.

czynili... (1). Lokacyjny przywiléj Zygmunta III na rzecz miasta Czehryna wydany w 1589 roku powiada: „A będą powinni ciż mieszczanie nasi Czehryńscy przeciw każdemu nieprzyjacielowi naszemu koronnemu, przy staroście, wójcie swoim tamecznym albo namiestniku jego, konno zbrojno zawżdy stawać i zwierzchności jego jak w czasie wojny tak i pokoju nie wyłamywać się (2).“ Takież same powinności wojskowe przepisują przywileje lokacyjne tegoż króla mieszczanom Korsuńskim w 1584 roku (3) i mieszczanom Kryłowskim w 1616 roku (4).

Z tych więc przytoczonych dokumentów widzimy, że aż do pierwszych lat XVII stulecia, mieszczanie w razie potrzeby obowiązani byli stawać w szeregi walczących, ba nawet odbywać dalsze pochody wojenne. Że zaś te powinności stosować się musiały do wszystkich w ogóle miast na Rusi, dowodzą wyrazy „mieszczanie Kijowscy... zarówno z innémi mieszczanami naszémi...“ znajdujące się w piśmie Zygmunta I do mieszczan Kijowskich powyżéj przytoczonem.

Rozpatrując dzieje miast na Rusi, nie jeden znajdziemy przykład, jak całe nieraz mieszczaństwo, mając na czele starostę lub zamkowego namiestnika występowało do boju. Bielski (fol. 472) notuje pod rokiem 1463 podobny przykład: gdy Kazimierz Jagiellończyk pozwolił zaciągać w Polsce ludzi na obronę miasta Kaffy oblężonego przez Turków, oddział z 500 ochotników z Rusi ciągnąc na odsiecz Kaffeńczykom, przechodził przez Bracław. Tam owi ochotnicy w zwadzie z mieszkańcami zabili jednego z mieszczan. Oburzeni tym gwałtem Bracławianie chcąc się pomścić, tłumnie zbierają się, biją w dzwony, zwołują swoich. Żołnierze, aby odwrócić uwagę mieszczan i módz uciec zapalają miasto, ale rozwściekleni Bracławianie, nie zważając na stratę palących się domów, idą za niémi w pogoń pod wodzą Michała ks. Czartoryskiego, wówczas starosty bracławskiego. Cztery razy odparci ze stratą, opasawszy wreszcie przeciwników, Bracławianie wszystkich ich prawie wycięli; z 500 zostało tylko pięciu, zwycięzcom dostało się łupu zdobytego na 30,000 szacowanego.

II.

Obrona zamku, utrzymywanie go i budowanie.

We wszystkich bez wyjątku miastach, mieszczanie obowiązani byli bronić miejscowego zamku w razie napadów nieprzyjaciół, a w czasie pokoju starannie go utrzymywać. Te powinności najdłużéj

(1) *Archiw. Akta o miastach*, Tom I str. 66.
(2) *Tamże*, Tom I str. 85.
(3) *Tamże*, Tom I str. 129.
(4) *Tamże*, Tom I str. 541.

przetrwały, bo jeszcze na początku XVIII-go wieku były obowiązujące w niektórych miastach. Tam jednak, gdzie silniejszy i większy był zamek, nie tylko sami mieszczanie go utrzymywali ale także sąsiednie włości. Zwykle każda z nich miała swoją tak zwaną *horodnią*, którą oprawiać swoim kosztem musiała. W zamku Włodzimirskim takich *horodni* było siedmdziesiąt, w Łuckim sto sześćdziesiąt pięć, w Krzemienieckim trzydzieści trzy (1).

Co się zaś tyczy budowania zamków, po zniszczeniu onych przez Tatarów lub spaleniu, to jeden tylko znajdujemy przykład, aby mieszczanie własnym kosztem i nakładem odbudowywać go musieli. I tak 1518 roku, Zygmunt I w piśmie do mieszczan Smotryckich powiada:

„Bacząc na częste najazdy tatarskie, pozwalamy mieszkańcom dla ich bezpieczeństwa, własnym nakładem i pracą zamek wystawić, zastrzegając, iż skoro ukończony zostanie, aby w nim sami mieszczanie straż i inne powinności odbywali, w razie zaś napadu nieprzyjaciela, wszyscy do wspólnéj obrony stawać mają. Jeśliby kto zbiegł, szukając pewniejszego schronienia, polecamy cały jego ruchomy i nieruchomy majątek na skarb nasz zabrać: w razie zaś ujęcia później takowego zbiega, ma być śmiercią karany, ażeby odjąć na przyszłość innym chęć do podobnéj ucieczki. Dla tém rychlejszego wystawienia zamku, uwalniamy *Smotricz* nad lat dwa od opłaty podatków (2)".

Jakkolwiek niema tu mowy o zniszczeniu dawnego zamku, tylko o budowaniu nowego, to przecież musiało to być odbudowanie tylko podupadłego lub zburzonego może przez Tatarów, bo w Smotryczu od czasu jeszcze książąt Koryatowiczów silny był zameczek tuż obok klasztoru Dominikanów przez tychże książąt założonego. Oprócz jednak tego tylko przykładu, nigdzie żadnego więcéj śladu nie znaleźliśmy, aby mieszczanie własnym kosztem i pracą budować musieli zamki. Wznoszone one były kosztem skarbu królewskiego albo osób prywatnych.

Po większéj zatem części zamki na Rusi wznoszone były przez szlachtę, ze znacznym nieraz kosztem, który czasem zwracany bywał. I tak w ostatnich latach XVI wieku Jan Potocki Starosta Kamieniecki, wzniósł obronny zamek w miasteczku Latyczowie; lustracye w 1598 i 1601 roku chlubnie o téj fundacyi wspominają a uchwałą sejmową 1607 roku przyznawano Potockiemu jako wynagrodzenie za wyłożone koszta 12000 złotych (3). Ostrogscy, Zasławscy, Sieniawscy, Herburty, Czartoryscy, Lubomirscy i t. d. wszyscy wznosili obronne zamki i forteczki; byle miasto najmniejsze, oszańcowane i opalisadowane było. Utrzymywanie zaś ich i obrona aż do XVIII prawie wieku obowiązującym było dla mieszczan.

(1) Opis zamków wołyńskich z ksiąg Radzieckich Krzemienieckich w *Pamiętnikach komissii Archeograficznéj Kijowskiéj* Tom. IV, Cz. II str. 1—232.

(2) *Starożytna Polska* Tom. II str. 966.

(3) *Volum. Legum* II fol. 1455, 1511 i 1621.

III.

Stróża na granicach posiadłości miejskich.

„*Stróża polowa*,“ o któréj często znajdujemy wspomnienie w dokumentach miejskich, była to warta, którą mieszczanie ciągle utrzymywać musieli na granicach swoich posiadłości, iżby nieprzyjaciel nagle i niespodziewanie pod zamek nie podstąpił. W owych bowiem wiekach często dowiadywano się o wtargnięciu nieprzyjaciela w granice kraju, wówczas dopiéro gdy stawał pod murami miasta. Komunikacye nadzwyczajnie były trudne, kilka tylko szlaków przerzynało niezmierne przestrzenie, w wielu miejscach niezaludnione, a tam daléj ku Dnieprowi i po za Dnieprem ciągnęły się owe tak zwane wówczas „*Dzikie pola*“ stepy bezmierne jak ocean, na których gdzieniegdzie tylko rozsiadały się miasta na obszarach mieszczących dzisiaj setki miast i włości.

Wśród takich więc przestrzeni, bez dróg komunikacyjnych, wieści czy złe czy dobre szły powoli, hordy tylko tatarskie, szybko wpadały a obznajomione już z każdym szlakiem, zostawiające po za sobą niby słupy drożne, tysiące mogił, kurhanów lub kopców sygnałowych, cichaczem niszczyły całą nieraz okolicę i rozniósłszy wszędzie śmierć i zniszczenie, uchodziły czémprędzéj łupem objuczone. Ztąd więc, aby nie dać się podejść, ogromnéj potrzeba było pilności, i dla tego ustanowiono ową „*stróżę polową*“ na granicach posiadłości miejskich. Ciężka to była powinność dla mieszczan, ciągłe warty trzymać w znacznéj nieraz od miasta odległości, bo ziemie do miast należące czasem na mil kilka lub kilkanaście rozciągały się. I tak np. lustracya zamku Bracławskiego z 1545 roku powiada, iż pasieki mieszczańskie były bardzo obszerne, goyż jedna pasieka miejska większa była jak trzy wsie, przy których po mili mniéj i więcéj ziemi znajdowało się, w których pasiekach mieszczanie grunta orne, stawy, spusty, pszczół mnóstwo, zwierz wieloraki, sady, ogrody owocowe i wszelkie pożytki dziedziczyli, takich zaś obszernych pasiek *dwadzieścia siedm* posiadali (1). „Inne znów miasto Czehryn posiadało nie mniejszą przestrzeń ziemi, bo począwszy od Taśminy wyżéj Czehryna w czterech milach, przez pole do rzeki Dniepru, Dnieprem na dół do rzeki Suły pod rzekę Boh, a od Boha, aż do granicy korsuńskiéj (2).“ Mieszczanom mohilewskim nadano puszczę koło miasta na dwie mile wkoło, gdy zaś wytrzebili te puszcze, prosili króla Stefana o więcéj lasów. Król przywilejem wydanym w 1577 roku nadał im jeszcze puszczy i ziemi na mil cztery

(1) *Archiw. Połud. Zach. Rossii. Akta o miastach* Tom I str. 532.

(2) *Tamże*, Tom I str. 85.

wkoło (1). Również obszerne były terrytorya Czerkas, Korsunia i wielu innych miast. Utrzymywać więc ciągłą straż na takich obszarach dość było uciążliwém, ztąd w wielu miastach częste spory starostów z mieszczaństwem o niewypełnianie tych powinności, których zaniedbanie było czasem powodem nie jednéj klęski i zajęcia zamku przez nieprzyjaciela.

W księgach grodzkich bracławskich pod rokiem 1552, znajdujemy opis zdobycia zamku Bracławskiego przez Tatarów, właśnie dla tego, iż nie było warty po polach. „W Bracławiu — powiada ów opis — nie mieli o ludziech nepryjatelskich dowiedewania, ani ostorożności, ani *storoži żadnoj na poli*, ani w ostrozie, a i starosta ich na toj czas otjechał był, i w takowom spłoszeństwie ich pryszeł bez wiesti Car Perekowski, tepereszni Dewlet zo wsim wojskom swoim tatarskim i t. d. i wówczas Tatarzy zdobyli i zburzyli zamek, i mnóstwo ludu w jassir uprowadzili.

Z czasem, gdy osady na Rusi ścieśniać się zaczęły, szczególniéj w południowych powiatach podolskich, obowiązek ten „*stróży*“ stawał się nie tak już potrzebném, za to w stronie północnéj przetrwał aż do ostatnich prawie lat XVII wieku, w wielu jednakże miastach „*stróża polowa*“ zastąpiona już była wartą koło zamku tylko, to jest w obrębie miasta.

IV.

Dawanie podwód pod posłów i gońców królewskich, oraz kwaterunki wojskowe.

Zwykle posłom królewskim przejeżdżającym przez miasta, mieszczanie dostarczać musieli podwód na dalszą podróż, gdy zaś zatrzymywali się gdzie, własnym kosztem ich utrzymywać. Zwyczaj to niezmiernie był dawny i stosował się do wszystkich bez wyjątku miast na Rusi.

I tak podług pisma Zygmunta Augusta, wydanego w 1552 r., mieszczanie łuccy „dawać mają jedną podwodę a podwodnika na konia pod gońca naszego, kiedy tam przez Łucko gońcy w sprawach naszych, od nas hospodara i do nas za listy naszémi i panów rad naszych będą jeździć (2).“ Dawniéj jednakże ciż mieszczanie łuccy więcéj podwód dostarczać musieli, bo przywiléj Aleksandra W. X. Litewskiego z 1498 roku, uwalnia ich „od dawania podwód z wozy na wojny, co ustanowił był Iwan Chotkiewicz, gdy dzierżył Łucko za ojca naszego (3).“ W Bracławiu, jak świadczy lustra-

(1) *Akty Rossii Zachod. połud.* Tom I str. 207.
(2) Archiw. Akta o miastach Tom I str. 23.
(3) *Tamże*, Tom I str. 19.

cya z 1545 roku „podwody pod posłów i gońców królewskich tylko do miasta Winnicy tak ziemianie jako i mieszczanie wspólnie dawali (1).“

Często jednak mieszczanie wyrabiali sobie przywileje królewskie, zwalniające ich od tych powinności. I tak na przykład, Zygmunt I potwierdza w 1516 roku przywiléj króla Aleksandra uwalniający mieszczan kijowskich „od wszelkich posłów naszych, również moskiewskich, mołdawskich, tureckich, perekopskich, i innych wszelkich posłanników, gońców, kurierów, i od dawania tym posłom podwód, pokarmów i napojów i innych wydatków na przyjęcie ich i od stróży skarbów i koni ich i od pochodu z posły do ordy, także i wojewodzkim posłannikom koni i podwód u nich brać zakazujemy (2).“ Cokolwiek później (w 1534 roku) Wójt Włodzimierski Iwaszko Detkowicz, burmistrze, radcy, i wszyscy mieszczanie włodzimierscy zanieśli skargę do króla na nadużycia starosty. Wówczas więc król w piśmie do kniazia Andrzeja Aleksandrowicza Sanguszki i syna jego kniazia Fedora, nakazywał, aby wszystkich tych nadużyć zaprzestali. „I gdy posły nasi, albo tatarscy, albo inni cudzoziemscy idą do nas w poselstwie, wy im każecie tym posłom stancye dawać i sług swoich u nich stawiacie. I bili nam czołom i t. d.“ Król tym pismem swojém uwalnia mieszczan od tych powinności (3).

Co się wreszcie tyczy kwaterunków wojskowych, takowe miały miejsce tylko podczas pochodów wojennych, lub podczas wojny wewnątrz kraju, zależały więc od potrzeb i okoliczności chwilowych, nie miały zaś stałego określenia.

Takie były powinności wojskowe mieszczan w dawnych miastach na Rusi, mniéj więcéj aż do połowy XVII wieku; w wielu jednakże miastach już od XVI wieku, te powinności zastępowane były pieniężnemi opłatami lub daniną. Jeszcze w 1509 roku Zygmunt I uwalnia mieszczan włodzimierskich żeby na wojnę nie chodzili, tylko „gdy namiestnik włodzimierski pójdzie na wojnę, to oni pod niebytność jego, mają na zamku naszém z namiestnikiem jego być dla obrony, podług dawności (4).“ Inny znów przywiléj temuż miastu wydany w 1532 roku, wyznacza jako zastępstwo za powinności wojskowe różne podatki, z których zebrane pieniądze na żadne potrzeby brać nie powinni, tylko „ku oboronie miestskoj dzieła i rusznicy, porocha i saletru kupowati i puszkara chowati (5)“

(1) *Tamże*, Tom I str. 532.
(2) *Hramoty Wiel. Ks. Litewskich* Nr. 25.
(3) *Archiw. Akta o miastach* Tom I str. 32.
(4) *Tamże*, Tom I str. 30.
(5) *Tamże* str. 31.

W XVII wieku, gdy napady tatarskie coraz już rzadziéj się powtarzały, powoli we wszystkich miastach czynsze i daniny na korzyść starosty lub zamkowego urzędu, zastępowały owe powinności wojskowe, miasta tylko nadgraniczne zachowywały jeszcze swój charakter militarny. Konstytucya 1620 roku nakazuje opatrzéć miasta pograniczne w strzelbę, proch, ludzi i insze rzeczy do obrony należące (1); lecz w tych nawet miastach cały system obrony ześrodkowuje się już w ręku starosty tylko i hufców rycerstwa. W zamian zaś za owe powinności wojskowe, rozliczne zjawiają się podatki lub zwiększają się pierwéj już egzystujące. W każdém mieście znajdujemy *podymszczyznę, kopszczyznę, wierchowszczyznę, podwoźne, pomiarne, słodowe, warowe, sołne, woskowe, mostowe, sosz* i t. d. Niektóre z tych podatków przeznaczone były jedynie tylko dla wzmocnienia środków obrony miejscowéj.

Jakkolwiek uwolnienie mieszczan od powinności wojskowych, pomyślnie wpływać musiało na handel i przemysł krajowy, to z drugiéj znów strony odosobniało wybitniéj jeszcze klassę szlachecką od innych warstw narodu. Współudział ludności rolniczéj w obronie kraju niwelował jakoby tę różnicę stanów, bo w téj wspólnéj pracy dla dobra kraju była przynajmniéj równość zasługi, odkąd zaś usuniętym został, szlachcie tylko pozostało wyłączne prawo bronienia kraju, a przedział kastowy coraz trudniejszym był do przekroczenia.

Zawadyńce, 10 stycznia 1872 r.

K. P.

(1) *Volum. Leg.* III fol. 14.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA i ARTYSTYCZNA.

Czterystoletni jubileusz Kopernika, dzieło p. Flamaryon'a. Rodowitość polskiego astronoma. Młode lata. Nauki w Wszechnicy Jagiellońskiéj. Wojciech Brudzewski. Podróż po Włoszech. Padwa. Korony akademickie. Bononia. Rzym. Powrót. Stan duchowny. Walka z krzyżackim zakonem. Wszechstronność geniuszu: Kopernik ekonomista, lekarz, inżynier, filozof, poeta, malarz. Jego wizerunek. Wiersz Tiho-Brahego. Dzieło de Revolutionibus orbium coelestium. Śmierć. Napis grobowy. Stoletnia cisza. Tryumfy. Napoleon w Frauenburgu. Ocenienie Herdera.—Z Maryenburskiéj wieży zadzwoniono.—Poezya i proza.—Bibliografia i archeologia.— Holandya i Holendrzy: rozprawa p. Quesnel. — Andrzéj Lemoyne uwieńczony poeta.— Strumień i dziewczyna.— Po balu.

Wiadomo że zbliżająca się czterechsetletnia rocznica urodzin Kopernika, wywołała we wszystkich krajach Europy mnóstwo dzieł i rozpraw poświęconych bądź uczczeniu tego wielkiego geniuszu, bądź krytycznym rozbiorom jego różnostronnych prac naukowych, rozbiorom, które same przez się najwyższą są pochwałą.

We Francyi najpopularniejszy pisarz z wydziału naukowego p. Kamil Flamaryon, ułożył osobną książkę na cześć polskiego astronoma. Główną zaletą dziełka tego jest ożywiające je ciepło. Flamaryon ukochał Kopernika, z uczuciem téż kreśli jego żywot, wykazuje różnostronne prace, zacięte walki z nieuctwem i przesądami wieku. Miłość autora do bohatéra swego udziela się czytelnikowi w sposób tak naturalny, że Kopernik znany dotąd we Francyi jako istota abstrakcyjna, zstąpił nareszcie w tym kraju z wyżyn eterycznych na świat ziemski, słowem przestał być jakąś liczbą a został człowiekiem, krwią z krwi i kością z kości kraju który go wydał. Upowszechnienie téj strony życia Kopernika nadaje charakterystyczną cechę dziełu pana Flamaryon.

Pragnęlibyśmy szczerze aby ta praca mogła być jaknajrychléj upowszechnioną w przekładzie polskim. Co do nas ograniczymy się na krótkiém z niéj sprawozdaniu.

Autor w rozdziale wstępnym daje poznać piérwotne wyobrażenia chaldejskich i egipskich ludów o ziemi i o niebie; określa systemata Arystotelesa, Hypparcha, Ptolomeusza; wykazuje powolny postęp nauk astronomicznych przez ciąg średnich wieków, tak w szkole aleksandryjskiéj jak między Arabami; dochodzi wreszcie do piérwszych czasów naukowego odrodzenia, kiedy w połowie XV-go wieku Jerzy Purbach i Jan Müller z Królewca, (Regiomontanus) głosili w Wiedniu prawa nauki oparte na spostrzeżeniach starożytnych.

Z pola naukowych badań przechodzi Flamaryon na pole historyi, jednym rzutem pióra kreśli zarys owych chaotycznych czasów, w których urodził się i żył wielki astronom polski.

„Wiek Kopernika—mówi on—krwawo przyświeca w dziejach. W Anglii walka zaciętych stronnictw Jorku i Lankastru, zmiata do sto tysięcy ofiar; miecz Karola Zuchwałego księcia Burgundyi, wali stosy trupów nad Renem i Mozelą; zdobycze Bajazeta napełniają postrachem Europę; bezrządy Borgiów budzą grozę powszechną. Na placu publicznym we Florencyi stos pochłania Sawonarolę, Kalwin pali Serweta za wprowadzenie w czyn zasad wolnomyślności; Henryk VIII zrywa z kościołem przez miłość dla kobiéty, którą powlecze wnet na rusztowanie, a w ślad za nią cztery inne-małżonki. Soliman II łupi Azyą i wschodnią Europę, Karol V zalewa wojskiem Zachód. Francya, Anglia, Hiszpania, Włochy, obroczone krwią: gdzie rzuć okiem błyszczą łuny zatlonych stosów!

„Ale w tym szalonym odmęcie — dodaje autor—widzimy z pociechą niezliczonych pracowników myśli, którzy jako Boży oracze uprawiają i wiernie posiewają swój zagon, przysposabiając chléb ducha, co ma szczodrze nakarmić przyszłe wieki. Guttenberg umiéra na lat cztery przed urodzeniem się Kopernika, przekazawszy wiekom puścizną cudowny wynalazek druku. Krysztof Kolumb zwalcza niesłychane trudności, przebywa szeroki ocean i poza nim odkrywa nowy świat; okręt Magiellana opływa po raz piérwszy kulę ziemską, a podczas kiedy kształty i obszary ziemi przestają być dla ludzi tajemnicą, Kopernik wytrwałą pracą dochodzi jéj praw i określa właściwe jéj stanowisko w wszechświecie.“

Flamaryon kreśli żywot Kopernika od kolébki do grobu; pójdźmy więc w ślady za nim. Wprawdzie życiorys wielkiego ziomka naszego znany u nas nierównie lepiéj niż w obcych krajach; sądzimy przecież że dla czytelników naszych nie będzie obojętną wiadomość w jaki sposób cudzoziemcy pojmują i oceniają wielkiego męża. Autor usiłuje ugruntować i rozpowszechnić przekonanie, że Kopernik był Polakiem, że jemu świat zawdzięcza nową a wielką drogę do pojmowania praw świata widzialnego.

„Mikołaj Kopernik—mówi Flamaryon—urodził się 19 lutego 1473 roku w mieście polskiém Toruniu, za rządów Kazimiérza Jagiellończyka; ojciec jego był piekarzem, członkiem rady mu-

niepalnéj. Dziad przemieszkiwał w Krakowie od końca XIV wieku, matka Barbara Weiselrod siostrą była biskupa warmińskiego.

„A więc — dodaje autor—Kopernik jest Polakiem z rodu. Wielu jego biografów począwszy od Gassendego do dzisiejszych zowie go Niemcem, sam Fontenelle wpadł w podobny błąd za innymi. Najniesłuszniéj król bawarski pomieścił w świątyni Walhalli w gronie znakomitości niemieckich wielkiego astronoma polskiego.“

W latach dziecinnych mały Mikołaj Kopernik chodził w rodzinném mieście do szkółki Ś. Jana. Pilny i pracowity uczył się z wielką gorliwością; wieczorem nawet unikał rozmowy z towarzyszami, a za powrotem do domu pracował mozolnie nad łaciną.

W dziesiątym roku stracił ojca. Odtąd wuj jego Łukasz Weiselrod biskup warmiński, wziął go pod wyłączną opiekę. W szkole toruńskiéj młodzian wyuczył się dokładnie starożytnych języków. Pozostał z tych czasów piękny jego przekład na łacinę listów Theofilaktesa.

Biskup warmiński wyprawił go następnie na uniwersyteckie nauki do Krakowa. Tam ośmnastoletni Kopernik wpisany w poczet uczniów pod nazwą *Nicolaus Nicolai de Torunia*, postanowił oddać się wyłącznie nauce medycyny. Oprócz tego uczęszczał na wydział filozoficzny, z szczególném zaś upodobaniem słuchał wykładu matematyki. Ta ostatnia nauka pochłonęła niebawem jego umysł. Uniwersytet Jagielloński pod kierunkiem Macieja z Kobylina, liczył wówczas w gronie mistrzow uczonego Wojciecha Brudzewskiego, który wykładał astronomią. Słowa mistrza zapaliły w młodym Koperniku niesłychany zapał do téj nauki. Nie przeparta siła popchnęła go na nową drogę.

Brudzewski poznał i ocenił znakomite zdolności ucznia; nie poprzestając też na szkolnych wykładach, pozwalał mu brać udział w wykonywanych przez siębie doświadczeniach astronomicznych, wyjaśniał mu użycie instrumentów. Wówczasto Kopernik postanowił zwiedzić Rzym i sławne wszechnice włoskie.

Podróż po Włoszech uważaną była wtedy za konieczne dopełnienie klasycznego wychowania. W téj kolébce nauk i sztuk pięknych, pod wpływem tego uroczego nieba, w obec tylu wspomnień dawnéj chwały, wyobraźnia rozbudzała się jakby czarem, umysł przychodził do dojrzałości. Chciwa nauki młodzież przedsiębiorąc tę podróż kształciła się pilnie w rysunku, aby zdejmować widoki i odtwarzać spotykane co krok arcydzieła. Kopernik idąc za ogólnym popędem, poświęcał rysunkom i malarstwu wolne chwile, w krótce też przyszedł, jak mówi Gassendi do wielkiéj biegłości w malowaniu krajobrazów, a nawet wizerunków uderzającego podobieństwa.

Po ukończeniu nauk w Krakowie wrócił młodzieniec do Torunia, zabawił czas jakiś w domu wuja i matki, poczém pośpieszył

do Włoch. Skończył wtedy dwudziesty trzeci rok życia.

Zatrzymał się nasamprzód w Padwie, tam uczęszczał na kursa filozofii i medycyny. Po trzyletnich naukach otrzymał dwa wieńce. W archiwach sekcyi medycznéj Uniwersytetu Padewskiego zapisano jako w r. 1499 mistrz wszechnicy Mikołaj Teatinus włożył na głowę ucznia polskiego dwie korony.

Zwolna Kopernik przystępował do nauki, która miała zapewnić mu nie pożytą chwałę. Pragnął nasamprzód zyskać stopień doktora medycyny, czyniąc zadosyć woli biskupa warmińskiego. Wywiązawszy się względem wuja rozpoczął dopiéro systematyczną pracę na polu odpowiedniém jego geniuszowi.

Słynął podówczas w Bolońskiéj wszechnicy sławny mistrz astronomii Dominik-Marya. Kopernik podczas pobytu swego w Padwie, odwiedzał go po kilkakroć i z nadzwyczajną pilnością słuchał jego wykładów. Ukończywszy medycynę przeniósł się do Bolonii i oddał z zapałem matematycznym naukom. Dominik Marya spostrzegł od razu wielką miłość pracy i rozległą wiedzę młodziana. Z jego to poręki otrzymał Kopernik katedrę matematyki w Uniwersytecie rzymskim r. 1499. Miał wtedy lat dwadzieścia siedm.

Obdarzony porywającym darem wymowy młody mistrz ściągnął wielką liczbę słuchaczów. Wykładał on astronomię według systematu Ptolomeusza. Wówczasto wniknąwszy głęboko w ów systemat poznał całą jego niedostateczność.

Przez lat siedm przebywał we Włoszech od roku 1496, do 1502. Tam wpatrując się w błękit pogodnego zawsze nieba pociągnięty wpływem wyższych umysłów, dążących z zapałem do odrodzenia nauk, uczuł wielkie powołanie swoje. Pracował bez spoczynku, żył w samotności nie biorąc udziału w ponętach i burzach światowych. Pozostały z tych czasów po nim liczne spostrzeżenia nad zaćmieniami tak księżyca jak słońca.

Za powrotem do kraju wstąpił do stanu duchownego. Święcenia kapłańskie przyjął z rąk Jana Konarskiego biskupa krakowskiego. W kilka lat potém za staraniem wuja otrzymał (1510) kanonię w mieście Frauenburgu. Wolny od obowiązków rodzinnych oddał się gorliwie naukom matematycznym i astronomicznym badaniom.

Lubo praca naukowa pochłaniała potężny jego umysł, kiedy chciwy zakon krzyżacki zabrał nieprawnie ziemie i grody należące do kapituły, Kopernik nieustraszony pogróżkami potężnych nieprzyjaciół, śmiało wystąpił z nimi do walki. Poniósł skargę przed tron Zygmunta I i tyle dokonał wytrwałém dochodzeniem krzywd, że zakon zmuszony został zwrócić zabrane gwałtem posiadłości.

Inną niemniéj ważną sprawę podniósł Kopernik na sejmie Grudziązkim. Rzecz tu szła o przywrócenie zachwianego kredytu pomorskim miastom, zalanym fałszywą monetą przez ościen-

nych Krzyżaków. W rozprawie *O urządzeniu monety* (De optima monetae cudendae 1526), Kopernik okazuje się wytrawnym i wyższym nad wiek swój ekonomistą, a co więcéj obywatelem troskliwym o dobro Rzeczypospolitéj. Rozprawa ta zachowana dotąd w oryginale, tłumaczona na język francuzki przez Ludwika Wołowskiego członka Instytutu, była kilka lat temu przedmiotem ciekawéj konferencyi tego uczonego, i dała poznać cudzoziemcom wszechstronny geniusz Kopernika.

Krzyżacy poprzysięgli mu zemstę. Wiedzieli oni że kanonik Frauenburski trawi noce w obserwatoryum, które urządził sobie na wieży własnego domu; wiedzieli że pojęcia jego różnią się radykalnie od przyjętych zasad, zasłyszeli coś nawet o nowéj teoryi wykazującéj wirowy obrót ziemi w około słońca. Postanowili więc stanąć mu w poprzecz drogi i bronią szyderstwa chłostać go w najdotkliwszy sposób. Płatni przez nich wędrowni komedyanci, przedrzeźniali po jarmarkach wielkiego astronoma i ośmieszali go w obec przyklaskujących tłumów.

Przyjaciele Kopernika ciężko boleli widząc go przedmiotem pośmiewiska gawiedzi, skłaniali go usilnie aby wystąpił przeciwko podobnym nadużyciom.

„Dajmy im pokój—odpowiadał spokojnie mędrzec—nie uganiam się bynajmniéj za poklaskami tłumów; co ja wiem nie zyska ich uznania, coby im przypadło do myśli, tego ja wcale nie wiem.“

I wielki astronom pracował bez spoczynku, głuchy zarówno na szyderstwa nieuków jak i na przestrogi uczonych. Jedna noc gwiazdzista dawała mu przepomnieć tysiąca dotkliwych pocisków, a sam w obec Boga patrząc w niezmierzone okiem niebo, rad odwracał myśl od nędz i małostek ziemskich!

Podczas gdy przedajne błazny ośmieszały go w obec karczemnych tłumów, najsłynniejsi matematycy ówcześni witali już wschodzącą zorzę jego chwały. Jeden znich Erazm Reinhold w rozprawie nad systematem Ptolomeusza, wyraża się z niesłychaną czcią o Koperniku; zowie go twórcą dzieła co odrodzi astronomią, nowym Ptolomeuszem, sławnym mędrcem, którego boski geniusz błogosławion będzie po wszystkie wieki.

Zaczém wieki miały przekazać wiekom imię nieśmiertelnego męża, już to imię przebiegało z ust do ust, otoczone błogosławieństwem ludu. Tłumy chorych wieśniaków napełniały bezustanku prosty jego dworek. Biegły w sztuce lekarskiéj Kopernik udzielał im rad, opatrywał ich rany, przyrządzał im lekarstwa własną ręką; ubogich odziewał i karmił. Sława jego lekarska rozeszła się w mgnieniu oka po całéj okolicy, chorzy zdalekich nawet stron, pełni wiary i nadziei garnęli się do niego, najsłynniejsi lekarze współcześni zasięgali piśmiennie jego rady.

Troskliwy o pomyślność ludu Kopernik w każdéj okoliczności był dlań prawdziwym ojcem i dobroczyńcą. Widząc jak dotkliwie czuć się daje brak wody w położonem na górze mia-

steczku, sprowadził ją z dalekiéj rzeczki za pomocą wymyślonego przez siebie przyrządu i rurami rozprowadził ją po mieście.

Przy tylu różnostronnych pracach oddawał się niemniéj poezyi. Utworzył w łacińskim języku religijny poemat p. t. *Siedm gwiazd* (Septima sidera), wydany w Krakowie 1529 roku, przełożony na polski język przez Ignacego Badeniego.

Długo Flamaryon zatrzymuje się nad codziennem życiem Kopernika. Kreśląc z miłością jego obraz, zbiéra pilnie najdrobniejsze rysy zapisane przez Gassendego, Saweryena i innych tak obcych jak polskich biografów. Zobaczmy jak maluje postać mędrca.

„Oblicze Kopernika wyrażało dobroć i kontemplacyą. Lica rumiane świadczyły o zadowoleniu sumienia i pokoju wewnętrznym. Oczy piękne, pełne życia, zapalały się w miarę uczuć poruszających duszą. Włos długi kręty, spadał mu na ramiona. Barki miał krzepkie, wzrost dorodny. Nikodem Frischlinus patrząc na jego wizerunek oddany z natury, taki nakreślił pod nim napis:

Oto jest Kopernika wizerunek żywy,
Wiernie odtwarza urok piękności prawdziwéj;
Oko cudne, włos bujny, jagody rumiane,
Członki jak Apelesa pędzlem malowane;
Badawczo snuć się zdaje wątek twórczéj, myśli:
Gwiazdom na widnokręgu nowe szlaki kreśli,
Pcha ziemię w ruch, firmament na uwięzi trzyma,
I w biegu słonecznego wstrzymuje olbrzyma!

Mówiąc o wizerunku Kopernika przypomina autor jak głębokie wrażenie sprawił jego widok na sławnym astronomie Tiho-Brahem. Mistrz duński aczkolwiek nie przyjął systematu Kopernika, może być że z obawy panujących wówczas przesądów, okazywał jednak najwyższą cześć dla jego geniuszu. Otrzymawszy w darze portret polskiego mistrza wykonany jego własną ręką, równie jak jego narzędzia astronomiczne, pomieścił te drogocenne pamiątki w swojém obserwatoryum. Pod wizerunkiem nakreślił wiersz pełen gorącego uznania. Dajemy go w przekładzie:

Liczne wieki upłyną, długo świat poczeka,
Nim ziemia podobnego wyda znów człowieka;
On powstrzymał na niebie rydwan słońca złoty,
Pchnął ziemię nieruchomą w wirowe obroty;
Nakreślił księżycowi ścieszki tajemnicze,
I z gruntu przeistoczył wszechświata oblicze.
Za pomocą tych drążków potrafił mistrz dzielny
Poddać pod swoje prawa Olymp nieśmiertelny;
Marnym drewna odłamem dosięgnął gwiazd szczytu,
I rozdarłszy tajemną oponę błękitu,

Geniuszu potęgą w te przestrzenie wnika,
Kędy nie sięgły przed nim oczy śmiertelnika.
Gdy Tytany ku niebu darły się zuchwale,
Kładą górę na górze i skałę na skale,
Olbrzymie złomy opok w twardém ręku niosą,
Walą Ossę nad Etną, Pelion nad Ossą,
A przecież mimo trudu, mimo woli szczeréj
Słabi duchem w niebieskie nie wdarli się sfery;
On ufny w moc rozumu, acz bezsilny ciałem,
Wdarł się tam, nad Olimpem zapanował całym,
Zbrojny kawałkiem drewna struganym z prostotą:
O! niechże temu drewnu pozazdrości złoto!

Według Flamaryona, najdawniejszy z istniejących dziś portretów Kopernika jest ten, który widzimy na zegarze astronomicznym w katedrze Strasburskiéj. Zegar ten wykonany był w trzydzieści lat, po śmierci wielkiego astronoma polskiego, według wprowadzonego przezeń systematu. Mówiliśmy o nim w jednéj z tegorocznych kronik naszych.

Autor określiwszy postać mistrza, wprowadza czytelnika do skromnego dworku, gdzie Kopernik pędził życie wśród mozolnéj a różnorodnéj pracy.

Był to prosty ale wygodny dworek. Sprzęty niewytworne odpowiadały potrzebom uczonego. W osobnéj izdebce było laboratorium, gdzie tam przyrządzał leki dla chorych, na przybocznéj wieży, zkąd obliczał obroty planet, zebrane były narzędzia astronomiczne wielkiéj prostoty wykonane jego własną ręką. Tu płynęły dnie mędrca w ciszy i w głębokim ducha skupieniu.

Nie kwapił się Kopernik z wydawaniem prac swoich, nie chciał rzucać na pastwę nieuków, albo na łup złośliwéj zawiści, prawd mozolnie przez siebie odkrytych. W stosunkach zato z uczonymi dostępny był i łatwy. Udzielał im chętnie rękopisów, dawał żądane objaśnienia, odpowiadał na czynione zarzuty. Jan Brosciusz posiadał wielką moc jego listów, prowadząc z nim stałą korrespondencyą. Pisywał także chętnie do towarzysza młodości Wapowskiego.

Nie lubił Kopernik czczych rozmów z ludźmi którzy pojąć go nie zdołali, unikał licznych znajomości, a rad przestawał tylko z prawdziwie uczonymi, ztąd obwiniano go o nieprzystępność. Miał jednak kilku serdecznych i wiernych przyjaciół; do tych należał Tydeman, Gize biskup chełmiński i znany z nauki biskup warmiński Dantyszek. Znana także ojcowska miłość dla młodego Retika. Był to najgorliwszy z jego uczniów. Retik zajmował już miejsce prof. matematyki w Wittembergu; posłyszawszy o sławnym astronomie porzucił katedrę, udał się do Polski i stał się odtąd nieodstępnym uczniem i wspólnikiem prac Kopernika.

Szeroki ustęp poświęca Flamaryon określeniu systematu astronoma polskiego, i porównaniu go z teoryami starożytnych. Opuszczamy ten ustęp, jako przechodzący ramy naszéj kroniki.

Kopernik rozpoczął w roku 1507, wielkie dzieło, w którém postanowił sformułować wyniki długoletnich już badań. Pracował powoli, cierpliwie, dokładał jednę cegłę do drugiéj, poprawiał, zmieniał, dopełniał rzecz coraz nowemi dowodami, aż po siedmioletniéj pracy zbudował wspaniały pomnik naukowy, dokonany w roku 1514. Nie wypuszczał jednak z rąk drogocennego rękopisu, rozszerzał go ciągle, nie kwapił się ogłosić go drukiem, ani dla astronomów, tém mniéj dla publiczności.

Wszyscy przecież uczeni współcześni wiedzieli o pracy Kopernika, znali w części jego systemat. Wielu z nich nalegało silnie, aby mistrz nie krył światła pod korcem. Ulegając w końcu namowom, siedmdziesięcioletni starzec pozwolił w roku 1541, wydrukować rękopis wykończony przed dwudziestu siedmiu laty. Wydaniem tego największego skarbu w nauce, zajmował się ukochany uczeń jego Retik.

Wiadomo że Kopernik poświęcił swoje dzieło Pawłowi III-mu, powód téj dedykacyi, określa w liście wstępnym.

„Ofiaruję — pisze on — dzieło moje, Waszéj Świętobliwości aby cały świat, tak uczeni jak i nieuczeni, przekonani byli że nie unikam roztrząsania i sądu.

„Powaga Waszéj Świętobliwości, jéj miłość dla nauk a zwłaszcza dla matematyki, służyć mi będą za tarczę przeciwko złośliwym i zdradzieckim pociskom, wbrew przysłowia: niema lekarstwa na ukąszenie oszczercy. . . . .

„Przekonany jestem że uczeni i biegli matematycy, przyklasną moim badaniom, jeżeli jak przystało prawdziwym filozofom, zechcą gruntownie poznać dowody jakie przynoszę w dziele mojém. Gdyby zaś ludzie lekkomyślni i ciemni, chcieli nadużyć niektórych ustępów z Pisma Świętego, zmieniając ich znaczenie, nie będę zważał na to, gardzę naprzód zuchwałą napaścią. Alboż to Lektancyusz sławny pisarz lecz słaby matematyk, nie ośmieszał tych co uwierzyli w okrągłość bryły ziemskiéj? Azaliż nie może spotkać mnie los podobny? Prawdy matematyczne mają być sądzone li przez matematyków. Jeżeli mnie własne nie myli przekonanie, moje prace nie pozostaną bez korzyści dla kościoła, którego rządy spoczywają w ręku Waszéj Świętobliwości!“

Kopernik przemawia do głowy kościoła, z synowską miłością i szczerém zaufaniem. W całym tym liście przebija swoboda cechująca prawdziwy i świadomy siebie geniusz. Pełen on zarazem pokory i głębokiéj pobożności. Jest to testament największego matematyka i astronoma jakiego wydały wieki. Znaczenie owego listu tém większe, gdy zważymy czas przewrotów religijnych, w którym był nakreślony.

Wielu pisarzy łamie sobie głowę nad wytłumaczeniem dla czego Kopernik znalazł poparcie swoich prac naukowych w tylu biskupach, kardynałach, a nawet w samym Papieżu, kiedy tymczasem dopełniacz jego Galileusz doświadczył tylu trudności? Pytanie bardzo ważne, my sądzimy że głównym powodem różnicy jest to, iż Kopernik stawiał poprostu swoje wnioski jako teoryę naukową, gdy zaś dopełnienia Galileusza przedstawiane były w charakterze dogmatu religijnego. Owa to okoliczność sprawiła że i system Kopernika został uważany w wieku XVII za szkodliwy, bo dający pobudkę do obłędu.

To samo widzimy dziś w pewnym względzie, na mniejszą nierównie skalę w Darwinie i tak znanych Darwinistach. Nigdy Darwin nie przedstawia swoich wywodów inaczéj jak ze strony czysto naukowéj, kiedy tymczasem zwolennicy jego biorą te zasady jako sztandar pojęć nihilistycznych, w ich ostatecznéj konkluzyi.

Nieśmiertelne dzieło Kopernika, które miało wywołać w przyszłości tyle sporów, odnieść w końcu tryumf nad przesądami, i odwieczną rutyną i stać się węgielnym kamieniem nowéj nauki, sławne dzieło *De Revolutionibus orbium coelestium* wydrukowane było w roku 1543. Retik przysłał najpierwszy egzemplarz autorowi.

„Księga — mówi Flamaryon — nadeszła w samą porę. Późny wiek, a więcéj jeszcze trudy i przeciwności, stargały życie sławnego matematyka. Paraliż prawego boku, oraz wyrzuty krwi ustami, przykuły go do łoża i uczyniły niezdolnym do wszelkiéj pracy umysłowéj. Pamięć jego słabła, siły widocznie upadały. Kiedy przyjaciele podali mu egzemplarz wydrukowanego dzieła, chwile jego były już policzone. Uczony mąż ogarnął księgę gasnącym wzrokiem, położył na niéj drżące dłonie, ale niebawem pobożny chrześcijanin wspomniał że stanie za chwilę przed Najwyższym sędzią. Opuścił księgę i zajął się tylko zbawieniem własnéj duszy.

Umarł w siedmdziesiątym trzecim roku życia, opłakiwany przez kilku wiernych przyjaciół, otoczony błogosławieństwem ubogich, których był dobroczyńcą. Europa zajęta wojnami religijnemi, mało zważała na skon człowieka, którego geniusz popchnął ludzką inteligencyą w nowe nieznane dotąd szlaki.

Złożono ciało Kopernika w kollegialnym kościele warmińskim. Prosty kamień z napisem świadczył że w miejscu tém pochowany raczéj pokorny grzesznik, niźli mąż niesłychanego geniuszu. Oto ów skromny napis:

Abyś mi jak Pawłowi przebaczył nie tuszę,
Lub skarb łask, jak Piotrowi chciał wlać w moję duszę;
O to, coś dał na krzyżu łotrowi, mój Boże,
Błagam w pokorze!

„Napis to jak uważa Flamaryon wcale nie astronomiczny, maluje on pokorę gorliwego katolika, który wiele przebolał i odrzuca od siebie wszelkie próżności świata.“

W obserwatoryum paryzkiém widzimy wielki portret Kopernika, malowany w roku 1735, według orginału zachowanego w bibliotece toruńskiéj. Poniżéj portretu skreślony powyższy, skromny napis. Porównywając daty, przychodzimy łatwo do wniosku, że ten wizerunek wielkiego Polaka jest darem Stanisława Leszczyńskiego, który świeżo naówczas przybył do Paryża z nieszczęśliwéj wyprawy Gdańskiéj.

W lat trzydzieści po śmierci Kopernika, ów prosty kamień grobowy zastąpiony został wspaniałym pomnikiem. Położył go sławny historyk Marcin Kromer powołany na biskupstwo warmińskie. Był to hołd oddany uczonemu mężowi, imieniem polskiego narodu.

Nie prędko jednak świat dorosł do pojęcia wielkiego geniuszu, który wyprzedził pochód wieków. Nad grobem astronoma panowała głęboka cisza, nie zmącona ani okrzykami chwały, ani téż klątwą nienawiści; Galileusz dopiéro w roku 1564, jął wykazywać prawdopodobieństwo Kopernikowéj teoryi, ale upłynął z górą wiek cały, zaczém teorya ta miała otrzymać powszechne u świata uznanie.

„W sto lat po śmierci Kopernika — mówi Flamaryon, — uczony francuzki Gassendi pisząc życiorysy sławnych matematyków, począł zbierać notaty do życia astronoma polskiego, ale jego chwała nie świeciła jeszcze pełną aureolą, odkrycie jego nie dość jeszcze było ocenioném. Gassendi w swojém dziele podrzędne naznacza stanowisko restauratorowi astronomii: życiorys Kopernika stanowi jakoby dopełnienie historyi Tiho-Brahego, w pośród biografii Purbacha i Regiomontanusa.“

Opowiada Flamaryon jak w roku 1802, znakomity polski uczony Tadeusz Czacki z poetą Marcinem Molskim, odwiedzili w Warmii dom i grobowiec wielkiego rodaka, jak w lat kilka potém cesarz Napoleon, uczcił pamięć jego w Toruniu.

Arago w rozprawie o Koperniku przytacza, że Napoleon podczas kampanii pruskiéj, w roku 1807, pragnął zebrać ustne tradycye o sławnym astronomie. Odwiedził jego dom w którym tkacz założył podówczas swój warsztat. Skromny to dworek, wszystko pozostało tu jak było niegdyś. Portret Kopernika zawieszony był nad łożem, odwieczne firanki z czarnéj serzy, sięgały zapewnie jego czasów: stół, szafa, parę krzeseł, oto i cały sprzęt uczonego!

Napoleon życzył sobie przewieźć ów portret do Paryża i pomieścić go w Luwrze, ale tkacz nie chciał sprzedać drogiéj pamiątki, która jak mówił przynosiła szczęście rodzinie. Cesarz uszanował pobożną tradycyą i nie nalegał dłużéj.

Odwiedził Napoleon grób wielkiego męża, kazał odnowić go własnym kosztem i pomieścić przy wielkim ołtarzu, aby mógł być lepiéj widzialnym.

W końcu dzieła przebiega Flamaryon prace późniejszych astronomów, którym Kopernik utorował drogę: Tiho-Brahego, Gallileusza, Keplera, Newtona; charakteryzuje wreszcie dzisiejszy stan nauki. Oto ostatnie słowa zamykające to małe, lecz dziwnie sympatyczne dziełko.

„W miarę jak nauka szła naprzód, jak coraz gruntowniéj badano świat za pomocą spostrzeżeń i rachunków, praktyki i teoryi, coraz to nowe świadectwa i dowody potwierdzały systemat Kopernika. Fizyka, mechanika, matematyka, chemia, przychodząc w pomoc astronomii, podniosły blask teoryi polskiego mędrca. Dziś astronomia stała się nauką wspartą na niewzruszonych podwalinach. Znaczenie swoje zawdzięcza ona tym genialnym badaczom przyrody, których przeczysta chwała, zachowa przez wieki nieskażoną aureolę, zawdzięcza ją przedewszystkiem wielkiemu astronomowi polskiemu, który poświęcił żywot cały zbadaniu praw Bożych w przyrodzie, a który umarł pozostawiając ziemi dzieło najwznioślejsze z pomiędzy wszystkich, jakie wydał kiedykolwiek rozum ludzki: poznanie systematu świata.“

Temi słowy zakończa Flamaryon rozprawę o Koperniku, oceniając go głównie jako twórcę dzisiejszéj nauki astronomicznéj. My dodamy jeszcze słowa wielkiego myśliciela niemieckiego Herdera, który w dziełach Kopernika podziwia nie tylko znaczenie ściśle naukowe, ale przedewszystkiem następstwa filozoficzne jakie z nich wypływają, tym bowiem dziełom zawdzięczamy gruntowne pojęcie przyrody. Postawieniem prawdziwego systematu świata, Kopernik według niego, więcéj uczynił dla filozofii, niż wszystkie szkoły greckie swoją dyalektyką.

„Od nieba to — mówi Herder — od nieba należy rozpoczynać naszą filozofią historyi rodu ludzkiego, jeżeli ma zasługiwać na tę nazwę. Ziemia na któréj mieszkamy, niczem jest sama przez się; z niebios tylko czerpie ona siły powszechnie rządzące wszechświatem, jak niemniéj właściwości swoje i kształty, zdolności twórcze i zachowawcze. Nie należy zatem uważać jéj osobno, ale raczéj w całości stworzenia. Niewidzialne, wiekuiste węzły łączą ją ze słońcem, tém ogniskiem, z którego bierze światło, ciepło i życie. Bez słońca nie możemy pojąć naszego systemu planetarnego, jak nie pojmujemy koła bez środkowego punktu. Słońce obdarzone od Przedwiecznego, równie jak inne ciała, potężną siłą atrakcyi, słońce to, okazuje nam w obrębie wpływu swego, planety posłuszne prawom najprostszym, wirujące bezustanku na własnych osiach i w około wspólnego centrum, w przestrzeniach odpowiednich wielkości ich i przeznaczenia, wraz z podległemi im satelitami. Niema szczytniejszego widoku, nad obraz téj wielkiéj budowy świata i nigdy może rozum ludzki nie wzbił się nad poziom zuchwaléj i szczęśliwiéj, jak w onczas, kiedy Kopernik, Kepler, Newton,

odkryli i ustanowili prawa proste, wiekuiste i doskonałe formacyi i ruchu planet (1)."

Z Maryenburskiéj wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono:
Dzień uroczysty w krzyżowym zakonie.

Tak było w roku 13**, toż samo powtórzyło się roku Pańskiego 1872. Dźwięk maryenburskiegó dzwonu roległ się szeroko po świecie, szerzéj niż za czasów unieśmiertelnionego pieśnią Walenroda. Po drutach elektrycznych przebiegł on w te nawet obszary nowych światów, których istnienia nikt się podówczas nie domyślał. Nie naszą rzeczą śledzić wszystkie drgnienia dzwonu starych krzyżaków, zobaczmy tylko jak dzisiejszy dźwięk odbił się na polu literatury.

Ktoby potrafił zliczyć te ody, hymny i sonety, do których nowa uroczystość dała pohop; same obrzędowe mowy i dziennikarskie rozprawy, zebrane w jednę całość, mogłyby zapełnić nie jedną półkę biblioteki. Radzi nie radzi musimy zostawić je na boku, poprzestaniemy tylko, wierni obowiązkom kronikarza, na maleńkich próbkach, z których można będzie powziąć wyobrażenie o całości tego literackiego cyklu.

Zobaczmy oto na jaki ton jeden z poetów, poruszony dźwiękiem dzwonu maryenburskiego, nastraja swoją germańską lutnię, jak wywołuje z dębowych trumien, chmary zakonnych rycerzy, jak spędza im wiekowy sen z powiek i czarem pieśni rozbudza ich do życia, albowiem zegar wieków wybił dla nich godzinę odrodzenia, w pełnéj mocy i chwale, których dawna ich moc i chwała, była tylko przeczuciem, zapowiednią, mythem! posłuchajmy poety:

Północ wybiła na klasztornéj wieży,
Nagle mistrz wielki w stary dzwon uderzy;
Groźne się hasło rozległo z daleka:
Drgnęły sklepienia, zatrzęsły się mury,
Pękły na dwoje ciężkie trumien wieka,
Z książęcych grobów powstają komtury,
Kroczą szeregiem do sali zamkowéj;
Skute ich barki w żelazne pancerze,
Hełm z pióropuszem przyświeca im z głowy.
W okół komnaty stanęli rycerze,
Na białych płaszczach czarny krzyż odbija,
Z wiatrem proporzec szeleści tam w górze
A na proporcu Dziewica Maryja!
W trupiéj prawicy dzierżą miecze duże

(1) Herdel: Filozofia Historyi ludzkości, 1784. Tom 1.

I twardy puklerz każdy w ręku ściska,
Przerosły pleśnią i rdzą grobowiska.

Milczą ponuro, snać nie pojmują co się stało. Aż oto wielki mistrz występuje z pośród grona. Opowiada bratniéj drużynie jakim sposobem ostry miecz wypadł im z prawicy, wytrącon długą koleją win i przestępstw. Oznajmia, jak przed stu laty czarny orzeł siadł znów na staréj wieży ich zamczyska i rozpostarł skrzydła nad ich germańską ojczyzną. Zwracając się potém do owéj ziemi, którą deptał zwycięzko za żywota, woła w najwyższém uniesieniu.

Pruska ty ziemio moja! do uścisku
Oba ku tobie wyciągam ramiona!
Ty, coś w słowiańskiém zgrzęzła topielisku
W stuletniéj chwale witaj odrodzona!
Patrz pruska ziemio, oto Cezar nowy!
Dawno ku niemu pozierasz z tęsknotą;
Patrz! ma na barkach płaszcz Karlomanowy,
Na głowie wawrzyn i koronę złotą!

Inny poeta, na groźniejszy jeszcze stan nastraja lirę swoją. Zatacza on wzrokiem po szerokich obszarach nadbałtyckich, widzi z boleścią, że są jeszcze w pobliżu germańskie kraje, martwe gałązki oderwane od pnia ojczystego! że są jeszcze stare zamczyska, gdzie orły teutońskie słały bezpieczne gniazda, odtrącone od germańskiéj jedności. Oto urywek pieśni zbudzonéj także dźwiękiem maryenburskiego dzwonu a drukowanéj w Nogat-Zeitung w sam dzień uroczystości:

Co bądź nam wieków wyszczerbił ząb,
Czas wspólną siłą naprawić już;
Co bądź uronił germański dąb,
Długo szamotan wichrami burz:
Niech w jednę całość zrośnie się wraz,
Sokami wielki zasili pień,
Niech odrodzony germański las
Na świat olbrzymi roztoczy cień!

Ale nie dosyć jeszcze na tém, archeologia nie dała wyprzedzić się w bibliografii. Na odgłos maryenburskiego dzwonu obok medalów bitych przed stu laty na rozkaz Fryderyka II-go, wystąpiły na jaw cztery dawniejsze medale, bite w Gdańsku i Toruniu, a świadczące wymownie o uczczeniach dla zakonu krzyżackiego, owych prusaków, zagrzęzłych jak mówi poeta, w słowiańskiém topielisku i spozierających z tęsknotą ku opiekuńczéj Germanii,

któréj Krzyżacy według dzisiejszych pojęć, mają być najżywotniejszym wyrazem.

Pierwszy z tych medalów biło miasto Gdańsk, w dwóchsetletnią rocznicę wyzwolenia swego od przemocy zakonu.

Medal ten w dniu 6 marca, po uroczystéj mowie Jana Tytiusa professora gimnazyum, rozdany był pomiędzy senatorów i obywateli miasta, przez Gerarda Bartsh, burmistrza gdańskiego.

Drugi medal bity w Toruniu w sto lat późniéj, przedstawia widok zamku Maryenburskiego, z którego wyjeżdża sześciu rycerzy na koniach. Tym zastępuje drogę herold, który zsiadłszy z konia wręcza pismo pierwszemu z jezdców. Napis w około: „Pruskiego związku manifest doręczony przez Herolda w Malborgu 6 lutego 1454 roku.“

Trzeci medal podobny do poprzedniego, bity w tymże roku w Toruniu, z powodu że rysunek pierwszego nie podobał się Torunianom.

Czwarty największy i najozdobniejszy ze wszystkich, bił Gdańsk za Augusta III-go w roku 1754. Przedstawia on widok miasta w oddaleniu. Na pierwszym planie dwa orły: biały i czarny, druzgoczą szponami krzyż kawalerów niemieckich.

Mała ale nadzwyczaj ważna pod względm położenia geograficznego Holandya, zwraca w tych czasach na siebie uwagę powszechną, szczególniéj uwagę Niemiec i Francyi, a to jak łatwo zgadnąć z przeciwnych wprost pobudek. Nigdy we Francyi nie pisano tyle jak dziś o tym nadmorskim kraju, nigdy z większą pilnością nie badano jego instytucyi, charakteru, podań i obyczajów.

Do najciekawszych publikacyj dzisiejszych należy przekład dzieła Daniela Sterna: *Historya początków Rzeczypospolitéj w Niderlandach.* Poważne to dzieło dało pobudkę panu Quesnel, do wybornéj rozprawy pod tytułem: *Wspomnienia Holandyi.* Autor przebywał lat kilka w Amsterdamie, poznał charakter i obyczaje Holendrów, zbadał do gruntu ich instytucye, miał sposobność osądzić pod jakiemi warunkami może wolność trwać w społeczeństwie, a nie przerodzić się w swawolę: słowem poznał geniusz ludu chlubiącego się słusznie najwyższym rozwojem praw obywatelskich.

„Nic myluiejszego, wyrzekł Daniel Stern, nad język polityczny; pięknie brzmiące jego wyrazy: wolność, rzeczpospolita, najrozmaitsze mają znaczenie, zmieniają się całkiem według miejsca i czasu. Rzeczpospolita Peryklesa, nie była wcale rzecząpospolitą Kalwina, wolność Brutusa i Tacyta, odmienna od téj, jaką pojmowali Macchiawel i Danton. Długo jeszcze krew płynąć będzie za prawdy przysłonięte grubym pomrokiem.“

P. Quesnel rozwija ten temat, wykazuje on jakiemi drogami ludzkość od dziewiętnastu wieków szuka tych prawd, tak ciemnych jeszcze dla niéj, jak wytrwale ugania się za wolnością, widząc w niéj główny warunek szczęścia. „Aby zabezpieczyć tę wolność,

mówi autor—przeciw porywom własnych namiętności, ludzie zawiązali pierwotne społeczeństwa. Aby zagwarantować się jedni przeciwko drugim, podjęli oręż i dali sobie wodzów; aby odzyskać znów wolność, którą wydarli im ci wodzowie, podnieśli królów na tarczach. Aby ubezpieczyć tęż wolność przeciwko nadużyciom wszelkich władz, rzucili się w wiekach średnich w objęcia teokracyi, wyobrażającéj Bozką powagę nauki, prawa i sprawiedliwości. Późniéj, aby odzyskać wolność zcentralizowali władzę monarchiczną, i zleli na nią wszystkie prawa rozdzielone w organizacyi feudalnéj; wreszcie, zaprowadzili podział władzy: ztąd wypłynęła zasada samorządu (self governement)."

„Rozmaicie ludy pojmują wolność—dodaje autor: Anglicy i Holendrzy rozumieją w niéj trwałą rękojmię poszanowania osób i własności. Rzecz jednak godna zastanowienia, że właśnie u tych dwóch narodów, wolność ugruntowała się i przechowała pod cieniem najzupełniejszéj nierówności społecznéj. Lubo tak w Holandyi jak w Anglii, zasada owéj nierówności, nie była nigdy uświęconą żadném prawem, ani przywilejem wpisanym w ustawę państwa, znalazła za to w obyczajach jednomyślną sankcyą. Oligarchia kupiecka w Holandyi, zarówno cięży na ubogiéj części narodu, jak rodowa arystokracya na proletaryacie angielskim. Tak samo tu, jak w republikańskiéj Genewie i w Stanach Zjednoczonych, ludzie postawili między sobą zapory nie istniejące bynajmniéj w ich społecznych instytucyach."

Od tych ogólnych uwag przechodzi autor do ciekawych szczegółów, potwierdzających jego założenie. Przebywając długo w Amsterdamie, stołecznym niegdyś grodzie holenderskim, dziś głównem handlowém ognisku, miał sposobność poznać niezliczone przesądy arystokratyczno-mieszczańskie, przechowane tam silniéj niżeli w nowożytnéj, a ztąd kosmopolityczniejszéj Hadze.

Pieniądz stanowi jedyną różnicę społeczną w kraju, w którym przywileje rodowe oddawna nie istnieją. Pieniądz stał się tu nowém bożyszczem nowego bałwochwalstwa. „Widzimy tu, mówi autor, dwie ostateczności: albo ludzie wpadają w apatyą, albo téż w gwałtownéj żądzy wzbogacenia się czerpią pobudkę do niezmordowanej działalności. Mała bardzo liczba pragnie osiągnąć rzeczywistą wyższość, rozwojem talentu i pracą umysłową.

„Arystokraci pieniężni wzrośli w Holandyi w nieporównaną pychę. W ich osobach pieniądz odbiera hołd powszechny. Obwarowali się przepisami surowéj etykiety mieszczańskiéj. Żony ich ubliżyłyby własnéj godności, gdyby uchybiły drobiazgowym, dziecinném nawet jéj przepisom, gdyby naprzykład w niedzielę wyszły przed południem na nabożeństwo, lub w dzień powszedni ukazały się na ulicy przed godziną drugą z południa; każda z nich zgubioną byłaby w opinii, gdyby ośmieliła się wnijść do sklepu, gdyby powóz jéj zatrzymał się na ulicy przed jakimkolwiekbądź magazynem. Bogacz holenderski ubliżyłby sobie, gdyby nie miał na głowie czarnego kapelusza; jeżeli wyjeżdża na wieś, służący nie-

sie za nim ryżowy kapelusz w pudełku, który pan kładzie na głowę, minąwszy bramę miasta. Byłoby to zniewagą domu, gdyby kucharka kupowała mięso w jatkach, lub na targu inne przedmioty żywności, gdyby dom nie był obsługiwany przez różnego rodzaju faktorów".

Osobna część miasta, zwana Herren Gracht (wybrzeże panów) jest w Amsterdamie wyłączną siedzibą arystokracyi. Lud z poszanowaniem wchodzi do tego sanctuaryum. Cudzoziemiec, który chce zachować wziętość, musi bądź co bądź tam zamieszkać. Skromne poddasze na Herren Gracht więcéj znaczy niż pałac w innéj dzielnicy miasta.

Niesłychana tyrania w obyczajach, stanowi tło życia holenderskiego: każdy ubogi, czy bogaty, poddaje się tu dobrowolnie pod jarzmo tradycyi. Autor przytacza dowód tego poszanowania. Zwyczaj nie pozwala jeździć konno po ulicach Amsterdamu, dla utrzymania ich w czystości. Młody jeden progresista postanowił złamać panujący przesąd, przyprowadzono mu osiodłanego konia, przed ganek ojcowskiego domu. Ruszył z miejsca wśród okrzyku i gwizdania ulicznéj gawiedzi; niektórzy sypnęli za nim kamieniami. Nazajutrz i przez kilka dni następnych powtórzyła się taż sama scena. Lud stawiał niezłomny opór. Rzucano petardy pod nogi biednemu koniowi; życie jezdca było w niebezpieczeństwie: policya milczała jednak, i żaden głos nie odezwał się za nim! Własny ojciec młodziana utrzymywał że lud ma słuszność, obstając przy dawnym zwyczaju. W ulicznik u amsterdamskim, widzi autor, uosobioną ideę niepodległości. Wszystko mu wolno; niéma na świecie zuchwalszéj i niesforniejszéj istoty. Niech kto mieszkający na dole, zostawi tylko otwarte okno, psotniki wtykają w nie głowę, patrząc mu w oczy, przedrzeźniają go w najśmieszniejszy sposób; niech je zamknie, sypną w nie kamykami. Przechodnia na ulicy pomażą nieraz farbą, przypną mu papier do surduta. Wszędzie ich pełno. Wieczorem dzwonią we wszystkie dzwonki mieszkań. Pałac królewski otwarty dla nich na roścież; po woskowanéj posadzce przedpokojów grają w kręgle i w piłkę, lub przewracają kozły. Ulicznik, to młody obywatel; wybryki jego tolerowane jako symbol wolności ludu.

Ale mimo tych ustępstw na rzecz swobody jednostek w abstrakcyjném pojęciu, nigdzie ubogi nie szanuje więcéj bogatego jak w wolnéj Holandyi. Poszanowanie to godzi się u Holendrów z uczuciem wolności osobistéj.

Domy w Amsterdamie wybornie harmonizują ze sposobem życia mieszkańców. Sam ich pozór zimny, zawarty szczelnie, świadczy o wysokiém pojęciu, tak własnéj jak cudzéj godności. Każdy dom wygląda na warownię. Za temi wiecznie zamkniętemi drzwiami, panuje spokój, milczenie, oszczędność i porządek. Ubogie tylko rodziny mieszczą się we wspólnych kamienicach; kto posiada jakie takie środki utrzymania, zajmuje mały ale osobny domek. Bogaci nie przyjmują pod dach swój najbliższych

nawet krewnych. Rodzina holenderska różni się też zupełnie od rodziny w innych krajach, jak naprzykład we Włoszech, gdzie w skład jéj wchodzą nawet wychowańce i słudzy, objęci wyrazem *familia*. U Holendrów rodzina, to para małżonków, istnie jak para ptaków w gnieździe. Dopóki dzieci małe, rodzice czuwają nad niemi; wprawdzie nie mają ich nigdy pod bokiem, lecz osadzają na najwyższém piętrze domu. Kiedy dziatwa podrośnie, córki zajmują pokój obok matki, synowie otrzymują miejsce w kantorze obok ojca; ale kiedy córki powychodzą za mąż, kiedy się synowie pożenią, węzeł rodzinny rozrywa się zupełnie. Syn żonaty, córka zamężna nie zasiędą nigdy do stołu rodzicielskiego, chyba za formalném zaproszeniem. Tenże sam stosunek etykietalny utrzymuje się między bratem a siostrą: odwiedzają się tylko jak obcy.

„Razu jednego—mówi autor—podziwialiśmy w obec jednéj z pań holenderskich, przepyszne cieplarnie jéj brata zamieszkałego w témże samém mieście.

— Nigdy ich nie widziałam—odrzekła pani—wieczorem tylko zwykłam bywać u niego.

Zamężne dzieci nie mieszczą się nigdy w domu rodzicielskim, ztąd wynikają nieraz trudności przy zawieraniu małżeństw. Kto się żeni, musi koniecznie mieć dom, a o to nie łatwo w mieście podobném jak Amsterdam. Gruntu do budowy nabyć tu niepodobna, pole zaś kosztowniejsze niźli sama budowa gmachu. Miasto nie pozwala sobie dziś takich zbytków jak za czasów kwitnącéj republiki. Rodziny obejmują z kolei pradziadowskie domy: potrzeba aby jedna z nich wymarła lub opuściła miasto, zaczém druga zajmie jéj miejsce. Ojcowie czekają podobnéj okoliczności wydając córki lub żeniąc synów; tymczasem zaręczają młode pary i nieraz kilka lat upłynie pomiędzy zaręczynami a małżeństwem. Narzeczeni za to używają wszelkiéj swobody, wolno im przebywać a nawet przechadzać się razem, co rzuca pewien urok na zbyt długie chwile oczekiwania.

Odkąd młoda para odleci z gniazda, staje się w niém zupełnie obcą. Jeżeli zaś rodzice nié przyjmują żeniatych dzieci do domu swego, tém mniéj nie oddają się nigdy w zgrzybiałych latach pod straż i opiekę swych dzieci. Starzec umiéra przy samotném ognisku, przy którém przeżył długie lata, od dnia kiedy wstąpił w te progi z młodą towarzyszką wręczywszy jéj klucze i berło domowego zarządu.

Nieporozumienia i skandale małżeńskie nie zdarzają się prawie w Holandyi. Mąż nie wdziera się nigdy w prawa żony, ani też żona w prawa męża. Wszystko tu nieodmienną toczy się koleją oparte na tradycyjnych obyczajach. Brak wyobraźni zabezpiecza domowy spokój stadła. Jeżeli kiedykolwiek która z pań holenderskich zboczyła z drogi powinności, było to chyba w podróży, poza obrębem domowych progów. Cześć domowego ogniska ściśle tu przestrzegana. Jakaż to cisza, jaka słodycz, jaki ład jednostajny, w tych domach spiczastych, powleczonych ciemnym

pokostem, wymytych tak czysto, z białemi u okien storami, zamkniętych zawsze tak szczelnie. Przez gładką szybę dojrzysz tak niekiedy bieluchną jak śnieg głowę i rumianą twarz starca, pochyloną nad doniczkami przepysznych hiacyntów lub gwoździków. Holendrzy hodują kwiaty z namiętném upodobaniem i poświęcają na nie wielkie summy. Ściany domów powleczone ciemną makatą, zawieszone obrazami wielkich mistrzów. W takim to domu mieszka stary kupiec oligarcha, zawistny praw swoich, wierny tradycyjnym obyczajom, niedostępny i dumny. Tam obwarowany chińskim murem od napływu nowych idei, nie lęka się niczego, ani cudzoziemskich przykładów, ani ducha kosmopolityzmu rozprzęgającego dziś stare węzły.

Oprócz téj oligarchii kupieckiéj istnieją jeszcze w Holandyi, szczątki starożytnéj szlachty rodowej od miecza i roli, skupionéj wokoło tronu. Ta szlachta niéma przecież najmniejszéj przewagi w polityce, pochłonęło ją całkiem mieszczaństwo najpotężniejsze z pomiędzy mieszczaństw europejskich.

Określa autor stanowisko monarchy nadzwyczaj zależne w tym kraju niepodległym, w obec uorganizowanego silnie samorządu; przechodzi nakoniec do ludu wieśniaczego.

Stan włościański w Holandyi niepodległy, bogaty, dumny, nie ustępuje stanowi mieszczańskiemu. Praca rolnicza mniéj tu mozolna niż w krajach wydających zboże i wino. Uprawa łąk wymaga szczególniéj drobiazgowego starania i pilnéj czujności, a to są wrodzone Holendrom zalety. Dziwny panuje związek pomiędzy tą ziemią wydartą morzu piędź po piędzi, a niezłomnym i upartym charakterem tutejszych mieszkańców. Te płaskie niziny nie przecięte najmniejszym pagórkiem musiały oddziałać na ich spokojną niezmąconą niczém wyobraźnią. Wieśniak który na kresach widnokręgu widzi tylko kanał ocieniony drzewami, żyje szczęśliwy na łące swojéj z gromadką bydła tak tu wypasłą i chędogą, tak szczęśliwą pod względem materyalnym. Prawdziwy ideał spokojności—mówi autor—przedstawiają nam te liczne stada krów, rozsiane po niezmierzonéj okiem łące. Maść ich biała lub czarna. Leżąc na murawie zielonéj przyglądają się migającym parowozom z równą bezmyślnością jak rumiani i utuczeni piwem ich panowie. Czy to w noc letnią czy podczas mgły jesiennéj, każda krowa pokryta kocem wełnianym. Wązkie rowy któremi łąka przecięta wzdłuż i w poprzecz, służą do drenowania ziemi, a zarazem rozgraniczają własność jednę od drugiéj. Bydlę nie przekroczy nigdy owéj słabéj zapory, jakby miało geniusz kraju swego. Dobrze mu u siebie, nie myśli téż wdzierać się w prawa sąsiada. Gospodarz spokojny o dobytek, ma czas oddać się z żoną innym pracom około sera i domowego porządku. Obory gdzie bydło przebywa tylko zimą, są prawdziwym wzorem czystości. Podłoga w nich wysypana piaskiem odnawianym codziennie, równie jak podścielka ze słomy. W około ścian na półkach porozstawiane naczynia do mléka, niekiedy wytworne i kosztowne. Dom mieszkalny odzna-

cza się nadzwyczajnym ładem i wygodą. Na bieluchnéj podłodze leżą małe kobierczyki pod nogi. Na półkach połyskuje miedź i piękne naczynia ze szkła i porcelany. Bogatsi mają domy o piętrze, górne izby otwierają tylko w ważnych okolicznościach, jak zaręczyny, wesela, chrzciny i t. p., zresztą zawsze zamknięte. Dlatego to aby oszczędzić próżnego wydatku na wschody, potrzeba do nich wdzierać się po drabinie, dosyć zresztą wygodnéj. Tam nagromadzone wszelkiego rodzaju osobliwości: porcelany japońskie i chińskie, dowód że pradziady dzisiejszych rolników zajmowali się głównie żeglugą.

Fermiery holenderscy żyją oddawna w dostatkach, dzięki pracowitości i zamiłowaniu w ładzie domowym, ale bogactwo ich wzmogło się znacznie, odkąd Izby złożone w większości z gospodarzy ziemskich przeprowadziły prawo pozwalające na wywóz bydła, surowo niegdyś zabroniony. Odtąd ubogi mieszczanin nie jada wcale mięsa i pauperyzm wzmógł się widocznie, ale ziemia nabrała wartości odpowiedniéj produktom. Wywożą rok rocznie z Holandyi do 500,000 sztuk bydła, kilogram wołowiny sprzedaje się w miastach po 2 franki 25 centimów. Fermiery których ojcowie zadzierżawili grunta na lat sto, w czasach kiedy wartość ich była nadzwyczaj nizką, ogromne odnoszą dziś korzyści. To też dzierżawca bogatszy tu daleko niż właściciel. Zubożony szlachcic z dawnego rodu opowiadał panu Quesnel, jak fermier zaprosił go raz na wesele.

— Jakiém winem pan hrabia pozwoli sobie służyć?—pytał gościnny gospodarz: burgundzkiém, bordeaux, reńskiém czy hiszpańskiém?

Bogaci wieśniacy wyposażają córki dwoma lub trzema baryłkami złota. Niegdyś składano złoto w maleńkie beczułki okute żelaznemi obrączkami, dziś pozostała tylko tradycyjna ich nazwa: taką beczułkę zastępuje weksel na dom handlowy.

Autor kreśli żywy obraz tych wieśniaków, jak spieszą do miasta wysokim wozem, po grobli ubitéj nad szeroką niziną. Patrzyć na nich —mówi—przychodzą ci na myśl owi Arye (oracze), którzy podbili niegdyś te obszary. Wozy ich takie same jakich używali Germanowie za czasów Tacyta, z tą różnicą że naładowane dziś nie bronią, ale kulami sera. Najobfitsze to źródło dochodu, plon pracy nieocbybny. Patrzmy w dniu targowym na tych włościan, w czystéj bieliźnie, długich kaftanach czarnych, w sabotach białych jak śnieg; każdy ma kieszeń pełną złota. Nie brakło nigdy kupców na ser holenderski.

Dziwnie wyglądają owe saboty pobielane całe białą kredą w kraju tak bardzo błotnistym. Zwyczaj ten świadczy o miłości porządku posuniętéj do najwyższego stopnia.

Mało gdzie w Europie ubiór narodowy przechował się tak wiernie jak u Holendrów. Starożytne godło Statuderów: *utrzymam*, stało się godłem całego narodu. Można je do wszystkiego zastosować. Z ubiorem zachowały się i obyczaje szczególniéj na

północy, gdzie wpływ obcych mniéj na lud oddziaływał. W wielkich miastach jak Amsterdam stare tylko matrony zatrzymały jeszcze strój narodowy; po wsiach za to używany powszechnie. Cudnie wyglądają rumiane lica młodych dziewcząt obok złocistych opasek nasadzanych kamieniami, łączących się harmonijnie ze złotopłowym ich włosem. Wytworny szczególniéj strój głowy u Fryzonek. „Patrzałem z upodobaniem—mówi autor—na te piękne córy północy, kiedy przybywają do miasta z rodziną oparte na ramieniu narzeczonego, po sprawunki na dzień godowy. Błękitne ich oczy pełne głębokiego spokoju, przypominają łagodny wzrok holenderskich jałowic. Zakochana para co chwila zatrzymuje się na ulicy i całuje w obec wszystkich. Nikt jednak nie widzi w tém nic złego. Wieczorem cała rodzina idzie na teatr do loży piérwszego piętra. Wieśniak w takim dniu sypie hojnie pieniędzmi. W teatrze zapijają piwo i całują się znowu."

Śliczny téż obraz dla oka, przedstawia ów lud wieśniaczy, zimą, kiedy po zamarzłem Zuydersee, spada z północnych prowincyi do Amsterdamu, jak stado wodnych ptaków. Dziewczyna pędem strzały, niknie na łyżwach po gładkim lodzie, dotykając ledwie palcem długiéj laski, którą towarzysz trzyma w ręku. Spódniczka jéj szamotana wiatrem, szeleści jak skrzydło Goelanda. Rzekłbyś że to jakieś nadpowietrzne geniusze, ale przypatrzywszy się bliżéj poznajesz młode mleczarki, u każdéj na plecach połyskują dwa naczynia blaszane pełne mleka.

O ile wieśniaczy lud szczęśliwy w Holandyi, o tyle znów upośledzona uboższa miejska ludność. Los służących w tym wolnym i bogatym kraju, prawdziwie opłakany; nigdzie może na świecie nie są tak skąpo płatni i tak nędznie żywieni: kawa bez cukru, chléb czarny, twardy jak kamień, dostarczany raz w tydzień, trochę masła, sér, kartofle: oto całe ich pożywienie. Mięsa nie dostają odkąd podrożało. Nędzny pokarm przy wilgotnym klimacie, budzi skłonność do wielu chorób, mianowicie skorbutycznych, i utrzymuje bezsilność muszkułów, osłoniętą pozorem tuszy. Taka niesprawiedliwość względem sług, wyradza w nich popęd do kradzieży, pani domu nie może wypuścić z rąk kluczy ani na chwilę.

„Jednego wieczoru—mówi autor—byłem na herbacie u znakomitéj rodziny, w domu generała Stadtbonen. On sam przebywał długo we Francyi, znał świat i obyczaje dworskie. Czterech kamerdynerów w czarnych frakach roznosiło filiżanki. Mieliśmy wstać od stołu, kiedy ktoś z nas prosił jeszcze o herbatę. Nieszczęściem cukierniczki były próżne, służba zaś nie miała do rozporządzenia, ani kawałka cukru. Gospodyni dała znak, postawiono przed nią srebrną skrzynkę: wydobyła wtedy z za pasa pęk eleganckich kluczyków, otworzyła skrzynkę, wzięła z niéj garść cukru, zamknęła ją znów i pęk kluczy założyła za pasek. Nikogo to z obecnych nie zdziwiło ani zgorszyło, przeciwnie wszyscy pochwalali ład panujący w zamożnym domu.

„Gdyby nas spytano, dodaje p. Quesnel, o charakterystykę ludu holenderskiego, powiedzielibyśmy że główną jéj cechą jest brak uprzejmości i nadzwyczajna nieufność. Każdy naród ma jakiś rys, który szpeci jego oblicze, nie przeszkadzając ogólnéj piękności. Charakterem Anglików, wygórowana pycha, Francuzów próżność posunięta aż do śmieszności: Holendrzy podejrzliwi jedni przeciwko drugim, nieufni względem monarchy, względem rządu, względem sług, szczególniéj zaś względem cudzoziemców, ciągle się mają na baczności. Ta wada charakteru była dla nich nieraz prawdziwie zbawienną kotwicą. Pod cieniem podejrzliwéj polityki, zachowali oni w Europie niepodległe i przeważne stanowisko. Nieufnością, zasłaniają się dotąd jak tarczą od wpływu nowoczesnéj wolności, opartéj na idei równości społecznéj i na podkopaniu ojcowskiéj władzy. Kosmopolityzm podnosi zapewne duszę; ale drogo kosztuje tych którzy podjęli jego sztandar. Francya przypłaciła próbę: Holender nie stanie się nigdy ofiarą podobnego idealizmu. Niechaj drudzy czynią doświadczenia, on będzie z nich korzystał. Szaleńcy idą naprzód, odbierają też pierwszą chłostę. Dobry zapewne postęp, ale trzeba działać roztropnie. Mniéj chwały a więcéj zysku. Tak rozumuje Holender. I obwarowawszy się chińskim murem samolubstwa, patrzy zdaleka na wysilenia i zawody ludów, goniących za ideałem. Tym sposobem zachował własne obyczaje, podobnie jak starożytne ludy, dzięki systematycznéj niegościnności."

W ciągu lat ostatnich Amsterdam, handlowa stolica Holandyi, nie liczył więcéj nad pięćdziesięciu Francuzów, a i ci byli ciągłym przedmiotem nienawiści ze strony miejscowych robotników. W trzech czy czterech francuzkich sklepach zabrakło kupujących. Zagraniczni goście podróżni, zimniéj jeszcze przyjmowani. Tytuł urzędowy otwiera im salony, lecz nie daje miejsca przy żadném domowém ognisku. Nazwa cudzoziemców, jak niegdyś w starożytnym Rzymie oznacza tu coś niższego, jest jakoby zniewagą i wyrzutem. Niechęć ta od roku 1813, panowała głównie przeciw Francuzom; od dwóch lat rozciągnęła się również i do Niemców, Holender bowiem, dbały o nietykalność kraju, odgradza się murem nienawiści i pogardy, od tych którzy mu zagrażają.

Dziesięć lat temu jeszcze uczono dziatwę patryotycznego katechizmu, ułożonego po klęskach Francyi i wypędzeniu przez Holendrów Ludwika Bonapartego. Katechizm ten miał na celu zohydzić w młodych umysłach imię Francuza.

Oto kilka pytań i odpowiedzi:

— Dlaczego Francuzi zaleli Holandyą w roku 1794?

— Bo umierali z głodu w kraju własnym i szli naprzód, gdzie ich oczy poniosą, szukając chleba.

— W jakim stanie przybyli do nas?

— Zgłodniali i nadzy, nawet bosi.

— Jak odeszli?

— Pouciekali kominami, i t. p.

Od czasu Sadowy, Holendrzy zwrócili ku Niemcom nienawiść jaką żywili tak długo do Francyi. W roku 1866, Von Prinsteres napisał gorącą broszurę, pełną trwogi patryotycznéj. Ostatnie tryumfy niemieckie nad Francuzami, bardziéj jeszcze zbudziły ich podejrzliwość.

To usposobienie umysłu, zrodzone skutkiem jeograficznego położenia, stanowi główne tło charakteru Holendrów. „Widzimy je, mówi autor, w obyczajach i drobnych nawet rysach życia społecznego. Zawarcie się w sobie i niegościnność widoczne tu we wszystkiém, nawet w owych drzwiach domów, o połowę wyższych niż okna, z pogwałceniem praw architektury. W dniach przyjęcia na przykład, gospodarz zapraszając gości, oznacza najprzód godzinę, w któréj wszyscy rozejść się mają; nie dosyć na tém, gdy godzina uderzy, przypomina sam że zabawa skończona. Na hasło jego służący przynoszą płaszcze do salonu. Holender na każdym kroku zdaje się mówić: jestem u siebie, zostań na swojém miejscu, nie zachodź mi w drogę! jam bogaty pan, jam wolny obywatel, należę do najszlachetniejszego, najszczęśliwszego narodu. Holandya to centrum świata! Z takiém usposobieniem naród nie może być przyjemnym, ale przyznać potrzeba, że dzięki temu usposobieniu Holendrzy zachowali niepodległość polityczną, zamknąwszy oczy na zewnętrzną wrzawę, oczy na cudze przykłady, od czasów Ludwika XIV do Napoleona.“

„Pytamy — dodaje słusznie autor — co nastąpi kiedy plebs niderlandzki, dobrowolnie dziś zgięty pod ideą nierówności społecznéj i pod przewagą pieniężną otrzęśnie kiedyś barki? Wiemy jak zacięcie walczył w sprawie reformy religijnéj, dopóki nie pokonał wszelkich przeszkód. Niech tylko idea odnowienia społecznego porwie te zimne umysły, a znajdzie ku posłudze najzaciętszy upór. Chyba że swobody polityczne których Holandya nigdy się nie zrzekła dobrowolnie, nawet w czasach najcięższych klęsk, staną się u niéj prezerwatywą przeciw obłędom ducha rewolucyjnego.“

Podczas gdy to piszemy, dowiadujemy się o zjeździe socyalistów w Hadze. Przewódca ich Marks, jak powszechnie utrzymują dzienniki, odjechał niezadowolony z tradycyjnéj niegościnności holenderskiéj.

W gronie poetów francuzkich, uwieńczonych w roku zeszłym przez akademią, czytamy imię Andrzeja Lemoyne, autora ulotnych poezyj zebranych w jeden mały tomik. Utwory te poetyczne tchną w ogólności wielką prostotą, przypominającą niekiedy pieśni wiejskiego ludu. Przytaczamy dziś w przekładzie dwa maleńkie poemaciki, zaczem damy poznać czytelnikom naszym, uwieńczonego świeżo autora.

STRUMIEŃ I DZIEWCZYNA.

STRUMIEŃ.

Co się tobie dziewczę stało?
Gdzie twój uśmiech pusty;
Czemu ręką tak niedbałą
Pierzesz w wodzie chusty?

DZIEWCZYNA.

Ja strumyku mój kochany
O téj łące marzę,
Gdzie ty pędzisz rozpląsany
Przy twych wód pogwarze!

STRUMIEŃ.

Tam zapewne kędy rosną
Te lipy nad rzeką,
Gdzie słowiczek śpiewa wiosną?

DZIEWCZYNA.

O, nie tak daleko!

STRUMIEŃ.

Pewnie myślisz o jeziorze,
Gdzie pomiędzy trzciną,
Moje prądy gubią łoże
Zaczém znów wypłyną.

DZIEWCZYNA.

Nieco daléj...

STRUMIEŃ.

Gdzie me wody
Kręcą młyńskie koła?
Kędy w gaju rwie jagody
Młynarka wesoła?

DZIEWCZYNA.

Jeszcze daléj... gdzie półkole
Zataczasz murawą,

STRUMIEŃ.

Gdzie kłosiste szumi pole,
Od lasu na prawo?

DZIEWCZYNA.

Co tam słychać? mów strumyku!

STRUMIEŃ.

Wczoraj tam wieczorem,
Dziewcząt zbiegło się bez liku
I chłopców pod borem.
Święto-Jańska noc to była
Ogień buchał w górę,
Jasna łuna czerwieniła
Czarną dymu chmurę.
Oj pląsałyż tam dziewczęta
Przystrojone w wieńce,
Oj pląsaliż tam od święta
Przybrani młodzieńce.
I wesoło na ich tany
Poglądali starzy,
Jeden tylko zadumany
Coś żałośnie marzy.
Dźwięk ligawki go nie nęci
Piosnka mu nie miła;
Znać mu w sercu i pamięci
Smutna myśl utkwiła.
Próżno wiankiem go oplotą
Przecudne dziewoje,
On nie stoi widać o to:
Patrzy w wody moje!

DZIEWCZYNA.

Gdzież to myśli jego płyną?
Kogo czeka młody?

STRUMIEŃ.

Chcesz-li widzieć ją dziewczyno?
Patrz na dno méj wody!

PO BALU.

I.

Wróciła z balu, cóż jéj się stało?
Zkąd te na licu ślady boleści;
Zwiesiła głowę na rękę białą:
Ona skończyła dziś lat trzydzieści.
Ma lat trzydzieści! żałośnie liczy
W dni swoich księdze kartę za kartą,
Jak się dosnuje ten sen zwodniczy?
O tém co przeszło, wspomnieć nie warto!
Gdzież urok?—pyta—w poranku tylko
Odbłyski zorzy cudnie migocą!
Młodość mi zbiegła chwilka za chwilką,
Jak ją przeżyłam—czemu? i poco?
Jedném się kołem bieg dni mych toczy,
Letnie przechadzki... zimowe bale!...
Jesienią w morzu zatapiam oczy,
Lecz ja nie żyłam: nie żyłam wcale!
Gdzież wymarzone miłości czary,
Gdzie snów dziecięcych gwiazdeczka złota?
Wszystko mi pokrył jakiś mrok szary,
A w duszy nuda, żal i tęsknota!
Łańcuch zbyt ciężki okuł mnie biédną,
Niemiłą czarę wychylam do dna;
Dziś, jutro, zawsze jedno i jedno,
A ja żyć pragnę, jam życia głodna!
Po marzeń świecie myśl smutno goni,
A ścieszka moja twarda i pusta;
Złote owoce są na jabłoni...
Gdyby raz do nich przyłożyć usta?
Zaczém zapadnie ta noc głęboka,
Co z lic mych spędzi urok niewieści;
Dobędę iskrę z czarnego oka:
Dziś albo nigdy!... mam lat trzydzieści!

II.

Czemuście, czemu anioły stróże
Od wygasłego zbiegły ogniska?
Zdala nam tylko w modrym lazurze
Łabędzie skrzydło wasze połyska.
Przeciw pokusom kto miecz nam poda?

Kto w walce wesprze duszę zbolałą?
Czemu zadrżała kobieta młoda?
Oczy jéj błysły, lice skraśniało!
Dźwięk jéj uroczy dobiegł do ucha,
Głos-że sumienia nagle zbudzony?
Wyciąga dłonie... patrzy i słucha,
Cudnym dzwoneczkiem brzmią srebrne tony.
Drzwi się rozwarły, dziecinka bosa,
Z cicha po miękkim stąpa kobiercu,
U rzęs jéj świeci łezka jak rosa,
Chce przy matczyném ogrzać się sercu.
Schwyci ją matka—tuli na łono,
Oczy jéj trysły zdrojem łez świętym;
Łkanie rozdziéra pierś rozżaloną,
W głąb duszy własnéj patrzy ze wstrętem.
Łzami oblane dzieciątka włoski,
Po co mu wiedzieć zkąd łzy te płyną?
Snać odgaduje cud jakiś boski,
Bo tuli główkę pod pierś matczyną,
Jak kwiat co latem gdy burza minie,
Krople z pełnego strząsa kielicha.
Matka pochyla skroń ku dziecinie:
„Straszny sen miałam!“ poszepnie z cicha.
Boża już ścieszka wytknięta dla niéj,
Ofiarę spełnić ma do ostatku;
Już przebolała swe Getsemani,
Słabą kobiétę zwalczyła matka!

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Ekonomista, pismo poświęcone ekonomice, statystyce i administracyi. Rok VII. Półrocze piérwsze. 1872 r.

Ekonomista należy do szczupłéj u nas liczby dzienników, poświęconych pewnéj specyalności. Założony w roku 1865, utrzymuje się już rok siódmy, lecz utrzymuje z wysileniem, nie znajdując ani w piszących, ani w publiczności takiego poparcia, któreby, nie mówimy już szerszy rozwój jego możliwym czyniło, lecz któreby przynajmniéj zabezpieczyło jego trwanie.

Przyczyn tego nie w saméj tylko obojętności ogółu na kwestye ekonomiczne szukać należy. Jeżeli te kwestye w chwili zało-

żenia Ekonomisty nie były przedmiotem ogólnego zajęcia, to nie zaprzeczenie stan rzeczy pod tym względem coraz więcéj dąży ku zmianie. Zdawałoby się, że właśnie w czasie obecnym pismo, które za swój zakres obrało, być organem materyalnego rozwoju społeczeństwa, wzbudzićby powinno żywy spółudział ogółu.

Nauki ekonomiczne nie są wprawdzie wyłączną specyalnością Ekonomisty. Zajmuje się on, jak na tytule wyrażono, nie tylko ekonomią i mającą z nią pewną łączność statystyką, lecz nadto i administracyą. Zakres zbyt może obszerny dla pisma, wydawanego w miesięcznych od czterech do pięciu arkuszy druku obejmujących zeszytach.

Lecz administracya w całym ciągu tego pisma podrzędne tylko zajmowała miejsce. W półroczu, którego rozbiór przedstawić zamierzamy, jest traktujących o administracyi artykułów dwa. Oba są tego rodzaju, że na ich zniknięciu z łamów Ekonomisty wartość i poczytność tego pisma nie wieleby straciły. Artykuł o składzie reprezentacyi sejmowéj w niektórych państwach europejskich, tłumaczony z niemieckiego, jest suchém zestawieniem szczegółów, właściwszém może dla jakiego almanachu niż dla czasopisma, które tylko pod gwiazdą przewodnią żywéj idei zajęcie wzbudzić jest w stanie. Druga znacznie obszerniejsza rozprawa o gminie, jéj organizacyi i stosunku do państwa, przynosi dowód oczytania się jéj autora w téj gałęzi literatury administracyjnéj. Lecz znajomość książek o pewnym przedmiocie wydanych nie jest jeszcze znajomością przedmiotu. Téj ostatniéj autor nie nabył; rozprawa jego, pomimo niejakich pozorów samoistności, jest ciężką kompilacyą, z któréj zaczerpnąć można massę ogólnych, nie zawsze dokładnych wiadomości, lecz która nie posłuży nikomu za podstawę gruntownego poznania przedmiotu.

Pominąwszy w rozbiorze Ekonomisty dział administracyi, który, jeśli ma być tak słabo i niedostatecznie jak dotąd traktowany, możeby lepiéj na przyszłość z kolumn tego pisma zupełnie usunąć, pozostają jako stanowiące istotną treść pisma, działy ekonomii i statystyki.

W tym kierunku Ekonomista nie jest bez zasługi.

Piérwszém jego zadaniem z natury przedsięwzięcia wynikającém było: stać się, w wytkniętym zakresie, organem jawności, zaznajamiać publiczność z tém co zaszło lub zachodzi w sferze stosunków ekonomicznych, zwłaszcza krajowych. Jeżeli temu zadaniu Ekonomista w pełnéj mierze nie sprostał, jeżeli słaby zaledwie obraz rozwoju ekonomicznego kraju roztoczyć przed nami zdołał; nie można mu czynić ztąd zarzutu, że źródła jawności skąpo dla niego płyną: należy mu się raczéj uznanie za to co zdołał zebrać i do wiadomości podać, uznanie którego nikt mu nie odmówi, kto z trudnościami na téj drodze spotykanemi jest obznajmiony.

W kronice ekonomicznéj krajowéj, czytamy budżet państwa; uwagi nad nim (tłumaczone), ustawy nowo powstających spółek, ich sprawozdania, ważniejsze rozporządzenia rządowe, sfery ekono-

micznéj dotyczące, ogólne rezultaty urządzenia włościan i mieszkańców miast, niektóre cyfry statystyczne i t. d. Wszystko to bardzo niewystarczające, ale powiedzieć tylko możemy: dzięki i za to!

Lecz obok udzielania wiadomości ekonomicznych, dla rozbieranego czasopisma przedstawia się inne zadanie. Winno ono nie tylko fakta ujawniać, ale także winno te fakta oceniać; być jeśli nie sterownikiem opinii, to przynajmniéj jakąś skazówką dla niéj, zasłużyć sobie na zaufanie, dla zdania swojego zjednać powagę.

Takiego stanowiska Ekonomista nie zajął, takiéj powagi, najżyczliwsi jego zwolennicy temu nie zaprzeczą, pismo rzeczone nie używa. Czyż może być inaczéj, kiedy w kolumnach Ekonomisty pojawiają się takie niepojęte dla nas, z uwagi na niezaprzeczone ukształcenie redaktora, wyskoki, jak np. polemika Redakcyi Ekonomisty z Gazetą Handlową?

W numerze styczniowym swego pisma, Ekonomista powstał na nowe jakoby zwyczaje świéżo powstałych banków publicznych warszawskich: „nieznane dotąd, o ile nam wiadomo"—mówi Ekonomista str. 54—„w żadnym kraju cieszącym się zdrowym rozwojem systematu kredytowego i finansowéj działalności". Nowość wprowadzona przez banki zganione, polegać miała na tém, że banki warszawskie skupują weksle i dają zaliczenia na zastaw papierów publicznych po cenach równoczasowo nie jednostajnych, lecz zależnych od uznania banków, i że o tém uprzedzają publiczność, ogłaszając minimum i maximum ustanowionéj na czas pewien stopy kredytowéj, którą np. dla skupu weksli ustanowiły podówczas od 6 do 8 od sta.

Ten artykuł Ekonomisty wywołał odpowiedź Gazety Handlowéj w Warszawie wychodzącéj (Nr. 49); na co Ekonomista odpisał w zeszycie swoim na miesiąc marzec (str. 213—216) i raz jeszcze wrócił do tego przedmiotu, rozbierając sprawozdanie Banku handlowego za rok 1871 (maj, str. 376).

Kiedy tak nasz Ekonomista unosił się zgrozą nad zdrożném nowatorstwem banków warszawskich, jednocześnie, bo w styczniowym numerze r. b. jeden z najpoważniejszych organów dziennikarstwa angielskiego, *Quarterly Review*, rozbierał stosunki Banku Angielskiego. Dało do tego powód podwyższenie stopy skupu w tym Banku w październiku 1871 do 5%, podwyższenie które w tym stosunku od przesilenia w r. 1866 po raz pierwszy wydarzone, kazało się obawiać nowego wstrząśnienia kredytowego, do czego jednak nie przyszło. Artykuł kwartalnika angielskiego stawia dwa główne wnioski: żąda zniesienia podziału Banku Angielskiego na dwa oddziały, zaprowadzone jak wiadomo prawodawstwem Roberta Peela; żąda nadto, aby Bank zaprzestał ogłaszać stopę skupu wekslowego, gdy stopa przez Bank w ogłoszeniach oznaczona, stanowi tylko minimum ceny skupu w Banku praktykowanéj, ale nie przeszkadza temu, że Bank równocześnie eskontuje po wyższéj stopie, o ile to uznaje właściwém.

Widzimy ztąd, że praktyka banków warszawskich nie jest tak odmienną od praktyki banku angielskiego, jak to mniemał Ekonomista. Różnica polega nie na tém, że stopa skupu nie jest dla wszystkich jednostajna, bo to i w Banku Angielskim ma miejsce— ale na tém, że Bank Angielski ogłasza tylko minimum stopy po któréj eskontować zamierza, kiedy nasze banki działając jawnie i otwarcie, ogłaszają i minimum i maximum swojéj jednoczesnéj stopy kredytowéj.

Pomylił się więc Ekonomista co do faktu; wziął za stałą i jednostajną stopę skupu, cyfrę oznaczającą tylko minimum téj stopy; lecz gorzéj jeszcze myli się, w przywiedzionych artykułach, w swojém zapatrywaniu się na cały systemat bankowy. Dla Ekonomisty banki akcyjne są pewnym rodzajem Lombardów, które udzielając pożyczki, biorą na uwagę tylko wartość zastawu materyalnego. Nie może być nic błędniejszego nad takie zapatrywanie się na sprawy bankowe. Wszyscy co dotąd o bankach pisali, każą bankom tak prywatnym jak akcyjnym, zwracać przy skupie wexlów uwagę nie tylko na odpowiedzialność osób na wexlu podpisanych, ale także i na rodzaj interesów z których wexle wynikły; każą mieć baczność nie tylko na wartość zastawu, ale na cały stan majątkowy tego, który zastaw przedstawia, bo dla banku nie jest pożądaném, aby musiał przystąpić do sprzedaży zastawu. Zastaw dla banku jest tylko dodatkowém zabezpieczeniem udzielonego przezeń kredytu, ale przy udzielaniu kredytu bank zawsze główną uwagę zwracać winien na obrót interesów swoich klientów.

Każdy kto zada sobie pracę odczytać chociażby Courcelle-Seneuil'a (*Traité des opérations de Banque*, wydanie drugie str. 371—378,) przekona się, że takie a nie inne są zasady przyjęte w całym świecie bankowym. Wie o nich niezawodnie Ekonomista, nie powinien więc ulegając chwilowym zapędom stawać w sprzeczności z zasadami nauki, któréj u nas ma być przedstawicielem.

Z wielu względów które niepodobna nam w niniejszym artykule rozwijać, musimy się też zastrzedz, przeciw rozbiorowi działalności Towarzystwa Warszawskiego Ubezpieczeń od ognia po koniec 1871 r. (Ekonomista, maj str. 377—382). Jest to rozbiór w wysokim stopniu nieżyczliwy. Ekonomista obstaje za wzajemnością w ubezpieczeniach, dając, zdaniem mojem, błędnie, Towarzystwom ubezpieczenia na téj zasadzie opartym wyższość nad Towarzystwami premiowemi. W rozbiorze działalności tych ostatnich powinien przecież zachować bezstronność, któréj w artykule jego majowym nie znaleźliśmy.

W ogóle, w uwagach Ekonomisty nad stanem naszych spółek ekonomicznych przebija się brak praktycznéj znajomości interesów, a jego wiedza teoretyczna nie jest ani dość obszerna, ani dość pewna, iżby brak ten, zawsze dotkliwy, zastąpić mogła.

Od artykułów praktycznego zakresu przechodząc do strony więcéj teoretycznéj, z przyjemnością zaznaczamy w dziale statystyki artykuł P. Jełowickiego pod napisem: Süssmilch i Quetelet w obec

statystyki, jako nauki indukcyjno-spostrzegawczéj (zeszyty za kwiecień i czerwiec): Jest to jasna i gruntowna praca, dająca dobre wyobrażenie o przedmiocie. Jéj autor z którego nazwiskiem na kartach dziennika pierwszy raz nam się spotkać przychodzi, zapowiada odznaczającego się na polu przez siebie obraném pracownika, jakich jak najwięcéj Ekonomiscie życzymy.

Recenzya dziełka D-ra Pilat, wydanego we Lwowie w roku 1871: O metodach zbierania dat do statystyki żniw (Ekonomista, marzec, str. 182—186) przez P. Załęskiego, dała powód Drowi Pilat do odpowiedzi (czerwiec str. 428—438) prawie trzy razy dłuższéj od pisma, na które odpowiada. Nie umiemy jeszcze znosić spokojnie publicznego sądu, który sami przecież, występując publicznie, o sobie wywołujemy. Każdy autor uważający się za pokrzywdzonego wygłoszonym o nim sądem, zamiast pozostawić rzecz na zdanie czytelników, występuje z odpowiedzią rozpoczynając ją zawsze na jeden sposób, to jest, uroczystém oświadczeniem, że polemikę uważa za bezowocną, za jałową, ale że w danym razie zachodzą szczególne powody, dla których wbrew swojéj najszczerszéj chęci, swojemu recenzentowi odpowiedzieć uważa za konieczne. Tak samo zaczyna i P. Pilat, który jak z jego odpowiedzi widać jest ukształconym i zdolnym statystykiem. Chętnie przyznałbym mu słuszność, ale dla czegoż pozbawia czytelników przyjemności ofiarowania mu palmy zwycięzkiéj, z własnego popędu?

Z obszernéj pracy p. Załęskiego: Rys statystyki porównawczéj m. Warszawy, rozpoczętéj w Ekonomiście za r. 1871, dalszy ciąg i dokończenie części pierwszéj, obejmującéj statystykę zabudowań i ludności, mieszczą się w trzech pierwszych zeszytach roku bieżącego. Praca p. Załęskiego w swéj całości usuwa się z pod naszego oceniania. Możemy tylko uznać pracowitość autora i wraz z nim żałować, że dane na których się opiéra, choć ze źródeł czerpane, nie zawsze są tak dokładne, iżby prawidłowość ich statystycznych elementów, ustanowić się dała. Mniemam także, że szacowna praca p. Załęskiego większy przyniosłaby pożytek, gdyby w niektórych punktach autor bliżéj objaśnił czytelnikom rzeczywiste znaczenie podanych przez siebie cyfr, bez czego te do mylnych wniosków doprowadzić ich mogą. Tak np. w tablicy 10 (listopad 1871 str. 648) podaje p. Załęski cyfry, odnoszące się do ruchu budowlanego w Warszawie za lata 1855—1867. Dla wyrozumienia tych cyfr wypadało objaśnić, że w Warszawie domy murowane piętrowe, według przepisów policyi budowlanéj, wykończają się w następnym roku po rozpoczęciu ich budowy. U p. Załęskiego rok 1866 przedstawia najwyższą cyfrę nowowystawionych domów murowanych frontowych (107). Mógłby kto ztąd wnosić, że w roku tym ruch budowlany doszedł w Warszawie do swego maximum; tymczasem maximum rzeczywiste przypada na rok 1865, a w roku 1866, po większéj części wykończano tylko rozpoczęte w roku poprzednim budowle. Ruch budowlany warszawski, ile z własnéj obserwacyi dostrzedz mogliśmy, dość mały od roku 1831 do końca 1854, wzmo-

cnił się w roku 1855 i trwał przez lat jedenaście do końca 1865 roku, w którym doszedł swego maximum. Dwa lata dalsze 1866 i 1867 okazały znaczne jego osłabienie, cztery następne 1868—71 prawie zupełny upadek. Ruch budowlany ożywił się nieco w Warszawie dopiéro w roku bieżącym, czego skazówka jest podwyższona cena a czasem i brak materyałów budowlanych.

Widzimy na tym przykładzie do jak niepewnych, a czasem mylnych wniosków doprowadzić mogą cyfry chociaż dokładne, ale w pewnym szczegółowym celu zbierane. Ażeby ocenić ruch budowlany miasta, pewniejszą może skazówką niż ilość wystawionych domów, bardzo różnych co do swoich rozmiarów, byłaby ilość użytéj do budowy cegły.

Do statystyki w części należy także artykuł P. Fudakowskiego o produkcyi żelaza w byłych skarbowych zakładach w dolinie rzeki Kamionnéj, rozpoczęty w ostatnim zeszycie rozbieranego przez nas półrocza Ekonomisty, a dokończony w zeszycie następnym. P. Fudakowski zwiedził osobiście zakłady, o których pisze w roku 1859. Jego artykuł jest na sprawdzonych przez niego faktach oparty, napisany jędrnie i logicznie. O technicznéj stronie przedmiotu sąd należy do znawców.

Praca P. Fudakowskiego stanowi przejście od statystyki do nauki ekonomii, która nadając tytuł dziennikowi, na tym zaszczycie w pierwszém półroczu r. b. po większéj części poprzestać musiała. Oprócz paru artykułów mniejszego znaczenia i rozmiaru, zaznaczamy jako należące do tego działu, w przeglądzie bibliograficznym ocenienie studyów nad podatkiem dochodowym p. Bilińskiego przez J. B. Oczapowskiego (styczeń i maj) i artykuł p. Józefa Kirszrot p. t: kredyt rolniczy ze stanowiska prawa obowiązującego (styczeń).

Czytelnicy Biblioteki nie żądają zapewne odemnie, iżbym na podstawie polecającego listu Dra. Oczapowskiego, przedstawiał im po raz wtóry dzieło, z którem już w roku zeszłym poznajomić ich miałem sposobność. Trzymając się zasady: non bis in idem, zastanowię się bliżéj tylko nad rozprawą p. Kirszrota; wprzód jednak muszę załatwić się z redakcyą Ekonomisty, co do całości działu ekonomicznego w tém piśmie.

Nie jest wygórowanem żądanie, iżby redakcya pisma specyalnego powiadomiała swoich czytelników o ruchu umysłowym i literackim, jaki się w zakresie przez nią obranym pojawia nie tylko u nas, gdzie często ruchu niema żadnego, ale i za granicą. Obowiązek ten ciąży redakcyą zwłaszcza w chwilach kiedy nowa jaka dążność w danéj nauce przełom sobie czyni; kiedy dążność taka znajduje nie już pojedynczych zwolenników, ale całe grono przedstawicieli, czynnych i ruchliwych, którzy pismami licznemi i nieraz znacznego rozgłosu wpływ swój rozszerzyć usiłują. Taka właśnie chwila nadeszła dla nauki ekonomii w Niemczech, gdzie grono młodych pracowników wypowiedziało wojnę szkole wolno-handlowéj, a w części i całemu kierunkowi ekonomii politycznéj od czasów

Adama Smitha. Nowa szkoła przemawia za więcéj niż dotąd natężoną działalnością rządów na polu stosunków ekonomicznych, za co jéj zwolennicy od przeciwników uzyskali przezwisko katedrowych socyalistów (Catheder Socialisten).

Pisma czasowe polityczne zwróciły na ten kierunek naukowy swoją uwagę. Gazeta Augsburska (*Allgemeine Zeitung*) zamieściła cały szereg artykułów (od 2 kwietnia r. b.) pod napisem: *Die Krisis der deutschen Volkswirthschaftslehre.* U nas nawet, jedno z pism codziennych (Gazeta Warszawska) w miesiącu wrześniu poświęciła temu przedmiotowi dość obszerną wzmiankę. W październiku przyszło do zebrania zwolenników nowéj szkoły na kongresie, odbytym w Eisenach, w którym przyjęli udział i ludzie uznanéj powagi naukowéj, jak Roscher, Gneist i Engel.

Cóż o tym ruchu na polu ekonomii czytelnikom swoim donosi nasz Ekonomista? Ekonomista, pismo specyalne, milczy czy drzemie. Szanujmy ten spoczynek! Nie sądząc iżby słowa moje zakłócić go mogły, pozwolę sobie wyliczyć w porządku abecadłowym niektóre prace zwolenników nowéj szkoły i inne pokrewnego im dążenia. Może po wypoczynku, pokrzepiony na siłach Ekonomista uwzględnić je zechce.

1. Brentano. *Die Arbeitsgilden der Gegenwart. Die englischen Gewerbvereine.* Dwa tomy Lipsk. Duncker i Humblot, 1871 roku.
2. Cohn. *Zeitgeschaefte und Differenzgeschaefte.* Jena Maucke.
3. Held. *Die laendlichen Darlehenskassen in der Rhein Provinz.*
4. Plener: *Die englische Fabrikgesetzgebung.* Wiedeń 1871 rok.
5. Rodbertus-Jagetzow. *Zur Erklärung und Abhilfe der heutigen Kreditnoth des Grundbesitzes.* Jena. Maucke. Dwa tomy 1869 rok.
6. Schäffle. *Capitalismus und Socialismus.* Tibinga. 1870.
7. Schecl. *Die Theorie der socialen Frage.* Jena 1871 r.
8. Schmoller. *Zur Geschichte der deutschen Kleingewerbe.* Halla 1870 rok.
9. Schönberg. *Zur wirthschaftlichen Bedeutung des deutschen Zunftwesens im Mittelalter.* Berlin 1868 rok.
10. Tenże. *Arbeitsaemter. Eine Aufgabe des deutschen Reichs.* Berlin 1871 rok.
11. Wagner (Adolph) *Rede ueber die sociale Frage.* Berlin 1872 rok.
12. *Zur Geschichte der englischen Arbeiterbewegung im Jahre 1871.* Lipsk 1872 rok.

Na zakończenie kilka słów o p. Kirszrocie. Treść jego artykułu jest następująca:

Pan Kirszrot twierdzi, że rolnictwo w kraju naszym jako liczące najwięcéj pracowników i najwięcéj wytwarzające, znaleźć powinno w instytucyach kredytowych silniejszą pomoc niż inne gałę-

zie pracy; że nasze instytucye kredytowe najmniéj rolnictwo uwzględniają;

Że w ostatnich czasach starano się wprawdzie temu zaradzić, lecz chcąc rozszerzyć kredyt rolniczy, zwrócono więcéj uwagę na osoby niż na rzeczy, stosując do rolników prawo handlowe i przymus osobisty;

Że od tych środków wpływu na zwiększenie kredytu rolniczego oczekiwać nie można;

Że kredyt rolniczy winien głównie zwracać uwagę nie na osobę, lecz na rzecz, to jest na zastaw;

Że wprawdzie ziemia jest już powszechnie pożyczkami Towarzystwa Kredytowego obciążona, że jednak pozostają jako podstawa kredytu rolniczego znakomite wartości ruchome, które w całości oddane przez rolnictwo w zastaw byćby mogły. Jako takie wartości p. Kirszrot wskazuje, inwentarz żywy i martwy, zboże na pniu, cięcia w lasach i t. p.;

Że zastosowaniu kredytu do tych wartości stają na przeszkodzie przepisy naszego prawodawstwa, uznające za nieodłączne od nieruchomości wiele przedmiotów z natury swojéj ruchomych, niedopuszczające zastawu bez oddania takowego w obce ręce, co w rolnictwie często jest niemożliwem; żądające wreszcie dla zastawu aktów notaryalnych zbyt kosztownych i tamujących szybki obrót działań kredytowych.

Z tych względów autor projektuje odpowiednie wyłożonym przez siebie widokom zmiany w naszem prawodawstwie.

Nie na wszystkie zdania pana Kirszrota zgodzić się możemy. Uznając słuszność niektórych jego uwag, w ogóle nie podzielamy jego poglądu.

W nowszych czasach wiele łożono usiłowań dla rozwinięcia kredytu rolniczego; dlaczegóż jednak te usiłowania nie sprawiły, iżby kredyt rolniczy stanął na równi z kredytem jakiego używają przemysł i handel? Prąd kredytowy ogarnia wszystkie inne ogniwa produkcyi społecznéj; dlaczegóż w swoim przebiegu przerywa się przy produkcyi rolnéj?

Tę kwestyą objaśniają nam poznane już prawa innych prądów w naturze istniejących.

Prądy do swego przebiegu potrzebują dobrych przewodników, to jest takich, któreby prąd nie tylko przyjmowały, ale i oddawały.

Takim przewodnikiem dla prądu kredytowego rolnictwo dotąd nie było. Rolnictwo potrzebuje kredytu, dopomina się o niego, lecz pochłaniając go w znacznych massach, nie udziela go daléj.

Wynika to z przyjętego trybu nie tyle produkcyi rolnéj, ile obrotu płodów téj produkcyi.

Fabrykant i kupiec potrzebują i używają kredytu. Ale fabrykant i kupiec czyniąc w znacznéj części swoje zakupy na kredyt, odpowiednio temu sprzedają téż w znacznéj części swój wyrób lub towar na kredyt. Rolnik sprzedaje prawie wyłącznie tylko na gotowiznę. Normalny obrót jego interesów nie wytwarza żadnych pa-

piérów kredytowych, których skup przyzna to zapewne p. Kirszrot, pożądańszym jest dla instytucyi kredytowych przedmiotem operacyi, niż zabezpieczenie na bydle i zbożu na pniu.

Ażeby rolnictwo zajęło miejsce w systemacie kredytowym na równi z przemysłem i handlem, na to potrzeba zmienić sposób przedaży jego płodów. Dopóki rolnictwo przedawać będzie swoje płody tylko na gotowiznę, samo wyłącza się od ogólnego ruchu kredytowego. Żadne prawodawcze środki nie zaradzą temu, co wynika z natury rzeczy.

W nowszych czasach rolnictwo nasze, lubo powoli i częściowo, zaczęło wchodzić do ogólnego systematu kredytowego. Rolnicy powierzają już czasem swoje płody w obce ręce dla komissowéj sprzedaży. Nawzajem domy komissowe zaczęły udzielać im kredytu.

Zaczęto za kontraktami uprawiać buraki, które dopiéro po ukończoném ich odstawieniu, a w części późniéj nawet płacone bywają, bezpośrednio zaś są oddawane na kredyt; poszły za tém zaliczenia na buraki, udzielane rolnictwu przez cukrownie, zaliczenia znaczne, bo dochodzące jak mi wiadomo piętnastu rubli na morg dwustopręt owy, czyli 675 rubli na włókę. Jest to więcéj niż przed niedawnym czasem wynosiła przecięciowa wartość włóki w Królestwie, więcéj niż dziś jeszcze pożycza na włókę Towarzystwo Kredytowe.

Skup i zaliczenia są podstawami dzisiejszego systematu kredytowego, w którym czysta pożyczka podrzędną tylko gra rolę. P. Kirszrot mówiąc o kredycie, ma na względzie głównie tylko pożyczki.

Zgadzam się z nim na to, co mówi o zastosowaniu procedury handlowéj i przymusu osobistego do kredytu rolniczego; lecz czyż p. Kirszrot, który nie spodziewa się od tych środków wpływu na zwiększenie kredytu rolniczego, jest z sobą w zgodzie, kiedy ten kredyt oddaje pod opiekę kary kryminalnéj za sprzedaż i usunięcie zastawu (str. 10)? Z dwojga złego lepsze już więzienie cywilne niż karne.

Propozycye p. Kirszrota uznania za ruchomość tego, co prawo unieruchomiło, zmiany przepisów o zastawie, mogłyby w pewnéj ale dość ograniczonéj mierze zasłużyć na uwzględnienie. Nie należy zapominać ani o prawach dzisiejszych wierzycieli hypotecznych, ani o ciosie jakimby kredyt hypoteczny dotknięty został, gdybyśmy za przedmiot jego gołą tylko ziemię i co najwięcéj ściany i dachy budynków uznać chcieli. Przytem w prawodawstwie zaciéra się coraz więcéj różnica między nieruchomością i ruchomością, różnica tak jeszcze wybitna w kodeksie Napoleona. Wszystko to wskazuje na inną drogę niż zalecana przez autora artykułu, który kładąc nacisk na zabezpieczenie rzeczowe, na zastaw ruchomy, usuwając na drugi plan wzgląd właściwie kredytowy, nie poszedł w ślad za obecnym rozwojem systematu kredytowego.

F. Z.

Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Wydanie zupełne, poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopismów staraniem J. I. Kraszewskiego. (Z wizerunkiem i życiorysem poety). Tom I poezye oryginalne i naśladowania. Poznań. Drukiem J. I. Kraszewskiego. (Dr. W Łebiński) 1872 r. (w 8-ce str. VII, 400).

Pięćdziesiąty siódmy rok się skończył, kiedy w *Pamiętniku Warszawskim*, pod redakcyą F. Bentkowskiego 1815 r. po raz piérwszy ukazała się skromna cyfra *K. Br.* pod bajeczką p. n. *Koguty*, i w tymże roku wiersz liryczny: *Żal matki* (1). Były to piérwsze utwory poetyczne Kazimierza Brodzińskiego, z któremi wystąpił publicznie, a był wtedy professorem literatury polskiéj w wyższych klassach Szkoły wojewódzkiéj księży Pijarów na *Długiéj ulicy* w Warszawie. Odtąd stałym będąc współpracownikiem tego pisma, w niém drukował tak oryginalne poezye jak tłumaczone z Ossyana, z Szyllera, z pieśni słowiańskich i litewskich. Tu okazał się pod napisem *powieści*, *Wiesław*, późniéj przez samego poetę nazwany *Sielanką krakowską*; tu ów rzewny a pełen smutku wiersz: *Żal za językiem polskim*, gdy francuzczyzna w domowém wychowaniu macierzystą wypędzała mowę od ognisk rodzinnych.

W siedem lat późniéj wydał w roku 1821 we dwóch tomikach zbiór poetycznych utworów, którym dał tytuł *Pisma* i ten napis J. I. Kraszewski w nowém wydaniu zachował. W roku 1830 zaczął drukować swoje rozprawy estetyczne, jak zarazem krytyczne rozbiory dawnych pisarzy polskich, ale po wydaniu piérwszego tomu, dalszego wydawnictwa zaniechał. Przez pięć lat ostatnich życia pracował ciągle, objąwszy główną redakcyę „*Magazynu powszechnego*“ i wtedy to napisał wiersz:

DO MEGO STOLIKA.

„Gdy rolników z pługami wywołuje zorze,
Ja zielony stoliku, ja przy tobie orzę.
Tyś mi jeden dziedzictwo: staniesz mi za niwę,
Gdzie dziatkom chleb obmyślam, lub imie poczciwe:

(1) Najpierwsze utwory poetyczne Kazimierza Brodzińskiego, jako piętnastoletniego młodzieńca, mamy już drukowane w roku 1807. Brat jego starszy Andrzéj (tłumacz *Dziewicy Orleańskiéj* Szyllera, w którego przekładzie przedstawiano ten dramat na teatrze warszawskim) wydał w pomienionym roku: „*Zabawki wierszem.*“ (Kraków 1807 w drukarni Jana Maja. W 8-ce str. 178). W nich znajdujemy nagrobki, wierszyk i bajkę, pióra Kazimierza. W dodanym przypisku jakby w wieszczem przeczuciu

Tydzień cały najemnik, ale w dzień świąteczny,
W wieczność myślą się puszczam, nad ten czas konieczny!
Tu dworskiéj chorągiewki wyśmiewam odmieńce,
Niestałe możnych berła i klassyków wieńce,
A w przyspieszonym świata zmiennego obrocie,
Cichéj prawdzie hołduję i staréj prostocie."

Mozolną była nadzwyczaj ta redakcya co tydzień wychodzącego pisma, które wypełniać musiał własnemi pracami i utrzymywać korrektę bezpłatnie, odrywającą go od właściwego jego powołania. Sam też o niéj w liście do Łukasza Gołębiowskiego przyjaciela swego pisze:

„Różne moje projekta oddalenia się z Warszawy spełzły na niczém. Mam teraz zajęcie mało odpowiednie moim ulubionym pracom, kosztujące wiele zmudy i czasu, ale tak je uważam jak wy ziemianie wasze pistoryusze, które choć śmierdzą, przecież więcéj przynoszą niż wonne ogrody. Podjąłem się redakcyi *Magazynu powszechnego:* przedsiebierca dobrze na nim wychodzi, a mnie płaci od arkusza po cenie umówionéj i to mię stawia w możności zostania w Warszawie. Radbym zacny przyjacielu, żebyś widział mniemanego śpiewaka, jak on się po całych dniach mozoli nad artykułami o mechanice, o kuglarzach, o zoologii, jak was rolników naucza znać się szczegółowo na kukurydzy, na *głowni* w pszenicy, jak opisuje skład wozów parowych, uczy obchodzić się z zegarkami, jak nawet pisze o astronomii. Uzbroiłem się w cierpliwość i mówię sobie: „to moja dzierżawka." Tak pisał na początku 1835 r., który był ostatnim jego życia. Licha to była dzierżawka, bo po obliczeniu rocznem wynosiła zaledwie 3,000 złp. ówczesnych, chociaż wydawca liczył z górą 3,000 prenumeratorów. Rękopisma *prelekcyi* na uniwersytecie miewanych, leżały już pyłem okryte, z nowych utworów mało co przybywało. Do ostatnich prac Brodzińskiego przed ostatnim wyjazdem za granicę należą dwie rozprawy: „*O czci Boga-rodzicy*" i „*O szlachcie polskiéj.*"

Złamany fizycznie, bolejący duszą, osmutniał wiele i te dwa cierpienia wybijały na jego obliczu i w zamgloném spojrzeniu. Opuścił Warszawę dla ratowania zdrowia i znalazł grób na obcéj ziemi.

W tym czasie rękopisma Brodzińskiego dziwne spotykały koleje: z rąk do rąk przechodząc, wreszcie zniknęły bez śladu. Żądania równocześnie zupełnego wydania pism zgasłego poety, z każdym rokiem wzrastały: dawni jego uczniowie, teraz składający poważne grono obywateli i urzędników, podnosili je nieustannie, bo w druku

mówi o nim: „Brat mój zawsze pamiętać musi, że to przecież ja, zasłałem pierwszy tę niwę, na któréj może dla niego laury zakwitną." Opiekując się bowiem Kazimierzem, on go zachęcał do pióra, pracy umysłowéj i zaszczepił w nim to gorące zamiłowanie do literatury, które przechował do ostatniéj chwili życia.

istniały tylko dwa tomiki z 1821 r. poezyi i jeden tom prozy z 1830 roku.

Księgarz i nakładca wileński Teofil Glücksberg podjął się tego wydawnictwa, a D. C. Chodźko przyjął jego redakcyą. Od roku 1842 do 1844 wydrukował dziesięć tomików p. n. „*Dzieła Kazimierza Brodzińskiego, wydanie zupełne i pomnożone pismami dotąd drukiem nieogłoszonemi.*“

Pomimo wygórowanéj ceny chwytano je skwapliwie, ale jakżeż smutne rozczarowanie nastąpiło. Zamiast mieć *wydanie zupełne*, ujrzano z największą niedbałością przedruki tak poezyi, jak i prozy, z pomienionych wyżéj edycyi które sam Brodziński drukował i to co ogłosił w *Pamiętniku Warszawskim*. Nie pomieszczono tu ani jednéj prelekcyi, a w utworach poetycznych które umiano napamięć, znaleziono błędy grube, opuszczenia i poprzekręcane ustępy.

Wydawca dobry zrobił interes i na tak lichém wydaniu, nie miał zresztą innego celu.

Ale był w gronie naszém mąż, któremu piśmiennictwo nasze wiele zawdzięcza, osobisty przyjaciel i wielbiciel Brodzińskiego, któremu leżało na sercu to zapomnienie znakomitego pisarza. Wziął więc sobie za cel ostatnich lat życia, odszukania rękopismów jego zatraconych i przygotowania *prawdziwie zupełnego* wydania wszystkich pism Brodzińskiego.

Zabrał się do spełnienia tego zamiaru z niezwykłą energią; zacny starzec, rzeźwiał radością gdy nową jaką pozyskał zdobycz, a z jakiémże ożywieniem, z jakąż pociechą opowiadał nam, że po długich staraniach wreszcie odnalazł wszystkie własnoręczne rękopisma Brodzińskiego. Ale w jakimże nieładzie: rzucane w kufer bezładnie, poszarpane, stanowiły stos papierów w którym ani jeden utwór w całości nie pozostał.

F. S. Dmochowski niezrażony niczém, zabrał się do ich uporządkowania z benedyktyńską cierpliwością. Na szczęście znalazł pomoc nie małą w niesłychanéj swéj pamięci, która była jego osobliwym darem. Znał każdą prelekcyę Brodzińskiego i za odczytaniem wstępu lub urywku, przypominał sobie całość. Stosunki z poetą blizkie ułatwiały to zadanie. Po dwóch latach już ład w nich ustalił, porównał z wydrukowanemi i przygotował do wydania. Pomimo to, umiejętnéj i troskliwéj potrzeba było ręki i pracy, ażeby zebrany już materyał oddać pod prassę drukarską. Podjął się tego J. I. Kraszewski.

F. S. Dmochowski napisał życiorys Brodzińskiego, który ogłosiło nasze pismo.

„Przesłał on nam (mówi we wstępie J. I. Kraszewski) tę biografią przy liście swym 15 kwietnia 1871 r. wskazując co uczynił, a coby jeszcze należało zrobić dla wydania lepszego pism Brodzińskiego, odpowiedniejszego zasłudze pisarza a wymaganiom ogółu. Notę tę dopełnioną, przygotowawczy materyał zebrany przez ś. p. Dmochowskiego, mamy teraz przed sobą. Oprócz tego bardzo cen-

ny egzemplarz z dopiskami i uzupełnieniami p. Leonarda Wasiutyńskiego, wielką nam też był pomocą. Dwa te materyały, dołączywszy do nich piérwsze wydania, pisma peryodyczne i osobne odbicia, cały nasz zasób do nowéj edycyi stanowią. Uporządkowanie tych dzieł samo już nie małą przedstawia trudność. Systematycznie je rozdzielić prawie niepodobna, gdyż częstokroć przyszłoby rozłączać, co się wzajem objaśnia i razem iść powinno; chronologicznie téż szczególniéj poezyj ułożyć nie można, bo nie wszystkie noszą pewną datę i cechę pochodzenia. Szczęśliwsi wydawcy poezyi Schillera mogli je na peryody tworzenia rozdzielić, my zaledwie niektóre wcześniejsze wydobyte z zapomnienia przez Dmochowskiego, do osobnego działu i ostatniego tomu mogliśmy przekazać. Reszta idzie tu w pewnym ładzie, powiązana analogią treści i formy. Inaczéj postąpić nie mogliśmy. Przekłady i naśladowania zebrane też osobno, chociaż przy oryginalnych poezyach zostawiliśmy wszystko co przetworzoném i duchem poety na jego własność obróconém zostało.

„Dwadzieścia kilka lat, przeszło ćwierć wieku przeciąga się niezmordowana praca Brodzińskiego, która jego samego przetwarza i poezye dawne z lat 1812—1815 do ostatnich z 1830—1835 niepodobnemi czyni. Olbrzymi ten trud niezmordowanie kształcącego się talentu, zmienia prawie jego naturę, podnosi, wypełnia i pokazuje nam na Brodzińskim jeden z najciekawszych psychologicznych fenomenów, jak rośnie człowiek duchem i wolą silną.

„Z tego jednak powodu w zbiorze pism pozostałych z lat dwudziestu kilku, wydawca ma niezmierną trudność, którą ocenić należy: musi on wymagania historyi pogodzić z poszanowaniem dla pisarza; zachować co tylko można, a odjąć co sam autor byłby chętnie poświęcił. Z tego prawa wszakże jak najmniéj korzystaliśmy, zachowując nietylko co jakiekolwiek znaczenie, choćby pamiątkowe miało, lecz starając się o poprawność tekstu i dołączając jego waryanty, bo i te częstokroć są nauczające. Czy się nam to udało wykonać tak, abyśmy wszystkim słusznym wymaganiom zadość uczynili, sądzić o tém nie możemy. Spełniliśmy przyjęty obowiązek wedle sił i możności.“

Wymagania jakie mieć mogliśmy, o ile sądzić możemy z piérwszego tomu, w zupełności w téj edycyi Brodzińskiego zaspokojone zostały. Sumienność i staranność wybija na każdéj niemal stronnicy, a dodane waryanty w wielu miejscach dają nam dowód z jaką troskliwością zgasły poeta dbał o formę, jak pilnym był krytykiem sam dla siebie, ażeby każda myśl była przybraną nietylko w odpowiednią szatę *słowa*, ale w powabnie artystyczną.

Co do chronologii jak powstawały przynajmniéj ważniejsze utwory Brodzińskiego, mamy wskazówkę nieomylną, przeglądając XXI tomów *Pamiętnika Warszawskiego* od roku 1815—1821. W nim bowiem mamy pewne daty kiedy były pisane, albowiem zaraz redaktor F. Bentkowski drukował, zbierając bezpłatne zasoby tak prozy jak poezyi do każdego zeszytu swego pisma. Tak mamy rok

kiedy powstał *Wiesław* i czterdzieści pięć utworów poetycznych, oraz pięciu rozpraw estetycznych, pomiędzy którymi *O romantyczności i klassyczności*, i *Listy o literaturze polskiéj*, zajmują kilka zeszytów *Pamiętnika Warszawskiego*. Po roku 1832 lubo wiele pisał, mało drukował i pod utworami tymi podpisywał się *Kazimierz z Królówki* od swéj wioski rodzinnéj w obwodzie bocheńskim. Mieszczą się one w *noworocznikach* jakie wówczas wśród głuchéj ciszy literackiéj zaczynały się pojawiać.

Pod względem typograficznym edycya pomimo swéj taniości (porównana z tandetową wileńską) należy do rzadkich zjawisk wydawnictwa polskich książek. Piękny papiér, o jaki daremne u nas byłyby starania w naszych fabrykach, druk nowy i wyraźny, odbicie czyste, marginesy szerokie, korrekta nadzwyczaj staranna, ścisłość sumienna. Wszystko są to warunki konieczne, ażeby wydanie odpowiadało życzeniom ogółu i te warunki we wszystkich kierunkach spełnione widzimy.

Teraz przychodzi pod sąd młodego pokolenia ten poeta w całém słowa tego znaczeniu i znakomity estetyk, a przytém mąż nieposzlakowanéj prawości i najszlachetniejszego charakteru. Z tą zasługą, z tym talentem i pracą ćwierć wiekową, staje dopomnąć się o właściwe sobie stanowisko w historyi literatury krajowéj, jako piérwszy reprezentant naszego okresu, a które mu niektórzy mniéj baczni zaprzeczali. Nieujmując w niczém praw należnych bezwątpienia najpotężniejszemu geniuszowi, jakim jest Mickiewicz—nie możemy pomijać Kazimierza Brodzińskiego. Kto wié, czyby śpiewak *Grażyny i Dziadów* był tak od razu zrozumiany, gdyby umysły do téj wielkiéj przemiany w pojęciach prawdziwéj poezyi, nie był przygotował autor *Wiesława*. Ztąd téż bez żadnych porównań co do talentu, jako prawdziwych przedstawicieli ostatniego okresu postawiliśmy Brodzińskiego i Mickiewicza i stawiać zawsze myślimy. Jeden z piérwszych romantyków J. B. Zaleski już mu oddał hołd należny, bo niewahał się wyrzec, że do roku 1830 jeden tylko Brodziński był prawdziwym wieszczem narodowym.

Wykołysany pieśnią ludową, zwolennik prostoty szczeréj i kochający zawód rolniczy, lubował się szczególnie w Janie Kochanowskim. O nim zawsze mówił z wielkiém uwielbieniem, na nim język swój poetyczny wyrabiał, stąpał w jego ślady. Umiał go prawie napamięć i łacińskie *Elegie* z upodobaniem tłumaczył, a na czele tego przekładu dał nam najwybornicjszy życiorys wielkiego poety XVI stulecia. Dla tego we *Fraszkach* swych pisze:

Do Jana Kochanowskiego.

Mnie Janie z Czarnolasu ty ująłeś duszę!
Tyś mi jako do cichéj przyjaźni stworzony,
Nie okaźny, ztąd mało od świata ceniony,

Nikt też nie wié, co w tobie czyta serce moje,
I ja z tobą przestając, o wielkość nie stoję.

To zespolenie ducha pieśni ludowéj z pieśniami Jana Kochanowskiego, jakże cudnie odbija w téj fraszce.

DO PTASZKÓW.

Was natura, o ptaszki! kołysze z gniazdami,
Was dziwnie pisanemi odziała piórkami;
Was pieśni wyuczyła, któremi i lasy
Samotne ożywiacie i rolnika wczasy,
Dla was z gór rozsyłała chłodzące strumienie,
Wam opatrzna z siejącym kmieciem wyżywienie;
Was jak aniołków skrzydły obdarza lekkiemi,
Dała być posłańcami od nieba do ziemi,
Że drogą niedosiężną nucąc pieśń swobody,
Przepaści przebywacie i zamknięte grody!
Tak żyli i Słowianie, szczęśliwe ich dzieci,
Wierząc nawet, że dusza gdy z ciała uleci,
Ptasie odzieje piórka, na gałązce siędzie,
I nad grobem pieśń dawną przyśpiewywać będzie!

Mamy tu w tym rodzaju obrazów z natury siłą wielką natchnione *fraszki.* Dość przytoczyć: „*Do chmury.*“

Rosą chmuro brzemienna, spiesz na wiejskie sioła,
Rzeźwij zboża pożywne i zdrowiące zioła,
Daj świadectwo, że niebo wspiéra znojne prace,
Ale grzmotami groźne nawiedzaj pałace:
A którym ranne słońce nie wspomina Boga,
Niech ich grom twój obudzi, przypomni go trwoga!

Przy téj prostocie nieraz szczególnie naiwne znajdujemy *fraszki*, jak:

ZAMIANA.

Ty mi dałeś serce twoje,
Abyś moje wziął w zamianę,
Teraz chcesz je miéć oddane;
Otóż daję ci oboje,
Bo już nie wiem które moje!

Poważnie spoglądając na świat, jakże wielką prawdę wypowiedział w *Ewangelii:*

Chrystus wam ziarna życia rozesłał po świecie,
Ale od wieków dotąd łupiny gryziecie!

albo w *Dwóch boleściach.*

Smutno cnocie, gdy zbrodnia umie działać sztucznie,
Gdy jéj palą ofiary, poklaskują hucznie;
Smutno jest, gdy niewolno zapłakać w cierpieniu,
I téj ulgi wszelkiemu zazdrościć stworzeniu,
Ale najsmutniéj w sercu taić prawdę świętą,
Lub kiedy się objawia, widzieć źle przyjętą.

W najsmutniejszych chwilach życia, napisał z goryczą w piersiach:

DO PŁACZĄCÉJ.

Gdym i ja był szczęśliwszy, łatwo łzy się lało,
Teraz ich i na spiekę cierpień nie zostało;
Śmiechem je leczyć muszę, czyliż ten szczęśliwszy
Kto się śmieje rozumem, łzy serca straciwszy?

Wierny tradycyi staréj, co jak pas złocisty przewijała się przez warstwy wiekowe, we *Fraszkach* najlepiéj się sam maluje. W nich to spowiedź jego myśli i uczuć serca. Toż samo mamy i we fraszkach Jana Kochanowskiego.

Brodziński jak poważną naukową krytykę cenił, tak pogardzał podjazdową uzbrojoną w drzewce szyderstwa. Cichy i skromny, nie uniknął téj ostatniéj w czasach zawziętéj walki klassyków z romantykami, gdy w roku 1830 wydał tom piérwszy prac swych estetycznych i rozpraw wyjaśniających tak pisarzy, jak i okresy literatury polskiéj. Nie odpowiedział żadném na nie słowem, ale przerwał wydawnictwo dalszych tomów, przez co o mało nie straciliśmy większéj połowy prac jego! We *fraszkach* tylko napisał: *Do krytyków.*

Do roboty niéma was,
Do krytyki wszyscy wczas!

A był w zupełném prawie do tych słów wyrzeczenia! Życie Kazimierza Brodzińskiego i jego utwory, które się z sobą tak ściśle łączą, wymagałyby obszernych studyów nie bez pożytku dla ogółu społeczności naszéj. Bogaty to materyał i pouczający.

Sąd o talencie i znaczeniu Brodzińskiego z wyjściem następnych tomów będzie się wyrabiać i utrwalać, młode pokolenie nieznające prac jego, będzie miało sposobność ocenić wartość. Przyjęcie piérwszego tomu tak przyjazne przez całą naszą prassę, jest już rękojmią, że zasługi tego poety i estetyka doczekają się należne-

go uznania, tém więcéj, gdy tyle cech odrębnych odróżnia go od wszystkich pisarzy współczesnych.

Staje on przed oczyma naszemi zawsze w téj skromnéj postaci, z tém rzewném obliczem i anielskiém spojrzeniem, jakie natura sama drobną twarz jego ubarwiła i czeka braterskiego sądu, za swe życie bez skazy i wierną służbę cnocie i prawdzie!

Jeden z jego uczni, już zmarły *Eustachy Marylski* wystawił mu pomnik dłuta Władysława Oleszczyńskiego w kościele Opieki Ś-go Józefa na Krakowskiém-przedmieściu, drugi który był zarazem i jego przyjacielem, zebrał mozolną pracą rękopisma miane za zatracone i ostatnie lata sędziwéj starości temu zadaniu poświęcił. J. I. Kraszewski przyłożył starannéj ręki do wydania zupełnego i krytycznego zbioru pism pozostałych, godziłoby się ażeby liczni jeszcze żyjący uczniowie Brodzińskiego i wielbiciele, pomyśleli o pogrzebaniu prochów jego w ziemi rodzinnéj którą tak miłował. Pomnik na cmentarzu katolickim w Dreznie coraz niszczeje, znaleźć łatwo zakątek w *Powązkach*, owym wielkim grodzie zmarłych, gdzie złożone i uczczoneby zostały.

Lubił kwiaty a najwięcéj *konwalie*; znajdą się chętni i gotowi, którzyby z każdą wiosną skromny grobowiec zasłali ich wiązankami na cześć i wdzięczną pamięć śpiewaka *Wiesława*.

D. 18 października 1872. r. *K. Wł. Wójcicki.*

Pamiętniki Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych z roku szkolnego 1871/2. Rok trzeci (Warszawa 1872, 8ka większa, str. 199).

W majowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj z roku bieżącego, znajduje się wiadomość o książkach wydawanych przez Instytut głuchoniemych i ociemniałych; zwrócono tam większą uwagę na *Pamiętnik*, który Instytut w miejsce dorocznych programów egzaminu zaczął wydawać. W dopełnieniu téj wiadomości zamierzamy słów kilka powiedzieć o świeżo wyszłym *trzecim tomie* tegoż Pamiętnika. Specyalne tego rodzaju publikacye godne są ze wszech miar uwagi i uznania. Pamiętnik Warszawskiego Instytutu, będąc polem na którém rozwija się tak nowa nieznana przez ogół metodyka nauczania głuchoniemych i ociemniałych, płodna w następstwa dla pedagogiki w ogóle; obok bardzo wielu korzystnych względów za nim przemawiających, świadczy o wyrobieniu i siłach odpowiednich zakładu, podnosi tudzież jego zasługę w obec ogółu, specyalistów i podobnych zakładów zagranicznych.

Treść Pamiętnika na dwie da się rozdzielić części:

Pierwsza zawiera w sobie rzeczy ogólniejszego interesu, traktująca, bądź sprawy głuchoniemych i ociemniałych w odniesieniu do ogółu, bądź sposoby ich nauczania.

Druga zawiera rzeczy wyłącznie dotyczące Instytutu warszawskiego, jakiemi są rozmaite ulepszenia w tymże zakładzie, jego kronika, fundusze, sprawdzania rachunkowe, legata, program wykładu nauk, sztuk i rzemiosł, wykazy statystyczne i t. p.

Na wstępie *części pierwszéj* spotykamy *Historyą Instytutu Warszawskiego głuchoniemych i ociemniałych przez Jana Paplońskiego.* Dyrektor zamierzył całkowitą historyą Instytutu opracować na podstawie dokumentów urzędowych, które jako przypisy w całości drukuje. Każdy łatwo pojmuje doniosłość takiéj pracy. W tym Pamiętniku znajduje się dopiéro *okres przygotowawczy*, kończący się założeniem Instytutu w Warszawie 23 października 1817 roku (1). Historya wzrostu i rozwoju téj Instytucyi aż do dni dzisiejszych, pociągnie się zapewne przez lat kilka, a wartość jéj podniosą jeszcze dokumenta, których dotąd, na tak krótki stosunkowo okres czasu (okres przygotowawczy) jest już dziesięć.

Daléj spotykamy opis: szkoły głuchoniemych i Instytutu ociemniałych w Petersburgu przez tegoż. Odsyłając zajmujących się tą rzeczą do Pamiętnika, nadmieniamy tutaj tylko, że Instytut głuchoniemych w Petersburgu (nie łącząc się wcale z Instytutem ociemniałych) różni się pod wielu względami od warszawskiego w urządzeniu, w funduszach, (wydatek z roku 1871 wynosił tam 76000 rs., zatem więcéj niż dwuletni wydatek Instytutu warszawskiego przy téj saméj prawie liczbie uczniów), w metodach nauczania. Tam przyjęto przedewszystkiem migową metodę, na drugim planie stoi pisana, mowa zaś uważa się jako dodatek; w Instytucie warszawskim zaś wprost przeciwnie: najważniejszy przedmiot stanowi wymawianie, (przedmioty naukowe w mowie się wykładają), daléj pisanie, a w końcu dopiéro mimika, którą się nauczyciele w szczególnych tylko razach posługują.

Następnie znajdujemy życiorys *Ks. de l'Epée*, założyciela pierwszéj szkoły dla głuchoniemych p. Ks. Ig. Glińskiego, dobrze napisany, szkoda że nie więcéj szczegółowy. Następuje po nim drugi życiorys Doktora Bącewicza jako dobroczyńcy Instytutu.

Następują dwie prace z *metodyki*, przyczyniające się do podniesienia Pamiętnika jako pisma specyalnego. Témi są:

a) Znaczenie rysunku i metoda nauczania go u głuchoniemych p. W. Gersona, który przez lat 12 był nauczycielem tego przedmiotu w Instytucie. Kształcenie głuchoniemych odbywać się tylko może przez pośrednictwo wzroku, jedynie więc tutaj jest możebną metoda *poglądowa;* na rozwój pojęć głuchoniemych przedewszystkiem drogą *postaciową* wpływać należy. Z tego punktu autor wychodząc dowodzi, że rysunki rozwijając pojęcia foremności, proporcyi i stosunku szczegółów do ogółu, wielce i skutecznie się przyczyniają do wykształcenia umysłu głuchoniemego. Artykuł napisany gruntownie.

(1) Opowiadanie o zawiązku téj Instytucyi (w Szczuczynie) powtórzone jest słowami samego ks. Falkowskiego, jakie zostawił w książeczce p. t.: *O początku i postępie Instytutu Warsz. Głuchoniemych.* Warsz. 1823.

b) Metoda początkowego nauczania języka w szczególném zastosowaniu do ociemniałych klassy I-éj p. W. Nowickiego. W myśl nowszych pedagogów, wymagających rozmów nauczyciela z dziećmi przed przystąpieniem do nauk, mieści się tu właśnie sposób takich rozmów, będących atoli systematyczném nauczaniem w dwóch ważnych celach przeprowadzoném: rozszerzenie zakresu pojęć dziecka (przy wzbogaceniu go w odpowiedni zasób wyrazów) i przysposobienie go do nauki gramatyki, do czego ta początkowa nauka jest właśnie podstawą. Rzecz lubo w zarysie tylko przeprowadzona, dowodzi dobrego zrozumienia przez nauczyciela psychicznego stanu i wymagań dzieci tak nierozwiniętych jeszcze jak ociemniałe. Praca ta szerzéj rozwinięta z pominięciem względów odnoszących się do ociemniałych, zasługiwałaby na ogólniejsze rozpowszechnienie, a podręcznik tą metodą napisany byłby bardzo pożądanym do początkowéj nauki języka (gramatyki) w sposób *poglądowy* prowadzonéj, (okazowy).

Trzymając się podziału wyżéj podanego, przechodzimy do *części drugiéj* Pamiętnika. Tutaj dowiadujemy się, że Rada Pedagogiczna Instytutu wprowadziła drukowanie *nut wypukłych* dla ociemniałych, sposób zaś pisania tych nut zasadza się nie na systemie 5-ciu linii generalnych, ale na oznaczeniu tonów literami odpowiadającémi 7 dźwiękom *C, D, E, F, i t. d.* Wprowadzono również drugą nowość, t. j. ogródek botaniczny dla głuchoniemych, zawierający najpowszechniejsze rośliny. Dowiadujemy się także, że stan zdrowia dzieci w zakładzie jest zadowalniającym; od lat siedmiu nie było żadnych epidemicznych chorób w zakładzie. Zasługuje na szczególną uwagę rodziców ten fakt, że z badań przyczyn głuchoty pokazuje się, iż mniejsza zaledwie połowa dzieci jest głuchoniemą od urodzenia, z drugiéj zaś większéj połowy dzieci pozbawione są słuchu a następnie mowy skutkiem gwałtownych wypadków w ich niemowlęctwie, najczęściéj skutkiem rozbicia lub spadnięcia. Ważna nauka dla rodziców! Ktoby się chciał obeznać poszczególe z zakresem i sposobami nauczania głuchoniemych i ociemniałych, znajdzie obszerny materyał *w Programie* wykładu. Podajemy tutaj tylko, że w roku szkolnym ubiegłym pobierało w Instytucie nauk głuchoniemych 156 (uczniów 105, uczennic 51), ociemniałych 37 (uczniów 26, uczennic 11) razem 193. Osób wykładających w oddziale głuchoniemych przedmioty *umysłowe* 16 (w téj liczbie 3 kobiéty). Nauczycielek robót i nauczycieli sztuk i rzemiosł w obu oddziałach 17.

Jeżeli pierwsze dwa tomy Pamiętnika nie mogły w zupełności wypełnić swego zadania, to w trzecim widzimy postęp pewien ku temu, aby z czasem Pamiętnik nic już nie pozostawiał do życzenia. Postęp ten widzimy w całym Pamiętniku, a zwłaszcza w rozpoczęciu historyi Instytutu, tudzież w dwóch wspomnionych wyżéj artykułach *Gersona i Nowickiego*. Życzenie zaś nasze może być jeszcze dość rozległe. Pragnęlibyśmy np. spotkać krytyczne rozbiory metod i kierunków nauczania z uwzględnieniem historycznego ich

rozwoju i obecnego ustalenia i wydoskonalenia; daléj z dydaktyki tj. rozprawy nad rozsystematyzowaniem nauk udzielanych głuchoniemym i ociemniałym, nad ich rodzajem i zakresem, nad znaczeniem i podniesieniem jednych z umniejszeniem innych mniéj odpowiednich. Pożądanemi są także krytyczne sprawozdania z ruchu naukowego w Instytutach głuchoniemych i ociemniałych za granicą; tudzież krytyczne oceny podręczników naukowych, w ogóle sprawozdania z całego ruchu pedagogicznego w zastosowaniu do głuchoniemych i ociemniałych. Podobne prace spodziewamy się znaleźć w latach następnych, tém więcéj skoro nauczyciele Instytutu dali już dowody, że można liczyć na ich siły. Nieustając w pracy zasłużyli już oni na uznanie, a uznanie to tém jest ogólniejsze, że książki przez Instytut wydawane nie tylko dla samych głuchoniemych mają znaczenie, a Pamiętnik może być pożyteczną książką, w rękach każdego wykształceńszego człowieka.

W.

Gustaw i Werter prel. publ. przez Adama Bełcikowskiego, doc. Uniw. Jagiell. Kraków. nakładem Tomaszewicza. 1872.

Pan Bełcikowski w małéj broszurce, która jest oddrukiem prelekcyi publicznéj o „Werterze i Gustawie“ (Mickiewicza), bada porównawczo naturę psychologiczną obydwóch bohaterów, oceniając zarazem doniosłość literacko-społeczną dwóch utworów głośnych w swoim czasie. Badanie to sumienne, zanadto może streszczone, co się usprawiedliwia krótkością odczytu, zawiera wiele spostrzeżeń trafnych, szczególniéj co do wewnętrznych przyczyn działalności Gustawa i Wertera; atoli w ostatecznéj konkluzyi mniéj się rachuje z wpływami wieku, które tak potężnie oddziaływały na poetów, zwłaszcza téż na Getego w owéj właśnie chwili. A przecież były one niezaprzeczone, wielkie i nieuniknione, i z tego też względu, Werter przedstawia nam stan moralny, który zdrowy duch Getego przeszedł silnie, ale pod którego naciskiem, mniéj silni upadli. Była to epoka pochyłości, po któréj łatwo stoczyć się było w przepaść. Wolność najszerszą chciano zastosować w życiu i w urządzeniach społecznych, nietylko w sztuce. Wszystko co się wydawało przymusem, regułą, formą, uważano za przeszkodę i tamę dla wyższego ducha. Ztąd musiała powstać kolizya z ustalonym dotychczasowym porządkiem społecznym, i z całym światem, a często wprost i z rozsądkiem. Nie powiemy tu nowych rzeczy, przypominając, że naówczas najwięcéj rozpowszechnioną była literatura angielska w Niemczech, mianowicie *Noce Younga*. Zatapiano się w marzeniach abstrakcyjnych, szukając poezyi jak najdaléj od rzeczywistego świata. Kierunek ten zaznaczony wybitnie w Werterze, bo oto bohatér unika najsamprzód świata, osamo-

tnia się dobrowolnie, szukając w naturze pociechy. Przywiązuje się do murawy, źródła, skały, i mówi: moja dolina, mój las, a potém osamotnia się bardziéj jeszcze, unikając saméj natury, uważając ją za przemijającą, jak wszystko na tym świecie.

Odtąd nie pozostaje mu nic, jak: samobójstwo.... *Patet ianua, exi!* powiedział Seneca w podobnym wypadku.

W tych chwilach, (o czém p. Bełcikowski napomyka) Gete sam próbował życie sobie odebrać, i te właśnie próby świadczą o niepokoju epoki w jakiéj żył, z jakiéj się odrazu otrząsnąć nie był w stanie.

Z tego przeważnie względu, jakkolwiek gdyby Werter był czysto osobistą spowiedzią, jeszczeby nas żywo interesował, utwór ten ma historyczno-społeczną wartość, a więc i dziś jeszcze przykuwa nas do siebie.

Tym innym względem nie jest bynajmniéj to, co powiada p. Bełcikowski na str. 53, że: „Werter jest wyobrażeniem namiętności“. przeciwnie, Werter walczy z nią wszędzie, wytrwale i rozumnie, i tylko fatalność, zbieg okoliczności będący tu rezultatem wpływów wieku, uzbraja rękę jego samobójczo. Czujemy się doń dlatego pociągnięci sympatycznie, że nie jest on prostym i zwykłym kochankiem, ale człowiekiem goniącym za ideałem niedoścignionym. W tém gonieniu daremném tkwi choroba wieku, lecz zarazem i wielkość bohatera. Dlatego właśnie sympatyzujemy z nim, że cierpi przez swe błędy i przez a raczéj mimo swych cnót. Słusznie powiedział jeden z licznych krytyków, czy jak kto chce, komentatorów Getego, że Karolina jest tylko jedną z form entuzyazmu Wertera, i jednym z jego gorzkich zawodów, ale że gdyby ją nawet był posiadł, nie byłby szczęśliwym, bo ideał za którym goni, będzie mu zawsze znikał z przed oczu. Werter nie ma energii, (Gete miał ją ogromną) jest marzycielem i pełnym słabości, a przecież społczuć z nim więcéj można i trzeba niż z każdym innym, który nie ma żadnego ideału. W ten sposób uważany, nacechowany jest wysoką moralnością, a przez to i trwałością niespożytą.

Zdaje nam się, że pan Bełcikowski tę stronę całkowicie pominął, więcéj podnosząc erotyczność utworu. Uwagi co do Gustawa wydadzą się dosyć słuszne. Przy téj okazyi jednak, przytoczymy więcéj od pana Bełcikowskiego szczegółów dotyczących historyi Wertera, raz dlatego, że u nas dopiéro w najnowszych czasach wchodzą na tę drogę łączenia życia poety z jego utworem, (Klaczko w życiu Krasińskiego, Małecki o Słowackim, Siemieński o Mickiewiczu i in., Tyszyński), potém, że wielu utworów wielkich poetów, nie możnaby inaczéj zrozumiéć np. *Pokrewieństwa z wyboru*, gdzie Getego wspomnienia i osobiste wrażenia spisane tu są w formie powieści, a nareszcie że literatura niemiecka i jéj koryfeusze, są dla nas prawie zupełnie obcymi.

Gete w swojéj spowiedzi: *Wahrheit und Dichtung*, dał klucz do wielu swych utworów, z témwszystkiém późniejsi dopiéro komentatorowie wyjaśnili wiele szczegółów nieznanych i ciekawych. A śmiem twierdzić, że wpływ życia poety na jego dzieła, nazwać

się może jednym z najbardziéj pouczających procesów ludzkiego ducha. Otóż dokumentem odpowiednim, opisującym pobyt Getego w Wetzlarze, jako przyczynę do napisaniu Wertera, jest dzieło syna Kestnera (w Werterze Albert narzeczony Charlotty jest Kestnerem) p. t.: „Gete i Werther“ mające dewizę: „Prawda bez poezyi“ w przeciwieństwie do dzieła Getego, noszącego tytuł: „Poezya i prawda,“

Wetzlar było małą mieściną, nie dającą mu środków do pracy ani rozrywki. Nie miało ani szkół wyższych, ani teatru. Kiedy Gete przybył tamże, zastał grono młodych ludzi, urzędników poselstwa, którzy bawili się w fikcyę romantyczną, ustanowiwszy się: „kawalerami okrągłego stołu.“ Nowoprzybyły, przybierał sobie nazwisko średniowieczne. Gete nazwał się Götzem von Berlichingen. Jeden z młodych ludzi zapoznał wnet Getego z Vossem, Bürgerem i z braćmi Stollberg, atoli nas obchodzi tu głównie młody człowiek, który późniéj ważną w życiu i pismach Getego odegrał rolę. Jest nim Kestner, który był wówczas zaręczony z młodą osobą, dziś powszechnie znaną jako bohaterka z Werthera. Zwała się Karolina Buff. Kestner w owym czasie tak między innemi pisze o Getem: „...jestto człowiek z charakterem, wyobraźnię ma żywą, a wyraża się najczęściéj przez porównania i obrazy... Wszystkie jego wrażenia są bardzo żywe, lubo pracuje nad sobą... Wszelki przymus wstręt mu sprawia... Nie jest jeszcze *silny w zasadach*, i szuka systemu i t. d. i t. d.“ Wkrótce odsunął się od kawalerów stołu okrągłego, i zajął się czytaniem, pracami poetycznemi, czyniąc przytem dalekie wycieczki w okolice miasta. Sam pisze o tém: „.....Od wyjazdu z Frankfurtu, czuję w sercu próżnię, któréj niczém zapełnić nie mogę....“ Okolica Wetzlaru opisana żywcem w Wertherze, bo Gete przeniósł w tę książkę, wszystkie swe wrażenia i wspomnienia natury wspaniałéj i harmonijnéj, tak odpowiadającéj owoczesnemu nastrojowi poety. Wioska w romansie zwie się *Wallheim*. Tutaj to zetknął się po raz pierwszy z Kestnerem i z nim zaprzyjaźnił prędko. Przyjaźń tę wzmocnił wnet następny wypadek: Ułożono balik wiejski, na który Kestner późno dopiéro przybył, lecz Karolina (Charlotta) z kilkoma przyjaciółkami wybrała się wcześniéj, a w powozie z nią siedział Gete. Karolina oczarowała go naturalną wesołością i wrodzonym wdziękiem. Oczarowanie to było tém trwalsze, że się stało mimowolnie. Scena na balu opisana żywo w romansie, lubo z pewną sentymentalnością, nie leżącą bynajmniéj w charakterze Karoliny, o ile o tém wiedzieć można z Pamiętników Getego. Burza po balu opisana w romansie, jest wymysłem poetycznym. Karolina nie była wcale egzaltowaną, owszem, odznaczała ją prostota. Nazajutrz ujrzał Gete swą ulubioną w kole rodzinném, gdzie miała wielkie obowiązki do spełnienia nad licznem młodszém rodzeństwem. Obraz ten rzeczywisty, gdy Karolina rozdaje kromki chleba dzieciakom, a który polskiemu czytelnikowi niezbyt się podoba, zachwycił poetę. Po kilku miesiącach Gete czuł się bardziéj zakochany, niżby pragnął. Z Kestne-

rem jednak, narzeczonym Karoliny, zostawał w jak najlepszych stosunkach. Kestner pisze „Czasami lituję się nad nim, i oddaję się walce wewnętrznéj, bo wątpię czy tak jak on uszczęśliwię Karolinę; ale znowu nie mogę jéj utracić.“ Zrozumiał Gete takie położenie, i wyjechał bez pożegnania.

Dwa wpływy, natury i młodości, zatarły w strapionym bolesne wrażenie. Piękność krajobrazu, obudziła w nim instynkta poety i artysty. Zapytywał sam siebie, czy malarstwo nie jest jego prawdziwém powołaniem. Napadła go myśl dziwna, trzymał w ręku scyzoryk i rzucił go w bieżący strumyk. Jeżeli się zanurzy, będzie malarzem, jeżeli liście zasłonią go przed jego okiem, będzie poetą. Lecz wyrocznia okazała się dwójznaczną, bo ujrzał tylko wodę zamąconą w miejscu, w które rzucił scyzoryk. Postanowił więc tymczasem malować i pisać wiersze. W monotonném życiu we Frankfurcie, ożywiły się wspomnienia Wetzlaru, i wtedy rozpoczął Gete swą ciekawą korrespondencyę z Kestnerem. Między innemi, pisał raz do niego: „Drogi Kestnerze! Powiédz Karolinie, iż mi się czasem zdaje że ją zapomniałem, ale wnet wpadam w stan pierwotny.“ Rzeczywistość i poezya, oto co cechuje tę korrespondencyę, a zarazem całą młodość Getego.

Co dziwniejsza, że załatwia sprawunki dla narzeczonych, ale błaga ich aby nie przyjeżdżali do Frankfurtu. Oświadcza nawet w jednym liście, że się z portretem Karoliny rozłączy w dzień jéj ślubu.

Następne zdarzenie zdecydowało poetę do zebrania swych wspomnień i przelania ich w utwór, o którym mówimy. Dowiedział się od Kestnera, że jeden z jego przyjaciół, w podobnéj miłosnéj rozterce, był przecie odważniejszym od niego. Niejaki Jeruzalem, ukształcony wysoko filozoficznie, bawiąc w Wetzlarze zakochał się w mężatce, która obeszła się z nim brutalnie. Młodzieniec odebrał sobie życie. Szczególném zaś wydarzeniem, zabił się bronią, któréj od Kestnera pożyczył. List który w téj mierze pisał do niego, zamieścił Gete prawie w całości w Wertherze. Gete wyobraził sobie, że ta broń była przeznaczoną dla niego, i uderzony podobieństwem przygód, stworzył plan Werthera. Lecz dopiéro w 15 miesięcy później, zabrał się do dzieła (w 1773 roku). Myśl wszakże samobójstwa i wahanie się ciągłe między odebraniem sobie życia a powstrzymaniem się od tego, trapi go ciągle, dopóki jéj nie uspokoił dziełem harmonijném, przedstawiającém stronę poetyczną i namiętną jego charakteru.

Takim jest początek, i taką jest przyczyna powstania osobistości Werthera. Samego romansu, arcy-prostego w swym układzie nie rozbieramy, jako zbyt znanego ogółowi czytelników. Autor broszurki porównywając Getego z Mickiewiczem, powiada że „Gete miał może większe serce, ale Mickiewicz miał więcéj serca.“ I znów Werthera z Gustawem, że „Werther jest może większą poezyą, ale Gustaw ma w sobie, więcéj poezyi.“ Jestto dosyć niejasna gra wyrazów i lubowanie się w niéj, która nie zawiéra w sobie

żywiołów krytycznych. Wprawdzie istnieje niezaprzeczona analogia między bohatérami, a właściwie motywem ich cierpienia, ale różnią się przedewszystkiem charakterem i nastrojem. Gustaw jest idealniejszy i indywidualniejszy, gdy Werther odpowiadał więcéj ówczesnemu usposobieniu ogółu. Z tego więc już względu, a przedewszystkiem z tego, że Gustaw jest fragmentem rzuconym z fantazyą, pod wrażeniem bolesnéj chwili i z myślą późniejszego skończonego planu, gdy przeciwnie Werther przeprowadzony był według jednolicie obmyślanego planu, porównanie co do wyższości poetycznéj jednego utworu nad drugi, wydaje się nam mniéj stosownem. Jednak Gete umiejący „strawić" każdą boleść, wychodzi z niéj zwycięzko odlawszy ją raz w literacki utwór; nie budzi téż w nas tyle współczucia, ile Mickiewicz, stwarzający bohatéra w ogniu dotkliwego a niezagojonego własnego cierpienia.

Werther ma przeciw sobie wolę ostatnią matki Karoliny, pragnącéj jéj połączenia z Albertem, czyli surowe zobowiązanie moralne, którego przekroczyć nie śmie; Gustaw ma „tylko jednę miłość za sobą." Nie żądał nic od swéj ukochanéj: „nie prosiłem ażeby była mnie wzajemną, prosiłem tylko o maleńkie względy, tylko żeby była zemną, choćby jak krewna z krewnym, jak siostrzyczka z bratem." Tymczasem „pożegnać, porzucić każą!" Gdyby chociaż na pamiątkę jego męki — woła z żalem:

„Jeden przynajmniéj dzionek chodziła w żałobie,
Przypięła jednę czarną wstążkę do sukienki!

Gdyby choć łezka bolości i westchnienia: „ach, on mię tak kochał!"

W tym wykrzyku odsłania się on nam w całéj potędze swego idealnego uczucia, odsłaniając zarazem wydatniéj chłodny, obojętny charakter téj, którą ukochał. Karolina przeciwnie czująca wzajemność dla Werthera, nie przekracza nigdzie granic dosyć sztywnie pojętego obowiązku, i wiedząc o stanie duszy Werthera, oddaje przecież spokojnie rękę Albertowi, którego jéj kochać trudno. Może dlatego łatwiéj zrozumieć rozpacz i obłąkanie Gustawa. Uderzył w jego serce cios odrazu, bez litości i bez względu.

„Z czego umarłem? . . Nie mów że z rozpaczy;
Powiedz że byłem zawsze rumiany, wesoły,
Żem ani wspomniał nigdy o kochance,
Że sobie grałem w karty, piłem z przyjacioły. . .
Że ta pijatyka, tańce. . . "
A daléj mówi do księdza:
„Dla mnie, oprócz wspomnienia, nic więcéj nie proszę,
Za grzech mój, życie było dostateczną karą.
Bo:
„Kto nad świeckiego życia wylatując krańce,
Duszą i sercem gubi się w kochance,

Jéj tylko myślą myśli, jéj oddycha tchnieniem,
Ten i po śmierci również, własną bytność traci.

Pan B. kończąc mówi, że obie epoki w których pisali Gete i Mickiewicz były do siebie podobne; konwencyonalność, próżność uczucia, martwa formułkowatość panowały w literaturze i w życiu; że potrzeba było, iżby wielcy poeci rzucili temu zimnemu światu wyzwanie w imię prawdziwego uczucia, i że nareszcie dzisiejsze czasy podobne do tamtych. W tym względzie ma słuszność, jakkolwiek całkiem inne przyczyny, wytworzyły obecnie ten stan ogólnego społecznego usposobienia.

E. L.

Zawiązki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier. Opracował Dr. Fr. Czerny. Kraków, 1872. Str. 178.

Trzy państwa na tytule przytocznéj rozprawy wymienione, Czechy, Polska i Węgry mają w swych pierwiastkowych dziejach nie mało wzajemnéj łączności. Wiek IX i X jest dobą ich organizacyi politycznéj, która się odbywa wśród wzajemnego oddziaływania i w obec wspólnie im grożącéj postawy zachodnich cesarzów; okres ten jest także chwilą, kiedy się w tych trzech państwach zaczyna krzewić wiara chrześcijańska. W Czechach i Węgrzech apostołował Wojciech Śty, czci go także Polska jako swego apostoła. Z Czech przeszło światło chrześciaństwa do Polski, z Polski podobnież przez związki małżeńskie do Węgier przeniesione zostało. Przestrzeń między Dunajem, Mołdawą, Odrą, Wisłą i Karpatami wybrał sobie autor jako pole do nakreślenia w ogólnych zarysach powstających państw i szerzącéj się nauki chrześciańskiéj, zakres ostateczny swego obrazu wziąwszy rok tysiączny naszéj ery. Jeżeli już nieraz usiłowano w literaturze przedstawić ogólny obraz zachodniéj Słowiańszczyzny w epoce jéj pierwszego ukazania się na widowni dziejowéj, obejmowano zwykle Morawy, Czechy, Słowian nadelbiańskich oraz Polskę, i stopniowe, kolejne tworzenie się między niemi organizmów państwowych wykazywano. Badano ten przedmiot, zestawiając różne usiłowania przez zachodnich Słowian podejmowane na polu politycznéj organizacyi. Zagłębiano się w dzieje morawskiego Świętopełka, Bolesławów Czeskich, dzieje Obotrytów i Lutyków, historyą Bolesława Chrobrego, żeby zrozumieć dokładniéj te kolejne prace zachodnich Słowian, dążące do zbudowania rozleglejszego gmachu politycznego. Rozumiemy takie zadania. Zestawienie dziejów jednorodnych części, pochodzących z jednego plemienia, z jednakowemi wspólnemi pierwiastkami społecznemi,

może prowadzić do ogólnego wniosku, do jakiejś syntezy. Jest wielce nauczającém badać, jak się z pierwiastków germańskich urządzeń rozwinęły instytucye polityczne Niemiec, Francyi, Włoch i Anglii, ale zestawienie dwóch odrębnych szczepów słowiańskiego i węgierskiego, nie mających między sobą wewnętrznéj łączności, może się dokonać tylko na podstawie zewnętrznéj. Związki takich państw płynąć więc tylko mogą z ich terrytoryalnéj wspólności, z sąsiedztwa mniéj lub więcéj bliskiego. Ztąd też i wnioski nie mogą zdążać do jakiejś harmonijnéj syntezy. Zdaje nam się że sam przedmiot nie nadaje się do porównywania i ścisłego obok zestawienia. Zresztą, kto przedstawia dzieje Czech i Polski, bez dotykania dziejów węgierskich również jak i niemieckich obejść się nie może, dla ich łączności z niemi. Wprowadzenie zaś oddzielnego przedmiotu do dziejów Czech i Polski, wydaje nam się niewłaściwém punktem wyjścia, pozbawionym szerszéj podstawy.

Cokolwiekbądź, zobaczmy, jak autor wywiązał się ze swego zadania. Państwo Samona, następnie dzieje Rościsława Morawskiego, apostołowanie ŚŚ. Cyrylego i Metodyusza, początki Węgier, Czech i Polski, Śty Wojciech, szerzenie się w tych krajach wiary chrześcijańskiéj, oto wątek, z którego się cała opowieść wysnuwa. Sam rodzaj zadania czynił niemożliwém wszelkie szczegółowe poszukiwania: autor nie może zapuszczać się w roztrząsanie nierozstrzygniętych spornych pytań, nie może dokładniéj stosować źródłowéj krytyki do pojedyńczych kwestyj, bo nie wybrnąłby z mnóstwa nasuwających mu się pod pióro pytań. Zmuszony jest podążać do kreślenia ogólniejszéj całości. Ztąd konieczność płynie korzystania już z gotowych rozpraw, monografij, co wszakże nie może stać na przeszkodzie do przeglądania i czerpania wiadomości ze samych źródeł. Pod względem znajomości prac swoich poprzedników w tak rozgałęzionym przedmiocie, autor nie ściągnie na siebie żadnego zarzutu, owszem to pilne korzystanie z dzieł i pojedyńczych prac znanéj wartości, godne jest najszczerszéj pochwały. Czytelnik wynosi przyjemne wrażenie z rozprawy pisanéj po polsku, kiedy w niéj dostrzega tę staranność i sumienność, tę ścisłość w przytaczaniu zdań innych uczonych autorów, czém się nie zawsze odznaczają prace naszych badaczów historycznych. Przy takiém chwalebném usposobieniu autora „Zawiązków państwowych“, życzyć tylko wypada, by na téj drodze nie ustawał; a jesteśmy pewni, że niejedną poważną a pożyteczną pracą wzbogaci naszą ubogą literaturę historyczną. Pragnęlibyśmy jednak, aby tę chwalebną dokładność i ścisłość posunął jeszcze daléj. I tak np. autor, przedstawiając dzieje Samonowego państwa, nic więcéj nie powiedział nad to, co już Palacki wyrzekł w tym przedmiocie. Nie mamy nic przeciwko temu, że „W Zawiązkach państwowych“ są powtórzone wywody Palackiego, ale dlaczego autor (str. 21) odnosi historyą starcia się Samona z Dagobertem do roku 635, kiedy na to innych nie przytacza dowodów, a Palacki wszak téj daty nie kładzie?

Daléj znowu (na str. 28) autor oświadcza, iż nie zgadza się ze zdaniem Palackiego, co do niezależności Czech od Karola W., owszem twierdzi, że Czechy już na początku IX wieku zmuszone były hołdować zachodnio-rzymskiemu cesarstwu. Czy tak się miało czy inaczéj, wypadało w każdym razie w przypisku przynajmniéj rozprawić się dokładniéj z taką powagą jak Palacki. Trzeba było zwrócić baczniejszą uwagę na to, co Einhard powiada, że daninę składać musiały wszystkie narody, quae inter Renum ac Visulam fluvios occanumque ac Danubium positae.... Germaniam incolunt (M. G. II 15). Jeżeliby ztąd wypadało, że Czechy płacić były zmuszone dań cesarzowi, to ściągałoby się także i do narodów nad Wisłą, więc i do Polski. Kto z poważnym autorem rozprawiać się myśli, nie powinien tak sporu rozstrzygać.

Mamy jeszcze jednę prośbę do autora „Zawiązków państwowych." Idzie już tylko o samą formę, o sam wykład, który, jak wiadomo, w rzeczach historycznych niepoślednie zajmuje miejsce. W całém przedstawieniu czuć brak wyższego wyrobienia. Wszędzie w oczy bije i razi młodzieńczy zapał. Autor zwyczajniejsze rzeczy odziewa w poetyczną szatę. O najprostszych wypadkach wyraża się obrazowo, gromadzi wyszukane porównania, wzbija się lotem fantazyi w coraz wyższe sfery i nieustannie stąpa po wyżynach. Czytelnika nuży ta podobłoczna podróż. O zwyczajnych przedmiotach chciałby żeby rozprawiano na ziemi. Prostota wszak jest piérwszym warunkiem jasności. Z tego okrywania myśli w jakieś poetyczne kształty rodzi się ciemność, szczególniéj jeśli to obrazowanie aż do przesytu jest posunięte. Na str. 15 mowa o Trajanie, iż ten „skierował pilniejszą uwagę na północne granice państwa, usiłując przedewszystkiém zmyć z niego (tj. państwa) *rumieniec wstydu*, jakim okrył je lekkomyślny Domicyan." Pomimo całéj sympatyi dla poetycznego polotu, tak nam się dziwném w tém miejscu wydaje rumieniec wstydu, jakim się pokrywa całe imperium rzymskie i ta czynność, jaką dokonywa Trajan, zmywając rumieniec z oblicza terytoryum rzymskiego. O wielu innych podobnych miejscach nie wspominamy. Krasicki, Naruszewicz, Mochnacki są wzory, o którychby zapominać nie należało, a zwłaszcza polecić wypada je obecnemu młodszemu pokoleniu, co jakoś dziwnie lekceważy sobie ojczystą mowę. Czytając „Państwowe zawiązki" zdaje się, jak gdybyśmy byli w epoce skażenia języka. Powtarzają się ciągle konflikty, scysye, skonsolidowania, aliansc, alianty, sytuacye, akceptacye, separacye, emancypacye (o narodach), inowacye i izolacye, nielojalne koketowanie, egidy, grawitowanie, forsy; maryaże, prowokować, ignorować, skaptować, rewoltować, szachować, kłopotać (?) Kadłubka, despocya, problematyczny, maksymy, apostołka, malkontenci, kontury, katolizować, ząsankcyonować i w. i.

Są także Raichstagi i interwencye a z temi nazwami łączą się dziś w prawie publicznem pewne ściśle określone pojęcia, które do IX lub X wieku zupełnie nie przypadają. Są znowu zwroty, które czytelnik zrozumie, jeśli umie po niemiecku, ale w innym ra-

zie słusznie się zapyta, kiedy autor mówi „o dziesięciu długich latach“ (zehn jarhe lang), ileż to było lat *zwyczajnych* o 365 dniach? W inném znowu miejscu spotyka się „jako taki“ co po polsku znaczy: ujdzie (franc. tellement quellement), tymczasem ma to być niemieckie „als solcher.“ Język Śniadeckich nie zna takich naszej mowie niewłaściwych, a jak się przytoczyło, nawet dwuznacznych wyrażeń. „Ograniczać się na pas ziemi“ jest niemieckie: beschränkt auf ein Stück Land. Co znaczą takie słowa zderzać się i wytyczając kierunek? których niéma w słowniku Lindego.

Z tém wszystkiém są to tylko drobne usterki, których łatwo uniknie w następnéj a zawsze pożądanéj pracy.

P.

Lehrbuch der Geographie für die mittleren u. oberen Classen i t. d. von H. Guthe. 2 Aufl. 1872. Hannower, 658 str. 8ka.

Podręcznik geograficzny jest dziś książką potrzebną dla każdego, zarówno dla ucznia jak i nauczyciela, dla technika jak i dla literata. Dzieło Guthego, które po 4-ch latach doczekało się już drugiego wydania, posiada niepospolite zalety. Autor jest professorem mineralogii i matematyki w szkole politechnicznéj w Hanowerze, praca więc tak dobrze przygotowanego w naukach ścisłych pisarza staje się niejako rękojmią wartości dzieła, dzieła, które jak geografia, mieści w sobie tyle żywiołów z nauk matematycznych i przyrodniczych. To też książka Guthego nie jest kompilacyą z wielu innych już istniejących podręczników geograficznych ułożoną, ale stanowi w znacznéj części pracę samodzielną, opartą na badaniu źródeł pierwotnych, pierwszorzędnych. Sam system w układzie i stanowisko, z jakiego się na tę naukę zapatruje, świadczy o samodzielności autora. W pierwszéj i drugiéj księdze przedstawiona jest geografia matematyczna i fizyczna, w trzeciéj części znajdujemy wykład historycznéj i politycznéj geografii oddzielnie wszystkich części świata z poglądem na stosunki fizyczne, historyczne i polityczne. O historycznéj geografii wyraża się autor bardzo słusznie, że ona jest właściwą geograficzną nauką, inne zaś jéj części tylko za pomocnicze uważać należy. Ona nam pokazuje do jakiego stopnia człowiek zapanował nad ziemią, przedmiot jéj badań stanowią stan pojedynczych ludów i fizycznych przyczyn, które wpływały na postęp lub powstrzymanie w rozwoju człowieka danego społeczeństwa. Polityczną zaś geografią nazywa autor opis pojedynczych od siebie niezależnych ludzkich społeczeństw, które się państwami zowią. Wiadomości do tego przedmiotu się odnoszące, jakąkolwiek mają wartość chwilową, z właściwą geografią nie pozostają w żadnym istotnym związku. Podręcznik z tytułu wyżéj przywiedziony na naukowéj oparty podstawie, a objętością znacznie mniejszy od 3 tomowego Kloedena, mógłby w polskim przekładzie przy przystępnéj cenie być dobrą wskazówką dla wykładających, a pożytecznym podręcznikiem dla uczących się geografii w średnim i wyższym zakresie. *F.*

Napis na staréj Chrzcielnicy w kościele Ś-go Jana w Toruniu, dokładnie przerysowany. Warszawa 1872. W drukarni J. Sikorskiego (w 8-ce str. IV z dwiema tablicami litografowanemi przedstawiającemi chrzcielnicę i napis).

W roku 1844 Dr. Ney w tomie X *Przyjaciela ludu* (Nr. 44) zamieścił podobiznę napisu znajdującego się na starożytnéj chrzcielnicy spiżowéj w kościele Ś-go Jana w Toruniu nie wdając się w odczytanie onego. Andrzej Kucharski podług udzielonéj sobie kopii uznał że napis jest polski, że litery w nim są runiczne a częściéj greckie i głagolickie, w rozprawie: „*Najdawniejszy zabytek polszczyzny*" drukowanéj w Bibliotece Warszawskiéj w Tomie II 1850 roku, i odczytał go w następujących wyrazach:

„*Z dyaboły w lewo Isus Gospod chce zlewać ciebie wodą tą i żywot woda ta zdrowy podaje ludowi.*"

W następnym roku 1851 w temże piśmie (Tom II) archeolog nasz Józef Łepkowski, w artykule: „*O czytaniu runów słowiańskich*" przekonawszy się że znaki przedstawione przez Kucharskiego, różnią się znacznie od podobizny Dr. Neya, zaprzeczył takiemu odczytaniu.

Nakoniec we *Wzorach sztuki średniowiecznéj* A. Przezdzieckiego i E. Rastawieckiego (Serya II 1855—1858 r.) znajdujemy rysunek téj chrzcielnicy i podobiznę napisu z objaśnieniem w tekście. „Napis na tablicy *najdokładniéj przerysowany na miejscu* w niektórych tylko literach poprawia Dra. Ney, ale kształt głosek zupełnie stwierdza."

P. Wilhelm Kolberg znany z wielu prac uczony inżynier, autor pomienionéj broszury pisze:

„Będąc w roku zeszłym w Toruniu znalazłem, że podobizna we *Wzorach sztuki średniowiecznéj* dokładną nie jest i postanowiłem wszelkie wątpliwości co do grafiki tego napisu usunąć i ułatwić uczonym onego odczytanie. Jeżeli bowiem wzwyczajném piśmie jak przysłowie mówi: *litera docet, litera nocet*, to oczywiście w piśmie odwiecznem, w języku niewiadomym, konieczne jest wierne oddanie choćby najdrobniejszych szczegółów piérwowzora. Nie tylko kształt, proporcya, odległość znaków, ale często nieznaczne nawet zboczenie linii może stać się zrozumiałem dla uczonego badacza, tak jak mylne odtworzenie znaków udaremnia najmozolniejsze prace i na błędną popycha drogę. Aby osiągnąć ścisłość najwłaściwiéj byłoby użyć fotografii do kopiowania takich napisów. Gdy zaś takowéj, jak w przypadku obecnym, użyć nie można, należy zrobić odciski które się stają wierną i trwałą kontrolą rysunku. Tego téż sposobu do zdjęcia napisu użyłem. Sporządzenie podobizny liter przedstawiało trudności jeszcze z tego powodu, że chrzcielnica pomalowana jest jasną farba olejną, a litery lubo wypukłe, powleczono farbą czarną; malarz zaś nie zawsze trzymał się ściśle konturów, lecz według domysłu niektóre kształty dopełniał lub opuszczał. Dla zrobienia odcisku wypadało mi prze-

konać się o czystości zarysów, przyczém znalazłem znowu że niektóre wklęsłości były grubo zamazane gęstą farbą tak stwardniałą, że się niedała oskrobać, lecz tylko dłutem za pomocą młotka odłupaną być mogła. Tym więc sposobem oczyściwszy litery gdzie należało aż do czystego metalu, wydobyłem dokładne ich zarysy. Następnie zaś za pomocą zmoczonego papieru brałem odciski, a rysunek w naturalnéj wielkości z tych odcisków fotograficznie do ¼ części zmniejszony, na kamień litograficzny przeniesiony został.“ Przytoczyliśmy cały ten ustęp dosłownie dla upewnienia badaczy, że obecnie po tak ścisłém i sumiennem skopjowaniu z całém zaufaniem mogą przystąpić do odczytania całego napisu. P. Kolberg znajduje, że w nim litery są podobne do liter na grobowcu Henryka Łagodnego księcia Szląskiego i Krakowskiego, zmarłego 1290 roku, w kościele Ś-go Krzyża w Wrocławiu, ale niéma w nim ani liter odwróconych ani nieznanych, a są wszystkie jednéj wysokości i wyrazy rozdzielone punktami: z tego powodu uważa i zasadnie, napis na chrzcielnicy w Toruniu za dawniejszy. *R.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa, październik 1872 r.* Redakcya *Opiekuna domowego* pisma tygodniowego, sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęconego; ogłosiła prospekt, w którym cel wydawnictwa swego wyjaśnia, pod godłem: „*Tyle życia ile w czynie.*“

„Wiedząc dla kogo i w jakich okolicznościach piszemy, wiedzieliśmy téż w którą stronę działalność naszę skierować nam należy. Zakres téj działalności z saméj natury rzeczy zamknąć się musiał w obrębie społeczeństwa w którem żyjemy, należało tylko znaleźć dla niéj odpowiednie ognisko, któreby promienie myśli naszych odbijało w sobie, rozsyłając je w około pośród ludzi. Ognisko to znaleźliśmy w *Rodzinie*. Na nią i przez nią oddziaływać chcemy. Słowa zdrowéj nauki, praktycznych wskazówek materyalnego i moralnego rozwoju, będziemy czerpać z czystego źródła wiedzy i miłości. Oby czyny nasze dorównały chęciom, a słowa oby znalazły odgłos w umysłach i sercach wszystkich ojców i matek!

„Wyznanie naszéj wiary krótkie i jasne:

„Wierzymy w postęp i bronimy go, ale nie uznajemy nieoględnéj działalności gorączkowych jego obrońców, którzyby chcieli wszystko zburzyć, zanim się zbiorą siły do nowej budowy.

„Wierzymy w siły młode ale nie przeceniamy ich—przeciwnie, chcielibyśmy w nie zaszczepić to przekonanie, że „postęp danego społeczeństwa zależy *od umiarkowania partyi postępowéj*."

„Z serdeczną miłością dla społeczeństwa, wśród którego wzrośliśmy i żyjemy, postanowiliśmy na téj właśnie drodze służyć krajowi wydając „Opiekuna domowego." O piśmie naszém nie robiliśmy dotychczas ogłoszeń, chcieliśmy bowiem piérwéj czynem wykazać nasze zamiary, chcieliśmy się dać poznać publiczności. Dziś gdy usiłowania nasze osiągnęły już pewien skutek, gdy *w całéj prassie krajowéj* serdecznego doznaliśmy przyjęcia, tém śmieléj, na szczupłém polu naszéj działalności podnosimy sztandar myśli i uczuć, które obok postępowéj dążności, potrafią uszanować racyonalnie pojętą tradycyą i będą jednocześnie ogniwem, wiążącém w pracy dwa następujące po sobie pokolenia wspólnością zadań i celów."

— Księgarz *Maurycy Orgelbrand* ogłosił prospekt na dzieło p. n. „*Dzieje umysłowego rozwoju Europy przez I. W. Drepera Dra Medycyny i professora Chemii, Fizyologii w Uniwersytecie w N. Yorku. Tłumaczenie z oryginału Angielskiego przez Tadeusza Korzona.*" Dwa tomy w 8-ce. Od 1 listopada r. b. zacznie wychodzić zeszytami. Cena rsr. cztery: dla prenumeratorów *Niwy* rsr. trzy. Wpomienionym prospekcie czytamy:

„Co się stanie z nami a przynajmniéj z wnukami, prawnukami i praprawnukami naszymi? Dla kogo pracujemy w znoju i gorzkiém częstokroć zwątpieniu? W co się obrócą nasze pola uprawne, nasze miasta gwarne, nasze koleje, telegrafy, balony, nasze literatury i wszystkie owoce długich i wytrwałych cudownych prawie wysileń ludzkości?

„Takie pytania podniecały oddawna myślicieli, przedewszystkiém zaś historyków i filozofów do badań długoletnich a wytężonych. Powstała nawet osobna gałąź wiedzy, zwana Filozofią historyi, czyli Historyozofią. Od czasu jak Vico ogłosił swą „Nową naukę," na polu tém występowali pomiędzy innemi Herder, Szlegel, Cousin i sławny Hegel z obszerną teoryą, która budziła w uczniach jego najśmielsze nadzieje i nieograniczone uwielbienie dla mistrza. Powiedział on, że „Historya powszechna jest przedstawieniem ducha w czasie, tak samo jak przyroda jest przedstawieniem idei w przestrzeni"; a że jako filozof mniemał, iż ducha tego poznał, wszystkie jego drogi i przejawy zbadał, przeto poważył się przedstawić cały plan, podług którego Opatrzność prowadzi rodzaj ludzki, a nawet spróbował przyszłość zaszkicować. Wpływ jego był bardzo silny i opanował wszystkie rozgałęzienia nauk moralnych. Całe pokolenie owoczesne myślało podług jego szematów dyalektycznych, mówiło jego frazesami, powtarzało jego pomysły.

„Wkrótce atoli zaczął wzbierać inny prąd naukowy, który wzmagał się szybko, a i teraz jeszcze potężnieje coraz bardziéj skutkiem świetnych odkryć czynionych na polu nauk przyrodniczych. Powstaje szkoła „Pozytywistów" któréj założycielem był filozof francuzki Au-

gust Comte. Nie ufa ona samemu rozumowaniu i dyalektycznym wywodom, lecz żąda wszędzie dowodu przez doświadczenia i spostrzeżenia, dokonywane na zjawiskach lub przedmiotach pod zmysły podpadających. Pod tym sztandarem stanęli Bekl, Mill, Spencer i... Dreper.

„Doktor medycyny i prawa, professor chemii i fizyologii w Uniwersytecie w Nowym-Yorku, Dreper nie szczędził pracy na obszerne studya nad historyą, literaturą, a przedewszystkiém nad filozofią: zgromadził więc niepospolity nawet w gronie współczesnych uczonych, zasób wiedzy i znakomicie przysposobił się do powołania filozofa historyi.

„Zacząwszy swe dzieło od rozległego poglądu na przyrodę, Dreper dowodzi, że tak w układzie społecznym, jak w zjawiskach fizycznych ziemi, tudzież w całym świecie organicznym i budowie człowieka rządzą niewzruszone prawa. Następnie stawi pytanie: czyżby w życiu społeczném, w losach narodów w historyi rodzaju ludzkiego, nie było praw żadnych? „Czyż niéma nic wspólnego pomiędzy bezleśną pustynią a zwyczajami plemion koczujących, co na niéj rozbijają swoje namioty;pomiędzy żyzną równiną a trzodami i życiem pasterskiém, pomiędzy łańcuchami gór a odwagą która ich często broniła, pomiędzy morzem a usposobieniem do szukania przygód?“

Zdaniem jego narody żyją podług takich samych praw jakie rządzą życiem człowieka pojedyńczego. Są to przemijające przechodne formy ludzkości, muszą one wygasać jak wygasają gatunki królestwa zwierzęcego. Odbywają wszakże „swoj pochód nie bezładnie i bezmyślnie jakby we śnie, ale istnieje wspaniała droga, po któréj wszystko postępować musi w nieustannym ruchu, w ciągłym nieprzepartym postępie.“

„Tę zasadniczą ideę swoję Dreper rozwija w przeglądzie całéj prawie Historyi powszechnéj, zaczynając od Egiptu i Indyów i postępując przez Grecyę, Rzym, wieki średnie ku nowym czasom. Obchodzi go wyłącznie rozwój umysłów, filozofii, religii, postępy nauk ścisłych i przyrodniczych. Na ostatku kreśli z przedziwną prostotą i jasnością obraz wiedzy naszéj: historyę ziemi, stan astronomii, fizyki, anatomii, fizyologii, chemii, i dochodzi aż do najwyższych zagadnień życia organicznego. W rozdziale ostatnim potrącił nawet o najdrażliwszą strunę i położył ponętny napis: „Przyszłość Europy.“

Jakkolwiek rozmaite mogą być sposoby zapatrywania się na system historyozoficzny Drepera, jakkolwiek uczeni historycy mogą się różnić z nim w zapatrywaniu się i przeprowadzeniu szczegółów, to przecież sam ogrom przerobionego materyału i niepospolite zalety pisarskie, rozległość poglądu, świeżość pomysłów, swoboda i spokój sądu, gorąca miłość dla nauki, a przedewszystkiém ta jasność i praktyczność, jaka stanowi najcenniejszy może przymiot rassy anglo-saxońskiéj nadają dziełu Drepera wartość wysoką.

„Zresztą że dzieło to mile było witane przez publiczność czytającą, dowodzi tego znaczna liczba wydań jego we wszystkich językach europejskich. Przedsiebiorąc ogłoszenie jego w języku polskim, pra-

gnę uzupełnić brak téj znakomitéj pracy w literaturze naszéj, a sądzę że dobrą wyświadczę przysługę wszystkim zwolennikom historyi i filozofii nowoczesnéj; wszystkim ludziom myślącym a nawet szerszym kołom czytelników szukających posilnéj strawy umysłowéj.

Tłumaczenie wykonaném zostało podług oryginału angielskiego z wszelką możliwą starannością.“

— Professor Warszawskiego Uniwersytetu p. Berg ukończył przekład *Pana Tadeusza* Mickiewicza na język rossyjski. Wyjątki z tego tłumaczenia były drukowane, teraz całość ma iść pod prassę.

— *Ks. Władysław Siarkowski* autor opisu *grobów w Katedrze Kieleckiéj* i badacz przeszłości, podaje (w Gazecie Kieleckiéj) zajmujące szczegóły o gnieździe rodzinném Stefana Czarnieckiego, owego słynnego hetmana i pogromcy Szwedów, który słusznie mawiał o sobie że wyrosł:

„Ani z roli
Ani z soli,
Ale z tego co mnie boli.“

„O siedem mil od Kielc, a kilka wiorst za osadą Włoszczowa leży w lesistéj okolicy wieś Czarnca, dziedzictwo niegdyś Stefana Czarnieckiego, które po przodkach w spuściznie otrzymał; we wsi téj w r. 1640 bohatér ten wystawił kościół murowany na cześć Najświętszéj Maryi Panny i Ś-go Floryana, jak świadczy o tém napis łaciński umieszczony na tablicy kamiennéj nad zakrystyą. We dwanaście lat potém 1652 r. wyrestaurował w tejże wsi dom, w którym niegdyś przodkowie jego zamieszkiwali i na pamiątkę umieścił płytę marmurową z odpowiednim napisem łacińskim. Dziś niéma śladu z tego domu, czas w gruzy go zamienił, zaś ocaloną płytę wmurowano na zewnętrznéj ścianie kościoła nad okienkiem, które grób Stefana Czarnieckiego oświeca. Do czasów obecnych w niewielkiéj odległości za kościołem stoją trzy lipy odwieczne. Ludzie starzy wspominają, że przed laty między pomienionemi lipami stał stół kamienny. O tém więc miejscu przechowało się podanie, że tu Czarniecki zwykł był odmawiać różaniec w czasach wypoczynku w Czarncy po trudach wojennych. Gdzie się zaś stół pomieniony podział? kto go ztąd wziął? o tém mimo starannego wypytywania się nie mogliśmy się niczego dowiedzieć.

Jak wiadomo Czarniecki złamany starością a jeszcze więcéj znękany trudami wojennemi podejmowanemi z nadludzką siłą, zachorował na Ukrainie i uległszy naleganiom przyjaciół kazał się w lektyce zawieszonéj między końmi wieźć do Dubna, ale nie dociągnął do tego miasta i w chacie włościańskiéj we wsi Sokołowie, w styczniu 1665 r. Bogu ducha oddał. Przed zgonem kazał przyprowadzić swego ulubionego konia, mdlejącą go ręką głaskał i prosił obecnych, aby o nim mieli staranie. Zwłoki Czarnieckiego sprowadzono do Czarncy i tu w grobie kościelnym pod chórem z wielką okazałością pochowano w trumnie cynowéj. Wczasie rozruchów krajowych przed

laty, trumna wywleczoną została z miejsca wiecznego spoczynku i popsuta, z pozostałych po niéj kawałków ówczesny proboszcz miejscowy kazał zrobić 6 lichtarzy. Lichtarze te do dziś dnia stoją na wielkim ołtarzu kościoła w Czarncy, o szczątkach zaś Czarnieckiego trudno się dowiedzieć. Z czapraka ulubionego konia bohatéra, który rodzina Czarnieckiego podarowała kościołowi, zrobiono kaptur i nim przyozdobiono kapłańską kapę. Ubioru tego miejscowy proboszcz używa w czasie większych uroczystości kościelnych.

Czarniecki za życia obok dzielności charakteru i nieustraszonego męztwa, był bardzo pobożnym, szczególniejszą cześć i nabożeństwo miał do Matki Bożéj. Jéj wizerunek we wszystkich walkach miał przy sobie. Dwa obrazy Matki Najświętszéj przed którymi zwykł był ten wojownik, jak niesie podanie odmawiać modlitwy, znajdują się w kościele w Czarncy. Obrazy te rzeczywiście mają na sobie wyraźną cechę odległéj starożytności.

Pamięć o tym niepospolitym mężu do dni obecnych przechowuje się wiernie między ludem miejscowym. Teraźniejszy pleban w Czarncy zapewniał nas, że lud w jednéj z pieśni pobożnych imię Czarnieckiego wspomina. Najpiękniejszy to bez wątpienia pomnik jaki sobie człowiek w sercach wystawić może. Nagrobka bowiem żadnego niéma ani w kościele ani na cmentarzu, jest tylko wizerunek malowany na prostéj tarcicy, przedstawiający tego bohatéra jako hetmana siedzącego na koniu.

W zbiorze przywilejów zebranych przez ś. p. Zielińskiego, b. naczelnika powiatu kieleckiego znajdowały się oryginalne przywileje wsi Czarncy z roku 1366, 1414, 1418, 1427, 1437, 1441, (F. M. Sobieszczański w Wycieczce archeologicznéj str. 179).

O zabytkach tych nie znaleźliśmy dotąd wzmianki w żadném piśmie."

— Roznoszenie książek po wsiach i miasteczkach, tak zwane *kolporterstwo* praktykujące się w W. księztwie Poznańskiem i Prusiech Zachodnich, coraz większe przybiera tam rozmiary. Pan Kwitnowski donosi, że od *Trzech Króli* r. b. sprzedał w ogóle książek polskich za 842 talarów. Największy pokup miał w ziemi Chełmińskiéj, gdzie w ciągu czterech tygodni utargował 160 talarów. Dodamy, że podług wiadomości zasięgniętéj od księdza pastora *Otto*, w Szląsku Austryjackiem, przy pomocy kolporteryi rozchodzi się od 10 do 12000 egzemplarzy każdéj książki ludowéj. U nas pierwszy o ile nam wiadomo, przed kilkudziesiąt laty księgarz *Gustaw Sennewald* (ojciec) próbował kolporteryi, ale przez brak sumienności, tego któremu ją powierzył, poniósłszy stratę, więcéj jéj nie próbował, po nim żaden z księgarzy naszych w tym celu dla rozpowszechnienia pokupu książek, nie poszedł w jego ślady.

— Czytamy w Gazecie Polskiéj. „Na przesłane nam przed niejakim czasem zapytanie, ilu jest izraelitów w 10-ciu guberniach kraju tutejszego? odpowiadamy zamieszczając tu dostarczone nam przez redakcyę „Izraelity" urzędowe według jéj oświadczenia, cyfry. W końcu roku 1871 było ludności żydowskiéj:

	męźcz.	kobiét.	razem.
W Warszawie . . .	39,972	46,713	86,685
W gub. Warszawskiéj .	37,758	39,523	77,381
„ Lubelskiéj . .	46,385	48,580	94,925
„ Kaliskiéj . . .	30,250	34,875	65,165
„ Piotrkowskiéj .	38,180	41,507	79,687
„ Siedleckiéj . .	37,464	40,318	77,782
„ Radomskiéj . .	35,570	38,534	74,104
„ Kieleckiéj . .	25,234	26,427	51,661
„ Płockiéj . . .	23,254	25,252	48,506
„ Łomżyńskiéj . .	34,604	36,684	71,288
„ Suwalskiéj . .	42,977	44,862	87,839
Razem . .	391,648	423,275	814,923

Uderzającą jest tu przewyżka kobiét o 31,627, nad męźczyzn. Tę różnicę widzimy i pomiędzy chrześcijanami, przeglądając cyfry statystyczne ludności wszystkich miast naszych.

— *Katalog zbioru medalów i monet polskich*, hrabiego Emeryka Hutten-Czapskiego, tom 1-szy wyszedł w r. z. w Petersburgu (Carl Ricker), i w Paryżu (chez Baer) in 4-to. Stron liczbowanych jest 406, nieliczbowanych 4; tytuły są dwa, i przy każdym z 5-ciuset odbitych egzemplarzy, jest karta z Nr. porządkowym egzemplarza. Katalog ten ułożony jest w języku francuzkim. Tom ten 1-szy, obejmuje opis medali i monet polskich od najdawniejszych czasów do końca panowania Jana III-go. Tom 2-gi w tym roku jeszcze podobno wyjdzie; widziano już bowiem wydrukowane opisy numizmatów do ostatnich czasów, z wyjątkiem medali osób prywatnych, które doprowadzone dopiéro do litery R. Dzieło to kosztujące wiele pracy i nakładu, będzie jedném z najbogatszych dla polskiéj numizmatyki dzieł tego rodzaju: jest w niém przeszło 300 rycin odmian, niewydanych dotąd na widok publiczny. Jestto jednak tylko katalog zbioru posiadanego przez hr. Czapskiego, nie jest więc kompletnym katalogiem numizmatów polskich. Katalog ułożony jest niemal ściśle chronologicznie; to jest, wszystkie sztuki zamieszczone są pod tym rokiem, w którym wybite zostały, a raczéj który jest na nich wyrażony. Numizmaty nie mające daty, zamieszczone zostały na końcu każdego panowania, bez względu na znaki menniczne i inne cechy, według których, okazy inaczéj można było umieścić. Powstała więc mięszanina medali i pieniędzy koronnych, od najgrubszych do najdrobniejszych, po których bez oddzielnéj intytulacyi idą litewskie, gdańskie, elbląskie, toruńskie, rygskie, poznańskie, bydgowskie, i wschowskie. Uporządkowanie takie nie dało się logicznie przeprowadzić. Lepiejby było pod każdém panowaniem zamieścić opis numizmatów nie latami, ale gatunkami: naprzód wszystkie medale, potém monety koronne, potém litewskie i t. d.

Autor nie poprzestał na prostém wyliczeniu okazów zbiór jego stanowiących, owszem bardzo dokładnie je opisał, dodawszy w oso-

bnych rubrykach, w jakim są kruszcu, ich wagę w milligramach, średnicę w millimetrach, numera odnoszące się do ważniejszych naszych dzieł numizmatycznych i stopnie rzadkości. Druk, korrekta i całe wydanie niezmiernie staranne, powiedzielibyśmy: zbytkowe, gdyby w numizmatach mógł istnieć zbytek dokładności.

Wszystkie znaki przedziałowe, osobliwszego kształtu głoski, znaki myncarskie, oraz herby podskarbich i miast, odbite są z osobno w tym celu wykonanych kliszy, ryciny zaś numizmatów nieobjęte naszemi elementarnemi dziełami, dodane są w tekscie.

W końcu tego pierwszego tomu umieszczono bardzo starannie wypracowane objaśnienia głosek pojedyńczych lub składanych, oraz znaków i herbów znajdujących się na monetach; słowem, pod skromną nazwą katalogu, spotykamy dzieło obejmujące bardzo wiele takich wiadomości numizmatycznych, którychbyśmy w poświęconych nauce téj dziełach napróżno szukali.

— *Kraków.* Staraniem Jana Matejki i wszystkich miejscowych artystów, zawiązuje się *stowarzyszenie artystów*, którzy zrywają stosunki z teraźniejszém Towarzystwem Sztuk Pięknych. Ustawę właściwą wkrótce zredagują, dla zatwierdzenia władzy. U *Czecha*, wyszła „*Pieśń Januszowa o Krakusowym grodzie.*“ Na okładce téj maleńkiéj książeczki jest drzeworyt z wyobrażeniem mogiły Kościuszki, jaką była przed jéj ufortyfikowaniem. Ks. *Henryk Księżarski*, proboszcz z Modlnicy Wielkiéj pod Krakowem, wydał przełożone przez siebie: „*Dokumenta tyczące się wcielenia rzeczypospolitéj Krakowskiéj do monarchii Austryjackiéj w roku 1846.*“ Jeden z najwięcéj przedsiebierczych księgarzy tutejszych *J. M. Himmelblau*, wydał własnym nakładem w r. b. *Weltera*: Dzieje powszechne skrócone w przekładzie Zygmunta Sawczyńskiego. Wydanie trzecie: *Lercla Władysława* Gramatyka języka Polskiego, dla użytku szkół elementarnych. Wydanie 2-gie poprawne, *Karola Mecherzyńskiego*: Wypisy polskie dla szkół żeńskich, z najcelniejszych pisarzy; tegoż: Historya literatury polskiéj dla szkół. *Dr. Kelnera* pedagogika w urywkach, obejmująca sprawy szkoły początkowéj i wychowania domowego, opracowana przez Zygmunta Sawczyńskiego. *E. Rebena*: Wypisy niemieckie do tłumaczenia niemieckiego na polskie i z polskiego na niemieckie. *Smitkowskiego*: Wypisy francuzkie do użytku młodzieży polskiéj z dodatkiem słownika francuzko polskiego. Wydanie drugie. *Siemieński Lucyan*: Wieczory pod lipą, wydanie dziesiąte.

Wyszły nadto tłumaczenia z oryginału *Pokornego* przez Dr. Rzepeckiego w drugiém już wydaniu: Zoologia i Mineralogia, każde z kilkuset drzeworytami.

Professor rysunków seminaryum żeńskiego w Krakowie, wydał *wzory nauki rysunków dla szkół ludowych.*

Nakładem wydawnictwa *Kraju* wyszły: *Adam Mickiewicz i pisma jego do roku 1829*, przez Alberta Gąsiorowskiego: *Fizyologia codziennego życia G. H. Lewes'a:* z angielskiego przetłumaczył Ludwik Masłowski: *Obrazki z podróży po Szwecyi* Barona W. Engeströma. *Irydion* odczyt Adama Bełcikowskiego. *Józef Ignacy Kra-*

szewski przypomnienie czterdziestoletnie zasług piśmienniczych i pracy: przez Karola Estrejchera. *Kwestya nadbałtycka* Jana Leśniewskiego.

Adam Bełcikowski wydał w r. b.: *Zofijówka*, *Serafina* dwa poemata. A. Nowolecki wydał dwa towy utworów El . . y p. n. *Poezye*. Professor W. Łuszczkiewicz wydał: *Zabytki Sztuk Pięknych Krakowa*. I. Pomniki architektury od XI do XIII wieku ze stanowiska historyi sztuki.

— Towarzystwo pod godłem *Mrówki*, zawiązane w końcu 1868 roku w Krakowie, mające na głównym celu, zakładanie i zasilanie biblioteczek szkółek ludowych, dla rozszerzenia w téj warstwie oświaty, po zgromadzeniu walném w dniu 24 sierpnia r. b. powiększyło się do 300 członków. Składka miesięczna wynosi 10 centów. Krzątając się gorliwie, cicho i bez rozgłosu, od czasu swego powstania utworzyło lub zasiliło sześćdziesiąt kilka biblioteczek przy szkołach ludowych w Krakowie i poza Krakowem, rozdało przeszło 1000 książek ludowych i dla młodzieży przeznaczonych. Nakładem księgarni i wydawnictwa dzieł katolickich Władysława Jaworskiego, wyszła monografia: *„Zakon Kamedułów, jego fundacye i dziejowe wspomnienia w Polsce i Litwie.* Przeważnie według źródeł rękopiśmiennych archiwu OO. Kamedułów w Bielanach przy Krakowie, skreślił Ludwik Zarewicz, członek komissyi historycznéj przy C. K. Towarzystwie Naukowem Krakowskiem. (W 12-ce 1871 roku str. VI, str. 232). Jestto streszczenie (jak sam autor pisze w przedmowie) obszerniejszych prac jego: „Dzieje zakonu Kamedułów w Polsce i Litwie i monografia Bielan Krakowskich.“

— Wyszły dwa tomy *Rocznika Towarzystwa Naukowego Krakowskiego*, tom 20 i tom 21. Poczet czwarty. *W tomie 20* mieszczą się następujące rozprawy. Uwagi nad podaniem o pieśni: Bogarodzica przez ks. Pękalskiego; Modlitwy Wacława zabytek mowy staropolskiéj przez professora Sucheckiego. Rzeźba kamienna Krakowska XIV wieku przez professora Łuszczkiewicza. Wątpliwość w używaniu składni „przyprawić kogoś o cóś“ przez prof. Sucheckiego. Znaczenie końcówki „ota“ przez prof. Sucheckiego. Kongres międzynarodowy antropologiczny i archeologiczny w Bononii 1871 roku: Sprawozdanie hr. Przezdzieckiego z dodatkami i o dwóch stacyach krzemiennych w ziemiach polskich, o palaficie Czeszewskim, o żalniku Dobieszewskim i okazach z epoki bronzu znalezionych w krajach dawnéj Polski z projektem nowych map archeologicznych międzynarodowych; Jan Śniadecki na polu filozofii przez D-ra. Ziembę: Przyczyny podziału monarchii polskiéj po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII przez K. B. Hoffmana. Sprawozdanie o kamieniach runicznych Mikorzyńskich przez hr. A Przezdzieckiego. *W tomie 21* Przyczynek do anatomii fizyologicznéj i patologicznéj naczyń chłonicznych skóry ludzkiéj przez prof Biesiadeckiego. Poszukiwania morfologiczne nad miotnikiem otrębiastym przez prof. Janczewskiego, Trzy rozprawy prof. Ed. Skiby, Przyczynek do teoryi sprężystości, Współczynniki załamania promieni świetlanych w różnych mięszaninach wyskoku, Nowa teorya rozczepiania się światła, Dwie rozprawy

p. Long Feigla, Uwagi nad przypadkiem zdziergnienia jelit w worku przepuklinowym, O budowie i przeznaczeniu szpiku kostnego, Trzy rozprawy prof. Kuczyńskiego, Przyczynek do teoryi soczewek, O sposobie użycia soczewek dwuwypukłowych grubych zamiast szkieł jedno barwnych. Przyrząd do oznaczenia linii falistych złożonych, powstałych w skutek interferencyi fal poprzecznych. Dwie ostatnie rozprawy prof. Kuczyńskiego wyszły w oddzielnych odbitkach. Prócz tego: Rozbiór chemiczny dwóch źródeł, wody siarczanéj w Krzeszowicach przez Ad. Aleksandrowicza, Teorya równań liniowych o pochodnych cząstkowych rzędu 1-go jednéj funkcyi przez prof. Wł. Zajączkowskiego.

— We Lwowie wyszło dzieło p. t: *Obrazy wszech świata: Astronomia i Geologia popularna* napisał Jan Stella-Sawicki z 60 drzeworytami. Jestto przewodnik bardzo użyteczny dla młodzieży naszéj, w którym systematycznie a jednak z pewnym wyborem autor w wykładzie jasnym przedstawił główne przedmioty astronomii i geologii. Zamieścił także treściwą wzmiankę o astrologii, o téj chorobie umysłowéj, która przez tyle wieków panowała nad ludzkością wiążąc metafizykę z naukami przyrodniczemi, z tego powodu autor odzywa się: „Jestto najlepsza nauka dla nas, iż należy przystępować skromnie do badań natury i orzekać wtedy tylko, gdy mnogie fakta przekonają nas iż wniosek robimy sprawiedliwy.“ Autor wyszczególniając astrologiczne przepowiednie, talizmany, amulety noszone dla zapewnienia zdrowia, życia, miłości, bogactwa i t. d. przytacza: „Żołnierze niemieccy tak byli przekonani o skuteczności tych środków, że pewien autor francuzki mówiąc o pobiciu ich we Francyi dodaje, że znaleziono amulety na szyi wszystkich zabitych, rannych i wziętych do niewoli.“

— We Lwowie wyszła: *Teorya rachunkowości wiejskiéj podwójnéj* przez E. Wędrychowskiego professora szkoły agr. w Dublanach.

— W Berlinie wydrukowaną została książka p. t: *Moc prawna dowodu ze świadków w postępowaniu karném, przez Józefa Ostrowskiego.* Rozprawa napisana dla pozyskania stopnia kandydata prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

— *Encyklopedyi rolnictwa* redakcyi J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego i S. Przystańskiego wyszły cztery zeszyty: ostatni obejmuje Budownictwo wiejskie i inne. Jedno z najpożądańszych dzieł dla naszego kraju, godne szczególnego poparcia i uznania. Z wyszłych dotąd zeszytów widać że Encyklopedya nasza nietylko dorównywa lecz nawet przewyższa wartością swoją Encyklopedye tego rodzaju za granicą wychodzące.

— Wielki obraz *Matejki*, przedstawiający Stefana Batorego w obozie pod namiotem, który był na wystawie Lwowskiéj, obecnie umieszczonym został w salonie Stowarzyszenia Wiedeńskiego Sztuk Pięknych (*Kunstverein*). Sprawozdawca wiedeńskiéj *Pressy* między innemi, pisze: „Malarze obdarzeni w wysokim stopniu świetnością kolorytu, znajdują w nim raczéj przeszkodę niż pomoc, jeżeli za przedmiot swego pędzla obierają temata historyczne. Gdzie idzie o spra-

wienie wrażenia wzniosłego, tam i kosztowna szata tchnąć powinna tą samą powagą i szlachetnością, co i osoba która jest nią przystrojona, a wzgląd ten i do całości utworu winien być uogólniony. Artyści wystrzegać się powinni, aby obraz mający nam uprzytomnić jedną z wielkich chwil historyi, nie stał się przedstawieniem błyskotliwéj, czczéj sceny ceremonialnéj. To też jestto największą dla ostatniego dzieła Matejki pochwałą, iż o niém powiedzieć można: że pomimo całego bogactwa i blasku kolorytu, jest prawdziwie wielką historyą kompozycyą. Większego przepychu trofeów, akcesoryi i draperyi od czasów Tyciana i Pawła Weroneza nikt jeszcze dotąd tak nie rozwinął jak Matejko; a pomimo jednak tego zewnętrznego przepychu, scena historyczna będąca treścią obrazu, typy, charaktery, rysy i różne odcienia uczuć przedstawionych postaci, pochłaniają całą uwagę patrzącego. Znaczenie historyczne sceny dominuje tu nad zewnętrznemi powabami formy, a to najwymowniéj świadczy o dobrze obmyślanéj treści i wysokiéj wartości obrazu."

Podawszy następnie streszczenie obrazu, wielce dla jego twórcy pochlebne, a które tu pomijamy, sprawozdawca kończy słowami: „Obraz ten jest najznakomitszém dziełem Matejki i pierwszorzędnym utworem w całéj dziedzinie nowożytnego malarstwa historycznego, a zarazem pierwszą próbą mistrzowskiego owładnięcia kolorytem."

— We Lwowie na miejscowym cmentarzu, wzniesiono pomnik na grobie ś. p. *Karola Szajnochy*, pomysłu p. Filipiego, a wykonany przez p. Periera. Jest on w kształcie piramidy z orłem na szczycie, w pośrodku popiersie znakomitego historyka, u podstawy zaś allegoryczne figury.

— Dzienniki niemieckie, mianowicie literackie, zajmowały się mocno i dotąd zajmują broszurą D-ra. Bratranka z Krakowa, pod tytułem: „Zwei Polen in Weimar," która nie jest czém innem, jak przekładem listów Odyńca umieszczonych w Kronice Rodzinnéj, opisujących pobyt Mickiewicza i Odyńca w Weimarze. Niemieccy krytycy i historycy literatury nie mogą się nacieszyć tym mistrzowskim obrazkiem, obchodzącym ich rzeczywiście tyle tylko, ile w nim widzą odnośnego do Goethego i jego otoczenia. Podziwiają trafność spostrzeżeń, świeżość barw, oryginalność charakterystyki, i niema prawie dziennika, któryby nie przytoczył tych listów w wielkich wyjątkach. Obszerne dzieło pośmiertne kanclerza Müllera, prawie całe poświęcone wspomnieniom o Goethe'm i życiu ówczesném weimarskiém, nie wywołało ani połowy tego ruchu umysłowego między Niemcami, ile wywołały go listy Odyńca przetłumaczone przez D-ra Bratranka. Zdając z nich sprawę, wołają niemieccy literaci: „utajony skarb" i dziwią się że „w pokątném warszawskiém pisemku" skarb taki się znalazł.

— Na powszechną wystawę w Wiedniu, w roku przyszłym mającą być otwartą, professor Maryan Jaroszyński wykończa wielki obraz historyczny 280 stóp kwadratowych mający, którego treścią

jest *traktat Toruński* z 1466 roku. Władysław Chotomski w obszernym artykule krytycznym w jedném z pism poznańskich, nader wysoko stawia ten obraz, i twierdzi, że pod względem kompozycyi może się ubiegać o pierwszeństwo z obrazami Kaulbacha i Delaroche'a. O ile to zdanie jest prawdziwe, sam utwór dopiéro nas objaśni.

— W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego wyszło dzieło p. n: *Teorye polityczne XVI wieku, poprzedzone przeglądem sporów politycznych w wiekach średnich: skreślił Dr. W. M. Olendzki.*" (Czcionkami Ludwika Merzbacha w 12-co, 320, 1873 roku).

— W czasopiśmie czeskiem „*Kmiety*" młody poeta *Antal Staszek* w udatnym przekładzie, wydrukował poemat Juljusza Słowackiego: „*Anhelli.*"

— Księgarz i wydawca *Bluszczu*, Michał Glücksberg, ogłosił prospekt na „*Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, podług tekstu łacińskiego Wulgaty, przekład ks. Jakóba Wujka, zatwierdzony przez Stolicę Apostolską.*" Wydanie to w przepysznéj edycyi, w kroju arkuszowym, ozdobione 230 drzeworytami rysunku najsławniejszego francuzkiego illustratora *Gustawa Dore'go*, zacznie wychodzić w r. b. dla ułatwienia miesięcznie po dwa zeszyty, z których każdy obejmie 3—4 arkuszy tekstu i tyleż rycin. Całe wydawnictwo ukończonem zostanie w kwietniu 1875 roku i obejmie 62 zeszytów. Tak illustrowane *Pismo Święte*, rozpowszechniło się we Francyi; Anglicy i Niemcy zaraz je sobie przyswoili. Przekład Jakóba Wujka, wzbogacony jest objaśnieniami podług J. Fr. Allioli, sam tekst zachowany ściśle i sumiennie. O szerokiém rozpowszechnieniu téj wspaniałéj publikacyi nie powątpiewamy, sama wartość dzieła, nowa illustracya i łatwość nabycia, dają tego rękojmię.

— Redakcya *Przeglądu Tygodniowego* ogłosiła prospekt na wydawnictwo „*pięćdziesięciu tomów za pięć rubli*" z gałęzi nauk: Filozofii, Historyi, Pedagogii i wychowania, Nauk ekonomicznych, Nauk przyrodniczych, Podróży, Szkiców i literatury pięknéj. Oprócz tego kilka tomów pod tytułem *Miscelanea* obejmie rozprawy drobne, w różnych gałęziach nauk najznakomitszych uczonych angielskich, niemieckich i rossyjskich: piérwszy tom téj publikacyi ma się ukazać w grudniu r. b.

— Juljusz Kossak zamieszkujący stale w Krakowie wypracował akwarellowy portret ś. p. Adama hrabiego Potockiego. Nieboszczyk przedstawiony jest konno na swéj ulubionéj białéj klaczy, zwanéj „Panną." Układ obrazu i pojęcie portretowanéj postaci przypomina portret Leona hrabiego Rzewuskiego, także przez Kossaka dawniéj wymalowany. Kasztanowaty wierzchowiec Rzewuskiego i biała klacz Potockiego widocznie wiernie z natury są oddane. Tam widać w głębi zamek Podchorecki, tu ruiny zamku w Tenczynie. Krajobraz liściastego lasu nosi na obu akwarelach tę samą cechę i ma ten sam kolorjt jesiennego oświetlenia. P. Kossak

wykończył także dwa albumy z wyprawy myśliwskiéj na niedźwiedzia. Jedno z nich przedstawia widoki polowania w Karpatach, drugie szkice humorystyczne z téj wyprawy.

— Etnograf i archeolog *Zygmunt Gloger* przygotowywa do druku przekład znakomitego dzieła *Lutock'a, Człowiek przedhistoryczny*. Praca ta będzie wielce pomocną w poszukiwaniach, jakie badacze nasi rozpoczęli w wynalezieniu szczątków tego okresu, i śladów człowieka przedhistorycznego.

— W miesiącu wrześniu i październiku r. b. *Kłosy* od Nr. 378 do 382, obejmują artykuły z drzeworytami: Karol August Heylman.—Odaliska.—Odjazd na pustynię: Zamek w Podhorcach (Sala złota). — Wystawa paryzka.—Teatr na wyspie w Łazienkach Królewskich.—Przy płocie.—Opatów. — Podhorce (Sala karmazynowa). — Blanka narożna.—Studnia deptakowa. Podczas bombardowania Paryża.—Ojciec Marek z Aviano.—Boże dary.—Madej.— Humań i widok klasztoru pobazyliańskiego i kościoła katolickiego.—Nauka matki.—Międzyboż.—Jan ze Sprowy.—K. August Moes.—Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Dersław z Rytwian powieść T. T. Jeża.—Początek i charakter arystokracyi angielskiéj.—Listy J. I. Kraszewskiego.—Sir Walter Skott.—Z obcego świata I. Hodie'go.—Drugie cesarstwo we Francyi T. T. Jeża.—Przegląd teatralny.—Marta Kuzmówna powieść.— Pokłosie. — Ugo Foskolo, Studyum literackie.—Międzynarodowy kongres statystyczny w Petersburgu.— Opatów.—Łazienki królewskie pod Warszawą.—Wiadomości z pola literatury i sztuki.—Kronika naukowa p. T. Skomorowskiego. — Kronika lwowska. — Przegląd prassy peryodycznéj.—Charakter, przez Samuela Smilesa. — Poezye. — W kwestyi spółki połączonéj pracy kobiét.—Przegląd polityczny.

— *Tygodnik Illustrowany* od Nr. 248 do 252 obejmuje artykuły z drzeworytami: Rzeźby Lenartowicza.—Altana Maryi i brzoza Mickiewicza w Tuhanowiczach.—Faworyt.—Jan Siestrzyński.—Posąg Stanisława hr. Skarbka.—Antoni Stolpe.—Młodzi lazzaroni. – Projektowany podjazd przy dworcu drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj. – Chór na Jasnéj górze w Częstochowie.—Wzajemna usługa.—Marya Szymanowska.—Adam Pajgert.—Dziewczyna karmiąca ptastwo.—Zacisze leśne —Zamek książąt Litewskich w Wilnie.—Dziewczę i kwiaty.—Grajek ubogi.—Konie tatarskie na jarmarku.—Podróż po muzułmańskim Wschodzie. Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Morituri powieść J. I. Kraszewskiego.—Dawid Livingstone i jego podróże po Afryce. – Zbiory Monachijskie.—Przegląd piśmienniczy.—Przegląd teatralny.—Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe.—Rok straszny W. Hugo (przekład).—Samuel ze Skrzypny Twardowski: Studyum literackie B. Chlebowskiego.— Korrespondencye.— Szkice z Kaukazu.—Ze świata muzycznego.—Szachy.—Rebusy.—Wet za wet powieść w dwóch tomach z angielskiego.

OD REDAKCYI

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w roku 1873, w którym pismo to zacznie trzydziesty trzeci rok życia. Literatura, nauki, umiejętności jak dotąd będą na przyszłość jedynym przedmiotem Biblioteki. Cena dotychczasowa utrzymana: w Warszawie **Rs. 9**, na prowincyi **10**; *kto pragnie z poczty regularnie i w należytym porządku odbiérać wychodzące zeszyty, zechce wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa (Krakowskie przedmieście* Nr. 415*) przesłać prenumeratę* **Rs. 10** *i zarazem zawiadomić, z któréj stacyi pocztowéj zeszyty odbierać sobie życzy, a żadnego w przesyłce nie dozna zawodu.*

Prenumeratorowie raczą wcześniéj zaraz po 1 grudniu r. b. zgłaszać się, drukarnia bowiem odbija ilość egzemplarzy stosownie do ilości zgłaszających się prenumeratorów.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera przy ul. Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 18 Октября 1872 г.

LIBER BENEFICIORUM DŁUGOSZA.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

II.

Dobra duchowne w dyecezyi krakowskiéj. — Ich rozległość. — Tytuły posiadania. — Wsie i folwarki. — Karczmy i młyny. — Prawo polskie i niemieckie. — Powinności włościańskie. — Robocizna. — Pojedyncze spostrzeżenia.

Majątek nieruchomy stanowił, obok dziesięcin, główne źródło dochodów duchowieństwa, objętych opisem Długosza. Dobra duchowne w dyecezyi krakowskiéj były liczne i obszerne, lecz rozległość ich zaledwie w przybliżeniu oznaczyć się daje.

W pierwszéj części niniejszéj pracy powiedzieliśmy, że w księdze beneficiów Długosza „ziemia po największéj części jest pomierzona.“ Ściąga się to przecież tylko do ziemi uprawnéj. Lasy, łąki, pastwiska, nieużytki i t. d. nie okazują się być pomierzone; przynajmniéj księga beneficiów ich rozległości nie oznacza.

Ziemia uprawna zostawała w posiadaniu bądź włościan, sołtysów, kmieci, zagrodników, karczmarzy, młynarzy i t. d., bądź głównych właścicieli. Pomiar jest co do pierwszéj części roli prawidłem, co do drugiéj tylko wyjątkiem.

Z tych względów niepodobna z jakąkolwiek ścisłością oznaczyć ogólnéj rozległości dóbr duchownych w dyecezyi

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

Krakowskiéj. Oznaczenie liczebne może ściągać się tylko do ilości łanów, przez włościan uprawianych.

Była to przecież, jeżeli nie największa co do rozległości, pod względem dochodów najważniejsza część własności gruntowéj, jedyna stanowiąca podstawę ówczesnego systematu podatkowego.

Przytoczyliśmy z księgi beneficiów, w pierwszéj części niniejszéj pracy, opis wsi Jałowęsy. Liczba łanów podana w tym opisie na wstępie, wynosi dwadzieścia jeden. Z tych dwa posiadał sołtys, dziewiętnaście kmiecie. Z dalszego ciągu opisu okazuje się, że właściciel wsi Jałowęsy, biskup Lubuski, posiadał w téj wsi roli uprawnéj dwa łany, ogród i sadzawkę. Miał także i łąkę, którą kmiecie obowiązani byli sprzątać, każdy po dwa dni w roku. Czy do téj wsi las należał, w opisie niéma wzmianki.

W obliczeniu ilości łanów w dobrach duchowieństwa, przyjmujemy liczbę łanów we wsi Jałowęsy na 21, objaśniając na tym przykładzie sposób obliczania, za podstawę którego służy ilość łanów zwykle na wstępie opisu każdéj wsi w Długoszu podana. Nie wchodzi do ogólnéj cyfry ani ilość łanów roli folwarcznéj, z powodu że tylko wyjątkowo rozległość jéj jest w opisie wskazana, ani tém mniéj rozległość lasów, łąk, pastwisk, gdy ta w opisie wcale nie została oznaczoną.

W takim nawet zakresie przedsiewzięte obliczenie nie daje jeszcze wypadków dokładnych, z powodu że w wielu wsiach, zwłaszcza w części trzeciéj swojéj pracy, obejmującéj majątki duchowieństwa zakonnego, Długosz nie był w stanie cyfry łanów podać i tylko kropkami ją oznaczył; a nadto, że w niektórych lubo wyjątkowych razach, według wzmianki o tém przez Długosza uczynionéj, rola nie była na łany podzielona.

Nakoniec w pracy tak rozległéj, mogły i z naszéj strony pomimo łożonéj usilności zajść pomyłki rachunkowe, które zresztą, jak sądzimy, nie czynią zbytniéj różnicy w ogólnym wypadku obliczenia.

Z temi zastrzeżeniami podajemy wypadek obliczenia ilości łanów w dobrach duchowieństwa w dyecezyi krakowskiéj, opisanych w liber beneficiorum, przypominając, że opis w téj księdze zawarty nie obejmuje dóbr stołowych biskupa krakowskiego, opisanych w zaginionéj pracy Długosza z r. 1440,

i że z trzech tomów dzieła liber beneficiorum, pierwszy odnosi się do dóbr wyższego duchowieństwa świeckiego; drugi wykazuje uposażenie probostw; trzeci majątki duchowieństwa zakonnego.

Według naszego rachunku było w dyecezyi krakowskiéj (łącznie z Pabianicami):

własnością wyższego świeckiego duchowieństwa realności 266, łanów 1849. (Tom I);

własnością probostw, oprócz gruntów probostw we wsiach cudzych, realności 28, łanów 81. (Tom II);

własnością duchowieństwa zakonnego, realności 601, łanów 4152:

Razem realności 895, łanów 6082. Dodając do téj ostatniéj cyfry przypuszczalną cyfrę łanów, liczebnie w Długoszu nie wskazanych, przyjąć można w dobrach duchownych w dyecezyi krakowskiéj, oprócz dóbr stołowych biskupa krakowskiego, ogółem łanów około siedm tysięcy.

Jak widzimy, trzy massy majątków duchownych w ogólnym wypadku obliczenia objętych są bardzo nierówne. Największą jest massa majątku nieruchomego duchowieństwa zakonnego; po niém idzie wyższe duchowieństwo świeckie: ostatnie i bardzo poślednie miejsce zajmują probostwa. Nierówność uposażenia zwiększyłaby się jeszcze, zwracając uwagę na okoliczność już wyżéj przywiedzioną, że w spisie majątków zakonnego duchowieństwa jest więcéj niż w dwóch pierwszych tomach pozycyi, w których nie podaną liczbę łanów zastępują kropki. Natomiast w odwrotnym kierunku modyfikuje wypadek podanego obliczenia, wzgląd na okoliczność, że tak znaczne źródło dochodów jak dziesięciny (1) płynęło przeważnie na korzyść wyższego świeckiego duchowieństwa i proboszczów, i że grunta probostw we wsiach do cudzéj własności należących położone, jako co do rozległości

(1) Dziesięcina z dóbr Łagowskich w dyecezyi krakowskiéj położonych, lecz należących do biskupa włocławskiego, szła na rzecz tegoż biskupa. Długosz mówi (I 621) że w ten sposób biskup włocławski dochody swoje z dóbr Łagowskich *podwoił*. Uważał więc dochód z dziesięciny za równający się dochodowi właściciela głównego. Jest w tém może przesada; to pewna jednak, że stosunek dwóch tych gałęzi dochodu więcéj się zbliżał do równości za czasów Długosza niż w czasach późniejszych, w których dochód właściciela wzrósł, dochód z dziesięciny zmalał.

po większéj części nie oznaczone, nie weszły do rachunku. Wprawdzie pominięte zostały także folwarki, w dobrach wyższego duchowieństwa i zakonnych, lecz jak poniżéj zobaczymy, liczba tych folwarków była za czasów Długosza mniejszą od liczby probostw.

Duchowieństwo zakonne liczyło 59 klasztorów (w Tomie III 58, w Tomie I. 1), należących do 15 zakonów.

Niższe duchowieństwo świeckie opatrywało w dwudziestu dekanatach i archidjakonatach 662 probostw.

Duchowieństwo wyższe oprócz obcych biskupstw, posiadających dobra w dyecezyi krakowskiéj, liczyło jedną kapitułę i jedenaście kolegiat.

Wskazawszy przedmiot własności, posiadające ją osoby, wypada z kolei zastanowić się nad tém, jakie były tytuły posiadania.

Długosz na oznaczenie prawa własności używa w księdze beneficiów rozlicznych wyrażeń: haereditas, proprietas, proprietas pleno jure (III s. 369), propria possessio, sors, fundus, dominium, dominium pleno jure, dominium supremum (II 469). Wyrażenia najpospolitsze, haereditas dominium, proprietas używane są lub pojedynczo, lub obok siebie, najczęściéj proprietas et dominium, czasem haereditas et proprietas, raz nawet wszystkie te trzy wyrażenia stoją w połączeniu. Sprowa, villa cuius haereditas et proprietas et dominium pertinet ad abbatem et monasterium Clarae Tombae (I 23) (1).

Odmienne wyrażenia na oznaczenie prawa własności, wskazują niezaprzeczenie na odmienne pierwotnie względy, pod któremi to prawo było uważane. Względy te jak mniemamy były: ekonomiczny, polityczny i spadkobierczy. Proprietas jestto własność uważana jako prawo rzeczowe, prawo do przychodów, do ciągnienia użytków z własności. Dominium jest własność uważana ze strony prawa zwierzchności nad ludnością na gruncie zamieszkałą (2) i prawa patronatu.

(1) Pomimo takiego zlania się wszystkich możliwych tytułów prawnych na rzecz klasztoru Mogilskiego, własność Sprowy nie długo trzymała się klasztoru. W tomie III str. 426 czytamy, że w roku 1475 klasztor sprzedał tę wieś Pieniążkowi z Iwanowic za 350 grzywien.

(2) Zwierzchnie prawo jest wyraźnie uznane w dawnych ustawach, z zastrzeżeniem jednak praw rządowych. Statut Jana Alberta z roku 1496 (Bandtkie, Jus polonicum str. 848) przepisujący kary na właścicieli dóbr, na

Hereditas wreszcie jest własnością uważaną ze względu na jéj trwanie wieczyste. Własność, zwierzchność, dziedzictwo, tak moglibyśmy przełożyć te trzy odcienia jednego pojęcia. Lecz w potocznéj mowie drugie z tych wyrażeń, w znaczeniu wskazaném nie upowszechniło się tyle, co pierwsze i trzecie. Wyrazy dominium, prawa dominialne żywcem przeszły do naszego języka, może dopiéro w nowszych czasach, bo w słowniku Lindego jeszcze tych wyrazów niema. W odpowiedniém znaczeniu ma on tylko dwór, dworszczyzna, odrabiać lub płacić dworszczyznę. Ztąd zdaje się, że pojęcie w wyrazie dominium zawarte, było obce, gdy nie zdołało sobie wyrobić powszechnie przyjętéj krajowéj nazwy. U Modrzewskiego w tłumaczeniu widzimy użyte wyrażenia: zwierzchność i panowanie (p. Bibl. Warsz. roku 1843 Tom III str. 267. Artykuł o sołtystwach przez L. Ł.)

Trzy wyżéj wskazane odcienia w pojęciu własności za czasów Długosza, mieszają się z sobą, przechodzą jeden w drugi, bywają brane za jedno. Kiedy np. Długosz (II 382) mówi „Cobylniki. . . villa cuius proprietas ad Serenissimum Poloniae regem pertinet, widocznie ma na myśli własność zupełną. Taką więcéj niż każda inna była własność królewska; niepodobna przypuszczać, aby od niéj jako oddzielne prawa odłączone być miały zwierzchność i dziedzictwo.

Jednakże czasem, lubo nader rzadko, w dziele Długosza proprietas i dominium rozchodzą się z sobą i występują oddzielnie. Przypadek ten zachodzi najwyraźniéj co do wioski Manina, o któréj Długosz tak pisze: (II str. 469).

Manina villa. . . cuius proprietas ad ecclesiam in Manina pertinet, dominium vero et jus patronatus ejusdem ecclesiae pertinet ad episcopum Lubuczensem, et episcopus Lubuczensis est unicus ejusdem ecclesiae patronus et habet ibi aliquam sortem, ex qua habet dominium supremum eiusdem villae.

Biskup lubuski był panem wsi; to jego zwierzchnie prawo było przywiązane do części, którą w niéj posiadał; miał téż prawo patronatu. Właścicielem był proboszcz.

kmieci i na miasta za używanie soli zagranicznéj, dodaje co do kmieci „haeredis contradictione non obstante, qui taliter subditos suos tenere debet ut non sint poenales."

Ze szczegółowego opisu, okazuje się, że były w téj wsi dwa łany kmiece; z tych jeden należał do proboszcza, drugi do biskupa i to było całą w téj wsi biskupa własnością. Były nadto dwie karczmy (tabernae), dwie zagrody (hortulaniae), które płaciły czynsz proboszczowi lub odbywały dla niego robociznę. On téż pobierał całkowitą dziesięcinę dla siebie i miał rolę i łąki w swojém posiadaniu.

Byłoby ciekawém i pouczającém, gdybyśmy dawniejsze koleje i początek stosunków własności we wsi Manina wyśledzić mogli; dzieło Długosza nie podaje do tego materyału. Mówi on o tejże wsi w opisie dóbr biskupa lubuskiego (I 643): In ista villa habet episcopus unam sortem, residuum est plebani de Manyna cum laneis.

Proprietas i jus supremum oddzielone są znowu co do wsi Krzczaczyn w księztwie Zatorskiem (III 66. 67). Własność należała do klasztoru Zwierzynieckiego w Krakowie; jus supremum do księcia na Zatorzu, któremu dawano po korcu owsa z czubem i dwa kuraki z łanu, a przytem płacono pięć grzywien i wiardunek zwyczajnéj monety.

Osepów i czynszów składanych panującemu we wsiach prywatną własnością będących znajduje się w księdze beneficiów zaledwie kilkanaście przykładów: w tomie pierwszym Okalina, Goyczów, Siedlec; w tomie trzecim, Sorbic, Krzeczyn, Zorzow, Radzieszów, Brunaczowska Wola, Parczowice, Bystrzyca, Łukawa. Opłaty dla kasztelana widzimy tylko w dwóch wsiach do dóbr Pabianickich należących (p. niżéj). Stacye dla króla zastrzeżone są tylko w kilkunastu wsiach biskupstwa lubuskiego, w czém można upatrywać wskazówkę, że Długosz co do dóbr tego biskupstwa czerpał wiadomości z dawnych rejestrów.

Odróżnienie *haereditas* od *dominium*, prawa dziedziczenia od prawa zwierzchniéj własności, znajdujemy w Długoszu (II str. 113). „Winary villa. . . cuius haeredes Stanislaus et Johannes Marsalkoviczi de armis Zadora, quam *nomine regis tenent.*“ W ogóle haereditas wyrażając wzgląd trwałości posiadania, nie łączyła się tak ściśle z pojęciem własności jak proprietas i dominium. Haeredes byli nazywani czasem i włościanie (Cod. dipl. Pol. II 86). Długosz zna (wieczystą), dziedziczną dzierżawę młyna prądnickiego, arenda haereditaria (III 42). Przywiléj na karczmę w Jugowicach dany zo-

stał w roku 1424 Stanisławowi Pudełko i jego prawym spadkobiercom (III 34 35).

Powyższemi tytułami oznaczone prawo własności obejmowało w części ziemie, będące w bezpośredniém posiadaniu właścicieli, w części ziemie uprawiane przez innych, ulegające pewnym obowiązkom na rzecz tak zwanych właścicieli.

Co do ziem pierwszego rodzaju nazywają się one u Długosza pospolicie praedia, agri praediales; dość często allodia, dawniejsza zdaje się od praediów nazwa; wyjątkowo aratura, nazwa jak mniemam najdawniejsza, parę razy grangia. Dziś nazywamy to folwarkiem, gruntami folwarcznemi. W Długoszu napotykamy wyrazy: folwarki I 169, Wolfarki (I 209 210), Forwarky (III 117), Wolwarfky (III 118), jako nomenklatury o niejednostajnéj jak widzimy pisowni, oznaczające gospodarstwa podmiejskie. Górnicki, najdawniejszy z autorów przywiedzionych przez Lindego co do wyrazu folwark, w podobném znaczeniu tego wyrazu używa „folwarczek nad miastem dla przejażdzki i pociechy.“ Wzorem podmiejskich forwarków (Vorwerk) wyosobniono i nazwano większe gospodarstwa wiejskie. Zanim jednak do tego przyszło, zanim allodium wyosobniło się jako osobna całość z villi (Dług. III 117 wyoszka) zdaje się iż znane były tylko dwory (curia, curtis) a dworska rola (aratura) pomieszana z innemi, w układzie wioskowym nie miała nazwy oddzielnéj.

Nie we wszystkich wsiach były folwarki. Na ogół realności obliczonych na 895, przypada folwarków duchownych 361, z czego 102 w dobrach wyższego duchowieństwa; 6 w majątkach probostw; 253 w majątkach zakonnych.

W dobrach duchownych we wsi jest tylko jeden folwark, należący do duchowieństwa. Wyjątek od tego spostrzegłem w Charwinie, majątku Benedyktynów tynieckich, którzy posiadając część téj wsi z folwarkiem, kupili drugą część od świeckiego posiadacza także z folwarkiem (praedium militare). Lecz w opisie majątków duchownych znajdują się także wsie w których było po kilka folwarków świeckich, np. w Świanczycach (Tynieckich) folwarków takich dwa, w Przezwodach folwarków trzy, w Danicach folwarków cztery. Wielość folwarków w jednéj wsi szlacheckiéj była stosunkiem zwyczajnym. Księga beneficiów, oprócz opisu majątków duchownych z wyszczególnieniem wszystkich źródeł ich dochо-

dów, zawiera także krótkie i nie tak szczegółowe wykazy wsi, będących w posiadaniu świeckich, ze względem na składane z nich dziesięciny. W tych wsiach odróżnione są posiadłości folwarczne od kmiecych jako oddzielnie, a często i różnym duchownym osobom dziesięcinę składające (1). Otóż gdzie we wsi był tylko jeden folwark, Długosz wyszczególnia to wyrażając się dość często unum tantum praedium, praedium unicum. Przykładów większéj ilości folwarków w jednéj wsi jest tyle, że przywodzić je po szczególe byłoby zbytecznem.

Folwarki w ogóle miały nie wielką rozległość. Jakkolwiek w dobrach duchownych było ich tylko po jednym na wioskę, a ztąd zapewne w przecięciu były większe niż praedia militaria, to przecież rozległość ich o ile jest wymieniona, rzadko znaczniejszych cyfr dochodzi.

Z folwarków do wyższego duchowieństwa należących w liczbie 102, znalazłem rozległość podaną w łanach przy folwarkach 23. Z tych sześć miało po jednym łanie; jeden półtora łana; ośm po dwa łany; trzy po trzy łany; trzy po cztery łany; jeden tylko (Pabianice) liczył sześć łanów, ale też Długosz dodaje: habet agros largos praediales.

W tomie II (probostwa) z folwarków których rozległość podana, dwa Brunowice i Jankowice liczą po dwa łany. Większym był od nich folwark proboszcza w Drochlinie (II str. 100 101, I str. 18) ale ten składał się z kawałków, oso-

(1) O dziesięcinach patrz pierwszą część niniejszéj pracy. Nadmieniam, że w wydanym w roku 1870 kodeksie dyplomatycznym Uniwersytetu Krak. T. I znajduje się wyrok w sprawie o dziesięciny zapadły dnia 31 stycznia 1388 roku (str. 9-12) na który, ze zwykłą sobie uprzejmością zwrócił moją uwagę senator Hube. Jest tam ustęp str. 11, et quia jure communi in Regno Poloniae dictatur, ubi colunt rustici agros in bonis haereditariis, decimae dantur *in communem cursum dictum Gonitvam*. Gonitwa zdaje się tu być wytłumaczoną w znaczeniu wyścigów (cursus). Dowodziłoby to tylko, że już pod koniec XIV wieku nie wiedziano co znaczy gonitwa w wyrażeniu dziesięcina w gonitwę. Helcel nie znając przywiedzionego wyroku słusznie zastrzegł się przeciw mięszaniu gonitwy z wyścigami (str. 50).

W liber beneficiorum ważnym i widoki Helcla zupełnie popierającym jest dokument z roku 1215, w którym dziesięcina z kilku folwarków (aratura) należących do prywatnego posiadacza, przypisana zostaje kościołowi parafialnemu z rozrządzenia samego właściciela folwarków (II 396,7).

Nareszcie w Cod. dipl. Pol. znalazłem w dokumencie z roku 1339 (III str. 206) wzmiankę o dziesięcinie przechodzącéj in gonitvam.

bne nazwy mających. Widocznie była to całość w różnych czasach skupiona. Pierwotnie obejmował ten folwark dwa łany.

W tomie III pięć folwarków ma po dwa łany; trzy po trzy łany; trzy po cztery łany; jeden pięć; jeden siedm łanów. Wyjątkowo wielkie były dwa folwarki klasztoru mogilskiego w Prandocinie i Kacicach (III 424, 425). Pierwszy miał do czternastu łanów. Powstał z sołtystwa zakupionego za 410 grzywien szerokich groszy. Większy jeszcze był folwark w Kacicach, pierwotnéj siedzibie klasztoru. Długosz mówi o nim jak o czemsiś niebywałem, „klasztor Mogilski wszystkich kmieci téj wioski, która ma ziemię żyzną usunął i złączywszy ich łany z łanami folwarcznemi dawnemi, uczynił folwark znamienity i któremu drugiego równego zaledwie znaleźć można, a zbudowawszy kilka ogromnych stodół, wielką moc zboża wszelkiego rodzaju tam składa i przechowuje, którego zboża uprawa odbywa się więcéj własnym pługiem i ludźmi swojemi niż pracą kmieci.“ (Łanów kmiecych było w Kacicach szesnaście). „Huius ville quae foecundam et uberem glebam habet omnes laneos cmethonales deposuit et antiquis praedialibus coniunctis praedium insigne et cui secundum difficulter reperitur Monasterium Mogilense fecit et aliquot horreis amplis et protensis effectis, magnam vim frumentorum cuiuslibet generis illic servat et congerit quae magis propriis colonis et aratro quam cmethonum suffragiis elaborata proveniunt.“

W ogóle zatém pola folwarczne nie były obszerne. Pole na którem sto korcy wysiewano, nazwane jest wielkiem „Campus magnus in Syedliska ubi centum chori seminantur (I 18).“ Gdyby korzec ówczesny był równy dzisiejszemu, byłaby to rzeczywiście znaczna rozległość. Lecz wykazaliśmy w pierwszéj części niniejszéj pracy małą w stosunku do dzisiejszéj objętość ówczesnego korca, i że trzy takie korce równały się jednéj miarze (mensura). O rozległości pola o stu korcach wysiewu możemy powziąść bliższe wyobrażenie ze wzmianki, że na folwarku (allodium) Przewięczany, mającym dwa łany (mansi) wysiewano trzydzieści miar (1) t. j.

(1) Łukaszewicz: Krótki opis etc. str. 297 w przypisku mówi, że z kilku rejestrów gospodarskich z pierwszéj połowy XVIII wieku okazuje

dziewięćdziesiąt korcy oziminy i tyleż jarzyny (I 646 7). Folwark oszacowany był do podatku na dziesięć grzywien dochodu (allodium valet decem marcas). Zebrane z niego zboże wartało przeszło piętnaście grzywien.

Wielkie pole w Siedliskach, jeżeli wysiewano na niém sto korcy jednego tylko zboża, nie wynosiło nawet łanu całego. Wprawdzie ten łan był dość obszerny. Świadczy o tém poczucie językowe przechowane w sposobie mówienia, którego nie widzę zaznaczonym u Lindego. Mówimy o rozległéj przestrzeni zboża „jaki łan“ „bujne łany“ i t. p.

Odpowiednie szczupłości folwarków były téż i zbiory z nich. Na folwarku Zagorzyce (III 5) zebrano raz siedm tysięcy snopów (wiązek casulae) pszenicy. Było to w r. 1456, prawie na dwadzieścia lat przed ułożeniem dzieła Długosza, który o tém jako o niepamiętném zdarzeniu zachował wiadomość, nadmieniając „res monstrosa et nonnisi ab his qui viderint credita“ (1).

Takie samo pojęcie o rozległości ówczesnych folwarków dają nam ceny dzierżawne za nie płacone. Bywały bowiem folwarki w dzierżawie, arendata. Oto niektóre z tych cen: Parskawice folwark o dwóch łanach dzierżawiony za trzy grzywny lub dwie kopy; Siedlec o dwóch łanach grzywien cztery; Zamoście o dwóch łanach grzywien dwie; Szewce kop dwie; Karniowice sześć grzywien; Damianice grzywien cztery; (p. tom I). Prandnik trzy łany, grzywien dziesięć (III). Niektóre z tych cen nie wyrównywają przychodowi jaki właściciel pobierał z jednego łanu kmiecego, jak niżéj zobaczymy.

Folwarki mnożyły się, ich obszerność wzrastała, w części przez zakup sołtystw, który nawet prawem upoważniony został, w części przez usuwanie kmieci. Jednego i drugiego

się, iż kmieć na łanie wysiewał 15 ćwiertni poznańskiéj miary oziminy i tyleż jarzyny. Według tego ćwiertnia byłaby polską nazwą mensury, gdy 15 mensur wysiewano na łanie według Długosza. Ćwiertnia poznańska obejmowała 4 wiertele każdy po 18 garcy. Obszerność łanu Wkopolskiego Łukaszewicz oznacza na 126-180 morgów magdeburskich; porównaj Kolberg, porównanie miar i wag, wydanie 2-gie w roku 1838 str. 51 52.

(1) W indeksie do Liber beneficiorum *cassula* objaśniona jest przez snopek a *casula* przez stóg siana, z powołaniem się na I 537. Atoli cassula i casula jest jeden i ten sam wyraz. Stogi, brogi, sterty zwały się *acervi*, frumenta in acervos disponere, por. I 276 534.

przytoczyliśmy pojedyncze przykłady. W Liber beneficiorum jest ich bardzo wiele, a więcéj jeszcze w majątkach świeckich niż w duchownych.

Daleko mniéj liczne, lecz wcale nie rzadkie są przykłady odwrotne, t. j. zamiany ról folwarcznych na kmiece. Następowało to w razach, gdy gospodarstwo rolne nie przynosiło właścicielowi dochodu. W Piechonicach np. do kapituły krakowskiéj należących, folwark osadzony został kmieciem, ponieważ więcéj sprawiał wydatku niż czynił dochodu „praedum quia plus constabat quam proferebat locatum est cmethone.“ W ogóle można powiedzieć, dążność była dwojaka. W gruntach mocnych i żyznych pozbywano się kmieci, zakładano i zwiększano folwarki; w gruntach lekkich i płonnych na folwarcznych rolach osadzano kmieci. Podobną dążność dostrzedz można było u nas przed rokiem 1846.

Do folwarków zaliczyć także można grunta probostw we wsiach cudzą własnością będących. W księdze beneficiów nie mają one innéj właściwéj sobie nazwy. Długosz używa zwykle wyrażeń: ecclesia albo plebanus habet agros et prata pro suo usu et necessitate albo pro suo praedio. Jest nawet folwark sołtysa, praedium scoltetiale (III 454).

Systemat gospodarowania na folwarkach był w ogóle trzy polowy; lecz są przykłady cztero polowego podziału. Taki systemat gospodarowania zaprowadziły u siebie Górka mała, Grambołów, Mistrzowice, Kuchary, Grabków, Bieńczyce, Tampoczół i pleban w Pabianicach. Rzadsze są przykłady podziału na dwa pola, Chroszcz w dobrach klasztoru staniątkowskiego.

Sposób obrabiania pól folwarcznych łączy się z kwestyą powinności włościańskich: zastanowimy się nad nim poniżéj.

Przestrzeń lasem zarosła stanowiła podówczas większą zapewne część kraju: ten właśnie nadmiar wegetacyi drzewnéj czynił ją bezcenną w największéj liczbie okolic i był powodem, że na stosunki własności i użytkowania *borów i gajów* w ogóle mało zwracano uwagi. Wzmianki jakie się w tym względzie znachodzą u Długosza, są, rzec można wyjątkowe, dowodzą że już w niektórych okolicach drzewo nabierało wartości. Przytaczać je po szczególe nie widzimy potrzeby, gdy na stan ówczesnego gospodarstwa krajowego nie wywierają znaczniejszego wpływu.

Jedném z ważnych źródeł dochodów większych właścicieli stało się w późniejszym czasie wyrabianie i przedaż trunków, mianowicie wódki i piwa. U Długosza o wódce nie widzimy żadnéj wzmianki. Piwo przedawane było a w części i wyrabiane w karczmach, które należały nietylko do dworów, lecz często także do sołtysów, a czasem lubo rzadziéj i do proboszczów (II 354). Stosunek ten w Długoszu jest jeszcze zupełnie *konkretny*; nie mówi on o prawie warzenia i szynkowania; wyrażenia jus braxandi, jus propinandi ani razu nie napotykają się w księdze beneficiów. Natomiast liczne są wzmianki o tabernach. W niektórych wsiach, lecz bardzo rzadkich, jest taka ilość tabern, że to dało powód p. Maciejowskiemu w jego rozbiorze księgi beneficiów (Bibl. Warsz. roku 1864 str. 117) do wniosku iż Długosz pod wyrazem taberna rozumie wzorem klassycznéj i średniowiecznéj łaciny, raz wieśniaczą chatę, drugi raz karczmę. Takie rozumienie wyrazu taberna byłoby jednym dowodem więcéj, że prawo propinacyi za czasów Długosza jeszcze się nie wyosobniło.

Przemawia za tem naturalna koléj rzeczy. Wyrabianie i wyłączna przedaż trunków nie jest prawem z własności gruntu wynikającem, tak jak nie wynika z własności gruntu wyrabianie i przedaż płótna, sukna, bednarszczyzny i t. d. Można się trudnić wszelkiemi rodzajami przemysłu bez upoważnienia właściciela gruntu na którym się mieszka: zkądże odmienny stan rzeczy z biegiem czasu wykształcił się, co do wyrobu i przedaży trunków?

Powiedzieliśmy już, że okoliczność ta nie zostaje w związku z własnością ziemi (proprietas), jak wielu mniema. Propinacya nie jest owocem ziemi ani użytkiem z niéj ciągnionym. Drugi element średniowiecznéj własności, dominium, prawo zwierzchnie nad ludnością na gruncie zamieszkałą przyczynił się pośrednio do wytworzenia prawa propinacyi; ale nie jest jego źródłem. Na mocy prawa dominialnego właściciele pobierali od procederów pewne opłaty tam, gdzie te procedery główne zajęcie mieszkańców stanowiły, a więc mianowicie po miastach, czasami i na wsiach. Tak np. w tenucie Pabianickiéj, kmiecie i mieszkańcy po wsiach (cmethones et incolae) trudniący się kołodziejstwem, dawali rocznie pro dominio wóz z dwoma kołami nowemi, lub pła-

cili groszy sześć; gonciarze dawali pro dominio po siedm kóp gontów i t. p. (I 292). Te opłaty zazwyczaj drobne rozciągane były i do warzących i sprzedających piwo i miód, w tym samym lub podobnym rozmiarze co i na innych procederentów, lecz okoliczność ta nie tylko istnienia prawa propinacyi nie dowodzi, ale je wyłącza. Kto opłatę od procederu przez drugich wykonywanego pobiera, ten prawa do wyłącznego wykonywania procederu nie rości.

Długosz dostarcza przykładów opłat propinacyjnych po miastach. W Koprzywnicy (III 378) każdy dom, jeżeli nie warzył piwa, płacił właścicielowi, którym był klasztor koprzywnicki, po groszu jednym; jeżeli warzył piwo, po groszy dwa »quaelibet domus si non braxat cervisiam solvit de fundo et area unum grossum, si vero braxaverit cervisiam solvit duos grossos". Podobnież każdy rzemieślnik płacił po dwa grosze.

Opłata od warzenia piwa równa się tu opłacie od każdego innego rzemiosła. Opłata ta nałożona była na mocy dominium eminens, władzy publicznéj nie oddzielonéj wówczas od własności gruntowéj (proprietas), lecz nie jest to jeszcze jus braxandi et propinandi. Mieszczanie warzyli piwo, kiedy chcieli i swoje wary szynkowali. W Pabianicach każdy warzący lub szynkujący piwo płacił kapitule, tych dóbr dziedziczce, po jednym groszu, warzący zaś lub szynkujący miody po dwa grosze zwykłéj monety (I 274). I tu opłata jest zwykłą opłatą procederową. Przytem dwór w Pabianicach sam warzył także piwo, bo kmiecie należącéj do Pabianic wsi Rypułtowskiéj Woli obowiązani byli zwozić do dworu pabianickiego drzewa ile potrzeba do warzenia piwa, item tenentur pro curia in Pabianice adducere ligna pro braxatione cerevisiae quotquot sunt necessaria (I 291). Jest to jeden z rzadkich przykładów trudnienia się podówczas dworów warzeniem piwa. Por. I 629.

W Kłobucku mieście królewskiem, mieszczanie i przedmieszczanie szynkujący piwo i miód płacili klasztorowi w tém mieście istniejącemu po groszu od szynkowania piwa, a po trzy grosze jeżeli oprócz piwa szynkowali i miody. Opłata nazywała się *guthowe* (1); dla wykazania istnienia pod ów-

(1) Tekst drukowany (III 166) wprowadza w tém miejscu w błąd czytelnika a nawet specyalnych badaczów. Wydrukowano bowiem buthowe

czas prawa propinacyi dziedzica, tém mniéj przywodzoną być może, gdy klasztor dziedzicem Kłobucka nie był, lecz miasto należało do własności królewskiéj.

Widzimy jak małe po większéj części były opłaty od propinacyi pod bezpośrednim wpływem prawa dominialnego powstałe. Na tych opłatach ograniczała się cała korzyść właściciela ze sprzedaży trunków po miastach. Na wsiach przedaż trunków nie była również za czasów Długosza źródłem znaczniejszych dochodów dla właścicieli. Karczmarze na wsiach byli rodzajem włościan, mających nawet zwykle lubo nie zawsze swoją rolę, lecz zajmujących się głównie warzeniem i szynkowaniem piwa, a czasem rzezią bydła, co oprócz wyraźnych wzmianek ztąd się okazuje, iż w daninie składali dworowi dość często łój, tak jak jatki rzeźnicze miejskie. Czynsz przez nich opłacany był wyższy od włościańskiego; natomiast karczmarze zwykle wolni byli od zaciągu i tylko dodatkowe roboty np. tak zwane powaby odbywali. Również po większéj części wolni byli od danin i osepów, tak, że osada karczmarska, gdy i czynsz z niéj nie był zbyt wysoki, często nie wiele więcéj co osady kmiece czyniła dworowi dochodu. Karczmarze szynkowali piwo bądź swego waru, bądź zkądinąd sprowadzone. Nie widzę w księdze beneficiów śladu, iżby piwo brali ze dworu, co się późniéj namietaniem zwało (por. Łukaszewicz krótki opis miast i wsi w powiecie Krotoszyńskim str. 41) lub iżby dwór na siebie trzymał karczmę. Dwór zwykle nawet piwa nie robił; zdarzało się że obowiązek robienia piwa na potrzeby dworu ciążył karczmarza (I 343) lub też dwór dawanie sobie przez karczmarza piwa w naturze zastrzegał.

Wyrób i przedaż trunków wykształciły się nieco odmiennie na wsiach i po miasteczkach; lecz tu i tam zysk właścicieli polegał tylko na umiarkowanéj opłacie od procederentów, wynikającéj z prawa dominialnego; korzyści z wyrobu

co dało pochóp p. Maciejowskiemu l. c. do poprawienia buthowe na butkowe (budkowe), a nawet w innem miejscu (III 4) guthowe na butkowe. W indeksie (str. LVII) znajduje się objaśnienie, że *buthowe* jest tylko błędem kopii, z któréj druk księgi beneficiów uskuteczniony został; w autografie bowiem stoi w tém miejscu tak jak w innych *guthowe*. To więc czytanie jedynie jest właściwem.

i wyłącznéj przedaży trunków po cenach wyższych niż targowe, właściciele jeszcze nie ciągnęli.

Kwestya propinacyi zaczęła nabierać znaczenia, prawo to osiągnęło faktyczną podstawę dopiéro z rozszerzeniem się fabrycznego wyrobu trunków i z tym rodzajem wyrobu zostaje w ścisłym związku.

Wzmianki o browarach ściągają się w księdze beneficiów tylko do miast większych, Krakowa, Wiślicy, Sandomierza. Na wsiach a nawet i w miastach pomniejszych nie było osobnych browarów. Mieszczanie warzyli piwo po domach, karczmarze na wsi w karczmach. Ze wzmianek iż w Pabianicach, Pyrkowie, Swyrszach właściciele warzyli piwo, nie można jeszcze czynić wniosku, iżby w tych miejscowościach istniały osobne browary. I po dworach warzono piwo sposobem domowym; do fabrykacyi na większą skalę nie było podniety, gdy szczupłe podówczas i nieliczne folwarki nie wywoływały kwestyi odbytu dla pomiernych swoich plonów.

Lecz już za czasów Długosza panowała dążność do pomnażania i powiększania folwarków. W miarę wzrostu gospodarstw większych, zaczęła się dla nich przedstawiać kwestya nie łatwa do rozwiązania, przy małem zaludnieniu kraju i kommunikacyach w stanie natury zostających. Szukając dróg odbytu zaczęły dwory warzyć piwo, a następnie palić wódkę w większych rozmiarach na sposób fabryczny. Ztąd dopiéro wyrodziło się dążenie do monopolu, ztąd powstało prawo propinacyi czyli wyłącznego wyrobu i przedaży trunków. Do zapewnienia sobie tego monopolu, posłużyło dworom prawo dominialne co do swéj rozciągłości ustawami nie określone, lecz jak wykazaliśmy, propinacya nie w tém prawie ma swoje źródło. Nie jako rolnik właściciel, nie jako pan zwierzchni, ale jako fabrykant dążył właściciel wioski wyrabiający piwo i wódkę do zapewnienia odbytu swemu wyrobowi, a pan zwierzchni osłaniał tylko swoją powagą zachcianki fabrykanta.

W podobny sposób i za granicą powstawały jura bannaria. Znane było np. we Francyi droit de ban-vin, prawo służące właścicielowi głównemu sprzedania swego wina zanim inni mogli zacząć je sprzedawać. Cibrario pisząc o stanie ekonomicznym Włoch za czasów Danta (Révue contemporaine 15 maja 1868 r.) odróżnia dominium eminens,

directum, utile i mówi o władzy dominialnéj, „Elle se fit marchande, détaillante à des prix toujours plus élevés que les cours naturels de certaines denrées et marchandises, le vin, le sel, la pelleterie de luxe, le fer, l'acier, la poix; ce monopole se restreignit pour le vin á un on deux mois chaque année.“ Monopol przekracza tu granicę wyrobów miejscowych. Przywiedzione przez Cibraria przedmioty nie były jedyne, które uległy prawu monopolicznéj przedaży. Duch monopolu jest niewyczerpany w swoich wynalazkach (1).

Okoliczność, że monopol zjawia się dopiéro przy produkcyi fabrycznéj, tłumaczy nam, że przymus mlewa nastał u nas piérwéj niż prawo propinacyi. Piérwéj były młyny niż browary i gorzelnie. Istnienie przymusu mlewa Długosz wyraźnie i niejednokrotnie zaświadcza, np. co do wsi w włości pabianickiéj położonych w słowach: „cmethones in molen-

(1) Kilka z ciekawszych jego nowoczesnych a krajowych objawów możemy tu przywieść na podstawie akt urzędowych.

Przed laty około dwudziestu, właściciel dziś już nie żyjący obszernych dóbr nad granicą Królestwa położonych, w których sól z zagranicy sprowadzana była przedmiotem defraudacyi, zawarł ze starozakonnym umowę, przez którą zobowiązywał się za dość znaczną roczną opłatą, czuwać nad tém, aby w obrębie jego dóbr nikt inny oprócz rzeczonego starozakonnego soli przemycanéj nie sprzedawał. Tak powstał nieznany dotąd monopol przedaży soli defraudowanéj. Spekulacya zakończyła się wymierzeniem kary fiskalnéj na biorącego i wypuszczającego monopol w dzierżawę.

W r. 1810 znowu właściciel miasteczka Golina pod Koninem nadał starozakonnemu monopol przedaży soli w tém miasteczku, a następnie wytoczył proces przeciwko trzem mieszkańcom przedającym sól na własny rachunek i co dziwniejsza uzyskał wyrok b. Sądu Najwyższéj Instancyi, z d. 23 lutego (6 marca) 1840 r. przychylający się do jego żądania.

W Prusach co do krajów Księztwa Warszawskiego przeszłych pod to panowanie, sądy różnie rozstrzygały kwestyę, czy mianowicie przymus mlewa zniesiony został przez zaprowadzony w Księztwie Warszawskiem kodeks Napoleona (art. 686). Za zniesieniem oświadczył się Ober Landes gericht w Kwidzynie (Marienwerder). Do tego rozumienia prawa przychyliło się Ministeryum Sprawiedliwości pruskie decyzyą z d. 1 czerwca 1827 r. W W. K. Poznańskiem prawa przymusowe trwały faktycznie do roku 1833, w którym zniesione zostały ustawą z d. 13 maja 1833 r. (Gesetzsammlung za r. 1833 str. 59). Również zniesiono inną ustawą tejże daty (tamże str. 55) opłaty dominialne. Systemat indemnizacyj w obu razach był odmienny, co do przymusu trunkowego tak urządzony, iż niewiele się różnił od bezpłatnego zniesienia.

Co do wpływu kodeksu Napoleona na przymus trunkowy, porów. rozprawę A. K. w Bibl. Warsz. 1861 I. s. 298—300.

dino capituli molere tenentur.“ Przymus ten rozciągający się nawet do mielenia słodu,—w Skarbimirzu (I 517) jest molendinum in quo oppidani de jure et consuetudine tam brasca sua molunt quam frumenta; ma już w Długoszu techniczną nazwę. Jestto necessitas molendi, czemu odpowiada prawo mielenia jus molendi. Kto był obowiązany mléć w pewnym młynie, miał téż i prawo aby mu zmielono: Molendinum in quo oppidani nullum jus habent molendi vel necessitatem, mówi Długosz (I 517). Przymus mlewa nie zostawał w ścisłym związku z własnością ziemi, bo przysługiwał nawet sołtysom i wójtom, gdy ci byli posiadaczami młynów, np. w Wiskitnie (I 287), w Łagowie gdzie przymus rozciągał się i do mielenia słodu (I 621), lecz tylko dla ludzi wójtowskich, homines advocati. Że przymus mlewa za czasów Długosza nie był bezwyjątkowym, to wynika z takich wzmianek, jak np. o wsi Bodzowie (I 110). Nie było w téj wsi młyna. Długosz nadmienia, że kmiecie mielą we wsi Błoniu lub gdzie im się podoba, cmethones molunt in Blonye vel ubi volunt. Podobnież w Okalinie i Gojczu (I 397—8) molunt ubi possunt. Gdyby wybór młyna zależał zawsze od woli kmieci, zbyteczną byłaby wzmianka że tak jest w Bodzowie, Okalinie i Gojczu, lecz uwydatnienie wyjątku wymagało oddzielnego zastrzeżenia.

Fabryczny wyrób trunków rozwinął się najprzód w miastach. Ztąd téż po stronie miast spostrzegamy piérwsze usiłowanie zapewnienia sobie monopolu i to nie tylko w obrębach miejskich, ale i na wsiach. Lecz miasta pozostawione własnym siłom nie miały u nas dostatecznéj przewagi, aby temu uroszczeniu zjednać skuteczne uznanie. W poparciu więc swoich roszczeń użyły pomocy, zapewne nie zupełnie bezinteresownéj, starostów. Ślad tych usiłowań pozostał w naszém prawodawstwie. Statut Jana Alberta z roku 1496, piérwsza z ustaw naszych odnoszących się do propinacyi, wzbroniła starostom zmuszać mieszkańców wsi do brania piwa z miast królewskich, zapewniając zupełną wolność sprowadzania wyrobów i przedaży wszelkich trunków tak właścicielom wsi jak ich poddanym:

Abusum illum quo ad recipiendas in villas de civitatibus et oppidis nostris cervisias, spirituales et saeculares subditi nostri specialiter in Brestensi Junivladislaviensi et Ra-

dzieioviensi, aliis quoque terris et districtibus compellebantur, tollimus et abolemus perpetuo decernentes statuentes que illos et alios ubique locorum in regno nostro constitutos, *villarum dominos eorumque subditos* in hac libertate conservandos ut liceat cuique cerevisias et liquores alios undecunque recipere sumere in villisque et aliis locis ditionis eorum braxare et braxari facere ac undecumque maluerint aut voluerint sumere, habere, propinare et utifrui libere absque omni nostrae et capitaneorum nostrorum prohibitionis arresti ac poenae formidine (1).

Widzimy, że we dwadzieścia przeszło lat po ułożeniu księgi beneficiów, właściciele dóbr nie tylko nie wykonywali prawa wyłącznego wyrobu i przedaży trunków w obrębie swoich dominiów, ale jeszcze sami potrzebowali opieki prawodawstwa dla zapewnienia, lecz nietylko sobie ale i swoim poddanym, wolnego sprowadzania, wyrobu i przedaży trunków, praw zagrożonych przez uroszczenia miejskie.

Powstanie monopolu dziedziców do późniejszych czasów odnieść należy.

Skreśliliśmy główne stosunki własności folwarcznéj, jak się nam przedstawiają w opisie Długosza. Nie dotknęliśmy wszakże środków uprawy obszarów dworskich, gdy te łączą się ze stosunkami włościańskiemi, do rozbioru których na podstawie księgi beneficiów przystępujemy.

Oprócz młynarzy i karczmarzy o których już mówiliśmy, spostrzegamy pomiędzy ludnością wiejską sołtysów i wójtów (sculteti, advocati) kmieci (cmethones), zagrodników (hortulani). Są też wzmiankowani czasem mieszkający na wsiach coloni, incolae, inquilini, hospites, najemnicy (qui pro pretio cmethonibus laborant I s. 534) i t. p.

Zastanawiając się nad stosunkami ludności wiejskiéj za czasów Długosza, zwraca naprzód uwagę, że wzmianki o pra-

(1) Potrzeba małej znajomości dawnego naszego prawodawstwa obok zakorzenionych uprzedzeń, aby na tekscie wyraźnie zastrzegającym zupełną wolność sprowadzania, wyrobu i przedaży trunków tak właścicielom dóbr jak ich poddanym, opierać wyłączne w tym przedmiocie prawo pierwszych, (por. sprawozdanie przedstawione sejmowi galicyjskiemu w r. 1869 na posiedzeniu 25, tudzież rozprawę A. K. o prawie propinacyi i jego rozciągłości w naszym kraju w Bibl. Warsz. rok 1861. T. I. s. 277, 278). Ostatni utrzymuje, że wyrazy eorumque subditos należą do motywów ustawy, a nie do rozporządzenia w niéj zawartego!

wie niemieckiém rzadko się w księdze beneficiów napotykają. Na wsiach niéma ich w téj księdze więcéj nad kilkanaście.

Tylko w jednéj tenucie pabianickiéj, nadanéj kapitule krakowskiéj jeszcze w jedénastym wieku, oznaczono co do każdéj wioski, z wyjątkiem Rżgowa, w którym podówczas zakładano miasto, czy jest na prawie polskiém, czy na niemieckiém osadzone. W dobrach biskupa włocławskiego w dyecezyi krakowskiéj położonych, wymieniono co do kilku wsi, że są na prawie niemieckiém i jest na końcu opisu tych dóbr ogólne zastrzeżenie, że wszystkie wioski na prawie niemieckiém istniejące, winny płacić i płacą corocznie *obiednego* po jednym wiardunku, a wójt także jeden wiardunek z wyjątkiem wsi Lyechów... Item omnes villae in jure Theutonico residentes debent solvere et solvunt omni anno pro obyedne per unum fertonem et advocatus etiam unum fertonem, dempta villa Lyechów (I 629). Ponieważ przy opisie Lyechowa niéma uczynionéj wzmianki, iżby ta wieś była na prawie niemieckiém, pod którą ją podciąga zastrzeżenie końcowe, widać ztąd, że pomiędzy wsiami biskupa włocławskiego były, prócz wyraźnie wymienionych jako istniejące na prawie niemieckiém i takie, które toż prawo posiadały, chociaż o tém opis Długosza wzmianki nie uczynił.

Oprócz powyższéj wzmianki o powszechném płaceniu obiednego przez wsie na prawie niemieckiém będące w dobrach biskupa włocławskiego, mamy inne jeszcze powody do wniosku, że ta opłata w takich tylko wsiach istniała i była w nich powszechną. Z opisu tenuty pabianickiéj, jedynéj massy dóbr w któréj osadzenie wsi na prawie polskiem lub niemieckiém jest w Długoszu systematycznie podane, przekonywamy się, iż we wszystkich wsiach na prawie niemieckiém osadzonych, prócz Warszyna, płacono obiedne, we wszystkich wsiach na prawie polskiem będących nie uiszczano téj opłaty. Wskazane tu okoliczności upoważniają do wniosku, że obiedne było charakterystyczną opłatą wsi na prawie niemieckiem osadzonych, a ztąd że gdziekolwiek w opisie Długosza jest wzmianka, iż wieś jaka płaciła obiedne, jak np. w dobrach klasztoru tynieckiego Kawieczyn, Kamienica i t. d. albo że dawała obiady jak w Prądniku (III 210), możemy przyjąć że wieś ta była prawem niemieckiem nadana, chociaż Długosz o tém wyraźnie nie nadmienił.

Stwierdza to zdanie przywiléj na sołtystwo w Płowcach, przedane w roku 1363 przez Oswalda kasztelana Słońskiego, pana na Płowcach jego wiernemu (fideli) Stefanowi Wojciechowiczowi, kmieciowi w Płowcach za 50 grzywien denarów toruńskich. Powiedziano tam: gdy wsie niemieckie mianowicie kmiecie z sołtysem, trzy obiady panu swemu zgotować są obowiązane, chcemy aby rzeczony sołtys za trzeci obiad, który jego dotyczy, płacił nam corocznie groszy dwanaście... cum igitur villae Theutunicales videlicet kmethones cum Sculteto tria prandia domino suo parare teneantur, volumus ut dictus Scultetus pro tertio prandio quod ipsum tangit nobis solvat annis singulis duodecem grossos (Cod. dipl. Pol. T. I str. 224).

Obiedne zostawało w związku z ustrojem sądownictwa we wsiach na prawie niemieckiem osadzonych. We wsiach tych niższe sądownictwo sprawowali sołtysi, pobierając zwykle trzeci denar, t. j. trzecią część opłat sądowych mniejszych, poenae parvae, dla siebie, a dwie trzecie części oddając dla dworu, dominium. Lecz trzy razy do roku odbywały się sądy wielkie, sądy gajone albo wiece, dla spraw ważniejszych i z odwołań się od wyroku sołtysa. W tych sądach przewodniczył pan wioski, albo wyznaczony przez niego zastępca; opłaty sądowe szły w całości dla dworu, obowiązkiem zaś było kmieci i sołtysa podejmować przedstawiciela władzy dominialnéj. Zwykle kmiecie dawali dwa obiady, sołtys trzeci, co zapewne zostaje w związku z udziałem sołtysa w dochodzie z mniejszych kar sądowych. Zamiast obiadu składano najczęściéj pieniądze i to się nazywało *obiedne*. Tak np. w przywileju na osiedlenie wsi Jodłowa na prawie niemieckiem magdeburskiem, pisze Kazimierz Wielki 30 września 1359 roku :

Nadto wspomnieni sołtysi i kmiecie trzy razy w roku kiedy wiece zwykły się odprawiać, podejmować będą naszego posła i wydatki przyzwoicie opatrzą, mianowicie sołtys raz jeden, a kmiecie razy dwa, albo téż za każdy obiad wiardunek groszy zapłacą... insuper Sculteti et Cmethones memorati ter in anno, quando judicium generale consuetum est celebrare, nuntium nostrum recipient et in expensam videlicet Sculteti semel et Cmethones bis decen ter procurabunt aut pro quolibet prandio, unum fertonem grossorum persolvent (Cod.

dipl. Pol. T. III str. 259). Podobnież tamże str. 261, gdzie o sądach trzy razy w roku odprawianych mówi się: sądy wielkie zwane gajone judicia magna quae ter in anno fieri consueverunt quae bannita dicuntur (1).

Żadna inna cecha prócz obiednego nie okazuje się dość stateczną, iżby istnienie jéj za pewną wskazówkę nadania wsi prawem niemieckiem poczytać można.

Tak np. z opisu tenuty pabianickiéj widzimy, że wszystkie wsie na prawie niemieckiem osadzone, miały kiedyś sołtysów, którzy jednak za czasów układania księgi beneficiów byli już wykupieni w Rzgowie, Chocianowicach, Kalnie wielkiem. W opisie wsi prawa polskiego co do Jutrkowic, Bichlowa i Górki wielkiéj, niéma wzmianki o istnieniu lub nieistnieniu w tych wsiach sołtystwa; co do Rakowskiéj Woli czytamy, że był w niéj sołtys, lecz go wykupiono; przy wszystkich innych wsiach jest wyraźna wzmianka, że w nich sołtysa niéma.

Możemy ztąd wnioskować, że sołtystwa były niegdyś właściwością wsi na niemieckiem prawie osiadłych, wszakże ze skupem sołtystwa wieś nie przechodziła pod prawo polskie. Były téż choć rzadziéj sołtystwa i we wsiach prawa polskiego. (Por. Łukaszewicz krótki opis str. 267—270). O sądowym ustroju tych ostatnich, księga beneficiów mało co nadmienia. Dawniejsza od księgi beneficiów, Księga prawa zwyczajowego polskiego (Helcel Tom II) wykazująca stan rzeczy pod koniec trzynastego wieku, choć może nieco późniéj ułożona, zna we wsiach polskich starostów, Włodarzy, szafarzy i komorników (s. 16—23); starostę czasami nazywa-

(1) Oprócz obiednego była inna opłata mająca związek lubo nie tak ścisły z sądami, trzy razy do roku odbywanemi, tak zwane oprawne lub oprawa. Pobierano ją na wielkie sądy w Kaszowie, Szydzinie, Opatkowicach (III. s. 187, 191, 194). Obok obiednego płacona była we wsiach niektórych opactwa Tynieckiego np. Januszkowice, Bryszka, Ujazd, Wróblew. O Kobylanach (I. 7) mamy wyraźną wzmiankę, że płaciły oprawne i napisne ale nie płaciły obiednego. W Charwinie płacono oprawę raz na rok (III. 211.) Zapewne jest to ta sama opłata, którą pod nazwą odprawcowe widzimy wymienioną pod r. 1255 (Cod. dipl. Pol. III. 65). Był oficialista sądowy zwany oprawca. Dla niego zapewne szła owa opłata; por. Helcel Pomniki II. s. 116 Pelca do Carncow innocenciam suam de furticinio super quo per Zyndranum *Opprawcam* do quibusdam equis furatis fuit accusatus per sex testes ydoneos .....compurgavit (r. 1401).

Inni badacze inaczéj rozumieją oprawne. Księga beneficiów, zdaje się dokładniéj tę rzecz wyjaśnia.

no sołtysem (O sołtystwach s. 310 z Vogta). Szafarze znani są we wsiach M. Poznania (tamże str. 328 z Łukaszewicza). Księga beneficiów wspomina według Indeksu, raz jeden tylko włódarz *vladarius* T. I s. 546. Tytuł ten dany jest kanonikowi będącemu drugim prebendarzem sandeckim. *Vladarius episcopalis Sandecensis.*

W pabianickich dobrach w większéj części wsi prawa polskiego, widzimy składany osep w ziarnie, którego we wsiach prawa niemieckiego niéma, z wyjątkiem częściowym co do Chocianowic, gdzie dziewięciu kmieci osep składało, dziewięciu zaś było wolnemi od niego. Sama nazwa osep w łacińskim tekscie Długosza zatrzymana, wskazuje na miejscowy początek téj powinności. Lecz jak już nadmieniliśmy, dla wsi prawa polskiego powszechna ona nie jest. Zdarza się téż choć rzadko we wsiach prawa niemieckiego, u Długosza w Chocianowicach (1) i Tampoczole. W przywileju Kazimierza Wielkiego z dnia 4 października 1359 r. dla wsi Skawinka, mającéj się założyć na prawie niemieckiem, król uwalnia wprawdzie osadników od sepu czyli annony i od robót, lecz tylko na lat dwadzieścia. Wolność od osepu nie może zatém służyć za cechę wyróżniającą wsie na prawie niemieckiem.

W ogóle rzec można, za czasów Długosza zacierała się już różnica między osadami na prawie polskiem i niemieckiem tak, że Długosz nie uznał po większéj części potrzeby zaznaczać téj odmienności praw. Zawsze było wolno przechodzić z prawa niemieckiego na polskie, ale dopiéro po czasach Długosza wypadek ten częściéj zachodzić począł, skoro forma prawna ustaliła się, według Zawadzkiego Processus judiciarius str. 7, w roku 1527, za dekretem królewskim wydanym w tym przedmiocie w sobotę przed Ś. Fabianem i Sebastyanem.

Jednakże dla bliższego oznaczenia różnic w powinnościach wsi na prawie ziemskiem niemieckiém, posłużyć może opis tenuty pabianickiéj w księdze beneficiów, gdy w opisie tym odróżnienie obu praw jest jak nadmieniliśmy systematycznie przeprowadzone.

(1) Być może, iż Chocianowice były naprzód wsią na prawie polskiém i że dawniejsi osadnicy zostali przy swoich powinnościach, gdy osiadający późniéj na warunkach prawa niemieckiego uzyskali nadanie tego prawa dla całéj wioski.

Pabianice czyli kasztelania Chropy nadaną była w r. 1084 czy 1086 przez Władysława Hermana za wstawieniem się jego małżonki Judyty kapitule krakowskiéj.

Dobra te odległe od Krakowa, w obcéj dyecezyi położone, z początku kapituła zaniedbała. Tego zaniedbania użył za pozór Kazimierz Sprawiedliwy do zajęcia na siebie dóbr rzeczonych, które dopiéro w roku 1189 kapitule zwrócił, pisząc w dokumencie (u Gładyszewicza Żywot błogosławionego Prandoty str. 254, z niego u Zeissberga Vincentius Kadlubek str. 26) że zajął na siebie „Chropensium provinciam" gdyż była a multis retro neglecta, i zwraca ją kapitule w lepszym stanie (emendatam). Pomimo tych ulepszeń w kulturze, Pabianice jeszcze w roku 1286 nazywały się kasztelanią Pustkowicką, kiedy Leszek Czarny w ugodzie z Pawłem z Przemankowa uwolnił je od powinności książęcych. (Tłumaczenie polskie dokumentu z transumptu dotąd w oryginale nie wydanego, w Przezdzieckiego Pawle z Przemankowa, Bibl. Warsz. 1851 T. II str. 237—240). Można więc uwierzyć Długoszowi gdy nadmienia, że w czasie nadania, Pabianice były lesiste i mało miały osad. Większe zasiedlenie Pabianic liczyć dopiéro można od końca dwunastego wieku. Za czasów Długosza było w tych dobrach dwa miasteczka (oppida) i 28 wsi.

Zwykle dzierżawił te dobra na lat trzy jeden z prałatów i kanoników krakowskich „qui melior politicus et justitiarius esse creditur" płacąc kapitule dwieście lub trzysta grzywien rocznéj dzierżawy, co na dzisiejszą monetę wyniesie około tysiąca do tysiąca pięćset rubli srebrnych.

Miasta były, Pabianice, prawem niemieckiem szredzkiem nadane i Rzgów z wioski na miasto za Kazimierza III zamienione, o którego nadaniu prawem niemieckiem Długosz nie czyni wzmianki. Jako wieś, Rzgów zostawał pod prawem niemieckiem, gdy kmiecie płacili obiedne. W dwóch tych miastach było łanów $44\frac{3}{4}$.

Wsi na prawie polskiem było 21; w nich łanów $219\frac{1}{2}$;

Wsi na prawie niemieckiem 7; w nich łanów 101 (do czego dołączyć można Rzgów, gdzie było 9 łanów kmiecych).

W przecięciu więc wsie na prawie niemieckiem mają więcéj łanów niż wsie na prawie polskiem; stosunek jest prawie jak 15 do $10\frac{1}{2}$.

Powinności włościańskie dla dworu tak w Pabianicach jak w ogóle dóbr duchownych, wykazane w księdze beneficiów dają się ująć we cztery gruppy:

Czynsz (*census*) i drobne opłaty.

Osep (*annona*).

Daniny (*daciae*).

Robocizna (zaciąg, labor i t. d.).

Czynsz płacony był przez kmieci z łanu; wysokość jego wynosiła we wsiach polskich:

1	wieś	po 18	groszy
1	„	„ 24	„
11	„	„ 30	„
1	„	„ 32 czy 36 (1)	
3	„	„ 34	„
1	„	„ 37	„
2	„	„ 40	„
1	„	„ 43	„
1	„	„ 50	„
22			

W miastach i wsiach na prawie niemieckiem:

1	(Pabianice)	po	8	groszy (6 gr. szerokich)
1	Rzgów	„	28	„ (14 skojców)
1	„	„	9	„
1	„	„	18 i 30	W Chocianowicach i Kalnie Wielkiem część kmieci płaciła po 18 groszy, część więcéj.
1	„	„	18 i 48	
1	„	„	21	„
1	„	„	22	„
1	„	„	25½	„
1	„	„	30	„

2 miasta i 7 wsi.

Osep. W dziewięciu wsiach polskich po cztery korce pszenicy i cztery korce owsa z łanu; w trzech po cztery korce owsa; w dziewięciu niéma osepu.

(1) Jest to wieś Patrykozy po 1460 r. przykupiona; czynsz oznaczono na sedecim scottos, tres fertones pro f. Scti Martini. Może tu zachodzić pomyłka.

W miasteczkach i wsiach niemieckich niéma osepu, z wyjątkiem tylko tych kmieci w Chocianowicach, którzy płacili po 30 groszy czynszu.

Wsie polskie nie dające osepu zamieszczone są na końcu z wyjątkiem jednych Patrykóz, o których świeżem przykupieniu donosi Długosz. Można ztąd wnosić, że wsie dające osep są dawniejsze, nie dające osepu późniéj założone lub przykupione. Osep jest w Pabianicach właściwością dawnych osad polskich. Z dziewięciu wsi dających osep pszenicy i owsa, w dwóch dawano jeszcze po dwa korce chmielu.

Daniny. Dwadzieścia wsi polskich dawało po dwa kapłony lub kuraki (*capones, galli communes*), 17 po 30 jaj. Sześć niemieckich wsi dawało po dwa kapłony i po 30 jaj. Ta wieś niemiecka, która nie dawała kapłonów, składała jednę poków miodu. W jednéj wsi polskiéj dawano po trzy popielice. Jedna niemiecka wieś dawała po trzy, jedna po dwa sery z łanu.

W daninach, w ogóle rzecz biorąc, nie zachodzi różnica między wsiami polskiemi i niemieckiemi.

Dodatkowe opłaty. Z dziewięciu wsi polskich dających osep pszenicy i owsa, ośm płaciło po dwa grosze siennego (*census foeni*). Z wsi niemieckich płaciła ten czynsz tylko część Chocianowic dająca osep.

W dwóch miasteczkach i sześciu wsiach na prawie niemieckiem płacono obiedne, zwykle całemi wsiami, najczęściéj po pół grzywny, raz jeden wiardunek; raz po dwa grosze z łanu.

Jedna wieś polska i jedna niemiecka płaciły po $4\frac{1}{2}$ grosze z łanu kasztelanowi Konarskiemu łęczyckiemu.

Nakoniec trzynaście wsi polskich, jedno miasteczko i dwie wsie niemieckie płaciły *notario pro nota* po $\frac{1}{2}$ grosza z łanu. Jestto może opłata za kwity pisarzowi (napisne).

Były jeszcze opłaty i daniny zaregulowane ze względem nie na prawo osadnicze, lecz na pewne rodzaje zajęć.

Tak powiedziano w ogóle, że każdy kmieć i mieszkaniec (*incola*) we wsiach pabianickich mający *casses leporinos aut valteres* daje po jednym zającu corocznie dla dworu w Pabianicach, bez względu na obszerność roli; przedający korę dębową (*cortices quercinos aut multicoratis*) daje po sześć gro-

szy i dwa kuraki; robiący koła płaci *pro dominio* sześć groszy albo daje wóz nowy z dwoma nowemi kołami; robiący gonty (*scilindria*) daje siedem kop gontów. Z pasieki płacił jeden kmieć we wsi polskiéj wiardunek.

W dobrach pabianickich było za czasów Długosza na dwadzieścia ośm wsi, folwarków sześć, w Pabianicach, Rzgowie, Dobroniu, Żytowicach, Patrykozach i Warszynie.

Z tych folwark w Rzgowie powstał w piętnastym wieku z zakupionego tamże sołtystwa o trzech łanach z młynem za sto trzydzieści grzywien. Patrykozy zostały przykupione już po roku 1460. Nie na wiele lat zatém przed Długoszem, było, w tak obszernych dobrach, folwarków kapituły tylko cztery. Z tych największy był folwark w Pabianicach, o sześciu łanach. Nadto kapituła nabyła w Pabianicach połowę wójtostwa, łanów półtora i tę na siebie trzymała, zapewne więc owe półtora łana zwiększyły grunta folwarczne. Folwark w Żytowicach miał łanów cztery. Rozległości innych folwarków Długosz nie podaje.

Sposób obrabiania folwarków był w całych dobrach jednakowy, bardzo starożytny. Sposób ten gospodarowania napotyka się w księdze beneficiów oprócz dóbr pabianickich w wielu jeszcze innych, dlaczego bliżéj się nad nim zastanowić wypada.

Nie wszystkie wsie w dobrach pabianickich były obowiązane do robót w polu. Z dwudziestu jeden wsi polskich roboty odbywało siedmnaście, nie odbywało cztery. Z tych ostatnich co do jednéj tylko jest przytoczony powód „dlatego że większy czynsz płacą, eo *quod maiorem censum solvunt*" (płacili po groszy 50). Inne trzy wsie płaciły czynszu po groszy 40, 34 a nawet 24.

Ze wsi niemieckich (7 a ze Rzgowem 8) dwie obrabiały pola, jedna mająca ośmnaście łanów (Wiskitno) była do robót w polu obowiązaną, lecz natomiast płaciła trzy grzywny, czyli każdy łan płacił za uwolnienie od robót polnych po groszy ośm; w jednéj (Czyszemino) kmiecie płacili po dziewięć groszy, okupując roboty (*redimendo labores*), trzy a ze Rzgowem cztery nie odbywały robót w polu.

Odbywanie robót polegało na tém, że włościanie mieli wyznaczone sobie działy pola na folwarku, które musieli zorać, zawlec, zasiać, zżąć, zżęte zboże ułożyć i zwieźć.

Takie działy gruntu zwały się jutrzyny, nazwa którą się pięć razy napotyka już w dyplomacie z roku 1215 (T. II str. 396—7), którym Krystyn dziedzic na Obichowie przypisuje dziesięciny z folwarków swoich i gruntów sołtystwa kościołowi w Gawłoszowicach (*decimam post araturam nostram in... cum iutrzyny*). Gdzieniegdzie na pograniczach jutrzyny zowią się u Długosza murgi, morgi, a dwa razy (T. I str. 397) obroki.

Najpełniejszą o robotach jutrzynnych czyni Długosz wzmiankę w opisie wsi Jutrkowice i Bichlów (T. I str. 276) „omnes cmethones simul tenentur in predio agros eos contingentes et ipsis designatos et emensuratos qui iutrzyny appellantur, arare, arpicare, frumento curiae seminare, metere, acervos pro eis disponere et in horreum propriis curribus ducere.

Ta ogólna norma odbywania robót polnych w dobrach pabianickich ulega niejakiéj zmianie tylko co do wsi Górki małéj, w któréj norma jest podana na cztery korce wysiewu oziminy i tyleż jarzyny obrabiane przez jeden łan. Górka mała była wioską świeżo przykupioną.

Systemat gospodarowania przez obróbki jutrzyn był tyle za czasów Długosza upowszechniony, że czasem wyraża on się krótko o kmieciach do téj powinności obowiązanych, laborant iutrzyny, czasem znowu podaje ilość korcy zasiewu, na co ziarna zwykle dwór dostarczał.

Oprócz robót w polu kmiecie w dobrach pabianickich odbywali różne posługi. Uwolnienie od iutrzyn nie znaczyło jeszcze uwolnienia od posług i sianokosów. Siano sprzątały wszystkie w ogóle wsie tak na prawie polskiem, jak na prawie niemieckiem osadzone z wyjątkiem tylko wsi polskiéj Rokicie.

Roboty przy sprzęcie siana wyszczególnione są zwykle: skosić, zgrabić, skopić i zwieźć (*falcastrare, rastrare, colligere et in horreum ducere*).

Inne posługi polegały na wożeniu sieci na polowanie, potrzeb dworskich do Piotrkowa (tam rezydował rządzący Pabianicami kanonik), grodzeniu pastwisk i ogrodów, naprawianiu wału nad stawem, kryciu dachów dworskich, zwózce od wsi do wsi i na targ, zwożeniu drzewa (zwykle fur dwunastu) do Pabianic. Od téj ostatniéj posługi wolne były Dłótowo, Rokicie, Górka mała na prawie polskiem, Czysze-

mino na prawie niemieckiem. Inne posługi były powszechne, niéma tylko o nich wzmianki przy wsiach świeżo przykupionych Potrukozy i Górka mała.

Roboty i posługi były jak widzimy liczne i rozmaite, pojedynczo znaczne nie były. Sześciołanowy a chociażby dodając grunta powójtowskie siedm i pół łanowy folwark w Pabianicach obrabiało łanów kmiecych najmniéj dziewięćdziesiąt cztery, bo tyle w Długoszu z robotami swemi jest wyraźnie do tego folwarku zaregulowanych. W odbywaniu tych robót i posług, w opłacie czynszów i uiszczaniu danin, niéma wybitnéj i stanowczéj różnicy między osadnikami prawa polskiego i prawa niemieckiego. W ogóle powinności drugich są lżejsze; należy przecież zwrócić przytém uwagę na następną okoliczność.

Zasiedlenie dóbr pabianickich możnaby przytoczyć na poparcie systematu Ricarda, który utrzymuje, że najlepsze grunta, najprzód wzięte zostały pod uprawę, a dopiéro stopniowo zaczęto uprawiać pośledniejsze. Tak zdaje się było w Pabianicach, jak się okazuje ztąd, że osep, we wsiach które za najdawniéj osadzone uważać można, składany widzimy co do oziminy w pszenicy a nie w życie.

Odpowiednio temu większe były w tych żyznych wioskach ciężary. Późniéj osiadający biorąc grunta lżejsze, karczując je własną pracą, otrzymywali warunki łatwiejsze, a to tak we wsiach polskich jak w niemieckich. W jednych i drugich zarówno znikają osepy; inne warunki są do siebie zbliżone.

Do podobnych wniosków przychodzimy, rozpatrując się w stosunkach wsi niemieckich albo wyraźnie za takie podanych (np. w dobrach biskupa włocławskiego), albo z powodu dawania obiadów lub płacenia obiednego (np. w dobrach klasztoru tynieckiego) za niemieckie przez nas uważanych. Nigdzie wsie niemieckie co do czynszów i powinności nie przedstawiają tak wybitnych różnic od polskich, iżby oddzielnego dla siebie przedstawienia wymagały. Że charakterystyczna ich powinność, obiedne, ma wszędzie krajową nazwę, dowodzi zlania się ich osadników z krajowcami, gdzie od początku takiemi nie byli. Osepu w wsiach niemieckich z małym wyjątkiem nie uiszczano; zastępuje go mianowicie w dobrach

tynieckich, obowiązek dawania stacyi, tj. owsa i różnych wiktuałów lub pieniędzy na nie, na przyjazd opata.

Dobra biskupa włocławskiego w dyecezyi krakowskiéj stanowiła kasztelanija łagowska, darowana w roku 1086 przez Judytę, tę samą, która obdarzyła Pabianicami (kasztelanią chropską) kapitułę krakowską. W łagowskich dobrach liczymy 16 realności, 209 łanów i 3 folwarki. Jest to włość znaczna, lecz mniéj obszerna niż Pabianice. Nie ma w niéj takiéj jednostajności robocizny co w Pabianicach. Kiedy w tych ostatnich systemat obrabiania jutrzyn był w wyłącznem zastosowaniu, w łagowskich dobrach obok jutrzyn, które jeszcze w niektórych wsiach się utrzymują, widzimy (w Pawłowéj Woli) robociznę czterech dni narok, w innych wsiach posługi roczne, w innych znowu jednodzienną tygodniową robociznę, istniejącą w Nieskurczowie obok jutrzyn. Obrabianie jutrzyn było uważane za lżejsze niż jednodzienna tygodniowa pańszczyzna. O Baranowie powiedziano „nie obrabiają kmiecie dni tygodniowo, lecz tylko obsiewają miary" (tj. obrabiają jutrzyny na normę wysiewu), non laborant cmethones dies in septimana, solum seminant mensuras. Podobnież w tomie II o wsi Janikowicach czytamy: „nic więcéj nie robią prócz jutrzyn, non plus laborant nisi iutrzyny. Odpowiednio temu widzimy wyższy okup za nieodrabianie jednodniowego na tydzień zaciągu niż za nieodrabianie jutrzyn. W pabianickich dobrach, jak już wspomnieliśmy, płacono okupu za robociznę w polu, która polegała tam na odrabianiu jutrzyn, w Wiskitnie po ośm, a w Czyszeminie po dziewięć groszy z łanu. Tymczasem w opisie dóbr Wronin wielki i mały należących do dóbr klasztoru szpitalników w Krakowie (III s. 48. 49) czytamy wzmiankę, że kmiecie obowiązani do zaciągu po jednym dniu tygodniowo z łanu, okupywali się od téj powinności, płacąc czynszu o jedną grzywnę więcéj niż wynosił czynsz zwykły—zamiast dwóch grzywien płacili trzy. Wartość pięćdziesięciu dwóch dni robocizny ciągłéj równała się tu jednéj grzywnie czyli 48 groszom, co daje wartość jednego dnia ciągłego na $^{12}/_{13}$ grosza ówczesnego albo dzisiejszych groszy około 20. We wsi Wolicy dobroniowskiéj (t. I) jeden dzień tygodniowy okupywał się trzema wiardunkami. Wartość dnia roboczego była zapewne wyższą w Wroninie odległym o kilka mil od Krakowa niż w ustronnych Pabianicach;

wszakże różnica wskazanych cen okupu jest zbyt znaczna, iżby się tym wyłącznie względem wytłumaczyć dała.

Jutrzyny obrabiane były w dobrach Łagowskich według normy wysiewu. Norma ta jest podana w Niewskurzowie, Baczkowicach i Gaszycach na korce: po trzy korce żyta i trzy korce owsa; w Baranowie i Wrzechowie na miary, mensury, inne wyrażenie na tę samą ilość; w Olszownicy na dwie metrety.

Stosunek liczebny w jakim zostają w księdze beneficiów wsie obrabiające jutrzyny do ogółu dóbr w téj księdze opisanych, nie daje się ze ścisłością oznaczyć, z powodu, że w wielu miejscowościach Długosz o robociznie włościańskiéj nadmienia, bliższego nie dając określenia. W takich razach mówi pospolicie, labor powaba. Nie wiadomo, jakie powinności robocze rozumieć wypada pod temi wyrazami, które mogą oznaczać i oznaczają zapewne nieraz odbywanie jutrzyn, ale też stosować się mogą i do robocizny inaczéj odbywanéj. Poprzestając na obliczeniu tych tylko wsi, w których jutrzyny albo tym wyrazem są oznaczone, albo w których opisane powinności są téj co jutrzyny natury, znajdziemy, że odbywanie robót na normę jutrzyn, miało miejsce w szóstéj mniéj więcéj części wsi, w liber beneficiorum opisanych.

Sposób ten odbywania robocizny znany był po całym kraju. Widzimy go na pograniczu Szlązka i w Lubelskiém, a poza obrębem dyecezyi krakowskiéj w Pabianicach. Książe T. L. w rozprawie swojéj: „Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku“, przytacza wzmianki o tego rodzaju robociznie, napotkane przez siebie w rejestrach zamkowych, aktach kapitulnych, dekretach, po różnych stronach kraju pod nazwami, zaczas, powab, urok, *planta*, *digeria* (Bibl. Warsz. r. 1857, T. II. str. 804, 805, 833). Nazw znanych w Księdze beneficiów, jutrzyny i (wyjątkowo) obroki, książe T. L. nie przywodzi. Z nazw przytoczonych przez księcia, powaba znachodzi się licznie w Księdze beneficiów, lecz rzadko tylko jest w związku z jutrzynami. Digeria użyte są w Długoszu w opisie kilku wsi, z pomiędzy należących do klasztoru koprzywnickiego, w znaczeniu jutrzyn (III 380, 387, 392). W innych miejscach (III 138) *digerium* jest u Długosza toż co *dierium* i znaczy toż co stacya. Zaczas, urok, planta, w Księdze beneficiów wcale się nie spotykają.

Jutrzyny o ile normę ich odbywania Długosz w opisie swoim podał, najczęściéj odrabiane były na normę wysiewu, od dwóch korcy albo jednéj tunny, do trzech korcy, czyli jednéj miary, czterech korcy, a nawet parę razy do dwóch miar, czyli korcy sześciu zboża ozimego i tyleż jarego.

Stosunek ten zastąpiony powszechnie w szesnastym wieku robocizną tygodniową, dotrwał gdzie niegdzie aż do naszych czasów, jak co do prawego brzegu Noteci, zaświadcza P. Michalski, komisarz ekonomiczny pruski, w artykule p. t. „Włościanie i ich regulacya, rzut oka na stosunki gospodarcze Wielkiego Księżtwa Poznańskiego przed uregulowaniem włościan". Między różnemi kategoryami włościan, których okupacya pruska w Poznańskiém zastała, wymienia on pod N-rem 5:

„Wreszcie włościanie zaciężni w niektórych gminach po prawym brzegu Noteci położonych, których zaciąg nie na dnie, ale na pewną miarę był oddawna ustanowionym, tak np.: iż jedne i te same morgi na zawsze wyznaczone uprawiali, sprzątali, wywozili mierzwę z obory lub owczarni, sprzątali pewne morgi łąk, odprawiali podróże i inne, ale zawsze wymierne powinności", (Bibl. Warsz. r. 1844. T. IV. str. 606).

Opis ten zdaje się być żywcem wyjęty z Księgi beneficiów, tak jest zgodny z tém co w téj księdze podano o wsiach jutrzyny obrabiających.

Zwróćmy jeszcze uwagę na niektóre inne massy dóbr, należące do jednego właściciela, pod względem odrabianych w tych dobrach powinności.

W sześćdziesięciu realnościach należących do klasztoru miechowskiego, stosunki robocizny były takie:

W sześciu nie było robocizny;

W ośmiu obrabiano jutrzyny;

W jednéj robiono dwie powaby na rok;

W jednéj robiono pół dnia tygodniowo;

W jednéj, jeden dzień pieszy, czasem ciągły (tygodniowo, zagrodnicy).

W dziesięciu jeden dzień ciągły tygodniowo;

W siedmiu dwa dni ciągłe tygodniowo;

W jednéj nieoznaczono wiele, ale tygodniowo;

W dwudziestu czterech *labor et powaba*;

Wsie robiące jutrzyny, wszystkie składały osep.

Najbogatszym był klasztor tyniecki. Jego opata zwano opatem o stu wioskach, *abbas centum villarum*. Długosz wylicza też prawie tyle realności klasztornych (98). Stosunki robocizny były następne:

W dwunastu nie ma robocizny;

W jednéj za labor płacą po wiardunku;

W dwóch robią tylko powabę;

W jednéj żną po pięć wiązek (*cassulas*);

W jednéj robią drogi;

W trzydziestu trzech obrabiają jutrzyny; przy kilku powiedziano, że za powabę obrządzają jutrzyny;

W dziewięciu po jednym dniu ciągłym tygodniowo;

W ośmiu po dwa dni ciągłych tygodniowo;

W trzech po trzy dni ciągłych tygodniowo;

W dwudziestu ośmiu *labor powaba.*

Folwarków w dobrach było trzydzieści pięć.

Dobra klasztoru mstowskiego uposażone w znaczniejszéj części przez biskupa krakowskiego Iwona w XIII wieku odznaczały się małą i jednostajną robocizną. Wynosiła ona z łanu tylko trzy dni w roku. O folwarkach nie ma tu wzmianki. Wełna według Długosza miała być trzy lub cztery razy cenniejsza od zwyczajnéj.

Zbierając w jeden ogół rzecz o powinnościach włościańskich na podstawie Księgi beneficiów, zaznaczymy, że tylko powinności robocze okazują odmiany dość ważne i stateczne, aby je w pewne gruppy ująć można. Czynsz, osep, daniny, jakkolwiek rozmaite, nie przedstawiają różnic typowych. Można tylko opisać ich rodzaj, ustanowić minimum i maximum, ilości średnie i przeciętne.

Czynsz jest opłatą pieniężną obliczoną na grosze zwykłe lub szerokie, skojce, wiardunki, grzywny, kopy, rzadko na floreny. Termin opłaty przypada zwykle na święty Marcin, do wyjątków należą dwa termina roczne; drugi termin jest w takim razie na święty Jan, na Narodzenie N. Panny i t. d.

Wysokość czynszów jest nader rozmaita. Pominąwszy łany od czynszu wolne, wysokość od 4 i 6 groszy dochodzi 3 i 4 grzywien. We wsi Topoli dwa łany zaduszne płacą po pięć grzywien, ale już za wszystkie powinności z dziesięciną i podatkiem łącznie, *pro censu, decima, labore, dacia et*

tribute. Podobnie we wsi Czechy (prebenda Czechowska) trzy łany *pro decima et censu et omnibus laboribus ducturis et daciis* płacą $16\frac{1}{2}$ grzywien czyli $5\frac{1}{2}$ grzywien z łanu. Maximum opłaty przypada w tynieckich dobrach we wsi Modnanach, na jeden łan wolny od robót *qui a laboribus liber est*; ten płacił ośm grzywien.

Pominąwszy czynsze wyjątkowo nizkie lub wysokie można powiedzieć, że wielka massa czynszów płaci się w kwotach od wiardunku czyli groszy 12 do dwóch grzywien rocznie z łanu. Średni czynsz (połowa summy dwóch tych ilości) wynosiłby jednę grzywnę i sześć groszy. Czynsz przeciętny, sądzę że nie dochodzi grzywny, gdy więcéj łanów uważałem płacących czynsze niższe. Dodawszy wszakże do czynszów inne prestacye włościańskie, dochód właściciela głównego z łanu kmiecego, okazałby się wyższy niż z wydzierżawionego łanu folwarcznego.

Osep uiszczał się głównie w trzech gatunkach zboża: w życie, pszenicy i owsie. Rzadko jednakże wszystkie trzy gatunki są w téj prestacyi połączone. Czasem bywa tylko jeden gatunek; najczęściéj owies. Długosz pisze nieraz *avenam non solvunt*, na oznaczenie że wieś nie składa osepu. Zwykle osep uiszcza się w dwóch gatunkach, któremi są albo żyto i owies, albo rzadziéj pszenica i owies. Prestacya ta ustanowioną jest na korce lub na miary (trzykorcowe) dla każdego gatunku zboża oddzielnie. Wynosi od jednego do sześciu korcy lub od jednéj do dwóch miar. Osep owsa jest często większy od osepu oziminy: we wsi Czułowek mały dochodzi miar sześciu (III 187). W téj wysokości podany jest osep owsa w kilku z pomiędzy dawnych przywilejów określających powinności włościańskie, a przywiedzionych przez p. Stawiskiego w jego Poszukiwaniach do historyi rolnictwa krajowego s. 68, 69. Osep uiszczał się z łanu; nader rzadkie są przykłady składania osepu *in commune*, tak jak dziesięcina dawana *in gonitwani*, przez całą wieś razem (III 192 wieś Zorzów).

Daniny są głównie uiszczane w kurakach (*galli*), kapłonach (*capones*), kurczętach, (*pulli*), jajach. Rzadziéj w serach i t. d. Dwa kapłony i trzydzieści jaj są tu najzwyklejszą normą.

Pod względem powinności roboczych dobra przez Długosza opisane stanowią pięć wielkich, lecz nie równych grupp

z których pierwsza jako wyłączająca robociznę, tém samém żadnego jéj typu nie stanowi. Cztery gruppy dalsze należą do czterech odmiennych typów, które czasami dochodzą do zupełnéj odrębności, w odgałęzieniach stykają się z sobą i przechodzą jeden w drugi.

Pierwsza gruppa zajmująca liczebnie więcéj niż piątą część realności duchownych, mieści w sobie te realności co do których wyraźnie wspomniano, że robocizny nie odbywają, albo przy których robocizna nie jest wymieniona. Gruppa ta nie jest jednak tak znaczną, jakby z liczby realności do niéj należących wnosić można było. Mieści się w téj gruppie wiele pojedynczych łanów w cząstkowych własnościach duchowieństwa. Stosunek liczby łanów od robocizny wolnych do liczby ogólnéj łanów byłby niezawodnie mniejszy od stosunku realności, lecz z powodu nie oznaczenia liczby łanów w wielu miejscowościach, rachuba na łany przeprowadzić się nie daje. Gruppa pierwsza, jako wyłączająca robociznę, do żadnego z jéj czterech typów odnieść się nie daje.

W drugiéj gruppie zamieszczamy realności, w których robocizna albo wcale nie była określona, albo polegała na powinnościach specyalnych. Gdybyśmy do gruppy téj zaliczyli wszystkie wsie, w których opisie odbywana robocizna bliżéj nie jest określoną, z zamieszczeniem tylko wzmianek takich, jak np. labor, powaba, albo innego ogólnikowego wyrażenia np. quilibet laborat, gruppa zajmowałaby około piątą część wszystkich realności, opisem Długosza objętych. Lecz nie mniemam, iżby we wszystkich posiadłościach, w których robocizna pod ogólnikowém wyrażeniem jest wzmiankowana, robocizna nie była określoną, sądzę raczéj, że pod ogólnikowemi wyrażeniami ukrywają się po większéj części formy odbywania robocizny poniżéj podane albo może i jakie inne, i że Długosz tylko z powodu niedostateczności swoich materyałów, szczegółowe oznaczenie robocizny w wielu z tych wsi pominął.

Inaczéj rzecz się ma w tych lubo nielicznych wypadkach, gdzie opis Długosza zamieszcza jak np. co do dóbr kockich należących do kościoła płockiego takie wyrażenia: chociaż nie mają dni wyznaczonych, obowiązani są jednak robić gdy im to nakażą, etsi dies ordinarios non habuerint laborant quoties eis imperatur. Przypomina to zastrzeżenie dyplomatu

tynieckiego (u Lelewela Polska wieków średnich III s. 122). Item quicquid eisdem precipitur laborant.

Tu widocznie robocizna nie była oznaczona.

Dalszy poddział gruppy drugiéj u Długosza także już nieliczny, obejmuje tak zwanych świątników i innych osadników odrabiających szczególne powinności, których charakterystyczną cechą jest, że wyjątkowo tylko odnoszą się do uprawy roli. Wskazuje to na stan pierwotny kraju, obejmującego więcéj lasów i łąk niż wytrzebionego pola.

Świątnicy byli osadnicy przeznaczeni wieczyście, przy zaprowadzeniu chrześciaństwa i zakładaniu kościołów, do usług kościelnych perpetua servitute obnoxii (I s. 89). Z postępem czasu przy nastaniu zakrystyanów, osady świątników stały się rodzajem sinekury. Straciwszy przyczynę swego bytu, świątnicy zostali w części usunięci, w części wykupieni, czego obojga przykłady znajdują się w Długoszu. Tak np. we wsi Czaple małe, własności wspólnéj prałatów i kanoników krakowskich, dawniéj przez świątników zamieszkałéj, gdy ustanowiono na ich miejsce zakrystyana i dwóch dzwonników, role świątników obrócono na kmieci, sors sanctuariorum in cmethones redacta.

Długosz znowu założywszy klasztor Paulinów na Skałce w r. 1472, kupił dla nich dwa łany od świątników w Opatkowicach za sto grzywien. Sami oni sprzedawali swoje role i dzielili się niemi—we wsi Świątnikach często i prawie co roku mówi Długosz (I 89). Nazywa ich też Długosz czasem kmiećmi (I 91). W dobrach kustodyi krakowskiéj nie tylko byli wolni od podatków, ale nawet pobierali na siebie dziesięcinę. Ich stan był zatem za czasów Długosza nie tylko nie gorszy ale nawet lepszy od innych kmieci, a wspomnienie ich pierwotnéj niewoli do czasów dawniejszych odnieść należy, lubo niewola ich ustała raczéj wpływem czasu niż na skutek prawa albo przywilejów. Jest u Długosza wieś Świątniki, jedna z kilku tego nazwiska, gdzie kmiecie, może dawniejsi świątnicy, nie mają dni wyznaczonych do robót, lecz odbywają je gdy im to nakażą (quoties et quando eis mandatur. (I 73).

Trzecia gruppa składa się z wiosek, w których robocizna oznaczona jest na dnie w roku, czego przykład przywiedliśmy w dobrach mstowskich. Jest to również forma bardzo starożytna, najdawniejszemi dyplomatami objęta.

Liczba dni jest tu różna od jednego dnia do dwudziestu czterech dni w roku—ostatnia cyfra raz tylko (III 430). Czasem robocizna taka połączona jest z powabą, czasem przechodzi do typu jutrzyn; np. Moniakowice klasztoru mogilskiego odbywają sześć dni w roku, orząc, bronując, rznąc, arando, arpicando, metendo, czasem zbliża się do robocizny tygodniowéj. Dwadzieścia cztery dni w roku przywiedzione powyżéj, stykają się już z pół dniem w tygodniu we wsi Orłowie klasztoru miechowskiego. W Zdzisławicach wsi klasztoru mogilskiego robocizna odbywa się na normę jednego dnia na cztery tygodnie. Te formy przejściowe są rzadkie, zaledwie pojedyncze ich ślady napotkać się dają.

Liczba realności gruppy trzeciéj ma się w Długoszu do ogółu prawie jak jeden do dwunastu.

Czwartą gruppę stanowią opisane już powyżéj jutrzyny, które obejmując w sobie powinności robocze odniesione do roku gospodarczego, zostają w pewnéj styczności z dwiema gruppami poprzedniemi. Pierwszą wzmiankę o jutrzynach znajdujemy w przywiedzionym powyżéj dyplomacie z roku 1215. Jakkolwiek istnienie jutrzyn jest nieco późniéj dyplomatycznie stwierdzone niż istnienie robocizny, odbywanéj na dnie w roku lub sposobem szczególnych powinności, niemniéj jednak jest to forma robocizny równie zdaje się dawna, co dwie pierwsze. Możnaby nawet odnieść do niéj wyrażenia dyplomatu tynieckiego... quilibet tenetur quatuor diebus arare et arpicare ubi vicinior curia fuerit, łącząc z tém inny obowiązek poprzednio w tymże dyplomacie wspomniany, quinque capetia metere et in horreum deducere. Mamy tu cztery obowiązki w jutrzynach połączone, orać, zawlec, z żąć i zwieźć, lecz obowiązki te nie odnoszą się jeszcze do stale wyznaczonego działu gruntu ani do normy wysiewu, i nie są wyliczone w właściwym porządku, co wskazuje na nieustalony jeszcze sposób ich odrabiania. Wsie, w których odrabiano jutrzyny, stanowią około jednéj szóstéj części wiosek, opisem Długosza objętych.

Niekiedy z jutrzynami łączą się powaby, a nawet bywają brane jedne za drugie, co równie jak wyrażenie dla części gruppy drugiéj charakterystyczne, labor et powaba, zwraca uwagę na tę ostatnią. Pierwszy raz wyrażenie *powaba* napotkałem w dokumencie z d. 8 października 1339 r. (C. D. P.

III s. 205), gdzie mowa jest o dziesięcinie z dóbr klasztoru szczyrzyckiego, Krzyszkowice i Mogilany, a mianowicie, że dziesięcina należy do klasztoru, gdziekolwiekby klasztor orał własnym pługiem lub pługami, zwołaniem kmieci, co się zowie *powaba* albo też *Thlaka* (tłoka)... decima post aratrum seu araturas agrorum ipsorum ubicunque araret proprio aratro vel aratris, convocatione cmethonum que dicitur *powaba* vel etiam Thlaca. W opisie Długosza Krzyszkowic i Mogilan (III 440) w obu tych wsiach są folwarki. Uprawa ich odbywała się sposobem jutrzyn, a nadto odrabiali kmiecie powabę, która w Krzyszkowicach zwana jest podwójną. Powabą jest tu oddzielona od jutrzyn. Lecz w niektórych wsiach tynieckiego klasztoru, np. w Racznéj, Śmierdzącéj, za powabę obrabiano jutrzyny, pro powaba laborant agros jutrzyny; w Rybnie powabam in iutrzyny explent. W opisie Zorzowa (III 192) mamy takie wyjaśnienie powaby „powabę odrabiają albowiem w oziminie i jarzynie obowiązani są orać, siać, żąć i zwozić." Opis taki mógłby się stosować do jutrzyn. Podobnie w Woli Bortowskiéj wsi klasztoru łysogórskiego, toż w Krobielicach wsi klasztoru koprzywnickiego powaba alias digeria seminant et disponunt pro vere et hyeme (III 380).

Powaby były dwie w roku: jara i ozima; niekiedy odrabiano obie, niekiedy jedną; czasem też jest mowa o wielkiéj i małéj powabie. Lecz i tu jak wszędzie zdarzają się odmiany. W Wągrzynowicach (tynieckich) np. były trzy powaby. W Chraszczu (staniątkowskim) odrabiano powaby raz w miesiąc dwoma ludźmi. Czytamy wyrażenie pole powabne (III 115) użyte zapewne na oznaczenie pola obrządzanego przez powaby.

Powaba była zdaje się w początkach robocizną nadzwyczajną, zwołaniem kmieci lub nawet wszystkich mieszkańców na pomoc dworowi, dlaczego też czasem i pomocnem jest nazywana. Być może, że w początkach odrabiającym powabę dawano jedzenie i picie (comestio et potus); w Długoszu przecież rzadkie tego są już ślady (Czułowek mały i t. d.) Później powaba zaczęła przechodzić w obowiązek stały, w jaką wymiarową robotę, do któréj należało czasem i obrządzanie jutrzyn, a częściéj jeszcze sprzątanie łąk.

Najliczniejszą z pięciu grupp powinności roboczych przez nas odróżnionych w księdze beneficiów jest gruppa pią-

ta, gruppa robocizny tygodniowéj. Gruppa ta zajmuje co do liczby realności część prawie jednę czwartą ogółu. Robocizna jest z małemi wyjątkami dla kmieci ciągła, dla zagrodników piesza. Robocizna ciągła odbywa się albo oddzielnie przez każdego kmiecia (kromie sprząży), albo sprzęgając swoje bydło (coniunctim) zkąd zapewne powstało wyrażenie robocizna sprzężajna, brane późniéj za jednoznaczne z robocizną ciągłą.

Gruppa ta dzieli się co do ilości dni w tygodniu odrabianych na kilka poddziałów. Najgłówniejszy z tych poddziałów jest robocizny jednego dnia w tygodniu, stanowiący około cztery siódme części téj gruppy. Z pozostałych trzech siódmych części połowę zajmuje robocizna dwóch dni na tydzień. Reszta rozprasza się na robociznę trzech lub czterech dni w tygodniu i na robociznę odmienną co do liczby dni w porze zimowéj i letniéj w stosunku jednego i dwóch—dwóch i trzech, czasami nawet trzech i pięciu dni w tygodniu. Ostatnią widzimy w kilku wsiach klasztoru staniątkowskiego, od Ś. Michała do Ś. Jana trzy dni, od Ś. Jana do Ś. Michała pięć dni, lecz tę wysoką robociznę połowa tylko wsi kolejno odrabia (medietas villae laborat, medietas vacat (III 285—288).

Dodatkowe do robocizny posługi, jak podwody i t. d. odbywają się albo z zaliczeniem dni na te posługi użytych na rachunek robocizny stałéj, albo bez zaliczenia. Tak rozumiemy wyrażenia Długosza absque die, praeter diem, w przeciwstawności ad rationem dierum, propter diem.

Formy przejściowe są i tu nieliczne. W kilku wsiach klasztoru łysogórskiego napotykamy połączenie pańszczyzny tygodniowéj z roczną; odrabiano w nich tygodniowo jeden dzień pieszy, rocznie piętnaście dni ciągłych. Podobnież gdzieniegdzie łączą się jutrzyny z robocizną tygodniową.

Czy robocizna tygodniowa jest równie dawną formą odbywania powinności kmiecych u nas jak jutrzyny i robocizna roczna? o tém wątpić można i niektórzy badacze temu zaprzeczyli. Nie rozstrzygając téj wątpliwości, musimy jednak opierając się na danych wziętych z księgi beneficiów i z dawniejszego odeń, bo pochodzącego z r. 1400 opisu dóbr. b. lubuskiego (1) odnieść początek robocizny tygodniowéj do cza-

(1) Opis ten odnosi się do stanu rzeczy dawniejszego niż r. 1400. Dobra lubuskie są jedyne w całém dziele Długosza, co do których obowiązek dawania stacyi królowi jest wzmiankowany; możemy ztąd wnosić, że

sów dawniejszych niż dotąd przypuszczano. Forma ta uprzedza niezaprzeczenie wiek piętnasty; w drugiéj jego połowie za czasów Długosza jest tak upowszechnioną, że to samo już dawniejszy początek jéj naznacza.

Wiadomo, że w roku 1520 (Vol. Leg. I 396) zapadła uchwała sejmowa obowiązująca kmieci, którzy dotąd tygodniowéj pańszczyzny (diem in septimana) nie odrabiali, do odrabiania jéj po jednym dniu w tygodniu, z wyjątkiem tych, którzy czynszem pieniężnym lub zbożowym, albo też inną jakową opłatą lub daniną panom swoim roboty wynagrodzili. Uchwała nie ściągała się do osadników „którzy z posiadanéj roli więcéj niż jeden dzień w tygodniu panom swoim i Nam (królowi) robić zwykli (laborare consueverunt). Uchwała ta dowodzi istnienia robocizny tygodniowéj, więcéj niż jednodziennéj, jeszcze przed jéj wydaniem w roku 1520. Widzieliśmy, że taki stosunek dni roboczych nie był nieznany już za czasów Jana z Borsznic i Długosza. Na podstawie dzieła tego ostatniego możemy też dokładnie wyrozumieć, do jakich kmieci odnosi się zastrzeżony wyjątek, co przedstawiało trudności z tego powodu, że czynsz pieniężny składali wszyscy niemal włościanie, a czynsz zbożowy (osep) składała część ich dawniéj osiedlona. Mowa jest w prawie o czynszach specyalnie za okupienie się od robocizny ustanowionych, jakich przykładem są np. w dobrach pabianickich, Czyszemino, Wiskitno i Dłotowo. Takie wsie nawet po prawie z roku 1520, z mocy tegoż, do tygodniowéj pańszczyzny nie były obowiązane.

Zebraliśmy w powyższem przedstawieniu co się na podstawie dzieła Długosza o powinnościach dla ludności wiejskiéj obowiązkowych wyłuszczyć dało. Zapatrując się na stan prawny téj ludności, nie widzimy niewolnictwa w księdze beneficiów. Jeżeli czasami lubo bardzo rzadko jest wzmianka o homines ascripticii, ta odnosi się do czasów przed Długoszowych (I 61.) a wyrażenia jak homines advocati (I 621.) oznaczają kmieci na cudzych gruntach osadzonych.

stan rzeczy w opisie ich podany uprzedza wydanie przywileju koszyckiego, znoszącego takie obowiązki.

W księdze beneficiów jest jeszcze kilkanaście innych wiosek, co do których ta uwaga znajduje zastosowanie, gdy w opisie ich zamieszczono wzmiankę o osepach i t. p. obowiązkach dla panującego.

Kmiecie sprzedawali swoje role. Tak np. Długosz dla założonego przez siebie klasztoru na Skałce, kupił we wsi Dambniki od kmiecia Świnki w r. 1474 jeden łan za trzydzieści grzywien i połączywszy go z łanem nabytym od proboszcza, zrobił z tego folwark i dwór. Nowy nabywca musiał ponosić te same ciężary z zakupionego od kmiecia łanu, co i sam kmieć (salvis oneribus). W Klimontowie, wsi klasztoru staniątkowskiego kupił na tych warunkach od kmieci dwa łany proboszcz. Kmiecie uważający się za uciążonych opuszczają swoje role, np. wieś Sławoszów do klasztoru buskiego należąca propter labores regios pene universa desertata—kilka wsi tynieckich i Klarysek krakowskich. W ogóle są to bardzo wyjątkowe zdarzenia. Kmiecie mają dziedziczne prawo do swoich posiadeł; wyjątki od dziedziczności jako osobliwość zaznacza Długosz. Osiedlanie roczne widzimy tylko w jednéj wsi Dojazdowie, gdzie cztery łany były dane rolnikom nie na wieczyste dziedzictwo, lecz czasowie, albowiem co rok na Boże Narodzenie (gody) następowało ich osadzenie.... lanei dati agricolis non in hereditatem perpetuam sed ad tempus quoniam singulis annis fit eorum locus alias osadzenye a festo nativitatis Christi. Gdy nie ma przytem wzmianki ani o losowaniu roli, ani o wyznaczaniu działów przez gminę, wątpię iżby w tém ślad wspólnéj własności uważać można. Nie naprowadza też na ślad wspólnéj własności wzmianka o czasowem osadzeniu kmiecia w Brańczycach, należących do kustodyi kollegiaty Święto-michalskiéj. Długosz powiada tam, że kustosz osadził kmiecia na roli folwarcznéj, ma jednak możność rzeczonego kmiecia w każdym czasie z roli folwarcznéj usunąć.

Innych czasowych osadzeń kmieci w księdze beneficiów dostrzedz mi się nie zdarzyło. Wynika ztąd pytanie, na jakiéj podstawie następowało tak często w Długoszu wspominane zrzucanie kmieci i zamienianie ich ról na folwarczne? W części działo się to zapewne sposobem nadużycia; prawną podstawę dawało opuszczenie roli przez kmieci, ich niewypłatność lub wykupienie osady.

Kończąc na tem przegląd stosunków ludności rolniczéj w dobrach duchowieństwa dyecezyi krakowskiéj, zwrócimy jeszcze uwagę na niektóre ciekawsze szczegóły w księdze beneficiów natrafione.

1) Długosz opisując dobra katedry płockiéj w dyecezyi krakowskiéj w ziemi Lubelskiéj nad rzeką Wieprzem położone (proprius et dotalis districtus), składające się z miasta Kock (Koczsko) i pięciu wsi, opowiada o tém dość dziwną historyę.

„Za czasów“ (mówi on I 629 630) „panowania w Polsce... (tu kropki, Długosz nie wie jak się panujący nazywał), jakieś książątko włoskie, princeps et regulus Italicae orae... (znowu kropki, Długosz nazwiska nie wie), czy z powodu jakiéj popełnionéj zbrodni, czy téż jak sam zwykł był utrzymywać, z powodu wzbudzonych niechęci i zawiści, wygnany od swoich, nie mając gdzieby bezpiecznie przebywać, przyjechał do Królestwa Polskiego, gdzie łaskawie przyjęty, stałe tu sobie obrał zamieszkanie. Książę polski dał mu na wieczność i dziedzictwo Kock z przyległemi wsiami, ten mu jeszcze dając przywilej, że gdyby zmarł bezpotomnie, może darowizną rozrządzić na rzecz kościoła lub kogo bądź innego. Włoski książę, uważając za niegodne siebie poddać się pod jarzmo małżeńskie, pędził wstrzemięźliwe życie w poczciwości i cnocie, blizki śmierci zapisał dobra nadane kościołowi płockiemu, w którym chciał być pochowanym. Jakoż pogrzebiony w katedrze płockiéj pobożnie tam spoczywa, a kościół płocki dotąd zostaje przy własności Kocka.“

Opowieść Długosza ma wszystkie cechy legendy. Długosz nie wie kto? kiedy? i komu? dobra kockie darował, ale zna przygody życia donataryusza, wie że to był książę włoski, zna jego charakter, a nawet wie co on zwykł był mawiać o swojem wygnaniu z Włoch. Może to służyć za przykład w jaki sposób Długosz amplifikował doszłe go podania. Zkąd się to podanie wzięło? postaramy się rozwiązać na podstawie więcéj autentycznych źródeł niż powieść Długosza.

W kodeksie dyplomatycznym mazowieckim, w dodatku czytamy ważny dokument z datą mylną jak się zdaje 1203 roku, zawierający wykaz uposażenia kościoła płockiego. Do dóbr kockich ściągają się słowa następne dokumentu (I 334):

In *pogost* circa Lublyn Kucsko cum ecclesia et foro et taberna et cum villis et pertinentiis et cum omnibus solutionibus earundem villarum.

Pogost był to rodzaj okręgu, o którego ustanowieniu na dawnéj Rusi mówi Nestor (u Bielowskiego s. 602.) pod ro-

kiem 946 „Szła Olga do Nowogrodu, ustanowiła nad Mstą pogosty i danie, a nad Łagą pogosty, obroki i danie, łowiska jéj są po całym kraju, znamiona i miasta i pogosty."

Podanie przez Nestora przechowane, lubo nie wiele więcéj autentyczne od legendy Długosza, zestawione z dyplomatem płockim, tłumaczy powstanie legendy. Jest ona z rodzaju tych, które mitologowie uważają za biorące początek od nazw, których znaczenie się zatarło. Czytając lub wiedząc z tradycyi że z wyrazem pogost łączyło się wspomnienie darowizny Kocka, a nie umiejąc wytłumaczyć sobie znaczenia tego wyrazu, mniemano, że dobra kockie dostał kościół płocki po gościu. Taki był pierwotny zawiązek legendy, która rosnąc z upływem czasu—vires acquirit eundo, ostateczne swoje wykończenie zawdzięcza Długoszowi (1).

2) Więcéj od poprzedniéj wiarogodna, lubo może nie we wszystkich szczegółach jest powieść Długosza o szaflarskim zamku.

Klasztor szczyrzycki założony był najprzód w Ludzimirzu. W roku 1245 z powodu grasujących w okolicy zbójców, przeniósł się do Szczyrzyca, zakupionego za sto grzywien srebra. Dla obrony dóbr około Nowego Targu opat szczyrzycki wystawił zameczek drewniany w Szaflarach. Zamek ten po roku 1380 dał opat ówczesny w posiadanie wychrzczonemu żydowi, którego nazwiska Długosz nie podaje. Ten zaczął bić w Szaflarach fałszywą monetę krajową i zagraniczną. Gdy to wywołało liczne zażalenia, opat zaś nie czynił sprawiedliwości, czy nie chcąc, czy nie mogąc; król Ludwik rozkazał staroście krakowskiemu Sędziwojowi z Szubina zająć zamek. Sędziwój zamek zdobył, żyda spalił, a dobra no-

(1) Na prawym brzegu Wilii na gościńcu z Borysowa do Dołhinowa jest wieś Pohost. Hr. Tyszkiewicz w swojém dziele Wilia i jéj brzegi, zamieszczając tę wiadomość (s. 29—30) dodaje „na jakową to nazwę wiosek często po kraju naszym natrafiać się zdarza.... Pohosty były w starożytności miejscami, w których przybysze (goście kupcy) czas jakiś pogościli, były to więc na ziemi naszéj jak najdawniejsze miejsca dla składu towarów po drogach kupieckich obierane" co hr. Tyszkiewicz odnosi do czasów Gedymina i Olgerda, przytaczając jednak znaczenie pogosti u Nestora. Mniemam że hypoteza Hr. Tyszkiewicza ustąpić musi świadectwu z trzynastego wieku popartemu tradycyą Nestora. W Królestwie Polskiem, według tabelli miast i wsi nie ma obecnie wsi nazwy Pogost, lecz są *pogąsty* w płockiem (przasnyskiem).

wotarskie z powodu zbrodni obrażonego majestatu, na skarb królewski zabrał. Opat udał się do Ludwika na Węgry z prośbą o zwrócenie dóbr. Lecz Ludwik oddał tylko Ludzimirz i Krownów, załatwienie całéj sprawy do przyjazdu swego odłożył. Tegoż roku jednak Ludwik umarł, Jagiełło zaś dobra zajęte zastawił lub rozdał.

3) Przy obudzonych obecnie badaniach języka nie będzie zbytecznem zamieścić tu wzmiankę, że pochodzenie nazwy wsi Swatha Marza do probostwa kieleckiego należącéj, dziś wedle tabelli miast i wsi Święto-marz wieś rządowa w opatowskiem, Długosz wywodzi kilkakrotnie od starodawnéj nazwy Bogarodzicy. Poloni in exordio fidei Beatam Maryam Szwyatha Marza appellabant (I 438.). We wsi był kościół poświęcony Najświętszéj Pannie. Od nazwy kościoła poszła nazwa wioski, świadczy Długosz. A titulo autem ecclesiae praefatae villa Szwyantha marza denominationem accepit a vulgo, quod ruditer in primordio fidei gloriosam Virginem Szwyantha marza appellabant (II 462).

Wywody źródłosłowowe nie są mocną stroną Długosza; zasługuje przecież na uwagę, że według niego, według podania, z którego zapewne wiadomość swoję zaczerpnął, forma *rza* w pewném miejscowem narzeczu wyprzedziła formę *rya* i że pierwsza forma była za czasów Długosza uważana za przestarzałą. Widzimy zresztą już w dyplomacie gnieźnieńskim z roku 1136 wieś Podgorzyno. Przez *rs* pisze się w dyplomacie lędzkim z r. 1145 Irsgowo. Oba te dyplomata doszły nas wprawdzie w transumptach z czternastego wieku. Lecz wątpię czy mianowicie co do drugiego z nich można przypuścić przeistoczenie pisowni w transumpcie. U Długosza (II 397.) w dyplomacie z roku 1215 *rz* takie się napotyka.

4) Do historyi naszego prawa cywilnego przyda się spostrzeżenie, że zastaw pod przepadem, unieważniony późniéj przez wyroki trybunalskie za wpływem prawa rzymskiego, praktykował się za czasów Długoszowym bliskich. Mikołaj ze Skotnik zostawił klasztorowi koprzywnickiemu wieś Bobrkę za dwieście grzywien, w obec króla Władysława II (Jagiełły) pod przepadem w razie nie wykupienia w lat trzy. Wieś została własnością klasztoru (III 390. 391.).

SERBIA.

Zarysy historyczno-etnograficzne.

Przez

P.....

VI.

Stan polityczny i społeczny.

Zamierzając przedstawić obecny stan Serbii pod względem jéj urządzeń politycznych, gospodarstwa społecznego, jéj pracy na polu prawodawstwa i oświaty, jéj życia kościelnego, wkraczamy na niwę młodą, dziewiczą, na którejbyśmy daremnie szukali owoców prastaréj cywilizacyi. Nie znajdziemy tu tego zajęcia, jakie w nas budzi widok pracy wieków całych, dokonanéj na drodze postępu ludzkości, ani odniesiemy korzyści, jaka płynąć zwykła z rozważania instytucyj i życia, wyrobionego przez długie szeregi pokoleń. Wszystko tu jest świéże, młode, jak gdyby dopiéro od wczoraj liczyło dobę swego istnienia. Kiedy inne państwa już obchodziły poważne uroczystości tysiącolecia swych dziejów, obecne księztwo Serbskie zaledwie pół wieku przeżyło. Z tém wszystkiém wszakże i wiek młodzieńczy, wiek prób i doświadczeń, wiek zawiązku wiosennego, nie jest pozbawiony powabu. Mniemamy także, że dokładniejszy dając obraz księztwa Serbskiego pod względem politycznym i społecznym, dotychczas mało w Europie znany, zadość uczynimy ciekawości czytelnika polskiego, którą w nim tak słusznie budzi sprawa Serbii i jéj przyszłości, tylu ścisłemi wiążąca się węzłami z tak często poruszaną w świecie dyplomatycznym i publicystyki kwestyą wschodnią.

Dzisiejsze księztwo Serbskie (knjażestwo Srbija) stanowi część dawnego staro-serbskiego cesarstwa. Obecne granice jego zostały nakreślone na skutek pokoju w Bukareszcie zawartego w roku 1834. Jako część składowa państwa tureckiego, uznaje Serbia zwierzchnictwo Porty Otomańskiéj i interesa swoje przez własnego rezydenta (Kapu Kihaja) w Konstantynopolu załatwia. Serbia płaci sułtanowi roczną daninę w ilości 41552 dukatów, ma jednak przez międzynarodowe umowy, a zwłaszcza przez traktat paryzki z 1856 roku zapewnioną sobie nietykalność granic i zupełny samorząd w swoich sprawach domowych.

Do tych przywilejów należy, obok wolnego wyboru własnego księcia, moc prawodawcza pod względem zarządu, wymiaru sprawiedliwości, finansów, handlu, spraw duchownych i oświecenia, nadto posiada Serbia własną narodową siłę zbrojną, ma prawo obsadzania twierdz swojemi załogami i używania obok flagi własnego herbu państwowego.

Narodowy herb serbski stanowi zwykły srebrny krzyż w czerwoném polu, między którego czterema ramionami ukazuje się po jednym niebieskim promieniu. Dębowe i wawrzynowe liście otaczają tarczę, nad którą wznoszą się książęca korona z jabłkiem i krzyżem. Obie książęce rodziny kraju, Karadżordżewicze i Obrenowicze mają swoje własne herby, w których z małemi zmianami heraldycznemi herb księztwa się odbija. Serbia ma prawo wysyłania stałych dyplomatycznych przedstawicieli na dwór księcia Rumuńskiego a wiadomo także, że niekiedy w ważnych sprawach wysyła swoich ajentów dyplomatycznych do mocarstw europejskich. Urzędowe stosunki z Serbią utrzymuje sześć gwarantujących państw: Anglia, Francya, Włochy, Austrya, Prussy i Rossya za pośrednictwem konsulów akredytowanych przy Porcie i księciu Serbskim. Wielkie ustępstwa, które Porta zniewoloną była uczynić w marcu 1867 roku, postawiły Serbią na stopie państwa prawie zupełnie niezależnego. Wtedy bowiem prawo sułtana obsadzania twierdz oddano ostatecznie Serbii, tak iż obecnie zwierzchnia władza sułtana objawia się w kilku błahych formalnościach, np. w zatykaniu tureckiéj flagi obok serbskiéj na wałach fortecznych. Urządzenie stosunków mennicznych, prawo rozdawania orderów, prawo wymagania zbrojnych posiłków od Serbii należą także do zwierzchniczych praw sułtana, ale wykonywanie tych praw w Serbii na coraz większe natrafia trudności.

Po śmierci Jerzego Czarnego władza naczelna, jak wiadomo, ofiarowaną została w 1817 roku przez zgromadzenie narodowe Miłoszowi Obrenowiczowi. Pierwiastkowo była nieograniczoną, zastępując najzupełniéj usunięte rządy baszów. Powoli jednak na głośne żądanie narodu ulegała stopniowemu ograniczaniu i nakoniec w 1838 r. została ujętą w karby przez zasadnicze prawo (Ustaw), które władzę książęcą oparło na ogólno europejskich podstawach.

Serbia już dwa razy korzystała ze swego prawa wyboru własnego księcia. Władza wszakże jest dziedziczną w panującym domu. Po wygaśnięciu męzkich potomków służy księciu moc wyznaczenia

następcy za uchwałą senatu. Książe serbski nosi tytuł: knjas Srbski z dodatkiem: Swjetłost (oświecony).

Przy wstąpieniu na tron książe składa przysięgę ustną i piśmienną przed metropolitą na zachowanie konstytucyi, po czém odbiéra namaszczenie i hołdy wszystkich dygnitarzy swego kraju. O niedawno odbytym akcie wstąpienia na tron młodego Miłosza Obrenowicza IV posiadamy kilka szczegółów, które niech nam w tém miejscu wolno będzie przytoczyć.

Po ukonstytuowaniu się skupsztyny czyli sejmu pod laską Karabiberowicza i po wygłoszeniu mowy tronowéj, metropolita stanął przed młodym księciem, wystosowawszy doń następujące słowa:

„Książe! Dałeś ludowi serbskiemu książęce słowo w swéj proklamacyi, że najusilniejszém twém staraniem będzie stać się godnym imienia wielkiego Miłosza i Michała. Powiedziałeś, że drogiém dla ciebie jest być pierwszym konstytucyjnym księciem Serbii.

Ta konstytucya, którą Serbia sama sobie dała, wymaga, abyś złożył przysięgę, iż rzetelnie wykonywać będziesz obowiązki panującego księcia z wiarą w Boga i że starać się będziesz uszczęśliwić kraj dla chwały imienia twego i sławy narodu, który się w twoje oddał ręce,

Książe! Bóg jest świadkiem, że wszystko, cokolwiek w przysiędze zawarto, jest prawdą. A Bóg niedopuści, by znieważono Jego imię. Nie zapominaj więc nigdy, coś poprzysiągł; bądź wiernym Bogu i wierze prawowiernéj a wtedy długo Serbii i ludowi serbskiemu panować będziesz; teraz zaś połóż rękę na to najświętsze godło prawowiernego kościoła, na krzyż Ś-ty i Ewangielią.“

Zgromadzeni posłowie podnieśli się z miejsc i wśród głębokiego milczenia wysłuchali roty przysięgi wykonanéj przez księcia w następnych słowach:

„Ja Miłosz Obrenowicz IV, książe Serbii, obejmując władzę, przysięgam na Boga i na wszystko, cokolwiek tu na ziemi dla mnie najświętszém być może, na Ś-ty krzyż i Ewangielią Ś-tą, iż zachowam nietykalną konstytucyę kraju i panować i rządzić będę według praw wskazanych przez powyższą konstytucyę i że zawsze jedynie mieć będę na względzie dobro narodu we wszystkich mych krokach i czynach. Składając uroczyście przysięgę przed Bogiem i narodem, powołuję na świadectwo Stwórcę naszego, przed którym wypadnie mi zdać sprawę na sądzie ostatecznym i prawdę méj przysięgi stwierdzam, całując Ś-tą Ewangielią i krzyż naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Tak niech mi Bóg dopomoże.“

Zgromadzenie jednogłośnie odpowiedziało: Amen! a książe wśród licznego grona dostojników opuścił salę tronową, żegnany głośnemi okrzykami zgromadzonych posłów.

Zasadnicze prawo serbskie widzi w księciu jedyne naczynie najwyższéj władzy. W tym charakterze służy mu zwykłe prawo majestatu, nietykalność osoby, nieograniczone działanie, nie ulegające żadnéj odpowiedzialności. Należy więc doń zwierzchnicza władza ko-

ścielna, dowództwo nad wojskiem i przewodniczenie w senacie oraz w zgromadzeniu narodowém, z którém dzieli moc prawodawczą. Władza zaś wykonawcza, wolny wybór ministeryum, rozstrzyganie w ostatniéj instancyi stanowią wyłączną prerogatywę księcia.

Pod rozpoznanie senatu (sowjet) przychodzą wszystkie projekta budżetowe i prawodawcze. Senat ustanowiony został dopiéro w 1838 r. jako nieustająca prawna reprezentacya interesów narodowych przy osobie księcia, oraz dla bezpośredniego współdziałania w prawodawstwie i kontroli zarządu państwa. W 1861 roku uległ senat przekształceniu i obecnie składa się z prezydenta dożywotnie mianowanego, z wice-prezydenta, następcy tronu, skoro ten dojdzie do 18 roku życia i 17 członków senatorów mianowanych przez księcia, którzy najmniéj 35 lat życia powinni liczyć a krom tego miéć za sobą 10 lat wzorowéj i nieskazitelnéj służby.

Najwyższa Izba Obrachunkowa (Glawna kontrola) stanowi władzę ściśle z senatem połączoną. Składa się z prezesa i dość znacznego grona rachmistrzów, zajmujących się kontrolą przychodów i rozchodów państwa. Prezesa wybiera senat i przedstawia księciu do zatwierdzenia.

Reprezentacya narodowa gromadzi się w sejmie czyli tak nazywanéj narodowéj skupsztynie (narodna skupština). Prawidłowy rozwój i życie tego sejmu bardzo niedawnych sięga czasów; pierwiastkowo skupsztyna miała charakter przeważnie patryarchalny, w któréj zgromadzali się naczelnicy gminni i starszyzna narodu. Pod despotycznemi rządami księcia Aleksandra Dżordżewicza sejm nie posiadał warunków, przy których mógł był się w żywotną rozwinąć instytucyą. Dopiéro od chwili złożenia z tronu księcia Aleksandra i przywołania z wygnania Obrenowiczów zaczyna się w skupsztynie więcéj prawidłowe i bujne życie. Odtąd określono ściśléj porządek narodowego przedstawicielstwa, książe Michał dał sejmowi prawo zgromadzania się co lat trzy z wyjątkiem ważnych wypadków, z powodu których skupsztyna może być częściéj zwoływaną. Oprócz zatwierdzenia przez rząd proponowanych projektów prawodawczych, ma nadto sejm prawa w tym względzie inicyatywy. Należy także doń sprawdzanie wydatków państwowych za ubiegły trzechletni okres. W razie jeśli umiera książe, nie zostawiwszy po sobie męzkiego potomka lub nie wyznaczywszy następcy, sejm zajmuje się sprawą wyboru nowego władcy. Prawo wyborcze w Serbii jest bardzo rozległe, korzysta zeń każdy, co podatki płaci, a więc każdy Serb. Wybranym zaś być może dopiéro po 30 roku skończonym. Na 10 tysięcy głów przypada jeden poseł. Urzędnicy zostający w służbie rządowéj jak niemniéj i wojskowi, z prawa wyborczego ani czynnie ani biernie korzystać nie mogą. Posłowie otrzymują dziennie na utrzymanie 6—8 złp. Prezesa i sekretarzy zwykłych posiedzeń wybiera książe, nadzwyczajnych zaś skupsztyna.

Książęce ministeryum w Serbii według najnowszego urządzenia z r. 1862 składa się z 7 departamentów. Ministrowie odpowiedzialni są przed księciem i senatem. Przygotowują wszystkie projekta

i wnioski, przedstawiają je osobiście senatowi, przyjmując udział w rozprawach jednak bez prawa głosu. Prezes ministrów zaświadcza wraz z prezydentem senatu wszystkie książęce rozporządzenia.

Ministeryum znosi się z całym krajem za pośrednictwem władz niższych: powiatowych, okręgowych i gminnych. Dawny starosłowiański podział na żupy i ziemie został zamieniony po wybiciu się na wolność, na więcéj odpowiedni dla celów administracyinych podział na 17 powiatów (okružije), 60 okręgów (srez) i 1059 gmin (obština). Na czele zarządu powiatowego stoi naczelnik powiatu (načalnik), pod którego nadzorem pozostaje bezpieczeństwo całego powiatu, część policyjno-lekarska, szkoły, poczty, telegrafy, budowa dróg i t. d. Biuro naczelnika (načalničzstwo) składa się zwykle z naczelnika biura, jego pomocnika, z lekarza powiatowego, inżeniera, sekretarza, kasyera kilku kancelistów i żandarmów.

Od władzy naczelnika zależą urzędnicy okręgowi, którym przewodniczy tak nazwany kapetan. Działalność ich odpowiada zupełnie czynności powiatowego naczelnika ale w zakresie znacznie szczuplejszym.

W gminach, które stanowią jedność administracyiną w całokształcie zarządu, panuje zupełna autonomia. Gmina sama wybiera swój urząd (obštinski odbor), którego obręb działalności jest dość rozległy. Taki wójt gminny gra bardzo ważną rolę we wszystkich gałęziach życia gminnego. On ogłasza wszystkie prawa, nadesłane mu z biura okręgowego. Wybiera podatki, posiada władzę policyjną, czuwa na sądem gminnym i wpływa na naznaczanie lub uwalnianie urzędników gminy. Do rady dodani mu są ławnicy (obštinari). Ławnicy pod karą pieniężną powinni na każdém posiedzeniu wójta udział przyjmować. Uchwały zapadają większością głosów. W gminie są prócz tego sądy wiejskie (obštinski sud) z trzech członków złożone, które działają polubownie albo w sprawach spornych rozstrzygają do wysokości 500 piastrów (około 170 złp.) Przed kilku jeszcze laty (do roku 1867), zwykle wszyscy członkowie gminy przyjmowali udział w naradach dotyczących spraw gminy. Zachował się tu staro-słowiański zwyczaj, kiedy wszyscy kmiotkowie schodzili się na wiec ludowy. Teraz zaś rząd widział się zmuszonym zaprowadzić niezbędną zmianę, dla uchylenia tych małych parlamentów, w których nieraz najlepsze jego wnioski i postanowienia spotykały silny opór ze strony mędrkujących kmiotków, do wszelkich zmian nie zbyt pochopnych. Obecnie ministeryum wprowadziło zamiast ogólnéj rady gminnéj szczuplejszy komitet, w skład którego wchodzą członkowie wybrani przez oddzielne spółki rodzinne (zadrugi). Nowa organizacya serbskiéj gminy stanowi ważny krok naprzód w sprawie przekształcenia instytucyj politycznych Serbii na sposób europejski.

Rzucając okiem pobieżném na rozwój życia publicznego w ciągu ostatnich lat kilkunastu w Serbii, niewątpliwie słuszna nam się nasunie uwaga, że życie to całe zmierza po drodze istotnego postępu. Wprawdzie bez zboczeń się nie obeszło. Sejm, to główne naczynie

publicznego życia całego narodu, nieraz zrywał się do gwałtowniejszéj akcyi i wzbijał się śmielszym lotem, ale rządy ostatniego księcia Michała, wielce zasłużonego około sprawy wyzwolenia Serbii z pod zwierzchnictwa Porty, może za często i za silnie powściągały izbę poselską na drodze do szerszych swobód konstytucyjnych. Opór, jaki książe w niéj spotykał, był bardzo słaby i niema się czemu dziwić przedstawicielom narodu, wśród którego dopiéro zaczynają powstawać zawiązki życia konstytucyjnego. Nie zawsze były siły po temu w społeczeństwie tak mało przygotowaném, żeby utworzyć silną i skuteczną opozycyą. Dla tego też skupsztyny serbskie w uległości zupełnéj poddawać się musiały widokom szczególniéj księcia Michała, który mimo wszystkie swe w obec Serbii zasługi, miał pewną skłonność do samowolnych rządów. Tym też sposobem reakcya, któréj wyrazem był minister Krsticz, coraz śmieléj głowę swą podnosiła, mianowicie już pod koniec panowania Michała. Książe działał w reakcyjnym duchu aż do swéj śmierci gwałtownéj w roku 1869. Regencya ustanowiona w miejsce nieletniego księcia Miłosza w ciągu trzech lat wstąpiła na odmienne drogi. Zdaje się, że rządy regencyi stały się zapowiednią szybszego, więcéj prawidłowego rozwoju Serbii. Od sierpnia roku bieżącego rządzący Milan, który z 18 rokiem swego życia doszedł do pełnoletności, budzi w narodzie najpiękniejsze nadzieje. Poprzednio kierowany przez mężów stanu, co posiadali najzupełniejsze zaufanie narodu, dziś otoczony przez ministrów wypróbowanego poświęcenia dla kraju, takich np. jak Risticz, obecnie minister spraw zagranicznych, życie całego narodu do nowego polotu podniecić może.

Pragnęlibyśmy podać czytelnikom kilka rysów z tego nowego życia parlamentarnego Serbii, któreby zarazem mogły rzucić światło na jéj rządy wewnętrzne, ale brak materyału staje nam na zawadzie. Jeszcze poważniejsze pisma nie dostarczyły nam bliższych wiadomości o nowéj erze, jaka się dla Serbii rozpoczyna z wstąpieniem na tron młodego księcia Milana. Posługujemy się więc nieco dawniejszym materyałem z r. 1867 co nas ma wprowadzić w sferę działania poselskiego koła. Skupsztyna z r. 1867 obradowała jak zawsze w m. Kragujewac, natenczas pod laską Karabiberowicza, bankiera beogradzkiego. Według stanów koło poselskie składało się z 52 sędziów gminnych, 27 włościan, 32 kupców, 1 karczmarza, 1 kowala, 3 urzędników gminnych, 7 świeckich księży i 2 przełożonych zakonu.

Książe zagaił posiedzenia sejmowe następującą mową:

„Kochani posłowie! Z wielką radością widzę się znów w gronie was, mężów zaszczyconych zaufaniem narodu, z wesołém sercem witam was! Od czasu ostatniéj narodowéj skupsztyny, tak ważne, jak wiadomo wam, zaszły wypadki na naszę korzyść, że obecnie śmiało do pracy przystąpić możemy. Naród pozbył się najcięższéj swéj troski, ja widzę spełnioném moje najgorętsze życzenie. Tureckie załogi ustąpiły z Serbii, twierdze nad Sawą i Dunajem są w naszych rękach,

a wyrazy: wolność i wewnętrzna niezależność Serbii stały się już ciałem. Udałem się do Konstantynopolu, aby tam wyrazić mą wdzięczność w tym względzie. Wysoka Porta uczciła mnie przyjęciem pełném szacunku dla serbskiego narodu i dla mnie. Mam tę niezachwianą nadzieję, że wkrótce znikną te wszystkie nieporozumienia, które tamowały prawidłowy bieg stosunków między Serbią a Turcyą. Nie tylko w kwestyi twierdz, ale i w innych okolicznościach widziałem, jak mocarstwa gwarantujące życzliwie są dla Serbii usposobione. O takie poparcie i nadal zawsze usilnie starać się będę. Ze sprawozdań, które wam przedstawią moi ministrowie, przekonacie się, że zajmując się sprawami zewnętrznemi, o ulepszeniach domowych bynajmniéj nie zapominałem."

Książe następnie przeszedł do wykazania środków, jakie przedsięwzięte zostały celem naprawy wewnętrznego zarządu.

„Mówiąc o naszych sprawach domowych, z dumą i szczerém zadowoleniem wymieniam instytucyą, która aczkolwiek w rzędzie innych jest najmłodszą, należy wszakże do najwięcéj rozwiniętych i która coraz głębsze w życie narodu zapuszcza korzenie. Wszyscy czujecie, że mam tu na myśli naszę armię narodową, która chętnie i z zapałem ćwiczy się w swojém zadaniu, jest oddaną i posłuszną moim rozporządzeniom, odpowiada zatém zupełnie pokładanemu w niéj przez nas zaufaniu, w imieniu więc sejmu składam jéj wyrazy szczerego podziękowania. Niechaj nadal w serbskim narodzie żyje dotychczasowy duch oddania się temu, co ma służyć dla dobra ojczyzny, duch poświęcenia, kiedy należy służyć ojczyznie, duch ufności w ojcowskie moje zamiary a Bóg łaskawy pobłogosławi nasze prace i nasze dążności ku przyszłéj szczęśliwości serbskiego narodu. Wszyscy godnie spełnimy nasze zadanie i złożymy ofiary, na jakie każdego stać będzie. Niech Bóg błogosławi Serbią i waszę pracę. Sejm jest otwarty!"

Odpowiedź sejmu pokazuje, jak książe umiał szczęśliwie poruszyć patryotyczne uczucia. Oto jéj słowa:

„Wasza książęca mość! Najłaskawszy panie! My, przedstawiciele serbskiego narodu, spieszymy z odpowiedzią na słowa powitania wystosowane do nas. Potomkowie sejmujących w Takowie dziękują Bogu, gdy słyszą od syna Miłosza Obrenowicza, że twierdze nad Sawą i Dunajem są już w naszych rękach i że wolność i niezależność Serbii pod względem wewnętrznym stały się już ciałem. Syn więc godnie dokonał dzieła ojca. Jak z jednéj strony miło jest posłom słyszéć, że powaga księcia i Serbii wzrasta u Porty, tak z drugiej znowu boleśnie jest patrzeć na wypadki, jakie na granicy Serbii i Turcyi miewają miejsce. Te stosunki są wielce niepewne, chwiejne; tureccy właściciele ziemscy nie szanują uczuć naszych względem braci między niemi żyjących. Prócz tego Turcy gwałcą bezustannie wszelkie rękojmie i postanowienia, jakie istnieją dla opieki naszego handlu. Osobista wolność i bezpieczeństwo życia i własności naszych kupców tak mało są szanowane, że serbscy podróżnicy narażają swe życie, kiedy się do granic Serbii zbliżają. Jeśli taki stan rzeczy trwać

daléj będzie, handel między Serbią a Turcyą ustaćby musiał, a naród serbski poniósłby uszczerbek znaczny w swojéj godności w stosunku do całego kraju. Licząc na to, że Wasza Książęca Mość koniec tym stosunkom położy, oświadcza izba gotowość nieuchylania się od ofiar, skoro naród powołany zostanie do bronienia honoru i interesu Serbii. W uczuciu wdzięczności cieszy się sejm niemało z dobrego usposobienia mocarstw europejskich względem W. K. Mości, względem wielce zasłużonego księcia i naszego narodu. Reformy w ostatnich latach przedsięwzięte uznajemy jako najlepszy dowód ojcowskiéj pieczołowitości W. K. Mości około kraju. Cokolwiek dotyczéć będzie dobra naszéj ziemi, sejm zawsze z gotowością wspierać będzie rząd na téj drodze. Do takich zmian należą: prawo leśne, robotnicze i wniosek o kolejach. Niech kolej jak najprędzéj przerzyna kraj nasz; takie jest życzenie skupsztyny. Niemniéj cieszy się sejm z uregulowania koryta Morawy i z projektu nowych dróg komunikacyjnych. Dumni jesteśmy z tego, iż W. K. Mość nas zapewnia, że postępujemy naprzód wraz z innémi narodami na drodze postępu, przemysłu i pomnożeniu bogactwa narodowego. Prosimy jednak o jak najsilniejsze popieranie nas w tym kierunku. Witamy nowe rozporządzenia w dziedzinie sprawiedliwości: są to rękojmie postępu i wolności każdego obywatela z osobna i całego kraju w ogóle. Szczególnie oddzielenie administracyi od sądownictwa zarówno pożytecznem jest dla zarządu jak i dla wymiaru sprawiedliwości. Hospodarze! Przedewszystkiém najgłośniejsze odezwało się w nas echo na słowa powitania, któremi nasza zbrojna siła zaszczyconą została. Ośmielamy się jednak wypowiedzieć przekonanie, iż wojsko nasze dopiéro wtedy zasłuży na wdzięczność i pochwałę, skoro mu podaną zostanie sposobność stwierdzenia czynem na polu chwały tych gorących uczuć, jakie żywi dla celu, gwoli którego do życia powołaném zostało. Niech żyje wskrzesiciel i dowódca narodowego wojska Serbii, nasz książe Michał Miłoszewicz Obrenowicz III."

Wielomówny adres dopiéro co przytoczony, podany księciu Michałowi przez sejmującą izbę w r. 1867, może dać miarę wewnętrznego życia Serbii na polu politycznem. Prócz mnóstwa ogólnych frazesów treści w nim mało. I nie dziw temu, bo to życie Serbii tak młode, takie świeże, jak gdyby wczoraj dopiéro powstało. Nie stoi ono na gruncie długich wieków, zaledwie się wychyliło z pieluch niemowlęctwa i piérwsze zaledwo stawia kroki. Ztąd téż nie widać w adresie, by poruszone były kwestye, coby mogły jako w parlamencie angielskim lub w zgromadzeniu francuzkiém zwracać na siebie uwagę świata politycznego; nie czuć w nim tętna jakiejś olbrzymiéj walki, coby się toczyła w imię wielkich zasad życia państwowego. Tam na porządku dziennym takie kwestye elementarne, które już dawno rozstrzygnęły państwa na zachodzie Europy. W oczy zaraz wpada to stadyum niejako stanu piérwotnego, w którym jeszcze się Serbia znajduje: Izba poselska domaga się ulepszenia komunikacyi, zmian w prawodawstwie, poprawy zarządu wewnętrzego a jakkolwiek książe przed kilku laty zapewniał posłów, że Serbia podąża na drodze postępu za innémi narodami, to otwarcie mówiąc, daleko pozostała i pozostaje za tym po-

stępem, jaki widzimy na Zachodzie. Pod względem handlu, przemysłu, eksploatacyi bogactw ziemi czeka Serbią jeszcze praca olbrzymia, która dziś zaledwie budzi się z długoletniego odrętwienia, a praca taka, jak wiadomo, idąc systematycznie posuwa się zwolna, owoce jéj nie są zwykle widzialne od razu. Długie lata upłynąć muszą, nim się ta praca w dostrzegalnych skutkach objawiać zacznie. Ale słusznie zauważył książe Michał w swojéj mowie, że odradzająca się Serbia stworzyła w krótkim czasie instytucyą najmłodszą w rzędzie innych, ale wypróbowaną, dojrzałą instytucyą, która już plon nie mały przyniosła—wojsko narodowe.

Lubo Serbia swoje wyzwolenie polityczne zawdzięcza w znacznéj części opiece przyjaznych jéj mocarstw i powikłaniom politycznym, w jakich się nieraz Porta Otomańska znajdowała, słuszność wymaga przyznać, że gotowość ofiar, duch poświęcenia, waleczność narodu i jego mozolne starania nie mały przyjmowały udział w sprawie jéj odrodzenia. Naród serbski odkupił się krwią własną, krwią swoich waleczników, a któż z obywateli serbskich nie walczył za wolność swojego kraju? Serbom nie wiodło się bynajmniéj tak szczęśliwie jak Włochom w ostatnich czasach, co odzyskiwali najpiękniejsze prowincye bez żadnych niemal wysiłków. Serbska ziemia przesiąkła krwią tych, co się za jéj niepodległość bili. Takim aktem krwawym rozpoczęła Serbia swoje wystąpienie na widownią dziejową w początkach naszego stulecia, jak się już wyżéj przedstawiło. W ostatnich zaś latach książe Michał zręczną polityką umiał wymódz na Porcie ustępstwa, które Serbii zupełną niezawisłość zapewniły. Śmiała jego polityka nie polegała bynajmniéj na czczych dyplomatycznych wykrętach, które zwykle nie zbyt wielkiém cieszą się powodzeniem, skoro za niemi nie przemawia materyalna siła. Szalę zwycięztwa dyplomatycznego przechyla zwykle wzmianka o dzielnym mieczu, o tysiącznéj armii. Bywa to podobno najskuteczniejszy argument. Książe Michał często się uciekał do tego środka powołując się na swoję siłę zbrojną, gotową zawsze poprzéć wywody dyplomacyi. Porta powoli robiła ustępstwa na korzyść niezawisłości Serbii, a Porta ani się spostrzegła, jak w Serbii powoli wyrosła dość groźna wojskowa siła, nie źle uzbrojona, dobrze wyćwiczona. To serbskie wojsko, które więcéj swoją postawą i powagą imponowało Porcie, ukazało się istotnie w Serbii jak *Deus ex machina*. Cokolwiekbądź zrobiono w Serbii na drodze postępu, w jednym kierunku posunięto się znacznie naprzód, w utworzeniu siły zbrojnéj. Ku temu głównie były skierowane usiłowania rządu w ostatnim dziesiątku lat, działającego w tém słusznem przekonaniu, że tylko pod osłoną takiéj opieki może powoli mężnieć młode życie Serbii. Dziś Serbia z otuchą patrzy w swą przyszłość, mając pod bokiem regularne wojsko, które pod każdym względem wyćwiczenia, dzielności, uzbrojenia, nierównież wyżéj stoi od tureckiéj armii.

To co Serbia na tém polu zrobiła za naszéj jeszcze młodéj pamięci, winna głównie rządom swoich książąt i swojemu poświęceniu. Zapewne, że i tradycya przyczyniła się w niemałéj mierze, tradycya

wielkich czynów dokonanych przez przodków na polu chwały. Ale z przeszłości swojéj Serbia żadnéj prawie nie odziedziczyła spuścizny materyalnéj, żadnéj armii regularnéj; dawniéj bowiem, jak wiadomo, za czasów podziału na żupy, każdy żupan ciągnął na wojnę ze swoimi ziemskimi czyli powiatowymi oddziałami. Ponieważ węzły między żupanami nie były zbyt ścisłe, nie było też i jedności pod względem wojskowym. Kiedy się kraj połączył i swoich carów mieć zaczął, wtedy władstele czyli szlachta ciągnęli na wojnę z chorągwiami, pod któremi gromadzili swoich lenników. Sprowadzano nawet najemnych żołnierzy z Włoch i Niemiec. Waleczność była zawsze w dawnych i obecnych czasach naczelną Słowian cnotą. O niéj mówić byłoby zbyteczną rzeczą. Ilużto bohatérów znają pieśni ludowe Serbów. W Marku Kraljewiczu, Miłoszu Obiliczu, w Jerzym Brankowiczu, w despocie Wuku, Smokiem zwanym, uosabia się narodowe, staroserbskie bohatérstwo. Z upadkiem serbskiego państwa szlachta upadła, zniszczała. Część jéj opuściła rodzinne strony, reszta zaś zginęła bez śladu w ogólnéj massie, którą wytworzyło pod nazwą rajów panowanie tureckie. Niewielka tylko liczba serbskiéj szlachty poszła za przykładem bośniackiéj, przyjąwszy muzułmanizm dla ocalenia majątków i stanowiska. Ci renegaci bronili fanatycznie nowego sztandaru. Z ich grona wychodzili nieraz owi straszni tureccy dowódcy, przed którymi drżała Europa i Azya.

Z liczby rajów przemocą zwykle corok wybierano chłopców, którzy następnie powiększali szeregi strasznych janczarów. Od końca XVII stulecia, kiedy Austrya rozpoczęła długie wojny z Turcyą, prawie w każdéj wyprawie przyjmowały udział legiony serbskie utworzone z walecznych Serbów, co na piérwszy odgłos wojny opuszczali kraj rodzinny, by w szeregach cudzoziemskich walczyć przeciwko Turcyi. Aż do ostatniéj walki za niepodległość Serbii, tradycya wojskowa żyła między Serbami, ale sama tradycya siły zbrojnéj, jak wiadomo, nie utworzy. Pod wodzą Miłosza Obrenowicza zrzucono jarzmo tureckie, uzyskano pewne rękojmie bezpieczeństwa, ale nie uzyskano tego, co najskuteczniéj mogłoby bronić młodą niezależność od niebezpiecznych ze strony Turcyi zamachów. Traktaty przysięgą stwierdzone, są w obec Porty małéj wagi. Lada kaprys sułtana wniwecz je obracał, jak świadczą o tém dzieje współczesnéj nam doby. Regularne wojsko było dla Serbii warunkiem jéj przyszłości. Niepospolita zręczność Obrenowiczów, ich wytrwałe zabiegi dokonały tego, że powoli bez wiedzy nawet Turcyi powstała dzielna armia serbska. Piérwszy z książąt Miłosz Obrenowicz wymógł na Turcyi drobne napozór ustępstwo, iż wolno mu będzie trzymać pewną liczbę zbrojnych ludzi, aby zapobiegać naruszeniu porządku publicznego i w danym razie karać przestępców. I oto z tych drobnych zawiązków rozwinęła się cała siła zbrojna. Dla podtrzymania niby publicznego porządku urządził Miłosz piérwiastkowo milicyą narodową, która 4 tysiące głów liczyła. Z biegiem czasu—jak lawina z gór się tocząca stopniowo do znacznych urosła rozmiarów ta mniemana milicya bezpieczeństwa publicznego. Na téj drodze nie tyle zrobił książe Ale-

ksander, syn Jerzego Czarnego, ile znowu Miłosz i Michał Obrenowicze. Po powrocie z wygnania Miłosz na nowo rozpoczął swoje dzieło. Bez hałasu i wrzawy pracował nad organizacyą wojska, budował koszary, zakładał szkoły wojskowe, sprowadzał austryackich instruktorów, wysyłał zdolniejszych ludzi do zagranicznych akademij wojskowych. Nie mało w tym względzie dodawał mu podniety duch czasu, jaki wtedy w Europie panował. Była to epoka, kiedy Napoleon, cesarz Francuzów głosił w polityce zasadę narodowości i takową orężem w czyn wprowadzał. Dla urządzenia armii serbskiéj został powołany półkownik Mondain, dzielny francuzki inżynier generalnego sztabu. W Serbii otrzymał tytuł ministra wojny i długi czas był szefem serbskiego wojska.

Książe Michał wstąpił w ślady swego ojca. Narodowa milicya wzrastała w liczbę i robiła postępy w militarném wykształceniu. Już w 1861 r. przedstawił sejmowi wniosek, dotyczący organizacyi narodowego wojska (narodna wojska), w myśl którego każdy Serb od 20—60 lat podlega służbie wojskowéj. Ówczesny sekretarz stanu, głośny Ristics, obecnie minister spraw zagranicznych, w gorących słowach zalecał w imieniu księcia wniosek, przedstawiony Izbie poselskiéj o nowéj organizacyi wojskowéj: „Bracia moi!—zawołał—jeżeli za naszą armią 5tysięczną stanie pięćdziesiąt tysięcy milicyi narodowéj dobrze wyćwiczonéj, któż się odważy nas obrażać? Uczmy się robić bronią w niedzielę, zamiast przed mechanami (karczmami) czas spędzać na bezużytecznéj gawędzie". Projekt został przyjęty przez skupsztynę wśród gwałtownych okrzyków radości.

Porta Otomańska, patrząc z obawą na wzrastającą siłę Serbii, protestowała uroczyście; Austrya także dorzuciła swoje „nie pozwalam", obawiając się wybuchu nad Dunajem, gdzie Kossut podniecał żarzewie powstania. Kroki obu mocarstw pozostały bez skutku. Chociaż Austrya surowo zabroniła wywozu broni do Serbii, umiano sobie jednak zaradzić inaczéj, sprowadzając ją pośrednim sposobem z Rossyi. Już na początku następnego, to jest 1862 roku, wszędzie z zapałem odbywało wojsko narodowe różnorodne ćwiczenia. W czerwcu, kiedy Turcy bombardowali Beograd, na głos księcia stawiła się na obronę stolicy imponująca siła zbrojna. Praca księcia Michała wydała w tym względzie pożądane owoce.

Milicya narodowa stała się najpopularniejszą instytucyą Serbii. Uciążliwa służba żadnego nie budziła i nie budzi niezadowolenia w ludności. Według ostatniéj organizacyi z roku 1867, wszyscy właściciele i posiadacze są zobowiązani służyć w narodowéj milicyi z wyjątkiem Cyganów i Żydów. Prócz tego wolni są wyżsi urzędnicy. Służba trwa od roku 20—40. Jakkolwiek zwykle tylko pierwsze powołanie znajduje się stale pod bronią, jednak cała milicya przyjmuje udział w ćwiczeniach wojskowych dwakroć do roku: na wiosnę i na jesień. Narodowa milicya dzieli się na jazdę, artyleryą, piechotę i furgonów (komordzije). Jazdę formują zwykle z bogatych kupców, właścicieli ziemskich i przemysłowców. Cały rynsztunek i ubra-

nie własnym kosztem każdy nabywa. Było jéj w ostatnich czasach 5,000 koni.

Do artyleryi powołują urzędników, ludzi więcéj ukształconych i mieszczan. W tym rodzaju broni ważną gra rolę artylerya górska, która ma działa zastosowane do miejscowych warunków, to jest tak lekkie, że na jucznych zwierzętach można je przewozić przez lasy i góry. Liczba ludzi w artyleryi może około 8,000 wynosić. Do piechoty zaciągają głównie wieśniaków. Pierwsze powołanie wynosi około 50,000 Cała milicya rozdzielona jest na pięć oddziałów albo okręgów; jest to podział czysto terrytoryalny. Regularne wojsko służy głównie jako szkoła dla wojska narodowego. Nie ma go więcéj nad 2—3 tysięcy. Służba w tém wojsku trwa trzy lata. Nie podajemy dalszych w tym przedmiocie szczegółów, z obawy, aby nie wprowadzić w błąd czytelnika. W roku przeszłym z powodu powszechnego w Europie uzbrajania się i reorganizowania służby wojskowéj, poczyniono także i w Serbii odpowiednie zmiany, o których nie posiadamy jeszcze pewniejszéj wiadomości. Zakupowano dla Serbii broń odtylcową, poprawiano artyleryą, sprowadzano z Austryi dobre i silne konie, założono nowe szkoły wojskowe. Ostatnia rejencya pod względem starań około podniesienia siły zbrojnéj nie pozostawała w tyle za Obrenowiczami. Młody książe może z otuchą patrzéć na dzieło swoich poprzedników, które się nie mało przyczyniło do utrwalenia wewnętrznéj niezawisłości Serbii.

* * *

„Pierwszy i najcięższy podatek, który płacą kraj i praca, stanowią koszta przewozu. Powiększają się one w stosunku geometrycznym, podczas gdy odległość od targu wzrasta w artmetycznym“. To wyrzeczenie sławnego ekonomisty amerykańskiego Careya najzupełniéj się sprawdza w Serbii, nie posiadającéj ani dobrych dróg, ani żelaznéj kolei. Nie zbyt wielka ludność a głównie brak wszelkich dróg i komunikacyi, jest dotychczas najgłówniejszą przyczyną tego nizkiego stanu bogactwa narodowego, jaki spotykamy w tureckich naddunajskich prowincyach. Nawet te piękne drogi, które w tych stronach pobudowali kiedyś Rzymianie z takim wysiłkiem dla połączenia Mezyi, Tracyi i Macedonii z brzegami Egejskiego i Adryatyckiega morza, Turcy zupełnie zapuścili i zaniedbali. Połączenie na kołach jest w tureckich prowincyach prawie rzeczą niemożliwą. Ztąd też zatamowanie zagranicznego handlu, który radzi sobie, używając do przewozu towarów, w każdym razie drogiego środka, to jest jucznych zwierząt. Znaczniejsi więc kupcy mający zagraniczne stosunki, muszą zwykle trzymać w nadmorskich miastach albo w przystaniach nad Sawą i Dunajem swoich komissyonerów, którzy przeładowują towary w mniejsze beczki, dla dogodniejszego pomieszczenia ich na koniach. Łatwo zrozumiéć, jaką stratę czasu i pieniędzy sprowadza podobne postępowanie. W całéj Turcyi miarą ciężkości jest siła ko-

nia, na którego liczą 225 funtów. Taka karawana, która wymaga także licznych poganiaczy, najwyżéj dziennie przebywa 6—8 godzin (mil). Koszta więc przewozu na juki jednokonne dochodzą do znacznéj cyfry, wynosząc w lepszéj porze roku za jednę milę około jednego złotego. Jeżeli latem komunikacya karawanowa jest niepewną, to zimą ustaje prawie zupełnie. Takiego rodzaju były drogi, które Turcya zostawiła Serbii niemal w pustynią zamienionéj.

Kiedy książe Miłosz objął rządy w zapuszczonym kraju, wóz należał do rzadkich, a koło z żelazną obręczą do niesłychanych rzeczy. Budowie dróg poświęcił książe Miłosz szczególniejsze staranie. Jako drugi Piotr, zmuszał nieukształconych wieśniaków do prowadzenia pierwszych dróg, za które potomność wdzięczną mu być powinna. Wprawdzie pierwsze próby czynione przez ludzi nieprzygotowanych, były mało zadawalające. Podróżnicy jak Perch, Boué nie mało o nich opowiadają. W każdym razie był to początek uznania godny. Książe Aleksander z zapałem prowadził daléj rozpoczęte dzieło. Zarząd dróg powierzono oddzielnéj sekcyi w ministeryum spraw wewnętrznych. Sprowadzono z zagranicy licznych inżynierów, młodych ludzi wysyłano z Serbii do szkół politechnicznych w Wiedniu, Paryżu, Berlinie i Brukselli. Powoli przyszło do tego, że nietylko każdy powiat ale i każdy okręg miał swego inżyniera, który kierował robotami około budowy i naprawy dróg. Prawodawstwo określiło bliżéj obowiązki gmin względem utrzymania komunikacyi. I tak: według prawa serbskiego, koszta na budowę i utrzymanie dróg ponoszą gminy, przez które drogi przechodzą. Gmina dostarcza materyału i dba o wykonanie przepisanych robót. Robotnicy jednak i nadzorcy otrzymują od państwa dziennie wynagrodzenie. Korzystanie z dróg jest dla wszystkich bezpłatne. Mimo tyloletnie usiłowania rządu, drogi w Serbii nie są jeszcze postawione na średniéj stopie doskonałości. Na każdym prawie sejmie posłowie dopominają się najrozleglejszych ulepszeń. Obecnie Serbią przerzyna w głównych kierunkach sześć bitych traktów. Drogi boczne czyli wiejskie są w bardzo opłakanym stanie. Brak im często mostów, rowów, ścieków, ztąd zimą stanowią właściwie bezdroża. Każdy wtedy tworzy sobie w prawo i w lewo własną drogę. Z tém wszystkiém, Serbia stanowi w całéj Turcyi wyjątek, jedyne państwo, na które spływają już dobrodziejstwa ożywionego ruchu osobowego i towarowego po drogach założonych na sposób europejski. W ostatnich latach za księcia Michała, utworzono nawet oddzielne ministeryum dróg i komunikacyj (ministerstwo gradżewina).

Teraz urządzono także oddział robotników do budowy mostu. Ale dawniéj nie znano w Serbii tego rodzaju budowli. Kiedy książe Michał wstąpił na tron, nie zastał w całym kraju ani jednego mostu. Przez takie rzeki jak: Morawa, Drina, Ibar, przeprawiano się na przewozach, które dla państwa znaczny przynosiły dochód. Obecnie już zaprowadzono w ważniejszych miejscowościach mosty zbierane na łyżwach.

Serbia posiada prawo swobodnego korzystania z wolnéj żeglugi na Sawie i Dunaju, dotychczas jednak dla braku kapitału niezrobiono żadnego użytku z tego szacownego przywileju. Książe Miłosz w 1866 roku starał się wyswobodzić z pod austryackiéj flagi, zakładając przy pomocy francuzkiego towarzystwa żeglugę parową, ale zabiegi jego wkrótce udaremnione zostały.

Serbia oddzieliła się od pozostałéj Turcyi zapomocą kwarantanny i pogranicznéj straży. Cały ruch osobowy i towarowy tylko przez kilka pogranicznych stacyj odbywać sie może. Takie ograniczenia ruchu komunikacyjnego wprowadzono już dość dawno celem ustrzeżenia kraju od zaraźliwych chorób, jakieby nieraz z Turcyi wniesione być mogły. Jest wszystkiego siedm punktów wyznaczonych jako zborne miejsca (sastanci), gdzie się zgromadza pograniczna ludność dla wzajemnego porozumienia, wymiany towarów, załatwienia interesów. Każdy zborny punkt posiada w tym celu urządzoną salę gościnną, na dwie części przedzieloną, gdzie schodzą się umawiające strony. W takich miejscowościach zwykle pełni swą czynność i urząd celny. W czasach, kiedy żadna nie panuje zaraźliwa choroba, podróżnicy i towary bez zwłoki daléj swą podróż odbywać mogą, w przeciwnym razie ulegają zwykłym środkom ostrożności, kadzeniu, dezinfekcyi i kilko lub kilkunastodniowemu zatrzymaniu.

Poczta, telegraf i koléj żelazna, te potężne czynniki zachodniéj cywilizacyi, nie są wprawdzie obcemi dla Serbii instytucyami, ale znajdują się niestety! jeszcze na stopniu niemowlęcego rozwoju. Czas powoli zrobi swoje: wszystko jest ściśle i wzajemnie zawarunkowane. Z ulepszeniem dróg bitych ożywi się ruch pocztowy, z powiększeniem się bogactwa narodowego, wzmogą się kapitały dla celów komunikacyjnych i przemysłowych. Poczta listowa w Serbii podlega dwóm urzędom. Austryacki konsulat ma pod swoim zarządem pocztę międzynarodową, to jest przyjmuje wszystkie listy i posyłki zagraniczne i w Beogradzie odsyła takowe bezpośrednio do właściwych rąk, na prowincyą zaś przeznaczone listy oddaje do urzędu pocztowego miejscowego, to jest książęcego. Po głównych gościńcach idzie poczta listowa przez Serbią do dalszych prowincyj Turcyi, zwykle na koniach przewożąc swoje pakunki, niekiedy na dwukołowych wózkach czyli biédach. Osobowa poczta dopiéro w ostatnich czasach zaczęła używać zwykłych wozów. Dla podróżującego najdogodniejszy jest przejazd na prywatnych koniach, co do pośpiechu podróży znacznie się przyczynia, lubo powiększa koszta, jakie ponosić wypada za własnego wierzchowca, za jucznego konia i za pocztyliona. Za taki sposób przejazdu płaci się za milę 4—5 złp. Siodło i uzdeczkę winien podróżnik mieć własne. W 1864 roku wyprawiono listów rządowych 202,850, prywatnych 239, 635, która to liczba w ostatnich latach w skutek zmniejszenia opłaty znacznie się powiększyła. Osób przewieziono na wozach i konno około dwoch tysięcy. Dochód pocztowy wynosił w roku 1866 blizko 150 tysięcy złotych.

Telegrafy zostały w Serbii zaprowadzone w roku 1854. Przed niedawnym czasem było już 20 stacyj, które się zapewne w ostatnich trzech latach znacznie pomnożyły (1). Rząd serbski przyłączył się do niemiecko-austryackiego związku telegraficznego, za pośrednictwem którego pozostaje w połoczeniu z całą Europą.

Koleje żelazne byłyby jedynym dla zrujnowanéj Turcyi środkiem podniesienia jéj dobrobytu, ożywienia jéj stosunków handlowych. Mogłyby one nie mało przyczynić się do ruchu przewozowego ze Wschodu na Zachód, do Wiednia i Włoch. Ale przy tych niepewnych stosunkach, jakie tam panują, zagraniczny kapitał nie zbyt chętnie rzuca się do niebezpiecznych przedsiębiorstw. Sam zaś rząd Porty Otomańskiéj za mało czuje w sobie energii, by podobnemi dobrodziejstwy obdarzyć ludność swoich prowincyj, przeprowadzając drogi żelazne. Wszystko w tym względzie idzie żółwim krokiem. Przed laty dwunastu w całéj Turcyi było zaledwie 9 mil geograficznych kolei żelaznych, w 1871 było już 40 mil, co to jednak za nieznaczny stosunek do całego obszaru (2). Od komunikacyi zewnętrznéj w tureckiém państwie głównie zależy koléj w Serbii. Kraj stoi jeszcze na zbyt nizkim stopniu rozwoju materyalnego, by się mógł opłacać kapitał włożony w budowę drogi żelaznéj. Koléj żyje głównie przewozem miejscowych produktów, te zaś według danych statystycznych nie są w stanie w Serbii utrzymać drogi żelaznéj.

Drogi i rolnictwo w najściślejszym między sobą pozostają związku. Pewnik ten każdemu jest wiadomy. Tylko tam rolnictwo kwitnąć może, gdzie system dróg został wszechstronnie rozwinięty, bo drogi ułatwiają korzystniejszy zbyt produktów rolnych. Po tém, co się wyżéj rzekło o komunikacyach w Serbii, łatwo pojąć, na jakim stopniu znajduje się rolnictwo. Z tego względu głównie pielęgnowano dotychczas jednę gałąź gospodarstwa rolnego: zajmowano się hodowlą trzody chlewnéj, która, jak wiadomo, sama jest w stanie przebywać dalekie przestrzenie i daje gotowiznę w łatwy sposób, gdy tymczasem zbyt produktów rolnych pociąga za sobą większe trudności i większego wymaga nakładu.

Z tém wszystkiém Serbowie nie mniéj chętnie od innych Słowian-pobratymców bawią się rolnictwem. Rolnictwo i pasterstwo, któremu sprzyjały leśne strony i bujne trawiaste doliny, od najdawniejszych czasów stanowiły główne zajęcie Serbów. W epoce politycznéj samodzielności, własność ziemską (czyli basztynę) posiadała szlachta (wlastele) i kmiotkowie. Oddawano także w rodzaj dzierża-

(1) Najnowsze źródło informacyi w tym względzie, do którego się udawaliśmy, widocznie nie posiada jeszcze pewnych danych. Geographisches Jahrbuch. Gotha za r. 1872, podając tabelę różnych państw i ich drutów telegraficznych, pod Serbią umieszcza tylko 19 stacyj, a długość drutów na 131 mil geograficznych. Neumann. str. 519.

(2) Tamże. str. 512.

wy ziemię za uiszczeniem pewnéj ilości płodów rolnych. Ludność wiejska mieszkała we wsiach i osadach. Jakie podatki płacił wieśniak szlachcie, duchowieństwu i carowi, w szczegółach, nie jest nam wiadomém. Tak nazywany „perper carski“ stanowił w każdym razie główne źródło dochodów księcia, krala czy cara.

Pod tureckiém panowaniem zniesiono wszelką własność ziemską, nad całym krajem rozciągał swe prawo sultan. „Wszelka ziemia należy do kalifa, który jest cieniem i namiestnikiem Boga na ziemi“. Już wyżéj była mowa o tém, że po podbiciu Serbii cały kraj podzielono na drobne cząstki, z których dochody wyznaczono spahiom. Spahia był rodzajem lennego pana. Tylko pewna część szlachty-renegatów zatrzymała dawną własność i prawa. Wieśniak albo w ogóle każdy raja, pozostając na swoim kawałku ziemi, winien był płacić swojemu najbliższemu panu dziesięcinę, która się połowie dochodu równała; prócz tego, basza czyli rządca prowincyi, ściągał na swoję korzyść oddzielne opłaty albo 100 dniową na rok pańszczyznę z każdego gospodarstwa, a nadto nad wszystkiemi ciążyła „dymnica“, którą wybierali biskupi z Konstantynopola nasyłani—za ordynowanie plebanów wiejskich. Te wszystkie podatki i ciężary mając na uwadze, które rolnik ponosił, łatwo określić można jego względem ziemi stanowisko. Z gruntu swojego miał właściwie tylko prawo użytkowania (ususfructus), tymczasem owoce pracy jego zabierane przez ciemiężycieli, zaledwie na nędzne wystarczały utrzymanie. Nic więc dziwnego, że kmiotek serbski zamieniony na pańszczyźnianego chłopa, nie miał żadnéj podniety do ulepszenia gospodarstwa. Pola zarastały chwastem, zapadały się chaty wiejskie, wsie i sioła opustoszały... przemysł i handel obumarły.

Skoro raz w ludności zostanie zabitą wszelka chęć do pracy i zabiegłość, skoro się raz w niéj zagnieździ ospałość i lenistwo i w ciągu kilku wieków przytępieje wszelka energia, jakże to trudno wtedy wlać znowu nowy popęd i żywszą w niéj obudzić działalność. Na to dziesiątki lat nie wystarczą. Po wojnach za niepodległość kraju, ludność odrazu znowu wróciła do swojéj własności. Ziemia przeszła w zupełne posiadanie rolnika. Nowe stosunki polityczne wymagały nie małych wydatków, które tylko przez opodatkowanie można było pokryć. Ileż to szemrań, ile niezadowolenia głośnego spotykał pierwszy ksiaże w pracy około odrodzenia swego kraju. Ludność wiejska w mniemaniu, że wolną być powinna od wszelkich ciężarów, chętnie łączyła się z ambitnymi przywódzcami stronnictw, które do wygnania Obrenowiczów się przyczyniły. Powoli jednak rozsądniejsze poglądy między ludnością wiejską postęp czyniły. Mimo usiłowania przez Miłosza podjęte celem podniesienia rolnictwa, dotychczas zaledwie ósma część całego księztwa znajduje się pod uprawą, a na milę kwadratową przypada zaledwie 1,200 głów. W obec więc takiego stanu wniosek jest bardzo prosty, że rolnictwo w Serbii nie stoi bynajmniéj na pożądanéj stopie doskonałości.

Usiłowania rządu, założenie w Topczyderze około Beogradu wzorowego gospodarstwa, kilku szkół agronomicznych, zwolna przy-

czyniają się do podniesienia rolnictwa. Przynajmniéj Serbia dziś się w tym stanie znajduje, że zboże wystarcza jéj na własne potrzeby. Uprawa wina i jedwabnictwo posuwa się z każdym rokiem naprzód. Z tém wszystkiem podróżnik spotyka nieraz okiem niezmierzone obszary, leżące zupełnie odłogiem. Niekiedy zdawaćby się mogło nawet bez zbyt bujnéj wyobraźni, że Serbia to niby amerykańskie Stany, gdzie dopiéro powstają młode osady. Całe pasy wytępionych lasów obok źle uprawionych pól! Po nad wysokim kłosem pszenicy lub łodygą kukurydzy sterczą drzew zwęglone pniaki. Nadmiar urodzajnéj gleby pozwala zapuszczać ugorem świéżo uprawne pola. Mierzwy nie potrzebuje wieśniak serbski, w danym razie zastępuje ją powoli gnijące ściernisko z poprzedniego roku. Brak większych gospodarstw, któreby nowsze ulepszenia w rolnictwie wprowadzały, staje na zawadzie postępom agronomicznym.

Rolnik serbski zawsze jeszcze używa narzędzi, któremi się przed setkami lat posługiwano. Pług jego nie wywraca ziemi, tylko ją z lekka na powierzchni rozdziera; bo jedyny kawałek żelaza, co się przy tym pługu trzyma, podobny do wyciągniętéj ręki, prawie równolegle zapuszcza się w ziemię. Do poruszenia takiego narzędzia potrzeba nieraz dwóch, trzech i czterech par wołów i kilku ludzi. Zamiast brony używają często gałęzi lub cierni. Trawę tną kosą albo sierpem, ale grabie są nieznane. Garście na zagonach zbierają za pomocą wideł. Dynie, melony i groch sieją razem z kukurydzą w sposób bardzo pierwotny. Za orzącym wieśniakiem idzie żona lub córka i wrzuca w bruzdę pomięszane nasienie, przygarniając nań ziemię swoją bosą nogą; potém broną bardzo prostą równają rolę.

Cepy są podobnież nieznaném w Serbii narzędziem. Zboże depczą woły lub konie na twardém glinianém klepisku, niekiedy natychmiast po żniwie na polu. Na klepisku wbijają kół, do którego są przywiązane konie za pomocą lin i w tym sposobie obracając się dokoła, z powodu obwijającéj się liny coraz mniejsze zakreślają łuki, następnie w odwrotnym kierunku na coraz szerszéj linie po deptaku się obracają.

Jak w całéj Turcyi tak i w Serbii przeważa uprawa tureckiego prosa czyli kukurydzy. Pod nią zajętą jest prawdopodobnie połowa a może nawet dwie trzecie w ogóle uprawnéj roli. Chleb z kukurydzy stanowi główne pożywienia Serba. Ziarnem kukurydzy tuczą i trzodę chlewną. Łodygi dają także i bydłu na zimę. Żyto, pszenicę sieją głównie w okolicach Sawy i Dunaju, wszędzie zaś spotyka się owies, jęczmień, proso. Brak starania przy zwózce zboża zmniejsza znacznie jego wydajność i wywóz zagraniczny. Wyższe gatunki mąki sprowadzają zawsze jeszcze z Austryi. Ze strączkowych roślin prawie wyłącznie sadzą groch tyczkowy i polny, które stanowią ulubioną potrawę postną. Jarzyny i kartofle spotykają się tylko w pobliżu miast. Powszechnie jednak hodują w polach i ogrodach pieprz turecki, cébulę i czosnek. Każdy wieśniak ma zawsze trochę téj papryki.

Z owoców obok wiśni, jabłek, gruszek, szczególniejszą cieszą się uprawą śliwki. W okolicach Kruszewacu spotyka podróżnik całe lasy drzew śliwowych. Suszone śliwki stanowią w ciągu kilku tygodni główne pożywienie ludności. Najlepsze śliwki rodzą się w Szumadyi. Ze śliwek przygotowuje także Serb swój ulubiony napój śliwowicę czyli rakiją, odznaczającą się przyjemnym, chłodzącym smakiem i zapachem gorzkich migdałów. Śliwki tak się obficie rodzą, że mimo ogromnego spożywania wywóz takowych około 80 tysięcy centnarów wynosi.

Uprawa wina wyłącznie się odbywa na płasko wzgórzach, przylegających do Dunaju. Pierwsze latorośle w Serbii sadził podobno cesarz rzymski Probus. Szczególniéj słyną winogrona Semendryi. Czerwone wina są nieco cierpkie i ciężkie, posiadają w pewnym stopniu te same własności co i dalmatyńskie. Wszystek wyrób spożywa się na miejscu. Wyższe stołowe wina sprowadzają, lubo w niewielkich ilościach, z zagranicy. Uprawie wina poświęcają wieśniacy największe staranie. W jesieni zaczyna się winobranie. Co Serb zbierze, to i wypije. Już w dwa tygodnie po rozlaniu wina w beczki zaczynają kosztować daru Bożego. Oszczędności zwykle nie robią, zapas jednego roku wychodzi powoli na potrzeby domowe, nieraz już w porze letniéj niema ani kropli wina w piwnicy, wtedy kmiotek do gorzałki sięga.

Zwróćmy się teraz do drugiéj gałęzi gospodarstwa rolnego, do hodowli inwentarza. Ten sam tu spotykamy niski co i w rolnictwie stopień rozwoju. Bydło pozostaje zwykle jak najdłużéj na wolnéj paszy. Zimą podobnież pod gołém niebem przebywa około zabudowań, niekiedy w bardzo lichych oborach, żywiąc się li tylko suchemi łodygami kukurydzy; nie wielką ilość siana spożywają konie i owce. Rassa bydła jest nieszczególna, mała, chuda, niepozorna. Wiosną widać na tych pięknych alpejskich dolinach bujną trawą pokrytych, nieliczne stada wynędzniałego bydła. Rolnik serbski nie dba wiele o swój inwentarz. Ponieważ nie spożywa mięsa wołowego, bydło więc w pewnéj ilości stanowi przedmiot handlu wywozowego. Cieląt na wsi nigdy nie biją. Dojność krowy, która przecięciowo 5 duk. kosztuje, jest bardzo mierna. Mléko zaledwie na potrzeby domowe wystarcza. Wyrób masła nieznany zupełnie, zastępuje go wyrób twarogu, który staje się przedmiotem prędkiéj konsumpcyi domowéj. Przy takich pastwiskach rozległych i żyznych, jakie ma Serbia, hodowla bydła, fabryki masła i séra, podobnie jak w Holandyi, mogłyby się stać obfitém źródłem bogactwa narodowego, gdyby ten lud taką samą jak Holendrzy odznaczał się energią i przedsiębiorczością.

Konie serbskie nie należą do pięknéj rassy, ale są zwinne, zręczne, szczególniéj w podróżach po ścieżkach stromych skał. Te własności pozwalają używać konia w Serbii do przewożenia lub raczéj przenoszenia towarów. Muły i osły spotykają się rzadko. Koni zbytkownych, poprawnéj rassy jest mało, a zarodowe stajnie księcia w nieznacznym dopiéro przyczyniły się stopniu do jéj uszlachetnienia. Dla

wojska tj. dla konnicy i artyleryi Serbia zmuszona jest z zagranicy sprowadzać konie, zwłaszcza z Węgier.

Rozległe dębowe lasy Serbii sprzyjają wielce hodowli trzody chlewnéj, tego najbogatszego źródła dochodu w serbskiém gospodarstwie. Serbska trzoda chlewna gra ważną rolę w wyżywieniu całéj środkowéj Europy. Na wielką skalę rozwinięta jest ta hodowla, szczególniéj w Szumadyi. Na wiosnę, kiedy się rozpoczyna żegluga na Sawie i Dunaju, ciągną nieprzeliczone stada szczecinowego inwentarza ku wywozowym przystaniom, mianowicie ku Semendryi. Świnie serbskie są mało tuczone, chude, ztąd też w ostatnich latach mniéj były poszukiwane przez handlarzy, którzy w Węgrzech mogą zakupować lepszą rassę, więcéj wypasioną. W wielu okolicach Serbii hodowla trzody chlewnéj stanowi dla rolnika jedyny dochód gotowizną, w 1862, 63 i 64 r. wywóz roczny wynosił przecięciowo 325 tysięcy sztuk. W skutek popłochu zrządzonego w Europie przez ukazanie się w wieprzowinie trychin, znacznie się zmniejszył handel zagraniczny tego rodzaju inwentarza, w ostatnich jednak latach znów się wzmaga, do czego się także przyczyniają postępy w poprawieniu rassy uczynione.

Zmniejszona nieco z powodu obaw o trychiny w 1865 roku hodowla trzody chlewnéj oddziałała korzystnie na owczarnie, ale dotychczas jeszcze owca jedynie tylko służy do zaspokojenia głodu wieśniaka, jako najwięcéj ulubione mięso. Do zwierząt domowych należy w Serbii także koza, która mało wymagając doglądu, dla rolnika wielce jest pożądaną.

Lasy Serbii należały kiedyś do najpiękniejszych w Europie. Jeszcze w przeszłém stuleciu, powiadają podróżnicy, Serbia była jako jeden las. Teraz już znacznie przetrzebione zostały. Gdzie leśne knieje zamienione na uprawną rolę, tam szkody żadnéj przez to nie wyrządzono. Ale lekkomyślnie przez długie lata trzebiono lasy, które z wielu względów nietkniętemi pozostać były winny. Rządzono się w Serbii zasadą jak i u nas, że lasy są nieprzebrane, że po wycięciu nowy na tém miejscu znów wyrośnie. Pocieszano się tą myślą, że drzewa nigdy nie zabraknie. Tymczasem skutki takiego gospodarstwa niebawem się ukazały w wielu miejscowościach, gdzie drzewo stało się przedmiotem poszukiwanym i wielce drogim. W gminnych lasach nie było porębów, każdy wycinał na własną potrzebę, gdzie i co mu się podobało. Rząd zapobiegał po razy kilka takiemu systematycznemu trzebieniu, ale bez wielkiego powodzenia. Dopiéro w 1867 roku uchwaliła skupsztyna surowe prawo leśne. Większe obszary lasów, do których gminy nie miały żadnego a przynajmniéj wątpliwy tytuł, rząd przepisał na własność skarbową, rozciągnął opiekę nad lasami gmin, kazał w nich urządzić poręby, na potrzeby domowe, budowlę i opał otrzymuje członek gminny bezpłatnie albo za niewielką opłatą potrzebny materyał. Samowolnie jednak bez uchwały gminy nie ma prawa gospodarować w lesie i rozrządzać drzewem. Rząd także wygotował prawo korzystania z pastwisk leśnych, zbierania żołędzi i innych, tak iż obecnie obawa o drzewo w Serbii może być za bezzasadną uważana.

Pod względem rzemiosł Serbia stoi na tym stopniu, na jakim się kiedyś Polska znajdowała, kiedy pracę rękodzielniczą za ubliżającą godności człowieka uważano. Prócz wiejskich kowali, krawców, szewców, szczotkarzy nie masz zupełnie serbskich rzemieślników: wyższy przemysł spoczywa głównie w rękach cudzoziemców. Nie można Serbom odmówić bynajmniéj uzdolnienia, zręczności, owszem zmysł naśladowniczy posiadają w wysokim stopniu; brak im jednak wytrwałości a głównie zamiłowania w tego rodzaju zajęciu. Są także i inne przyczyny podobnego w rzemiosłach zastoju. W Serbii brak stanu miejskiego: Serb nie zbyt chętnie osiada w miastach, gdzie zwykle najodpowiedniejsze bywa ognisko ruchu na polu rzemiosł. Pod długoletniém panowaniem tureckiém unikano miasta, gdzie się obce jarzmo najdotkliwiéj dawało we znaki. Prócz tego istnieją w Serbii różne przepisy, ograniczające swobodę zajmowania się rzemiosłem. Są pewne zajęcia, które należą do ściśle zamkniętych korporacyj czyli cechów. Cechy mają swoje urządzenia podobne do tych, co się rozwinęły na Zachodzie. Tylko wykwalifikowani majstrowie mogą prowadzić swój proceder. Trzeba przechodzić przez stopnie, zostać czeladnikiem, być zapisanym do cechu i otrzymać właściwe świadectwo. W pewnych razach monopol rzemiosła przechodzi na wdowę i dzieci.

Cudzoziemcy mają prawo osiedlania się w Serbii, za wykazaniem kwalifikacyjnego świadectwa i uzyskaniem pozwolenia od władzy policyjnéj. Ztąd téż nie tylko w Beogradzie, ale i we wszystkich znaczniejszych miastach, wyłącznie niemal zajmują się rzemiosłami Niemcy z różnych prowincyj, zostający pod opieką austryackiego i niemieckiego konsulatu. Rząd serbski przedsięwziął w ostatnich latach środki, by pobudzić ospałą ludność do współzawodnictwa z cudzoziemcami. Liczni stypendyści kształcą się w różnych zawodach w zagranicznych zakładach, by z czasem powiększyć miejscowe rękodzielnicze siły. W celu podniesienia miejscowego przemysłu i rolnictwa, uchwalił sejm w 1865 roku wniosek kolonizacyjny, który wielkie poczynił ułatwienia dla napływu cudzoziemskiego żywiołu, dając uwolnienia od podatków, różne przywileje. Roznosiciele niemieckiéj kultury tłumnie zgłaszać się zaczęli, by korzystać z ofiarowanych dobrodziejstw, a natomiast wnieść z sobą dobrodziejstwa swojego uspołecznienia. Ale jakżeż gorzkiego doznali zawodu! Rząd serbski, wprowadzając w życie wniosek kolonizacyjny przez sejm uchwalony i szczerze pragnąc ztąd odnieść pożądany skutek, nie tamował wprawdzie napływu, ale mając na względzie interesa narodowości miejscowéj, kładł za warunek, że Niemcy mogą się tylko pojedynczo osiedlać, ale nie tłumnie, to jest całemi gminami, co ostatecznie zupełnie oziębiło zapał kolonizacyjny w kulturtraegerach.

*

* *

Ciężka to była z początku dla serbskiego rządu sprawa ze ściąganiem podatków. Wieśniak, jak wyżéj nadmieniono, nie pojmując

wyższych zadań i potrzeb państwa, sądził, że po zrzuceniu jarzma tureckiego i wszelkie opłaty ustać były powinny. Miłosz, pierwszy książe zwalczał na tém polu niezmierne trudności. Powoli jednak opodatkowani ulegli słusznym wymaganiom państwa, zrozumiawszy, iż trzeba było opłacać haracz Porcie, zakładać szkoły, budować drogi. Już w 1838 r. skarbowość oparła się na trwałéj podstawie, kiedy oddzielne ministerium finansów utworzone zostało. W bardzo prędkim czasie Serbia doprowadziła swój zarząd skarbowy do wysokiego stopnia, ustaliwszy jednostajny system opodatkowania, ścisłą rachunkowość i rządząc się w całém gospodarstwie skarbowém wielką oględnością.

Ministerium finasów tak rozległą rozwinęło czynność, że obecnie składa się z 6-ciu wydziałów. W niém się koncentruje cały zarząd wszelkich publicznych dochodów i wydatków. Każdy minister ma do dyspozycyi kredyt uchwalony przez prawo, jednak tylko minister finansów assygnuje żądane summy, za każdym razem uzyskując odpowiednie pozwolenie od senatu i księcia. Zadanie ministra skarbu jest wielce trudném. Do niego należy zarząd publicznych pieniędzy i dóbr skarbowych, nadzór nad wszystkiemi gałęziami zarządu finansowego, nad celnictwem, podatkami stałemi i niestałemi, nad leśnictwem, monopolami, górnictwem, przemysłem, handlem i t. d.

Dochody skarbu w Serbii powstają głównie z jednego najważniejszego źródła, z podatku bezpośredniego czyli pogłównego. Po licznych próbach i zmianach w opodatkowaniu zaprowadzono od r. 1865 rozmaicie ustopniowany podatek pogłówny. Każdy żonaty 18 lat mający właściciel ziemski, kupiec, przemysłowiec albo w ogóle rodzinę utrzymujący płaci rocznie 50 złp. tak nazwanéj porezy, uważanéj łącznie i za podatek z głowy i z własności. Podatek ten w ogólnéj ryczałtowéj summie przeznaczają na oddzielne gminy, które go rozkładają na ogólném zebraniu gminy na pojedyncze rodziny stosownie do ich zamożności i ilości opodatkowanych. Tym sposobem powstały po wsiach 3—10, w miastach 10—20, w Beogradzie 32 klas opodatkowanéj ludności. Nieżonaci, jeżeli ich dochód nie wynosi rocznie 1300 złp. płacą od zarobku stosownie do klasy od 4—16 złp. Na Cyganów celem zmuszenia ich do życia osiadłego nałożono ciężkie podatki. Ojciec rodziny płaci 40 złp., młodzież 14—20 r. po 12 złp. a dzieci od 8—14 r. po 8 złp. Do opodatkowanych w Serbii należy duchowieństwo, urzędnicy i nauczyciele. Wyjątek w tym względzie stanowią tylko sędziowie gminni, niższe duchowieństwo zakonne i żołnierze z regularnego wojska. Ogólny dochód z porezy wynosił w 1866 r. około 11 milionów złp.

Do kasy skarbowéj wpływają dochody z monopolu solnego i tabacznego. Prócz tego na rzecz skarbu zaliczone jest rybołóstwo na Dunaju, przewozy na wszystkich rzekach, poczta, telegrafy, górnictwo i celnictwo. Ministerium finansów zarządza także dobrami skarbowemi, które powstały z tureckich lennych posiadłości. Znaczną część skarbowych funduszów stanowi tak nazwany fundusz rezerwowy (nepokretna kassa) utworzony z oszczędności, jakie poczynił Miłosz z budżetu ogólnego podczas piérwszego okresu swego panowania.

W ostatnich czasach cały ten fundusz pochłonęło uzbrojenie wojska. Po ukończeniu rachunków w ostatnich latach znalazło się w skarbie przewyżki i oszczędności około 10 milionów złp., które zachowane zostały na pokrycie nadzwyczajnych rozchodów albo na wypożyczenie osobom prywatnym. Prócz tego ministeryum ma jeszcze pod swoim zarządem różne kassy gminne, wdowie, kościelne, które razem tworzą rodzaj banku hypotecznego (uprawa fondowa). Ta uprawa czyli bank wydaje pożyczki na hypotekę ziemską. Pożyczający ma kredyt w połowie wartości swojéj ziemi i innych nieruchomości. Za słuszne otaksowanie ziemi zaciągającéj pożyczkę, odpowiedzialni są taksatorzy i z ramienia rządu delegowani urzędnicy. Pożyczkę dają w gotowiznie, za co się płaci 3% procentu i 1% amortyzacyi, co sześć miesięcy. Uprawa przyjmuje także prywatne summy na 5% procent rocznie. Z tą instytucyą łączy się także od niedawna urządzona kassa oszczędności.

Forma budżetu jest taka sama w Serbii jak wszędzie. Każdy minister układa budżet podług przewidywanych na rok następny wydatków i takowy z odpowiedniemi motywami przedstawia do zatwierdzenia zgromadzeniu senatu. Na podstawie oddzielnych etatów układa się ogólny, który podpisuje książe. Za ksiecia Aleksandra nie było we zwyczaju podawać do wiadomości wnioski budżetowe. Dopiéro książe Michał zastosował się do wymagań konstytucyi. Projektowany więc budżet ogłaszają rok rocznie w urzędowym dzienniku „Srbske Nowine." Ministrom nie wolno bez pozwolenia senatu wydawać więcéj nad oznaczoną miarę.

Oto budżet Serbii uchwalony 30 listopada 1867 r. na następny rok 1868. (Patrz str. 398)

Oddzielne pozycye podane w piastrach łatwo zamienić na ruble, mnożąc przez 10 a dzieląc przez 100. Tym sposobem dochód roczny wynosi blizko 3 mil. rubli, tyleż i rozchód.

Kasowość serbska jest urządzona w sposób bardzo prosty i praktyczny. Najwyższa Izba obrachunkowa zależąca bezpośrednio od Senatu zajmuje się ogólną kontrolą, wysyła swoich urzędników na rewizye kas i książek rachunkowych.

Dawne państwo serbskie miało swoją monetę. Najdawniejsze sięgają podobno czasów Mutimira, więc jeszcze przed dynastyą Nemanjów. W beogradzkiém muzeum przechowane są monety z X wieku. Bito wtedy slatice (dukaty), perpery, bjelice, dynary i in. Dziś pieniądz nazywa się *nowac*. Księstwo serbskie ma prawo utrzymywać własną mennicę, dotychczas jednak dla braku szlachetnego kruszcu nie korzystało z tego prawa. W obiegu są głównie złote i srebrne monety Austryi, Turcyi i Rossyi. Jeden rubel przyjmuje się w wartości 20 piastrów handlowych. Sztuka 20 kop. warta jest 4 piastr. czyli piastr po 10 gr. p. Zagraniczne papierowe pieniądze nie mają żadnego kursu. Miary i wagi pochodzą jeszcze po części z czasów tureckich. Do miar długości używany jest arszyn = 2,02 stóp wiedeńskiéj, do wagi okka o 4 litrach a każdy po 100 dram = $2\frac{1}{2}$ funt. prus. Materye z Austryi przywożone sprzedają na łokcie austr.,

z Turcyi zaś na tureckie. W aptekach używają austryackiéj medycznéj wagi.

Dochód. Rozchód.

Wyrażony w piastrach. =1 piastr =20 gr. =10 kop.

Zarząd dóbr skarbowych	17000	Lista cywilna księcia...	1200000
Dzierżawa z dóbr skarbowych.....	420000	Haracz Porcie otom...	1176255
Procent z papierów publicznych.....	10000	Podatek na rzecz patryarchy Konst.....	5040
Drukarnia rządowa....	350000	Koszta sejmu.....	30000
Ekon. Topczyder i stadnina.	32000	Koszta na senat.....	482968
Poczta.....	216000	Dodatek dla minis. prezydenta	6000
Telegraf	200000	Pensye i dodatki dla wyż. urzęd.....	100000
Dochód z funduszu głównego	380000	Na nieprzewidziane zwykłe wydatki.....	240000
Podatek stały.....	16480000	Na nadzwyczajne wyd..	900000
Monopol z soli.....	500000	Sekretarz dworu książęcego.....	14400
„ z tytoniu....	400000	Najwyższa Izba Obrachunkowa	275896
Cła.....	4400000	Emerytury i gratyfikacye..... ...	827495
Dochody sądowe, kancelaryjne	1674000	Minister. Sprawiedliw.	3115690
Przez ministrów nie użyte summy	100000	„ wyz. i oświec	2782688
Różnica kursu.....	250000	„ spr. zagran.	928740
Sprzedaż bydła zbłąkanego.....	40000	„ „ wewnęt.	5805108
Kary pieniężne.....	170000	„ „ skarbu.	1727457
Z funduszu szkolnego .	1200000	„ „ wojny..	7839638
Dochód z kup. dóbr tur.	270000	„ rob. publicz.	1374060
Nieprzewidziane doch..	1800000		
Razem...	28879000	Razem...	28831414

Kilka jeszcze słów o handlu zamierzając powiedzieć, nie możemy się powstrzymać od przytoczenia trafnych wyrazów, które Carey co do handlu Turcyi europejskiéj wygłosił w swoim podręczniku ekonomicznym. „Żyzna okolica dolnego Dunaju, powiada tenże, kiedyś ożywiona widownia rzymskiego przemysłu, dziś zaledwie dostarcza środków do nędznego utrzymania kilku serbskich pastuchów i wołoskich chłopów“ a wśród ruin, dodajmy od siebie, tych wspaniałych miast, jak niegdyś Ratiaria, żyją obecnie nieliczni tureccy żebracy. Zaiste są to ciężkie warunki, wśród których się handel w Turcyi znajduje, a ogólny stan niewątpliwie oddziaływa także silnie i na pojedyncze prowincye.

Serbski rząd od samego początku podejmował bardzo chwalebne starania celem ożywienia w kraju handlu i przemysłu. W równéj mierze postępowały Miłosza zabiegi około wznoszenia nowych miast i osad, oraz starania około budowy dróg. Założono szkołę po-

litechniczną i handlową w Beogradzie, ułożono kodeks handlowy i wolność handlu ogłoszono jako zasadnicze prawo narodowe.

Dziś każdy Serb ma prawo zajmować się handlem nie tylko we własnym kraju, ale w ogóle we wszystkich prowincyach Otomańskiego państwa. To ogólne prawo podlega wszakże ze względu na pewne przedmioty niejakiemu ograniczeniu. Handel bydłem i wszelkiemi płodami krajowemi otwarty jest dla każdego Serba we wszelkich miejscowościach. Cudzoziemskim kupcom nie wzbrania się prowadzić interesów w granicach Serbii.

Handel serbski w ogóle w dość korzystnym znajduje się stanie. Kraj jest czynnym na polu handlowém, gdyż wywóz góruje nad przywozem. Do wywozowych przedmiotów należy inwentarz i produkta rolne, z zagranicy zaś przychodzi sól, tytoń, towary kolonialne i zbytkowne.

W roku 1863 do Austryi wywieziono za 1389623 dukatów.
„ „ „ przywieziono „ 835475 „
„ „ do Turcyi wywóz wynosił 252863 „
„ „ z Turcyi przywóz „ 200967 „
„ „ do Rumunii wywóz „ 43325 „
„ „ z Rumunii przywóz „ 259753 „
W ogóle wywóz przedstawiał wartość 1685811 „
„ przywóz „ „ 1296176 „

Główne ognisko ruchu handlowego stanowi Beograd. Trzecia część towarów wprowadzanych i wywożonych przechodzi przez beogradzką komorę celną. Odbyt wyrobów zachodnich przemysłowców powiększa się zwolna ale stale, w miarę rosnących potrzeb nowéj coraz daléj szerzącéj się cywilizacyi. Anglia, Francya, Szwajcarya, a szczególniéj niemiecki związek celny już dawno w naddunajskich krajach mają ważny odbyt na swe towary. Austrya bardzo słabą rozwija na tém polu działalność. Do wielce pokupnych przedmiotów należą pruskie wełniane i jedwabne wyroby, sukna, chustki, flanela. Po większéj części towary te zakupują kupcy serbscy na jarmarku w Lipsku i przez Wiedeń do Serbii je prowadzą. Niemniéj znacznym jest także przywóz żelaznych i stalowych wyrobów z Prus, z któremi w ostatnich latach Francya współzawodniczyć zaczęła.

Rząd serbski stara się dawać na jak najniższy procent rolnikom pożyczki. W mniéj pomyślnych pod tym względem warunkach znajduje się handel, skoro żadnych jeszcze niéma instytucyj kredytowych. To co wyżéj o Uprawie fondowéj (kassa kredytowa) powiedzianém było, przekonywa, że rząd daje z niéj pożyczki tylko na hypotekę ziemską i przytém na dłuższe termina. Kupiec więc uciekać się musi do prywatnego kapitału, o który zresztą bardzo trudno. Nawet zaufaniem cieszące się domy kupieckie płacą 10—12% rocznie, co oczywiście stanowi w serbskim handlu bardzo ważną dla prędkiego rozwoju tamę. Świeżo dopiéro założony został prywatny bank handlowy, o którego wszakże działalności brak nam wszelkich danych.

Przemysł górniczy, który w Serbii znalazłby tak rozległe dla siebie pole, dotychczas nie dźwignął się jeszcze z zupełnego upadku. Nakłady przez rząd czynione celem wydobywania i przerabiania rudy żelaznéj w Majdanpek bezowocnie stracone zostały. Żelazo serbskie obfitujące w zbyteczne składowe części siarki, pod względem dobroci i ceny nie może współzawodniczyć z zagranicznem. Zaniechano więc dalszego wydobywania, poprzestając głównie na eksploatacyi miedzi. W podrińskim powiecie, rząd dość pomyślnie prowadzi roboty około wydobywania ołowiu, cynku i antymonium. Nowe prawo górnicze z r. 1866 dające prywatnym osobom za opłatą pewnego podatku wolność poszukiwania i wydobywania wszędzie kruszców, zdaje się zapowiadać lepszą przyszłość przemysłowi górniczemu, który ściągnąć nie omieszka krajowe i zagraniczne kapitały

* *
*

O dawniejszém prawodawstwie serbskiém już wyżéj była mowa, kiedy się wspominało o Zakonniku cara Duszana i o stanie Serbii pod tureckiém panowaniem. Gdy ustąpili tureccy sędziowie, owi kadyowie i muselimowie, co w imieniu Sułtana według koranu wymierzali sprawiedliwość, nowa wyzwolona Serbia nie miała żadnych praw, kodeksów, ani sędziów. Dawna tradycya z czasów sławnego cara Duszana zatarła się w pamięci nawet najoświeceńszych ludzi, zresztą naćóżby się była przydała wśród odmiennych zupełnie warunków życia. Pierwiastkowo więc obyczaj narodowy stanowił normę prawa. Następnie, zacząwszy już od Miłosza Obrenowicza, wydawano rozmaite mniéj lub więcéj rozległe postanowienia prawne, i długie lata pracowano nad ogólną kodyfikacyą. Z początku wzięto za podstawę prawa cywilnego kodeks Napoleona, zaprowadziwszy w nim wielostronne zmiany. Kilkakrotnie wydawano oddzielne postanowienia, ułożono wreszcie ogólny kodeks cywilny w 1844 roku, który z biegiem czasu częstym uległ poprawkom. Od chwili powrotu Obrenowiczów, za Miłosza i księcia Michała (między 1858—1861) na polu prawodawstwa żywsza obudziła się działalność. Zrozumiano potrzebę nowéj kodyfikacyi, coby odpowiadała świéższemu europejskiemu prawodawstwu i miała na względzie prawo rzymskie, dawne bizantyjskie i stare słowiańskie prawo. Prócz kodeksu karnego, prawa wekslowego i zmienionéj procedury cywilnéj, które w 1860 roku ogłoszone zostały, wydano nową procedurę karną, w 1865 roku wprowadzoną w wykonanie. W tych prawodawczych pracach najżywszy udział brali: minister sprawiedliwości Raiko Lješanin i jego pomocnicy Petronjewicz (następnie minister spraw zagranicznych) i Romanowicz.

Kompetencya serbskich sądów rozciąga się na wszystkie sprawy, bądź cywilnéj, bądź karnéj, bądź politycznéj natury. Żadna osoba, żaden stan, prócz wojskowych, nie ma uprzywilejowanego

trybunału. Prócz tego Serbia ma to, czego w wielu innych państwach nie spotykamy, iż sądownictwo od administracyi jest zupełnie oddzielone. Sądy są w granicach swojéj prawnéj działalności zupełnie wolne od wszelkiego wpływu i nacisku rządowego. Tylko w pewnych wypadkach, przez prawo nieprzewidzianych i nieokreślonych, wolno sędziemu udawać się z zapytaniem do ministra sprawiedliwości. Objaśnienia w tym razie otrzymane nie mają mocy obowiązującéj; sędzia z nich powinien korzystać tylko po sumiennem ich rozważeniu. Sądy i sędziowie są przed rządem odpowiedzialni za wierne pełnienie obowiązków urzędu. W ogóle sądownictwo serbskie i wymiar sprawiedliwości znajdują się w Serbii na bardzo dobréj drodze.

Gdy mowa była o spółce rodzinnéj czyli zadrudze, nadmieniło się, że takowa i w obec prawa zajmuje pewne określone stanowisko jako osoba prawna, którą w obec gminy i państwa reprezentuje starosta, czyli starješina. Starosta w sprawach domowych i familijnych jest sędzią, który rozstrzyga spory w zadrudze wynikające. W policyjnym wszakże, karnym względzie, każda osoba ze spółki rodzinnéj, podlega sądom publicznym. Sądownictwo cywilne dobrowolne i sporne, sprawowane jest przez następujące sądy:

1. Sądy pokoju, w których zasiada głowa gminy (kmet) i dwaj radni (pomoćnici). Do nich należą wszelkie sprawy cywilne, które rozstrzygają „według wymagań zdrowego rozsądku, słuszności i obyczaju narodowego"; w razach jeśli przedmiot sporny nie przechodzi wartości 500 piastrów (około 170 złp.) odwołanie się od wyroku sądów pokoju w ciągu trzech dni dopuszcza się w razie, jeśli jedna ze stron lub świadkowie nie byli wysłuchani, albo sprawę rozstrzygnięto na podstawie zeznań niewłaściwych świadków. Sąd pokoju ma się starać o polubowne załatwienie sporu. Postępowanie w tych sądach jest ustne i jawne. Z sumarycznego prowadzenia sprawy nie spisuje się żadnego protokułu. Wyroki stają się prawomocne po trzech dniach, a wykonanie ich należy wyłącznie do sądu pokoju.

2. Sądy powiatowe i miejski sąd w Beogradzie, stanowią piérwszą instancyą (sud prvog stepena) we wszystkich sprawach cywilnych i karnych. Żadna sprawa cywilna nie może być rozpoczętą, dopóki strony nie udowodnią, że polubowna zgoda była daremną. Wyroki i motywa tych sądów doręczają stronom z podpisem prezesa sądu i sekretarza. Jeśli w ciągu ośmiu dni nie nastąpiło odwołanie, wyrok staje się prawomocnym i w ciągu piętnastu dni musi być do władzy powiatowéj odesłany do wykonania. Takich sądów, stosownie do liczby powiatów, jest siedmnaście prócz miejskiego w Beogradzie.

3. Sąd apelacyjny w Beogradzie składa się z dwóch wydziałów: cywilnego i karnego. Sąd ten rozstrzyga w drugiéj i ostatniéj instancyi wszelkie sprawy z odwołania sądów powiatowych. Postępowanie jest piśmienne. Sąd apelacyjny składa się z prezesa i dziewięciu sędziów.

4. Sąd kassacyjny w Beogradzie w danych razach przegląda i kasuje wyroki ostatniéj instancyi. Prócz tego, sąd kassacyjny

czuwa nad właściwém tłumaczeniem ustaw i zachowywaniem przez niższe sądy zasad prawnych. Sąd ten o dwóch wydziałach cywilnych i jednym karnym, składa się z prezesa i czternastu sędziów. Członkowie winni mieć trzydzieści lat skończonych, kwalifikacye naukowe i przynajmniéj siedmioletnią praktykę w niższych sądach. Prócz tego istnieje w Beogradzie trybunał handlowy.

Sprawy kryminalne należą do tych samych sądów, w tym samym co wyżéj porządku. Nowy kodeks kryminalny w 1860 roku ogłoszony, ustanawia karę śmierci (zwykle przez rozstrzelanie) za rozmyślne zabójstwa i napady zbrojną ręką dokonane. Kara śmierci nie stosuje się jednak do przestępstw politycznych. Ciężkie roboty (robija) od lat 2—20. Skazani téj kategoryi pracują w więzieniach w ciężkich lub lżejszych kajdanach. Wieża (zatwor) od 30 dni do pięciu lat. Niekiedy kara ta może być zamieniona na roboty tak, iż ośm miesięcy robót za rok wieży się liczy. Są także i kary cielesne czyli chłosta (batina) za mniejsze przewinienia sług, wyrobników, włóczęgów i w ogóle tych, których pozbawienie wolności mogłoby przynieść szkodę utrzymywanéj przez nich rodziny. W tym razie za 14 dni wieży liczy się 10—15 razów, za 1—3 miesięcy 26—30 razów, za sześć miesięcy 40—50 rózeg. Nadto są kary pieniężne i honorowe.

Wymiar kar należy do władz policyjnych. Prócz powiatowych domów roboczych istnieje oddzielne więzienie znaczniejsze w Pożarewac. Skazani na ciężkie roboty odsiadują swą karę w koszarach twierdzy beogradzkiéj, w Topczyderze (500 miejsc), w Liubiczewie (100), w Kragujewacz (300). W 1867 roku było ogółem przestępców w tych więzieniach 1106 na ciężkie roboty skazanych. Obchodzenie się z więźniami odznacza się ludzkością. Otrzymują dostateczną ilość chleba, mięsa i jarzyn, oraz ciepłą odzież.

Prawo ułaskawienia w wyrokach kary śmierci służy wyłącznie księciu, z którego téż książęta serbscy zawsze przy pewnych uroczystościach korzystają.

Statystyka sądowa wykazuje, że liczba spraw cywilnych przez sądy pokoju rozstrzygane znacznie wzrasta rok rocznie od 1850. W okresie 1861—1864 roku, sądy osądziły 5834 spraw karnych: w liczbie tych 479 o zabójstwo i rany, 1752 o podpalenie, 3603 o kradzież znaczniejszą i lżejszą. W 1865 roku sądy pierwszéj instancyi miały 18,712 spraw cywilnych a 1958 spraw karnych. W tymże roku zanotowano 67 samobójstw. Rozwiązywanie spółek rodzinnych, szybko naprzód postępujące, zdaje się, przyczynia się znacznie do stopniowego pogarszania moralnego stanu serbskiego społeczeństwa.

*

* *

Kościół serbski stoi na starym gruncie, mając za sobą tysiąc lat nieprzerwanego istnienia. Duchowieństwo zdawna wysokie w obec narodu zajmowało stanowisko. Państwo serbskie w swoich

początkach, rzec można, było prawie teokratycznie rządzone. Pierwsi jego książęta w późniejszym wieku zwykle wstępowali do stanu zakonnego. Tak np. Stefan Nemania, który założył klasztor Chilandar na górze Atos. W tym klasztorze przebywał Ś. Sawa, co się tak czynnym okazał około krzewienia klasztorów słowiańskich. Tu się spotykały, podając sobie ręce dwie narodowości: grecka i słowiańska, tu się łączyły dwa zkądinąd przeciwne sobie żywioły. Ztąd święta Góra zajęła wysokie stanowisko w obec dwóch narodowości, które do dziś dnia jeszcze w dawnych pozostają serdecznych związkach Duchowieństwo klasztorne zawsze też stanowiło główną podporę serbskich królów i carów. Chętnie kanonizowało koronowane głowy, mimo niezbyt cnotliwe życie książąt; królowie zaś darzyli mnichów licznemi przywilejami. Świecka część społeczności składała zakonnemu duchowieństwu niemal część królewską. Szlachta zazdrościła mu tego wpływowego stanowiska, ale sama zbyt mało posiadając ukształcenia, z pod tego wpływu uwolnić się nie była w stanie. Jak wszędzie w wiekach średnich tak i w Serbii duchowieństwo w ogóle zbawienny wpływ wywierało na umoralnienie społeczeństwa, ztąd też książęta sowicie wynagradzali bogatém uposażeniem licznych klasztorów.

Nie było niemal księcia czy krala, coby nie współzawodniczył ze swemi poprzednikami w sprawie wznoszenia klasztorów dla chwały Boga i rozszerzania prawowiernego wyznania. Nieraz na równinie, po większéj zaś części w ciasnych przesmykach leśnych gór, do których zaledwie po wązkiéj ścieżce można się było dostać, powstawały w nieprzeliczonéj liczbie kościoły i klasztory. Niesie podanie, jakoby car Duszan ułaskawił bogatego szlachcica za przekroczenie, pod warunkiem by 70 cerkwi w górach około Kruszewac wystawił; jakoż w tych stronach spotyka podróżnik siedm jednakowych kaplic, na jeden wzór zbudowanych, z czego zapewnie podanie poetyczny wątek wysnuło. Z głęboką czcią jako o relikwiach mówi choćby najprostszy Serb o klasztorach w Semendryi, Rawanic, Życy, Studenicy i innych. Ileżto wspomnień historycznych wiąże się z niemi z czasów szczęścia i wielkości serbskiego narodu! Kiedy po owym nieszczęśliwym dniu bitwy na Kosowém Polu runęły wszystkie twierdze, któż podtrzymywał naród w wierze praojców, jeśli nie owe święte miejsca, które wśród głębokiego zmroku lasów przechowywały tradycyą minionéj wielkości? I kiedy znowu Serbia chwyciła za broń, by zrzucić haniebne jarzmo muzułmanów, gdzież jeśli nie w tychże świętych miejscach święcono sztandar powstania? Przed małym kościołkiem w Takowie wygłosił w Niedzielę palmową 1815 roku książe Miłosz hasło do boju. W małym klasztorze Zwiastowania (Blagowješenije) zorganizowała się piérwsza rada narodowa; w jednym z najskromniejszych klasztorów w leśnéj stronie Wracewsznicy odbył się też po szczęśliwie zakończonéj walce akt odrodzenia narodowego duchowieństwa serbskiego; z tych bowiem murów wyszedł duchowny współwalecznik księcia Miłosza i pierwszy narodowy arcybiskup wyzwolonéj Serbii.

Po utrwaleniu politycznéj niezawisłości, urządzono także na mocy kilku konkordatów stosunek narodowego kościoła serbskiego do patryarchatu Carogrodzkiego. W swoich granicach kościół serbski używa zupełnéj swobody na polu ustawodawstwa kanonicznego i symbolicznego, oraz zarządu wewnętrznego; arcybiskup jednak serbski zależnym jest od patryarchy w Konstantynopolu, w znak czego Serbia opłaca mu roczną daninę 9,000 piastrów.

Książe ma nadzór zwierzchniczy nad kościołem pod względem jego urządzeń i zarządu, do niego też należy obowiązek czuwania nad zachowaniem służących mu praw. W zakresie zaś dogmatycznym, obrzędowym i dyscyplinarnym kościół posiada nieograniczoną swobodę. Państwo nie powinno tamować wewnętrznego rozwoju kościoła, ale i kościół nie może wkraczać w dziedzinę do władzy państwowéj należącą. Książę potwierdza metropolitę, biskupów, ma władzę sądową i policyjną nad wszem duchowieństwem i prawo kontrolowania administracyi dóbr kościelnych. Duchowieństwo używa licznych przywilejów, z których wyłączono w ostatnich latach uwolnienie od podatków.

Na czele narodowego kościoła w Serbii, do którego wszyscy Serbowie należą, stoi arcybiskup beogradzki. Służy mu tytuł: metropolity wszech Serbii. Od niego zależą czteréj biskupi Beogradu, Szabacu, Użycy i Negotyny, z któremi razem stanowi synod narodowy. Metropolita jest w obec władzy jedynym prawnym przedstawicielem całego duchowieństwa. Metropolitę wybiera synod z grona duchowieństwa zakonnego, potwierdza książe, a inwestyturę nadaje patryarcha Carogrodzki, poświęcenia dokonywa na miejscu najstarszy biskup krajowy.

Biskupów podobnież wybiéra synod z łona duchowieństwa klasztornego, potwierdza książe a namaszcza metropolita. Metropolita i biskupi pobierają płacę od rządu: pierwszy 2000 dukatów, biskupi po tysiącu. Pozostałe duchowieństwo składa się ze świeckiego i zakonnego. Świeccy księża w liczbie obecnie 703 rozmaitych stopni, zwykle żenią się jeszcze przed wyświęceniem. Nie mający żon nie mogą być nawet na dyakonów wyświęceni. Używają wszelkich praw cywilnych i mają zupełną moc rozporządzania swoim majątkiem w drodze testamentowéj. Po prawnym rozwodzie albo po śmierci żony nie wolno jest plebanowi drugi raz się żenić, ale wolno przywdziać suknią zakonną. Wyżsi dostojnicy kościelni pochodzą tylko ze stanu zakonnego, świeccy zaś księża mogą najwyżéj dojść do stopnia kanonika (prota). Proboszczów mianuje i naznacza dyecezyalny biskup, utrzymuje zaś parafia. Prócz mieszkania z ogrodem otrzymują stały dochód, który w kształcie podatku (bir) płaci każda opodatkowana głowa parafii, w miastach zwykle w gotowiznie, po wsiach w naturalnych płodach. Prócz tego korzystają z dochodów za różne czynności kościelne: chrzty, śluby, pogrzeby i t. d.

Zakonne duchowieństwo w liczbie 121 mnichów mieszka w 41 klasztorach, rządzone przez przełożonych wybieranych z grona zakonników. Klasztory są uważane jako samodzielne osoby prawne. Bra-

cia zakonni żyją w bezżeństwie, i zupełnéj wspólności dóbr. Prócz służby klasztornéj spełniają często obowiązki plebanów, w okolicach w których mieszkają, za co pobierają podobne co i proboszcze wynagrodzenie z parafii.

Pod względem kościelnym Serbia dzieli się na 34 dekanaty i wikaryaty, zostające pod władzą 18 kanoników (prota). Pod względem sądowym istnieją konsystorze w dyecezyach i jeden wyższy konsystorz apelacyiny. Najwyższą władzę duchowną przedstawia synod narodowy, który czuwa nad jednością i czystością prawowiernéj nauki w szkołach i kościołach i nad postępem chrześciańskiego życia w narodzie. Synod stara się o właściwe wykształcenie duchowieństwa i wynosi do wyższych godności zasłużonych mężów. W sprawach duchownych synod rozstrzyga w ostatniéj instancyi.

Według ostatnich wykazów z roku 1867, liczba kościołów parafialnych wynosiła w Serbii 335, prócz 16 kaplic i 41 klasztorów.

Pierwszą i jedyną instytucyą, w któréj się kształci serbskie duchowieństwo, jest duchowna akademia (bogosłowsko uczyliszte) w Beogradzie, zostająca pod nadzorem ministra oświecenia i arcybiskupa. Z nią połączony jest rodzaj seminaryum, w którém wychowańcy mieszkanie i życie otrzymują bezpłatnie. Sposobiący się do stanu duchownego powinni miéć świadectwo z ukończonych 4 klas gimnazyum. Wykład nauk zastosowany jest do akademii duchownych w Rossyi. Kurs trwa cztery lata.

Zasady wyznania wschodniego również jak i ceremoniał kościelny są dość znane, nie wymagają więc od nas podawania bliższych objaśnień. Nabożeństwo odbywa się w staro-sławianskim języku. Wykształcenie serbskiego duchowieństwa stało kiedyś, jak świadczą pozostałe dzieła, na dość wysokiéj stopie, niewątpliwie wyższéj od dzisiejszéj. Akademia w Beogradzie, od niedawna założona, dotychczas wpływu swego dostrzegalnie w krótkim czasie wywrzeć nie była w stanie. Zawsze jeszcze na prowincyi i po wsiach pełnią obowiązki duchowni (popa), których całe wykształcenie polega na znajomości rytuału i psałterza. Nieraz walcząc z potrzebami życia na równi z kmiotkami, wśród których żyją i podobnież jak oni uprawą roli się trudniąc, zaledwie od wieśniaków ubiorem się różnią, ztąd téż pożądanego wpływu na parafian swoich wywierać nie mogą. Zakonnicy aż do ostatnich czasów byli zawsze w większém u narodu zachowaniu, nie dla ich wyższego wykształcenia ale z powodu uroku świętości, jaki w oczach ludu na zakonnikach spoczywa. Lud zawsze chętniéj przyjmował sakramenta z rąk zakonnika niż świeckiego kapłana, z większą czcią zbliżał się do klasztoru niż do parafialnéj cerkwi, bo klasztorna cisza, ponury widok leśnéj ustroni głębsze sprawiało wrażenie na umyśle Serba, w ogóle skłonnym do mistycyzmu. Niższe duchowieństwo klasztorne pogrążone jest w zupełnéj ciemnocie. Ku podniesieniu umysłowego poziomu poczynił b. minister oświecenia Cukicz szlachetne usiłowania, które niewątpliwie bezowocnemi nie pozostaną.

Zasadę wolności sumienia rozciągnął rząd serbski na wszystkie uznane chrześciańskie wyznania. Skoro się gdzie powiększy liczba chrześcian, iż oddzielną stanowić mogą gminę, wtedy służy im prawo po uzyskaniu od władzy pozwolenia, zbudowania kościoła i urządzenia samoistnéj i samorządzącéj się parafii. Nie ciąży na nich podatek wnoszony na rzecz serbskiego kościoła. Duchowni jednak i nauczyciele muszą być stałymi obywatelami księztwa. Są wszakże pewne ograniczenia, tak np. nie wolno przechodzić z kościoła wschodniego na inne wyznanie, w mięszanych małżeństwach ślub jest koniecznym w kościele wschodnim i dzieci w tym razie bezwarunkowo do panującego wyznania należeć muszą. Na tych podstawach istnieje obecnie w Beogradzie gmina katolicka i ewangielicko-augsburska.

Żydzi niemają w Serbii praw obywatelskich, przytém podlegają licznym ograniczeniom, co powstrzymuje dalszy napływ téj ludności. Od 1842 roku istnieją te surowe przepisy, wydane przez księcia Aleksandra Dżordżewicza i dotychczas jeszcze nie zostały zmienione. W Beogradzie mieszka około tysiąca żydów, którzy się mieszczą w oddzielnéj części miasta.

*

* *

Przed niedawnym jeszcze czasem, bo przed laty kilkudziesięciu, jakikolwiekbądź produkt Gutenbergowskiego wynalazku należał między ludnością państwa tureckiego prawdziwie do białych kruków. Tylko stan duchowny widział się zmuszonym nabyć jakieś początki wiedzy. Ewangielie i psałterz stanowiły jedyne dla księży w tym względzie źródło. Świecka zaś część społeczeństwa, pozbawiona wszelkich środków, z zewnątrz nie pobudzana ku kształceniu, w zupełnéj była pogrążona ciemnocie. Cała wiedza, wszelkie wiadomości historyczne Serbów (w księztwie) jedynie płynęły z tradycyi, zachowanéj w pieśniach narodowych. Nawet przywódcy serbskiego powstania z małym wyjątkiem pisać ani czytać nie umieli. Postać rzeczy się zmieniła od chwili utrwalenia się samodzielności Serbii. Już Jerzy Czarny czuł potrzebę zakładania szkół. W roku 1808 założył rodzaj szkoły narodowéj w Beogradzie, w któréj austryaccy Serbowie pod kierownictwem Obradowicza, wskrzesiciela nowo-serbskiego piśmiennictwa, wykładali prócz nauk elementarnych, geografią, historyą i nauki przyrodnicze. W skutek chwilowéj w roku 1813 utraty samodzielności Serbii, ta jedyna szkoła w kraju upadła.

Jak we wszystkich dziedzinach życia publicznego tak i w sprawie oświaty książe Miłosz rzucił podwalinę pod dalszą budowę. Wynaradawianie się młodych Serbów wysyłanych za granicę dla kształcenia się w naukach, zniewalało rząd serbski do spiesznego zakładania szkół krajowych. Niezmierne na tém polu złożono ofiary. Książe Miłosz pozaprowadzał szkoły we wszystkich miastach powiatowych. On założył pierwsze gimnazyum serbskie w Kragujewacz i drukarnią rządową, która przygotowywała elementarze i książki do użytku kościelnego. Za rządów księcia Aleksandra Dżordżewicza

oświata ludowa doznawała szczególniejszéj opieki. Prawo szkolne z roku 1843 wprowadziło ogólny ład i porządek. Usiłowania księcia wspierali liczni współpracownicy w szkołach austryackich wykształceni. W tym okresie powołani zostali do Beogradu dobrze krajowi i oświacie zasłużeni austryaccy Słowianie: Gawryłowicz, Szafarzyk, Panczycz, Medowicz i inni.

Dziś sprawa oświaty w Serbii stoi stosunkowo dość wysoko. Wszystkim gminom zalecono zakładać szkoły ludowe; właściwego przymusu tj. obowiązkowego posyłania dzieci do szkół niema, ale wstrzymywanie obcych dzieci od uczęszczania do szkoły jest surowo wzbronione. Spieszymy jednak przedewszystkiem objaśnić czytelnika, że w Serbii wszelkie kształcenie się w szkołach jest bezpłatne, prócz tego rząd ustanowił jeszcze liczne stypendya dla ulgi uboższéj młodzieży, pragnącéj odebrać wyższe wykształcenie. W roku 1841 powstał z ogólnych składek corocznie powiększający się fundusz edukacyjny, w roku 1867 wynosił 233,800 dukatów, głównie obracany na utrzymanie szkółek ludowych. Wydatki na nie, prócz pomocy ze strony gmin obliczano w 1866 roku na półmiliona złp. W szkołach miejskich podzielonych na trzy klasy uczą rzeczy najprostszych: czytać, (po serbsku i staro-słowiańsku), pisać i rachować, katechizmu, religii i trochę geografii. Brak nauczycieli odpowiednich sprawia, że całe uczenie odbywa się więcéj mechanicznie. Założone niedawno seminaryum nauczycielskie złemu zapewnie w prędkim czasie zaradzi.

Średnie wykształcenie odbiéra młodzież wyłącznie w zakładach rządowych, w 2 gimnazyach, w 4 progimnazyach i w 4 szkołach realnych. Gimnazya dzielą się na 6 klas, progimnazya na 4. Rozkład nauk w klasycznych i realnych szkołach nie wiele się różni od naszego, bliższe więc wyszczególnienie przedmiotów zbytecznem nam się widzi.

Wyższe wykształcenie daje liceum założone w 1838 r. przez księcia Miłosza, a w 1863 r. zamienione na szkołę główną, oraz akademia duchowna i akademia wojskowa. Uniwersytet beogradzki czyli właściwiéj Szkoła główna trzy obejmuje wydziały: filozoficzny techniczny i prawny. Na czele szkoły stoi rektor wybierany z grona professorów. W 1867 r. było na 3 wydziałach 15 profesorów i 194 słuchaczów.

Niski stopień wykształcenia, poniżające stanowisko kobiéty na Wschodzie, we wszystkich krajach niegdyś Turcyi podległych staje głównie na zawadzie, że się tam kobiéta wyżéj rozwinąć nie może. Dopiéro za rządów ostatniego księcia (Miłosza) zwrócono bliższą uwagę w Serbii na wychowanie i wykształcenie kobiéty. Sprawę tę wziął gorąco do serca b. minister Cukicz. Dla przygotowania nauczycielek założono seminaryum w Beogradzie, zkąd przynajmniéj do ważniejszych miast można wysyłać wykwalifikowane nauczycielki. Przed laty dziesięciu powstała także w Beogradzie wyższa szkoła żeńska wyłącznie dla przychodnich, na 4 klasy podzielona, z bardzo skromnym planem wykładu.

Dla wystawienia dokładniejszego obrazu oświaty w Serbii przytaczamy kilka statystycznych danych z 1866 r.

Szkół ludowych:	męzkich	342	uczniów	15359
„ „	żeńskich	35	uczennic	2048
„ „	katolicka	1	uczniów	56
„ „	protestan.	1	„	82
„ „	dla Izrael.	1	„	92
Szkół realnych	„	4	„	247
Gimnazya i progim.	„	6	„	1267
Szkoła główna	„	1	„	210
Akademia duch. i seminar.		1	„	186
Akademia wojskowa		1	„	194
Szkoła żeńska		1	„	86
Stypendyści zagranicą				40
W szkołach prywatnych.				133
Razem szkół 394				20000

W stosunku więc do całéj ludności (1,222,000) wypada w Serbii jeden uczeń na 61 głów. Jestto istotnie w porównaniu z państwami na Zachodzie, stosunek nie bardzo pomyślny, ale niepodobna przykładać do Serbii miary innych krajów oświeconych. Serbia zrobiła i robi stosunkowo znaczne na tém polu postępy, zwłaszcza jeśli weźmiemy na uwagę, że przed 60 laty kiedy Turcy ustąpili z kraju, nie było ani jednéj szkoły, w 1836 r. liczono już 72 szkół i 2514 uczniów, w 1846 r. 213 a uczących się 6201: dziś zaś już 394 zakładów naukowych z 20 tysiącami uczniów.

Że rząd serbski dba o podniesienie oświaty narodowéj, najlepszym tego dowodem, że w r. 1868 wydał na cele naukowe, szkolne, na stypendya, elementarze i in. 12-tą część ogólnego budżetu na całe księztwo przeznaczonego. Na polu wydawnictwa książek pożytecznych i tanich, w ostatnich latach panuje ruch i działalność, których szczerze pozazdrościć można. Jeszcze przed niedawnym czasem serbska literatura pedagogiczna w wielkiéj pozostawała zależności od zagranicznej. Wszystko cokolwiek ważniejszego było lub okazało się w tym zakresie w obcych językach, tłumaczono na serbską mowę, dziś już wybija się na wolność literatura serbska, dostarczając obfitą rok rocznie ilość książek pisanych przez miejscowych pisarzów w różnych gałęziach wiedzy ludzkiéj. Są to wprawdzie tylko podręczniki, ale nie pozbawione istotnéj wartości, o czém w następnym rozdziale szerzéj pomówić zamierzamy.

W téj chwalebnéj działalności literatury nowo-serbskiéj ważną gra rolę książęca drukarnia w Beogradzie, która kosztem rządu odbija tysiące egzemplarzy dzieł do zakresu szkolnego należących. Początek swój wzięła w r. 1830 za czasów księcia Miłosza, kiedy cesarz Mikołaj ofiarował jéj dwie prassy. Z drobnych piérwiastków instytucya ta wyrosła i niebawem stanęła na wysokim stopniu doskonałości. Obecnie pośpieszne maszyny najnowszéj budowy są w niéj czynne (z fabryki König i Bauer w Wirzburgu). Może się także poszczycić

nie rzadkiém bogactwem doborowych czcionek różnéj wielkości w trzech alfabetach: wschodnim, staro i nowo-słowiańskim. Prócz rządowych i prywatnych ogłoszeń drukuje gazetę rządową, kilka dzienników, między innemi Pamiętnik towarzystwa naukowego (Głasnik) i wiele dzieł elementarnych. Do instytucyi téj należy podobnież zakład litograficzny z oddziałem ksylografii, galwanoplastyki i stereotypii, gdzie przygotowują mapy, plany, rysunki, obrazy i t. d.

Zbawienne także owoce na polu oświaty w Serbii wydają dwie biblioteki: jedna własnością liceum będąca z przeważnie pedagogicznemi dziełami, druga publiczna, która systematycznie zaopatruje się we wszystkie ważniejsze utwory umysłowe wszystkich narodów, czasów i gałęzi wiedzy ludzkiéj. Wzorowe urządzenie swoje zawdzięcza wysoce zasłużonemu dyrektorowi Jankowi Szafarzykowi, synowcowi sławnego filologa słowiańskiego Pawła Józefa Szafarzyka. W 1867 znajdowało się w niéj około 10 tysięcy dzieł w 20 tysięcy tomach. Szczególniéj bogatym jest oddział rękopisów. Są to po większéj części na pargaminie lub papierze pisane starosłowiańskie książki z czasów samodzielności Serbii. Niemniéj ważną ozdobę biblioteki stanowią inkunabuły albo staroserbskie druki. Przy téj sposobności miło nam jest obznajmić czytelnika z ważną bardzo okolicznością, że biblioteka w Beogradzie zawdzięcza swój wzrost szlachetnéj hojności naszego ziomka D-ra. Kopernickiego z Bukaresztu, byłego professora Kijowskiego Uniwersytetu, znanego kraniologa, który piękny i bogaty swój zbiór dzieł medycznych złożył bibliotece w darze.

Podobne zadanie co i biblioteka spełnia także i muzeum narodowe, tylko oczywiście w innym kierunku. Systematyczny układ i rozrost winno niezmordowanemu swemu dyrektorowi Szafarzykowi. Jego szczęśliwéj inicyatywie i osobistemu wpływowi przypisać należy, że muzeum spotyka wszędzie zc strony ukształconego ogółu bardzo żywe poparcie. Ze wszech stron napływają rok rocznie nowe wykopaliska. Gabinet numizmatyczny mieści w sobie jedyny zbiór serbskich monet, gdzieindziéj niespotykanych. Serbskie monety sięgają czasów Stefana I-go i w nieprzerwanym idą ciągu aż do ostatniego despoty Brankowicza. Dawniejsze pieniądze noszą po części słowiańskie, po części łacińskie napisy. Odbija się w nich typ kościelny w pewnéj mierze, gdyż wizerunek księcia zwykle się obok wizerunku Zbawiciela znajduje. Stęple przygotowywano w Bizancyum, Dubrowniku i w Wenecyi. Bito jednak monetę także i w kraju, którą przygotowali złotnicy, jak świadczy o tém postanowienie w Zakonniku Cara Duszana, żądające by takowi w miastach tylko mieszkali. Muzeum posiada 15 sztuk monet wielkiego Cara Duszana. Wielce ciekawe są małe monety z nazwami miast Prizrent, Skoplie, Nowobrdo, jak niemniéj monety sławnego bohatéra narodowego Marka Kraljewicza z napisem „król Macedonii“

Oddział archeologiczny muzeum, jakkolwiek bogactwem się nie odznacza, wysokie posiada jednak wobec nauki znaczenie, mieszcząc w sobie wykopaliska różne, naczynia gliniane, mozaiki, kamienne płyty z napisami, wszystko to z czasów rzymskich; a ponieważ na miejscu znalezione zostało, nie mało więc przyczynić się może do wyjaśnienia ciem-

nych dziejów z czasów mezyjsko-rzymskich téj krainy, w któréj następnie osiedli Serbowie.

Galerya obrazów jest bardzo skromna, rzec można nawet uboga, bo prócz kilku kopij, nic godniejszego uwagi z oryginalnych utworów w sobie nie mieści.

TOMASZ PADURRA.

PRZEZ

W. Przyborowskiego.

Tomasz Padurra uchodził przez długi czas za mit, za uosobienie fantazyi i poetyczności ludu ukraińskiego. Od chwili jednakże kiedy wydrukował swe *Ukrainki* w r. 1844 w Warszawie, kiedy w téj ostatniéj bawił jakiś czas, chociaż z nikim się niekomunikował, wtedy przestano wątpić że żyje. Nic atoli o nim nie wiedziano, gdzie się urodził, zkąd wyrósł ten tajemniczy lirnik ukraiński, ten poeta ludowy w całém znaczeniu tego wyrazu. K. Wł. Wójcicki w swéj Historyi literatury (1), pierwszy o nim podał niektóre wiadomości, ale bardzo szczupłe i niedokładne. Przytoczymy tu je dosłownie, najprzód dla pokazania jak mało wiedziano o Padurze, powtóre dlatego, że króciutką tę wiadomość podawały wszystkie literatury i pisma, nie starając się dobadać prawdy. Oto co pisze Wójcicki: „Wiadomo, że Padurra rodem Polak, urodził się na Ukrai nie, chodził do szkół w Krzemieńcu i przez długi czas na Wołyniu przebywał. Od r. 1817 do 1820 podróżował po Wschodzie przy Wacławie Rzewuskim.“

Tyle napisał K. Wł. Wójcicki i tyle téż tylko wiedziano. Resztę wiadomości jakie podał w swéj Historyi literatury zaczerpnął z przypisków do poezyi Padurry wydanych w Warszawie, w wspomnianym już przez nas roku 1844.

Dopiero w skutek śmierci poety zaszłéj dnia 20 września 1871 r., Gazeta Polska wychodząca w Warszawie i Biblioteka War-

(1) Tom IV p. 168.

szawska, zawiadomiły nas, że Padurra zmarł we wsi *Koziatynie* (1), leżącéj niedaleko od miasteczka *Machnówki murowanéj*, przy linii drogi żelaznéj brzesko-kijowskiéj, o parę mil od Berdyczowa, w domu przyjaciela swego, który troskliwie pielęgnował starca, p. M. Wasiutyńskiego. Mając takie dane, a nosząc się już oddawna z myślą ocenienia w literaturze stanowiska Padurry, udaliśmy się listownie do p. Maryana Wasiutyńskiego, prosząc go by nam nadesłał wiadomości o życiu serdecznego swego przyjaciela.

P. Wasiutyński nie dał nam długo czekać na te szczegóły. Nadesłał nam je zaraz obszernie spisane z fotografią poety, którą wraz z niektóremi wiadomościami zaczerpniętemi z biografii przesłanéj nam przez p. Wasiutyńskiego, umieściliśmy w Tygodniku Illustrowanym (2). Wszystkie zaś szczegóły jakie tu podajemy czerpaliśmy także z téj biografii i miło nam publicznie podziękować tutaj p. Wasiutyńskiemu za jego skwapliwą dbałość o rozpowszechnienie prawdziwych wiadomości o Padurze, który nader wybitne stanowisko zajmuje w naszéj literaturze.

Rodzina Padurry była polską, a ponieważ różne sprzeczne obiegają wiadomości, uważamy za stosowne tutaj słów kilka o niéj powiedzieć. Protoplastą Tomasza Padurry był *Jan* z rodu Słowian Zakarpackich, przybyły do Polski w końcu panowania Władysława IV i służył w autoramencie cudzoziemskim. Ożenił on się z Maryą Padurra *Słupecką*, osiadł w Polsce i został praojcem domu z którego idą: *Joachim* namiestnik chorągwi hussarskiéj księcia Dymitra Wiśniowieckiego, poległ w bitwie pod Podhajcami: *Tomasz* stronnik Emeryka Tekeli, zakończył życie w okowach tureckich w Stambule; *Piotr* porucznik pancerny w chorągwi Józefa Potockiego, zabity przez kozaków przy szturmie Biało-Cerkwi: *Paweł* konfederat Barski w bitwie pod Salichą 1768 r. rozsiekany (3).

Rodowód téj familii utwierdzony heroldyą, nieprzerwanie idzie od *Joachima Jerczak Padurry* herbu *Sas*, porucznika J. K. Mości (Sobieskiego), który posiadł w 1680 r. wieś *Majdan* w województwie Ruskiém, a którą syn jego Teodor sprzedał Szeptyckiemu cześnikowi trembowelskiemu za 15 tysięcy ówczesnych złotych w roku 1712, o czém kontrakt przyznany w aktach Łuckich.

Około połowy XVIII wieku, widzimy ród Padurrów, po sprzedaży części we wsi *Berezówce* (akta Żytomierskie) osiadły na Ukrainie, we wsi *Soszańsku*, majętności naonczas książąt Lubomirskich a szczególnie w dobrach książąt Sanguszków we wsi *Sinarnéj*, kluczu Iliniecki, gdzie oddawali się rolnictwu jako szlachta

(1) Koziatynie a nie Koziałtynie, jak drukowały oba te pisma.

(2) Patrz Tygodnik Illustrowany z r. 1872 Nr. 229.

(3) Rękopis p. Wasiutyńskiego. W oryginalnym dokumencie powiedziano: „Sinicki, Rozwadowski, Pomorski, komenderowani z ordynansu marszałka konfederacyi w r. 1768, przybyli do Iliniec, do nich przyłączył się z innymi Paweł Padurra ze wsi Sinarnéj, który pod Salichą na potyczce od wojsk rossyjskich zabity."

zagonowa. Ztąd był i *Jan* Padurra ojciec naszego poety, który wykształciwszy się w szkołach u jezuitów, otrzymał w r. 1790 dyplom od króla Stanisława Augusta na *komornika* przysięgłego. W tymże roku mieszkał już w Ilińcach trudniąc się pomiarem gruntów, a za swe zasługi otrzymał nadanie od księcia wojewody Hieronima Sanguszki „prawa dożywotniego na dworek z gruntami ornymi w Ilincach, na przedmieściu przy młynie *Litwinowym*, nad rzeczką od tegoż młyna płynącą, w staw zwany kamienny wpadającą“ (1).

W tym to dworku w Ilinicach, dziś okolonym rzadką już brzeziną, a która ma i tę jeszcze tradycyą, iż w niéj w r. 1786 w czasie przejazdu króla Stanisława Augusta, przyjmował go podwieczorkiem książe wojewoda Sanguszko: urodził się Tomasz Padurra dnia 21 grudnia 1801 r. z wspomnionego już ojca *Jana* komornika Bracławskiego i matki *Anieli* z *Paszkowskich*, herbu Zadora, Mazurki z Płockiego. Wspomnienia młodości, jak w każdéj duszy o poetycznym nastroju, budziły w Padurze rzewne myśli, czego dowodzi następujący ustęp (2). „W r. 1866, pisze p. W., w przejeździe razem z T. Padurrą zwiedziliśmy tę miejscowość, położoną zaraz za kołowrotem po lewéj stronie drogi z Iliniec do Daszowa wiodącéj. Domek był już w ruinie, brzezinka spustoszona, wałęsał się po niéj dziad jakiś stary zbierając suche gałęzie. Dziwnym trafem spotkał się po latach pięćdziesięciu pan z dawnym sługą. Dziad ów za pachołęctwa swego, był w usługach przy ojcu Tomasza. Na pamiątkowym kamieniu gdzie biesiadował ostatni król z ostatnim wojewodą usiedli oba, gwarzyli. Starzec odszedł z wiązką gałęzi, poeta marzył, zapłakał. Było to pod wieczór, dzwon z poblizkiego kościoła ozwał się na *Ave-Maria*, a uderzył *requiescat* tylu ludziom, czynom, nadziejom! I miejsca i rzeczy i ludzie mają często swe dziwne losy..“...

T. Padurra miał trzy siostry i trzech braci, wszyscy bezżenni poumierali, z przykładną miłością i zgodą razem do śmierci mieszkając. Jedna tylko siostra wyszła za Tyszkiewicza szlachcica z Litwy i tę obłąkaną po stracie męża i syna do swego domu zabrali. W roku 1822, już po śmierci ojca, rodzina Padurrów mieszkała we wsi *Mszańcu* (pół mili od Machnówki), którą trzymali przez zastaw od Przyłuskiego. Po ekspiracyi kontraktu, kupili domek w Machnówce (około 1830 r.), w którym mieszkali do końca życia. Ostatni zmarł Tomasz. Fundusz ich był szczupły a i ten zniknął z bankructwem bankiera *Halperyna*, u którego był ulokowany (3).

(1) Rękopis p. Wasiutyńskiego, dokument oryginalny z 4 maja 1790 r. „Widzimy, pisze p. Wasiutyński z listów własnoręcznych Tomasza Ostrowskiego do Jana Padurry pisanych, iż był u niego w poważaniu, zajmował się także pomiarem gruntów *Telioszczyzny* (mająt. Ostrowskiego) i był wybrany komornikiem Bracławskim, o czém list z powinszowaniem przesłany mu został.“

(2) Rękopis p. Wasiutyńskiego.

(3) Tamże.

Z pomiędzy braci naszego poety, zasługuje tutaj na wspomnienie, starszy od niego o jaki lat dziesiątek *Józef*, który ukończywszy w Wilnie oddział nauk moralnych i politycznych, otrzymał w 1817 r. stopień kandydata obojga praw. „Człowiek wysokiéj zacności, pisze p. W. (1) pełen nauki był niejako opiekunem i mentorem brata młodszego. To też Tomasz do końca życia, zachował dla niego poważanie z miłością braterską.“ Umarł na parę lat przed śmiercią naszego poety. Był on z powołania prawnikiem, lecz zniechęcony wszystkiém co go otaczało, dusza napół melancholijna, usunął się od świata i osiadł w domowém zaciszu. Uniwersytet Wileński w r. 1822 wzywał go do zajęcia katedry prawa narodowego, po Daniłowiczu (2), który pod tę porę do Niemiec wyjechał, ale z niewiadomych przyczyn odmówił. Mieszkając w zakątku wśród ciszy wiejskiéj Józef Padurra pracował wiele umysłowo, zostawił po sobie następujące przekłady:

1. *O Duchu praw* przez Montesquie'go. Tomów pięć. 2. *Traktat o prawie karném w Rossyi.* Tomów 3. 3. *O ugodzie społecznéj* J. J. Rousseau, T. 1. 4. *O prawach kryminalnych Pastoreta.* T. 2. 5. O przestępstwach i karach z komentarzami Voltaira, *Bekkaria.* T. 2. 6. Zasady ekonomii politycznéj *Sismondego* T. 2. 7. Harmonie ekonomiczne *Bastiata.* T. 1. (3) 8. Porównanie Zoroastra, Konfucyusza, Mohameda, Pastoreta. T. 1.

„Wszystkie te prace, powiada p. W., są jasnym stylem i wyborną polszczyzną przełożone.“ A ogrom ich dowodzi ciągłéj umysłowéj działalności Józefa Padurry i niezmordowanéj pracy. Józef przekładając odwoływał się często do wydawców, gotowym będąc nawet za jakie takie wynagrodzenie je oddać; pomimo to nie mógł znaleźć nakładcy na rzeczy ściśle naukowe a zatém u nas nie pokupne.

Wspomniawszy mimochodem o całkiem nieznanéj postaci Józefa Padurry, wracamy do Tomasza. Urodzenie Padurry przypadło w tę porę, kiedy prawie współcześnie z nim urodziło się dwóch największych poetów ukraińskich: *Seweryn Goszczyński* i *Bohdan Zaleski.* Pierwszy przyszedł na świat 1803 r. a więc tylko w dwa lata późniéj od Padurry i w tychże samych *Ilińcach.* Zaleski urodzony w 1802 r. (14 lutego) a więc o kilka miesięcy zaledwie młodszy, nieznany naszemu poecie za młodu, bo zanurzony gdzieś w stepowéj przestrzeni śnił „upowity w pieśń u łona“ swéj matki Ukrainy, słuchał dum starego kozaka co go *hołubił* na życie. Ale już zbli-

(1) Rękopis p. Wasiutyńskiego.

(2) Wezwanie w oryginale znajduje się w rękach p. Wasiutyńskiego, z daty 7 kwietnia 1822 r., podpisane własnoręcznie „*Capelli.*“

(3) O téj to pracy p. Wasiutyński pisał do Kłosów za rok 1872, którą to pismo podało za przekład Tomasza. Rękopis jéj jest u p. W. gotów go oddać bez żadnych wynagrodzeń, gdyby kto chciał wydrukować.

żały się te trzy świetlne gwiazdy, by rozkwitłszy zupełnie opromienić słonecznym blaskiem rodzinną swą ziemię. Ilińce, które szczycić się tém kiedyś będą, że wydały na świat dwóch znakomitych poetów, należały podówczas do księcia wojewody Hieronima Sanguszki.

Padurra pierwsze zasady i początki nauk odebrał w domu rodzicielskim i w szkółce parafialnéj, przy probostwie w Ilińcach, gdzie razem uczęszczali z Sewerynem Goszczyńskim. Opowiadał on późniéj (1) że wyuczywszy się obadwa ministrantury służyli razem do mszy, będąc dumni ze swego obowiązku, jakby najpierwsi dygnitarze kościoła. Zwiedzając w r. 1866 kościołek w Ilińcach poznał z wielkiém swojém zadowolnieniem tę samą kadzielnicę, któréj używali przy obrzędach. Gdy już oba podrośli trochę, rodzice oddali ich do szkół w *Winnicy*, gdzie przez parę lat byli razem, a gdy ojciec Seweryna przeniósł się w okolice Humania do Leszczynówki, i umieścił syna w Humaniu u ks. Bazylianów, Tomasz został się w Winnicy i ukończył szkoły w r. 1820. Z dat tych jasno się pokazuje, że Padurra nie mógł podróżować od r. 1817 do 1820 po Wschodzie z Emirem Rzewuskim, gdyż czas ten poświęcał nauce. Wreszcie Rzewuski wybierając się na Wschód zabrał ze sobą tylko Konstantego Chotynieckiego swego nadwornego doktora, starego sługę Marcina i Sokoła kozaka z Sawrania (2). O Padurze w relacyi jego niema ani słówka. Nakoniec jak to późniéj obaczymy, poeta nasz poznał się z fantastycznym *grafem* dopiéro po jego powrocie do kraju, koło r. 1825, p. Wasiutyński zapewnia nas téż w swym liście, że Padurra nigdy nie był na Wschodzie, że wyprawili go w tę podróż nieświadomi rzeczy gazeciarze i t. d. Padurra w końcu choć pod pewnym względem usposobienia poetycznego, przypadał do fantazyującego życiem grafa, przecież w życiu był spokojnym, nie palony tą gorączką co gnała *Emira* szukać awantur w pustyni *Neżdu*; melancholijny, spokojny i marzący w ciszy, nie miał w sobie téj kipiączki życia. Najlepszym wreszcie dowodem naszego twierdzenia są daty. Był on za młody by mógł towarzyszyć Rzewuskiemu, nieznany jeszcze nigdzie i nikomu. Późniejsze jego stosunki z Emirem wpłynęły zapewne na utworzenie téj fałszywéj wieści (3), która rozeszła się po wszystkich pismach i historyach literatury mówiących o Padurze.

Po ukończeniu szkół Winnickich w r. 1820, wizytator ówczesny *Weleżyński*, widząc w Padurze wyższe zdolności i pilność w naukach i mając w téj dobie odbywać swe coroczne wizyty po zakładach naukowych, zabrał go ze sobą jako sekretarza. „Udało mi się, opowiadał późniéj śmiejąc się sam Padurra, pomimo całéj mojéj żywości zachowywać pewną powagę przy wizytach; dopiéro

(1) Rękopis p. W.

(2) Czytaj: Wacław Rzewuski i przygody jego w Arabii p. Lucyana Siemieńskiego str. 17.

(3) K. Wł. Wójcickiego Hist. lit. pols. T. IV. Encykl. pow. Orgelbranda lit. *P.*

przyjechawszy do *Międzyrzecza*, gdy jako sekretarza księża umieścili w osobnéj celi, z któréj okna wychodziły na ogród, gdzie była wiśnia obficie obciążona owocem i nakryta siatką, na przyjęcie JW. wizytatora zachowana, nie mogłem wytrzymać, a obudziwszy się rano, wyskoczyłem przez okno i objadłem wiśnie. Ojcowie opatrzyli się i ks. rektor wystosował na piśmie jowialne oskarżenie podane na wety przy końcu obiadu. Śmiał się JW. wizytator z tego wypadku, śmieli się Ojcowie z towarzystwem, a ja czerwieniałem jak piwonia. Dla ujęcia mi wreszcie konfuzyi ks. rektor cofnął swój proces a mnie zaprosił na podwieczorek."

Tak jeżdżąc po tych wizytach przez parę miesięcy przybyli nakoniec do Krzemieńca, gdzie Padurra zaraz wstąpił do głośnego liceum, szkoły, która w swoim czasie tak wielu ludzi zdolnych we wszystkich kierunkach wydała. Tu oddawał się najwięcéj studyom historycznym, pisał przytém poezye, dumy. Były to czasy gdy Bajron powszechną na siebie ściągnął uwagę, gdy młodzież chciwie go czytała, gdy Ossyan napół sennemi i fantastycznemi powieściami swemi budził drzemiące dzieje zamglonéj przeszłości. Gienialna potęga Bajrona tak dalece wpływała na wszystkie ówczesne głowy myślące, na wszystkie dusze poetyczne, że niema prawie nikogo z piszących w owéj dobie, na którymby nie było znać wpływu angielskiego wieszcza. Jeżeli Mickiewicz i Słowacki, Goszczyński i Malczeski nie mogli ominąć Bajronistycznych raf, to jakżeż Padurra jakkolwiek pełen talentu, talentu oryginalnego i rodzimego, ale zawsze niższy od nich, mógł oprzeć się temu porywającemu pociągowi. Kształcił się on téż na Bajronie i poezyach Ossyana i do końca życia rad ich czytywał (1). Ukończył kursa w Krzemieńcu w 1825 r. i wyjechał ztamtąd z zapasem wiedzy i znajomością społeczeństwa.

Od lat już pięciu prawie Wacław Rzewuski powrócił do kraju ze Wschodu, ze swéj poetycznéj podróży po pustyniach *Neżdu*. „Fantastyczny strój wschodni, powiada L. Siemieński (2), sposób życia wyróżniający się od zwykłego trybu domów szlacheckich i pańskich, osobliwéj piękności i dzielności konie, wszystko to zwracało na siebie uwagę całéj prowincyi. Zjeżdżano się zewsząd na oględziny tak samego Emira, jak dworu, ogierów i klaczy i z podziwieniem a czasem i niedowierzaniem właściwém naszym hreczkosiejom, słuchano jego opowiadań o przebytych awanturach arabskich, które umiał illustrować już melodyami beduińskiemi, już robieniem kopją, ciskaniem dzirytu i jazdą konną na sposób synów pustyni. Jak całe umunsztukowanie i osiodłanie konia, tak części uzbrojenia i ubioru beduińskiego, wszystko to było nowością dla jego sąsiadów, a on każdy szczegół tłumaczył, praktyczność jego podnosił i o lada drobnostce umiał coś ciekawego powiedzieć, co słuchaczów wprawiało w entuzyazm lub zdumienie. Bawiło to i zajmowało jak każda nowość a jeszcze więcéj zajmowała poetyczna postać

(1) Rękopis p. W.
(2) Wacł. Rzewuski—str. 110.

Emira, szczególniéj płeć piękną, któréj zawracała się głowa na widok ekscentrycznego oryginała, gaszącego bohaterów romansów rzeczywistością, a przerastającego wszystkie egzemplarze doskonałych kawalerów rej wodzących w prowincyi. Emir w rozmowie umiał być pociągającym, bawił anegdotami, śpiewał, dokazywał na koniu, imponował nauką, lubo niekiedy gdy wpadł w ton sentymentalny lub humanitarny, stawał się niemiłosiernie nudnym..."

Przytoczyliśmy ten ustęp w całości dla okazania jak wielki wpływ na okolicę wywierał Emir, jak był przez wszystkich poszukiwany, uwielbiany wszędzie. To też nic dziwnego, że i Padurra zbliżył się do niego. Co więcéj, Rzewuski był także poetą *sui generis*, pisywał nawet wiersze, epopeje, które przytacza p. Siemiański. Mając takie poetyczne usposobienie obadwa z Padurrą, łatwo poznali się, przylgnęli do siebie tak, że przez lat kilka nieodstępnymi prawie byli towarzyszami. Przesiadywał więc nasz Tomasz u *grafa*, jak zwano Rzewuskiego, albo w Sawraniu na Ukrainie lub w *Kuźminie* na Wołyniu. Nie obeszło się naturalnie bez tego, by na wrażliwą naturę Padurry, nie wpłynął graf Emir, kipiący fantazyą jakąś napół pańską, napół kozaczą lub beduińską. Co więcéj poeta nasz tak dalece zakochał się w Emirze, że pominąwszy to iż późniéj szedł z nim dzielić jedne prawie losy pod *Daszowem*, ale nawet naśladując niejako Mickiewiczowskiego *farysa*, pisał osobną dumę, coś w kształcie ody lub kassydy Adama: do *Emira*. Już w téj porze pisał nasz poeta moc dum, pieśni, ale tak jakoś rodzimych, że rozchwytywano je zaraz, śpiewano po dworach pańskich i szlacheckich, a sławny swojego czasu wędrowny śpiewak i teorbanista Witort(1), spory ich zapas miał od autora i roznosił po świecie, siejąc je jak złote ziarna między ludem (2). Do tego to czasu, przebywania na dworze Emira, odnosi się znany wiersz T. A. Olizarowskiego o Padurze p. t. *Śpiew kozaka*, który, jako zachowujący w sobie wiele charakterystyki i malujący dobrze ów dwór i otoczenie naszego poety przytoczę tu w całości:

„Był u grafa pan Padurra,
Nie bardzo to świecił zdrowiem,
Ale zwinny jak wiun: chmura
Nie tak chybka. Cóż powiecie,
A do konia jakby dziecie.
Lecz jak siądzie na dywanie
Śród pokoju z kozakami,
Jak pociągnie po torbanie
Białą ręką, a oczami
Jastrzębiami, jak po strunach,
Po całunach i piołunach,
Po kozackich twarzach mignie:

(1) Był to szlachcic, rodem z Litwy podobno.
(2) Rękopis p. W.

To niech w tobie serce stygnie
Od wieczora—nie zastygnie
I do rana. Gdy dwanaście
Po torbanach razem stuknie,
To na tobie, jak na chwaście
Pełnym rosy, huk osiada.
Twojém sercem dumka gada!
Pan Padurra dumek uczył,
Dał się w znaki, oj! dokuczył
Tém uczeniem; lecz nauczył.
Ta to cała Ukraina
Dziś dumkami brzmi Padurry,
Na podolskie już tam góry,
Ponad same lézą chmury
Dumki nasze. Nie nowina
I w Krzemieńcu. Jak tam byłem
Na posyłce: „jak tu głucho"
Sam do siebie wymówiłem.
Aż tu dumka w same ucho:
„Zakotywsia misiać w chmari"
Jak nie jęknie! Lecz z gitary
Nie z torbanu, nie z torbanu".

Takie to tam było życie na dworze złotobrodego Emira, jak go Beduini nazwali. Konie, kozacza drużyna gotowa w ogień na rozkaz pański skoczyć, podróże konno po stepie wśród pogodnéj nocy z kopią beduińską, ze strusiemi pióry w białym płaszczu emirskim; śpiew wreszcie: ot jak żył Emir i przyjaciel jego od serca, nasz Padurra. L. Siemieński (1)pisząc o Rzewuskim powiada:

„Miał on przy sobie przyjaciela, poetę Tomasza Padurrę, który dziwnie piękne dumki umiał składać w narzeczu ludu rusińskiego; miał Witorta teorbanistę, który dorabiał nutę i śpiewał..., a za nim chórem śpiewali nadworni kozacy sawrańscy, towarzysze nieodstępni swego pana"...

Nie można powiedzieć żeby to życie nie miało w sobie poezyi, nie miało pewnego zadowolenia dla duszy naszego śpiewaka. Ledwie że wytrysła dumka z jego piersi, już ją chwytano, nucono chórem; już ją mógł słyszeć dzwoniącą po mogiłach, kurchanach, bezbrzeżnym stepie.... Pod pewnym względem była to pełnia żywota Padurry. Zenit jego świetlany i tak tęczowemi barwy strojny, tak piękny i uroczy, że każdy poeta mógł i może mu go zazdrościć. Nie papier, nie druk chwytał te jego pieśni i dumy, ale żywe serca, usta żywe podawały sobie wzajem na pamięć wieczystą. Czegóż więcéj można pragnąć?

(1) Wacł. Rzewuski str. 129.

W téj dobie krąg stosunków Padurry począł się rozszerzać; zabierał znajomości z ludźmi wyższymi nauką lub położeniem społeczném. Poznał się z głośnym zbieraczem pieśni ludowych *Zoryanem Chodakowskim*, którego sam nazywa swoim przyjacielem (1), z Tymonem Zaborowskim tak wcześnie zgasłym. Oto jak sam o tém mówi (2):

„Słyszałem w mojém dzieciństwie dumę o Eustachym Daszkiewiczu, która, ile zapamiętać mogę, obok wiernych opisów historycznych, miała wiele właściwych sobie piękności. Zoryan Chodakowski w liście do Tymona Zaborowskiego pisanym, przesyłał mi z téj dumy kilka zwrotek, zachwyconych może na stygnących ustach ostatniego téj ziemi lirnika; lecz wieść o zgonie obydwóch uprzedziła mnie smutkiem, nim odebrałem samo pismo z rąk obcych... Pokój waszym popiołom miłośnicy dziejów słowiańskich i moi przyjaciele!“

Stały dla niego także otworem w téj porze podwoje hetmanowéj Rzewuskiéj w *Konstantynowie* (3), która utrzymywała dom na stopie tradycyi hetmańskiéj z wykwintem i pańskością; daléj, bywał nasz poeta u Potockich w Humaniu, u Sanguszków w Sławucie. Wszędzie wiódł go Emir, jako swego przyjaciela, a że Rzewuskiego otwartemi rękami przyjmowano, więc i Padurrę opromienionego sławą poety, radzi zawsze widzieli. Jeździł też w téj porze poraz pierwszy do Warszawy, robił wycieczki do Małorossyi, nad brzegi Dniepru; w roku 1828 był w dawnéj Siczy(4), zbierał podania, tradycye, pieśni; miał wstęp do bibliotek, szczycił się względami znakomitych osób a między tymi metropolity kijowskiego *Eugieniusza*, u którego przesiadując tygodniami miał udzielane dawne rękopisy, z których wiadomości czerpał i o których często wspomina w swoich Ukrainkach (5).

Z poezyj swoich, jakie późniéj w Warszawie na widok publiczny wydał, prawie wszystkie w tym czasie płodnym, poetycznym, w czasie rozkwitu swoich nadziei i marzeń napisał. I tak: dwie z nich noszą datę 1827 r., sześć 1828 r. a trzy 1829. Te które zostały napisane w roku 1828, opiewają przeważnie bohaterskie dzieje dawnéj kozaczyzny, widocznie kreślone są gorącą ręką, pod świéżém wrażeniem podróży po Ukrainie przeddnieprowskiéj i Siczy dawnéj.

Skończyć się wreszcie musiało to życie gwarne, napół fantastyczne, oświetlone nadziejami. Złotobrody Emir przepadł gdzieś

(1) Patrz Ukrainky, przypiski, 163—126. (2) Loc. cit.
(3) Rękopis p. W.
(4) Czytaj przypiski w Ukrainkach str. 158. (5) Rękop. p. W.

jak kamień w wodę (1), a Padurra przecierpiawszy wiele osiadł z rodziną swoją w *Machnówce*. Z żywota ruchliwego, przepełnionego ogniem poezyi i czynów, przeszedł nagle w ciszę, spokojność i smutek głuchy. Nieotoczony gromadą kozaczéj drużyny, już nie tworzył dumek ale począł pracować nad obszerniejszemi rzeczami. W tym to czasie napisał poemat p. t.: *Kudak*, tłumaczył Konrada Wallenroda na narzecze ruskie, z którego znany tylko mały wyjątek (2), Bajrona, z którego także zaledwie kilka pieśni pozostało. Wszystkie te prace atoli skradziono mu wraz z innemi rzeczami, gdy był zagranicą w roku 1848. „Ta strata, powiada p. W. (3), bolała go całe życie i nie mógł o niéj bez serdecznego żalu wspominać. Natchnienia poetyczne nie przychodzą na zawołanie, na rozkaz, a raz zaginione powtórzyć się nie mogą. Tém co pozostało, co następnie wypracował a nie ogłosił drukiem, być może iż za swego życia się rozporządził, gdyż nie znajduję jego rękopisów między pozostałością."

Około 1840 r. i późniéj przesiadywał często u *Borejki* w Pikowie, z którym go łączyły stosunki przyjacielskie. W Sławucie na dworze ks. Sanguszków nieraz po kilka miesięcy bawił, tak go chętnie przyjmowano. Sława jego bowiem brzmiała już nie tylko w Ukrainie ale w całéj Polsce, choć niewiele dotąd drukował: lubo różne pisma czasowe ogłaszały jego pieśni, a to bez jego wiedzy i woli. Jak np. w roku 1842 Kajetan Jabłoński wydał we Lwowie książkę p. t.: *Pienia Tomasza Padurry* (w 12, str. 98), gdzie pomieszawszy jego utwory z utworami innych autorów, mógł nieznającego rzeczy w błąd wprowadzić. To téż poeta oburzony takiém postępowaniem, odzywa się w swoich Ukrainkach (4), w przypisku do Pieśni Kozackiéj:

„Ten wiersz, jak inne, powtarzano w pismach peryodycznych w kraju i zagranicą. Oświadczam moim wydawcom, że nigdy i żadnemu z nich nie posyłałem do ogłaszania, ani pozwalałem robić zbiorów pod mojém imieniem, a do tego w znacznéj ilości pism nie moich" (5).

Postanowił nakoniec wydać rozproszone swe dumy w jednéj książce i w tym celu udał się w r. 1844 powtórnie do Warszawy i tu

(1) Podanie miejscowe mówi, że został zabity w lasach Daszowskich od własnego kozaka nazwiskiem *Usenko*, który po latach kilku, miał się stawić dobrowolnie przed sądem w Lipowcu i za to czy inne przewinienie wysłany został na Sybir. (Rękopis p. W).

(2) Podobno p. K. Wł. Wójcicki posiada niektóre ustępy z tego przekładu w rękopismie, przez samego Padurrę pisanym.

(3) Rękopis.

(4) Przypiski, str. 182.

(5) Biblioteka Warszawska w tymże czasie drukowała niektóre jego dumki, te same późniéj znajdujemy w Ukrainkach.

je wydrukował u Gustawa L. Glücksberga, z którym go łączyły stosunki koleżeńskie jeszcze z Krzemieńca. Książka ta, co wywołała mnóstwo sądów najróżnorodniejszych, rozrywana wreszcie chciwie, nosi tytuł: *Ukrainky .z nutoju Tymka Padurry*, Warszawa u Hustawa Ł. Hliksberha na ułyci Medowij, 1844, (in 8-vo, str. 195). Jest to wydanie bardzo ozdobne i przypisane: *Naczest' Romanowi z Koszyry i pamiatku naszych lit mołodych, prypysuju T. Padurra.* W książce téj zawartych jest 12 poematów różnorodnéj treści, pisanych w narzeczu ruskiém z dosłownym obok przekładem polskim, dokonanym przez samego autora. Do każdéj dumki dorobiona jest muzyka przez Karola Lipińskiego: oto jak opowiada o tém sam Padurra w przypiskach (1).

„Przed laty kilkunastu, *Emir Tag-El-Facker-Abd-El-Niszan* (Wacław Rzewuski), słysząc odemnie jedne tylko, ogłaszające się w tym zbiorze poezye i mojéj kreacyi muzykę do nich, piérwszym był co mi głoskami muzycznemi (bo nut nie znam) ponotował temata bez wtorów. Leżało to czas długi, jak wiele innych śpiewów moich, obok pism w tece zapomnienia; lecz kiedy tu ogłaszam część z nich z muzyką, znany w Europie nasz rodak Karol Lipiński, dorabiane mi później do moich tematów wtóry, niektóre sprostował a do tego śpiewu utworzył. Miło mi oświadczyć podziękowanie znakomitemu u Słowian artyście, za uprzedzającą mnie i troskliwą pomoc; miło mi pomyśleć o tém, że miłośnik jak on wszystkiego co jest słowiańskie, odświeżył mojéj pamięci i sercu wspomnienia przyjaźni, lat błogiéj młodości i milszych mi tęsknot i marzeń, może błąkających się jeszcze czy rozwianych po rodzinnym stepie!“

Nuty te litografowane są u Hirszla w Warszawie i bardzo pięknie, cała zaś książka drukowana czcionkami łacińskiemi. Obok dum zawiera liczne przypiski, z których ważniejsze ustępy dotyczące osobistości autora przytoczyliśmy; wiele tam znajduje się ciekawych a nieznanych rzeczy do historyi kozaczyzny, czerpanych z rękopisów, jakie autor czy to w Kijowie, czy też w podróżach swoich po Ukrainie znajdował. Po wydaniu na widok publiczny prac swoich, w roku 1848, zrobił wycieczkę za granicę, odwiedził Pragę w czasie zjazdu słowiańskiego i wtedy napisał wiersz do Szafarzyka, którego równie wysoko cenił jak Lelewela.

„Od 1858 r., powiada p. W. (2), rzadziéj wychylał się ze swego zakątka w Machnówce, od tego właśnie czasu stosunki moje z nim były ściślejsze, a gdy całą rodzinę stracił, w ostatnich latach prawie stale przebywał w Koziatynie. Do końca życia zachował charakter łagodny. W stosunkach domowych delikatny, patrzał na świat okiem poetyczném, na przeszłość z tęsknotą, na przyszłość z boleścią. Lubił rozmowę poufną, otwartą, unikał

(1) Ukrainky, str. 182—183.
(2) Rękopis p. W. str. 6.

zgiełku i nowych znajomości. Pamięć miał wyborną, w opowiadaniu zajmujący i niewyczerpany, gdy miał humor potemu. Wszakrze do niektórych ludzi i faktów był uprzedzony, jak zwykle starzy bywają. Wierzył zawsze iż wygra na loteryi warszawskiéj, to téż miał zwykle bilet i fortuna dopisywała mu czasem, bo wygrawszy kilkanaście tysięcy złotych, użył ich na podróż zagranicę. Pracą chętniéj się zajmował w lecie, niż zimową porą. Z natury marzyciel, wyobraźni silnéj, serca czułego, umysł miał skłonniejszy do melodyi niż do zajęcia i spraw rzeczywistego życia."

Ostatnią, większych rozmiarów, pracą Padurry był artykuł treści historycznéj p. t. *Mazepa*, drukowany w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie za rok 1864.

Umarł dnia 8 września 1871 r. w domu przyjaciela p. Maryana Wasiutyńskiego w Koziatynie. Pochowany na parafialnym katolickim cmentarzu w Machnówce Murowanéj. Padurra był wzrostu słusznego, twarzy poważnéj i smętnéj, rzekłbyś natchnionéj, wejrzenia pełnego spokoju i tęsknoty. Portret jego zdjęty z kijowskiéj fotografii znajduje się w Tygodniku Illustrowanym za rok 1872 Nr. 229.

Wincenty Pol pisząc o Padurze powiada (1): „Padurra uchodził u nas długo za mit i fikcyą, aż nareszcie wyszedł zbiór jego poezyj i bliższe wiadomości o nim, o jego młodości i o jego życiu upowszechniły się w Polsce. Padurra należy do najrzadszych poetycznych zjawisk, powiedziałbym na kuli ziemskiéj, bo jest on pisarzem innego ducha, a pisarzem innego języka. Tylko ci coby najlepiéj rozumiéć go powinni, nie zrozumieli Padurry i szukają dziś języka, kiedy po języku Padurry, po języku Kotlarzewskiego i po teorbanie Witorta, dum nie było już czego daléj szukać,bo język leżał gotowy, tylko trzeba było kształcić lud, któryby tym językiem i w tym duchu jak Padurra, władać potrafił.

„Każdy zna te widełka, podług których się stroi fortepian. Podają one tylko jeden ton, jednę nutę; ale każda, największa orkiestra, musi być podług téj jednéj nuty nastrojona: żadna najpiękniejsza opera, żadne najwznioślejsze oratoryum w kościele bez téj nuty i bez tego stroju nie mogą być odśpiéwane ani odegrane. Otóż poezye i dumy Padurry dają ten kamerton nowéj naszéj literaturze. Jeżeli kto nas wprowadził na nowe pole, to wprowadził nas Padurra istotnie. Co jest w nim najgienialniejszego, to właśnie to, że z lirycznego uczucia wychodząc, przychodzi następnie w dumę historyczną, która jest zadatkiem epickiéj poezyi. Gamma jest bardzo krótka, bardzo mała, ale i gamma słowika jest małą a jednakowoż słucha ją każdy z uniesieniem.

(1) Pamiętnik o Literaturze polskiéj w XIX w.

„Po Padurze dopiero mógł przyjść Zaleski i inni, przed Padurrą nie było to podobieństwem i kiedyś jak przyjdziemy do dum historycznych, kiedy poezya ostatecznie osiągnie tę wysokość, że będzie nierozdzielną od muzyki i nierozdzielną od życia, wówczas obejrzymy się za Padurrą i nietylko my, ale wszyscy się obejrzą w całéj Słowiańszczyznie za nim, bo pieśni jego proste i dumy mają to znaczenie w literaturze naszéj, co poezye Hezyoda w literaturze greckiéj.“

Niektórzy krytycy, mianowicie krytyk w Tyg. petersburskim z roku 1844 i 1845, zarzucali Padurze nieznajomość ukraińskiego narzecza, co więcéj odmawiali mu tytułu poety. Pomimo to sami uznali dumę o *Romanie z Koszyrry* za istną perłę ukraińskiéj poezyi. Co się tyczy znajomości narzecza ukraińskiego przez naszego poetę, dość jest przeczytać jego uwagi umieszczone na końcu *Ukraińek*, nad językiem tamtejszym; dość wreszcie posłuchać którejkolwiek dumki jego, ażeby mu nietylko przyznać znajomość języka ale i mistrzowskie nim władanie. Wreszcie lud, najlepszy podobno sędzia w tym względzie, przyjął jego dumy, przemienił w swą własność, coby nie miało miejsca, gdyby były pisane nie jego językiem.

Obok dum drukowanych w Ukrainkach, znane są na Ukrainie także w narzeczu ruskiém następne: Lirnik, Zaporożec, Rejestrowy, Czarnomorzec, Ruchawka, Pieśniarz, Rożyński, Barabasso, Sierko-Tetera, Murassko, Mazepa, Hordijenko, Hetmanci, Do Dniepru, Ukraina. Z pieśni w języku polskim pisanych, znane są: Fantazye, Przeobrażenie, Wspomnienia, Do Emira, Do M***, Fatyma, Do Wiosny, Grób D. K. S. Miasto, Czapla, Do Shanar doliny, Ostatnia myśl T. Z***.

Wspomniałem wyżéj że do każdéj dumki dodana jest muzyka, pisana przez Lipińskiego, według śpiewu Padurry. Muzyka to tęskna nad wyraz, i taka dumka wyśpiewana przez dobrego śpiewaka, silne bardzo wrażenie może zrobić na słuchaczach.

Wszyscy krytycy przyznali, że najznakomitszym utworem Padurry jest jego duma o *Romanie z Koszyrry* (1). Pominąwszy myśl przewodnią téj dumy, myśl zkądinąd bardzo zacną względnie do ludu i położenia owoczesnego, Padurra przechodzi w niéj już do poezyi epickiéj.

Na zakończenie przytoczymy tu słowa K. Wł. Wójcickiego, który tak mówi o tym poecie (2):

„Padurry pieśni wiele przeszło na wieczną pamięć w usta narodu i ludu, w dalekiéj przyszłości powtarzać będą późniejszych

(1) Jest to Roman książe Sanguszko, żyjący w XVI wieku, człowiek wielkich nadziei, przedwcześnie zmarły.

(2) Hist. lit. pol. IV—168.

pokoleń usta, pieśni tego wieszcza, choć nie będą wiedzieć o ich twórcy. Padurra w tych śpiewnych dumach, które tak chciwie chwyta każde ucho, co lgną do serca, skreślił cały żywot kozaczy, zamknął w nich sławę bitnego pokolenia i schwytał zarazem charakterystykę rodową. Najpiękniejsze pieśni skreślił w narzeczu ukraińskiém, zrozumiałém dla Ukraińców i tak łatwém dla nas. Prócz ludu, który je śpiewa, w Galicyi niemal całéj po dworach szlachty nucą te pieśni Padurry, wiele z nich brzmiało nietylko w cichych ścianach dworów. Nasz wieszcz i twórca dumek Hetmana Kosińskiego, Mazepy i Rusałek, wysoko cenił pieśni Padurry, z jakąż rozkoszą każdą chwytał, z jakim zapałem rozczytywał. Bo przyznać trzeba, że tylko różnica języka dwóch tych śpiewaków rozdziela, ale taż sama zwięzłość, choć nie ta sama śpiewność, toż chwytanie wielkich obrazów a tak treściwie w szczupły wiérsz ujętych, cała historyczność niemal kozaczego rodu w każdéj dumie skreślona, czyni obu braćmi jednego natchnienia".

POŁOŻENIE OBECNE FRANCYI,

podług najnowszych źródeł urzędowych.

WSTĘP.

W życiu narodów, podobnie jak w życiu pojedyńczych ludzi, wydarzają się wielkie klęski, które stanowczy wpływ wywiérają na dalsze losy tych narodów. Są one próbą ich sił żywotnych i albo prowadzą za sobą upadek państwa i narodu, albo są bodźcem do rozwoju większéj działalności, powołują do życia większą massę sił moralnych i czasami doprowadzają naród do jeszcze większéj niż poprzednio potęgi i znaczenia w gronie innych narodów. Takiej klęski publicznéj doznały Prusy w 1806 roku. Jednakże dzięki zwiększonéj działalności ich ludności i rządu, dobréj administracyi i nowemu systematowi obrony narodowéj, potrafiły Prusy pogoić rany zadane im w walce z Napoleonem I, skorzystać z idei odra-

dzających się zjednoczonych Niemiec i siłami całéj dawnéj Germanii pokonały piérwsze państwo militarne w Europie tj. Francyą.

Dla Francyi podobną klęską narodową i publiczną, była wojna 1870—1871 roku. Pomimo woli nasuwa się pamięci analogia zachodząca pomiędzy Francyą obecną i Prusami, po 1806 roku i publicyści francuscy może piérwsi zwrócili na nią uwagę wcelu zachęcenia współziomków do wytężenia wszystkich sił moralnych i fizycznych, dla zagojenia otrzymanych ran. Wzięto się zatem skrzętnie do pracy, rozwinięto działalność podwójną, by z jednéj strony skorzystać z nabytego doświadczenia i pozbyć się błędów przeszłości, a z drugiéj sumiennie zapłacić Niemcom karę pieniężną za blichtr zewnętrzny rządów bonapartystowskich i lekkomyślność wypowiedzenia wojny. Żeby jednakże poznać wielkość poniesionych strat i wysondować niby otrzymaną ranę, wzięto się do ich sumiennego obliczenia, nie obawiając się bynajmniéj jawności i licząc na zdrowy rozum narodu, który nie da się zastraszyć wielkością tych strat. Prace takie statystyczne, o ile zostały ukończone ogłoszono drukiem i chociaż jeszcze wiele brakuje do tego żeby wszystko zostało ujęte w liczbę i tablicę statystyczną, jednakże z ogłoszonych materyałów możemy zapożyczyć niejeden ciekawy szczegół. Ponieważ Francya pomimo czasowego zaćmienia jéj znaczenia pierwszorzędnego, pozostaje jednak zawsze jednym z narodów przodujących w postępie ludzkości, przeto i dotyczące jéj zjawiska mają znaczenie ogólno ludzkie. Wiele zatém rzeczy odnoszących się pozornie tylko do niéj jednéj, mogą być interesującemi i dla szerszego kółka czytelników, nawet takich, dla których losy Francyi są zupełnie obojętnemi, ale dla których nie mogą pozostać obojętnemi, zjawiska ogólno ludzkie będące symptomatami t. z. patologii narodowéj.

Na zasadzie zatém najnowszych oficyalnych wykazów statystycznych, postaramy się przedstawić czytelnikom chociaż urywkowo i pobieżnie obecne położenie Francyi, unikając zbytniego nagromadzenia tablic i liczb a ograniczając się rezultatami najogólniejszemi i stosunkowo najbardziéj interesującemi. I tak, zanim przejdziemy do szczegółów, powiedzmy: że ostatnia wojna, jakto wszystkim wiadomo, skończyła się *uszczupleniem granic Francyi.* Podług obliczenia z 1866 roku liczyło to państwo 37,548 gmin, 54,305,141 hektarów powierzchni i 38,067,064 ludności, wojna z 1870—71 roku pozostawiła jéj 35,859 gmin, 52,857,675 hektarów i 36,469,836 ludności. Straty zatém wynoszą: 1,689 gmin, 1,447,466 hektarów i 1,597,228 ludności. Francya utraciła cały departament Bas-Rhin, dep. Haut-Rhin za wyłączeniem części okręgu Belfortskiego, kilka gmin z dep. Vosges, dwa okręgi Sarreguemines i Thionville, większą część okręgu Metz i 19 gmin z okręgu Briey z dep. Moselle, nakoniec prawie całe okręgi Chateau-Salins i Sarrebourg z dep. Meurthe. Przechodząc obecnie do rozmaitych szczegółów statystyki urzędowéj, musimy zrobić uwagę że wykazy urzędowe nie dają jeszcze dostatecznego materyału do pracy

systematycznéj, ogłoszono ich tylko część, zbyt bowiem jeszcze bliscy jesteśmy od okropnego kataklizmu politycznego, który nawiedził Francyą. Następnie zwrócimy uwagę na to, że wiele rzeczy trudno bardzo ująć w liczbę i tablicę, jak np. całą stronę moralną życia narodowego, i tablice statystyczne mogą nam dać tylko niektóre wskazówki do ocenienia stanu moralnego przed i po okropnéj wojnie. Nakoniec rezultaty obliczenia ogólnego ludności z 1872 r. nie są jeszcze wiadome, potrzeba bowiem pewnego czasu do ich usystematyzowania i ugrupowania. Rozpoczynamy zatem od ruchu ludności.

Ruch ludności.

W tomie XVIII urzędowéj statystyki Francyi znajdujemy ciekawe zestawienie porównawcze ruchu ludności we Francyi i w innych państwach europejskich za okres 1861 do 1865 r. Przedstawione tam stosunki są bardzo stałe i ostatnia wojna mogła tylko czasowo zachwiać prawidłowość tych zjawisk. Ztąd też dążnością ludności będzie powrócenie jak najprędsze do stosunków ruchu ludności istniejących przed wojną.

Znajdujemy najprzód obliczenie *rocznego powiększenia* ludności w państwach europejskich i okresu lat potrzebnego dla jéj podwojenia:

	Powiększenie roczne na 100 osób.	Peryod podwojenia ludności.
Rossya	1,39	50 lat
Szwecya	1,33	52 „
Norwegia	1,32	53 „
Szkocya	1,31	53 „
Anglia	1,26	55 „
Prusy	1,26	55 „
Węgry	1,09	64 „
Saksonia	1,05	66 „
Niderlandy	1,05	66 „
Dania	1,05	66 „
Belgia	0,88	79 „
Wirtemberg	0,84	83 „
Włochy	0,83	84 „
Bawarya	0,70	99 „
Hiszpania	0,67	104 „
Austrya	0,63	110 „
Francya	0,38	183 „

Jeżeli powiększenie ludności pozostanie to samo podług stosunku wyżéj obliczonego, natenczas Rossya, Szwecya, Norwegia,

Wielka Brytania i Prusy podwoją swą ludność w pół wieku. W innych państwach wzrost ludności jest powolniejszy. W Austryi zaś i we Francyi ludność dąży do stanu niezmiennego. Pochodzi to w Austryi od wielkiéj śmiertelności, we Francyi od małéj płodności jéj ludności.

Przechodzimy do téj płodności czyli do stosunku *urodzeń*. Porządek państw europejskich podług coraz zmniejszającego się stosunku urodzeń do ludności jest następujący:

	Urodzeń na 100 ludności.		Urodzeń na 100 ludności.
W Rossyi	5,07	W Anglii	3,54
„ Węgrzech	4,15	„ Szkocyi	3,54
„ Saksonii	4,01	„ Prusach	3,44
„ Wirtembergu . .	3,94	„ Szwecyi	3,30
„ Austryi	3,87	„ Belgii	3,21
„ Hiszpanii	3,84	„ Norwegii	3,17
„ Włoszech	3,84	„ Danii	3,11
„ Bawaryi	3,65	„ Francyi	2,66
„ Niderlandach . .	3.56		

Widzimy z tego zestawienia, że z 17 państw europejskich, we Francyi najmniéj przychodzi na świat dzieci stosunkowo do ludności. Po Francyi przedstawiają stosunek najmniéj korzystny państwa skandynawskie, Anglia i Szkocya, daléj Belgia i Niderlandy. Liczba urodzeń przenosi stosunek średni dla wszystkich państw w większéj części państw niemieckich i słowiańskich, również w Hiszpanii i we Włoszech. Stosunek wyjątkowo korzystny co do liczby przedstawia Rossya.

W liczbie ogólnéj urodzeń, *dzieci nieprawe* zajmują następujące stanowisko w tychże samych państwach.

	Dzieci nieprawych na 100 urodzin.		Dzieci nieprawych na 100 urodzin.
W Bawaryi	22,68	W Belgii	7,19
„ Wirtembergu . .	15,79	„ Węgrzech	6,77
„ Saksonii	15,05	„ Anglii	6,36
„ Austryi	14,72	„ Szwajcaryi (1867).	6,20
„ Danii	10,84	„ Hiszpanii	5,83
„ Szkocyi	9,79	„ Włoszech	4,94
„ Szwecyi	9,20	„ Niderlandach . . .	3,93
„ Prusach	8,28	„ Irlandyi(1863:64).	3,75
„ Norwegii	7,86	„ Rossyi	3,00
„ Francyi	7,56		

Widzimy zatém że stosunki we Francyi podobne są bardzo do stosunków w Belgii i że Francya zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy państwami niemieckiemi i skandynawskiemi z jednéj strony,

Anglią zaś i państwami południowemi z drugiéj. Zresztą w saméj Francyi stosunek dzieci nieprawych jest rzeczywiście dosyć znaczny tylko w samym Paryżu.

W liczbie przychodzących na świat żywych dzieci liczą w Hiszpanii, Włoszech i Austryi więcéj niż 106 chłopców na 100 dziewcząt. Stosunek dla Francyi i Belgii jest średni pomiędzy państwami europejskiemi.

Pomiędzy przychodzącemi na świat jest pewna liczba *nieżywo-urodzonych*, których obliczają w większéj części państw europejskich, za wyłączeniem Wielkiéj Brytanii i Rossyi. Stosunek tych nieżywo-urodzonych do liczby ogólnéj urodzonych jest następujący:

W Niderlandach . .	5,19	W Danii	3,99
„ Szwajcaryi	4,92	„ Norwegii	3,98
„ Belgii	4,61	„ Szwecyi	3,28
„ Saksonii	4,38	„ Bawaryi	3,24
„ Francyi	4,35	„ Austryi	2,09
„ Prusach	4,16	„ Włoszech	1,76
„ Wirtembergu . .	4,07	„ Hiszpanii	1,29

Jeżeli pojęcie nieżywo-urodzonych jest to samo we wszystkich państwach wyżéj wymienionych, to w takim razie największa liczba wypadków śmierci tego rodzaju byłaby w strefie umiarkowanéj, następnie w strefie zimnéj, najmniéj nakoniec nieżywo-urodzonych liczonoby w państwach południowych. Przejdźmy teraz do liczby *małżeństw*. Na sto ludności wypada małżeństw w państwach europejskich:

	Na 100 ludności.		Na 100 ludności.
W Rossyi	1,04	W Hiszpanii	0,80
„ Węgrzech . . .	0,90	„ Francyi	0,80
„ Saksonii	0,88	„ Wirtembergu . .	0,79
„ Prusach	0,85	„ Belgii	0,75
„ Anglii	0,85	„ Danii	0,74
„ Włoszech	0,84	„ Szkocyi	0,71
„ Niderlandach . . .	0,84	„ Szwecyi	0,71
„ Bawaryi	0,83	„ Norwegii	0,69
„ Austryi	0,82		

W państwach słowiańskich najwięcéj bywa zawieranych małżeństw, najmniéj zaś w państwach skandynawskich. Pod tym względem Francya i Belgia ustąpić muszą pierwszeństwa Hiszpanii, Włochom i większéj części państw niemieckich.

Dla obliczenia *płodności małżeńskiéj* biorą zwykle stosunek dzieci prawych do liczby zawartych małżeństw w pewnym danym roku. Otrzymalibyśmy tym sposobem rzeczywistą płodność małżeńską, gdyby liczba roczna zawieranych małżeństw była ciągle ta

sama; ale ponieważ liczba ta co rok się zmienia, nie otrzymujemy zatem stosunku rzeczywistego. Płodność małżeńską obliczylibyśmy dokładniéj porównywając liczbę dzieci prawych z liczbą kobiét zamężnych w wieku płodności, jednak tego dotąd nigdzie nie uczyniono. Musimy zatém poprzestać na obliczonym stosunku dzieci prawych do zawartych małżeństw, który w państwach europejskich był następujący:

W Rossyi	4,72	W Prusach	4,14
„ Hiszpanii	4,52	„ Niderlandach . .	4,07
„ Szkocyi	4,50	„ Austryi	4,01
„ Irlandyi	4,48	„ Belgii	3,96
„ Włoszech	4,34	„ Anglii	3,92
„ Węgrzech	4,31	„ Saksonii	3,86
„ Norwegii	4,25	„ Danii	3,77
„ Szwecyi	4,23	„ Bawaryi	3,40
„ Wirtembergu. . .	4,22	„ Francyi	3,08

We Francyi zatém najmniéj wypada dzieci na każde małżeństwo, chociaż należy ona do państw, w których najwięcéj bywa małżeństw zawieranych pomiędzy kawalerami i pannami, t. j. osobami piérwszy raz zawierającemi związki małżeńskie. Przeciwnie w Austryi i Węgrzech najwięcéj liczą stosunkowo małżeństw zawieranych pomiędzy osobami owdowiałemi.

Pod względem *śmiertelności* państwa europejskie dadzą się uporządkować jak następuje:

	Na 100 osób wypadków śmierci.		Na 100 osób wypadków śmierci.
W Norwegii	1,84	W Bawaryi	2,95
„ Szwecyi	1,96	„ Saksonii	2,95
„ Danii	2,16	„ Hiszpanii	2,96
„ Szkocyi	2,23	„ Włoszech	3,01
„ Anglii	2,28	„ Węgrzech	3,06
„ Francyi	2,28	„ Wirtembergu . .	3,11
„ Belgii	2,33	„ Austryi	3.24
„ Niderlandach . .	2,50	„ Rossyi	3,68
„ Prusach	2,58		

Śmiertelność jest zatém najmniejszą w państwach skandynawskich i anglosaksońskich. Francya, Belgia i Niderlandy zajmują stanowisko pośrednie. Następują państwa niemieckie, północne poprzedzają południowe. Największa nakoniec śmiertelność panuje w Austryi i Rossyi. Jednakże śmiertelnośc ogólna jest różną dla każdego wieku, tak że każdy wiek oddaje w stopniu rozmaitym swoją daninę śmierci. Ciekawemi są bardzo zatém tablice śmiertelności obliczone dla każdego wieku życia. Z tablic zawartych w T. XVIII Statistique de France można obliczyć dla danéj liczby

nowourodzonych liczbę *pozostających przy życiu* w każdym wieku. Tak *np.* na 100 jednocześnie urodzonych pozostaje przy życiu po 20 latach ukończonych:

W Norwegii	72,6	We Francyi	62,9
„ Danii	71,3	„ Niderlandach . .	61,6
„ Szwecyi	69,8	„ Prusach	58,6
„ Anglii	64,6	„ Włoszech	53,4
„ Belgii	64,2	„ Hiszpanii	51,1

Można również podług zawartego tam materyału obliczyć *prawdopodobieństwo życia* dla nowourodzonych jak następuje:

	Lat	m.		Lat	m.
W Norwegii . . .	48	—	We Francyi	39	10
„ Szwecyi	45	3	„ Niderlandach .	38	1
„ Danii	45	3	„ Prusach	36	5
„ Belgii	40	3	„ Włoszech. . . .	31	10
„ Anglii	40	—	„ Hiszpanii . . .	31	2

Różnice wychodzą daleko mniejsze jeżeli obliczamy prawdopodobieństwo dla mających ukończone lat 5:

W Norwegii . . .	54	8	W Anglii	50	5
„ Szwecyi	53	10	„ Prusach	50	4
„ Danii	52	3	„ Niderlandach .	49	8
„ Francyi	51	9	„ Hiszpanii . . .	47	10
„ Belgii	50	6	„ Włoszech . . .	47	—

W ostatnim razie tylko państwa skandynawskie przedstawiają korzystniejsze stosunki niż Francya, która znowu wyprzedza wszystkie inne państwa.

Dla *1869 r.* zdołano zebrać daty odnoszące się do *ruchu ludności* tylko z 87 departamentów; departamenta Haut i du Bas-Rhin zajęte w następnym roku przez Prusaków i stracone dla Francyi, nie dostarczyły potrzebnych liczb. W tym zatém roku przy porównaniu z poprzedzającym 1868 r., ruch ludności francuzkiéj przedstawia się jak następuje:

	1868	1869.
Urodzenia		
Dzieci prawe	875560	889953
„ nieprawe	70993	71580
Razem .	946553	961523
Wypadków śmierci	890018	875430
Przewyżka urodzeń nad wypadkami śmierci	56535	86093
Nieżywo urodzonych	44390	45873
Małżeństw	292266	307111

Widoczne jest zatém polepszenie warunków życia ludzkiego we Francyi w 1869 r. Liczba urodzeń powiększyła się, zmniejszyła się liczba wypadków śmierci, ludność zatém zaczęła dążyć do stopniowego powiększania. Mianowicie zwiększenie się znaczne liczby małżeństw było oznaką stopniowego powrotu do zaufania w przyszłość, które tak boleśnie zostało zawiedzione.

Za *1870 r.* doszły do ministerium wykazy o *ruchu ludności* tylko z 19 departamentów, które tylko pośrednio ucierpiały od wypadków wojennych. Ponieważ kroki wojenne rozpoczęły się pod koniec lipca tj. na początku 2-go półrocza 1870 r., ciekawém jest zestawienie rezultatów za oba półrocza osobno. I tak znajdujemy:

	1-e półrocze. 1870 roku.	2-gie półrocze. 1870 roku.
Małżeństw	34202	13577
Urodzeń	116230	107608
Wypadków śmierci	109339	113475
Przewyżka urodzeń nad śmiertelnością	6891	—
Przewyżka wypadków śmierci nad urodzeniami	—	5867

Każdego roku normalnego 1-e półrocze przedstawia większą liczbę urodzeń na 7%, wypadków śmierci bywa więcéj o 2% i małżeństw na 15 do 18%. W 1870 r. widzimy różnicę w liczbie urodzeń pomiędzy obu półroczami wynoszącą 7%, co jest stosunkiem zupełnie normalnym; ale za to wypadki śmierci w 2-giém półroczu zamiast być mniejsze liczebnie, przenoszą wypadki 1-go półrocza o 4%. W skutek tego po przewyżce liczby urodzeń nad wypadkami śmierci w 1-ém półroczu następuje przewyżka prawie taka sama wypadków śmierci nad urodzeniami w 2-éj połowie roku. Ale najwidoczniejszém jest ogromne zmniejszenie liczby małżeństw wynoszące 60%. Porównywając dla 17 departamentów rezultaty 1870 r. z rezultatami roku poprzedzającego, otrzymamy co następuje:

	1869 r.	1870 r.
Małżeństw	60965	46097
Urodzeń	211423	216547
Śmierci	178067	212727
Przewyżka liczby urodzeń nad wypadkami śmierci	33356	3820

Widzimy zatém, że w 1870 roku urodzenia powiększyły się liczebnie o 2½%, wypadki śmierci na 20% i w liczbie małżeństw nastąpiło zmniejszenie o 24%. Wypadki zatém wojny chociaż nie dotknęły bezpośrednio tych departamentów, jednakże jéj klęski odbiły się na ruchu ludności, szczególniéj na liczbie nowozawieranych małżeństw. Liczba ta jest najczulsza na wszelkie przewidywania przyszłości pomyślnéj lub nie pomyślnéj.

Położenie ekonomiczne.

Rząd francuzki w latach 1861 do 1865 zbierał dokładne wiadomości o stanie przemysłu fabrycznego we Francyi. Wypadki wojenne wstrzymały ogłoszenie otrzymanych rezultatów, jednakże przed ogłoszeniem téj pracy *in extenso* podano rezultaty ogólne, rozróżniając przemysł miast Paryża i Lugdunu i zakłady rządowe od przemysłu reszty Francyi. Ogólna liczba dla całéj Francyi wynosi: zakładów fabrycznych liczono 156000, robotników 2,300000, wartość produkcyi 12 miliardów, siła użytych machin i narzędzi równa sile 672000 koni.

Cały przemysł fabryczny podzielono na 16 kategoryj i przeciwstawiając przemysł Paryża, przemysłowi reszty Francyi i wyłączając Lugdun i zakłady rządowe, otrzymamy rezultaty następujące:

		Liczba zakładów		Wartość produkcyi w milionach	
		we Francyi.	w Paryżu	we Francyi.	w Paryżu.
1.	Przemysł tkacki	12480	2740	2333	135
2.	„ wydobywający (extractive).	4894	12	166	1
3.	„ kruszcowy (metallurgique).	1136	165	441	30
4.	Fabrykowanie przedm. metalowych .	2020	2733	200	149
5.	„ „ ze skóry . . .	3035	496	213	78
6.	„ „ z drzewa . . .	2471	1261	78	85
7.	„ „ z gliny (céramique).	2015	306	97	9
8.	„ „ chemicznych . .	1644	929	232	97
9.	Przemysł budowlany	13026	78	100	9
10.	„ oświetlania (l'éclairage) .	787	188	68	39
11.	Fabrykowanie mebli	151	2742	17	75
12.	„ odzienia i strojów . .	1294	3145	114	157
13.	„ przedmiotów żywności.	52845	648	2804	169
14.	Przemysł transportowy . . .	478	1533	47	88
15.	„ odnosz. się do nauk i sztuk.	1663	2724	146	136
16.	Fabr. przedm., zbytku i przyjemn.	224	2709	14	168
	Razem .	100163	22409	7130	1421

Z tego zestawienia widzimy, że Paryż pod względem przemysłu fabrycznego, stanowi jakby oddzielne państwo i przemysł paryzki w pięciu grupach przenosi swą produkcyjnością przemysł reszty Francyi. Takiemi przedmiotami przemysłu są: przedmioty zbytku i przyjemności, meble, transporta, odzienie i stroje i fabrykowanie przedmiotów z drzewa.

Dokumenta statystyczne odnoszące się do przemysłu fabrycznego w mieście *Lugdunie* (Lyon) spłonęły podczas pożaru, jednakże liczą przybliżenie wartość produkcyi fabryk tego miasta na 500 mil. franków. *Zakładów* nakoniec *państwa* liczą 61, a ich produkcyą roczną cenią na 914 milionów.

Mamy zatém siłę produkcyjną Francyi tylko pod względem przemysłu fabrycznego, obliczoną prawie na 10 miliardów franków rocznie nie włączając do téj summy sztuk i rzemiosł. Ale podług mniemania izb handlowych francuzkich, rezultaty otrzymane przez rząd przy obliczeniu produkcyi fabrycznéj są przynajmniéj o $^1/_3$ mniejsze od wysokości rzeczywistéj. Ztąd też p. Block sądzi, że zamiat 10 miliardów otrzymanych w rachunku, można produkcyą roczną ocenić przynajmniéj na 12 miliardów.

Co się tyczy *handlu*, to wykazy urzędowe francuzkie rozróżniają *handel ogólny* (commerce général) od *handlu specyalnego* (commerce spécial) zaliczając do ostatniego przedmioty sprowadzane dla spożycia wewnętrznego i przedmioty wywozu wytworzone w kraju. W 1869 r. obliczono handel ogólny Francyi z koloniami i państwami obcemi na 8002 milionów franków. Wynosi on zatém 23 mil. więcéj niż w roku poprzednim, i 200 mil. (tj. $2^1/_2$ %) przenosi liczbę średnią za peryod pięcioletni poprzedzający 1869 r.

Przywóz dosięgnął cyfry 4009 mil., tj. o 249 mil. mniéj niż w roku poprzednim, ale zato o 195 mil. więcéj niż pięcioletnie przecięcie.

Wywóz dosięgnął liczby 3994 mil., jest zatém o 273 mil. większy niż 1868 r., a o 5 mil. większy niż pięcioletnie przecięcie.

Wartość przedmiotów powtórnie wywiezionych (reexportowanych) po ich obrobieniu we Francyi doszła cyfry 182 mil. Pomiędzy przedmiotami przywozu z zagranicy, meteryały surowe dla przemysłu francuzkiego, wynosiły 2381 mil. Przedmioty wywozu dadzą się podzielić jak następuje:

Produkta przyrodzone	1782	mil.
„ przemysłu	2212	„
Razem .	3994	„

Głównemi przedmiotami przywozu dla spożycia wewnętrznego, podczas okresu 1866 do 1868 były: surowa bawełna, jedwab, wełna, skóry surowe i węgiel kamienny. Pomiędzy przedmiotami wywozu wytworzonemi we Francyi zajmują piérwsze miejsce: wyroby jedwabne i wełniane, oraz wina. Wartość wyrobów jedwabnych wywiezionych podczas okresu 1868 do 1870 obliczają na

500 mil. fr.; wartość wyrobów wełnianych na 125 mil. Wartość wywiezionych win z 234 mil. w 1866 r. urosła do 250 mil. w 1870 r. Widzimy zatém jaką ogromną potęgą przemysłową jest Francya i z drugiéj strony jak wielkie szkody ponieść musiała z przyczyny wojny 1870 i 1871 r. Jednakże zaraz po ukończeniu wojny a mianowicie po upadku komuny 18 marca 1871 r., Francuzi rzucili się z wielkim zapałem do powetowania przynajmniéj choć w części poniesionych strat materyalnych. Ponieważ na polu ekonomicznem wszystkie państwa i narody są solidarnie połączone, klęski ekonomiczne Francyi musiały również dosięgnąć choć pośrednio i inne narody. Ztąd téżto z zaprzestaniem operacyi wojennych wzięto się wszędzie do podwójnéj działalności: tém się tłumaczy narzekanie ogólne na niedostateczność taboru przewozowego kolei żelaznych nietylko we Francyi ale i w Niemczech i w innych krajach.

Przejdźmy teraz do strat poniesionych przez wojnę 1870 i 1871 r., o ile one zostały obliczone na drodze urzędowéj.

Straty poniesione wskutek wojny 1870 i 1871 r.

O stratach terytoryalnych w ziemi i ludziach mówiliśmy już poprzednio, przejdźmy zatém do *strat w żołnierzach.* Obliczenia oficyalne jeszcze nie zostały ogłoszone, podamy zatém tylko to, co zamieszczono w dzienniku Opinion nationale. Zginęło na polu bitwy albo wskutek odniesionych ran oficerów i żołnierzy 89000. Z téj liczby zginęło przy Forbach, Reischoffen, Borny, Gravelotte, Saint-Privat i w walkach koło Metz podczas miesięcy września i października 26000; 10000 padło pod Sedanem; z armii Loary z korpusów generałów Chanzy i d'Aurelle de Paladines 22000; z korpusów generałów Bourbaki 7000; gen. Faidherbe 3500; gen. Garibaldi 1600 ludzi. Oblężenie Strasburga, Belfortu, Phalsbourgu, i in. kosztowało życie 2000 żołnierzy; oblężenie Paryża 17000.

Dla obliczenia strat poniesionych po departamentach wskutek rekwizycyi, kontrybucyi wojennych i innych przyczyn ustanowione zostały *komisye kantonalne* złożone z mera, sędziego pokoju i obywateli dla jak najsumienniejszego ich zestawiania. Prace tych komisyi zostały ogłoszone w gazecie urzędowéj z 28 października 1871 r. Podług tych wykazów urzędowych, *kontrybucye wojenne* zapłacone przez 13700 gmin przed ratyfikacyą preliminaryów pokoju (26 lutego 1871 r.) wynosiły . . . 37,587,339.75 fr.
po téj ratyfikacyi . . . . . 1,466,573.89 „

Władze niemieckie pobrały *podatków* przed wspomnioną ratyfikacyą:

Podatków bezpośrednich	31,712,168.45 fr.
„ pośrednich	7,659,452.23 „
Po wymianie ratyfikacyi:	
Podatków bezpośrednich	7,129,193.71 „
„ pośrednich	2,648,848.17 „
Wszelkie inne rekwizycye wojenne wynosiły	327,581,506.64 „

Straty spowodowane przez pożary i z innych powodów	141,130,095.22 fr.
Wartość ruchomości, mebli, pieniędzy zabranych bez rekwizycyi	264,172,802.46 „
Ilość ogólna strat po departamentach wynosi	821,870,980.52 „

Dla wynagrodzenia choć w części tych strat, poniesionych w skutek wojny, Zgromadzenie Narodowe przeznaczyło summę 100 mil. fr. do podziału pomiędzy osoby poszkodowane po departamentach. Do poprzednio przedstawionéj liczby strat nie włączono straty poniesione przez miasto *Paryż*. Podług sprawozdania Prefekta, zamieszczonego w protokółach rady miejskiéj, miasto to poniosło 68 mil. fr. strat, z których przypisać należy wojnie zewnętrznéj 2 mil., 6 mil. wojnie domowéj, a pozostałe 60 mil. pożarom wzniecony przez komunę. Razem z gminami podmiastowemi straty wynoszą 144 mil., do których zaliczyć jeszcze należy 20 mil. szkód, zrządzonych gmachom publicznym. Do tych summ nie zaliczono 200 mil. kontrybucyi wojennéj, które miasto Niemcom zapłacić musiało.

Gazeta *Temps* (1 Janv. 1872 r.) ocenia straty Paryża na 150 mil., z których 80 m. spowodowanych przez wojnę zagraniczną a poniesionych prawie wyłącznie przez gminy podmiejskie; 16 mil. w skutek operacyi armii francuzkiéj w celu wyzwolenia Paryża z rąk komuny, z których znowu 7 mil. przypada na Paryż (szczególniéj Passy), a 9 mil. na przedmieścia; nakoniec 61 mil. wynikły w skutek pożarów i rabunku komuny. Widzimy zatém, że ostatnia wojna kosztowała Francyą 3 miliardy wydatków wojennych, 5 miliardów kontrybucyi wojennych do zapłacenia Niemcom, przynajmniéj miliard w stratach i spustoszeniach, nakoniec sumę trudną do oznaczenia w stratach pośrednich: w zmniejszeniu wartości przedmiotów, braku zajęcia, rozstroju stosunków handlowych i t. p. Ztąd téż ocenienie przez *Kolba* strat francuzkich, przyczynionych przez ostatnią wojnę, na 10 miliardów jest prędzéj za nizkie niż za wysokie.

Ale najwidoczniejszemi są nieszczęsne następstwa ostatniéj wojny na budżetach państwowych za ostatnie lata. Narzekano za cesarstwa, że budżet roczny dosięga 2 miliardów fr., tymczasem obecnie po wojnie coraz bardziéj zbliża się do 4. Przyjrzyjmy się zatém położeniu finansowemu Francyi.

Położenie finansowe.

Ostatni *budżet* drugiego Cesarstwa, którego rachunki są już zupełnie ukończone, jest *z 1866 roku*. Wynosi on fr.

Dochodów	1,948,859,642.74 „
Rozchodów	1,946,880,982.92 „
Przewyżka dochodów	1,978,659.82 „

Pierwszy *budżet* wojenny jest *1870 r.* przedstawia on następujące liczby:

Dochodów	2,730,156,000 fr.
Rozchodów	3,375,604,000 „
Deficyt .	645,448,000 „

Budżet z 1871 r. przedstawia się jak następuje:

	Służba zwyczajna	Służba nadzwyczajna	Ogół
Wydatków	2,023,215.954—	1,178,476,749 38	3,201,692,703 38
Dochodów	1,867,281,452—	1,279,354,375 —	3,146,635,827 —
Przew. doch.	—	100,877,625 62	—
„ Wyd.	155,934,502	—	55,056,876 38

Budżet na 1872 rok przedstawia się w lepszém trochę świetle, wynosi on:

Dochodów	2,344,796,000 fr.
Wydatków	2,334,759,000 „
Przewyżka dochodów	10,037,000 „

Pomiędzy dochodami znajduje się *nowych podatków* na 462,349,000 franków. Nowe te podatki są następujące:

Podatek na konie i powozy	2,112,000 fr.
„ na kluby i bilardy	2,000,000 „
Stępel i wpisowe	113,100,000 „
Kawa, kakao, herbata i inne towary .	62,328,000 „
Cukier rozmaitego pochodzenia . . .	57,317,000 „
Napoje, alkohol i likiery	83,000,000 „
1/10 ceny biletu na kolei żelaznéj . .	30,000,000 „
Tytoń	40,000,000 „
Proch	3,000,000 „
Karty i pozwolenia (licences) . . .	6,300,000 „
Zapałki chemiczne	15,000,000 „
Cykorya	5,000,000 „
Papier	10,000,000 „
Oléj skalny	192,000 „
Opłaty pocztowe	22,000,000 „
Opłaty za żeglugę	5,000,000 „
Opł. stat. przy przywozie i wywozie prod.	6,000,000 „

Liczba tych nowych podatków obecnie powiększona została aż do 495,353,000 fr., ztąd projekt *budżetu na 1873 r.* przedstawia się jak następuje:

Dawne przychody i podatki . . .	1,791,109,000 fr.
Nowe podatki	495,353,000 „
Dochody	2,286,462,000 „
Rozchody	2,388,313,000 „
Deficyt .	101,851,000 „

Prócz tego wymaga jeszcze rząd 200 mil., któreby chciał otrzymać przy pomocy podatku na materyały surowe; byłoby to porzuceniem przyjętéj zasady wolności handlu i powrotem do systemu protekcyi, zaniechanego od 1860 roku. Ztąd téż podatek ten wywołał ogromną burzę pomiędzy ekonomistami i zwolennikami wolności handlu i Zgromadzenie Narodowe z trudnością chyba przychyli się do ustępstw rządowi pod tym względem.

Do wszystkich tych budżetów dodać jeszcze należy *budżet* tak zwany *likwidacyjny*, wynoszący około miliarda frank. Zawiera on wydatki następujące:

Odnowienie materyału wojennego, odbudowanie fortec i t. p. 379,000,000 fr. Żywienie wojsk niemieckich 1872 roku 50,000,000 fr. Wynagrodzenie departamentom zajętym 100,000,000 fr., wynagrodzenie mieszkańców Paryża 6,000,000 fr., zwrót kontrybucyi 200 mil. Paryżowi 149,000,000 fr., zwrót kosztów przewozu podczas wojny Towarz. kolei żelaznych 160,000,000 fr. Dla pokrycia tego budżetu likwidacyjnego liczy rząd na bardzo szczupłe fundusze. Posłużyć do tego ma wartość rent należących do kassy amortyzacyjnéj zlikwidowanéj i wynoszące koło 80 mil., sprzedaż nieruchomości koronnych (domaniaux) położonych w obrębie miasta Paryża i wszelka przewyżka dochodów w budżetach. Są to wszystko źródła zbyt małe dla pokrycia blizko miliarda wydatków.

Większa część budżetów lat wojny i następnych musiała być pokrytą przez *pożyczki*. Od czasu rozpoczęcia kroków wojennych zaciągnięto w tym celu pożyczki następujące:

Pierwszą pożyczką po wypowiedzeniu wojny, była pożyczka 750 mil., która przyniosła kassie państwa 804,585,000 fr.

Drugą zawarto w Anglii dnia 24 października 1870 roku podczas oblężenia Paryża z domem angielskim Morgan i s-ka.; przyniosła ona kassie państwa tylko 202,024,000 franków.

Trzecią była pożyczka dwóch miliardów w celu zapłacenia części kontrybucyi wojennéj Prusom. Przyniosła ona 2,291,000,000 franków. Pożyczki 750 i 250 milionów pochłonął budżet 1870 r. Z pożyczki dwóch miliardów wzięto 675 milionów dla budżetu 1871 roku. Dla zapłacenia zatém 2 miliardów Niemcom, potrzeba było do pozostałych 1,550 milionów pożyczki dołączyć: 325 milionów otrzymanych za odstąpienie części drogi żelaznéj kompanii Wschodniéj, leżącéj wśród prowincyi przyłączonych do Niemiec i jeszcze 125 mil. pożyczonych od banku francuzkiego.

Ostatnią jest pożyczka $3^1/_2$ miliardów z dni 28 i 29 lipca 1872 r. w celu wypłacenia pozostałéj części kontrybucyi wojennéj.

Do tych pożyczek należy dodać zaliczenia porobione rządowi przez *Bank francuzki* i wynoszące 1,530 mil. Summą tą rozporządzono się w sposób następujący: 125 mil. użyto dla skompletowania 2 miliardów kontrybucyi niemieckiéj, 632,949,000 franków dodano do budżetu 1870 roku, a pozostałe 772,051,000 przeznaczono dla powiększenia funduszów budżetu 1871 roku.

Ponieważ tę pożyczkę bank dał na 1% rocznie ze zwrotem przynajmniéj po 200 mil. rocznie, tj. w ciągu 7 lat, otrzymał za to

upoważnienie podniesienia emissyi biletów bankowych do 3,200 mil. fr. z kursem przymusowym i wydawanie biletów nawet na 5 franków sztukę.

Takie ogromne pożyczki, choć tę przynajmniéj miały dobrą stronę, że pokazały ogromny kredyt Francyi, który przez ostatnią wojnę nie został zachwiany. Są one oznaką ufności w siły produkcyjne tego kraju, jakto szczególniéj pokazała ostatnia pożyczka 3½ miliardów, pokryta na przeszło 10razową wysokość nominalną.

Jednakże w skutek tych pożyczek *ciężar roczny długu publicznego* ogromnie się podniósł. I tak ciężar ten przed wojną ostatnią wynosił rocznie 359,227,373 franki, obecnie zaś po wojnie i zlikwidowaniu jéj kosztów 1,033,205,124 fr. summa ta bynajmniéj nie jest jeszcze kompletną, należy ją podnieść do 1,050 mil. franków. Żeby jednakże uspokoić opinią publiczną, zatrwożoną tém, że Francya może upaść pod ogromem ciężarów wynikłych z wojny ostatniéj, przeprowadza sławny ekonomista *M. Chevalier* porównanie pomiędzy Anglią po wojnie z pierwszem cesarstwem i Francyą obecną i podaje rezultaty następujące: Służba długu konsolidowanego i bieżącego wymaga obecnie we Francyi rocznie okrągłą liczbę 40,000,000 Ł. (funtów szterlingów). Anglia po wojnach z Napoleonem I, musiała rocznie opłacać 49,000,000 Ł. zatém o 9 mil. więcéj niż obecnie Francya, która jest i bogatszą i ludniejszą niż Anglia 1816 r. Obliczone na franki porównanie to wynosi podług Chevalier'a jak następuje:

Procenta długu angielsk. w 1816 r. .	1,255,300,000 fr.
„ „ francuzk. w 1871 r. .	998,118,000 „
Różnica	277,182,000 „

Francya zatém ma 300 mil. mniéj do płacenia niż Anglia po bitwie pod Waterloo. Jestto zatém dosyć zadawalniające przedstawienie położenia finansowego Francyi. Podobnie jak we Francyi ogromne koszta pociągnęła za sobą wojna domowa w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj, ale tam przedsięwzięto środki radykalne w celu zmniejszenia wydatków rocznych. Stany północne miały pod bronią przeszło milion żołnierzy podczas wojny, ale zaraz po ustaleniu porządku legalnego, zmniejszono ich liczbę do 50,000 a nawet do 45,000 i ta reforma nastąpiła jeszcze w 1865 r., w którym zamordowano prezydenta Abrahama Lincoln'a.

Tymczasem rząd republikański francuzki zamiast zmniejszyć wydatki wojenne podczas pokoju, powiększa je jeszcze. Nie porzuca zatém myśli przywrócenia Francyi znaczenia państwa militarnego pierwszorzędnego, po za którą kryje się w oddaleniu myśl odwetu na Prusach i Germanii. Ale co jeszcze gorsza, rząd obecny francuzki zamyśla z podatku uczynić narzędzie protekcyjne. Dowodzą tego ostatnie prawa o marynarce handlowéj, prawo dane rządowi wypowiadania traktatów handlowych z państwami obcemi i ostatnie wota w Zgromadzeniu narodowem na korzyść podatków na mate-

ryały surowe. Jestto zatém powrót do dawnego systemu protekcyjnego przed 1860 r. i nad tym wstecznym zwrotem boleją znakomitsi ekonomiści francuzcy.

Niektóre wskazówki co do stanu moralnego ludności.

Ciekawém byłoby przedstawienie stanu moralnego ludności francuzkiéj w ostatnich latach drugiego cesarstwa, ażeby następnie porównać go ze stanem po wojnie; ale nie jest to zadanie tak łatwe do wykonania. Trudno bowiem w liczby i tablice ująć stronę moralną narodu: potrzebaby zatém ograniczyć się stroną ujemną. Dla jéj przedstawienia moglibyśmy spożytkować wykazy sądowo-karne i cywilne, które za lata 1868—1869 zostały ogłoszone. Ale ta praca rozszerzyłaby zbytecznie objętość obecnego artykułu i miałaby również tylko wartość stosunkową. Ograniczamy się zatém niektóremi tylko bardziéj wydatnemi objawami statystyki sądowéj.

Tak pomiędzy sprawami cywilnemi zwraca uwagę liczba spraw *o rozłączenie pomiędzy małżonkami* (séparations de corps). Liczba tych spraw z 2,999 w 1868 roku urosła do 3,056 w 1869 r. Z liczby ogólnéj 3,056 tylko 445 rozpoczęte zostały przez mężów, którzy jeszcze w 109 razach wystąpili z przeciwnemi skargami (demandes reconventionnelles) na 2611 spraw rozpoczętych przez żony. Z liczby ogólnéj 46% tj. 1290 przypada na klassę robotników, 19% (545) na właścicieli nieruchomości, 18% (490) na rolników i 17% (485) na kupców i przemysłowców. Sposób utrzymania 246 proszących o separacyą nie był oznaczony.

Związek 1,091 małżonków był niepłodny. Co się tyczy długości pożycia małżonków proszących o separacyą, to $^1/_3$ wszystkich żądań (1016) była uczynioną podczas drugiego dziesiątka lat pożycia małżeńskiego; przeciąg czasu pomiędzy dniem ślubu i dniem żądania rozłączenia wynosił od 5 do 10 lat dla 860 małżonków, od 20 do 30 lat dla 568 małżonków, od jednego do 5 lat dla 561, nakoniec wynosił mniéj niż rok dla 27 związków. Długość pożycia nie mogła być otrzymaną dla 24 związków. Pod względem podawanych powodów, podania o rozłączenie dadzą się podzielić na kategorye następujące: z przyczyny złego obchodzenia, nadużyć i ciężkiéj obrazy 2,959, z przyczyny cudzołóstwa kobiéty 147, z przyczyny trzymania przez męża nałożnicy w mieszkaniu małżeńskiém 65, i z przyczyny skazania jednego z małżonków na karę hańbiącą 30 wypadków. Trybunały cywilne wyrzekły rozłączenie małżonków w 2,332 wypadkach, w 282 żądania oddalono, 442 spraw wycofane zostały przez same strony interesowane, po większéj części w skutek pogodzenia się.

Ze statystyki sądowo-karnéj podajemy liczbę *osób skazanych* przez sądy przysięgłych (Jury) w ciągu 1869 roku.

Ogólna liczba skazanych wynosi 3,214, z tych skazano na śmierć . . . . . 18 osób
Do rob. ciężk. na czas nieogr. (à perpétuité). 132 „
„ „ „ oznaczony . 701 „
Na zamknięcie (à réclusion) . . . . . 676 „
Na więzienie na czas przenoszący rok jeden 1,480 „
„ „ na rok jeden albo mniéj . . 207 „

Pomiędzy 18 osobami skazanemi na śmierć znajduje się jedna kobiéta winna dokonania morderstwa i usiłowania podobnego przestępstwa. Z liczby 17 mężczyzn 1 winien był ojcobójstwa, 14 morderstwa i 2 zabójstwa połączonego z kradzieżą. Z całéj liczby 18 skazanych, 12 było powtórnie sądzonych (repris de justice), 7 nie umiało ani czytać ani pisać, 7 umiało niedokładnie, a ledwie 4 miało dosyć wykształcenia by z niego korzystać. Kara śmierci złagodzoną została na ciężkie roboty na czas nieograniczony dla 6, a na dożywotnie zamknięcie dla 2, mających 60 lat skończonych, 10 poniosło karę przez ścięcie.

Ciekawą jest także statystyka *samobójstw*, która daje pewne skazówki o stanie moralnym całéj ludności.

Liczba samobójstw wynosiła w 1868 roku 5,547, w 1869 r. zmniejszyła się na 5,114. Jednakże i ta liczba przenosi średnią liczbę samobójstw dla każdego z trzech poprzedzających okresów pięcioletnich. Liczby te średnie były: 4,661—4,002—3,639. Ledwie przyszłość pokaże, czy liczby z 1869 r. są tylko chwilowém wstrzymaniem ciągłego wzrostu liczebnego samobójstw? czy téż oznaką rzeczywistego zmniejszenia wypadków tego rodzaju?

Pod względem *płci* było pomiędzy samobójcami mężczyzn 4,113 (80%), kobiét 1,001 (20%). Pod względem *wieku* samobójcy dzielą się:

na mających mniéj niż 16 lat 37
„ od 16 do 21 „ 168
„ „ 21 „ 40 „ 1,378
„ „ 40 „ 60 „ 2,052
„ więcéj niż 60 „ 1,432
Wieku nieokreślonego było 47

Widzimy zatém, że chęć do samobójstwa ciągle z wiekiem wzrasta i pomiędzy samobójcami jest najwięcéj osób w wieku najpóźniejszym.

Pod względem *stanu cywilnego* było pomiędzy samobójcami:
w stanie wolnym 1,755
żyjących w małżeństwie mających dzieci . . 1,583
„ „ ale bezdzietnych . . 782
owdowiałych mających dzieci 546
„ bezdzietnych 340
stanu cywilnego nieoznaczonego 108

Pod względem *zamieszkania*:
mieszkańców gmin było 2,742
„ miast „ 2,309
zamieszkania niewiadomego 63

Podług *zajęcia* dadzą się samobójcy podzielić na:

zajętych rolnictwem	1,961
„ przemysłem	1,425
„ handlem	190
„ zajęciami liberalnemi	780
„ usługą osobistą	179
nie mających stałego zajęcia, albo których środki utrzymania pozostały niewiadome	579 (1).

Poszukiwania robione w celu wykrycia *przyczyn samobójstwa* doprowadziły do rezultatów następujących i dały kategorye następujące:

Z przyczyny nędzy	474
„ zgryzot familijnych	571
„ miłości, zazdrości, rozpusty i złego prowadzenia	222
„ opilstwa przypadkowego	133
„ opilstwa nałogowego i ogłupienia (abrutissement)	531
„ dolegliwości rozmaitych	1,089
(z téj liczby z przyczyny dolegliwości fizycznych	591)
„ chorób umysłowych	1,516
Samobójstwa sprawców przestępstw ciężkich	26
Z przyczyn niewiadomych	552.

Widzimy zatém, że przyczynami najczęstszemi samobójstw były choroby umysłowe, dolegliwości rozmaite, szczególniéj fizyczne; potwierdzać to zdaje się przypuszczenie niektórych osób, którzy samobójstwo uważają jako produkt osobnéj choroby umysłowéj, pobudzającéj człowieka do odebrania sobie życia.

(1) Dla należytego zrozumienia tych cyfr, trzebaby oznaczyć stosunek samobójców do cyfr ludności, podzielonéj podług zatrudnień. Gdy jednak potrzebnych do tego materyałów nie znaleźliśmy w ostatnich wykazach, przytaczamy więc cyfry p. Legoyt, sporządzone na rok 1856, które naturalnie mogą posiadać tylko wartość przybliżoną:

Rolnictwo zajmowało osób.	19,064,071	529	4
Przemysł	10,469,961	290	7
Handel	1,632,331	45	3
Zajęcia rozmaite, zostające w związku z poprzedniemi	100,099	2	8
Zajęcia liberalne	1,362,045	37	8
Duchowieństwo wszelkich wyznań	142,705	4	0
Osoby bez zajęcia określonego, lub których zajęcie niewiadome.	3,241,457	90	0
Razem	36,012,669	1000	0

Smutnym objawem społecznym jest rozszerzenie się *opilstwa*. Statystyka francuzka podaje liczby średnie za ostatnie lat 20 śmierci przypadkowych i samobójstw, dokonanych i przytrafiających się w skutek nadużycia trunków alkoholicznych.

Od 1850 do 1854 r.	średnio:	264	śmierci przyp.	227	samobójstw
„ 1855 „ 1859 r.	„	234	„	283	„
„ 1860 „ 1864 r.	„	303	„	390	„
„ 1865 „ 1869 r.	„	504	„	643	„

Porównywając okres pierwszy z ostatnim spostrzegamy, że liczba śmierci przypadkowych podwoiła się, liczba zaś samobójstw nawet się potroiła.

Paryż.

Miasto Paryż jest niby małem państwem w państwie francuskiem i stanowi w systemie zarządu francuzkiego osobną jednostkę przeciwstawianą zwykle całemu państwu. To życie oddzielne i jakby różne od życia reszty Francyi, zawdzięcza miasto swéj ludności, która liczebnie przenosi nie jedno państwo drugorzędne w Europie, jak np. Grecyą, Danią i t. p. Podczas wojny ostatniéj Paryż pokazał, że nienależy go włączać bezwarunkowo do liczby ogólnéj gmin miejskich francuzkich, kiedy bowiem wszędzie Francuzi ustępowali przed wkraczającemi wojskami niemieckiemi, Paryż jeden obronił honor wojskowy francuzki, przytrzymawszy wojska nieprzyjacielskie 4½ miesiąca pod swemi murami. Nakoniec wypadki nieszczęsnéj kómuny Paryzkiéj od 18 marca do 22 maja 1871 roku pokazały, że Paryż jest sercem Francyi, że tam najbardziéj skupiły się wszystkie materyały palne całego kraju i przyszło do piérwszego wybuchu. Ztąd téż Prusy traktowały oddzielnie z Paryżem i nałożywszy na Francyą 5 miliardów kontrybucyi wojennéj, obarczyły osobno Paryż 200 milionami.

Paryż podług obliczenia 1866 roku liczył 1,825,274 ludności. Produkcyjność przemysłowa jego jest bardzo wielką, jak to już poprzednio wspominaliśmy, albowiem w 5 gałęziach produkcyi na 16, Paryż przewyższa całą Francyę wartością swych wyrobów.

Straty które dotknęły to miasto w skutek ostatniéj wojny, są bardzo znaczne, jak to również poprzednio przedstawiliśmy i straty te musiały wpłynąć na zwiększenie budżetu rocznego miasta i jego długu tak stałego jak i bieżącego.

Tak *budżet na 1872 rok* przedstawia liczby następujące:

Dochody zwyczajne i nadzwyczajne	503,589,926	81 fr.
Rozchody „ „	503,589,926	81 „
Z téj liczby ogólnéj na dochody i rozchody nadzwyczajne przypada . .	308,922,903	54 „
Pozostaje zatem na dochody i rozchody zwyczajne	194,667,823	27 „

Z tych summ dosyć znaczną część pochłania *dług miasta*, który podług ostatnich obliczeń wynosi w kapitale 1,630 milionów i potrzebuje rocznie 88,200,000 franków. Z téj summy ogólnéj przypada na dług skonsolidowany miasta w kapitale 1,443,822,315 fr. przy rocznéj wypłacie 80,574,530 franków. Resztę uważać należy jak dług bieżący miasta. Dosyć silnie obarcza budżet miasta *Prefektura policyi.* W budżecie na 1872 rok żądano dla niéj 19,968,801 fr. 22 cent., kredyt 1871 r. wynosił tylko 16,278,722 fr. 82 cent. Jestto zatem powiększenie wynoszące: 3,690,028 fr. 39 cent.

Z téj summy przypada na powiększenie liczby stróżów pokoju (gardiens de la paix) 3,625,855 franków.

Staraliśmy się zapoznać czytelnika z najnowszemi datami statystycznemi, dotyczącemi Francyi, zawartemi w ostatnich ogłoszeniach urzędowych.

Z powyższych wskazówek z łatwością może sobie czytelnik zestawić obraz położenia obecnego Francyi i zrozumieć wielkość jéj sił produkcyjnych i strat poniesionych w skutek ostatniéj wojny 1870—71 roku. Wprawdzie zbyt są to jeszcze świeże wypadki téj wojny, ażeby wszystko odnoszące się do niéj mogło być dokładnie obliczone i do wiadomości publicznéj podane. Jednak z tego co już rząd Rzeczypospolitéj ogłosił, można sobie ułożyć obraz dosyć dokładny. Rząd bowiem, jak dobry gospodarz po poniesionéj klęsce, wziął się do sumiennego obliczenia swych strat, nie starając się ukrywać nic przed narodem; owszem zaczynają mu zarzucać nawet, że umyślnie zwiększa spodziewany deficyt w swych projektach budżetowych, ażeby w danym razie mieć do rozporządzenia większe zasoby finansowe.

Witold Zaleski.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA i ARTYSTYCZNA.

Kobieta grecka, dzieło w dwóch tomach panny Klarysy Bader, uwieńczone przez Akademią Francuzką. Mythy pierwotnych Pelazgów. Helenowie. Życie rodzinne w czasach Homerycznych. Bohaterki Illiady: Helena, Hekuba, Andromaka.— Przekład Franciszka Dmochowskiego.— Ocenienie Mickiewicza. Bohatérka Odyssei: Kamilla, Euriklea, Penelopa. Przekład Cypryana Norwida.—Niewiasta grecka w rodzinie za czasów historycznych. Sparta: Wychowanie Lacedemonki. Ateny: Wychowanie dzieweczek Jońskich. Małżeństwo. Posag. Opieka nad sierotami. Weselne obrzędy. —Niepodległość spartańskich niewiast. Idylla Teokryta: Dyalog Syrakuzanek.—Życie niewiasty ateńskiéj w gyneceum. Obyczaje. Matka spartanka. Matka atenka. Ostatnie rozłączenie małżonków. Płaskorzeźby na grobach.— Typ bohatérek dramatycznych. Eschiles. Trilogia Orestiadas: Klytemnestra, Orest, Eumenidy.— Sofokles. Trilogia: Król Edyp, Edyp w Kolonie, Antygona. Przekład Kazimierza Kaszowskiego. Eurypides: Tragedia Alcesta. Kobieta grecka w dziedzinie literatury i sztuki. Dziewięć muz ziemskich: Safo. Erinna. Telezilla: Tyrteusz niewieści. Mirtis mistrzyni Pindara.—Korynna: współzawodnictwo z Pindarem.—Nossis. Praxilla. Anythe. Moero. Kora: odkrycie sztuki plastycznéj. Malarki. Timoreta. Irena. Lalla z Cyzyku.—Kobiety szkoły filozoficznéj Pythagorasa. Teano. Damo. Listy Teano. Fragmenta filozoficzno moralne Perictione i Phinthys.

Poświęcamy dziś całą kronikę naszą na sprawozdanie z jednego tylko dzieła: bo też to dzieło zasługuje na szczególną uwagę czytelników polskich, a to z nie jednego względu. Najprzód zaleca je w sposób zaszczytny Akademia Francuzka, przyznając jednę z swych wielkich nagród autorce. Co więcéj, samo dzieło powinno zająć czytającą naszę publiczność, jako przedstawiające dokładny i bardzo ciekawy zarys cywilizacyi starożytnych Greków, o tyle, o ile rozwój téj cywilizacyi dotyczy stanowiska kobiety.

Panna Bader stawia nam z kolei przed oczyma boginie i kapłanki czasów mythycznych, bohaterki, Illiady i Odyssei: ukazuje nam pyszne świątynie i posągi, wtajemnicza w igrzyska i obrzę-

dy religijne wyprawiane w Grecyi na cześć bogiń; daje nam poznać niewiasty w rodzinie i społeczeństwie za czasów historycznych, określa idealne typy kobiet, stworzone geniuszem wielkich dramaturgów, przedstawia słynne postacie, unieśmiertelnione w dziejach, wielkie poetki błyszczące w literaturze, artystki wsławione w sztuce malarskiéj, nakoniec filozofki szkoły Pythagoresa. Sama ta rozmaitość przedmiotów, okazuje wielkie bogactwo erudycyi, w ukoronowaném przez Akademią dziele.

Praca ta ma jeszcze za sobą jednę dodatnią stronę, nadzwyczaj ważną, przy dzisiejszem kierunku umysłów. Gruby realizm który opanował literaturę wszystkich ludów Europy, potrzebuje koniecznie oddziaływania, a oprócz religii, cóż silniéj oddziaływać może przeciw temu tak niebezpiecznemu kierunkowi, jeśli nie poznanie estetycznego piękna, którego starożytna Grecya pozostanie na zawsze najobfitszém źródłem.

Owóż to powody które skłoniły nas do poświęcenia całéj kroniki, znakomitéj publikacyi panny Bader.

Trzecia to już praca autorki: wszystkie trzy do jednego skierowane celu, wypełniają plan jeden. Pierwsza p. t. *Kobieta w Indyi*, poświęconą była zbadaniu całego plemienia aryjskiego, w najdawniejszych jego źródłach. Panna Bader przyniosła nowe dowody, stwierdzające tę prawdę, że mimo przebiegu kilku tysięcy lat, w ciągu których Aryowie azyatyccy żyli rozłączeni od braci swoich w Europie, mimo różnych wpływów tak jeograficznych jak historycznych, obie te gruppy zachowały przecież też same cechy, w głównych pobudkach życia ich dziejowego. Drugie dzieło autorki *Kobieta Biblijna*, przypomniało wpływ tradycyj religijnych, których chrystyanizm stał się dopełnieniem. Dwie tamte prace, równie jak dzisiejsza o kobiecie greckiéj, i rozpoczęta już nowa o kobiecie rzymskiéj, mają stanowić wstęp do wielkiego dzieła poświęconego badaniom nad *Kobietą Francuzką* od czasów najstarożytniejszych, kiedy dzisiejsi Francuzi byli jeszcze Gallami.

Dzieło o kobiecie greckiej w dwóch obszernych tomach, pochłonęło pięć lat wytrwałéj pracy, ale też wzbogaciło liczbę dzieł źródłowych w literaturze francuzkiéj. Autorka nie poprzestając na wystudyowaniu arcydzieł greckich w oryginale, na odczytaniu licznych prac, nowych i dawniejszych autorów, w językach francuzkim, niemieckim, angielskim i włoskim, przełożyła sama ważny rękopism, nigdy dotąd nietłumaczony na żaden z żywych języków, obejmujący listy i moralno-filozoficzne rozprawy kobiet ze szkoły pythagorejskiéj. Dla erudytów, najważniejsza to część dzieła panny Bader.

I.

Autorka zapuszcza się najprzód w głęboką starożytność; ukazuje nam piérwszych Aryów, jak osiedleni na półwyspie który

później nazwać miano Grecyą, zachowują w mytach religijnych pamięć pierwotnéj kolebki. Pelazgowie zdaniem autorki, to pierwsi przybysze z Iranu, to gałąź zaledwie oderwana od pnia ojczystego; ztąd mythy ich potworne, tajemnicze, straszne, dalekie jeszcze od idealnych form, jakie nadali im później Helenowie.

I autorka prowadzi nas kolejno to w tajemnicze góry Epiru, pomiędzy dęby święte, gdzie kapłanki Dodony wsłuchując się w poszczęk spiżu, w plusk wody i szum liści kołysanych wiatrem, głoszą śmiertelnym wiekuiste wyroki. To znów na górze Elajum ukazuje nam ciemną grotę, gdzie z pogwałceniem praw natury, topor Pelazga wyciosał kloc w postaci niewieściéj, z końską głową, z grzywą najeżoną gadami.

Ośmielimy się nasunąć tu uwagę, czy ta właśnie potworność, przypominająca mythy fińskiéj Kalewali, nie jest raczéj świadectwem, że Pelazgowie nie należeli bynajmniéj do plemienia Aryów, ale że byli fińskimi tubylcami, nad którymi zawładnąć mieli Helenowie, promieniste syny Aryów.

Od Pelazgów przenosi nas autorka w ten wspaniały panteon Heleński, w którym kobieta jak wiadomo tak przeważną odgrywa rolę, gdzie boginie zasiadają z bogami na wyżynach Olympu, zkąd czuwają nad dolą śmiertelnych, mieszają się czynnie w ich sprawy, otaczają opieką wierne ludy, jak Junona Acheje, słonią puklerzem ulubione miasta, jak Pallada Ateny.

Czas nie pozwala nam zatrzymywać się w tym panteonie, skreślonym uroczo poetyczném piórem panny Bader. Zostawiamy więc muzy na Helikonie, nereidy w łonie oceanu, gracye na cypryjskich wybrzeżach, a z dziedzin eterycznych zstępujemy na ziemię, pod domowy cień starożytnych mieszkańców Hellady.

Autorka idzie w ślad za Homerem. Gdzież znaleźć pewniejszego przewodnika? Z jakimże wdziękiem ślepy wieszcz wtajemnicza nas w życie greckiéj dziewicy! Ukazuje nam ją małą jeszcze dzieweczką,

Która za matki śladem drobnym krokiem goni,
Chwyta ją za kraj szaty i rzewne łzy roni;
I twarzą jéj przesyła chęci niemowlęce,
Aż ją zmiękczona matka podejmie na ręce (1).

Widzimy ją potém, jak wyrosła już z dziecka, jak odpłacając rodzicom podjęte około niéj trudy, podziela ich prace domowe:

Gdy w czasie winobrania z głośnemi okrzyki
Niosą ładowne słodkim owocem koszyki;
Wśród dziewic młodzian trącać w gitarę uczony
Gra, sam sobie zgodnemi przynucając tony,

(1) Ten urywek i wszystkie inne następne z *Illiady*, są przekładu Franciszka Dmochowskiego.

Młodzież idzie i takiéj wesołości rada,
W takt i nogą i wdzięczną pieśnią odpowiada.

Widzimy potém dziewicę pląsającą na godach, strojną w świąteczne szaty, uwieńczoną kwiatami.

Skaczą chłopcy i dziewy wziąwszy się za ręce,
Lekka zasłona wdzięki pokrywa dziewczęce,
Na chłopcach zaś bogatsza zawieszona odzież:
Obojéj płci z urody celująca młodzież
Dziewczęta głowy w piękne ustroiły wieńce,
. . . . . Mają pałasze młodzieńce,
Raz w około szybkiemi kręcą kołowroty,
To znowu się mieszając wśród wdzięcznéj ochoty,
W tysiącznych kształtach pląsy lekkim wiodą skokiem:
Liczny lud stoi miłym zachwycon widokiem.

Ale nie na samych pląsach wyrabiały się małżonki i matki bohaterów. Krzepkie to pokolenie potrzebowało mężnych i silnych niewiast. Zawczasu też zaprawiano dzieweczkę do życia rzeczywistego. Córy nawet królewskie wychowywane były na dobre gospodynie. Podczas kiedy matka rodziny czuwała pilnie nad ogniskiem, młodéj córce powierzano zajęcia po za obrębem domu. Piękna Nauzika, córa króla Aleinousa, prała u rzeki bieliznę z towarzyszkami.

Słodko płynęły dziewczęcia dni pod rodzicielskim dachem, przy boku matki; ale też nowa otwiera się dla niéj doba: dziewica ma zostać małżonką.

Hezyod radzi mężowi aby wprowadził do domu swego żonę młodą i czystych obyczajów, któraby umiała zrozumieć i spełniać surowe życia obowiązki; zaleca przedewszystkiém, aby nie szukał daleko niewiasty, któréj cześć stanie się jego cześcią. Potrzeba aby niewinność dziewicy dała mu rękojmię cnót małżonki. Wówczas to żona stanie się *darem bogów*.

Ojciec jako głowa rodziny, rozporządzał dowolnie ręką córki; weselne gody odbywały się z wielką uroczystością, ale najważniejszym aktem przy obrzędzie, był odjazd dziewicy do domu młodego małżonka. Pieśń godowa, złączona z brzmieniem lir i podźwiękiem fletni, wiodła weselny pochód; a przy jasnym blasku pochodni, któremi niewolnicy oświecali drogę, widać było toczący się wóz małżonków, poprzedzon orszakiem cudnych niewiast, otoczony gronem rozpląsanéj młodzi.

Następowała uczta: wyprawiał ją pan młody, dla przyjaciół, krewnych i sąsiadów. Podczas uczty Aoid śpiewał pieśń obrzędową, przygrywając na lutni. Taki obraz mamy w Odyssei:

Stół w szerokiéj komnacie zasiadła dokoła
Sławnego Menelaja drużyna wesoła,

A wśród niéj boski Aoid śpiewa pieśń godową,
I dźwiękiem lutni wieszcze swe przeplata słowo;
A przy gędźbie ochota kiedy w sercach rośnie,
W pośród nich dwaj młodziany pląsają radośnie.

Niewiasta zamężna miała prawo rozmawiać z gościem, gdy ten przybywał do jéj domu. Kiedy jednak szła sama w tłumy ludzi, pokrywała się cała śnieżystą zasłoną.

Mąż dumny z towarzyszki, szczęśliwy obok niéj, rad był otoczyć ją poszanowaniem świata i ściągnąć na nią błogosławieństwo bogów. Częstokroć nawet ulegał radom żony cnotliwéj.

Gdy się wybiera na daleką wyprawę, z żalem opuszcza małżonkę, ściga ją tęsknią myślą, a skoro bój skończony, pospiesza co żywo do domu, by odetchnąć przy niéj po trudach. Któż nie wie jak Ulyses przez morza i lądy przedzierał się do wiernéj Penelopy.

Matka znajduje zwykle w synach tęż miłość, jaką ma dla niéj małżonek. Synowie pomną że karmiła ich mlékiem własnéj piersi, odziewała płótnem własną utkaném ręką, że *zganiała muchę z ich kołyski*, jak się cudnie wyraża Homer.

Gdy matka owdowieje, syn starszy wchodzi w prawa ojca, ma nad nią nieograniczoną władzę. Wolno jéj wprawdzie usunąć się od téj opieki, wracając z posagiem do ojca lub do krewnych i wchodząc w nowe śluby; jeżeli jednak woli pozostać w domu wierna pamięci zmarłego, musi zrzec się zupełnie własnéj woli, a poddać woli syna. Patrzmy oto jak ów Telemak osłaniany tylokrotnie tarczą Minerwy, napomina surowo matkę, że się poważyła wyrzec słowo na radzie mężów.

Powróć w progi, gdzie cicho igła się nawleka,
Krosna są owdzie, kłębek niecierpliwie czeka,
I rozkazuj by panny były ci powolne.
Co do rozpraw, te jako doniosłe i wolne
Męzkim przystają duchom choć niejednakowo:
Najpierw mnie, bo jestem tu panem i głową.

To Penelopa słysząc w sercu zatrzymała,
Zacnością słów przejęta—i poszła jak stała (1).

Królowa Itaki okazuje uległość synowi, gdyż obyczaje greckie nakazywały wdowie posłuszeństwo. Ale kiedy Telemak, uchybiając prawom gościnności pozwolił znieważyć obcego starca w domu Ulisesowym, matka wchodzi znów w prawa swoje i gromi go surowo.

Takie to rysy obyczajów greckich w epoce mythycznéj, wybrała autorka z Illiady i Odyssei. Niepoprzestając na tém, dla

(1) Przekład Cypryana Norwida, dotąd niedrukowany.

lepszego określenia rzeczy, daje nam streszczony obraz dwóch nieśmiertelnych arcydzieł Homera, uwydatniając szczególniéj ustępy, w których bohatérki obu epopei występują na scenę. Nie możemy rozszerzać się nad tym przedmiotem, powtarzamy tylko pełne wytrawnego sądu uwagi panny Bader, określające znaczenie mythycznéj kobiety greckiéj.

„Podziwiamy wysokie uczucie moralności—mówi autorka—w obrazie Heleny, jak go nakreślił Homer. W czasach starożytnych nie nauczono się jeszcze przystrajać namiętność złudnym pozorem cnoty. Kobieta która zboczyła z drogi powinności, czuła się tam upokorzoną w własnych oczach; nie usprawiedliwia się téż bynajmniéj potęgą uczucia, silniejszą nad jéj wolę. Hańba nie zowie się tam ofiarą.“

Homer nie tłumaczy Heleny tym urokiem nadziemskiéj piękności, co ją równał nieśmiertelnym. Jakimże sposobem czyni on kobietę przestępną, tak zajmującą w oczach naszych? Oto że ją otacza, nie ponętą słabości, lecz urokiem żalu za popełnioną winę.

Długą i ciężką boleścią opłaciła błąd swój Helena. Pamięć znieważonego małżonka, opuszczonéj córki, szlachetnych braci, na których spada jéj wstyd, pamięć dalekiéj ojczyzny, ściga ją w nowéj siedzibie. Ale sroższy dręczy ją wyrzut. Z jéj winy toczono krew, przez nią ginęli tysiącami Grecy i Trojanie, to téż stojąc nad trupem Hektora najwierniejszego przyjaciela swego, użala się gorzko nad swym losem; jéj było raczéj umrzeć!

Hektorze! z braci męża najwięcéj mi luby!
Ach! czemum nie zginęła pierwéj nieszczęśliwa!
Dwudziesty rok tu mego pobytu upływa,
Odkąd, gdym się ważyła ojczyznę porzucić.
Nigdy mię przykrem słowem nie chciałeś zasmucić,
Owszem, kiedy bratowe moje albo siostry
Albo świekra czyniła jakiś wyrzut ostry,
Tyś mnie zawsze zasłaniał!.....
Płacząc nad tobą, siebię nieszczęśliwa płaczę!
Już takiego obrońcy w Troi nie obaczę.
Dzisiaj bez przyjaciela, wzgardzona, obrzydła,
Będę u wszystkich nakształt jakiegoś straszydła!
Tak narzeka i z oczu jéj strumień łez ciecze,
Płacze z nią cała Troja.

Słowa te piękne malują pokorę Heleny, określają niemniéj położenie jéj w domu Pryama. Czując się winną, przemawia do wszystkich słodko, trwożliwie, z poszanowaniem. Dumna tylko i pogardliwa w obec tego, który ją zgubił. Jego nikczemność najsroższą dla niéj karą. Z królewską powagą, nakazuje mu po klęsce wrócić pod mury Troi, by odzyskać cześć utraconą.

O ile gardzi Parysem, o tyle szanuje pamięć pierwszego małżonka. Menelaus ze swéj strony pewien, że uprowadzona gwałtem żona pozostała mu w duszy wierną i opłakuje zerwane z nim śluby. Tym sposobem Homer przygotowywa zwolna chwilę, kiedy królowa Sparty zasiędzie znów przy opuszczoném ognisku.

Z większym urokiem jeszcze maluje Homer postacie cnotliwych niewiast. Hekuba i Andromaka świecą w Illiadzie jak dwie przeczyste gwiazdy. Hekuba to typ królewskiéj matrony. Wierna towarzyszka Pryama, przychodzi mu z poradą w każdéj sprawie. Matka dziewiętnastu synów, ogarnia wszystkich sercem macierzyńskiém, lecz każdego z nich ocenia w miarę zasług. Piękność Parysa niewiele u niéj znaczy. Hektor całą jéj otuchą i chlubą. Pierś bohaterska syna, to w jéj oczach najbezpieczniejszy wał Illionu.

Straszna téż boleść matki, gdy widzi tego syna starzanego we krwi, powalonego dzidą Achilesową. Staje nad trupem, zdziera zawicie z głowy, targa siwy włos i zawodzi żałośnie, a jęki jéj rozlegają się o mury Troi.

Hekuba jęczy, ciężki jęk przerywa łkanie:
Zacóż po tobie wlokę te życia ostatki!
Hektorze mój, ty byłeś ozdobą twéj matki,
Tyś był obrońcą Trojan, zasłoną ich progów,
I ztąd cię szanowali jak jednego z bogów.
Żyjący, byłbyś jeszcze chlubą twéj krainie:
Już cię niema Hektorze! wszystko z tobą ginie!

Żal matki dochodzi do najwyższéj rozpaczy, kiedy stary Pryam aby ocalić zwłoki Hektora od zniewagi, wybiéra się do floty greckiéj.

Maszli twych mężnych synów oglądać morderce.
Ach! jeśli to uczynisz, żelazno masz serce!

Imie Achilesa budzi w niej zapamiętałą wściekłość; to już nie kobieta, lecz chciwa krwi wilczyca.

Obym się mogła pomścić na jego wątrobie,
Obym ją w zębach gryzła!

Ale w téjże chwili mija szał: wilczyca staje się znów Trojanką, matka chlubi się synem bohaterem.

Jednak Hektor nikczemnie życia nie postradał...
Za Trojan, za Trojanki, stanął jak mąż dzielny,
I nie zbladł, kiedy w piersi przyjął cios śmiertelny.

Zatrzymamy się jeszcze przed najcudniejszą bohaterką Illiady, Andromaką. Nigdy Homer nie okazał się wznioślejszym, jak w chwili gdy stawia nam przed oczy małżonkę Hektora.

Legł już wielki obrońca Troi. Andromaka nie wie co się dzieje z drogim jéj mężem.

Tkała płótno, na którém sztuką niedościgłą
Cudne obrazy lekką wyszywała igłą,
Sługi naczynie z wodą grzały w jéj pokoju,
By miał gotową łaźnię mąż powrócon z boju.
Wtém z wieży ucho smutne uderzyły jęki,
Drgnęła, i nagle igła wypadła z jéj ręki.
Zmięszana, obłąkana, spieszy na ulicę,
Serce bije, za panią dążą służebnice.
Gdy na wieżę w tłum ludzi spiesznym wbiegła krokiem,
Z muru na wszystkie strony trwożném wiedzie okiem;
Postrzega wreszcie męża, za wozem ciągnięty
Niegodnie! Lecą z trupem konie na okręty!
Na to jéj czarnym cieniem oczy noc powlekła:
Upadła!....

Siostry i służebne trzeźwią omdlałą. Andromaka otwiera oczy:

Gdy zmysły odzyskała, płacze roztkliwiona,
Nad trupem nieszczęśliwym, nieszczęśliwa żona.
„Biedna ja, biedny Hektor, okrutne niebiosy,
Dla obojga jednakie zgotowały losy.
Nad rodem naszym gwiazda świeciła taż sama,
Gdym w Tebach na świat przyszła, ty w domu Pryama.
Mężu! ty już w podziemne idziesz śmierci kraje,
A w płaczu wiecznym żona po tobie zostaje.

Lecz boleść macierzyńska na myśl o dziecku przemaga jeszcze w sercu żałosnéj małżonki. Andromaka płacze nad synem. Niedola sieroctwa staje nagle w jéj oczach.

Nie będziecie wy sobie pomocą wzajemną,
Ni ty jego młodości, ni on twéj siwiźnie!
Niech się nawet z téj wojny okrutnéj wyśliźnie,
W iluż się sprawach, w ilu niedolach ubiedzi!
Dobro jego łakomi wydrą mu sąsiedzi.
Ach! na cóż nie wystawia dziecka stan sierocy!
U przyjaciół ojcowskich wzywając pomocy,
Idzie, z twarzą spuszczoną, z mokremi oczyma:
Tego za płaszcz, drugiego za kraj szaty trzyma,
Ktoś przytknie do ust czarę, gdy posłyszy skargi,
Ale go nie ochłodzi, zwilży tylko wargi.

Drugi, co pod rodziców cieniem szczęsny rośnie,
Uderzy go rękoma, słowem zelży sprośnie:
Pójdź precz! rzeknie, twój ojciec nie ucztuje z nami!
Przyjdzie do matki wdowy mój syn zlany łzami;
Dawniéj takiéj obeldze nigdy nie podpadał,
Szpik czysty na kolanach swego ojca jadał,
A gdy sen przerwał jego igraszki dziecięce,
Wtedy troskliwa mamka brała go na ręce,
Położyła w kolebce miękkim słanéj puchem
I roskosz snu jéj lekkim pomnażała ruchem.
Dziś, cierpienie i nędza dla niego w podziale:
Tak płakała, niewiasty dziliły jéj żale.

Wszystkie powyższe ustępy dajemy z przekładu Franciszka Dmochowskiego. Piękny to przekład zaprawdę, dlaczegóż tak u nas zapomniany? czemu spoczywa na pułkach bibliotek, jak ona królewna uśpiona w lesie, zaklętém czarodzieja słowem. I jakiż to czarodziéj sprowadził ten sen półwiekowy? Jużciż zapewne nie Mickiewicz! Alboż on nie powiedział, i to w czasach silnego podrażnienia na warszawską krytykę, że: jako tłumacz poezyi Franciszek Dmochowski nie małe położył w literaturze zasługi, że talent jego zachował śmiałość i życie, że zwyczajem Stanisławowskich pisarzy znał on jeszcze dawną Zygmuntowską literaturę, czuł i cenił śmiałość, bogactwo, rozmaitość stylu Zygmuntowskiéj epoki, że we własnych pismach, pracą i usilnością doskonalił styl swój, z razu ciężki i twardy; że w ostatnich zwłaszcza pieśniach Illiady wiersze harmonijne, w wyrażeniach ścisłe nie zamieniają się w rymowaną prozę“ (1).

Jeśli Mickiewicz tak ocenia tłumacza Homera, jakże wysoko podnosi on twórczość geniuszu greckiego; czém jest w pojęciu jego klassycyzm grecki? oto „wypadkiem równowagi pomiędzy wyobraźnią, uczuciem i rozsądkiem.“ „Poeci greccy — dodaje on — w najświetniejszym okresie swojéj sztuki, zawsze śpiewali dla gminu: pienia ich były składem uczuć, mniemań, pamiątek narodowych, ozdobionych zmyśleniem i oddaniem przyjemném; wpływały więc silnie na utrzymanie i kształcenie charakteru narodowego“ (2).

Nie na klasycyzm grecki powstaje zatem wielki nasz poeta, ale raczéj na wprowadzony z klasycyzmu „*konwencyonalizm* szkoły francuzkiéj XVII wieku,“ gdzie każdy poeta musiał trzymać w karbach swój talent, miarkować wyobraźnią i uczucie, bo wszelki zapęd, wszelkie gwałtowne uniesienie obrażało przyzwoitość dworską.“ Pod wpływem dworskich więzów, bladła wyobraźnia, stygło uczucie, a tylko „usta poetów powtarzały to, co rzeczywiście czuły serca poetów greckich“ (3).

(1) Mickiewicz, O krytykach warszawskich.
(2) Mickiewicz, O poezyi romantycznéj.
(3) Mickiewicz, Tamże.

Nasza romantyczna szkoła przekroczyła granice zakreślone przez wielkiego jéj twórcę. Namiętne spory dwóch stronnictw, rozjątrzyły umysły: potępiono słusznie *konwencyonalizm*, a z nim razem rzucono najniesłuszniéj klątwę na klassycyzm grecki, jak gdyby wielki ojciec miał odpowiadać za niedołęztwo wyrodzonych dzieci swoich? Oto powód, dlaczego Homer butwieje u nas na pułkach bibliotek: dlaczego obecne pokolenie poetów tak mało czerpie w tym wiecznie żywym zdroju. Czas nam zaprawdę otrząsnąć się z tych przesądów.

I my wychowani pod wpływem powszechnych uprzedzeń nie dawno, wyznajemy ze wstydem, odczytaliśmy całego Homera. Jakiż to szeroki widnokrąg otworzył przed nami ten czarodziéj! Czy ślepy wieszcz był osobą, czy zbiorowym geniuszem narodu nie wiemy, nie ulega przecież wątpliwości, że był i jest słońcem, z którego wieki czerpały promienne poezye, i wieki czerpać je będą. Wszystkie wielkie typy stworzone geniuszem różnych czasów i ludów europejskich, wszystkie Eneasze, Cydy, Rolandy, Igory, Zygfrydy i Godfrydy, a może nawet Lary i Walenrody, mają prototypy swoje w Achilesach, Ajaxach, Ulisesach lub Hektorach wiecznego piewcy Ilionu. Nie ubliża to wcale samoistnéj twórczości wielkich poetów: świadczy tylko o jedności geniuszu ludów europejskich, dla których Grecya była i jest gwiazdą przewodnią.

Powróćmy do naszéj autorki. Po Illiadzie przedstawia w treści Odysseją, ukazuje nam po jednéj, bohaterki cudnego poematu. Widzimy tu słodką Nauzikę którą Homer porównywa do długowłosej palmy. Nic piękniejszego jak ta córa króla Alcinousa zajęta praniem bielizny z towarzyszkami; przytaczamy ten ustęp, przełożony piórem Cypryana Norwida z najdokładniejszą wiernością i prostotą godną oryginału. Przekład ten nie był dotąd drukowany, zawdzięczamy go uprzejmości autora.

To Alcinous rzekłszy, na sługi zawoła,
Którzy wraz rozkaz pełniąc, naprzód wiodą koła
Wozu bystre, a potém muły i takowe
Zakładają w uprzęgi do jazdy gotowe.
Zaraz dziewczę Najzika z izby swojéj zbieży,
Niesie bieliznę świetną i co doń należy,
I wszystko to na gładkie układa siedzenia.
Matka jéj kosz podawa, smaczne w nim jedzenia.
I pieczeń zimną, nadto ona jeszcze niesie
Ulr, szyty z koziéj skóry, który winem dmie się,
I gdy już dziewczę na wóz skoczyło, dołącza
Flaszkę złotą, co miękki olejek wysącza,
By płeć swoją namaścić czém miała dziewczyna.
Najzika ugle bierze i bicz i zacina,
Ażeby prędko jechać ze swemi pannami,
Służebnemi, i z całym sprzętem swym, mułami

Których stąpanie echo powtarza dalekie,
Jadąc tak przybywają niebawem nad rzekę.
I w miejscu pięknem, gdzie są wygodne bystrzany
(W których może być przedmiot najmniéj czysty prany)
Stanąwszy, panny najprzód gdy wyprzęgły muły,
Odgoniły je, aby złotą trawę żuły
Brzegiem rzeki, co krętą murawę przerzyna:
Potém bieliznę z wozu dziewczynie, dziewczyna
W rękę kładzie, aż wszystko zebrawszy starannie
Wniosły do głębi, na dno tłocząc, i jak w wannie
Stopami swemi miesząc te rzeczy do piasku,
Każda coraz, z własnego rada wynalazku.
Aż skoro doszło pranie do tego wytworu,
Że ani cieniu plamy na rzeczach ubioru,
Dopiero je te panny starownie zebrały
Uściłając na piasek spłukany i biały,
Gdzie wszystek zwir już słone obmyły pierw fale,
Z szumem parte przeciwko brzegowi na skale.
Dziewice zaś kąpielą całe orzeźwione
Namaściły olejkiem włos i zwiały w stronę.
I wieczerzać usiadły na darni nad rzeką.
Schło zaś, co prane było w słońcu niedaleko,
Aż Najzika i poczet jéj dostawszy siły,
Wstały i z włosów wstążki wszystkie odrzuciły,
I poczęły grać w piłkę .... tą zaś, co chór wiedzie,
Rytm mierzącą taneczny śpiewaniem na przedzie
Była Najzika....
Rzekłbyś, że nie jest inaczéj
Dianna sama, skoro strzałę ciskać raczy
Na Erimancie albo urwistym Tajgecie,
Tropiąc dzika lub sarnę posuwistą w lecie.
Gdy serca jéj otuchę Nymfy polne czynią
Córki bozkie! radośnie pląsając z boginią.
Lecz ona je przechodzi więcéj o pół czoła
Tak, że ją wciąż odpoznasz chociaż, do około
Wszystkie piękne, choć okiem gdzie skłonisz.... nawyka,
Lecz ją odpoznasz zawsze....
Tak była Najzika!

Piękna niemniéj postać Euriklei, staréj niewolnicy, która wykarmiła Ulisesa własném mlekiem. Eurykleja przyrosła do ogniska panów swoich, wyniańczyła dwa ich pokolenia, do każdego z nich mówi, „moje dziecko,“ królowę zowie córką. To nie sługa, ale raczéj krewna, przyjaciołka. Jest ona prawem ramieniem swojéj pani, najwierniejszą jéj radą: podziela jéj trudy, jéj tęsknotę, jéj łzy i jéj radość.

Ale jak Andromaka w Iliadzie, tak w Odysei główną bohaterką jest Penelopa, najwyższy ideał mądréj i mężnéj niewiasty. Przy-

wiązana do męża duszą całą, Penelopa ocenia szczególniéj w Ulisesie charakter szlachetny i niezłomny. Miłość jéj oparta na szacunku i uznaniu jego wysokich zalet. Wśród gorących łez, które wylewa za nim, chlubi się tryumfami poległego w mniemaniu jéj bohatera, chwała jego nie jestże najwyższą jéj chwałą?

Spokojna i poważna w obec natrętnych zalotników, odrzuca pogardliwie ich hołdy, wymawia im surowo, że znieważają dom nieobecnego, że niszczą jego mienie. Ale skoro dowiaduje się o zamachu uknutym na życie syna, uniesiona słusznym gniewem, wyrzuca im w oczy nikczemność, nakazuje upamiętanie.

A kiedy przybywa w końcu ten mąż tak gorzko opłakiwany, nie rzuca się w jego objęcie, lęka się podstępu, nie śmie własnym dowierzać oczom.

Przytaczamy ustęp, w którym Penelopa opowiada podróżnemu starcowi długoletnią żałobę serca swego, nie poznając w przybyłym Ulisesa.

Roztropna Penelopa w te słowa odpowie:
Słuchaj cudzy człowieku, w dniu kiedy Argowie
Z Odysejem na morskie puścili się wody
Bogi zdarły mi z lica blask dawnéj urody!
Gdyby wrócił i znowu wziął mnie pod swe prawa,
Przy nim piękniéjby jeszcze wzrosła moja sława:
Dziś ja żałobna płaczę, a Dajmon złowrogi
Przygniótł mnie plag brzemieniem. Oto w moje progi
Tłumnie się nie proszone garną zalotniki:
Z leśnéj wyspy Zakhintos, z Somo i Duliki,
Ze skał Itaki nawet! zuchwalce bez sromu
Łupią cały dobytek królewskiego domu.
Ja nie dbam o przybyszów, ich głos mnie nie wzruszy,
Nad moim Odysejem płaczę w głębi duszy.
Oni chcą ślub przyspieszyć, a ja umysł silę
Jakby zręcznym wykrętem oddalić tę chwilę.
Bóstwo dało mi radę, myśl ją moja schwyci:
W méj komnacie na krosna lniane snuję nici;
Rzeknę do zalotników:
Słuchacież młodziany!
Gdy zmarł boski Odysej, mój mąż ukochany,
Przestańcież mnie dopóty nalegać o słowo,
Aż utkam w méj komnacie tę płachtę grobową.
Bohaterskie Laerta ciało nią obwinę,
Gdy Moira mu oczy zamknie w złą godzinę.
By niewiasty Achejskie nie rzekły mi kiedy,
Że ten mąż co z bogactwa, nim przyszedł do biedy,
Posiadał na Itace dostatków tak wiele,
W grób zestąpił bez płachty grobowéj na ciele.
Tak rzekłam, i uwierzył ich umysł wspaniały,
Jam odtąd wielkie płótno tkała przez dzień biały,

A nocą gdy pochodnie świeciły mi jasno,
Schylona po nad krosnem prułam tkankę własną.
I tak całe trzy lata dzień za dniem się toczy,
A podstępu Achejów nie dostrzegły oczy;
Ale nadszedł rok czwarty: dnie, miesiące biegą,
Me sługi psim językiem same ich ostrzegą.
Schwycili na uczynku, acz łzawa i smutna
Pod groźbą, wbrew mój woli, dokończyłam płótna.
A teraz, kiedy chybił ten sposób ostatni,
Oni znów nalegają: jak mi wyjść z téj matni?
Ten i ów do małżeństwa nakłania mnie krewny,
A syn się niecierpliwi i pogląda gniewny
Jak przybysze chudobę szarpią jego całą.
Wzrosł na męża, Zeus wielką przyodział go chwałą.
Lecz ty opowiedz starcze dzieje twego rodu,
Gdzie twój dom? jak się zowiesz? gdzieś chadzał za młodu:
Bo przecież jak o dziadach stare wieści brzmiały,
Nie wyszedłeś zapewne z dębu ni ze skały?

Starzec długo opowiada bajeczną swoję genealogią. Mieni się Aitonem, bratem Idomeneja sławnego króla Krety. Prawi jak przed laty wielu, podejmował w grodzie swoim boskiego Odyseja, gdy ten spieszył pod mury Ilionu.

Skoro przybył do miasta, kołacze w me progi,
Pyta gdzie Idomenes sercu jego drogi,
Lecz Eon po dziesięć kroć jawi się i zbiega,
Odkąd pchnął Idomenes swe nawy od brzega,
Ipo szerokiém morzu pośpiesza do Troi.
Ja miłego podjąłem gościa jak przystoi,
Obdarzam go sowicie z Achejów drużyną,
Daję opasłe woły, i mąkę i wino,
Karmię hojnie, na niczém nie zbywa nikomu.
Dwanaście dni Acheje gościli w mym domu,
Bo w rozhukane wały Boreasz dął srodze,
Zbudził się jakiś Dajmon, by wstrzymać ich w drodze.
W dniu trzynastym wiatr ustał, znów cisza na fali
Odyséj wsiadł na okręt i popłynął daléj.

Każde słowo starca porusza do gruntu serce Penelopy, słucha go z wytężoną uwagą:

Tak mówi, kłamliwemi słowy zmysł jéj mami,
A Penelopa słucha, zalewa się łzami.
Jak on śnieg co pod słońcem w krople się rozpryska,
Nim zasili na nowo wyschłe rzek łożyska,
Tak łzy potokiem płyną po licu matrony.
Płacze za Odysejem, on widzi łzy żony.

Ale męża źrenice łzami nie pocieką.
Jak z rogu lub żelaza, nie drgną pod powieką,
Łzy wstrzymała roztropność....

Przepraszając czytelników naszych, szczególnie zaś grekofilów, za nasz zbyt zuchwały, a nie dość zapewne wierny przekład, opuszczamy z żalem Penelopę i Homera, i bohaterskie wieki, a przenosimy się z autorką w historyczne czasy Hellady.

II

Badając kobietę grecką we wszystkich krajach Hellady, panna Bader z szczególną uwagą przygląda jéj się w dwóch typowych społeczeństwach, tak odrębnych od siebie: Doryckiem i Jońskiem.

Kobieta w Sparcie stała na równi z mężem; w Atenach zaś u Jończyków owianych wpływem Wschodu, zajmowała podrzędne stanowisko. W każdém z tych miast, wychowanie dziewcząt odpowiadało przyjętym obyczajom.

Prawodawca spartański chciał przygotować w dziewicy przyszłą matkę: zobaczmy jak Likurg wziął się do dzieła. Jakąż to matronę przysposobi genialny mąż, który stworzył społeczeństwo Lacedemońskie, ów lud arystokratyczny a ubogi, gardzący przemysłem i rolą, a oddany wyłącznie gimnastycznym ćwiczeniom ciała, ów lud prosty, niechętny sztukom pięknym i retoryce, zakochany tylko w rzemiośle wojskowem i bohaterskich tryumfach? Z jakiéjże to niewiasty ma się zrodzić syn, który od dziecka nie zna słodyczy dachu rodzicielskiego, zrzecze się własnéj osobistości, a stanie wyłączną własnością państwa?

Likurg chce, aby młoda dziewica lacedemońska hartowała siły w igrzyskach, władała dzielnie tarczą i dzirytem. W odzieży jéj nic nie ma tamować krzepkiego rozrostu ciała. Okryciem jéj całém prosta wełniana tunika, zapięta na ramieniu, rozcięta z lewéj strony, sięgająca ledwie do kolan.

Dziewczyna nie potrzebuje unikać męzkiego wzroku, czy to podczas gimnastycznych zapasów z towarzyszkami, czy też gdy spieszy na obrzęd religijny wozem, wykutym w kształcie gryfa, jelenia albo kozła.

Chóry dziewcząt zwane Partenie odgrywały dyalogi pod okiem mężczyzn. Dziewice śpiewały w obec króla pochwalne hymny na cześć tryumfatorów, lub złośliwą pieśnią wyszydzały tchórzliwą młodzież. Była to najsroższa kara dla przestępnych.

Wielką wadą konstytucyi lacedemońskiéj—uważa słusznie autorka—było zapoznanie wiekuistych praw, które naznaczają każdéj istocie stworzonéj, właściwą sobie rolę w harmonii świata. Mąż przeznaczon do zapasów, powinien odbierać wychowanie publiczne, sposobiące go do życia obywatelskiego; kobiéta, któréj prze-

znaczeniem żyć w domu, powinna brać wychowanie w kole rodziny.

Przenieśmy się teraz do Aten. Skoro w domu przyszedł na świat chłopiec, zawieszano na drzwiach wieniec oliwny, godło rolniczej pracy, znak intellektualnych tryumfów; jeśli dziewczyna, zawieszano pieluchy, godło macierzyństwa. Całe życie niewiasty ateńskiéj objęte w tym symbolu.

Zamknięta szczelnie w gineceum, dzieweczka Jońska nie znała téj wolności, jakiéj używały bohatérki Homera. Młoda Ateuka śmie zaledwie podnieść oczy na blizkich krewnych. Przędzie wełnę, lub wyszywa tkaukę w piękne wzory; milczy, nie otworzy ust, wzbroniono jéj nawet próżnych pytań. Od czasu do czasu otwierają się dla niéj drzwi więzienia: ubrana w tunikę barwy szafranowéj, idzie w orszaku małych dziewcząteк do świątyni Dyanny, poświęcona służbie bogini.

Wychowanie ateńskie wstrzymujące rozwój władz umysłowych w kobiécie, nie może zarówno służyć za wzór jak systemat wychowania spartański, zmieniający kobiétę w męża. Filozofowie ateńscy protestowali silnie przeciw takiemu upośledzeniu kobiét swoich. Arystoteles twierdzi, że skoro mężczyzni i niewiasty tworzą dwie równe części w państwie, należy przeto wprowadzić nauki polityczne do wychowania kobiét. Nie wiadomo w jaki sposób zastosowano tę zasadę. To jednak pewna, że inne ludy greckie, jak naprzykład Eolowie, umieli ustrzedz się dwóch wprost przeciwnych ostateczności. Wychowując kobiétę w zamiłowaniu obowiązków domowych, kształcili niemniéj władze jéj umysłowe.

Starożytne prawa oddalały czas zawierania związków małżeńskich. Likurg zabraniał młodzieży spartańskiéj żenić się przed wiekiem zupełnéj dojrzałości. Kto jednak pozostawał w bezżeństwie, lub téż wchodził w niewłaściwe związki, ulegał publicznemu oskarżeniu. Mąż, który odmawiał Sparcie potomstwa, okryty bywał infamią. Do innych kar łączono i tę jeszcze, iż podczas religijnego obrzędu kobiéty włóczyły go wkoło ołtarza i okładały chłostą.

W Atenach prawo pozwalało mężczyznie żenić się dopiéro w trzydziestym piątym roku, dziewczynie iść za mąż w dwudziestym szóstym. Później zniżono cokolwiek te cyfry. I tu prawo potępiało w zasadzie bezżennych, ale nie ścigało ich karą. Obywatel jednak nie osiągnął godności wodza, ani mówcy publicznego, jeśli nie był właścicielem ziemskim i ojcem rodziny.

W wielu stronach Grecyi nie wolno było zawierać związków małżeńskich po za obrębem kraju; wiadomo, z ilu kraików składała się rzeczpospolita. Ateńczycy szczególniéj dumni z swych przywilejów, potępiali związki z obcymi. Wspomnieliśmy o tém w jednéj z kronik, mówiąc o małżeństwie Peryklesa z Aspazyą.

Cudzoziemiec, który pojął Atenkę, jak również cudzoziemka zaślubiona z Ateńczykiem, tracili w mieście Minerwy wszelkie pra-

wa i strąceni bywali do rzędu niewolników. Majątek ich ulegał konfiskacie; trzecią część otrzymywał denuncyator.

Ateńczyk, który wychowywał obcą dziewczynę i wydał ją za ziomka swego, skazany bywał na stratę majątku i czci obywatelskiéj.

Prawodawcy Spart i Aten mało się różnili w oznaczeniu posagu. Likurg postanowił, że wartość osobista dziewczęcia ma być jedyném jéj wianém. Ten, który zabronił kobiétom używać malowideł i sztucznych ozdób, bronił im także przyciągać zalotników ponętą majątku, a nie osobistemi zaletami.

Solon, prawodawca ateński widział niemniéj w związku dwóch serc główną podstawę szczęścia. Postanowił zatém, że oblubienica wniesie tylko w dom małżonkowi oprócz małego posagu, trzy pary szat i sprzęty nie wielkiéj wartości. Później jednak prawo to poszło w zapomnienie.

Tak w Sparcie jak w Atenach w braku męzkiego potomstwa, ojcowizna szła po kądzieli. W takim wypadku córka Spartanina, obejmowała w posiadłość jeden z dziewięciuset działów, które Likurg rozdał obywatelom na prawach majoratu. Dziedziczka zaślubiała najczęściéj ubogiego krewnego. Sam ojciec naznaczał jéj małżonka; los sierot powierzano królowi.

Ateńczyk który miał córkę, nie mógł zapisywać majątku obcemu, chyba z obowiązkiem zaślubienia tejże córki. Jeśli umierał bez testamentu, dziedziczka musiała oddać rękę krewnemu. W razie gdy kilka pozostało córek, dzieliły się równo majątkiem.

Syn urodzony z dziedziczki przybierał nazwisko rodu macierzystego.

Nad mieniem sierot czuwał Archont, urzędowy opiekun słabych. Wszelkie uchybienia opłacał on karą tysiąca drachem. Summa ta szła na ozdobienie świątyni Junony, opiekunki małżeńskich stadeł.

Naród ateński hojnie wyposażał córy zasłużonych swych obywateli.

Autorka stawia nam przed oczy nadzwyczaj ciekawy obraz weselnych obrzędów, odmienny całkiem u ludów Doryckich i Jońskich.

W Sparcie kiedy ojciec przyrzekł córkę przyszłemu zięciowi, ten zmuszony był wykraść narzeczoną. Zostawiał ją w domu niewiasty, która pośredniczyła w zawarciu związków. Swatka obcinała włosy dziewczynie, i przebierała ją po męzku. Tymczasem młodzian ucztował wesoło z towarzyszami. Ukradkiem tylko widywała się młoda para aż do chwili, kiedy mąż pomieścił żonę w domu własnym.

U Ateńczyków zaręczyny stanowiły najważniejszy akt przy małżeńskim obrzędzie. Młoda para nie mogła się zaręczyć bez pozwolenia ojców i matek lub najbliższych krewnych. Narzeczeni zamieniali przysięgę, podając sobie rękę prawą. Tak zaręczony młodzian w dowód miłości składał upominek przyszłéj

żonie. Miesiąc zwany Gameleon, odpowiedni styczniowi, przeznaczony był na obrzędy ślubne w Atenach.

We wszystkich krajach Grecyi w wigilią weselnych godów składano ofiary bostwom dobroczynnym i złowrogim, aby ściągnąć łaskę piérwszych, usunąć zły wpływ drugich. Bostwa te zmieniały się stosownie do miejscowości. Tu czczono Jowisza i Junonę, szczególnych opiekunów małżeństwa, tam Wenerę uosobienie piękności i macierzyńskich uczuć; tu znów Parki co przędą nić żywota, lub Gracye co rozsiewają na nie swoje czary. Oblubienica ateńska obcinała warkocz na ofiarę Minerwie, Syrakuzanka zanosiła objatę do gaju Dyanny.

Z wnętrzności zabitych ofiar wnoszono o przyszłéj doli stadła, częstokroć nawet w razie złowrogich oznak zrywano umowę. Spostrzeżona para sinogarlic zapowiadała miłość małżeńską, para wron obiecywała długi żywot; samotna wrona, była godłem wdowiego stanu.

Przy ofierze składanéj Junonie wylewano na ołtarz żółć zabitéj ofiary, aby oddalić wszelką gorycz od nowożeńców.

W Atenach towarzyszki kąpały oblubienicę w zdroju Calhiroe, Pizystrat ozdobił ten zdrój z niezrównanym przepychem.

Podczas obrzędu weselnego panna młoda strojna w szatę purpurową, z włosem namaszczonym wonnemi olejkami, miała nad czołem wieniec z maczków i sezenu poświęconych Wenerze. Kupiony wieniec przyniósłby jéj niedolę; sama dziewczyna wiła go z kwiatków zerwanych własną ręką.

Narzeczona w Beocyi kładła na głowę koronę z dzikich szparagów, łodyga ich najerzona kolcami świadczyła, że chcąc zakosztować słodkiego owocu szczęścia, małżonkowie muszą przebaczać sobie wady.

Piérwsza uczta odbywała się w domu rodziców panny młodéj. Ojciec napełniał winem czaszę złotą i składał ją w ręce przyszłego zięcia. Dar ten przechodził z pokolenia w pokolenie. Wieczorem nowo zaślubiona wsiadała na wóz w towarzystwie męża i przyjaciela; ci wieźli ją do nowego jéj domu.

Ów dom rzęsisto był oświecony, strojny w bluszczowe i wawrzynowe wieńce. Godłem małżonka wawrzyn, godłem dziewicy skromny bluszcz, któremu nie dano wytrwać o własnéj sile.

Kiedy małżonkowie trzymając się za ręce wchodzili w progi domu, stawiano im przez chwilę na głowie kosz pełen fig i innych owoców, symbol obfitości. U drzwi w pośród kwiatów pomieszczone były skromne żarna: jedna z dziewic niosła w ręku rzeszoto, pannie młodéj podawano w rękę gliniany garnek.

W obrębie tego domu młoda kobiéta ma znaleźć swój świat, pole swego działania; próg który przekroczyła będzie granicą jéj wolności. W Beocyi palono przed domem oś wozu, który ją przywiózł, na znak, że małżonka powrócić ztąd nie może.

Następowała uczta. Lubo w Atenach kobiety nie ucztowały nigdy w gronie mężczyzn, gody weselne stanowiły przecież wyją-

tek. Ale panna młoda zasłonięta cała welonom, a z nią inne kobiéty, siadały przy osobnym stole.

Tańce i pieśni należały koniecznie do obrzędu. Pachole pokryte całe gałązkami polnéj róży i dębiny, trzymając kosz pełen chleba, zaczynało pieśń godową od słów: „Uciekam od złego, znajduję co najlepsze." Z tą pieśnią prowadzono małżonków do komnaty, matrony niosły zapalone pochodnie—nowożeńcom podawano pigwę, symbol słodyczy, która ma przewodniczyć ich związkom.

W przyległéj sali tymczasem dwanaście dziewic uwieńczonych w hiacenty, śpiewały pieśń pożegnalną, przytupując nogą do taktu. Żałosna to pieśń za towarzyszką lat młodych.

„O piękna i słodka dziewico, już cię widzimy w niewiast gronie! kiedy pójdziemy rankiem zrywać kwiaty na łąkach, serca nasze wzdychać będą za tobą, jak jagnie wzdycha za mlekiém matki.

„O Hymenie raduj się z tego związku!"

Tak brzmiała pieśń dorycka, którą przekazał nam Teokryt. Pieśń ranną śpiewaną po ślubie podał do potomności poeta ateński Anakreon.

„Wenero! matko bogów, Amorze potężny zwycięzco, Hymenie zdroju życia, wam poświęcam pieśń moją, was opiewam Amorze, Hymenie i Wenero! Patrz młodzianie, małżonku Myrylli na piękną żonę twoją! Wdziękiem i hożą urodą ona błyszczy wśród innych niewiast. Róża królową jest kwiatów, Myrylla różą wśród towarzyszek."

W Atenach nazajutrz po ślubie następowała druga uczta. W tym dniu małżonka odbierała weselne dary i nawzajem rozdawała upominki krewnym i przyjaciołom. W owym to dniu młoda kobiéta ukazywała się raz piérwszy bez zasłony.

Dary ojca przynoszono z wielką uroczystością. Poprzedzało orszak dziecię w bieli z pochodnią w ręku. Niewiasty niosły za niém pudełka z pachnidłami i inne kosztowne przedmioty.

Pod małżeńskiém dachem kobiéta rozpoczynała nowe pasmo dni swoich. Zmiana to była wielka w życiu młodéj Spartanki. Skończyły się dla niéj gonitwy i wesołe igrzyska. Zamykała się w prostym domu, zbudowanym z pni zaledwie ociosanych siekierą. Ławy i stoły dębowe to jedyne jéj sprzęty. Ale Spartanka prawdziwą jest panią w tym domu. Umie być wierną, lecz zarazem umie zachować niepodległość. Mąż jéj prawie zawsze na wojnie, w jéj ręku spoczywa cały zarząd domowy. Twardy wojak zgina kark przed wolą towarzyszki. Arystoteles czyni uwagę, że ludy wojownicze ulegały najsnadniéj wpływowi kobiét, ztąd to wymyślono związek Marsa z Wenerą. Spartanin uznaje bez sromu domową przewagę żony; zowie ją panią *despoina!*

Za czasów Arystotelesa, Sparta przestała już być przybytkiem surowéj prostoty i pysznego ubostwa. Niepohamowana żądza zbytków opanowała lacedemońskie niewiasty. Głównym celem zabiegów stało się owo złoto, którém Likurg nauczył niegdyś gar-

dzić. Zbytki jak zwykle pociągnęły zepsucie obyczajów. W obec takiego rozprzężenia Arystoteles zarzuca Likurgowi, że zaprowadzonych w kraju reform nie rozciągnął do kobiet, Plutarch występuje w obronie prawodawcy. Według niego łatwiéj było ujarzmić mężów złamanych już karnością wojskową, niźli niewiasty przywykłe do panowania w domu.

W ostatnich czasach bytu politycznego, Sparta miała piękną chwilę zbudzenia; winna ją była swym niewiastom, które umiały połączyć męzkie cnoty prababek z urokiem prawdziwie niewieścim.

Wolność niewiasty cechowała doryckie plemiona; ze Sparty przeszła do Tessalii, Epiru i Macedonii. W niektórych koloniach wolno jéj było władać berłem. Te przywileje wyrobiły w kobietach północnéj Grecyi charakter energiczny, samodzielny, niekiedy łagodny wspaniałomyślnością, niekiedy znów krwi chciwy i okrutny.

Nie mogła autorka lepiéj określić doryckich niewiast, jak dając w przekładzie sielankę Teokryta: *Dyalog Syrakuzanek*. Jest to prawdziwe arcydzieło, pełen życia obrazek rodzajowy. Niepodległość kobiéty odbija w każdém słowie.

Poeta wyprowadza na scenę dwie syrakuzanki, Gorgo i Praxinoe, mieszkające z mężami w Aleksandryi, gdzie już panują Grecy. Miasto obchodzi święto pięknego Adonisa.

Gorgo przybywa po przyjaciołkę.

— Czemu tak późno?—pyta Praxinoe.

— Ledwie żem się przecisnęła przez tłumy, w pośród koni i wozów. Bo i czemu to mieszkasz tak daleko?

— Ba? czemu? nie moja w tém wina, ale tego dziwaka! Kupił mi gdzieś na końcu świata ową szopę, bo przecież nie mogę nazwać tego domem. Nie chciał żebyśmy sąsiadowały z sobą. Zawsze robi mi na złość, brzydki zazdrośnik!

Gorgo ostrzega przyjaciółkę, aby nie mówiła tak przy synku, który nadstawił ucha.

— Ojciec twój nie brzydki — rzecze do chłopca — to mowa o kim innym.

— Oj ten ojciec! ten ojciec!—przerwie Praxinoe.—Niedawno poszedł na targ kupić mi bielidła i przyniósł co? oto worek soli! Cudak!

— I mój kat Dino nieinaczéj się sprawia. Wczoraj oto kupił mi pięć skórek jagnięcych, wytartych jak dziadowska torba. Ledwie ślad że było na nich runo.

Te skargi jakże nam przypominają sławną satyrę Drużbackiéj, gdzie żony utyskują razem na mężów, wyszukując punktów do rozwodu.

Gorgo nalega . . . czas iść . . . Praxinoe stroi się, krzyczy na sługę: —Ruszajże się niezdaro! . . Wody! . . mydła! . . gdzie mój klucz? . . dość już wody! ta niegodziwa . . oblała mi tunikę?

I wdziewa kosztowne szaty nieświadczące bynajmniéj o skąpstwie męża. Gorgo chwali, przygląda się zdumionem okiém.

Wychodzą z domu; mały Sopyrion chciałby także iść z matką, czepia się poły jéj peplum.

— Nie pójdziesz smarkaczu! — woła Praxinoe. Płacz sobie kiedy chcesz. Konie okrutnie gryzą! . . Phrym weź go na ręce . . uspokój . . . zawołaj psa do izby . . . a ty zamknij drzwi od podwórza.

Wyszły nakoniec. Przedzierają się przez tłum. Konie królewskie pędzą cwałem. Praxinoe zbladła. Ujęły się mocno za ręce.

— Patrz—zawoła Gorgo—jakie piękne tuniki, całe zahaftowane, cudna robota!

— Prawda—odrzecze Praxinoe,—co za prześliczne kwiaty, rzekłby kto, że zerwane w ogrodzie.

— Cicho sinogarlice—odezwie się ktoś z boku cudzoziemskim akcentem—dość już tych rozhoworów, ogłuchłem od waszéj paplaniny.

— Co to znowu za śmiałość, krzyknie Gorgo. Co tobie człowieku do naszego gadania? Rozkazuj komu chcesz, ale nie nam Syrakuzankom. My rodem z Koryntu jak Belerofon. Kto zabroni Doryjkom mówić dorycką mową?

— O Prozerpina!—zawoła Praxinoe,—spraw niech się nie zrodzi człowiek, coby chciał przewodzić nad nami. Dość mi jednego pana! a co tobie do nas cudzoziemcze?

Ucichły nagle, patrzą , . w pobliżu dziewica z Argos śpiewa pieśń na cześć Adonisa.

Obie wytężyły uszy, słuchają z zachwyceniem.

— Nieba! istny cud! wołają naprzemiany, gdy śpiewaczka dokończyła hymn.

— Szczęśliwa kobiéta, że ją tak śpiéwać nauczono!—rzecze Gorgo.

— Prawda! ale czas nam wrócić do domu, zawoła Praxinoe, kiedy Dyokled głodny, ani przystąp do niego! Nieznośny człowiek, cały z octu. Bądź zdrów miły Adonisie, zostań z tymi co się weselą!

Wyborny obrazek: życie pryska z każdego słowa. Miło nam spotkać tych Greków, te Greczynki, w codziennem ich obejściu, z ich wadami i śmiesznościami!

Z ulicznego zgiełku, miłego doryckiéj niewieście, panna Bader przenosi nas do cichego domu Atenki.

Dom to zbudowany z prostotą pełną smaku. Ateńczycy poświęcali wyłącznie bogom cuda architektury swojéj. Przeszedłszy próg, jesteśmy w długim korytarzu, po jednéj stronie izba odzwiernego, po drugiéj stajnia. Korytarz prowadzi na dziedziniec zdobny czterema portykami, w pośrodku ołtarz poświęcony domowym bogom. Tu zbiérają się sami mężowie ateńscy; niekiedy tylko przemknie jak cień postać niewieścia, cała obwinięta zasłoną.

Ztąd wchodzi się na drugi dziedziniec; przez rzędy kolumn spostrzegamy Gyneceum.

Wnijdźmy do tego przybytku, gdzie upływa życie niewiasty.. Oto sala jadalna. Tu i owdzie rozrzucone małe okrągłe stoliki, wsparte na trzech lwich albo sarnich łapach. W pośrodku łoże przeznaczone dla pana domu: on tylko sam jada wyciągnięty z całą wygodą; kobiéty siadają na krzesłach z poręczami.

W poblizkiéj śpiżarni, porozstawiane na półkach amfory pełne wina, oliwy i miodu; naczynia z wszelkiego rodzaju mięsiwem; kuchnia na szczególną zasługuje uwagę. Cokolwiek tu wpadnie pod oko: garnki, kotły, trojnogi, mają kształt wytworny, świadczący o estetycznym smaku Greków. Na każdym przedmiocie rzeźbione zwierzęta, ryby, liście akantu, nawet mytologiczne alegoryje.

Komnata sypialna, to prawdziwe ognisko domowe niewiasty ateńskiéj, przybrana z największą okazałością: pełno tu wazonów, kosztownych sprzętów i drogocennych fraszek. Łóżko wykładane kością słoniową, pokryte draperyą z purpury, podłoga zasłana kobiercami. W tém to ustroniu, Greczynka podnosiła sztuczną krasą urocze wdzięki swoje, tu posypywała złotym proszkiem sploty kruczych włosów, aby im nadać płową barwę, tak ulubioną greckim poetom.

Autorka prowadzi nas do sali godowéj, ukazuje nam niewiastę ateńską w całym przepychu wdzięków i stroju. Długa tunika biała, spływa do stóp jéj obutych w kosztowne sandały. Na to druga znów tunika barwy błękitnéj o szerokich rękawach, ułożona w sztuczne draparye, dosięga ledwie kolan. Trzecia nakoniec purpurowa zahaftowana w srebrne gwiazdy, zakończona bogatym szlakiem, przechodzi tylko długość stanu. Włosy faliste, związane z wierzchu głowy spadają zręcznie na szyję, ujęte w srebrną siatkę; klejnoty wyrobione ręką mistrzów pokrywają ręce, głowę, nogi i ramiona. Jakaż to rozmaitość w tych klejnotach! jaki smak niezrównany! Tu bransolety w kształcie węży ze szmaragdowemi oczyma, tam kolczyki w formie łabędzi, gołąbków, panter, sfinksów, winogradów, tu znów wielkie śpilki do podtrzymywania włosów zakończone złotą lub srebrną szyszką, tam wytworne sprzączki, naszyjniki, pierścienie, zdobne emalią, sadzone drogiemi kamieniami.

Z tego przybytku próżności, od tych cennych drobnostek, opisanych z archeologiczną prawdą, panna Bader przeprowadza nas do skromniejszych sal, poświęconych codziennéj pracy. Widzimy tu na stole wysoki Calathus, koszyk w szczególnym kształcie: w nim spoczywa kądziel i wrzeciono.

Zręczność we władaniu tém wrzecionem lub igłą, oto jedyny talent, jaki młoda Atenka wnosi w domowe progi, przy nich zbiegnie jéj żywot cały. Obca po za domowym sprawom, nie złączona z mężem uprawą inteligencyi, w pracy ręcznéj znajdzie osłodę i rozrywkę.

Niektórzy jednak Ateńczycy umieli być małżonkami w wyższém znaczeniu słowa. Pojąwszy młodziuchną żonę, starali się podnieść jéj umysł, uzacnić serce, wtajemniczyć ją w pojęcie dobra, piękna i prawdy.

Jeden z takich małżonków Ischomak, opowiadał Sokratesowi, w jaki sposób wykształcił żonę swoją. Xenefon zapisał te wyrazy, odbijające w sobie wzniosły i praktyczny charakter filozofii Sokratesa.

Ischomak wziął się do rzeczy religijnie. Oboje małżonkowie złożyli ofiarę na ołtarzu bogini, błagając o światło dla nauczyciela, o pojętność dla wychowanki, o szczęście dla obojga.

Młoda żona zobowiązała się w obec bogów dopełniać wiernie powinności, co obudziło otuchę w przewodniku. Starał się przedewszystkiem pozyskać sobie jéj ufność, ośmielić ją ku sobie. Gdy to nastąpiło, zapytał czy wié dlaczego poszła zą mąż? I opowiedział jéj, że odtąd wszystko ma być wspólne między niemi i zarząd majątku i wychowanie dzieci jeśli je miéć będą z łaski nieba. Mniejsza o to kto z dwojga przyniósł więcéj dostatków pod dach małżeński. Kto potrafi lepiéj zarządzać wspólnem mieniem, ten więcéj wzbogaci dom, temu większa należy chwała.

Te słowa zdziwiły kobiétę. W czémże mogę ci pomódz? zapytała, w czém zdołam przyczynić się do wzrostu domu twego.

— Spełniając najlepiéj — odrzecze mąż — obowiązki, jakie wkłada na ciebie przyroda, jakie uświęca prawo.

— I jakież to owe obowiązki?

Ischomak wylicza je, określa granice między obowiązkami męża a żony: widzi on najwyższą mądrość bożą w ustanowieniu związku dwóch istot, które mają wspiérać się wzajem, a kiedyś znajdą w dzieciach własnych wsparcie na stare lata.

„Mąż—mówi on—obowiązany starać się o chléb, przewodniczyć rolniczym pracom, czuwać nad trzodą, bronić ogniska od gwałtu nieprzyjaciół: bogowie dali mu też siłę i męztwo. Żona powinna przyrządzać jadło w domu, prząść wełnę, tkać z niéj odzież, karmić niemowlę piersią własną. Otrzymała zatém w podziale wątłe siły; wprawdzie dostateczne w obrębie progów domowych, lecz słabe do walk i zewnętrznych zabiegów. Niebo wlało w jéj serce miłość, aby ułatwić jéj trudy macierzyństwa; uczyniło ją przytém czujną, cierpliwą i trwożliwą.

Ale każde z małżonków, równe ma władze pojmowania, jednaką pamięć, każde z nich posiada równą moc duszy do opanowania namiętności zakłócających spokój. A przecież dodaje Ischomak, skoro żadne doskonałem nie jest, powinni znosić się nawzajem i dopełniać jedno drugie własnemi zaletami."

Tak określiwszy jasno wspólny stosunek, Ischomak dodaje uwagę, że małżonkowie czyniąc zadosyć obowiązkom stanu swego, działają według harmonijnych praw piękna i dobra. Kiedy kobiéta zbyt często opuszcza dom, kiedy mąż zbyt wiele w nim siedzi, tak jedno jak drugie łamie prawa przyrody.

Małżonek uczy następnie żonę, jak ma utrzymywać w domu ład, w wysokiém znaczeniu słowa, ład oparty na doskonałéj harmonii, jak ma zachować w obec domowników powagę królowéj, piastować berło ze słodyczą, a w razie potrzeby okazać niezłomną moc woli.

Takie przecież idealne małżeństwa, wyjątkowe były w Atenach. Mężowie stronili ze wstrętem od progów domowych, głównym zaś powodem tego było zaniedbane wychowanie kobiét. Teorye Arystotelesa, Sokratesa, a następnie Platona i Plutarcha, świeciły pięknie w abstrakcyi, lecz nie wpłynęły w życie. Kobiéta nie podniesiona wyższą myślą, trawiła dnie na fraszkach i błyskotkach w swém gineceum, tymczasem zaś obce Laisy, Fryny, Glicery i t. p. panowały jak królowe w Atenach. Do rzędu ich autorka idąc za powszechném uprzedzeniem liczy i małżonkę Peryklesa.

Czarodziejki te, smutno pamiętne w dziejach Aten, przybywały z innych miast Grecyi, mianowicie z zepsutego Koryntu. Gród Minerwy nie wydał żadnéj. Niewiasty ateńskie acz niedbale wychowane, pilnowały przecież czystości domowego ogniska. Prawo surowo ścigało najlżejsze ich przekroczenie. Żona wiarołomna, traciła zaszczytny tytuł obywatelki Aten. Mąż który chciał żyć z przestępną małżonką, narażał się na utratę praw obywatelskich. Nieszczęśliwa ofiara chwilowego błędu, wygnana z domu męża, nie miała się gdzie schronić. Dom rodzicielski zamknięty był dla niéj, zarówno jak progi świątyni!

Prawo surowe dla niewiast, pobłażało do zbytku tym, którzy je nakreślili w księdze ustaw. Mąż mógł oddalić od boku swego, niewinną nawet żonę: dość mu było wrócić posag i wręczyć na piśmie przyczynę rozwodu. Wprawdzie odrzucona znajdowała opiekuna w Archoncie, który wytaczał proces w jej imieniu. Trudny przecież i upokarzający dla niéj był powrót do ogniska, od którego ją odtrącono.

Jeżeli zaś kobiéta zażądała rozwodu, zabiegi jéj były zazwyczaj bezskuteczne. Dosyć tu przytoczyć jeden przykład. Cnotliwa Hyppareta żona sławnego z urody i lekkomyślności Alcybiadesa, zniósłszy tysiączne zniewagi od męża gorąco ukochanego, odważyła się wreszcie po długich walkach, wystąpić ze skargą przed Archontem. Ledwie wyrzekła piérwsze słowo, przypada Alcybiades, porywa ją na ręce i przy poklasku tłumów, zanosi ją przez miasto do domu.

Ciekawy zarys domowego życia ludów greckich, zakończa autorka obrazem matki tak w Sparcie, jak w Atenach.

Przypatrzmy się najprzód matce Spartance. Syn jéj tylko co przyszedł na świat. Ojciec bierze go na ręce i zanosi na *Lesche*, miejsce publicznego zebrania. Tam starszyzna rozporządzić ma jego losem. Jeżeli wątłe niemowlę, nie rokuje państwu godnego obrońcy, ojciec wraca do domu sam, ciało zaś dziecka leży w jaskini strącone ze skały ręką starców. Jeżeli zaś przeciwnie dziecko zapowiada czerstwe siły, ojciec wraca je matce.

Wówczasto matka Lecedemonka kładzie je nie do męzkiéj kołyski, ale na twardą tarczę i usypia je do snu równie twardą piosenką.

Dziecię wyrosło w młodzieńca, czas mu opuścić progi domu. Zatrzymaż go matka Spartanka? Bynajmniéj, własną ręką zdejmuje ze ściany tarczę. „Powrócisz z nią lub na niéj," rzecze podając ją synowi.

Młodzian spieszy na pole zapasów. Walka wre. Jeżeli syn upadnie, matka wyprawia drugiego, aby zastąpił brata w szeregach. Sama spieszy pod bramy grodu, skłania pilnie ucho na wieści.

Spostrzeże-li towarzysza swych synów, pyta jaki los bitwy?

— Poległo pięciu twoich, odrzecze młodzian.

— Nikczemniku, nie o to cię pytałam—zawoła matka—pytam przy kim zwycięztwo?

— My wygraliśmy bitwę.

— Skoro tak, wieść o skonie dzieci nie napełni żałobą serca mego!

Nie dosyć jeszcze na tém, Lacedemonka śledzi pilnie rany poległych. Jeżeli syn ranion z tyłu w ucieczce, wówczas ukrywa się przed okiem ludzkiém, płacze nie nad umarłym, raczéj nad jego hańbą. Trupa grzebie tajemnie, lub zostawia na polu bitwy. Ale jeśli młody Spartanin otrzymał ranę w piersi, matka zanosi z dumą do grobu naddziadów godnego ich potomka.

Podczas pogrzebu, niewiasta jakaś przystępuje do niéj, użala się nad smutną jéj dolą; matka odtrąca słowa próżnéj litości. —Skonał w obronie kraju, po to dałam mu życie!

Ten heroizm posunięty do okrucieństwa, wyrobił się u Spartanek przez męzkie wychowanie. Inaczéj było w Atenach. Widzimy oto w Anacharsysie, jak matka dziękuje synowi, że uciekł z pola bitwy i zachował się dla niéj. Przypuszczamy, że inne matrony ateńskie wyżéj pojmowały miłość macierzyńską, to jednak pewna, że nie posuwały jéj do bohatérstwa Lacedemonek.

I w Atenach matka chlubiła się zwycięztwem syna, lecz w pojęciu jéj nie sam oręż ubroczony we krwi dawał mu prawo do tryumfu. Demostenes piękne oddał świadectwo własnéj matce, kiedy pokonawszy wymową opiekunów, którzy go pokrzywdzili, zawołał z uniesieniem: „Matka czeka mnie! ona powita uściskiem pogromcę niesprawiedliwości!"

Lud ateński tak miał głębokie poczucie synowskiego uszanowania, że nie pozwalał synowi wyrodnemu odzywać się z trybuny. Wiadomo jak Solon zapytany przez Krezusa, kto był w oczach jego najszczęśliwszym z ludzi, przypomniał owych dwóch młodzieńców z Argos, unieśmiertelnionych miłością synowską. Kapłanka Junony miała pośpieszyć do świątyni, lecz woły nie nadchodziły z pola. Czas nagli. . . hańba opieszałéj kapłance! . . . Wówczas to dwaj synowie jéj, Kleobis i Biton, zaprzęgają się sami do wozu, ciągną matkę do świątyni oddalonéj o czterdzieści

i pięć stadyów. Ojcowie widząc to wysławiają poświęcenie synowskie, niewiasty zazdroszczą matce takich dzieci, a kapłanka dumna i szczęśliwa, błaga Junonę, aby synom jéj zesłała to, co człowiek może otrzymać najlepszego. Bogini skłoniła ucho na prośbę. Młodzieńcy zasnęli w świątyni snem nieprzespanym, wiecznym!

Solon dodał, że Argowie pomieścili w świątyni Delfickiéj posągi Kleobisa i Bitona.

Jeźli syn przeżył matkę, grzebał z miłością jéj ciało w grobie naddziadów, gdzie sam miał złożyć własne prochy.

Grobowce przechowane dotąd, świadczą wymownie o miłości rodzin ateńskich. Śmierć skończyć jéj nie miała. Na marmurowych urnach odkrytych w Maratonie widzimy rzeźbę przedstawiającą ostatnie rozstanie małżonków. Podają sobie ręce jak przy weselnych godach. Odzież podróżna męża, koń idący za nim, to znak że on pierwszy poszedł w nieznaną tajemniczą drogę.

Godłem niewiasty ateńskiéj na grobie, był wyrzeźbiony koszyk Calathus, w który składała za życia swą kądziel i wrzeciono.

III

Panna Bader ukazała nam typ dziewicy, małżonki i matrony greckiéj, oddany wiernie, z drobiazgową ścisłością, jakby wyrzeźbiony dłutem greckiego mistrza, ale niedosyć na tem: potrzeba ożywić ten posąg. Niechajże Galatea zestąpi z piedestału, niech krew zakipi w jéj żyłach, niech serce uderzy silném tętnem, niech płomień miłości lub gniewu zapali jéj oblicze.

Takie typy błyszczą w historyi, ale silniejszym jeszcze blaskiem przyświecają w dramatach wielkich mistrzów. Spartanki głośne w dziejach nie natchnęły jednak poetów lacedemońskich. Autorka na chwilę pozostawia je w cieniu, ukazując za to sławne bohaterki unieśmiertelnione w arcydziełach Eschila, Sofoklesa i Eurypidesa.

Rozbiory tragedyi greckich, dokonane z wytwornym smakiem, stanowią najobszerniejszą a może najartystyczniejszą część dzieła panny Bader. Niepodobna nam przedstawić tych wszystkich postaci tak dziwnie uroczych, które jakby w zaklętym kalejdoskopie autorka przesuwa przed oczyma naszemi. Z każdego poety jeden tylko weźmiemy utwór. Zaczynamy od Eschila.

W żadném z arcydzieł swoich, poeta mi uwydatnił tak silnie żywiołu niewieściego, jak w trylogii *Orestyadzie*. Pierwsza część p. t. Klitemnestra, wprowadza nas do Argos, przed pałac Atrydów. Na dachu czuwa stróż nocny, wlepił oczy w gwiaździste niebo. Dumna małżonka Agamemnona, postawiła go tam na czatach. Z rozkazu jéj śledzi wzrokiem, rychło zabłyśnie płomień, co oznajmi zdobycie Ilionu.

Od dziesięciu lat stróż nocny patrzy na niebo, i nie widzi nic, tylko księżyc i gwiazdy. Aż oto.... spostrzega słabe światełko; uradowany pośpiesza w głąb pałacu.

Przybliża się chór. To starcy argejscy, dostojnicy państwa, piastuny grodu. Zorza niebawem zaświeci, niosą zwykłe pozdrowienie królowéj.

Chór opiewa zapasy Greków i Trojan. Nagle płomień ofiarny wybucha ze wszystkich świątyń, u wszystkich ołtarzów miasta Argos. Zdumieni starcy pytają co to znaczy?

Przystępuje królowa. Na zapytanie mężów argijskich, odpowiada że Ilion zdobyty. Łzy radości płyną po licu starców. Nie wierzą w własne szczęście: może to sen!.... może to wieść kłamliwa!

Królowa niecierpliwi się. Miałażby wierzyć znikomym snom? skłaniać ucho na bajki? I ukazuje płomień, roztlony na szczycie Idy, przebiegający od gór do gór, jako hasło tryumfu.

Chór słucha z uniesieniem. Klitemnestra jakby wiecznym duchem oświecona, maluje żywy obraz zdobytego Ilionu. Widzi tam Trojanki okute w pęta, pochylone nad trupami mężów i braci. Grecy ucztują po tryumfach.

Królowa odchodzi: chór składa dziękczynne modły bogom. Obok radości trwoga ogarnia starców. Nie jeden z nich, gdy wyjdzie na brzeg, powitać ukochanego syna, ujrzy tylko garść popiołu zamkniętą w zimnéj urnie. Samo zwycięztwo nie jest czczą ułudą?

Głos powątpiewania, razi ucho królowéj: gniewna wybiega na scenę. Ukazuje płomień buchający ze szczytów Idy. Małoż tego dowodu? Ale oto i nowy dowód. Goniec co tchu pędzi od morza.

W wieńcu oliwnym Herold Talthybias, wesoło wstępuje na scenę. Pocałunkiem składa hołd ziemi ojczystéj, którą niebawem deptać będą stopy Agamemnona pogromcy Ilionu.

Królowa tryumfuje..,. wyprawia gońca.... Niechaj król spieszy do ludu swego, do tęsknéj żony, co wiernie strzegła progów domowych i czystą ręką podsycała swięty płomień ogniska.

Otóż i król Agamemnon siedzi na wozie, przy nim urocza branka. Małżonka bieży ku niemu uniesiona radością. W chwili takiéj milczenie wymowniejsze nad wszelkie wyrazy. Ale radość Klitemnestry objawia się potokiem słów gorących. Królowa wzywa mężów argijskich na świadectwo niezłomnéj wiary i miłości. Wypowiada dziesięcioletnie cierpienia, przetrwane boleści i trwogi. Gdyby Agamemnon poległ, utopiłaby sztylet w piersi własnéj. Jeśli mąż nie widzi przy niéj jedynego syna Oresta, to dlatego że królowa w obawie klęski a ztąd i buntu w Argos, wyprawiła w dalekie strony, pod bezpieczną strażą, ostatni szczep królewskiego domu Atrydów.

— O małżonku mój!—woła z zapałem—czemżeć ty dla mnie? tém, czem pies dla obory, czem zbawcza lina dla okrętu, czem kolumna dla budowy, czem syn dla starego ojca, czem widok lądu dla zrozpaczonego żeglarza, czem promyczek słońca dla burzy, czem zdrój żywéj wody dla spalonych ust wędrowca. Zestąpże z wozu o królu mój! ale nie stawiaj na ziemi owéj stopy, co zdeptała pyszny

Ilion. Niewolnicy rozścielający drogocenną purpurę, niech tryumfator wstąpi godnie w progi pałacu swego!

Król przyjmuje obojętnie te przesadzone oznaki radości. Szyderczy uśmiech igra na jego ustach. Nie chce postawić nogi na purpurze, nieśmiertelnym tylko przystoi taki zaszczyt. Ulega wreszcie, lecz zdejmuje sandały, aby nie ściągnąć gniewu bogów.

Agamemnon poleca królowéj piękną brankę i po wschodach wysłanych purpurą świetną jak potęga królewska, czerwoną jak krew, wchodzi w złociste progi. Kassandra została na wozie.

Smutne przeczucia dręczą starców. Zamiast pieśni tryumfu, chór śpiewa hymn smutny, jakoby pogrzebowy.

Klitemnestra przemawia do branki słodkiém słowem, przyrzeka jéj opiekę. Tą branką Kassandra, córa Pryama. Chór nakłania ją do uległości, ale ona milcząca, dzika, siedzi na wozie niby kamienny posąg. Królowa zrywa się . . Wszystko już gotowe do ofiary . . Bieluchne owce czekają przed ołtarzem.

— Ta kobieta nie ścierpi wędzidła!—rzecze groźno—musi krwawą pobryzgać je pianą.—I wchodzi do pałacu.

Chór nie dzieli oburzenia królowéj. Z żywém współczuciem przemawia do córy Pryama, oderwanéj gwałtem od progu ojców.

Branka poruszy się nagle.. strasznym zawoła głosem:—Wielcy bogowie! . . Apolinie! . . jam zgubiona! . . biada mi!

I córa Pryama, gorzko wyrzuca zgubę swoję Apolinowi, któremu była niegdyś tak drogą. Pocóż zdarł przed nią tajemniczą zasłonę przyszłości?

Wieszczby jéj urywane . . straszne . . złowrogie! Dziwy jawią się przed jéj okiem. Widzi zbrodnie spełnione w tym pałacu, te które się jeszcze spełnią.

— O Furye! niesyte krwi tego rodu . .—zawoła w szale—tryumf wam! ohydna ofiara dokona się niebawem.

Trwoga ścina krew w żyłach starców. Kassandra kreśli daléj okropny obraz.

— On ugodzon!.. pada już . . branka umrze z nim razem!

Chór porównywa dziewicę do żałosnego słowika. O! czemuż jak on, niema drobnych skrzydełek, by ulecieć przed żelazem mordercy!

Wśród najstraszniejszych wieszczb, Kassandra sięga myślą w minione chwile, słodko zbiegłe w ojczystéj ziemi. Już jéj nie patrzéć w przyszłość, przez welon szczęśliwéj oblubienicy, przy jasnéj pochodni Hymenu! Widma pomordowanych tu ofiar, podnoszą głowę, straszno patrzą jéj w oczy. Widzi oto syny Thiesta, ręką Atrya, stryja własnego, poćwiertowane w sztuki, podane na misie ich ojcu a bratu mordercy. Wnuk Atrya Agamemnon przypłaci zbrodnię dziada. Kassandra wymienia go . . on musi umrzéć! Okropna myśl przenika ją dreszczem. Wié że niewierna małżonka oskarży męża o winę, jakiéj sama dopuściła się względem niego: wié że pod tym pozorem zabije Agamemnona, a z nim brankę, którą przywozi z Troi. Kassandra rzuca na zie-

mię berło, symbol wieszczego daru, zdziera z głowy przepaski złote, godła tajemniczéj potęgi. Te godła już jéj dziś nie ocalą. Apollo ją opuścił. Lecz ta co ją ugodzi, sama padnie ofiarą. Syn pomści głowę ojca. I branka pyta—azaliż jéj przystało opłakiwać los pogromców Illionu? Sąd bogów niech się spełni! . . Zstępuje z wozu, zbliża się do domu Atrydów, pochyla głowę, wita wrzeciądze śmierci. Niech skon zmiecie ją szybko, bez długich mąk przedśmiertnych! tego jedynie pragnie. . . . Cios niechybny . . . idzie śmiało naprzeciw niemu.

— Czas pociąga mnie! Dzień przyszedł, ucieczka daremną!

Wzdryga się nagle, wydaje okrzyk grozy.. Woń krwi wybucha z domu.

— Wonże to ofiary, którą pożera płomień?—zapytuje chór.

—To wyziew grobu—odpowiada Kassandra. I przekracza straszliwe progi.

Krzyk Agamemnona zwiastuje że wieszczba się spełniła. Starce słuchają z przerażeniem. Drzwi pałacu rozmykają się nagle: z toporem w ręku stoi Klitemnestra, przy niéj dwa powalone trupy.

Klitemnestra dotąd kryła uczucia własne płaszczem obłudy, teraz zdziera maskę z oblicza. Słowa tryumfu płyną z ust jéj potokiem. Chlubi się ze zdradzieckiego podstępu, liczy razy wymierzone w piersi męża. Kiedy krew jego padła na nią, uczuła rozkosz, jaką czuje dojrzały kłos, gdy nań upadnie deszcz majowy.

—Podziwiamy bezczelność mowy twojéj—zawołają przerażeni starce! Żonie znieważać-li tak męża?

— Jam słabą niewiastą w oczach waszych—odrzecze Klitemnestra—ale kiedy was powołuję na świadectwo czynu mojego, serce nie drży mi w piersi!

— Oto Agamemnon mąż mój! — dodaje ukazując trupa— a oto ręka co mu zadała śmierć. Dzieło spełnione umiejętnie. Wyrzekłam!

Oburzeni takim cynizmem starce, pytają co za ziele odurzyło jéj zmysły? grożą wygnaniem.

Królowa odpiéra pogróżki aryjskich mężów. Niechże walka rozstrzygnie przy kim rządy.

Chór zapowiada że wnet pomszczoną będzie krew co trysła na oblicze królowéj. Lecz ona nie zna trwogi. Jakaż moc tajemnicza podtrzymuje serce niewieście? Słuchajmy co mówi do starców.

Klitemnestra przysięga na ziemię i na niebo, że pierś jéj nie drgnie, dopóki ręka Egista podsycać będzie domowe jéj ognisko: w nim jedyna jéj siła.

I patrzy z urąganiem na trupa małżonka, który zdradził ją niegdyś dla Krizejdy, patrzy na trupa wieszczéj dziewicy, która przed chwilą wyśpiewała sobie hymn pogrzebu.

Starce rozpaczliwie zawodzą. Stracili króla. Agamemnon przez dziesięć lat walczył za niewiastę pod murami Ilionu i za powrotem poległ z ręki niewieściéj! Tak więc Helena sprawczyni tylu

mordów sprowadziła śmierć Agamemnona! Król przypłacił krwią ofiarę Ifigenii!

— Przekleństwo nam!—woła chór. Niewiasta okrucieństwem dorównała krwawym Atryom. Bezbożnica! pastwi oczy widokiem trupa, jak drapieżny kruk! śmie śpiewać hymn tryumfu!

— Przekleństwo!—powtarza Klitemnestra. Potężny geniusz włada naszym rodem, on to zapala wnętrzności nasze niepohamowaną krwi żądzą. Nim jedna rana się zabliźni, krew wytryska już z drugiéj!

Królowa zrzuca z siebie odpowiedzialność. Nie ona to ugodziła w pierś Agamemnona, to odwieczny mściciel Thiestów powodował jéj ręką!

Chór nie przebacza. Starce oświeceni wróżbą Kassandry, wiedzą że miecz matkobójcy pomści królewską głowę. Zasłona przyszłości rozdarta. Patrzą na walące się zręby domu przesiąkłe krwią, znieważone tylu morderstwy. Zbrodnia wyradza zbrodnię, z pomsty rodzi sie pomsta.

Starce zabierają się do pogrzebu: królowa stawia opór.

— Ta ręka—rzecze—która ugodziła Agamemnona, potrafi go pogrzebać.

Wchodzi Egistes, najmłodszy to z synow Thiesta, nowy małżonek królowéj, przywłaszczyciel tronu Atrydów. Chór powstaje groźno przeciw niemu. Królowa urąga bezsilnym starcom.

— My tu panujem—wyrzecze do Egista—przywróćmy ład zburzony!

Na tém kończy się piérwsza część trylogii. Druga p. t. *Elektra* zaczyna się w lat kilka potém. Egist z Klitemnestrą rządzą wszechwładnie w Argos. Jak w poprzedniéj tragedyi teatr przedstawia złowrogi dom Atrydów. Scena odbywa się koło grobu Agamemnona.

Syn zamordowanego, mściciel zapowiedziany przez Kassandrę, oznajmiony przez starców, Orest już opuścił wygnanie. W towarzystwie przyjaciela wiernego Pylada przybywa do Argos, staje u ojcowskiego grobu, kładzie na nim odcięty pukiel włosów. Podczas gdy dopełnia synowskiéj powinności, nadchodzi orszak niewiast w żałobnych szatach. Po boleści jednéj z nich Orest poznaje siostrę swoję Elektrę. Na widok jéj łez, żądza zemsty zapala serce młodziana... Usuwa się na bok... patrzy z poza grobu... czego chcą te niewiasty?

To branki trojańskie. Otoczyły grób; biją się w piersi, rozdzierają szatę, ranią do krwi własne oblicze. Przyszły tu w orszaku Elektry zaspokoić cienie Agamemnona. Klitemnestra wyprawiła je tu przerażona snem strasznym. Ale w obec grobu niewolnice nie ważą się przemawiać w imieniu téj, co wykopała ten grób własną ręką. Widzą że miecz pomsty wisi nad głową przestępnéj, wiedzą że wszystkie rzeki i krynice nie zmyją plamy krwi na jéj dłoni.

Elektra stoi osłupiała, istny posąg kamienny. Sama nie wié co czynić. Maż ona wylać na grób królewski czarę ofiarną podjętą z rąk przestępnéj matki? Jak przyjmie ojciec tę świętokradzką libacyę?

Chór Trojanek wzywa królewnę do modlitwy, niech się modli w imię tych, którym drogą pamięć zmarłego, w imię swoje i brata Oresta. Nie dosyć na tém: niechaj się domaga słusznéj pomsty. Krew za krew!

Elektra cofa się ze wstrętem. Ażaliż bogowie nie odtracą bezbożnéj córki?

— Prawo odwetu świętém jest!—odpowiada chór dziewic: krew za krew!

Elektra ulega. Modlitwa jéj zrazu słodka i tkliwa jak skarga niewinnéj ofiary, mieni się zwolna w okrzyk grozy i nienawiści.

Chór przywtarza ponuro. Nagle Elektra odbiega przerażona. Cóż jéj się stało? Oto spostrzega na grobie włosy podobne do jéj włosów i do włosów brata Oresta. Chwieje się, drży jak liść, siły ją opuszczają, strumień łez płynie po jéj licu.

Tu występuje Orest. Zdziwiona Elektra nie wierzy oczom własnym. Ale brat ukazuje na głowie puste miejsce, zkąd odciął pukiel włosów, odsłania szatę którą siostra wyszyła niegdyś swoją ręką. Królewna oddaje się najżywszéj radości. Serce sieroty spragnione świętych uczuć rodzinnych. Tuli na sercu brata stroskaną głowę, długo nie miała jéj gdzie oprzeć, chyba o głaz grobowy!

Chwila radości przebrzmiała jak sen w oka mgnieniu, Apolo poprzysiągł zemstę cieniom znieważonéj Kassandry: on rozpala straszny płomień w piersi młodego Oresta. Jeżeli syn Agamemnona puści bezkarnie morderstwo, drogo przypłaci obojętność, tysiączne plagi ściągnie na siebie i na Argów. Trąd stoczy go za życia, widmo ojca ścigać go będzie co noc palącym wzrokiem. Wyklęty, odtrącon od ludzi, skończy żywot w nędzy i tułactwie.

Tu rozwija się najboleśniejsza scena. Orest i Elektra ciężko zawodzą na grobie ojcowskim. —Czemużeś—wołają—wielki bohaterze nie poległ pod murami Ilionu? Na łzy sierot odpowiada chór okrzykiem pomsty. Okrzyk ten zapala Elektrę. Oznajmia bratu w jaki sposób padł Agamemnon, jak matka zamordowała go własną ręką i jak zrąbanego położyła w tym grobie. Żali się na swe losy, na obelgi znoszone przy ognisku domowém, zkąd odtrącono ją pogardliwie. Wszystko to ich dziełem!... dodaje z goryczą.—Co ty masz czynić?... zapytaj własnéj nienawiści. I wyciąga ręce do grobu.

— Ojcze!—zawoła—bądź z dziećmi, którym drogą twa pamięć. Patrz na moje łzy! skłoń ucho na głos boleści mojéj! Nadszedł dzień! siła wystąpi przeciw sile, pomsta przeciwko pomście! Bogowie wspierajcie sprawiedliwość!

Chór odśpiewuje straszny hymn: wzywa Furye piekielne, niech wystąpią w obronie sierot.

Orest błaga o berło, Elektra o śmierć dla Egista.

Sieroty królewskie czekają rychło pęknie kamień grobowy, rychło na ich okrzyk Agamemnon wystąpi z pod ziemi. Lecz grób się nie otwiéra.

Orest gotów do czynu.—Dlaczego—pyta—okrutna Klitemnestra chce przebłagać cień swéj ofiary?

Chór opowiada sen królowéj. Tejże nocy widziała we śnie węża zrodzonego z niéj saméj. Ten wąż ukąsił ją do krwi podczas gdy karmiła go piersią własną.

Wié Orest że on jest tym potworem. Rozkazuje Elektrze powrócić do pałacu. Wdziewa spiesznie szatę podróżną.

Z wiernym Pyladem przystępuje do progu ojców, po trzykroć kołacze w zwartą bramę. Za trzeciém uderzeniem odmyka ją odźwierny, podróżny opowiada jakó przynosi wieści ważne dla rodziny królewskiéj.

Nadchodzi Klitemnestra. Zaprasza gościnnie Oresta i Pylada w swoje progi. Orest mieni się Focejczykiem; uwiadamia królowę o śmierci jedynego jéj syna. Elektra udaje gwałtowną rozpacz, odtąd znika ze sceny.

Klitemnestra spokojna, serce matki nie drgnęło. Syn z oburzeniem patrzy na taką obojętność!

Rozkazuje krolowa przygotować gościom komnatę. Sama powraca w głąb pałacu.

W tejże chwili podeszła niewiasta wchodzi z płaczem na scenę. To Gylissa, mamka Oresta. Królowa z ukrytą radością wyprawiła sługę po Egista. Niechże król posłyszy dobrą wieść z ust podróżnych.

Gylissa nie spieszy z dopełnieniem rozkazu. Rzewnemi łzami opłakuje zgon dziecka, które wykarmiła swém mlekiem. Przypomina jak tuliła do piersi niemowlę, jak je pielęgnowała dniem i nocą. Żal mamki sprzecznie odbija obok chłodu serca wyrodnéj matki.

Chór nalega na starą sługę. Niech Egist przyjdzie sam bez straży, niech pospieszy co żywo.

Odeszła. Chór błaga niebo o tryumf dla Oresta.

Król zbliża się... Widzą go Trojanki.., wszedł do pałacu, drzwi zamknęły się za nim. Okropna to chwila... Śmierć czy zwycięztwo Orestowi?

Rozległ się krzyk... to głos Egista. Odźwierny występuje, oznajmia śmierć królewską. Klitemnestra wpada na scenę.

Co to jest? Co się stało? mów?

Odźwierny.—Umarli zabijają tu żywych!

Klitemnestra.—O bogowie! rozumiem zagadkę. Mordowaliśmy podstępem, giniemy téż przez podstęp.

I wyciąga rękę po topór. Zapóźno. Orest ukazuje się z mieczem w ręku.

Orest.—Ciebie szukam.. on otrzymał zapłatę.

Klitemnestra.—Drogi mój Egiście, tyżeś umarł?

Orest.—Kochasz tego człowieka, a więc spoczniesz z nim w jednym grobie.

Klitemnestra.—Stój o mój synu! Poznaj dziecię to łono, na którem tuliłeś senną głowę? tę pierś którą ssałeś niemowlęcemi usty!

(Serce syna uderza nagle).

— Pyladzie! co czynić?—pyta Orest—mamże się cofnąć? mamże ugodzić w pierś własnéj matki.

Pylad przywodzi mu na pamięć wróżby Apolina, jego własną przysięgę, niezbłagany gniew bogów.

Orest rozkazuje matce iść za sobą. Próżne jéj błagania i groźby. Nagle królowa przypomina straszny sen... Wąż zrodzony z niéj... to Orest! Los jéj rozsądzon jest w niebie!

Syn wciąga matkę w głąb pałacu. Tam ona umrze. Smak starożytnych nie pozwalał plamić sceny morderstwem.

Tryumf synowi Agamemnona. On królem Argos. Drzwi pałacu rozmykają się. Jak w poprzedniéj tragedyi widać w głębi zabójcę z mieczem i dwa trupy.

Duszą Oresta wstrząsa gwałowna rozpacz. Przypomina zbrodnie matki aby się rozgrzeszyć w własnych oczach. Daremno mieni się mścicielem, wykonawcą woli bogów! łzy mimowoli wybiegają mu z pod powiek, na myśl że ugodził serce matki, że wytoczył swoją własną krew! Wściekły z boleści i szału ucieka do świątyni Apolina. Niewiasty w czerni z głową zwieńczoną w sploty syczących gadzin, z okiem zabiegłém krwią, zastępują mu drogę. Co raz ich więcéj, coraz więcéj... otaczają go... przerażony ucieka... Gdzie się obróci, wciąż i wciąż gonią za nim.

To Furye! to piekielne Eumenidy, to wyrzuty sumienia co dręczą matkobójcę!... przeklętego.

Ostatnia część trylogii ma tytuł *Eumenidy:* tak Furye zwano u Ateńczyków.

Pythia, podeszła niewiasta stoi przed świątynią Apolina w Delfach. Błaga nieśmiertelnych o natchnienie. Woła na Greków niech przyjdą słuchać głosu wyroczni.

Wieszczka wchodzi w progi świątyni... przerażona cofa się z krzykiem, upada... tarza się i wije po ziemi. Jakiż to obraz stanął jéj przed oczyma? Człowiek w błagalnéj postawie, poplamion krwią... w prawicy trzyma miecz... w lewicy oliwną gałązkę... Wkoło niego ohydne niewiasty. Powalone na ziemi chrapią przeraźliwie... znać posnęły... To Furye! goniły trop w trop za matkobójcą, aż dobiegły świątyni. Tam padły pokonane snem. Wyrzut przestał męczyć człowieka odrodzonego ofiarą.

Pythya znika. Przez rozwarte na oścież drzwi świątyni widać Apolina przy Oreście. Bóg wieszczów skłania go do ucieczki. Zbudzone Furye gonić go będą przez lądy i przez morza, dopóki nie dosięgnie miasta Pallady, Aten. Tam on uściśnie posąg mądrości, tam stanie przed Areopagiem.

Apolo i Orest opuścili świątynię. Eumenidy śpią. Wtém widmo jawi się przed niemi. To Klitemnestra,. zdziwiona ich spoczynkiem. W piekle nawet upokarza ją pogarda cieniów, w niebie nawet bogowie patrzą chłodném okiem na jéj skon. Pragnie wypuścić znowu mściwą sforę w trop za uciekającym synem. Eumenidy śpią twardo, we śnie tylko dręczą ofiarę.

Klitemnestra woła a woła. Niech Furye pędzą za mordercą! niech go spalą płomienistém tchnieniem.

Widmo znika, Eumenidy budzą się, miotają skargi na tego boga wieszczów, który śmie zasłaniać istotę śmiertelną przed chłostą nieubłaganego przeznaczenia. Apolo wygania ohydne widziadła z progów swojéj świątyni.

Scena się zmienia. Widać Ateny otoczone pomrokiem nocnym, Orest obejmuje posąg Pallady. Furye ścigają go jeszcze, ale błagalna ofiara wróciła mu wewnętrzny spokój. Bóg światłości rozpogodził jego duszę. Acz spokojniejszy, przeraża go jednak zbliżająca się chwila sądu.

Wezwana Pallada rozstrzygnie spór między Furyami a synem Agamemnona. Bogini powołuje najdostojniejszych mężów ateńskich, tchnie w nich ducha mądrości, ustanawia areopag.

Sąd uniewinnia Oresta. Mądrość zwalczyła przeznaczenie, Minerwa zaspokoiła Eumenidy grożące Atenom straszną klątwą. Gród zbuduje im podziemny przybytek. Tam odbiérać będą hołdy w dniu hymenu, lub w dniu urodzin dziecka. Złagodzone Furye przyrzekają nie mącić spokoju niewinnym a wyłącznie dręczyć przestępców.

Kapłanki Pallady z pochodniami w ręku i niewiasty ateńskie obleczone purpurą, wiodą Eumenidy do podziemnéj świątyni. Bogini mądrości sama prowadzi orszak.

Na tém kończy się *Orestiada* Eschylesa.

Występują tu trzy postacie niewieście: Kassandra, Klytemnestra i Elektra, wszystkie trzy parte nieprzebłaganą ręką przeznaczenia, ślepe narzędzia wyższéj woli.

Sofokles wprowadza nas w inną, pogodniejszą sferę: ukazuje nam człowieka opromienionego blaskiem ideału. Bohatérowie Sofoklesa, jak słusznie uważa autorka, nie buntując się gorączkowo przeciw ślepéj potędze, nie upadają pod brzmieniem rozpaczy, ale cnotą i uczuciem powinności, wznoszą się nad nieszczęście. Wyrazem ich Edyp i Antygona.

Trylogią Sofoklessa mamy w pięknem tłumaczeniu Kazimierza Kaszewskiego. Znana oua dobrze czytelnikom Biblioteki. Niemożemy jednak pominąć jéj w tém sprawozdaniu, bo czyżby obraz niewiasty greckiéj mógł być dokładnym bez Jokasty a zwłaszcza bez Antygony?

Morowa zaraza pustoszy Teby. Edyp, który za pokonanie Sfinxa otrzymał od Tebanów tron po Lajusie ostatnim ich królu, i rękę wdowy królewskiéj Jokasty, Edyp cierpi głęboko nad nową ludu swego niedolą; aby zapobiedz złemu, zapytuje wyrocznię del-

ficką przez usta Kreona, brata małżonki swojéj. Kreon przynosi odpowiedź Apolina. Bóg światła oznajmia, że plaga nie ustanie, dopóki Teby cierpiéć będą mordercę Lajusa w murach swoich, dopóki nie wypędzą go z kraju.

Król zabity był w podróży, o skonie jego krążą wieści niepewne. Plagi jakie Sfinx zadawał podówczas Tebanom, nie dały im ścigać królobójcy.

Edyp przeklina nieznajomego mordercę, który obecnością swoją sprowadza na Teby klęskę moru. Za radą Kreona, powołuje wieszczego Tereziasa . . niechaj on wymieni przestępnego. Stary ślepy wieszcz prowadzon przez dziecię, stawia się w pałacu królewskim. Zapytany nie odpowiada, król zżyma się, nalega coraz to silniej, grozi. Zniecierpliwiony Terezias oznajmia w końcu, że tym przestępcą który ściąga plagę na Teby, to król! to on sam Edyp!

Król szlachetny zwykle i dobry, zapala się niepowściągnionym gniewem. Obwinia Kreona o podstęp. Przywołuje go . . rzuca mu w oczy zdradę, zagraża śmiercią.

Jokasta słyszy hałas . . . przybiega . . . staje pomiędzy mężem a bratem, nagania im wzajemne kłótnie, w chwili kiedy plaga rozsiewa śmierć po nieszczęśliwym kraju.

Na zarzuty Edypa, Kreon uniewinnia się w obec siostry. Prawda odbija w jego słowach. Jokasta błaga męża niechaj zawierzy bratu. Chór starców tebańskich nalega z nią razem. Nieprzebłagany Edyp odrzuca prośby . . wreszcie wyrok śmierci zamienia na wieczne wygnanie.

Kreon oddala się. Jokasta pyta czemu król zarzuca mu zdradę?

— Żono—odrzecze Edyp—więcéj cię szanuję niż tamtych ludzi . . . wszystko ci wyznam.

I opowiada jako z namowy Kreona, Terezyas mieni go królobójcą. Ale Jokasta gardzi zwodnemi wieszczby, wié z doświadczenia jak te bywają mylne. Ażaliż nie przepowiedziano Lajusowi, że polegnie z ręki własnego syna? a przecież król padł na rozstajnéj drodze, napadnięty przez rozbójników. Co zaś do syna, wkrótce po urodzeniu, ojciec przebił mu obie nogi i rozkazał ponieść go na wysoką górę. Matka nie śmie wyznać, że ona sama wydała niemowlę w ręce sługi.

Słowa Jokasty nie zaspokoiły męża. Opis miejsca gdzie Lajus był zabity, napełnia go trwogą. Drżący wypytuje żonę:

— Jakiego Laj był wieku? jakich kształtów ciała? Jokasta na to:

Był wzrostu wysokiego, włos jego białawy,
A podobien do ciebie z twarzy i postawy.

Biada mi!—zawoła Edyp:

Jaż to nieświadomy,
Sam na siebie rzuciłem strasznych przekleństw gromy?

Królowa drży . . odpowiada jednak na pytania. Sługa Lajusa, jedyny z jego straży, który uniknął mordu, wyjaśnił jéj całą przygodę: tego człowieka niema w Tebach. Skoro za powrotem ujrzał Edypa na tronie, błagał królowę aby wydaliła go z miasta, a powierzyła mu straż nad trzodą.

Edyp żąda widzieć pasterza.

— Przybędzie tu — odrzecze Jokasta — ale wyznaj mi królu co dręczy serce twoje?

— Wyznam ci wszystko: wiedz królowo
Z jakim niepokojem
Oczekuję na wieści. Jest-że kto na świecie,
Z kimbym chętniéj cierpieniem podzielił się mojem?

I król opowiada małżonce, jak w domu ojca Polyba króla Koryntu i królowéj Meropy, dnia jednego z ust pijanego sługi posłyszał że jest dzieckiem przybranem; mimo zaprzeczenia rodziców, słowa te głęboko utkwiły w jego duszy. Udał się tajemnie do Delf. Apolo przez usta wyroczni, nie odrzekł prosto na pytanie, lecz odkrył mu przyszłe nieszczęścia, oznajmił że będzie mordercą ojca własnego i małżonkiem swéj własnéj matki. Strwożony Edyp ucieka zdala od Koryntu, aby uniknąć strasznego przeznaczenia. Mierząc odległość dróg gwiazdami, przebiega wciąż z kraju do kraju, aż wreszcie w miejscu wskazaném przez Jokastę, spotyka starca jadącego na wozie, otoczonego sług orszakiem. Było to na rozstaju. Słudzy spychają z drogi Edypa, starzec godzi go w ciemię. Rozgniéwany młodzian, podnosi kij, powala starca, morduje sługi. Byłżeby Lajus owym starcem? Jakiż los czeka nowego małżonka Jokasty? Jeżeli opuści królestwo, maż wracać do ojczyzny, gdzie podwójną ma spełnić zbrodnię? Niech go bogowie ustrzegą tego sromu . . . Umrzéć mu raczéj w Tebach!

Próżno królowa usiłuje zaspokoić małżonka. Edyp odchodzi. Jokasta składa wieńce i drogie wonie u stóp Apolina, którego posąg strzeże pałacu królewskiego.

Tu przybywa goniec z Koryntu. Oznajmia śmierć Polyba... W imię ludu wzywa Edypa na tron. Królowa widzi w tém świadectwo przeciwko wyroczni. Edyp nie będzie mordercą ojca swego.

Nadchodzi król. Jedyna jeszcze pozostaje mu trwoga: przestępne małżeństwo zapowiedziane w Delfach. Słyszy to goniec . . zaspokaja Edypa . . wyznaje tajemnicę: Meropa nie była jego matką. On to sam przed laty, przyniósł go pozbawionemu potomstwa Polybowi, on sam podjął go dzieckiem na zielonéj wyżynie Cytheronu; on sam zdjął pęta z jego maleńkich nóżek. Pasterz z domu Lajusa oddał mu niemowlątko.

Edyp zapytuje starców tebańskich, znają-li owego pasterza? Chór mniema że to właśnie ów starzec, z którym król pragnął mówić.

Jokasta zrozumiała wszystko. Błaga, niechaj król zaprzestanie daremnych badań:

Nieszczęsny bodajś nigdy nie znał swego rodu?
– Przyprowadźcież mi tego pasterza do grodu.

Woła niecierpliwy król. Mniema on że Jokastę przeraża wieść o nizkiém jego pochodzeniu. Z goryczą téż dodaje:

Niechaj ona się cieszy rodu swego chwałą!
—Nieszczęsny, tak mi ciebie tylko zwać przystało!

Odrzecze królowa z najwyższą boleścią i usuwa się do swych komnat.

Edyp w bólu małżonki widzi tylko obrażoną dumę niewieścią. On zbada tajemnicę rodu swego i cóż mu ten ród znaczy? Zbawca Teb, nie jestże sam z siebie dosyć wielkim? Potrzebaż mu chwały naddziadów?

Nadchodzi pasterz: wyznaje tajemnicę. W jego to ręce Jokasta oddała nowonarodzone dzieciątko; on poniósł je na górę, on zdjęty litością ocalił je od śmierci.

Edyp słucha . . . nieprzebłagana prawda błyska mu przed oczyma . . . woła z najwyższą rozpaczą:

Nieba! wszystko już wyszło z tajemniczéj matni!
O! światło, ja cię widzę dziś po raz ostatni!

I wbiega do pałacu; chce widzieć tę niewiastę, któréj nieśmie nazwać już ani małżonką, ani matką. I kołacze we drzwi komnaty. Naprożno . . . zawarła je szczelnie królowa. Rozbija podwoje . . . patrzy . . . na łożu powalon trup Jokasty.

Na widok samobójstwa, Edyp ryczy jak rozjuszony lew. Rozrywa pas ściskający szyję królowéj, chwyta sprzączkę złotą, wydziéra nią własne oczy . . . Niechaj te oczy nie patrzą na nieszczęśliwą dziatwę, zrodzoną ze zbrodni i hańby.

Ślepy, zbroczony krwią, chwiejącym krokiem wraca do poddanych. Niechajże czém prędzéj wygnają go z téj ziemi, dla któréj obecność jego przekleństwem. Błaga Kreona o pogrzeb dla Jokasty, o opiekę dla córek.

Ja tobie synów moich nie zlecam Kreonie,
Oni męże, chléb znajdą w każdéj świata stronie;
Alem dwie biédne córki zostawił na ziemi:
One zawsze siadały u mojego stolu,
Z niemi ja każdy kąsek dzieliłem pospołu.
O! ty mnie teraz wyręcz, ty czuwaj nad niémi,
Pozwól dotknąć je ręką . . . oh! błagam cię o to,
Pozwól zapłakać z niemi nad spólną zgryzotą!

Ciche łkanie potrąca nagle ucho ślepego ojca. Edyp składa dzięki Kreonowi, drżące dłonie kładzie na głowie córek. I opuszcza Teby . . . odchodzi na wieczne wygnanie.

W téj pierwszéj części trylogii, obok Edypa równym blaskiem świeci postać Jokasty. Jak pilnie poważna matrona, odgania od męża wszelkie troski, z jak mądrą przychodzi mu radą w zatargach z bratem, jak łagodzi go w gniéwie, koi w trwodze i udręczeniu!

W dwóch następnych częściach, Sofokles ukazuje najcudowniejszy ideał córki i siostry. Antygona, to prototyp, z którego wieki czerpać będą.

Sofokles siedmdziesięcioletni już starzec, napisał Edypa w Kolonie. Dręczony w domu przez złe dzieci, utworzył sobie świat idealny, tém cudniejszy, im smutniejszą była rzeczywistość. Jakiż to niewysłowiony urok w postaci tego ślepego starca, w obec czarodziejskiéj przyrody, któréj on nie zobaczy.

Edyp.

Powiedz, starego ślepca córko ukochana,
W jakim grodzie jesteśmy? w jakich ziem ustroni?
Kto tułacza Edypa dzisiejszego rana
Podejmie skromnym datkiem z dobroczynnéj dłoni?

Antygona.

Widzę zblizka Edypie, ojcze nieszczęśliwy,
Jakiś gród, w okół grodu obronne wieżyce,
A to miejsce snać święte, bo zewsząd oliwy,
To wawrzyny, to bujne jaśnieją winnice,
I słowików w powietrzu brzmią rozkoszne pienia;
Więc siądź ojcze tu, na tym odłamie kamienia,
Boś strudzon jako stary włóczęgą po świecie!

Z ust przechodnia idącego drogą, dowiaduje się Edyp, że miejsce gdzie spoczął poświęcone Eumenidom. Stopa ludzka nie dotknie go bezkarnie. Starzec zostaje pomimo ostrzeżenia, pragnąłby widzieć Tezeusza króla Aten.

Podróżny oddala się... idzie po Koloniatów. Ślepy wygnaniec tymczasem, słowami modlitwy objawia, jaki powód trzyma go w tym gaju. Wyrocznia zapowiedziała mu, że po długoletnich cierpieniach, znajdzie nakoniec pokój w ziemi poświęconéj Eumenidom. Edyp wzywa boginie o najwyższą łaskę... o śmierć!

Nadbiegają strażnicy. Łagodnemi słowy upominają starca, niech co żywo odejdzie z tych miejsc. Antygona słodko nalega, uprowadza ojca po za obręb gaju świętego.

Koloniaci chcą znać imię tego, czyja stopa depcze ich ziemię. Starzec radzi się córki.

— Mów ojcze!—odpowie Antygona.

Powolny jéj zwraca się do ludu:

Czy znany wam
Nieszczęsny Edyp?

Chór.

To ty!

Edyp.

Ja sam!

Koloniaci drżą słysząc to imię. Trwoga czyni ich okrutnymi, wyganiają nieszczęsnego, którego obecność może ściągnąć na kraj straszne plagi.

Antygona, milcząca dotąd, przystępuje ku starcom, błaga ich o miłosierdzie nad ojcem. Zaklina ich na miłość własnych dzieci.

Chór wacha się zniewolony jéj prośbą.

Tu Edyp podnosi głos w obronie własnéj. Nie ów to już Edyp szarpany rozpaczliwym wyrzutem. Ślepy starzec spojrzał w głąb duszy swojéj, widzi ją czystą i bez winy. On nie był przestępnym, był tylko nieszczęśliwym. Los popchnął go na drogę zbrodni, lecz wola jego nie brała w niéj udziału. Z królewską powagą rzecze do Koloniatów:

Wy mi nie odmawiajcie swobody i straży,
Nie patrzcie na ohydę méj sędziwéj twarzy;
Bo ja dzisiaj przed wami niby święty stoję,
Pomyślność wiodąc na was i na wasze kraje.

Słowa te przenikają na wskróś serca Koloniatów. Edyp, ślepy wygnaniec z koszturem w ręku, wspanialéj przedstawia się ich oczom, niż Edyp król ze złotém berłem, przyodzian królewską purpurą. Niechaj Tezeusz król Aten rozporządzi sam jego losem.

Chór oddala się. Nagle Antygona spostrzega dziewicę pędzącą na rączym biegunie. Z pod tessalskiéj zasłony, poznaje lica podróżnéj: to siostra iéj Izmena.

Edyp poruszon głęboko, wysławia męztwo i ofiarę córek swoich, a gromi obojętną bezmyślność synów, którzy

Od niejakiéj chwili,
Coś na sposób egipski żywot urządzili,
Tam bowiem męże siedzą po domach z wrzeciony,
Kiedy o chléb za domem starają się żony.

Wy tymczasem o mężne córy, wiernie spełniacie powinność waszą!

Antygona od czasu jak minęły chwile
Jéj dziecinnéj niemocy, odkąd wzrosła w sile,
Ojcu nieszczęśliwemu towarzyszy wszędy,
Brnąc ochoczo za starcem w tułacze obłędy;
Ileż razy niepomna głodu i niewczasu,
Krwawiła bose nogi o cierniska lasu,
Gdy deszcze na nią lały, gdy żar piekł jéj głowę!

—A ty—zapyta— co jak stróż wierny czuwałaś nademną w ziemi ojczystéj, kiedy mnie z niéj wygnano, mów dziecię, jakie przynosisz mi tu wieści?

Smutne to wieści! Opowiada Izmena jak bracia jéj porzuciwszy nikczemnie tron na pastwę Kreona, toczą bezustanku bratnie boje. Jak Polemik wypędzony przez Eteokla, sprzymierzył się z Argos, i wiedzie obcy zastęp na zgubę swéj ojczyzny. Izmena dodaje, że wyrocznia przyrzekła szczęście ziemi, w któréj spoczną kości Edypa. Ten który przeżył dni w walkach i niedoli tułaczéj, stanie się po śmierci tarczą dla kraju, który przyjmie jego popioły. Kreon świadomy wyroku przybędzie niebawem po ślepego króla, zawiedzie go nie do Teb, lecz na kresy Tebańskich dziedzin.

Edyp przeklina wyrodnych synów. On nie powróci do Teb. Jeśli Ateny nie odmówią mu wsparcia, pozostanie na wieki u ich bram, będzie im wiernym stróżem, a postrachem ich nieprzyjaciół.

Według rady starców, ślepy tułacz ma złożyć ofiarę Eumenidom, za postawienie nogi w gaju świętym. Ale słabość, a bardziéj ślepota nie pozwala mu na to: Izmena idzie do gaju po zioła święte, Antygona zostaje z ojcem.

Przybywa Tezeusz, ofiaruje wygnańcowi własny pałac w Atenach. Ale Edyp musi pozostać w świętym gaju. Tu ziemia pokryje ciało jego. Tezeusz przyrzeka mu obronę w razie napaści i powraca do Aten.

Ledwie odszedł zjawia się Kreon: z licznym orszakiem przybywa po Edypa. Starzec przyjmuje go z szlachetną dumą. Kreon oświadcza że Izmena jest już w jego mocy, zagraża porwaniem Antygony. Koloniaci rozkazują mu ustąpić, nie w mocy ich przecież walczyć z wojskiem Kreona. Patrzą z uczuciem grozy, jak nikczemnik wydziéra mu tę córkę, która była mu okiem i ramieniem, która tchnieniem własném ogrzéwała skrzepłą pierś jego.

Służalcy uprowadzają Antygonę, sam Kreon porywa starca. Nagle przybiega Tezeusz . . . zmusza Kreona, niech go wiedzie za śladem dziewic.

Edyp czeka . . . Chór oznajmia mu powrót córek. Nadbiegają niebawem, tulą się do piersi ojcowskiéj. Prowadzi je Tezeusz. Edyp składa dzięki szlachetnemu obrońcy.

Król Aten oznajmia starcowi że obcy człowiek pragnie z nim mówić. Edyp wié że tym obcym syn jego Polinik: odtrąca go zrazu, lecz zniewolony prośbą córek, ulega im nakoniec.

Tezeusz oddala się . . . W téjże chwili nadchodzi Polinik. Na widok ślepego starca, na widok siostr dzielących z nim wygnanie, syn Edypa czuje gorzki wyrzut, zalewa się łzami, błaga ojca o przebaczenie. Edyp milczy.

Polinik wzywa siostry o pośrednictwo. Antygona skłania go aby wyznał powód przybycia swego, a rozwiąże usta ojcowskie.

Stary król dowiaduje się wreszcie, że wyrocznia przyrzekła zwycięztwo téj stronie, którą on będzie wspiérał. Uniesiony gniewem przeklina obu synów. Niech pomordują się nawzajem.

Antygona błaga tkliwemi słowy Polinika, niechaj się nie naraża na skutki klątwy ojcowskiéj, zaniecha bratobójczéj walki i zbrojnego napadu na kraj własny. Zapóźno już niestety. Polinik nie cofnie już kroku! Błaga siostry o jedyną łaskę, jeśliby poległ, niech pochowają w Tebach jego ciało!

Odchodzi unosząc klątwę ojca, łzy siostr i przyrzeczenie Antygony.

Błyskawica rozdziéra chmurę i piorun uderza. To wróżba skonu. Czas umrzéć Edypowi. Ślepy starzec przyzywa Tezeusza. On sam poprowadzi go do grobu, on jeden ma wiedzieć o tym grobie, córki nawet nie ujrzą go na oczy.

Edyp woła je obie, ukazuje im drogę. Wzrok jego zagasł na światło, lecz ucho słyszy głos bozkich przewodników.

Odchodzą. Chór pozostaje sam. Goniec nadbiega wkrótce. Opowiada Koloniatom jak Edyp przyszedłszy nad brzeg otchłani, uważanéj za bramę piekieł, żądał aby córki przyoblekły go w nowe szaty. Grzmot dał się słyszéć, strwożone dziewice upadły do nóg ojca. Edyp uścisnął je obie, dziękował im za tkliwe starania i płakał z niemi razem. Umilkli. Wśród głuchéj ciszy, straszny głos zawołał: Edypie! Starzec pochwycił rękę króla Aten, powierzył mu los siérot.

Tezeusz zaprzysiągł im opiekę. Edyp w osłabłe ramiona objął raz jeszcze córki, i rozkazał im odejść. Oddaliły się z gronem ateńskich mężów, pozostali tylko obaj królowie.

Kiedy goniec spojrzał po za siebie, Edypa już nie było. Sam Tezeusz stał jak słup, oczy zacisnął dłońmi, a potém upadł na kolana.

Dziewice powracają na scenę, wkrótce po nich przybywa Tezeusz.

Antygona błaga króla Aten, niech jéj ukaże miejsce, kędy złożone prochy ojca. Król objawia im ostatnią wolę konającego. O tym grobie prócz niego nikt żywy niema wiedzieć.

Córki z uszanowaniem poddają się pod wyrok. Jedyne pozostało im pragnienie. Chcą wrócić do ojczystego miasta. Może jeszcze zdołają powstrzymać rozlew krwi bratniéj. Tezeusz czyni zadość ich woli.

Trzecia część trylogii p. t: *Antygona*, odbywa się w Tebach, po bratobójczéj walce, któréj żadna moc powstrzymać nie zdołała. Tu gołąbka przemienia się w orlicę, tkliwa córka Edypa w nieustraszoną bohatérkę.

Obaj bracia polegli w krwawym boju. Kreon król Teb wyprawia wspaniały pogrzeb Eteoklowi, jako poległemu w obronie grodu ojczystego. Przeciwnie zaś pod karą śmierci zabrania wszelkiéj czci pogrzebowéj Polinikowi, który naprowadził na kraj obce zastępy. Z rozkazu króla obnażono ciało zdrajcy, wyrzuco-

no w pole na pastwę krukom i sępom. Postawiono przy niém straż, aby nikt nie poważył się rzucić na trupa garści ziemi.

Antygona nie lęka się groźby. Gdyby jéj przyszło ponieść śmierć, ona pogrzebie zwłoki brata. Wszak mu to przyrzekła w Kolonie, przy ostatniém rozstaniu. Ona to oznajmia Izmenie srogi wyrok Kreona. Żąda aby z nią razem uniosła potajemnie braterskie ciało, i pokryła je ziemią. Z gniéwem patrzy na trwożliwą Izmenę, boleje czemu nie zdoła przelać w jéj duszę tkliwą ale słabą, tego płomienia co przepala jéj własne serce... Odtrąca niechętną jéj pomoc.

Czyń jak chcesz, brata ja sama pogrzebię,
A potém umrę, śmiercią świętéj zbrodni,
O! piękną śmiercią, i tak nieodrodni
Wzajemną miłość złożym obok siebie;
Ja się chcę bogom zasłużyć, bo z niemi
Dłużéj mi bywać niż z ludźmi na ziemi.

Antygona znika ze sceny, pojawia się dopiéro, kiedy strażnik czuwający nad grobem Polinika, stawia ją przed Kreonem. Wprzód już ten człowiek oznajmił królowi, że pod nocy osłoną jakaś ręka zuchwała pokryła trupa lekką powłoką ziemi. Przywołał potém towarzyszów, wydobył z nimi na wierzch odrażliwe cuchnące ciało, ale w chwili gdy słońce paliło ich żarem, zerwał się gwałtowny uragan. Tuman piasku zaślepił im źrenice. Kiedy rozwarli oczy, spostrzegli Antygonę nad trupem, miotającą przekleństwa i obelgi na tych, co znieważyli zwłoki brata. Ujęli ją i przywodzą przestępną.

Antygona stoi spokojnie, z okiem w ziemię spuszczoném. Zapytana przez Kreona ażali wiedziała o wyroku, odpowiada że on wyrok nie był wcale dla niéj tajemnicą, ale prawa śmiertelników milkną w obec praw wiekuistych, które bóstwo nakreśliło w ludzkiém sumieniu. Wolała zatém przełamać ludzkie niż boskie prawa. Czeka ją śmierć, wié o tém, lecz kto ucierpiał wiele, czyliż go śmierć ustraszy?

Izmena przybiega zalana łzami, przyjmuje udział w winie, chce umrzeć razem z siostrą; Antygona odrzucą ofiarę: kto nie dzielił nieposłuszeństwa, nie może dzielić kary.

Syn królewski Hemon, błaga o łaskę dla Antygony. Z woli ojca miał ją poslubić, maż utracić drogą oblubienicę? Ostrzega króla, że wszystek lud tebański czci córę Edypa jako bohaterkę, widzi w niéj niewinną ofiarę, godziż się lekceważyć głos ludu?

Nieprzebłagany Kreon odtrąca syna, zowie go niewolnikiem niewiasty; Antrygona umrze, nic jéj nie ocali przed śmiercią. Hemon odchodzi, poprzysięga ojcu, że nie powróci więcéj.

Kreon postanawia wtrącić Antygonę do pieczary, zamurować ją żywcem w grobie. Wyrok zapadł. Starce Tebańscy opłakują nieszczęsną dolę córy królów. Pierwsza skarga wybiega

wtedy z ust dziewicy. Tkliwie żegna słońce, które nie błyśnie już jéj oku i pochodnię hymenu, która jéj nigdy nie zaświeci. Jedyna została jéj pociecha przypomina drogich umarłych: wnet połączy się z nimi.

Ojcze mój, matko, bracie, to przynajmniéj tuszę,
Iż wam przybyciem mojem rozraduję duszę;
Bom ja mą własną ręką myła wasze ciała,
Jam téż czystą objatę na wasz grób wylała.

Niewiadomo czy Antygona kocha oblubieńca, poeta nie objawił jéj uczuć żadném słowem. Żal jéj tylko słodkich uroków życia, których nie pozna nigdy.

Bo mnie z pomiędzy żywych gwałtem pochwycono,
Że ja w dziewiczéj szacie zejść ze świata muszę
Nie znając jaka rozkosz być matką i żoną.

Ostatniém jéj słowem, klątwa na sprawców mordu.

Ledwie uprowadzono Antygonę wchodzi wieszczy Terezias. Zapowiada królowi że jedyny syn przypłaci głową jego nieludzkie czyny. Wtrącona żywcem w grób Antygona i trup Polinika rzucony bez pogrzebu sprowadzą rychło pomstę bogów. Kreon drży, powołuje starców na radę.

—Królu! uwolnij Antygonę, uczcij pogrzebem Polinika!—wołają chorem Tebany.

Kreon ulega....niestety już zapóźno! Gdy odszedł, goniec oznajmia starcom samobójstwo Hemona.

Królowa Eurydyka wbiega na scenę, słucha w milczeniu okropnéj opowieści.

—Gdy w obecności królewskiéj—mówi goniec—pogrzebano ciało Polinika, król z orszakiem przystąpił do grobu Antygony. Nagle dał się słyszeć jęk Hemona. Odwalają kamień.... cóż widzą? Oto martwą już Antygonę. Młodzian płacze nad trupem oblubienicy. Próżno rozrywa wstęgę obwiniętą szczelnie w około jéj szyi. Boleść szarpie serce Kreona. On już nie królem ale ojcem. Rzuca się na syna, chce go wyrwać gwałtem z pieczary.

A Hemon na to dzikie wlepił weń źrenice,
I nic nie odpowiedział, i plunął mu w lice,
Pochwycił miecz dwósieczny—ojciec byłby nie żył,
Szczęściem w porę się cofnął, miecz w stronę uderzył:
Wtedy on już na siebie całą wściekłość zionie,
Utyka na ostrz miecza, topi go w swém łonie,
Krew bryzga, czuje młodzian że w nim życie kona;
Pochwyca narzeczoną w mdlejące ramiona:
Na licach jéj ostatnie wyzionął westchnienie.

Królowa Eurydyka wysłuchała w milczeniu, poszła i cicho wstępuje do pałacu. Milczenie to przeraża starców Tebańskich... A kiedy Kreon przynosi martwe zwłoki syna i mieni się jego mordercą, przynoszą mu wieść, że królowa utopiła miecz w własnéj piersi, przeklinając wyrodnego małżonka.

Tak poeta kończy wspaniałą trylogię. Antygona uosabia w niéj najwyższy ideał miłości dziecięcéj i bratniéj.

Z nie mniejszym urokiem Eurypides zidealizował *w Alceście* typ wiernéj małżonki. Rzućmy okiem na tę prześliczną tragedyę, osnutą na starożytnym mycie greckim.

Młody król Tessalii Admet nieuleczoną dotknięty był chorobą. Apollo, który podczas wygnania swego z Olympu, przebywał w usługach tego króla, i poznał wielkie jego cnoty, Apollo wyjednał u Park, że Admet może być ocalony, jeżeli ktoś inny odda w okup życie za niego. Ojciec i matka aczkolwiek przyciśnięci wiekiem, nie chcą poświęcić dla syna ostatka dni pozostałych im jeszcze na ziemi. Alcesta młodziuchna małżonka okupuje go ofiarą życia w pełnym kwiecie.

Śmierć Alcesty oto przedmiot tragedyi Eurypidesa.

Już mimo ofiar, jakiemi Admet pragnie wybłagać u bogów życie żony, śmierć krąży nad pałacem królewskim. Starcy z Phares garną się do przedsionku i pytają trwożliwi, ażali ukochana królowa nie jest już martwym trupem? Wierna sługa płacząc opowiada im co się stało przed chwilą w pałacu. Gdy słońce weszło, Alcesta przywdziała najpiękniejsze swoje szaty, a potém uklękła przy ognisku i błagała Westę przeczystą boginię, aby była matką dla jéj maleńkich dziatek. Modliła się także u domowych ołtarzy, zwieńczyła je zielenią, potrząsnęła myrtem. Łza nie upadła z jéj oka, westchnienie nawet nie wybiegło z piersi. Na pięknem jéj obliczu śmierć nie wycisnęła jeszcze piętna. Ale kiedy weszła do małżeńskiéj komnaty, siły opuściły ją nagle. Zalała się łzami na myśl, że inna szczęśliwsza od niéj kobiéta, zastąpi ją przy drogim Admecie. Wyszła z komnaty i powróciła znowu. Ciężko jéj było rozstać się z miejscem, gdzie zostawiała tyle wspomnień! Drobne dzieciny czepiały się jéj szat i płakały. Biedna matka tuliła je do łona, darzyła po kolei ostatnią pieszczotą, ostatnim pocałunkiem, a potém wyciągnęła rękę do niewolnic, do każdéj wyrzekła słodkie słowo.

A małżonek płakał rzewnie i przyciskał Alcestę do serca, jakby chciał gwałtem zatrzymać ją na ziemi.

Młoda kobiéta pragnie zobaczyć światło dzienne, które nigdy już nie uśmiechnie się do niéj. Wsparta na ramieniu męża, otoczona dziatwą, wychodzi z pałacu. Wita słońce, pogląda w stronę ziemi ojczystéj, kędy zbiegła jéj młodość, nim przybyła do domu Admeta.

Próżno mąż zatrzymać ją pragnie, Alcesta nie może pozostać. Nieprzebłagane bóstwo pociąga ją gwałtem.... to śmierć. Zrazu kobieta odtrąca jéj chłodny uścisk. Trwoży się téj drogi

dalekiéj, nieznanéj, którą widzi przed sobą. Drży, chwieje się, zmrok pada jéj na oczy. Sługi sadzą ją w krześle pół omdlałą.

„Dzieci moje, wyszepce po chwili, dzieci ukochane, stało się, wy już nie macie matki! Żyjcie szczęśliwie, niech wam długo połyska dzienne światło!“

Słowa Alcesty ciężko ranią serce Admeta. Błaga żonę, niechaj go nie opuszcza, on bez niéj żyć nie zdolny.

Konająca przemogła trwogę. Z duszą pełną spokoju, wyraża królowi ostatnią wolę swoją. Przedstawia mu czém była dla niego. Okupiła jego dni poświęceniem własnego życia, a jednak mogła w nowych związkach nowym zaświecić blaskiem. Ale czém dla niéj życie bez Admeta? Nie chiała aby dzieci jéj były po ojcu siérotami. Kiedy starzy rodzice wzbraniali się okupić życie jedynaka, szczątkami dni zwiędłych, ona poświęciła za męża swoję kwitnącą młodość. Niechże on w zamian przyrzeknie uroczyście, że nie pokrzywdzi biednych siérot, że im nie da macochy.

Admet zapewnia Alcestę, że żadna kobiéta nie zastąpi jéj miejsca przy domowém ognisku. Nie zrzuci on szaty żałobnéj. O ściany pałacu nie odbije się nigdy dźwięk pieśni, ani wrzawa godowa. Z jéj skonem straci życie dla niego wszelki urok. Jedyną mu pociechą będzie posąg marmurowy, powtarzający wiernie jéj postać, pomieszczony w komnacie. Błaga Alcestę, niechaj we śnie pojawi się niekiedy oczom jego. Gdyby Admet miał geniusz Orfeja, poszedłby jak małżonek Eurydyki i wyrwałby ją z paszczy piekieł. Niechajże czeka ukochana, a skoro on dobieży kresu dni, otworzy się dlań wieko cedrowego sarkofagu i położy obok niéj głowę.

„Śmierć—rzecze—nie oddzieli mnie od ciebie, bo ty jedna byłaś mi wierną!“

Alcesta bierze dzieci na świadectwo, jako mąż nie zawrze nowych związków. Oddaje każde z nich w ręce Admeta, niech on będzie matką siérotom.

Król w rozpaczy błaga o jedno jeszcze słowo, o jedno spojrzenie . . . Daremno! . . . Alcesta już skonała.

Martwa nie słyszy nawet łkania dziatwy, nie czuje pocałunku starszego synka, który wspiął się do wezgłowia matki i drobne usteczka tuli do sinych ust umarłéj.

Admet mimo najwyższéj boleści, czyni rozporządzenia do pogrzebu. Wszyscy poddani obleką żałobę. Koniom nawet niechaj obetną grzywy.

Chór starców życzy królowéj szczęścia w nowéj tajemniczéj siedzibie, przepowiada, jako poeci, ulubieńcy muz, znajdą w jéj poświęceniu przedmiot do nieśmiertelnéj pieśni. Eurypides wypełnił wróżbę wieszczą.

Podczas kiedy słudzy krzątają się pilnie, Herkules w podróży do ziemi Traków, zachodzi na nocleg w progi pałacu. Przyjmuje gościa Admet z krótko strzyżonym włosem, z rumianemi od łez oczyma. Wyznaje że utracił drogą sercu osobę, lecz nie mówi że zmarła należy do rodziny. Gdyby oznajmił śmierć królowéj,

zmusiłby Herkulesa do szukania przytułku pod innym dachem, król uchybiłby prawom gościnności.

Skoro Herkules wszedł do gościnnych komnat, Admet wyprowadza orszak pogrzebowy. Niewolnik, któremu rozkazano służyć podróżnemu, opuszcza komnatę, i wychodzi przed pałac. Boleśnie mu było patrzéć na gościa spełniającego wesoło czaszę, w domu pokrytym żałobą. Opowiada jak wstrętnie on i jego towarzysze, czynią zadość woli królewskiéj, ukrywając łzy swoje przed gościem. Biédny sługa! musi zastawiać ucztę, podczas kiedy królowa oddala się na zawsze; nie może iść za nią, ani dotknąć jéj ręki, ani zapłakać nad dobrą panią, która była matką sług, i umiała zawsze hamować króla, kiedy był gniewnym na nich!

Herkules nadchodzi. Nagania niewolnika, że twarz smutną ukazuje przed gościem. Sługa zdziwiony iż podrożny nie zna przyczyny jego smutku, opowiada co zaszło. Bohatér wyrzuca sobie, że mimowoli zakłócił żałobę Admeta. Zapytuje kędy Alcesta pogrzebiona? wnet pospiesza do grobu; tam zaskoczy on drogę śmierci, stoczy z nią bój, z zimnych jéj objęć wydrze młodą i piękną ofiarę. Jeśli nie spotka posępnéj bogini, gotów zstąpić nawet do piekieł. Bądź co bądź powróci towarzyszkę temu, który przez cześć dla niego stłumił gwałtowną boleść.

Powraca Admet. Z rozpaczą w sercu patrzy na piękny pałac. Wspomina chwilę, kiedy w te progi wprowadził po raz pierwszy uroczą małżonkę. Wówczas pieśni hymenu pobrzmiewały szczęśliwéj parze, dziś pobrzmiewają samotnemu łzy i żałosne jęki! Nie ma siły przekroczyć tych progów! Co odpowie siérotom, kiedy z płaczem zapytają o matkę.

Chór opiewa niezbłaganą potęgę konieczności. Łzy żalu nie wskrzeszą umarłéj. Wieczna chwała téj, któréj życie było pasmem cnót, a śmierć najszczytniejszém poświęceniem.

Tu nadchodzi Herkules. Towarzyszy mu kobiéta w zasłonie. Bohatér wymawia królowi, czemu zataił przed nim śmierć Alcesty? Oznajmia że przedsiębierze nową wyprawę na Traków. Na czas nieobecności, powierza królowi niewiastę, którą zdobył w zaciętéj walce. Gdyby nie wrócił, ona zostanie u Admeta.

Król wzbrania się przyjąć pod dach swój branki Herkulesowéj. Nie zniósłby widoku téj niewiasty. Jéj stopa nie przekroczy progów gineceum: byłoby to zniewagą umarłéj. Rzecz dziwna! postać kobiéty przypomina Alcestę! Widok jéj rani serce Admeta. Niechże z tych miejsc ustąpi co żywo.

Bohatér usiłuje powściągnąć żal królewski, upewnia, że wpływ czasu zabliźni jego rany, przedstawia urok nowych związków.

Admet oburzony podobném przypuszczeniem, zapowiada stanowczo, że woli śmierć niż złamanie wiary.

Pokonany wreszcie prośbą Herkulesa, rozkazuje sługom zaprowadzić brankę do gościnnych komnat pałacu. Herkules prze-

kłada, że prawa gościnności nakazują królowi być samemu jéj przewodnikiem. Król ze wstrętem bierze dłoń nieznajomej.

— Trzymasz ją? zagadnie Herkules.

— Trzymam, odrzecze Admet.

— Niechajże pozostanie twoją, abyś mógł powiedzieć, że syn Jowisza umie być wdzięcznym gościem.

To rzekłszy Herkules odrzuca zasłonę z oblicza obcéj kobiéty. Admet poznaje w niéj Alcestę.

Młoda małżonka słodkiém tylko spojrzeniem odpowiada mężowi. Stoi milcząca i nieruchoma jak posąg. Nie wolno jéj przemawiać do nieśmiertelnych, póki nie złoży ofiary bóstwom piekieł.

IV.

Ze sceny stworzonéj geniuszem wielkich poetów, autorka przenosi nas na szerszą jeszcze scenę, na rzeczywiste pole historyi. Mało niewiast ateńskich odgrywa rolę na tém polu; występują tu głównie córy Grecyi północnéj, niewiasty Doryckie i Eolskie. Historyczne to studyum zbyt ważne aby je streścić w kilku pobieżnych słowach, postanowiliśmy dać je w osobnym przekładzie, kronikę zaś naszą zakończymy dziś wyliczeniem kobiet, których imiona zaświeciły niezgasłym blaskiem w dziejach literatury i sztuk pięknych uprzywilejowanego ludu Helenów.

Tak samo jak w historyi, Doryckie i Eolskie niewiasty okazują w dziedzinie sztuki wysokie zdolności umysłowe, rozwinięte staranném wychowaniem. Do nich to liczymy owe dziewięć wieszczek, które poeta Antipater nazwał muzami ziemskiemi.

Autorka prowadzi nas najprzód na wyspę Lesbos, kędy skały wychylają granitowe czoła z poza cienistych lasów, kędy potoki huczą wśród niezgłębionych jaskiń. Od wschodu widnokrąg się rozjaśnia, stoki gór pokryte zbożem i oliwą chylą się łagodnie ku morzu, woń pomarańcz zaprawia powietrze słodką wonią, plusk fali pobrzmiewa dźwięcznie, czasami jednak zmienia się w głuchy łoskot.

Taka jest ojczyzna Safony, sławnéj niewiasty, któréj geniusz dziki i łagodny naprzemian, harmonijnie odpowiada ziemi, co ją wykołysała.

Urodzona w Mytelenach (612 przed Ch.), Safo wzrosła w atmosferze poezyi, miłości i sztuki na Lesbos, gdzie starożytne mythy pomieściły kolebkę Orfeusza. Wieszczka śpiewała, a natchniona pieśń była odbiciem uczuć miotających jéj duszę.

Medal Mytylenski przedstawia oblicze poetki. Rysy jéj kształtne, na ustach spoczywa słodki uśmiech. Ale piękność to ziemska, nie dopatrzyć w niéj wyższego ideału.

„Wizerunek ten świadczy, mówi autorka, że Safo myślała o ziemi, nie marzyła o niebie. Przedmiotem jéj pieśni, zawsze ziemia, czy to opiewa ranną zorzę, budzącą lud do całodziennéj pracy, czy zmierzch wieczorny, kiedy bydło powraca z łąki, a znużo-

ny pasterz zasiada u ogniska, czy też noc usrebrzoną księżycowym promieniem. Safo opiewa ziemię, kiedy wsłuchuje się w szum strumienia gwarzącego pod rozkwitłą jabłonią, kiedy podziwia cudowną piękność róży, gdy w hymnie pogańskim odkrywa rany własnego serca i wzywa na pomoc Wenerę swoją wszechwładną panią.

Poetka owdowiała w wieku młodym, rozrzuca hojnie uczucia; myśl nawet o córce, miłéj Kleis, nie krępuje wcale jéj zapędów.

„Mam ja dziecię, śpiewa Safo, cudną jak złotolistny kwiatek, Kleis, moją Kleis ukochaną. Nie oddam jéj za nic, gdyby mi nawet dano Lydyą całą, lub uroczą Jonią.

„Nieprzebłagana potomność—dodaje autorka—jeżeli uczciła w Safonie wielką poetkę, życie jéj potępiła surowo. Dla zaszczytu płci naszéj pragnęlibyśmy wierzyć, że najznakomitsza z wieszczek greckich, nie była zarazem najprzestępniejszą z niewiast. Nieszczęciem dziewięć ksiąg, jakie zostawiła, smutne dają świadectwo. Aby zrehabilitować pamięć Safony, należałoby wydrzeć z owych ksiąg sławną odę, arcydzieło talentu, ale hańbę jéj życia.

„Pamięć o mnie, nie przeminie ze śmiercią!“ śpiewała Safo, jakoż pieśni jéj zyskały nieśmiertelność. Grecy oczarowani geniuszem poetki, uczcili w niéj dziesiątą muzę. Wizerunek jéj odbijali na monetach, wznosili jéj posągi, nawet w dalekiéj Sycylii.

Obok wieszczki z Lesbos, słabszym ale czystszym blaskiem przyświeca skromna Erynna. Przy domowém ognisku, przędąc wełnę lub tkając płótno w krosnach, obmyśliła dziewica piękny poemat na cześć wrzeciona.

Poemat ten zaginął. Ale pisarze starożytni podziwiają niepospolitą jego piękność, stawiając poetkę obok Homera. Jeśli Erynna nie dorównała Safonie w poezyi lirycznéj, przyznano jéj pierwszeństwo w poważnych heksametrach.

Poeci porównywali do plastra miodu tę pracę cichéj pszczółki, zebraną z najczystszych ziół na Helikonie. Wiersze jéj tchnęły jak mówiono, świeżością i wonią wiosenną. Równano je także do pieśni łabędzia, który według tradycyi ludowéj, najcudniéj śpiewa kiedy czuje zgon rychły. Słynny rzeźbiarz oddał dłutem jéj niewinną postać, lecz posąg ten zaginął, równie jak utwory poetki.

Tęż samą harmonią miedzy pieśnią a życiem, widzimy w Telezylli. Wątła z natury, błagała bogów o dar zdrowia. Z ich to natchnienia zapisała się w służbę muzom.

Telezylla przy pracy umysłowéj odzyskała niebawem krzepkie siły. Gdy szlachetny zapał porwał jéj duszę, słowo wystarczyć już nie mogło, trzeba jéj było czynu. W dniu narodowego niebezpieczeństwa, Telezylla porywa oręż, zbiera towarzyszki, istny Tyrteusz pieśnią, zapala im serca, i na czele ich odpiera Lacedemonów od bram Argos.

Przed świątynią Wenery, Argowie pomieścili płaskorzeźbę z wizerunkiem swéj bohaterki. Stoi z głową pokrytą hełmem, u nóg jéj leżą księgi.

U samego podnóża Helikonu zrodziły się dwie poetki, jedna z nich była mistrzynią Pindara, druga jego współzawodniczką.

Nie wiemy o ile *słodkośpiewna* Mirtis, jak ją nazwali Grecy, wpłynęła na rozwinięcie gieniuszu Pindara; ale zapisano rady jakie wychowanka jéj sławna Korynna dawała młodemu współuczniowi. Wymawia mu, że nadto przywiązuje się do formy wiersza, a zaniedbuje narodowe podania, które są duszą poezyi. Przeniknion prawdą tych słów, Pindar utworzył odę, streszczającą w sobie wszystkie Tebańskie mythy. Gdy czytał ją Korynnie, poetka uśmiechnęła się, i z taktem estetycznym, godnym prawdziwéj Greczynki, dała mu poznać, że rolnik sieje ziarno ręką, ale nie pełnym workiem.

Pomimo surowych uwag, Korynna tak wielbiła geniusz poety, że miała nawet za złe mistrzyni swojéj Mirtis, gdy ta śmiała wystąpić do konkursu z Pindarem. Późniéj przecież sama zdobyła się na podobną odwagę. Pięć razy Korynna pokonała Pindara. Pauzaniusz przypisuje to w części uroczym jéj wdziękom, w części zaś eolskiemu jéj narzeczu, z którém Tebanie oswojeni byli więcéj niż z doryckim dyalektem sławnego liryka. Antipater wysławia szczególniéj poemat jéj o *hełmie Pallady*.

Grób poetki zajmował główny plac w ojczystém jéj mieście Tanagrze.

Nossis i Praxilla, policzone także do dziewięciu muz greckich, opiewały miłość na wzór Safony. Anythe z Epidaury podniosła się wyżéj. Antipater zowie ją niewieścim Homerem.

Z wdziękiem prawdziwie poetycznym Anythe zaprasza wędrowca, aby spoczął pod cieniem drzew, zakosztował wody ze zdroju, przyjął pieszczoty zefiru szumiącego wśród liści. Dowcipnie śpiewa hymn pogrzebowy nad kogutem, który wpadł w ręce złodzieja, a więc nie przerwie już o świcie słodkiego jéj spoczynku. Z głębokiém zato uczuciem wspomina skon młodéj dzieweczki, którą śmierć wyrwała z ojcowskich objęć, i głos matki nie zwoła jéj z za świata. Struny jéj liry drgną niekiedy potężną siłą. Z męzkim ogniem opiewa śmierć rycerza, na polu zapasów, i samobójstwo dziewczyny w obec grożącego jéj sromu. Napis grobowy skreślony przez poetkę, uderza myślą wysoko filozoficzną:

„Za życia był niewolnikiem, śmierć uczyniła go równym Daryuszowi.“

Ostatnia z dziewięciu muz ziemskich Molro z Byzancyum napisała poemat bohaterski *Mnemosinę*, wiele elegii i epigramatów. Pozostało z nich parę zaledwie w antologii greckiéj.

Autorka wylicza cały szereg drugorzędnych poetek, przechodzi następnie do kobiet sławnych na inném polu. Jednéj z nich legenda przypisuje piérwszy wynalazek sztuki plastycznéj.

Młoda koryncka dziewczyna Kora, córka garncarza Dibutada, rozstaje się z drogim jéj sercu młodzianem. On odchodzi na długo, kto wié, może na zawsze. Ale oto płomień pochodni pada na ścianę; odznacza wyraźnie drogi cień. Kora pragnie pochwycić owe znikome kształty; końcem noża zakreśla profil. Ojciec nalepia gliną według zarysu, kładzie ją w piec, otrzymuje trwały wizerunek.

Kilka też niewiast greckich zasłynęło w malarstwie. Timareta córka Mikona, odtworzyła postać Dyanny, według wzoru ze sławnéj świątyni w Efezie. Irena córka malarza Kratinusa wykonała obraz dziewicy przechowywany w Eleuzys. Najwyższą ze wszystkich sławę pozyskała Lalla, rodem z miasta Cyzyku ulubionego Apolinowi.

Lalla była pierwszym malarzem swego czasu. Równie biegle władała pędzlem, jak wyrzynała rylcem obrazki na kości słoniowéj. Pliniusz opowiada, że za czasów jego podziwiano w Medyolanie wielki portret staréj matrony, przypisywany téj mistrzyni. Wykonała także własny wizerunek w zwierciedle.

Znaleziono w Pompei malowidło przedstawiające młodą artystkę. Antykwaryusze poznają w obrazie rysy Lalli.

Kobieta siedzi na ławie kamiennéj pod portykiem, wlepiła oczy w posąg Bachusa i przenosi ten przedmiot na tablicę, którą podtrzymuje dziecko. W prawéj ręce ma pędzel; zanurza go w skrzyneczce stojącéj na gzymsie kolumny, w lewéj trzyma paletę.

Młoda kobieta ubrana w bogate draperye; włosy jéj otoczone przepaską złotą, spadają wijąc się na szyję i plecy. Spojrzenie głębokie, wyraziste, rozpłomienia kształtne jéj rysy. Jeżeli to rzeczywiście jéj portret, Lalla była cudownie piękną, a jednak prawdziwa kapłanka sztuki, nie zawarła małżeńskich związków.

Przejdźmy nakoniec w dziedzinę filozofii; i tu kobieta grecka przyłożyła cegłę własną do budowy ogólnéj. Pythagoras założył w wielkiéj Grecyi w mieście Krotonie szkołę filozoficzną, opartą na spirytualizmie. Doktryna ta przemówiła do wyobraźni kobiet. Spragnione wiedzy krotońskie niewiasty, porzucają nagle świetne stroje, składają klejnoty na ołtarzu Junony, i garną się z zapałem w progi sławnego filozofa.

Z pomiędzy tych uczennic pythagorejskich, wiele zasłynęło w literaturze, najświetniéj ze wszystkich błyszczy Teano, urodzona w Krotonie; tradycya mieni ją małżonką Pytagoresa. Zarówno piękna jak rozumna, Teano przeżyła dni z surowym filozofem, w niezmąconéj wierze i miłości. Wspólna praca, tym silniejszym węzłem łączyła serca i umysły małżonków.

Córka ich Damo, odziedziczyła spadkiem miłość nauki po rodzicach. Z prac jéj cytują znakomite komentarze nad Homerem, podziwiano zarówno moc jéj duszy, jak i wysoką intelligencyą. Ojciec umiérając oddał jéj drogocenną puściznę, własnoręczne swe pamiętniki, z wyraźném poleceniem, aby strzegła pilnie tego daru, i nie oddawała go nigdy w obce ręce. Naprożno

ofiarowano jéj wielkie summy za rękopisma: Damo wolała żyć w ubóstwie, niż przełamać wolę zmarłego.

Po śmierci Pythagoresa, Teano kierowała jego szkołą, przy pomocy dwóch synów. Dyogenes z Laertu utrzymuje że napisała wiele dzieł; z tych pozostały tylko trzy listy i fragment filozoficzno-moralny, z dzieła o *pobożności.*

Panna Bader daje w przekładzie te urywki, zarówno jak pozostałe części rozpraw dwóch innych Pytagoryanek; Perictione i Phyntis.

Ramy kroniki naszéj nie pozwalają nam przytoczyć w przekładzie polskim, tych ważnych zabytków, wydobytych na światło z pod dwudziestowiekowego pyłu przez pracowitą erudytkę. W innym czasie będziemy chcieli obznajmić z niemi czytelników.

Teano w piérwszym liście daje przjaciołce mądre rady, co do wychowania dzieci. Zaleca szczególniéj, aby wyrabiać ich wolę i charakter, a ciała nie rozmiękczać zbytkiem i pieszczotą. Nie są to bynajmniéj nudne moralne sentencye; przeciwnie, rady Teano praktyczne, pełne życia, znać wybiegły z pod pióra doświadczonéj matki i obywatelki troskliwéj o wychowanie młodych Greków. „Czuwaj pilnie—kończy Teano—aby jako winna latorośl co nie wydaje owocu, gdy nie prowadzona biegłą ręką, dzieci twoje nie nabrały wad zarozumienia i próżności.“

W drugim liście Teano uczy przyjaciółkę jak powinna utrzymać pokój domowy, przekonana będąc o wiarołomstwie męża; jak niezmąconą słodyczą zawstydzić przestępnego; jak próżnemi skargami nie ubliżać własnéj godności; jak unikać rozwodu i strzedz się nowych związków, a tém samém nie narażać na nowe próby i zawody; jak zachować w pokoju serce własne, wśród codziennych udręczeń. „Kiedy cię oko boli—dodaje w końcu—nie dotykaj go ręką, bo je zaognisz; kiedy masz w sercu troskę, oddalaj od niéj myśl, by nie rozjątrzać rany.“

W trzecim liście upomina Teano młodą kobietę, jak ma obchodzić się z niewolnicami, jak łagodném słowem zjednać sobie ich miłość: „Kupisz ciało, lecz serca nie kupisz za pieniądze.“

Ustęp z dzieła Perictiony: o *harmonii w kobiecie*, uderza wielką powagą. Fragment pióra Phintys o *Niewinności kobiécéj*, pełen życia i prawdy.

Na pytanie, ażali przystoi kobiecie uczyć się nauk filozoficznych, Pythagorejka odpowiada z wielką trafnością sądu:

„Inne są prawa właściwe mężczyźnie, inne znów właściwe niewieście, ale są i wspólne prawa, właściwe im obojgu. Rzeczą jest męża ćwiczyć się w wojskowości, zawiadywać sprawami państwa, przemawiać w obec tłumów. Rzeczą niewiasty przebywać w domu, utrzymywać w nim porządek, ale właściwém jest obojgu tak mężowi jak i niewieście, wyrabiać w sobie rozum, moc duszy, pojęcie sprawiedliwości. W porządku zaś moralnym, główną cnotą mężczyzny—siła, niewiasty—nieskażona czystość.

Zobaczmy wreszcie konkluzyą panny Bader.

„W rozmaitych epokach cywilizacyi greckiéj, Arystoteles, Xenofont, Plutarch, równie jak i filozofki szkoły Pythagorejskiéj, określili posłannictwo kobiety, które chrześcijanizm rozszerzył i uświęcił. Wielcy ci myśliciele ukazywali nam niewiastę, kształcącą umysł przy tém ognisku domowém, co ożywiało jéj serce i było tarczą jéj niewinności. Widzimy ją tam, jak szuka w mężu téj harmonii, którą i on nawzajem w niéj znajduje; jak tchnie w dziatki życie moralne, jak napełnia dom cały miłością i pokojem.

„Tak więc nawet u ludów żyjących w politeizmie, słowo objawiało się duszom wybranym, przed owym jeszcze dniem, kiedy objawione w Ewangielii, miało wskazać ludzkości nowe prawa.“

„W pojęciu starożytnych, jedyném przeznaczeniem kobiéty było małżeństwo i macierzyństwo. Prawo chrześcijańskie uznając w niewieście osobistą jéj wartość, przygotowało w niéj nie tylko towarzyszkę dla męża, ale prawdziwą córę Bożą, i kiedy krzyż rozpostarł nad Grecyą ramiona, które zbawiły świat, bogini spadła z piedestału, ale niewiasta podniosła się do prawdziwéj godności.“

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Synodus archidioecesana Gnesnensis praesidente Stanislao Karnkowski Archiepiscopo Gnesnensi et Primate Regni Poloniae, Lovicii an. Domini 1583 celebrata, nec non Articuli alterius synodi ejusdem dioecesis sub Jacobo Uchański Archiepiscopo habitae, nunc primum ex archivo venerab. Capituli Cathed. Vladislav. Zeno Chodyński, Direct. Semin. Vlad. edidit. Varsaviae, 1872, pag. 68.

W archiwach kapituł, o tém nie wątpimy, mieści się nie mało materyału do dziejów kościoła polskiego. Na tych, co łatwiejszy niż inni przystęp do nich mają, ciąży poniekąd obowiązek odszukania i wydobycia na jaw tych cennych źródeł. Któż najwłaściwiéj zająćby się powinien przygotowaniem pojedynczych monografij z dziedziny dziejów kościoła, jak nie ci, co lata całe obok nieprzebranych pod względem bogactwa archiwów spędzają? Mieliśmy już piękne na tém polu zawiązki, w ostatnich jednak czasach coraz rzadziéj o podobnych usiłowaniach słyszéć można. Świeckie pióra żywsze zdają się w tym względzie objawiać zajęcie. Może praca ks. Chodyńskiego pochwały godna ze wszech miar, zwiastuje nam zwrot ku

głośniejszéj nieco działalności. Taki objaw byłby wielce pożądanym.

Niewielka książeczka, którą mamy przed sobą, podaje ważne przyczynki do dziejów kościoła polskiego. Staraniem ks. Chodyńskiego wydane w niéj zostały uchwały dwóch synodów, odbytych pod przewodnictwem arcybiskupów gnieźnieńskich. Jeden z tych synodów dyecezyalnych złożony został przez prymasa Stanisława Karnkowskiego w Łowiczu w r. 1583. Dotychczas dwa tylko tegoż arcybiskupa znane były z uchwał drukiem ogłoszonych, mianowicie z r. 1593 i 1603. Obecnie przybywają postanowienia trzeciego synodu, mieszczące się w wydaniu ks. Chodyńskiego. Prócz ogólnéj wartości jako materyał historyczny, objaśniający działalność Karnkowskiego, mają także rzeczone uchwały w szczegółowych artykułach swoję wagę. Jeden z nich podaje wiadomość o założeniu seminaryum dyecezyalnego, którego początek błędnie dotychczas do r. 1591 lub 1593 odnoszono. Następne artykuły rzucają światło na stosunek duchowieństwa do nowo powstałego trybunału koronnego, oraz wykazują, jak rozstrzygnięte zostały pojedyncze pytania, ściągające się do deputatów wysyłanych przez duchowieństwo na posiedzenia trybunału koronnego. W ciągu piérwszych lat (od 1578 r.) wszystkie koszta na opatrunek czyli diety sędziów, deputatów, ponosił wyłącznie arcybiskup i opaci wraz z klasztorami. Na synodzie zaś Łowickim w r. 1583 oświadczyli opaci, że nadal tych ciężarów ponosić nie będą: postanowiono więc wydatki na utrzymanie seminaryum i sędziów trybunalskich w ilości 2400 złp. rozłożyć na całą dyecezyą t. j. na duchowieństwo zarówno świeckie jak zakonne. Zostali w tym celu ustanowieni rewizorzy, którzy mieli po zbadaniu dochodów każdego probostwa oznaczyć ilość opłacać się mającéj składki. Wyznaczeni w téj mierze poborcy mieli obowiązek zbierania składki wedle stałéj taksy. Uchwalono także na tym synodzie sposób dzielenia ogólnéj summy na potrzeby seminaryum i sędziów deputatów.

Dalsze uchwały wydane przez ks. Chodyńskiego odnoszą się do synodu, złożonego przez poprzednika Karnkowskiego na arcybiskupiéj stolicy, Jakóba Uchańskiego, i składają się z artykułów proponowanych oraz uchwalonych *(Articuli propositi et decisi)*. Rok i miejsce synodu niewiadome. Wydawca mniema, że to był synod archidyecezyi gnieźnieńskiéj, odbyty w końcu 1580 lub na początku 1581 r. Domysły we względzie roku oparte są na wskazówkach bardzo trafnie przez wydawcę zestawionych. Zostaje tylko wątpliwém, czy synod odbył się w 1580 czy w 1581 r.? Przychodzimy w tym razie w pomoc wydawcy z naszym wnioskiem opartym na danych, poczerpniętych z innych źródeł. W uchwałach tego synodu § 12 głosi, że na deputatów trybunalskich wybrany został w tym roku Sebastyan Brzozowski dziekan Gnieźnieński. W aktach Trybunału koronnego Piotrkowskiego mieszczących się w tutejszém Archiwum Głównem, znajdujemy właśnie Sebastyana Brzozowskiego w liczbie sędziów deputatów z r. 1580 *(Iud. Trib.*

celebrata feria secunda post festum S-ti Martinii 1580). Synod więc odbyć się musiał przed rozpoczęciem posiedzeń Trybunału w listopadzie, a więc w każdym razie nie późniéj jak w jesieni 1580 r. Z różnych postanowień tego synodu jedno godniejszém uwagi być się zdaje. Punkt 9-y uchwala zgodnie z jednogłośném życzeniem plebanów, aby znieść wizyty odbywane przez Archidyakonów corocznie w każdém probostwie, gdyż te częste odwiedziny kontrolującego zwierzchnika, pozbawiają plebanów wszelkich dochodów, a natomiast zaprowadzić dawnym zwyczajem co lat trzy powtarzające się wizyty Archidyakonów.

W końcu wydania pomieszczono cztery listy arcybiskupa Karnkowskiego do różnych zwierzchników w Rzymie, pisane celem uzyskania pozwolenia na założenie szkoły wyższéj dla młodzieży w Kaliszu.

Staranna w ogóle praca w wydawnictwie, niewielki lecz na miejscu będący wstęp z objaśnieniem kilku wątpliwych pytań, tu i owdzie dodane w ciągu tekstu uwagi, świadczą o przygotowaniu wydawcy na tém polu działalności, o szczerém zamiłowaniu do przedmiotu, co nam pozwala spodziewać się po ks. Chodyńskim obszerniejszych przyczynków do dziejów kościoła naszego.

A. P.

Bibliografia Polska, 120,000 druków. Część 1. Stulecie XIX. Katalog 50,000 druków polskich lub Polski dotyczących od r. 1800, ułożony abecadłowo według autorów i przedmiotów, z wyrażeniem dzieł księgarskich, przez K. Estreichera. Wydanie Towarzystwa naukowego krakowskiego, staraniem Komissyi bibiograficznéj. Kraków. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1870 (w wielkiéj 8-ce).

Dzieło to ogromnych rozmiarów, którego piérwszy zeszyt wyszedł w roku 1870, a ostatni zamykający część piérwszą w roku bieżącym, kosztowało autora przeszło dwadzieścia lat pracy. Druk idzie powoli, albowiem w tak mozolném wydawnictwie, pośpiechu być nie może, i tak jak sam autor utrzymuje—całość prędzéj jak w ciągu lat sześciu ukończoną nie zostanie.

O ważności bibliografii nie potrzebujemy się tu rozpisywać, dosyć tylko przypomnieć, że bez tego materyału historya literatury istnieć nie może. Michał Wiszniewski piorunująco zgromił bibliografów, ale jak dobrze K. Estreicher we wstępie swoim wyraża: „najgenialniejszy z erudytów polskich niesłusznie rzucał gromy, o czém sam się przekonał, gdyż w dalszych tomach *Historyi literatury* niemając przygotowanych przez drugich materyałów bibliograficznych, sam jął się materyał ten przysposabiać i mimo woli stał się bibliografem.“

Bibliografia będąc sumiennym *inwentarzem* całego skarbu umysłowego narodu, w suchych na pozór spisach tytułów dzieł i ich daty wyjścia, podaje myślicielowi możność do zbadania stopnia oświaty, rozwoju literatury i prac pojedynczych jednostek. W ocenie tych właśnie jednostek, jak ich talent coraz wyższego nabierał polotu, jak mężniał i dojrzewał, bibliografia przychodzi z pomocą, notując latami każdy drukiem ogłoszony utwór. I krytyka naukowa nigdy nie pobłądzi, wsparta na ramieniu bibliografii. W naszych czasach dopiéro uznano całą ważność statystyki i owych *cyfr* martwych, które są wskazówkami najwymowniejszymi tak stron dodatnich jak ujemnych każdego narodu i państwa. Częścią żywotną téj statystyki jest bibliografia, z tą różnicą, że jak piérwsza obejmuje stronę materyalną, tak druga duchową. Obiedwie zaś dają świadectwo niezaprzeczone postępu i wzrostu w obu kierunkach każdéj społeczności.

Z tego widzimy, jak wielkie oddaje usługi bibliografia, tak napozór odstręczająca suchością swego przedmiotu i jak nieocenione są trudy tych pracowników, którzy się jéj przez długie lata, a nieraz całe życie oddają.

Mamy niemały szereg bibliografów, poczynając od piérwszych lat XVII stulecia; wymienia ich K. Estreicher w swéj przedmowie. Ale najważniejsze prace w tym kierunku są zdobyczami już naszego wieku.

Zaczynając od Tadeusza Czackiego, Jerzy Bandtkie zajmuje wydatne stanowisko, po nim Feliks Bentkowski, Hieronim Juszyński, J. M. Ossoliński, a zamyka ten poczet Joachim Lelewel autor *Bibliograficznych ksiąg dwoje*: pomijając wielu innych którzy mniejszemi pracami ubogacali tę niwę (1). Lelewel skreślił teoryą bibliografii, dzieje bibliotek i drukarstwa w Polsce, uzupełniał i prostował J. Bandtkiego i piérwszy nauczył rodaków z jaką sumiennością należy opisywać rzadkości bibliograficzne, czyli tak zwane *białe kruki*. Za niemi téż przez lat kilka starannie się ubiegał nie w dežobliżance, czyli pojedynczéj karetce (jak sam wyraża *„do swoich ksiąg bibliograficznych)“*, ale na furmańskiéj bryce biorę się do téj przemowy. W tę chwilę sam jeden prawie pod gołem niebem opuszczony od świata, tylko starozakonny filozofujący woźnica mnie towarzyszy, sam jeden puszczam myśl wśród słoty pogodną.“ Takie to podróże odbywał po bezdrożach ówczesnych wielki badacz i historyk, aby zobaczyć na własne oczy jakąś rzadkość bibliograficzną i opisać owego białego kruka.

Zamiłowanie do gockich druków i starych ksiąg, roznieca piérwszy Feliks Bentkowski swoją *Historyą literatury polskiéj*,

(1) Zwracamy uwagę szanownego autora Bibliografii Polskiéj, że w Bibliotece Warszawskiéj przez ciąg kilku tomów w piérwszych latach jéj istnienia, znajdują się wiadomosci do *Bibliografii starożytnéj*, z tego względu mające swą wartość, że autor jéj każde dzieło jakie opisywał miał w swém ręku, przeczytał i treść jego podaje.

wywołuje on mnóstwo bibliomanów, którym zawdzięczamy ocalenie od zagłady wielu szacownych zabytków drogocennych, i zapał taki roznieca, że Tytus hr. Działyński z zawołanego koniarza przeobraża się w bibliomana i zakłada słynną bibliotekę w Korniku.

Ten popęd szlachetny daje nam poznać skarby literatury XVI w., ale mniéj dbano o XVIII w., a jeszcze mniéj o nasz okres. Pozostaje bibliografom naszym ułożyć *Inwentarz* umysłowy z epoki Stanisława Augusta, wielce bogaty i z naszego stulecia. To ostatnie zadanie i potrzebę naglącą spełnia K. Estreicher.

Zanim poznamy równie dokładnie jak znamy już dobę od ostatnich Jagiellonów do Zygmunta III, w któréj tak świetnie jaśnieje oświata w narodzie i literatura, wiek XVII i XVIII, zbadanie naszego stulecia w którém stanowczy przełom w pojęciach naszych nastąpił, witając narodziny i wzrost oryginalnéj literatury narodowéj, jest najważniejszém zadaniem dla dzisiejszéj społeczności. Teraz literatura nasza ma już wytkniętą drogę po któréj stąpać powinna, niezbaczając w żadne bezdroża, ażeby odpowiedziała godnie swemu powołaniu. Do wiernego jéj obrazu i wykazania w całéj obszerności jéj zasobów, we wszystkich gałęziach wiedzy przychodzi w pomoc dzieło o którém mówimy. Teraz będzie możliwą zupełna i wyczerpująca historya literatury XIX wieku, pięćdziesiąt tysięcy druków składa się na ten skarbiec umysłowy: jest w czém się rozpatrywać i jest co badać, ażeby dać ocenę postępu i rozwoju narodowego ducha.

Z łona Towarzystwa naukowego krakowskiego wyszły dwie Komissye: bibliograficzna i historyczna. *Dr. Franciszek Nowakowski* rzucił piérwszy myśl zawiązania bibliograficznéj, zaproponował druk Bibliografii K. Estreichera, obmyślił fundusz wystarczający na wydrukowanie piérwszego zeszytu, jako téż zapomogę na druk w latach następnych. Kiedy autor *Bibliografii* z gotowym rękopismem przybył do Warszawy i objął posadę pod-bibliotekarza w b. Szkole głównéj Warszawskiéj, część dziś się drukująca obejmowała do 35,000.

Zmarły S. Orgelbrand zajęty wydawnictwem *Encyklopedyi powszechnéj*, oceniając ważność téj pracy, po ukończeniu rozpoczętéj publikacyi swéj, zamierzał drukować tę Bibliografię i drugi księgarz warszawski Cels Lewicki okazał się gotowym do jéj wydania. Ale okoliczności zmieniły ten zamiar, dzieło zyskało na przewłoce, bo obecnie wychodząca Bibliografia powiększyła się o 15,000 druków.

Tom ten oprócz wstępu po polsku i po francuzku, samego tekstu od litery A do Fuss: obejmuje stronnic 523 we dwie szpalty drukiem drobnym petitem, nie licząc obszernych dodatków. W końcu podaje listę prenumeratorów na 200 egzemplarzy, cały zaś nakład o ile wiemy pięćset wynosi.

Autor żąda sumiennéj naukowéj krytyki swego dzieła, któremu większą połowę życia poświęcił bez żadnéj nadziei jakiegokolwiek zarobku. Jestto praca podjęta w poczuciu czysto obywatelskiego

obowiązku i musiała pozyskać ludzi dobréj woli pomoc materyalną ażeby wyszła na widok publiczny.

Zaprawdę ze wszystkich względów tak wykonania jak swéj wartości zasługiwałoby dzieło to na poważną krytykę, gdyby takowa była możliwą; ale wedle naszego zdania takiéj krytyce ulegać może tylko układ sam *Bibliografii*, wstęp na czele pomieszczony, w którym mamy poczet pisarzy zarówno jéj się poświęcających, jak i tych którzy opracowali *Historyą literatury polskiéj*, sam zaś właściwy tekst wymagać może i powinien jedynie dopełnienia i sprostowania omyłek i opuszczeń.

Tak pojął dobrze Dr. Wł. Wisłocki, gdy zaraz po wydaniu piérwszego zeszytu téj *Bibliografii*, ogłosił w roku 1870 we Lwowie: „*Uwagi nad piérwszym zeszytem Bibliografii Karola Estreichera.*“ (Wydanie w 100 tylko egzemplarzach w 8-ce).

Uwagi te obejmują 47 stronnic bitego druku, wykazując usterki i opuszczenia, jakich w tak wielkich rozmiarach dziele niepodobna uniknąć. Po nim Dr. Stanisław Janikowski napisał: „Uwagi nad dziełem K. Estreichera“ i umieścił w piśmie: „*Przegląd Lekarski*“ wydawany staraniem oddziału Nauk lekarskich, Towarzystwa Naukowego Krakowskiego 1870 r. (w 4-ce od Nr. 37 do 40). Teraz, gdy cały tom obejmujący cztery zeszyty wyszedł z pod prassy, oczywiście znakomicie powiększyćby się musiały te poprawki i uzupełnienia. Praca tego rodzaju już do właściwéj krytyki nie należy, ale jest tylko życzliwą a braterską pomocą dla autora, ażeby w dalszym ciągu wydawnictwa mógł z niéj korzystać.

Co do układu samego dzieła, według naszego zdania autor winien był z rozpoczęciem druku zamknąć takowe, jak je wykończył w rękopiśmie, a dopełnienia i dodatki jakie uznała za konieczne, zachować do ostatniego tomu: przyłączane bowiem do każdego zeszytu osobno, wytworzą z czasem nadzwyczajną trudność w odszukaniu jakiegokolwiek dzieła, które w głównym spisie wypuszczone zostało.

Prace Polaków pisane w obcych językach, jak tylko nie odnoszą się do stosunków Polski, i nie zajmują się jéj dziejami, literaturą, oświatą lub życiem społecznem, lecz oddane sprawom obcym, powinny stanowić dział oddzielny, bo nie należą do bibliografii polskiéj i zadaniu dzieła jakie mu autor nadał. Do tego działu należą wszystkie pisma *Ignacego Domejki*. Podobnie oddzielny dział stanowić powinny dzieła odnoszące się pośrednio do naszéj bibliografii i będące tylko pomocniczemi, gdy wprost nie mówią o Polsce, (*np.* dzieło Karola Bluma).

Spotykamy pomyłki wydatniejsze, że autor z dwóch pisarzy zrobił jednego, jak np. *Bartoszewicza Józefa*, lub dwóch z jednego: są to usterki drobniejsze a wynikające z tego, że źródłem wiadomości były katalogi niedokładne, lub też z pośpiechu omyłki się zakradły. Zwracamy uwagę, że wypuszczone powinny być dzieła, które były tylko zapowiedziane a nie wyszły z pod prassy, ażeby

badacza w błąd nie wprowadziły. Z drugiéj zaś strony widzimy godną szczerego uznania ogromną pracę i zabiegliwość w zgromadzeniu samego materyału bibliograficznego, szczególniéj w skrzętném zebraniu prac różnych pisarzy, rozrzuconych po mnóstwie pism peryodycznych. Nie jeden z autorów dotąd objętych, zapomniane już przez siebie własne utwory, znajduje tu najdokładniéj wymienione.

Głównym materyałem do bibliografii są katalogi: najdokładniejszy bibliograf *Adam Jocher*, zebrał katalogi polskie i wymienia ich wszystkich 66: K. Estreicher spisał ich przeszło tysiąc; to daje nam wymowną miarę bogactwa jego dzieła.

We wstępie obszernym, który na czele znajdujemy, pouczającym o znaczeniu i wartości bibliografii, mamy zarazem spis wszystkich dzieł dotyczących historyi literatury polskiéj z ich krytyczną oceną. Jakkolwiek podzielamy zdanie w zupełności co do F. Bentkowskiego i M. Wiszniewskiego, nie możemy się zgodzić na to, co napisał K. Estreicher o „*Historyi literatury polskiéj potocznym sposobem opowiedzianéj*.“ (Warszawa 1861 r.) przez Juliana Bartoszewicza. Mówi bowiem „Acz jednostronnie patrzy na autorów, pisał zdrowo i nie przepisywał nikogo.“ Słowa te stosować się mogą tylko do piérwszéj połowy dzieła tego, czyli do początków XVIII stulecia; co mówi o pisarzach z okresu naszego, to nie wytrzyma najlżejszéj krytyki. Najpoważniejsi w téj rzeczy znawcy, jak Michał Baliński, Józef Łukaszewicz i Aleksander Tyszyński, wystąpili zaraz po wyjściu pracy J. Bartoszewicza w Bibliotece Warszawskiéj i należycie ocenili głównie drugą jéj część, dorywczo, bez znajomości żadnéj pospiesznie pisaną, a co główna rzecz przepisywane zdania obcych. Dosyć tu nam przytoczyć lekkomyślny sąd o komedyach Aleksandra Hr. Fredry (na str. 519) żywcem przepisany z rozprawy p. n. „*Nowa epoka poezyi polskiéj*“ w Tomie II-m *Pamiętnika Nauk i Umiejętności* (str. 11) w Krakowie 1835 roku wydanym.

Wśród toku zwykłéj bibliografii mamy w tym tomie wielkie działy, które mogą służyć za zasobny materyał do dzieł oddzielnych: tak w przypisku znajdujemy (str. 48) w abecadłowym porządku wyliczenie wszystkich kobiét u nas piszących po polsku i w obcych językach. Spis alfabetyczny *czasopismów* i dzieł zbiorowych od najdawniejszych czasów. Obszerny dział w samym tekscie zajmuje *Dramat i Dramatycy*, obejmujący tak oryginalne jak i tłumaczone utwory. Dla miłośników literatury krajowéj, praca ta K. Estreichera, pomimo usterków swoich, które nikną w obec nieocenionéj wartości, ma znaczenie pomnikowego dzieła. Wyczekujemy dalszego jego ciągu i otrzymujemy właśnie pożądaną wiadomość, że piérwszy zeszyt Tomu II Bibliografii polskiéj opuścił już prassę drukarską.

Warszawa d. 16 listopada 1872.

K. Wł. W.

Obrazy Wszechświata. Astronomia i Geologia popularna z drzeworytami w tekscie. Napisał Dr. medycyny i chirurgii Jan Stella-Sawicki.

Napisać dzieło popularne w naukach ścisłych, nie łatwe to wcale zadanie; wymaga ono bowiem obok gruntownéj znajomości przedmiotu, jeszcze tego szczęśliwego daru jasności opowiadania, który nie każdemu autorowi jest dany. Najczęściéj się zdarza, iż jedni poświęcają treść dla formy, drudzy formę dla treści, inni wreszcie ciągłemi wyboczeniami od przedmiotu, dają się odbiegać od głównego założenia. W piérwszym razie, raczéj bogactwo kolorytu niż treść sama zajmuje uwagę czytelnika, w drugim, zbyteczna obfitość treści nieujętéj w stosowną formę, nie dozwala wiedzy w umyśle czytelnika ułożyć się w pewne i ściśle określone kształty.

Z tém większą zatém przyjemnością powitaliśmy dzieło Dr. Sawickiego, chociaż w części zadość czyniące tym tak trudnym wymaganiom od każdego popularyzatora. Tak mało w piśmiennictwie naszém drukuje się dzieł podobnéj treści, że każda praca oryginalna na tém polu, staje się cennym nabytkiem, jeśli tylko umiejętnie i zgodnie z zasadami nauki traktuje przedmiot obrany. Dla tych tedy powodów postanowiliśmy dać poznać czytelnikom naszym treść i zakres „Obrazów Wszechświata“, a przytém uwydatnić pewne niedokładności jakie napotkaliśmy w ciągu dzieła dotyczące jużto treści, jużto formy saméj.

W przedmowie zwróconéj do młodzieży, autor kreśli piękny obraz wszechżycia w naturze, zachęcając tém młode pokolenie do studyów nad przyrodą, jako jedynie będących w stanie wykorzenić błędy i przesądy, a natomiast dać zdrowe i jasne pojęcie rzeczy, wytworzyć zdanie i charakter pozytywny. „Dotychczas, mówi autor, w społeczeństwie naszém nieprzekonano się o korzyści i konieczności bliższego poznajomienia się z naukami przyrodzonemi, dotąd zajmują one zawsze tylko bardzo poślednie miejsce w tak zwaném staranném wychowaniu. Tymczasem religia, moralność, zdrowe idee, zamiłowanie do sztuk pięknych, leży w poznaniu przyrody. Grzech i wstyd człowiekowi, temu panu wszystkich stworzeń na ziemi, nie znać swojego państwa. Godność nasza i korzyść pobudzają do badania, do zgłębienia cudów przyrody. Bezgraniczność jéj i zgodność w niéj wszystkich zjawisk, podnoszą duszę naszą do wysokich i zbawiennych myśli. Znajomość z samym sobą i z przedmiotami nas otaczającemi, nie tylko zadawalnia chęć nauki, która się w nas pojawia wskutek rozwoju rozumu; lecz jest ona podstawą bardzo wielu badań, które wyrabiają pewność sądu naszego i niewątpliwość, bez których najświetniejsze przymioty tracą znaczenie, a w życiu prowadzą częściéj do błędnego jak prawdziwego celu.“

Uznając potrzebę rozpowszechnienia wiadomości z nauk przyrodniczych, autor postanowił przedstawić przyrodę w oddzielnych obrazach, to jest dać poznać wielkie pytania, których rozwiązaniem zajmuje się dzisiejsza nauka, a mianowicie: budowę wszechświata i ziemi; ich wzajemny stosunek do siebie, jako też prawa ogólne rozwoju wszech życia w naturze. Takie to zadanie postawił sobie Dr. S. Z zadania tego dotąd autor tylko w części się wywiązał, ogłosiwszy drukiem astronomię i geologię; co będą zawierały dalsze obrazy wszechświata przesądzać z góry nie możemy, lecz o ile wnosić można z programatu, będzie to wykład biologii (botaniki, zoologii, fizyologii i morfologii) w obszernem znaczeniu tego wyrazu. Piérwsza część obejmuje astronomią. Wykład swój autor poczyna od opisu gwiazdzistego nieba, podziału i ilości gwiazd, znaczenia drogi mlecznéj, siły światła gwiazd, różnicy kolorów światła u różnych gwiazd. Daléj wyjaśnia, że ta przedziwna różnica kolorów zależy od różnorodnego wewnętrznego ich składu wykrytego za pomocą analizy spektralnéj przez Bunsena i Kirchhofa. Analiza ta jest tąk dokładną, że w stanie jest wykazać $^1/_{3,000,000}$ cząstkę grana materyi, któréj ujawnić nie może analiza chemiczna lub téż mikroskop.

Następnie autor mówi o gwiazdach peryodycznych, o oddaleniu gwiazd od ziemi, ich wielkości i o powszechnéj materyi kosmicznéj. W treściwym a zajmującym opisie autor wykazuje, że światło które przebiega na sekundę 42,000 mil geogr., potrzebuje 8 minut i 18 sekund czasu żeby dosięgnąć mogło do nas od słońca. Na téj saméj zasadzie obliczono, iż od najbliższéj gwiazdy, światło dochodzi do nas w 4 lata, od Syryusza w 22, od najdalszéj gwiazdy widzianéj przez nas okiem nieuzbrojoném w 138 lat, od gwiazd zaś obserwowanych w teleskopach do 3,500 lat i więcéj!

Niepotrzebnie wszakże autor w naukowym wykładzie pozwala sobie zboczeń całkiem nie naukowych. Tak np. opisując różnicę wypadków historycznych naszéj ziemi, spostrzeganych na różnych planetach, powiada że na planetach od których światło od nas dąży 7,000 lat, mogą obecnie widzieć jak Ewa kusi jabłkiem Adama, i to kilkakrotnie powtarza jakby sam temu wierzył. Tymczasem w dalszym wykładzie okazuje się jawnym zwolennikiem teoryi ewolucyjnej, teoryi nieuznającéj całkiem piérwszego człowieka ani téż grzechu piérworodnego.

W następnym rozdziale opisuje zwięźle i dokładnie gwiazdy podwójne, potrójne i poczwórne. „Obserwacye—powiada autor—podwójnych gwiazd doprowadziły do bardzo ważnych rezultatów, pokazały one bowiem że prawa Newton'a powszechnego przyciągania rządzą bez wyjątku ruchem wszystkich ciał niebieskich... W tym dniu kiedy oddalenie podwójnéj gwiazdy od ziemi i odległość jednéj gwiazdy podwójnéj od drugiéj, będzie z dokładnością wymierzone, w tym dniu powiadamy, z porównania przyciągania gwiazd między sobą, z przyciąganiem ziemi do słońca, dowiemy się o wadze gwiazdy i ilekroć więcéj materyi ona zawiéra w sobie od

naszéj ziemi. Nadto gwiazdy złożone są dowodem oczywistym powszechnéj celowości w naturze.

Oddawna ludzie dopatrywali pewnego porządku we wszechświecie i nie mogli całkiem pogodzić się z myślą, jakoby świat był dziełem przypadku. Prawdy astronomii w zupełności potwierdziły to założenie na rozmieszczeniu gwiazd złożonych. Astronom Jan Mitchel jeszcze w roku 1767 uderzony nieregularnością z jaką rozmieszczone są gwiazdy, niejednakowością liczby ich w różnych częściach nieba, postanowił zbadać—czy rozmieszczenie to nie jest skutkiem prostego wypadku. Wziąwszy do swych obserwacyj gruppę plejad złożoną z 6 głównych gwiazd, przez bardzo staranne i pracowite wyliczenia doszedł do wniosku, iż rzucając na oślep 1500 gwiazd w przestrzeń niebieską pięćkroć stotysięcy razy, raz jeden tylko taki wypadek zdarzyć się może. W tém oczywiście widoczne jest istnienie jakiegoś prawa w rozmieszczeniu światów na niebie. Jeszcze człowiek nie poznał prawa tego, lecz domyśla się i szuka a to już jest połowa drogi do odkrycia. Z kolei autor opisuje drogę mleczną, mgławice i ruch gwiazd.

Niezmordowane obserwacye wielu astronomów wykazały, że gwiazdy które poprzednio uważane były za ciała niebieskie nieruchome, podlegają ogólnemu ruchowi około środka światów gwiazdy Alcyony, dokąd również dąży i nasze słońce z licznym swym orszakiem, przebiegając rocznie około 7,486,000 mil, to jest prawie $1^2/_3$ wiorsty na sekundę. Alcyona, główna w gronie Plejad, jest tak odległą od nas, że światło od niéj potrzebuje 537 lat, żeby mogło dojść do ziemi. Całkowity obieg naszego słońca wespół z jego planetami około wspólnego centrum, dokonywa się w 18,200,000 lat. Tu nie miejsce opisywać jakim sposobem nauka doszła do tych zdumiewających obliczeń, ciekawych odsyłamy do samego dzieła; dodać tylko winniśmy że zasługa tego wielkiego odkrycia należy się dorpackiemu astronomowi Maedlerowi.

W dalszych rozdziałach autor tłumaczy ciężkość słońca i planet i jak zwykle wywiązuje się ze swego zadania umiejętnie. Następne rozdziały mają na celu wyjaśnienie systematu Laplace'a początku wszechświata, znaczenia słońca i planet. Z kolei autor opisuje wszystkie planety tak pod względem warunków miejscowych jak i wzajemnego stosunku jaki zachodzi pomiędzy słońcem a planetami. W ustępie tym rażąco odbija fałszywie przez autora podana cyfra małych planet w ilości 52, wówczas gdy w roku bieżącym astronom Luther w Düsseldorf, odkrył planetę (Peitho) 118-ą z rzędu. Błąd podobny w tak sumiennéj zkądinąd pracy, jest nie do przebaczenia.

Ostatnie rozdziały mieszczą w sobie opis komet, gwiazd spadających i w końcu autor podaje krótki rys historyczny astronomii i astrologii.

W ustępie o gwiazdach spadających napotykamy pewne niedokładności, które tu zaznaczyć postanowiliśmy. Tak np. na str. 160, autor twierdzi że wszystkie aerolity mają skład jednaki,

a mianowicie znajduje się w nich: siarka, żelazo, nikiel, magnium i chrom. Tymczasem ściśle przeprowadzony rozbiór chemiczny zdołał wykryć oprócz wyżéj wzmiankowanych pięciu piérwiastków, jeszcze 17 innych, jako to: tlen, wodór, azot, węglik, krzem, wapń, mangan, tytan, ołów, stront, lityn, sod, miedź, glin, arsen, potas, fosfor, chlor, kobalt. Niemniéj fałszywém jest twierdzenie autora, że aerolity posiadają jednaki chemiczny skład. Wzmiankowane piérwiastki nigdy jednocześnie nie znajdują się i w ogóle kamienie meteoryczne różnią się co do swoich zawartości.

Mówiąc o twórcy akustyki, Chladnim, wszędzie go autor nazywa Chaldinim. O ile nam wiadomo, ojca Chladniego nazywano Chaldeniusem, nigdzie przecież nie spotykaliśmy téj nazwy, któréj sz. autor używa. W wykładzie popularnym należy przyjmować nazwę pospolicie znaną i niewątpliwie wielu czytelników Chaldiniego i Chladniego będzie uważać jako dwóch oddzielnych uczonych.

Mamy również autorowi do zarzucenia, że w wykładzie swym teoryi powstawania aerolitów, pominął milczeniem najnowszą teoryę medyolańskiego astronoma Schiaparellego, a przecież teorya jego dzisiaj najwięcéj posiada danych do wytłumaczenia. Podług téj teoryi obłoki mgliste złożone z materyi kosmicznéj, będące istotą komet, dostawszy się raz w obiegu swoim pod wpływ siły przyciągającéj naszego słońca, stają się już jego satelitami—jeśli tylko droga ich wypadnie po elipsie. W tym razie komety podobne należą stale do naszego słonecznego systematu. Astronom medyolański zwraca uwagę na zmiany jakie wówczas nastąpić muszą w komecie, wskutek siły przyciągającéj słońca. Siła ta oddziaływając niejednostajnie na jądro i ogon komety, sprawia to, iż jądro komety otrzymuje większą prędkość, aniżeli części oddalone warkocza, które pozostać muszą w tyle przy obrocie komety około słońca. W ten sposób kometa coraz bardziéj rozciągając się dochodzi do tego, że się zamienia na pierścień meteoryczny otaczający słońce na całéj drodze komety.

Wówczasto otrzymujemy zjawiska peryodycznego spadania meteorów, w czasie gdy ziemia w rocznym swoim obrocie około słońca, przecina drogę kometarną. Teorya ta dokładnie tłumaczy znikanie niektórych komet, jak również obserwowane przez astronomów zmniejszanie się ich; wyjaśnia ona umiejętniéj od innych peryodyczne ukazywanie się meteorów w dniach sierpniowych i listopadowych,—dla tych powodów teorya Schiaparellego zyskała obecnie prawo obywatelstwa w nauce i nie można zatém o niéj zamilczéć przy wykładzie astronomii.

Co się tyczy ogólnego wykładu astronomii, to nie mile uderza (czytelnika), brak związku pomiędzy oddzielnymi rozdziałami. Pojedyńcze rozdziały wyglądają na podobieństwo ogniw jednego łańcucha z sobą niepołączonych; grupując się w ten sposób w umyśle czytelnika, nie dadzą mu jasnego wyobrażenia dzisiejszego stanowiska nauki. Błąd ten wszakże pochodzi z niewłaściwego trak-

towania przedmiotu. W popularnym wykładzie astronomii należało autorowi trzymać się porządku chronologicznego, czyli historycznego rozwoju téj nauki. Chcąc dać poznać całość budowy, należało począć od fundamentów i dopiéro stopniowo po szczeblach prowadzić czytelnika, do zrozumienia całości labiryntu. Młodociany umysł czytelnika, daleko łatwiéj pojmie okres młodzieńczy astronomii, i postępując w ten sposób za autorem, właściwiéj ocenić zdoła doniosłość późniejszych odkryć w téj nauce. Autor trzymał się odwrotnéj drogi i sprowadził tym sposobem niejasność wykładu, z przyczyny braku związku pomiędzy oddzielnemi rozdziałami. Czytelnik znajduje się jakby w labiryncie, gdzie chociaż mu przewodnik dokładnie tłumaczy znaczenie każdego oddzielnego pokoju lub oddziału, nie wyjaśniając wszakże należycie związku pomiędzy różnemi częściami budowy, nie będzie w stanie samodzielnie wchodzić do tego gmachu.

Daleko lepiéj autor się wywiązuje w drugiéj części swojego dzieła przy wykładzie geologii. Po zwięzłym i treściwym opisie tworzenia się ziemi, autor tłumaczy o początku życia na ziemi. Spotykamy i tu wszelako pewne niedokładności, jak np. w wyrażeniu: „niéma prawie żadnego piérwiastku, który znajdując się na ziemi nie wchodziłby w skład istot posiadających życie.“ Tymczasem wiadomo, że cała przyroda organiczna z niewielu stosunkowo piérwiastków się składa i wiele jest takich, których całkiem u roślin i zwierząt nie znajdujemy, jak platyna, złoto, srebro, etc.

Opisując dalszy rozwój życia na ziemi, autor twierdzi, że grubość pokładów kamiennego węgla wynosi w niektórych miejscowościach „*całe setki stóp*“ (320)? O ile nam wiadomo, najgrubszy pokład węgla jaki się znajduje w Dąbrowie, zajmuje zaledwie około 50 stóp, najbardziéj znane pokłady belgijskie i amerykańskie nie dochodzą téj cyfry.

W dalszéj kolei, autor opisuje drugorzędowe i trzeciorzędowe formacye, cechując je tak pod względem geognostycznym, jak pod względem paleontologicznym. Musimy tu wszakże zwrócić uwagę sz. autora, że ogólne jego zapatrywanie się na rozwój ziemi w tych epokach nie zgadza się z nowszemi geologicznemi badaniami Lyella, Murchison'a i w innych. Autor jest w części zwolennikiem raptownych przewrotów, wielkich kataklizmów, teoryi wyznawanéj niegdyś przez Cuvier'a i obalonéj ostatecznie przez nowsze poszukiwania. Zanadto stanowczo autor wyraża się o istnieniu człowieka w trzeciorzędowych formacyach, dotychczas bowiem dowiedzioném jest tylko współistnienie człowieka z zwierzętami zaginionemi epoki diluwialnéj.

Pomijając milczeniem epokę lodową, dłużéj nieco autor zatrzymuje się nad rozbiorem przyczyn potopu. Wszelako jego przypuszczenia w tym względzie nie mogą się utrzymać w obec ściślejszéj naukowéj krytyki. Sam autor w ocenieniu tych przyczyn, staje nie jednokrotnie w sprzeczności z tém co wyżéj przy wykładzie astronomii i geologii był powiedział. W rozdziale o kometach

opisując możliwość spotkania się ich z ziemią, z dokładną znajomością rzeczy autor udowodnił, że podobne spotkanie się jakkolwiek możebne, żadnego stanowczego wpływu na ziemię wywrzéć nie zdoła. Moglibyśmy porównać — powiada Dr. S. owe spotkanie do uderzenia się pociągu kolei żelaznéj z liściem unoszącym się w powietrzu. Po tém założeniu zupełnie zgodném z dzisiejszą nauką, autor stawia możliwość potopu w skutek spotkania się ziemi z kometą lub planetą. To ostatnie przypuszczenie popiéra jeszcze autor obecną egzystencyą aerolitów, jakoby nieistniejących w epokach poprzedzających potop? Tymczasem założenie to całkiem upada w obec najnowszéj teoryi dynamicznéj ciepła, podług któréj spotkanie się ziemi z planetą, spowodowałoby przemianę ruchu na odpowiednią ilość cieplika, i wówczas ziemia w jednéj chwili przeszłaby w stan lotny a tym sposobem dzisiejsza dyskussya o potopie nie miałaby miejsca!

Ze wszystkich teoryj o potopie Dr. S. oddaje pierwszeństwo teoryi Adhémar'a. Teorya ta polega na przypuszczeniu możności zmiany środka ciężkości kuli ziemskiéj i kolejnego przenoszenia się wód od jednego bieguna do drugiego. Na téj podstawie Adhémar obliczył że co 12925 lat będziemy mieli potop i okres lodowy kolejno na obu biegunach. Jeśliby komu podobało się teraźniejszy stan południowéj półkuli uważać jako dawną epokę diluwialną ziemi, miałby wówczas prawo do wyznawania teoryi Adhémar'a, ponieważ *de gustibus non disputandum est.* Ale tego prawa, do przyjęcia teoryi Adhémar'a, niéma szanowny autor, ponieważ poprzednio na str. 257 wyraźnie powiada: „Eratycznych skał nie znaleziono w warstwach ziemi poprzedzających epokę diluwialną, należy przeto wnioskować, że do tego czasu na ziemi jeszcze ani razu nie zachodziły podobne okropne przewroty. Gdyby zaś teorya Adhémar'a była prawdziwą, ileżbyśmy razy mieli już potop na ziemi? Wszak podług zdania autora, ziemia wiele set milionów lat istnieje, a zatém wielokrotnie ulegałaby potopom i musielibyśmy odnaleźć w pokładach dawnych owe eratyczne odłamy skał?

Na tém kończymy nasze sprawozdanie. W krótkim przeglądzie, nadto poświęconym do pisma niespecyalnego, niepodobna nam podawać szczegółowego rozbioru dzieła Dr. S. Zatrzymaliśmy się przedewszystkiém nad ujemną stroną, a to w celu uzupełnienia tego, czego zdaniem naszém brakuje „Obrazom Wszechświata." Za stronę dodatnią dzieła Dr. S. poczytujemy treściwość i jasność stylu, obrazowość wykładu i szlachetną myśl przewodnią w zapatrywaniu się ogolném na wszechświat, któréj wymownym tłumaczem staje się Dr. Stella-Sawicki.

Co się tyczy czystości języka, nie zawsze Dr. S. wywiązuje się w tym względzie należycie, wyrażenia takie jak: pławią się metale, poprzecznik, trzeciéj formacyi, akademia nauk, etc. rażą nie mile ucho czytelnika.

Dr. S.

O małoletnich przestępcach oraz Towarzystwie Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych. Szkic ogólny przez Walentego Miklaszewskiego. Cena kop. sr. 60, z przesyłką pocztową kop. sr. 70. Na korzyść rzeczonego Towarzystwa. Warszawa. 1872 r. str. 83, w 8-ce. Druk S. Orgelbranda synbw.

Stan moralny społeczeństwa naszego, przedstawia nader groźne zjawiska. Wykazy sądowe, z których Komissya Rządowa Sprawiedliwości układa tablice statystyczne, zaznaczają stały i bardzo znaczny przyrost przestępstw. Liczba osób skazanych przez sądy, wzrastając nieustannie, w ciągu sześciu lat od 1865—1870 r. podniosła się z 5497 na 10.356. Stosunek ten jest jeszcze większy w przestępstwach przeciwko własności: tak np. podpalanie umyślne, z 15 wypadków (1865) poskoczyło na 34 w 1869, kradzież z okolicznościami obciążającemi z 549 (1865) na 1275 (w 1870), kradzież bez tych okoliczności z 382 (1865) na 1206 (w 1870). Żeby pojąć całą grozę takiego położenia, dosyć jest napomknąć, że we Francyi np. od roku 1854 liczba skazanych (wprawdzie za same tylko zbrodnie, podlegające sądom przysięgłym), zmniejszając się stale do roku 1869, zeszła z 5,673 na 3,214.

W naszéj posępnéj cyfrze 1870 r., w tym tłumie dziesięciotysięcznym wylęgłym przeważnie z nędzy, ciemnoty i moralnego zepsucia, znajdujemy przeszło 1,000 indywiduów nieletnich (89 dzieci nie mających jeszcze 14 lat wieku i 966 młodzieńców pomiędzy 14 a 21 rokiem życia). Z tego młodego pokolenia może tedy wyjść potężny hufiec zbrodniarzy, którzy zaprawiwszy się do złego od młodości, mogą przez całe życie staczać walkę ze społeczeństwem, zagrażając mieniu, dobrym obyczajom, a nawet życiu uczciwych obywateli.

Jakkolwiek rozmaite przyczyny składają się na tak smutny wypadek, a wszystkich samo społeczeństwo usunąć nie jest w stanie, to jednak znaczna część odpowiedzialności ciąży na niém samém. Kiedy na Zachodzie uczeni kryminaliści obmyślali sposoby leczenia téj plagi społecznéj, kiedy zalecili jako jeden z głównych celów kary, jako jeden z najskuteczniejszych środków zaradczych poprawę winowajcy; kiedy wszędzie urządzano więzienia celkowe, próbowano różnych metod oddziaływania na umysł i serce więźnia, a społeczeństwo przychodziło w pomoc tym usiłowaniom, i tworzyło towarzystwa opieki nad uwolnionymi z więzień, lub małoletnimi przestępcami: u nas panowała w téj sferze najzupełniejsza obojętność i założony niegdyś (w 1830 r.) „Instytut moralnie zaniedbanych dzieci" w Mokotowie, zszedł na zwyczajną prawie ochronkę. Dopiéro w ostatnich latach ozwało się kilka głosów w literaturze: pp. Moldenhawer, Andrzéj hr. Zamoyski, Miklaszewski obudzili uwagę publiczności, na najważniejsze zadania nauki karnéj; w bie-

żącym zaś roku rozpoczęło swe czynności, (dotąd jeszcze przygotowawcze), Towarzystwo Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych.

Dla oświecenia publiczności w téj materyi oraz dla usłużenia Towarzystwu radami, p. Miklaszewski ogłosił rozprawę, któréj tytuł zapisaliśmy na czele niniejszego artykułu.

Określiwszy we wstępie stanowisko kwestyi i dotknąwszy tych źródeł, zkąd płynie zepsucie i zbrodnia, autor podaje wyniki teoretyczne z postępów nauki karnéj, co do karygodności przestępców małoletnich. Epokę małoletności dzieli na cztery okresy: niemowlęctwa, do chwili kiedy dziecko chodzić zaczyna; dzieciństwo do chwili pozbywania się zębów mlecznych i rozpoczęcia rozwoju płciowego; pacholęctwo do chwili dojrzałości płciowéj; nareszcie młodość do czasu zupełnego rozwinięcia organizmu, co następuje w naszym klimacie dla mężczyzn pomiędzy 21 a 24 a nawet 25 rokiem życia, dla kobiét zaś bezporównania wcześniéj. W każdym z tych okresów p. M. przeprowadza analizę psychologiczną i postawiwszy następnie pytanie: czy małoletni może być przestępcą? odpowiada: że niemowlęta i dzieci powinny być zupełnie zwolnione od odpowiedzialności karnéj, pacholętom należy poczytywać winę w takim tylko razie, jeżeli będą przedstawione dowody, że działały świadomie i swobodnie, młodzieńcowi zaś pozwolić dowodzenia, że działał bez świadomości lub niesamowolnie: w ogóle zaś obciąża go odpowiedzialnością za swe czyny, ale żąda znakomitego złagodzenia kary.

Poglądowi temu nie zupełnie odpowiada prawodawstwo obowiązujące. Kodeks kar głównych i poprawczych z 1847 roku (art. 101, 144, 145 i 148), oznacza epoki małoletności stałemi cyframi i dzieli pacholęctwo na dwa pod-okresy. Zwalniając dzieci nie mające 7 lat wieku od wszelkiéj poczytalności, kodeks nakazuje jeśli udowodnioném będzie przeświadczenie o bezprawności czynu oddawać pacholęta 7—10 lat „pod ścisły dozór rodzicom lub godnym zaufania krewnym dla skarcenia ich i udzielenia im przy pomocy ich spowiednika lub innego duchownego stosownéj nauki,“ na pacholęta zaś od 10—14 lat wieku pozwala wymierzać karę nawet osiedlenia w Syberyi z pozbawieniem wszelkich praw, zamknięciem w klasztorze, w domu poprawy a za lżejsze przewinienia poprzestaje na skarceniu domowém. Nareszcie ostatni okres, młodzieńczy, jest objęty cyframi 14—21 lat skończonych, a podlega zwykłym karom podług tabelli, zmniejszonym wszakże o jeden lub dwa stopnie.

Tak więc prawo obowiązujące, zwalniając bezwzględnie od poczytalności dzieci, nie mające 7 lat wieku, i podciągając pod ogólną tabellę karną młodzieńców, mających 14 lat skończonych, wytyka cel poprawczy, głównie dla pacholąt pomiędzy 10 a 14 rokiem życia, ale wskazane do tego środki nie mogły dobroczynnych zapewnić skutków. Kara zamknięcia w klasztorze nie weszła wcale w wykonanie w skutek oporu władz duchownych, Instrukcye zaś więzienne ostatecznie sprowadziły kwestyą do urządzenia czterech szkółek więziennych (w Warszawie, Kielcach, Lublinie i Płocku),

„a właściwiéj mówiąc, jak powiada p. M., do zamianowania cztérech nauczycieli," gdyż nawet oddzielenie małoletnich od dorosłych, nie zawsze się dawało wykonać dla braku miejsca lub gorliwości nadzorców. Tylko w głównym domu kary w Warszawie, dzięki osobistéj przedsiębierczości i gorliwości nadzorcy, p. Maternickiego, istnieje wykład nauki religii i moralności, oraz czytania, pisania, rachunku i śpiewu choralnego.

Nowe zatém Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, zaczyna swą działalność w chwili bardzo naglącéj, a może oddać społeczeństwu znakomite usługi.

Zadaniem Towarzystwa będzie: 1) praca nad moralną poprawą dzieci płci obojga przez sądy na karę skazanych, 2) nad polepszeniem losu nieletnich żebraków i włóczęgów bez przytułku, 3) opieka nad małoletnimi wychowańcami swoich instytutów po uwolnieniu.

Ażeby Instytucya nie została zwichniętą w saméj podstawie, jakto się właśnie stało z Instytutem Mokotowskim, p. M. radzi przedewszystkiém uzyskać *na drodze prawodawczéj* odpowiednie zmiany przepisów kodeksu karnego, inaczéj bowiem sądy nie będą mocne powierzać Towarzystwu najważniejszych przestępców małoletnich, o których najbardziéj właśnie idzie. Władze administracyjne mogłyby nadsyłać tylko dzieci z więzień, które przebywszy chociażby najkrótszy czas w tych „szkołach zbrodni," wniosłyby tylko zgorszenie do osady, a same jużby może nie dały się nawet poprawić. Tymczasem przepis prawny mógłby nakazać nawet odosobnienie małoletnich podczas śledztwa w domu badań i uchronić ich w ten sposób od wpływu dojrzałych zbrodniarzy.

Przepis prawa potrzebnym będzie jeszcze do zamiany kar kodeksowych na zamknięcie w osadach, do zamiany dozoru policyjnego na dozór Towarzystwa, do odebrania prawa rodzicom brać pod swą opiekę tych winowajców, dla których kodeks wyznacza skarcenie domowe.

Następnie p. M. radzi przyjmować wszystkich małoletnich skazanych chociażby na najcięższe kary, przynajmniéj do 14 lat wieku, zatrzymywać ich w osadach przez lat przynajmniéj dwa, a nie przyjmować skazanych na tak krótkie terminy, że nawet po przedłużeniu kary z mocy przepisów prawa nie mogliby być zatrzymani przez lat dwa w kolonijach. Ze względu na trudności praktyczne radzi też przynajmniéj początkowo wyłączyć z pod opieki towarzystwa małoletnich recydywistów.

W końcu p. M. zastanawia się nad sposobami wykonania zadań Towarzystwa. Mniema, że osada powinna się składać z domków drewnianych piętrowych; na dole muszą się mieścić warsztaty, a na piętrze sypialnia i szkoła najwyżéj na 15-ro dzieci. Obok pokoi dla dzieci muszą być urządzone pokoiki dla nadzorców czyli ojców oddziałów. Nadto potrzebne będą stodoły, stajnia, wozownia, obora, owczarnia, chlew, młyn, spichrz, łaźnia, lazaret, kaplica, mieszkania dla służby i dom dla dyrektora osady. Do pracy rolniczéj potrzebne są inwentarze żywe i martwe, a do warsztatów stoso-

wne narzędzia rzemieślnicze. Na początek trzeba też będzie dostarczyć ziarna na zasiew i materyałów surowych do przerabiania na warsztatach.

Przy takiém otoczeniu, małoletni będą korzystali z nauki czytania, pisania, arytmetyki, religii; ale p. M. żąda jeszcze obeznawania dzieci względem siebie i społeczeństwa, wyjaśnienia im głównych zadań życia społecznego i wykształcenia ich woli w ten sposób, aby w niéj znalazły „puklerz przeciwko pokusom do złego.“ Otóż w téj ostatniéj a najważniejszéj sferze niepodobna zapewnić pożądanych skutków przepisami regulaminu. Do osiągnienia celu potrzebni są przedewszystkiém należycie uzdatnieni a gorliwi ludzie. To też największą baczność zwrócić należy na wybór kapelana, „ojców familii“ i dyrektora zakładu.

Z ułożonego w cyfrach przypuszczalnych kosztorysu wynika, że na pierwiastkowe urządzenie osady na 150 małoletnich, prócz wartości ziemi, którą rząd ofiaruje, a którą Towarzystwo już przyjęło (osadę Studzieniec w powiecie Skierniewickim) potrzeba będzie przynajmniéj 40,000 rs., roczne zaś koszta utrzymania wyniosą około 15,000 rs.

Fundusze Towarzystwa mogą się składać: 1) z 3,000 rs. ofiarowanych jednorazowo przez 20 członków założycieli, 2) około 11,250 rs. płaconych przez rząd za utrzymanie 150 przestępców skazanych przez sądy, których utrzymanie w więzieniach wynosi około 75 rs. rocznie; 3) z rocznych składek po 6 rs. od członków honorowych; 4) ze składek i ofiar osób prywatnych; 5) z dochodów ze sprzedaży płodów rolnych i wyrobów saméj osady. Przypuszczając że lista członków honorowych dojdzie do 2,000, p. M. oblicza fundusze Towarzystwa tylko na 26,250 rs.

Tak więc pozostaje jeszcze obszerna luka, którą wypełnić mają *ofiary i składki osób prywatnych.* Tu właśnie społeczeństwo nasze ma najlepszą sposobność okazania dbałości swéj o własne bezpieczeństwo i godność moralną. P. Miklaszewski nie wątpi, że liczba członków honorowych znacznie przewyższy cyfrę (1) 2,000 (do dnia 12 listopada zapisało się jeszcze 829), oraz że od osób prywatnych popłyną liczne a bogate dary. My też chętnie wtórzymy szanownemu autorowi w téj ufności do społeczeństwa naszego, a radzibyśmy byli ażeby wiadomość o zadaniu i działaniach nowo-założonego Towarzystwa upowszechniła się w jak najszerszych kołach, ażeby każdy przychodził mu z pomocą w miarę możności datkiem lub składką stałą. Będzie to ofiara zacna a nierównie od jałmużny ulicznéj pożyteczniejsza, przyczyni się bowiem do przekształcenia nędzarzy na roztropnych rzemieślników i rolników, przestępców, wrogów społeczeństwa, na pożytecznych sług jego.

(1) Cyfra ofiar, złożonych przed dniem 12 listopada r. b. wynosiła 3105 rs. 50 kop. Tym sposobem łącznie ze składką 20 członków założycieli Towarzystwa, fundusze dochodzą zaledwo do wysokości 9,135 rs. 50 kop.

Wracając do rozprawy p. Miklaszewskiego winniśmy wyrazić uznanie dla objawionéj tu gruntowności rad i uwag, dokładnéj znajomości przedmiotu podług nowoczesnego stanu Prawa Karnego, oraz jasności wykładu, która czyni tę pracę przystępną dla ogółu, nie wtajemniczonego w *sacra et arcana* naukowe, jakie cała rozprawa, nacechowana wytrawnością sądu i zacnością uczucia, może i powinna sprawić na umyśle czytelnika.

T. K.

Konfederacya Barska. Korrespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim Łowczym Koronnym w r. 1768, wydał Dr. L. Gumplowicz. Kraków. Nakładem wydawnictwa „Kraju" 1872 r. (w 8-ce str. XV, 204 z mapką).

Sto cztery lata w roku bieżącym już upłynęło, jak rozpoczął się dramat dziejowy pod imieniem *Konfederacyi Barskiéj*. Sprawdza się na nim zdanie Szyllera „że co ma ożyć w pieśni, musi umrzeć w rzeczywistości," albowiem do iluźto utworów artystycznych tak w poezyi jak w prozie nie dał wątku i osnowy.

Najwięksi poeci naszego okresu jak Mickiewicz, Słowacki, Pol brali go za przedmiot do poetycznych utworów, jak Henryk Rzewuski, Zygmunt Kaczkowski i Kajetan Sufczyński do swych opowieści. Żywa tradycya tym ostatnim jak i Polowi dopomagała niemało i nawiewała życie w czasy i postacie, które powoływali do zmartwychwstania.

Pomimo to, dokładnego obrazu historycznego saméj konfederacyi, opartego na dokumentach współczesnych nie posiadamy, zarysy tylko, z wielkiemi przerwami, niemogące być zaokrąglone w całość jednolitą. Łatwo pojąć te braki, gdy zważymy, że najważniejsze autentyczne materyały dotąd ukrywają się w rękopismach po publicznych i prywatnych zbiorach, nieznane lub niedostępne. Tak długo uchodziło porwanie Stanisława Augusta przez konfederatów jako zamiar pozbawienia go życia, dopóki z tajnego archiwum tego króla nie ukazały się inne dowody współczesne, wykazujące wypadek ten, jako *dworską farsę*, zdawna dobrze obmyśloną, dla pozyskania sobie moralnéj opinii, a zgnębienia konfederacyi. I osiągniono cel upragniony: w obóz ich rzucono żarzewie niezgody, a najznakomitszy wódz *Kazimierz Pułaski*, niesłusznie obwiniony o królobójstwo, po daremnéj obronie swéj, z murów warownych *Jasnéj Góry* uchodzić musiał w obce kraje, i znalazł śmierć pod *Savannach* w Ameryce, walcząc za niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Przez ośmdziesiąt lat blizko ciążył ten zarzut na zacnym imieniu Kazimierza Pułaskiego i powtarzali go wszyscy jednostajnie: bo jakże niewierzyć, gdy proces był jawny i wydrukowany

z dokumentami. Ale najważniejszy z nich był w ukryciu w tajném archiwum króla Stanisława Augusta, i dopiéro przypadek szczęśliwy go odkrył. Jestto własnoręczna obrona Kazimierza Pułaskiego, w któréj ze szczegółami się spowiada z rycerską otwartością. Nie miał myśli nawet godzenia na życie króla, chociaż walczył przeciw jego chorągwiom w otwartém polu: a o zamiarze porwania go, zupełnie nie wiedział. To postanowienie ażeby Stanisława Augusta porwać z Warszawy, oswobodzić z pod zgubnych wpływów, i sprowadziwszy w mury Jasnéj-Góry postawić na czele *konfederacyi*, powziął *Stanisław Strawiński*, rotmistrz starodubowski. Charakter to godny uwagi. W długich dumaniach nad położeniem ówczesném kraju, powziął tę myśl: skryty Litwin, w głębi swéj duszy ją chowa. Niezwierzając jéj nikomu, przy końcu 1770 roku przybywa do Warszawy, zwiedza kilkakrotnie zamek królewski, a żeby odwrócić wszelkie od siebie podejrzenia, udaje biédnego i prosi króla o wspomożenie: jakoż 29 listopada tegoż roku przez ręce kamerdynera *Ryxa* otrzymuje dziesięć dukatów w złocie. Ze stolicy wprost przebiéra się do Jasnéj-Góry, gdzie piérwszy raz ujrzał i poznał Kazimierza Pułaskiego. Udał przed nim, że wprost z głębi Litwy przybywa: modli się gorąco z wielkiém nabożeństwem przed cudownym obrazem Matki Boskiéj i zrobił *dewocyą* jak wyraża sam Pułaski, to jest spowiadał się i komunię przyjmuje, odbywszy poprzednio *rekolekcyę*. Ale ostrożny i podejrzliwy, stara się usilnie zbadać charakter i przekonania ostatniego wodza konfederacyi: to badanie pokazało mu, że szlachetny i rycerski Pułaski, nie zgodziłby się na plan jego bynajmniéj. Niezdradziwszy się przeto ani jedném słowem z utajonym zamiarem, żąda od niego tylko *ordynansu* do najbliższego dowódzcy konfederatów, ażeby mu dopomagał w zebraniu stu ochotników jazdy, których zgromadzi łatwo w saméj Warszawie, gdzie ma liczne znajomości i stosunki. Pułaski chętnie się skłania do jego prośby, i niepodejrzywając o żadne skryte zamiary, podpisuje żądany *ordynans*. W ogólnych wyrazach tego rozkazu znalazł Strawiński silną pomoc dla swéj pierwotnéj myśli, którą z niesłychaną energią doprowadza do skutku. Ale zdradzony przez *Kuźmę*, któremu powierzył porwanie króla, schwytany i na karę śmierci skazanym został. Uszedł téj kaźni szczęśliwie, wykradziony z więzienia przez jednego z książąt Sapiehów, i dostawszy się do Rzymu, przywdział tam habit zakonnika. Za czasów Księztwa Warszawskiego wrócił do kraju, był proboszczem w jednéj parafii dawnego województwa Augustowskiego i za czasów Królestwa Polskiego umarł. Zostawił pamiętnik swój, w którym opisał szczegółowo udział swój w konfederacyi Barskiéj. Rękopism ten pozostaje dotąd w ukryciu, w ręku nieznanego krewniaka jego w Wielkiem Księztwie Poznańskiém. Przywodzimy to na pamięć, żeby pobudzić do wyszukania tego *pamiętnika*, który pogląd na ten ustęp dziejowy całkowicie zmienia, i pokaże całą matnię intryg dworskich, charakter Pułaskiego, i energię Strawińskiego przy niesłychanéj odwadze jego i przytomności umysłu. Do-

dać tu musimy jeszcze szczegół, w którym te przymioty rotmistrza starodubowskiego wydatnieją. Kiedy „*Generalicya Konfederacyi*“ ogłosiła akt bezkrólewia, i takowy potrzeba było doręczyć osobiście Stanisławowi Augustowi, Strawiński dobrawszy dwóch śmiałych towarzyszów, jako świadków, wchodzi na zamek Warszawski, doręcza akt pomieniony do rąk własnych króla, a świadom dobrze miejscowości, znika niepostrzeżenie.

Jak pamiętnik jego wydobyty z ukrycia, niemałoby rzucił światła, na cały ten dramat: tak rozjaśniają wielce jego początek ogłoszone przez Dr. Gumplowicza *Korrespondencye.* Przypadek zdarzył, że wydawca w Dreznie, otrzymał zbiór odpisów różnych aktów i dokumentów do dziejów z początku XVIII stulecia. W zbiorze tym znalazł *Korrespondencyę między Stanisławem Augustem a Branickim z roku 1768*, i dał jéj pierwszeństwo w ogłoszeniu drukiem, dla tego, że stanowi niejako całość i przedstawia jednolity obraz piérwszego okresu dziejów Konfederacyi Barskiéj. Zaczyna się od dnia 30 maja 1768 roku, a kończy z dniem 13 października tegoż roku.

Branicki wyjeżdża w połowie maja z Warszawy przez Lublin, Zamość i Tomaszów, staje w Samborze: tu stara się zebrać nieco wojska, licząc na pomoc chorągwi obcych, oddawna przyrzeczonych. Joachim Potocki, wyparty przez te ostatnie, cofa się do Wołoszczyzny, ale ztąd wysyła małe poczty; wreszcie wiedząc o naleganiu na Turcyę ażeby został wydany, przeszedł Dniestr pod Zwańcem i pociągnął ku *Barowi.*

Branicki dnia 16 czerwca podstąpił pod *Bar* i wysłał rozkaz do zamkniętych w téj forteczce konfederatów, ażeby się poddali. „Oni (pisze w swym liście łowczy koronny) na ordynans mój, wysłali czterech księży z krucyfiksami i statuą Najświętszéj Panny, z którémi nie wiedzieć co było mówić, gdy żaden regimentarz nie wyjechał.“

Nieśmiejąc uderzyć sam, czekał na posiłki obiecane: jakoż dopiéro 19 t. m. połączył się z niemi, i nazajutrz trzema dywizyami na Bar uderzył: jedną dowodził Branicki, drugą Apraxyn, trzecią Weisman. Forteczka wziętą została szturmem: „W tym ataku, (pisze) zginęło czterystu konfederatów.“

Tak piérwszy akt dramatu się skończył, gdy się drugi rozwinął straszniejszy, bo wybuchła *koliszczyzna* znana w dziejach pod imieniem buntu hajdamaków: w nim zasłynęły imiona *Gonty* i *Żeleźniaka*, których nam pamięć odświeżył Seweryn Goszczyński w poemacie swoim: „*Zamek Kaniowski.*“

Po zdobyciu Baru, konfederaci wraz ze swymi dowódzcami, schronili się do Chocimia, wyczekując na wymarzoną pomoc to od Turków, to od Prus i od Rossyi. Branicki staje pod Kamieńcem Podolskim, i pragnie zawiązać stosunki z konfederacyą, ale ta odrzuca wszelkie propozycye. Bezczynnie wyczekuje i ciągle błaga króla aby mu od księcia Repnina pieniądze potrzebne na utrzymanie wojska wykołatał. Król robi co może, trochę pieniędzy dostaje

ale skarzy się na skąpstwo Repnina i radzi Branickiemu, aby sam do niego o pieniądze pisał. Ten fakt jeden, rzuca niemałe światło na stanowisko Stanisława Augusta i jego zaufanych zwolenników.

Na początku września konfederaci z za Dniestru dali znowu znaki życia. Przeprawiwszy się na polską stronę, uderzyli na miasto Studziennicę, i zrabowali je. Drobne te zaczepki miały na celu pozorne utrzymywanie walki przez nich rozpoczętéj, bo rzeczywistéj wojny nie było, siły ich były za słabe. Marszałkowie konfederacyi łudzą się pomocą od Francyi, między sobą zaś, ciągle wiodą kłótnie, intrygi i swary.

Tymczasem słotna i zimna jesień, kazała już myśléć konfederatom o leżach zimowych, a Branicki sam, po trudach, pragnie odpocząć w Warszawie. Król nie sprzeciwia się jego przyjazdowi, ale zarazem poleca mu i nagli ażeby dobrze zaopatrzywszy Kamieniec, rozpuścił wojska jakie z niemałym trudem zgromadził.

W ostatnim liście ogłoszonego zbioru pisanym dnia 13 grudnia 1768 roku ze Szumska, skarży się Branicki na tę nagłą zmianę postanowień króla, a nawet wacha się zadość uczynić jego woli. Obawia się albowiem, aby nie było śmiesznością to rozpuszczenie chorągwi: „wojska komputowego (pisze w nim) rozpuszczać niemogę, chyba za wyraźnym rozkazem komissyi wojskowéj, i nie zdaje mi się aby rozpuszczać, *bo z własnych naszych czynności sami będziemy żart robili.*“

„Słowa te Branickiego (mówi trafnie wydawca), zawiérają gorzką prawdę, ale zarazem trafny sąd o téj kilkomiesięcznéj jego kampanii przeciwko konfederatom. Wrzeczy saméj cała ta kampania, wszystkie te *czynności* jego wyglądają na *żart*, ale na żart bardzo smutny, charakteryzujący doskonale politykę króla i ciasny widnokrąg polityczny jego stronników.“

W korrespondencyi téj znajdują się wedle wskazówek wydawcy, dopiski własnoręczne Stanisława Augusta, już w polskim języku, już po francuzku: zdaje się przeto, że zbiór cały pochodzić musi z przybocznego archiwum tego króla.

Kitowicz współczesny świadek téj konfederacyi podaje mnóstwo zajmujących szczegółów, tak o jéj przebiegu, jak i osób działających w niéj wydatnie, ale wiele dopełnień i sprostowań potrzebuje, gdyż pisał pod wrażeniem chwili i zachwyconych pierwszych wieści i wrażeń. J. S. Bandtkie, Joachim Lelewel krótko tę konfederacyę zbywają: Stanisław Kaczkowski w wydanéj: „*Wiadomości o konfederacyi Barskiéj.*“ (Poznań 1843 r.) nie odpowiedział nawet napisowi karty tytułowéj. Julian Bartoszewicz w *Encyklopedyi powszechnéj* (Tom 2-gi), obszerną o niéj rozprawę pomieścił, wielu szczegółami ubogacił i swój pogląd uwydatnił. Józef Szujski w *Dziejach Polski,* pod panowaniem Stanisława Augusta, poświęca niemałe ustępy powstaniu, rozwojowi i upadku téj konfederacyi: jest to praca poważna i krytyczna, a ostatnia w tym przedmiocie. *Korrespondencya,* o któréj mówimy, rozjaśnia nie jeden szczegół przez poprzednich badaczy niedotknięty.

Blaskiem wielkich imion historycznych panów polskich, konfederacya Barska pozyskała do razu szeroki rozgłos nietylko w kraju, ale daleko i za jego granicami; ale ona też odkryła w rodach magnackich, już ich upadek moralny, i była wykopaniem mogiły na pochowanie ich znaczenia i powagi, któréj używali powszechnie ze szkodą narodu. Jedna z najgłośniejszych w niéj postaci, książe Karól Radziwiłł znany pod imieniem *Pana Kochanku*, stracił w niéj połowę kolosalnéj fortuny, niezdziaławszy nic godnego coby zasługiwało na poważniejszą w tym okresie wzmiankę. Cały jednakże przebieg téj konfederacyi, gdyby oddany był piórem umiejętném, po zbadaniu wielu źródeł jeszcze nieznanych, a dostępnych, stanowiłby epizod historyczny równie zajmujący jak pouczający.

Wspomnieć tu w ostatku musimy, o ciekawym zabytku, przywiązanym do konfederacyi Barskiéj. Jestto krzyż wojskowy, jaki *Generalicya* jéj ustanowiła, dla odznaczających się walecznością i poświęceniem konfederatów. Jedyny egzemplarz znany, przechowuje się w gabinecie generała Kossakowskiego.

K. Wł. W.

Benedyktyński klasztor w Sieciechowie, według pism i podań miejscowych, przez ks. Józefa Gackiego. Radom, w drukarni J. K. Trzebińskiego 1872 roku (w 8-ce str. 299).

Znany od wielu lat sumienny pracownik na niwie historycznéj ks. Józef Gacki, autor dzieła: „O rodzinie Jana Kochanowskiego, o jéj majętnościach i fundacyach.“ (Warszawa 1869 r.) wydał obecnie obszerną monografię benedyktyńskiego klasztoru w Sieciechowie. Autor rozpoczyna ją od opisu Wisły, nad którą stał gród warowny *Sieciecha*, wspominany od *Marcina Galla*, na miejscu którego następnie powstał klasztor Benedyktynów. Pierwotny gród istniał w XI wieku, o klasztorze zaś wspomina kronikarz *Bogufał* biskup poznański zmarły 1252 roku. Z tego wstępnego rozdziału widzimy jak Wisła szeroko się w owe czasy rozlewała i jak często zmieniała swoje koryto, czego wyraźne ślady mamy i w pobliżu Warszawy.

Pierwiastkowo mieścili się benedyktyni w zamku *Sieciecha*, który miał stać w tém samém miejscu gdzie dziś klasztor położony. Podanie to do Inwentarza 1797 r. wciągnięto. Za Długosza był klasztor Sieciechowski częścią z białego kamienia, a częścią z cegły palonéj zmurowany. *Maciéj* opat wystawił klasztor zastosowany do obserwancyi włoskich klasztorów, a słynny w literaturze naszéj i na polu zasług obywatelskich opat *Józef Wereszczyński*, przetworzył go w kształt twierdzy.

Długosz w *Dziejach* obszernie opowiada o założeniu i uposażeniu tego klasztoru, który należał do wielce zamożnych i bogatych

fundacyj, mając dwa miasta: *Sieciechów* w czasach niepamiętnych powstałe i *Puhaczów* na początku XVI wieku utworzone, kilkadziedziesiąt wsi i folwarków, oprócz wójtostw, młynów i ogromnych lasów. Mamy je wszystkie wyszczególnione w téj szacownéj pracy autora. Znakomity dochód dawały młyny, rybołóstwo kopalnie, rudy żelaznéj, hamernia, browar i gorzelnia: bartnictwo dostarczało miód na potrzeby zakonu. Dziesięciny stanowiły oddzielny dochód. Liczba zakonników nie przenosiła cyfry 30: tém autor prostuje przesadę w Encyklopedyi Powszechnej, która w Sieciechowie do 70 liczyła (T.XXIII). Klasztor ten żywił codziennie po stu ubogich przy furcie, a na przednówku lub w czasie wylewu Wisły i po 500. Subdyakon jeden miał dozór nad żywieniem biédnych. Pobliższe klasztory żebrzące dostawały co roku od Benedyktynów tutejszych jałmużnę po kilka wołów i po kilkanaście korcy zboża. Szlachcic podupadły miał gościnność przez trzy dni, poczém dostawał na drogę kilka złotych, chléba, séra i podwodę na trzy mile. Nabożeństwo żałobne za Bolesława Chrobrego odbywali tu Benedyktyni dnia 1 października, a za *Siecieche* 9 lutego, corocznie.

Ciekawy i pracowity mamy tu spis opatów sieciechowskich i szkół. Zamożna biblioteka w części tylko dostała się do publicznéj w Warszawie, albowiem przebrane przez S. B. Lindego księgi (w r. 1819) i w pakach pomieszczone na galarach, niedoszły wcałości: galar jeden zatonął w Wiśle. Lelewel *w księgach bibliograficznych*, wymienia *kodeksa*, które w niéj znalazł od 1408 do 1502, z których się okazało, że śród sieciechowskiego zgromadzenia znajdowali się Benedyktyni zajmujący się przepisywaniem rękopismów. Klasztor ten zniesionym został na mocy bulli Papiezkiéj w r. 1819. Odtąd coraz więcéj tak kościoły jak klasztory upadały. Kościół ogołocony z wewnętrznych swych ozdób i ruchomości, jak stallów, ławek, krat, konfessyonałów, cyborium, od lat zgóry 30 stanął pustkami: w kilka lat zabrano do Sandomierza i marmurowe posadzki. Klasztorne budowle dotknięte zalewem Wisły uległy ruinie: mury jedynie opactwa zamieszkiwane przez dzierżawców, w należytém utrzymują się stanie. Obszerny autor poświęca ustęp słynnemu poecie *Sebastyanowi Klonowiczowi*, który był we wsi *Psary* należącéj do dóbr Sieciechowskich, wójtem. W nim znajdujemy zajmujące szczegóły, które ubogacają życiorys twórcy *Flisa* i *Worka Judaszowego*.

R.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Listopad 1872 r.* Nakładem Ordynacyi Krasińskich wyszła w Krakowie z drukarni „Czasu“ *Biblioteka Ordynacyi Krasińskich.* Rok 1872. Obejmuje: „*Akta poselskie i korrespondencye Franciszka Krasińskiego 1558—1576. Zebrał i opracował Dr. Ignacy Janicki, wydał Władysław Hr. Krasiński.* (w 4-ce str. 366. Spisu VIII, przedmowy kart trzy). Zdobi je popiersie Zygmunta Augusta z fac similem jego podpisu, podług rysunku *Jana Matejki* wedle starego olejnego obrazu (z galeryi p. *Antoniego Makowskiego*), który sam Zygmunt August ofiarował magistratowi miasta Gdańska i popiersie Maksymiliana II podług portretu Rubensa, a przerysowany przez *Floryana Cynka.* Oba te rysunki wykonane na drzewie sztychował *Józef Holewiński* ksylograf warszawski, mylnie w przedmowie przezwany *Janem.* Główny materyał do téj publikacyi dała zamożna biblioteka kornicka, któréj właściciel Jan hr. Działyński chętnie dozwolił korzystać z jéj rękopismów. W przedmowie Dr. I. Janickiego znajdzie czytelnik szczegóły, objaśniające to wydawnictwo wspaniałe i staranne. Równocześnie w tejże drukarni i w tymże samym formacie wyszła ważna rozprawa p. n. „*Przyczynek do historyi dyplomacyi w Polsce 1566—1572.*“ Autorem jest Władysław hr. Krasiński, który ją swemu teściowi niedawno zgasłemu Adamowi hr. Potockiemu przypisał. (w 4-ce str. 77).

— Pomiędzy piérwszymi kalendarzami na rok przyszły ukazał się: „*J. Noskowskiego kalendarz domowy dla wsi i miasta na r. zwyczajny 1873. Rok piérwszy, Warszawa. Nakład i druk wydawcy*“ (w 8-ce str. 192 z drzeworytami). W części literackiéj znajdujemy nieznany wiersz następny Adama Mickiewicza: „*Do Imionnika panny A. J.*“

Przed wichrami i szronem, gdy przelotne ptaki
Uciekając, rozstania nucą pieśń żałosną,
Nie wiń ich o niestałość! one z każdą wiosną,
W jedne strony jednemi powracają szlaki.
Słysząc głos ich, wygnańca wspomniéj przyjaciela!
Ilekroć mu po burzach nadzieja zaświeci,
Tyle razy duch jego na skrzydłach wesela
Znowu na północ, znowu ku tobie uleci.

Wiersz ten napisał d. 10 septembra 1829 r. w Moskwie, do Imionnika zmarłéj przed kilkoma laty panny *A. Jaenisch*, córki Dr.

medycyny, późniejszéj małżonki znanego zaszczytnie w literaturze rossyjskiéj powieściopisarza N. Pawłowa. Pani Pawłow kobiéta znakomitego talentu pisarskiego, znaną jest także ze swoich poezyj w trzech literaturach: rossyjskiéj, francuzkiéj i niemieckiéj, w wydaném dziele r. 1857 w Paryżu p. n. *Voix du Nord* znajduje się także kilka większych i mniejszych przekładów z poezyj lirycznych Mickiewicza.

— Wyszedł z pod prassy: „*Józefa Ungra Kalendarz Illustrowany na rok zwyczajny 1873.*“ Oprócz bogatéj części literackiéj powiększony został wielce użytecznym: „*Przewodnikiem Warszawskim.*“ Portrety jakie są w nim zamieszczone, zalecają się i podobieństwem osób i staranném odbiciem. W dziale literackim znajdujemy rozprawę Karola Estreichera bibiotekarza Uniwersytetu Jagiellońskiego p. n. *Runy Słowiańskie,* w któréj stanowczo zbija mniemanie o runach słowiańskich i dowodzi fałszywości dwóch *kamieni Mikorzyńskich* z tego rodzaju napisami i wyobrażeniem bożka Prowe, które się znajdują w Muzeum Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

— Eustachy hr. Tyszkiewicz b. prezes komissyi archeologicznéj i muzeum wileńskiego, przygotował do druku rękopism wraz z rycinami: „*Groby rodziny Tyszkiewiczów.*“ Jest to zbiór mauzoleów i napisów grobowych téj rodziny, znajdujących się w Litwie, Królestwie Polskiem, na Ukrainie, w Galicyi, zarówno jak w Rzymie, Wiedniu, Paryżu, Brukselli. Jest tych pomników kilkanaście i cztery portrety znakomitszych członków téj familii. Ryciny wykonane zostaną w zakładzie litograficznym Walkiewicza, a druk rozpoczęty w typografii J. Jaworskiego.

— Ksiądz *Michał Nowodworski* ogłosił prospekt na dzieło p. n. *Encyklopedya kośbielna podług teologicznéj Encyklopedyi Wetzera i Weltego, z licznemi jéj dopełnieniami.*“ Encyklopedya ta obejmować będzie 14 tomów w 8-ce, razem 560 ar. druku i wychodzić tomami, z których piérwszy ukaże się w marcu 1873 roku. Cena każdego tomu na prenumeratę po rsr. 2. Na przypadek śmierci wydawcy wskazane są w prospekcie osoby, które daléj i bez przerwy prowadzić będą tę publikacyę, ażeby prenumeratorowie żadnego nie doznali zawodu.

— Magister nauk historyczno-filologicznych Bronisław Korpaczewski, ogłosił prospekt na nowe pismo tygodniowe: „*Ognisko Domowe*“ które ma wychodzić od 1 stycznia 1873 roku. Treść tego organu tak objaśnia pomieniony prospekt:

„Biorąc za godło naszego pisma „*Ognisko Domowe,*“ z którém się nierozłącznie wiąże *rodzina,* pragniemy tym sposobem wyrazić, że dziedzinę, którą na podstawie naukowéj w praktycznym kierunku obrabiać zamierzamy, stanowią powyższe dwa nie wzruszone zasadnicze pierwiastki wszelkiego wyżéj spotęgowanego społecznego bytu. Stojąc na straży nietykalności, niewzruszoności podstaw, lecz zarazem i rozumnego rozwoju bytowych form *domowego ogniska* i *rodziny,* zwrócimy uwagę na te wszystkie społeczne

objawy, które dążą czy to do utrwalenia, czy też do osłabienia i zmiany panujących dotąd pojęć o celach i przeznaczeniu tych dwóch społecznych piérwiastków, a zatém i do zachowania lub też przekształcenia istniejących i uświęconych dotąd ich form. W zwięzłych i wyczerpujących artykułach będziemy się starali przedstawić każdo-chwilowy stan należących tu kwestyj, społeczne i rozumowe ich podstawy, nakoniec kierunek i warunki ich rozwiązania."

Cena roczna wynosi rsr. 4 kop. 30, miesięczna kop. 40.

— *Bibliografii polskiéj* Karola Estreichera zeszyt piérwszy tomu II-go ukazał się już w Warszawie (8-a wielka str. 160). Obejmuje litery *G* i *H* całe, gdyż na ostatniéj stronnicy litera *I* się zaczyna.

— Dzieło p. n. *Serbia w XIX wieku, czyli dzieje wyzwolenia się Serbii z pod jarzma tureckiego* przez Saint-René Taillandier'a, wyszło w Toruniu (w 8-ce str. 244) w przekładzie F. T. Rakowicza i jegoż nakładem.

— Wydawca i redaktor wychodzącego *Rocznika* w Petrokowie p. *Antoni Porębski,* zamierza w temże mieście od 1 stycznia 1873 r. wydawać pismo p. n. *Tydzień* i w tym celu rozesłał naprzód do wielu pisarzy zaproszenie do współpracownictwa.

Będzie to już czwarty organ prowincyonalnéj prassy. Obecnie zaś ogłosił drukiem „*odezwę redakcyi czasopisma Tydzień*" w któréj wymienia wszystkie działy jakie obejmować będzie.

— *Goniec Urzędowy* donosi z Wilna o *Bibliotece i Muzeum starożytności* w tém mieście, że d. 13 (25) września r. b. nastąpiło urzędowe otwarcie głównéj sali czytelni przy bibliotece publicznéj, oraz przekształconego Muzeum starożytności. Biblioteka powstała głównie ze zbiorów prywatnych Eustachego hr. Tyszkiewicza, który przy założeniu Muzeum w roku 1856 ofiarował ją na użytek publiczny. W roku 1864 znajdowało się w niéj 14,006 dzieł drukowanych w 19,455 tomach, tudzież kollekcya archeograficzna licząca 1,287 egzemplarzy, a w téj liczbie 790 autografów osób historycznych.

Katalog kartkowy biblioteki daleko posunięty pracą sekretarza b. komissyi archeologicznéj M. Krupowicza, układano od roku 1864 do téj pory, lecz jeszcze w całości nie jest ułożony.

— „*St. Petersburskie Wiedomosti*" podają ciekawe cyfry statystyczne, dotyczące ruchu prassy peryodycznéj w Rossyi z końcem roku zeszłego. Z tego widzimy że najwięcéj prenumeratorów z pism illustrowanych miała: „*Wsiemirnaja Ilustr,*" bo liczyła ich 3,559.

— *P. Barsow* (jak podaje nam wiadomość czasopismo „*Besieda*" w Nr. 5) wydał część I *podań obrzędowych* północnéj Rossyi, zebranych z ust ludu. W życiu tych okolic zachowały się typy *płaczek*, mających wielkie poszanowanie u ludności miejscowéj. Płaczki te, główne koryfeuszki obrzędów przez usta swe wy-

głaszają ludowi smutne opowieści o sierotach, których niedola nie znalazłaby gdzieindziéj swoich tłumaczy. Opowiadania takie oprócz prawidłowego dyalogu pełne są dramatyczności. Za każdą scena rozmowy, następuje obraz radości rodzinnéj lub przeciwnie. Tak np. w powieści o „upijającéj się głowie“ widać tajoną radość wdowy, że się nareszcie uwolniła od pijanego despoty, ale zarazem wyobraża się trwoga i złe przeczucia o tém, co ją i jéj dzieci czeka, jak będą nadal żyły w pogardzie u innych, kiedy matka zmuszoną będzie puścić je w świat szeroki.

Idą więc na grób ojca aby tam zaczerpnąć „rady i rozumu“ a wypłakawszy się do syta, idą na świat chętniéj aby ulżyć tęskniącéj matce. Niektóre obrazy w takich opowieściach pełne są namiętności i fantazyi. Ulubionym tematem jest tu walka człowieka ze śmiercią. Zaklęcia i błagania ludowe zwracają do śmierci, która najczęściej skrada się ku swéj ofierze. Tu przeszła po podziemia w postaci młodéj kobiéty, tam jako urocza dziewoja, gdzieindziéj jako daleka żebraczka podróżna, do drzwi nie stukając, u okna nie pokazując się i tylko cichutko, czasem wkształcie czarnego kruka w szyby zaglądając.

Aby ją ułagodzić znoszą jéj ofiary, sadzają za stół, biją przed nią czołem, jako widocznie zesłanéj przez *Rozpiętego na krzyżu*, obiecują jéj różne podarunki; ale ona nieprzekupna, nie oszczędza ani biédnych, ani podróżnych, ani bogatych.

Z podobnąż gościnnością przyjmują tu i cienie zmarłych, którzy się po śmierci ukazują. Zapraszają ich aby znowu przychodzili, choć na chwilę pożyć z żyjącemi podawnemu. Kiedy zaś gość tak zapraszany przychodzi, podejmują go i częstują jeszcze gościnniéj niżeli śmierć nieprzekupną, otworzą przed nim drzwi dębowe i przycisną do serca.

Powróciwszy z pogrzebu dziewica zdaje się słyszéć jak u wrót brzękła zapora i goście przybyli. Prosi więc ojca aby odszedł od pieca i poszedł z córką na spotkanie drugiego gościa matki. Następnie sama wychodzi na środek izby i zwraca się do gościa, którego inni nie widzą, zesłowami wdzięczności za to, że przychodzi pobłogosławić przyszłe jéj zamęźcie. Zaraz téż wraz z ojcem przy bierają poruszenia jakby przybyłą matkę sadzali pod obrazem, pod oknem frontowém a pieśń w tém miejscu przechodzi w najdramatyczniejszy obraz.

„Brak tylko zakończenia temu dramatowi, który zapewnie p. Barsow wypełni w wydaniu następnéj części swego dzieła. Tym sposobem rozszerzy się poznanie tych części składowych dramatu, który od wieków tkwi w poezyi ludowéj. Tu to bez wątpienia wyraźniéj niż gdziekolwiek maluje się wnętrze życia włościanina, jego pojęcia i ideały, stosunek do natury ludzi i jakby w rzeźbie ukazuje się całe stanowisko jego społeczne.“

„Jak jest surową i ubogą otaczająca go przyroda, tak i układ jego umysłu skłonny do bojaźni, zagadkowości i uszanowania fatalności. A i w domu ciężko, ubogo, i *sędziowie niesprawiedliwi*, a jedyném jego schronieniem rozkoszne jezioro Onega, które mu daje możność wyżywić się z mozołem, choć często burzliwe i groźne odbiéra człowiekowi życie, rozbija i zatapia statki. Nie puszczać się zaś na jezioro nie można, bo czemżeby żyć? Musisz się na niém i pomodlić Panu (widoczny ślad bożyszcza żywiołów), inaczéj „zerwą się obłoki, porwie się burza straszna, dziko zawyją wichry, wezdmie się fala i wszystko pójdzie w kawały na wielkiém modrém morzu.“ W ogólności w podaniach tego rodzaju stosunek do świata urzędniczego w niekorzystném przedstawiony świetle. To samo uczucie wybija się i dla doktorów i dochowieństwa, a lubo często spotykają się tu dla niego pochwały, zawsze jednak w ujemném znaczeniu. Cała zaś sympatya dostaje się staroście, który się wstawia za ludem.“

Styl w podaniach rzeczonych pełen ozdób poetycznych, przenośnie i zwroty trafne czynią opowieść obrazową i malowniczą. Narzecze północne zachowane w nich jest czystém bez naleciałości późniejszych form i zwrotów.

— *Kraków. Akademia Umiejętności* jeszcze nie rozwinięta, żadnéj działalności nie pokazuje. Podług statutu wybrano piérwszych XII akademików z samych Krakowian, tymi są: *Dunajewski* (b. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego), *Karol Estreicher*, *Józef Kremer*, *Karol Mecherzyński*, *Wincenty Pol*, *Lucyan Siemieński*, *Józef Szujski*, *Walewski*, *Kuczyński*, *Majer*, *Skobel i Teichman*. Wszyscy są to mężowie wysokiéj nauki i nie małych zasług oddanych oświacie i literaturze krajowéj. Ci następnie wybrali 24 kandydatów na członków czynnych, z których cesarz 12 ma wybrać, po czém *Akademia Umiejętności* dopiéro właściwe zacznie życie.

Do teatru ściąga tłumy widzów, co jest u nas osobliwością, sztuka treści ludowéj, uwieńczona drugą nagrodą na zeszłorocznym konkursie p. n. *Skarby i Upiory* czyli trzecia część *Krakowiaków i Górali*, napisana przez zasłużonego i sędziwego artystę krakowskiéj sceny Ładnowskiego, z muzyką Kazimierza Hoffmana. Wiersz słaby podpiéra dowcip, intryga i żywa akcya. Lat 78 upłynęło, gdy piérwszy twórca *Krakowiaków i Górali.* wystawił na scenie warszawskiéj, po nim J. N. Kamiński dyrektor teatru lwowskiego napisał w lat kilkadziesiąt część drugą, teraz mamy trzecią i ostatnią zapewne. Zaletą téj sztuki jest to, że jest rzeczywiście przedłużeniem dwóch piérwszych.

Matejko po powrocie z podróży na Wschód zajmuje się obrazem przedstawiającym epizod z życia Kopernika. Krytyka wiedeńska nie może się nachwalić ostatniego jego obrazu *Stefan Batory*, lecz boleje zarazem, że Niemcy, owe wielkie Niemcy przodując cywilizacyi świata, niemają w téj chwili malarza, któryby równał się Matejce.

Z dzieł ważniejszych wyszły: *Listy Hugona Kołłątaja* pisane w roku 1792, 1793, 1794, zebrał Lucyan Siemieński. *Pisma ks. Hieronima Kajsiewicza* ze zgromadzenia Zmartwychwstańców, tomów trzy. *Rzym jako stolica państwa włoskiego*, napisał Bronisław Zalewski. *Pamiętnik wydziału prawa i administracyi w C. K. Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.* Rok szkolny 1871/2. Tom obszerny (str. 425) mieści w części naukowéj rozprawy professorów Bojarskiego, Girtlera, Zolla i Kosparka.

Kraków ma przeszło dwa tysiące nagrobków w kościołach swoich. Oprócz zebranych z ich napisów (Starowolski, Sołtyk, Teleżyński, Grabowski, Żebrawski, Łepkowski, Wurzbach), posiadają monumenta owe w przerysach Maksymilian Cercha, Szymon Dutkiewicz, Józef Łepkowski i Piekosiński. Piérwszego zbiór na ilość największy; nagrobki Cerchy są w rysunkach, Dutkiewicz ma akwarelle, Dr. Łepkowski zgromadził epigrafy wszystkich, a przerysy (wykonane przez brata jego Ludwika) posiada z tych tylko pomników; na których są napisy gockiemi głoskami. Dr. Kolmar Grünhagen w relacyi ze swéj podróży do Krakowa, chwali ten zbiór i podaje że J. Łepkowski ma przerysy 200 przeszło nagrobków. Wyszedł z pod prassy *Katalog tek Szymona Dutkiewicza;* ma 500 prawie akwarel monumentów krakowskich. Zbiór ten jest do sprzedania. Karol Estreicher wydaje *Historyę teatrów w Polsce*, a Żebrawski drukuje: *O nauce matematyki w Polsce*, w spisie dzieł bibliograficznym.

— Brak ludzi specyalnie w kierunku technicznym wykształconych, nie tylko u nas uczuwać się daje. Dowodzi tego reskrypt austryackiego ministerstwa wyznań i oświecenia rozpisujący konkurs do 31 grudnia 1872 r., celem obsadzenia w Akademii technicznéj we Lwowie katedr a mianowicie: *a)* zwyczajnéj katedry technologii mechanicznéj w połączeniu z opisową o machinach, *b)* zwyczajnéj katedry mineralogii w połączeniu z geognozyą, *c)* nadzwyczajnéj katedry rysunków ornamentalnych i modelowania. Do katedr *a)* i *b)* przywiązana jest płaca etatowa 1800 złr. w. a. rocznie; do katedry, *c)* płaca 1,200 złr. w. a. rocznie. Ubiegający się winni wystosować podanie do Wys. c. k. ministerstwa wyznań i oświecenia i złożyć takowe do rektoratu c. k. Akademii technicznéj we Lwowie przed upływem terminu konkursowego. Na mocy tegoż reskryptu rozpisano konkurs do 30 listopada 1872 r. celem obsadzenia czterech posad asystentów w tejże Akademii technicznéj mianowicie: *a)* dla katedry jeometryi wykreślnéj, *b)* geodezyi, *c)* nauk inżynierskich, *d)* technologii chemicznéj. Do każdéj z tych posad przywiązane jest wyuagrodzenie 600 złr. w. a. rocznie. Posada asystenta udziela się na dwa lata od dnia nominacyi z prawem jednorazowego przedłużenia na dalsze dwa lata. Kandydaci winni podania wystosowane do grona professorów c. k. Akademii technicznéj podawać do rektoratu Akademii technicznéj we Lwowie przed upływem terminu konkursowego.

— W Poznaniu, po zgonie ks. Prusinowskiego sprzedano bibliotekę, w któréj było kilka *białych kruków* bibliograficznych. Pomiędzy tymi odznaczał się *Żywot Jezusa Chrystusa*, przez Baltazara Opecia, drukowany w Krakowie u Hieronima Wietora. Egzemplarz ten jakkolwiek zdefektowany kupiono do biblioteki hr. Działyńskiego w Kórniku za 337 talarów.

— Książę Edmund Radziwiłł, spokrewniony przez babkę z domem cesarsko-pruskim, ale wychowany pod kierownictwem nauczycieli polaków w zasadach katolicyzmu, wszedł do stanu duchownego i pełniąc obowiązki wikarego w Ostrowie (w Poznańskiém), wydał obecnie dzieło p. t: „Powaga kościoła i sumienie nowoczesne“ (Die kirchliche Autorität und das moderne Bewusstsein. Breslau. Aderholz), w którém dowodzi, że protestantyzm wyszedł po za granice chrystyanizmu, że dogmat nieomylności jest nie zbity, że kościół w obec państwa musi mieć osobne nietykalne stanowisko. Z tych względów potępia politykę obecnego cesarstwa niemieckiego.

— Zabytki dawnych zwyczajów i wierzeń, nieraz się w naszych czasach objawiają. U *Opryszków* w Tatrach największą jest przysięga *na pistolet:* obecnie w księztwie Poznańskiém, tradycya ta przysięgi na fuzyą, przypomnioną została; albowiem jak donosi „*Ostdeutsche Ztg.*“ do sądu w Poznaniu przybył włościanin ze starą fuzyą nabitą loftkami i zażądał, ażeby zapozywający go, przysiągł na nią.

— *W Górnym Szląsku* zaczęło wychodzić pismo w języku polskim i niemieckim p. n. *Szlązak*. Zadaniem jego jest o ile możności działać przeciw agitacyi słowiańskiéj, która wielkie rozmiary przybrała w téj prowincyi.

— Powieść Jana Zacharyasiewicza: „*Noc Królewska*,“ przetłumaczoną została na język czeski i drukuje się w zbiorze: „Taniéj biblioteki ludu czesko-morawskiego.“

— Z powodu tegorocznéj wystawy sztuk pięknych w Brukselli, artyści polscy: *Rodakowski malarz ze Lwowa i Godebski* (wnuk Cypryana pułkownika i poety) rzeźbiarz w Petersburgu zamieszkały, mianowani zostali kawalerami orderu Leopolda, dekretem króla belgijskiego, z dnia 3 listopada r. b.

— Edmund Chojecki, który znany jest w literaturze francuzkiéj pod imieniem *Charles Edmond* i scenę paryzką zasila często utworami swego pióra, napisał dla teatru l'Odeon komedyę w jednym akcie: „ *Widziadło różowe.*“

— W Czechach, w pobliżu miast *Jeromierz* i *Czeskie Skalice* odkryto starożytne groby pogańskie. Znajdują się one w gęstym lesie, niedaleko ruin zamku *Wezelic*: miejsce to dotąd tameczny lud nazywa: „*w Kopcich.*“ Groby te mają kształt pagórków stożkowatych, stojących rzędem, mających około jednego sążnia wysokości. Tylko jeden pagórek ma dwa sążnie wysokości. Grobów tych odkryto już 120: rozkopywaniem ich już się zajęto i spodziewać się można bogatych zdobyczy dla archeologii czeskiéj.

— Dnia 17 listopada w Berlinie zamkniętą została w *Zeughausie* wystawa, w któréj było do widzenia berło królów polskich z kości słoniowéj z portretem Michała Korybuta.

— W pamiętnéj w dziejach naszych *Warnie*, zawiązał się komitet, wcelu zbudowania kaplicy na pamiątkę poległego pod tém miastem w roku 1444 Władysława króla Polskiego i Węgierskiego. Kaplica ta ma się stać z czasem parafialnym kościołem dla katolików warneńskich. Zbiéraniem składek na tę budowę zajmują się: *Angelo Duroni*, vice-konsul hiszpański i ks. Remigjusz missyonarz apostolski.

— „*W pierwszém półroczu 1873 r. rozpoczniemy druk powieści historycznéj J. I. Kraszewskiego z początków XVIII wieku.*“

— Czasopismo illustrowane *Kłosy* od Nr. 383 do 386 obejmują artykuły z dzeworytami: Roman Cichowski.—Huculi. —Faworyci pokojowi.— Zamek w Podhorcach.—Lipno.—Miłość zwycięzcą i miłość zwyciężona.— Ludwik XIV pracujący z radą ministrów w salonie pani de Maintenon.— Jaki dobry interes zrobił Adaś na jarmarku.—Szkice humorystyczne F. Kostrzewskiego.—Powrót z pola.—Teorbanista ukraiński.—Kałóża.—Kościół parafialny w Ozorkowie.—Aleksander Dumas (syn).—Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Dorsław z Rytwian powieść T. T. Jeża.—Sir Walter Skott.—Wspomnienie z życia Kazimierza Brodzińskiego.—Marta Kuźmowna, powieść.—Kronika Paryzka.—Kronika Lwowska.—Z obcego świata.— W kwestyi połączonéj pracy kobiét.—Listy J. I. Kraszewskiego.—Podróż po Afryce.—Charakter przez S. Smilesa.—Pokłosie. —Wiadomości z pola literatury i sztuki.—Stanowisko kobiéty w rodzinie i społeczeństwie.—Drugie cesarstwo we Francyi.—Ugo Foscolo.—Kilka słów o Słowianach południowych.—Doktor Serwaus powieść A. Dumasa.—Przegląd polityczny.

— Tygodnik Illustrowany do Nr. 253 od 256 obejmuje artykuły z dzeworytami: Mieczysław Dzieduszycki.—Młodzi przekupnie.—Wielki ołtarz Św. Katarzyny na Kazimierzu.—Modlitwa.—O święcim.—Wnętrze Synagogi w Włocławsku.—Projekt rusztowania do malowania domów i mycia okien.— Ludwik Januszkiewicz.—Z teki Grotgera.—Przy kominku.—Konnica furażująca.—Dr. Adryan Baraniecki i jego muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie.—Karnawał w Wenecyi.—Z podróży po muzułmańskim Wschodzie. Prócz powyższych mieszczą się artykuły: Morituri powieść J I. Kraszewskiego.—Kronika tygodniowa.—Zbiory wiedeńskie.—Przeglądy polityki zagranicznéj, piśmiennictwa krajowego.—Szkice Kaukazu.—Kronika zagraniczna J. I. Kraszewskiego.—Samuel ze Skrzypny Twardowski: Studyum.—Julia de Trecour powieść O. Feuillet'a.

OD REDAKCYI

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w roku 1873, w którym pismo to zacznie trzydziesty trzeci rok życia. Literatura, nauki, umiejętności jak dotąd będą na przyszłość jedynym przedmiotem Biblioteki. Cena dotychczasowa utrzymana: w Warszawie **Rs. 9**, na prowincyi **10**; *kto pragnie z poczty regularnie i w należytym porządku odbiérać wychodzące zeszyty, zechce wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa (Krakowskie przedmieście* **Nr. 415**) *przesłać prenumeratę* **Rs. 10** *i zarazem zawiadomić, z któréj stacyi pocztowéj zeszyty odbierać sobie życzy, a żadnego w przesyłce nie dozna zawodu.*

Prenumeratorowie raczą wcześniéj zaraz po 1 grudniu r. b. zgłaszać się, drukarnia bowiem odbija ilość egzemplarzy stosownie do ilości zgłaszających się prenumeratorów.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera przy ul. Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 18 Ноября 1872 г.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1872.

—

Starożytności krajowe.

stron.

Opowiadania o Warszawie, jéj przeszłości i pamiątkach miasta. Przez F. M. Sobieszczańskiego 1

Powinności wojskowe mieszczan w dawnych miastach na Rusi. Przez K. Pułaskiego 254

Liber beneficiorum Długosza. Przez Feliksa Zielińskiego. 333

Historya.

Serbia, zarysy historyczno-etnograficzne. Przez A. P.:

III. Pod tureckiém panowaniem. 52

IV. Wyzwolona Serbia 61

V. Kraj i ludność. 223

VI. Stan polityczny i społeczny 377

Prawo.

Pogląd na nowsze prace około wyjaśnienia historyi praw Słowian południowych. Przez Romualda Hubego. 169

Życiorysy.

Tomasz Padurra. Przez Walerego Przyborowskiego. 410

Literatura powszechna.

Historya literatury angielskiéj (z H. Taina). Streścił Edward Lubowski. 66

Dzieje współczesne.

Położenie obecne Francyi, według najnowszych źródeł urzędowych. Przez Witolda Załęskiego 423

Powieść.

stron.

Amalia, ustęp z wojny domowéj w Rzeczypospolitéj Argientyńskiéj, przez D. José Marmol; przekład z oryginału hiszpańskiego . . 24—193

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Pomnik wzniesiony w mieście Vendome, na cześć Ronsarda naczelnika plejady poetów XVI wieku.—Porównanie Ronsarda z Kochanowskim. — Dwaj zapaśnicy odrodzenia. — Mowa Augusta Barbier delegowanego od Akademii Francuzkiéj. — Poemata popularne Eugeniusza Manuela, uwieńczone przez akademią. — Nowy zwrot poezyi. — Obrazki rodzajowe z życia miejskiego ludu: Narzeczona robotnika, Matka i dziecię, Kwiat pomarańczy, Śpiewaczka uliczna, Przechadzka. — Mąż-niewiasta, broszura Aleksandra Dumasa.—Aspazya z Miletu, studyum historyczne p. Becq de Fouquières: Mężczyzna i niewiasta, list Emila Girardin do Dumasa w odpowiedzi na jego broszurę. 91

Czterystoletni jubileusz Kopernika, dzieło p. Flamaryon'a. Rodowitość polskiego astronoma. Młode lata. Nauki w Wszechnicy Jagiellońskiéj. Wojciech Brudzewski. Podróż po Włoszech. Padwa. Korony akademickie. Bononia. Rzym. Powrót. Stan duchowny. Walka z krzyżackim zakonem. Wszechstronność geniuszu: Kopernik ekonomista, lekarz, inżynier, filozof, poeta, malarz. Jego wizerunek. Wiersz Tiho Brahego. Dzieło de Revolutionibus orbium coelestium. Śmierć. Napis grobowy. Stoletnia cisza. Tryumfy. Napoleon w Frauenburgu. Ocenienie Herdera.—Z Maryenburskiéj wieży zadzwoniono.—Poezya i proza.—Bibliografia i archeologia. — Holandya i Holendrzy: rozprawa p. Quesnel. — Andrzéj Lemoyne uwieńczony poeta.—Strumień i dziewczyna.— Po balu. 269

Kobieta grecka, dzieło w dwóch tomach panny Klarysy Bader, uwieńczone przez Akademią Francuzką. Mythy pierwotnych Pelazgów. Helenowie. Życie rodzinne w czasach Homeryczuych. Bohaterki Illiady: Helena, Hekuba, Andromaka.—Przekład Franciszka Dmochowskiego.— Ocenienie Mickiewicza. Bohatérka Odyssei: Kamilla, Eurikleа, Penelopa. Przekład Cypryana Norwida.— Niewiasta grecka w rodzinie za czasów historycznych. Sparta: Wychowanie Lacedemonki. Ateny: Wychowanie dziewczęek Jońskich. Małżeństwo. Posag. Opieka nad sierotami. Weselne obrzędy.—Niepodległość spartańskich niewiast. Idylla Teokryta: Dyalog Syrakuzanek.—Życie niewiasty atońskiéj w gynoecum. Obyczaje. Matka spartanka. Matka atenka. Ostatnie rozłączenie małżonków. Płaskorzeźby na grobach.— Typ bohatérek dramatycznych. Eschiles. Trilogia Orestiadas: Klytemnestra, Orest, Eumenidy.— Sofokles. Trilogia: Król Edyp, Edyp w Kolonie, Antygona. Przekład Kazimierza Kaszew-

skiego. Eurypides: Tragedya Alcesta. Kobieta grecka w dziedzinie literatury i sztuki. Dziewięć muz ziemskich: Safo. Erinna. Telezilla: Tyrteusz niewieści. – Mirtis mistrzyni Pindara.—Korynna: współzawodnictwo z Pindarem.—Nossis. Praxilla. Anythe. Moero. Kora: odkrycie sztuki plastycznéj. Malarki. Timoreta. Irena. Lalla z Cyzyku.—Kobiety szkoły filozoficznéj Pythagoresa. Teano. Damo. Listy Teano. Fragmenta filozoficzno moralne Perictione i Phinthys. 226

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Kurs historyi wieków średnich napisany przez Tadeusza Korzona, z dołączeniem 4ch mapp historycznych i 25 tablic genealogicznych. Nakładem J. Brzozowskiego, Warszawa. 1872. Przez A. P. 125

O Mazurach. Napisał Dr. Wojciech Kętrzyński. Poznań, nakładem Tygodnika Wielkopolskiego, czcionkami L. Merzbacha. 1872. (w 16-ce, str. 94). Przez K. Wł. Wójcickiego. 138

Vincentius Kadłubek und seine Chronik Polens. Zur Litteraturgeschichte des dreizehnten Jahrhunderst, von Heinrich Zeissberg. Przez A. T. 145

Radziwiłł w gościnie. Anegdota dramatyczna w 3ch aktach przez J. I. Kraszewskiego. We Lwowie, nakładem Karola Wilda. 1872. (w 8-ce, str. 55.). Przez K. Wł. W. 146

Obrazki z mojego sąsiedztwa. Z notat pana Antoniego, spisał Leon Kunicki. Warszawa, nakładem G. Sennewalda 1872 r. (Drukiem Józefa Ungra w 8ce str. 149). Przez K. Wł. W. 149

Dziwy świata pierwotnego, czyli kolebka wszechświata, przez W. F. A. Zimmermana, przekład T. Dziekońskiego, 1872. Wydanie drugie z 268 drzeworytami. Przez A. J. S. 150

Historya literatury rossyjskiéj w zarysach i życiorysach. Przez P. Polewoja (syna). 151

Dzieje Polski w głównych zarysach krótko streszczone dla użytku młodocianego wieku, przez E. Leja, 1872. Przez A. J. S. . . 153

Pamiętnik Wydziału prawa i administracyi w c. k. Uniw. Jagiel. w Krakowie. Kraków, 1872 XVI i 425. Przez X. 153

Opis historyczny Rzymsko-Katolickiego kościoła świętéj Katarzyny w Petersburgu. Przez E. hr. Tyszkiewicza. 154

Ekonomista, pismo poświęcone ekonomice, statystyce i administracyi. Rok VII. Półrocze piérwsze. 1872 r. Przez Fel. Zielińskiego. 291

Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Wydanie zupełne, poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopismów staraniem J. I. Kraszewskiego. (Z wizerunkiem i życiorysem poety). Tom I poezye oryginalne i naśladowania. Poznań. Drukiem J. I. Kraszewskiego. (Dr. W. Łebiński), 1872 r. (w 8ce, str. VII, 400). Przez K. Wł. Wójcickiego 300

Pamiętniki Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych,

stron.

z roku szkolnego 1871|2. Rok trzeci. (Warszawa 1872, 8ka większa, str. 199). Przez W. 307

Gustaw i Werter prel. publ. przez Adama Bełcikowskiego, doc. Uniw. Jagiell. Kraków, nakładem Tomaszewicza. 1872. Przez E. L. . 310

Zawiązki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier. Opracował Dr. Fr. Czerny. Kraków, 1872. str. 178. Przez P. 315

Lehrbuch der Geographie für die mittleren u. oberen Classen i t. d. von H. Guthe. 2 Aufl. 1872. Hannower, 658 str. 8ka. Przez P. 318

Napis na staréj Chrzcielnicy w kościele Ś-go Jana w Toruniu, dokładnie przerysowany. Warszawa 1872. W drukarni J. Sikorskiego (w 8ce str. IV z dwiema tablicami litografowanemi, przedstawiającemi chrzcielnicę i napis). Przez R. 319

Synodus archidioecesana Gnesnensis praesidente Stanislao Karnkowski Archiepiscopo Gnesnensi et Primate Regni Poloniae, Lovicii an. Domini 1583 celebrata, nec non Articuli alterius synodi ejusdem dioecesis sub Jacobo Uchański Archiepiscopo habite, nunc primum ex archivo venerab. Capituli Cathed. Vladislav. Zeno Chodyński Direct. Semin. Vlad. edidit. Varsaviae, 1872; str. 68. Przez A. P. 493

Bibliografia Polska. 120,000 druków. Część I. Stulecie XIX. Katalog 50,000 druków polskich lub Polski dotyczących od r. 1800, ułożony abecadłowo według autorów i przedmiotów, z wyrażeniem dzieł księgarskich, przez K. Estreichera. Kraków. W drukarni Uniw. Jagiell. 1870, (w wielkiéj 8-ce). Przez K. Wł. W. 495

Obrazy wszechświata. Astronomia i geologia popularna z drzeworytami w tekście. Napisał Dr. medycyny i chirurgii Jan Stella-Sawicki. Przez D-ra S. 500

O małoletnich przestępcach oraz Towarzystwie Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych. Szkic ogólny przez W. Miklaszewskiego. Warszawa. 1872. str. 83 w 8ce. Druk S. Orgelbranda synów. Przez T. K. 506

Konfederacya Barska. Korrespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim Łowczym Koronnym w r. 1768, wydał Dr. L. Gumplowicz. Nakładem czasopisma „Kraju“ 1872 rok, (w 8-ce, str. XV, 204 z mapką). Przez K. Wł. W. 510

Benedyktyński klasztor w Sieciechowie, według pism i podań miejscowych, przez ks. Józefa Gackiego. Radom, w drukarni J. K. Trzebińskiego, 1872 roku, (w 8-ce str. 299). Przez K. Wł. W. . 514

WIADOMOŚCI LITERACKIE 158, 320, 516

Od Redakcyi. 332, 524

Bibliografia krajowa i zagraniczna na okładkach każdego zeszytu.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— *Thoughts upon Government. Myśli o „Rządzie" przez Artura Helps, Londyn 1872. Belland Daldy.* Książka ta jest najważniejszym a zaszczytnym pojawem najświeższéj literatury angielskiéj. Autor daje tu w jasnéj metodzie i doskonałéj argumentacyi, rezultaty swego doświadczenia i poglądów na przedmiot, który staje się wielce zajmujący. Istota, znaczenie, zadanie, obowiązki i prawa rządu, pomijając polityczną formę rządzenia, stanowią temat bardzo ponętny, który autor umiał połączyć z kwestą ciągłą postępu cywilizacyi. Między innemi szeroko rozbiéra on zasadę samorządu (selfgovernement) o tyle, o ile nie wchodzi w kolizyą z zasadami państwa. Bardzo wiele ciekawych i ważnych szczegółów podciągniętych pod tę rubrykę, dałoby się żywcem zastosować do państw wszystkich w ogóle, szczególniéj gdy rzecz chodzi o klassę urzędników, ich zadanie i wpływ. Poglądy ogólne poparte są licznemi przykładami z historyi i z własnego bogatego doświadczenia autora, jako urzędnika w Anglii. Książka składa się z 21 rozdziałów. Dzieło to warte ze wszech miar przekładu na język polski, właśnie że nasza literatura tak mało tego rodzaju dzieł posiada.

O kawał ziemi powieść M. Bałuckiego. Kraków 1872. Autor staje na najświeższym gruncie pozytywizmu w życiu praktycznem, i w tym celu stroi bohatérów tego kierunku we wszelkie nadzwyczajne przymioty, nie szczędząc człowiekowi innego obozu gorzkich przymówek. Uprzedzenie takie z góry powzięte szkodzi utworowi, który i tak nie zaleca się pierwszym przymiotem każdéj powieści, to jest wzbudzeniem zajęcia.

Der Mensch und die Seele. (Studien über die physiologische und philosophische Antropologie, und die Physik des alltäglichen Lebens, v. E. Reich. 1872).

Człowiek i dusza (studya nad fizyologiczną i filozoficzną antropologią i fizyką codziennego życia, przez E Reicha. Berlin 1872). Nauki przyrodnicze przeciw filozofii—oto stosunek ostro odznaczony nowoczesnych nauk przyrodniczych i filozofii. Walka między obydwoma kierunkami rozgorzała dzisiaj i goreje ciągle. Nowoczesne nauki przyrodnicze albo raczéj nowoczesny pospolity materyalizm nie chce nic wiedzieć o filozofii, dla tego że jest tylko: „nauką myślenia." I tak się tu stało, że nauka ta w rękach materyalistów zmartwiała. Pogodzenie przeto między temi naukami okazało się koniecznem, a takiego usiłowania podjął się E. Reich w powyżéj zatytułowaném dziele. Wykład popularny ale mało filozoficzny i naukowy, gdyż są to tylko studya oderwane o pochodzeniu i stanowisku człowieka, o fizyonomice i frenologii, o fizyologii obyczajów, o żywiołach duchowego życia i t. d. Dosyć tu historycznego materyału z rozrzuconemi tu i owdzie uwagami samego autora, lecz kwestya na czele postawiona, kwestya pogodzenia bynajmniéj nie została rozstrzygniętą.

— *The five great monarchies of the ancient world by George Rawlinson*, 3 vol. 2 wydanie. Professor Rawlinson wykończył obecnie znakomite swe dzieło, stanowiące istotnie epokę w literaturze historycznéj,

do dziejów Wschodu się odnoszącéj. Tyle materyału przezeń zebranego, jak w żadném innem dziele. Geografia, historya, starożytności Assyryi, Babilonu, Chaldei, Medyi i Persyi służyć będą na długie lata jako wskazówka, jako bogate źródło dla tych, co zajmując się historyą, sami nie widzieli tych skarbów archeologicznych, które odkryte zostały na dalekim Wschodzie w nowszych czasach.

— *Six of One by Half-a-Dozen of the Other an Everyday Novel.* By Harriet Beecher Stowe, Adeline Whitney, Lucretia Hall, Frederic Wadsworth Loring, Frederic Perkins, Edward Hall. London 1872.

Pół tuzina autorów nowelistów amerykańskich złożyło się na jednę niewielką opowieść. Nazwiska wyżéj przytoczone są chlubnie znane w literaturze. Każda z tych autorek i autorów już nie jednę dobrą powieść napisali. Opierając się na rachunku prawdopodobieństwa sądzili, że razem w sześcioro stworzą sześć razy lepszy utwór. Tym razem obliczenie Amerykanów okazało się zawodném. Dość potwornie wygląda książka, kiedy czytelnik sześć przedmów na jéj czele zobaczy. Każda autorka i autor napisali od siebie przedmowę. Jestto plum-pudding angielski a po polsku mówiąc bigos prawdziwie hultajski. Nadmienić jeszcze wypada, że jeden z autorów nie dokończył wydzielonéj mu pracy, w połowie bowiem p. Fryderyk Loring przerywa wątek, udaje się w podróż do południowéj Ameryki i niestety ginie pod San-Francisco z rąk okrutnego Indyanina. W opowieść wpleciony został okropny pożar w Chicago w r. 1871. Trzej bohatérowie i bohatérki powieści udają się tam na pomoc ofiarom pożaru; opis wrażeń téj podróży należy do najudatniejszych rozdziałów téj dziwnie sklejonéj amerykańskiéj nowelli.

— *Herman i Dorota, poemat w IX pieśniach J. W. Göthego,* przełożył sześciomiarowym (heksametrem) wierszem polskim Ludwik Jenike. (Z rysunkami F. Tegazzo). Warszawa. Drukiem J. Ungra. 1872 r. (w 4-ce stron liczbowanych u dołu 60). Jest to przedruk z Tygodnika Illustrowanego. Piérwsze tłumaczenie tego poematu, oddające dobrze ducha oryginału, dał nam Antoni Czajkowski i takowe drukowaliśmy w naszém piśmie w całości.

Biblioteka Warszawska, pismo peryodyczne, poświęcone naukom, literaturze i umiejętności, wychodzi co miesiąc zeszytami, najmniéj dziesięcio-arkuszowemi. Dwanaście zeszytów składających cztery tomy, stanowi komplet roczny. Pismo to wychodzi dotąd bez przerwy od d. 1 stycznia 1841 r., to jest przez lat 32.

Pozostałe kompleta z dawnych lat Redakcya sprzedaje po cenie bardzo zniżonéj, jako też i wydania własne. Sprzedaż odbywa się w Redakcyi, ulica Mazowiecka numer 4, od godziny 4 do 6-éj po południu.

W drukarni Józefa Bergera, ulica Daniłowiczowska, Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Ноября 1872 г.